

Gayle  
**Lynds**

**Maskarada**  
*Masquerade*

Przekład:  
Marek Rudnik



Denisowi  
z wyrazami miłości

Za rady i pomoc jestem szczególnie wdzięczna: byłemu agentowi wywiadu Philipowi Sheltonowi; językoznawczym, magister nauk humanistycznych Karyn Lewis Searcy; specjaliście od szpiegów i pisarzowi Michaelowi Kurlandowi; wydawcy Fredowi Kleinowi oraz doktor filozofii Lindzie Tesar z wydziału ekonomii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara.

Wyrazy podziękowania dla Julii Cunningham, Nancy Fisher, Biny Garfield, Briana Garfielda, Gary'ego Gulbransena, Susan Miles Gulbransen, Sheili Johnson, Kena Kuhlkena, Dennisa Lynda, Christine McNaught i Katy Peake.

Płynące z głębi serca wyrazy wdzięczności dla Danny'ego Barora za okazywane od samego początku zaufanie, Judy Kern za wspierającą redakcję oraz Henry'ego Morrisa za wnikliwość, pomysły, cierpliwość i życzliwy stosunek.

„Przekonanie opiera się na znacznie bardziej kruchych podstawach,  
niż większość z nas sądzi”.

doktor ELLEN J. LANGER,  
psycholog z Uniwersytetu Harvarda,  
autor *Mindfulness*

**Część pierwsza**

**Liz Sansborough**

# 1.

Przeszłość nie istniała. Pewnego ranka obudziła się i stwierdziła, że w pokoju stoją nieznane jej meble.

- To wszystko twoje. Nie pamiętasz? - powiedział mężczyzna.

Nie pamiętała, ale wypowiedzenie jednego choćby słowa stanowiło dla niej zbyt duży wysiłek. Była zmęczona, obolała i całkowicie zdezorientowana. Wydawało jej się, że za chwilę w jej głowie coś może eksplodować. Czas mijał, a ona wciąż nie wiedziała, gdzie się znajduje. I nie potrafiła sobie przypomnieć, jak się nazywa.

- Nie wiesz, jak masz na imię? - zapytał.

- Nie. - Gdzieś w głowie zahuczał ból.

- Dowiesz się - zapewnił. - Obiecuję, że wkrótce się dowiesz. A teraz odpoczywaj, mój piękny skarbie.

Cierpienie powoli, stopniowo ustępowało, ale wraz z nim uchodziły z niej siły. Dłonie i wargi drżały. Nigdy nie otwierała drzwi ani nie odbierała telefonów. Nigdy nie siedziała przy oknie ani przy biurku. Nie miała zaufania do świata. Poza głosem mężczyzny otaczała ją cisza. Z niej starała się wyczytać, kim jest.

Mężczyzna podawał jej leki. Karmił jak dziecko. Rozbierał i mył. Była kompletnie bezwolna; miała tylko jego. Poczucie zagubienia stało się tak dojmujące, że cała jej istota doznała wstrząsu.

Sen był dla niej zbawieniem. Spała więc. Czas stał w miejscu.

\*

Mężczyzna podawał jej teraz inne leki.

Czuła się coraz lepiej. Odzyskiwała siły.

Wiedziała, że ma na imię Gordon.

- Nadal sobie mnie nie przypominasz, Liz, kochanie?

- Żałuję... - nie dokończyła, bo myśl umknęła jej z głowy.

Promienie słoneczne wpadały przez okna. Ożywczy, przesycony solą wietrzyk poruszał jej koszulą nocną. Chwyając się mebli, obeszła salon.

- Ty jesteś Gordon?

- Tak, kochanie.

- I mówiłeś, że mam na imię Liz?

- Liz Sansborough. - Uśmiechnął się zadowolony. - Wkrótce będziesz taka jak dawniej.

Liz Sansborough. Nazwisko odbiło się echem w jej umyśle. I słyszała je teraz przez cały czas, niczym bicie serca.

Pewnego dnia, kiedy ubrała się samodzielnie, zapytała:

- Gordon, co właściwie się ze mną stało?

- To było osiem, dziewięć tygodni temu. Poślizgnęłaś się i stoczyłaś ze zbocza. Upadłaś na skały. To było straszne, kochanie. Nie zламаłaś sobie wprawdzie niczego, ale doznałaś obrażeń głowy.

Skrzywiła się.

- To był wstrząs, a później wywiązało się zapalenie mózgu - ciągnął. - Doktor mówi, że coś takiego się zdarza. Stan zapalny tkanki mózgowej po urazie. To właśnie spowodowało amnezję.

- Mam amnezję - szepnęła. - Oczywiście. Amnezję.

\*

Ktoś obcy był w pokoju. Obudziła się zlaną potem, ogarnięta paniką.

- Pamiętasz mnie, Liz?

Półmrok zacierał nieco jego sylwetkę, ale zauważyła, że niesie w rękę coś, co przypomina niewielką walizkę.

- Chy... chyba tak. Kim...?

- Jestem twoim lekarzem. Nazywam się Allan Levine. - Był wysoki i nieco zbyt szczupły, ale miał miły, melodyjny głos. Postawił walizczkę i uśmiechnął się. - Nie przychodziłem przez kilka dni. - Zmierzył jej ciśnienie krwi i puls. - Wszystko wraca do normy. Już sam fakt, iż obudziłaś się, gdy wszedłem, jest oznaką znacznej poprawy.

Ośluchał jej serce i płuca. Uśmiechnął się ponownie, nie przerywając badań, które nie były dla niej przyjemne.

- Kiedy przypomnę sobie moje dotychczasowe życie?

- Nie wiem. Spróbuj się tym nie przejmować. - Zsunął z uszu stetoskop. - Mam dla ciebie dobre wieści. Po pierwsze, twój stan poprawił się na tyle, że będę cię odwiedzał tylko raz w tygodniu. Po drugie, ograniczam dawkę lekarstwa do jednej tabletki dziennie.

- Jakiego lekarstwa?

Nienawidziła codziennego łykania takiej masy pastylek.

- Środka antydepresyjnego. Pomaga ci panować nad sobą.

- Ale ja wcale nie czuję się przygnębiona.

- Oczywiście, że nie. Bez tego specyfiku twój mózg wymknie się jednak spod kontroli. Może to doprowadzić do obłądzenia, tak jak zdarzyło się wcześniej. Nastąpi nawrót, a wtedy już będzie trudno cię z tego wyciągnąć... Radzę, żebyś jeszcze przez pewien czas przyjmowała ten środek.

Powróciło wspomnienie niemożliwego do wytrzymania bólu i ośpienia.

- Nigdy już nie chcę tego doświadczyć.

\*

Wraz z Gordonem chodziła na spacer. Nabierała sił.

\*

Coś jej się śniło. Przebudziła się gwałtownie i wciąż miała przed oczami jakieś obce twarze i zdarzenia, które z niczym jej się nie kojarzyły. Rozejrzała się po ciemnej sypialni. Pokoju, z którym także nie wiązały się żadne wspomnienia.

Wstała i przeszła do salonu.

- Gdzie jesteśmy?

Gordon usiadł na sofie, przecierając zaspane oczy.

- Liz? Stało się coś? - Zapalił lampę i popatrzył na zegarek. - Jest dopiero piąta!

- Gdzie jesteśmy? - powtórzyła.

Przyjrzał się jej uważnie.

- W Santa Barbara. W Kalifornii.

Obracała się wolno, lustrując wzrokiem nowoczesne meble w duńskim stylu, rzędy książek, zasunięte rolety. To salon. Były jeszcze trzy pomieszczenia - kuchnia, łazienka oraz sypialnia, którą sama zajmowała. Gordon spał tutaj, na sofie.

Wyciągnęła ramiona, jakby chciała objąć cały pokój.

- Wiem. Już mi mówiłeś. Ale co to za miejsce?

- Twoje mieszkanie. Mieszkamy tu od kilku lat. Razem. - Urwał i po chwili zapytał miękko: - Pamiętasz, kochanie?

Ciężko opadła na bujany fotel.

- Byliśmy kochankami?

Uśmiechnął się.

- Masz coś przeciwko temu?

Wzrokiem omiotła jego sylwetkę i zatrzymała się na rozpromienionej twarzy. Był dobrze zbudowany, wysoki, z falistymi blond włosami i wyraźnie zarysowaną szczęką. Przystojny i potężny jak kowboje, których widziała w ostatnio oglądanych westernach.



Podobał jej się, ale najważniejsze było to, że był taki rzeczywisty. Tego właśnie pragnęła. Nie miała przeszłości, a on stanowił pomost do zapomnianego, nieznanego świata.

- Oczywiście, że nie. - Odpowiedziała na uśmiech. Nagle poczuła się znacznie lepiej. - Ale wszystko jest takie nowe. Ty, ja. To mieszkanie. Wszystko. Obudziłam się i uświadomiłam sobie coś dziwnego, związanego z moją pamięcią. Nie wiem zupełnie nic o swojej przeszłości, ale przecież umiem zawiązać sobie buty, a nawet zaprogramować magnetowid. Jak to możliwe?

- Dobrze pytanie. Chodź, przejdziemy się.

- O tej porze?

- Wyjaśnię ci to.

\*

Powietrze było rześkie i pełne zapachów. Wczesnym rankiem ulice Santa Barbara aż raziły pustką i ciszą. Rosnące wzdłuż nich palmy rozkładały swe grzywy na tle różowiejącego nieba. Gordon i Liz wędrowali przez park Alice Keck.

- Więc? - zagadnęła.

- Hm, widzę, że nie zapomniałaś.

- Nie ma obawy. To dla mnie zbyt ważne.

- Oczywiście. Ale wiem tylko tyle, ile powiedział mi doktor Levine.

- A mianowicie...

- Istnieją dwa rodzaje pamięci: pamięć mechaniczna oraz dotycząca faktów. Ta pierwsza, jak sama nazwa wskazuje, umożliwia nam wykonywanie różnych czynności. Na przykład gotowanie, prowadzenie samochodu, wiązanie butów lub obsługa magnetowidu. Pamięć zaś faktów odnosi się do szczegółów związanych z przeżyciami - kto, co, kiedy, gdzie i dlaczego. Właśnie ona składa się na naszą osobowość. To, co przydarzyło się tobie, jest typowe dla amnezji. Wymazana została pamięć faktów i może część pamięci mechanicznej. Na razie nie jesteśmy w stanie sprawdzić, jak duży fragment tej ostatniej pozostał.

- To dlatego umiem czytać, ale nie wiem, czy przeczytałam jakąkolwiek książkę. I zupełnie nie pamiętam swojego wypadku.

Wystawiła twarz na podmuchy bryzy i przyspieszyła kroku. Czuła, że wiedzie ją teraz jakaś tajemnicza, tkwiąca gdzieś głęboko siła. Dziwna siła, która kazała pędzić prosto przed siebie, jakby sam wysiłek fizyczny był w stanie uzdrowić jej umysł i przywrócić świadomość.

Gordon dotrzymywał jej kroku. Wiatr przeleciał po czerwonych dachach i ostro zakotłosał palmami. W powietrzu czuć było sól i zapachy lata. Gordon powiedział, że jest lipiec.

\*

Następnego popołudnia ogarnęło ją coraz więcej wątpliwości.

Kim była naprawdę? Nie chodziło wyłącznie o nazwisko. Skąd pochodziła? Od jak dawna mieszkała w Santa Barbara? Czy była mężatką, czy może miała dzieci? Kim byli jej rodzice? Czym się zajmowała?

Kto? Gdzie?

Jakim człowiekiem była?

Zapytała Gordona, a ten przyniósł wyblakły album z fotografiami. Usiedli obok siebie przy stoliku w jadalni. Uśmiechnęła się nerwowo, pełna zapału i nadziei.

- Nazywasz się, jak już wiesz, Elizabeth Sansborough - zaczął. - Urodziłaś się w Londynie, a wychowałaś na Shawfield Street w Chelsea. Mówi ci to coś?

- Anglia? - Pokręciła głową. - Nie, do cholery.

- Spokojnie, kochanie.

Coś tu nie grało.

- Dlaczego nie mam brytyjskiego akcentu?

- Wiem tylko to, co niegdyś sama mi powiedziałaś, a mianowicie, że naśladowałaś ojca, a on, jak się zaraz przekonasz, mówił z amerykańskim akcentem.

Otworzył album i wskazał zdjęcie na pierwszej stronie. Widać na nim było szereg domów stojących wzdłuż wąskiej uliczki. Ich białe ściany wznosiły się na trzy kondygnacje, a ogrodzenia wokół były ręcznie kute. Przed jednym z takich domów stała dziewczynka w lakierkach i wełnianym palcie, trzymana za rękę przez mężczyznę w płaszczu.

- To ty i twój ojciec, Harold Sansborough - wyjaśnił. - A w tle jest dom, w którym mieszkaliście. Ojciec był Amerykaninem, specjalistą od sprzedaży. Przeprowadził się do Londynu wkrótce po ślubie z twoją matką. Nazywała się Melanie Childs i była Angielką. Popatrz, to jej fotografia. Piękna kobieta.

Portret dużego formatu przedstawiał Melanie Childs Sansborough, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat. Między nią a Liz nie było wyraźnego podobieństwa. Melanie miała delikatne rysy, wąski nos i wilgotne, błękitne oczy. Na łańcuszku na jej szyi połyskiwała perła.

Liz uśmiechnęła się rozluźniona. Oto patrzyła na własnych rodziców. Prawdziwych ludzi, prawdziwą przeszłość - realną i obiecującą?

- Czym zajmowała się moja matka?

- Nie pracowała zawodowo. Prowadziła dom.

Przewrócił stronę i wskazał na fotografie Liz z okresu dzieciństwa. Na jednej z nich

widać ją było, jak jechała na kucyku w Hyde Parku, na innym płynęła łódką wraz z rodzicami po jezioru w Battersea Park, na innym jeszcze puszczała latawca. Kolejne zdjęcia zostały zrobione podczas wspólnych wakacji we Francji i letnich pobytów w Nowym Jorku, dokąd ojciec jeździł na coroczne spotkania pracowników swojej firmy.

Ostatnia fotografia przedstawiała ją już jako młodą, zgrabną dziewczynę, stojącą między wyraźnie dumnymi z niej rodzicami. Widać było, że jest bardzo podobna do ojca.

Uniosła głowę i odetchnęła głęboko.

Znów popatrzyła na siebie - nastolatkę. Bez wątplenia to ona była na tych zdjęciach. Mimo to jednak przyglądała się im, jakby patrzyła na zupełnie obcą osobę.

Z albumem w rękach przeszła do sypialni i stanęła przed lustrem, wpatrując się uważnie w swoją postać. Była wysoka i szczupła, z wysokim czołem, pobielającymi ustami i wyraźnie rysującymi się kośćmi policzkowymi. Spojrzała na zdjęcie i stwierdziła, że nie ma mowy o pomyłce. Mały palec dziewczyny z fotografii był wyraźnie krzywy.

Uniosła lewą rękę i popatrzyła na swój palec. Był zdeformowany w ten sam sposób.

- Złamałaś go, będąc jeszcze dzieckiem - wyjaśnił Gordon, stojąc w progu. - Wypadek na wrotkach. Źle się zrosł.

- Tak. Czasami mnie poboлева.

Nastolatka ze zdjęcia miała gęste, kasztanowate włosy i ciemny pieprzyk tuż nad prawym kącikiem ust. Popatrzyła w lustro i przesunęła palcem po znamieniu na własnej twarzy.

Ona i tamta dziewczyna były uderzająco do siebie podobne.

Były tą samą osobą. Nią.

Jakby zdziwiona własnym widokiem, stwierdziła, że jest piękna i że z jakiegoś powodu to dla niej bardzo ważne.

- Miałaś wtedy osiemnaście lat i wybierałaś się do Cambridge - rzekł.

- Na studia? Byłam studentką?

- Na razie wystarczy tych wspomnień.

- Ale muszę wiedzieć...

- Wkrótce wszystkiego się dowiesz. Już niedługo.

Nie podobała jej się taka powieść w odcinkach.

- Ale kim ja jestem? Kim? Czy uczę w szkole, a może obrabiam banki? Czym się zajmuję?

Pokręcił głową.

- Zachowamy odpowiednią kolejność, kochanie. Doktor ostrzegwał mnie wielokrotnie.

Mam czekać, aż ty poruszysz jakiś temat, a później ja przekażę ci informacje stopniowo, bez pośpiechu, żebyś się w tym nie zagubiła. Pamiętaj, że byłaś bliska śmierci. Twój umysł powraca do zdrowia, ale nie należy dostarczać mu zbyt silnych bodźców. Pamięć o przeszłości musi powracać powoli. Z czasem wszystko sobie przypomnisz. - Pewnym ruchem uniósł kciuk, dodając jej otuchy, i wycofał się do kuchni.

Przewracała karty albumu i po kolei przyglądała się każdej z fotografii. I nagle znowu ogarnęły ją wątpliwości. Jeżeli Gordon miał czekać, aż o coś zapyta, to dlaczego teraz odmówił udzielenia odpowiedzi? Dlaczego tak się obawiał, że sytuacja ją „przerośnie”...? Chyba że było coś, co go szczególnie martwiło. Coś, co i ją powinno niepokoić.

\*

- Liz! Co robisz? - Wszedł do salonu i zbliżył się do biurka, przy którym siedziała. Jej biurka. Przynajmniej tak sądziła.

- Kim jest Sarah Walker? - zapytała, wymachując plikiem listów. Wściekłość mieszała się na jego twarzy z troską.

- Doktor mówił...

- Do cholery, nie obchodzi mnie, co mówił doktor! To moje życie. Mam chyba prawo wiedzieć, kim jestem?

Pochylił się nad blatem i zacisnął szczęki.

- Do diabła, Liz! Jeszcze za wcześnie!

- Na co, Gordon? Na co?

Pochylił się jeszcze bardziej. Jego kwadratowa twarz poczerwieniała. Na moment przymknął oczy. Nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego. Jego nadopiekuńczość sprawiała, że łagodniała i robiła się bardziej uległa i obojętna. Ale teraz musiała się dowiedzieć. Rzuciła plik korespondencji na biurko.

- Przepraszam, że cię rozdrażniłam, Gordon, ale Sarah Walker... Muszę wiedzieć. Kim ona jest? Popatrz, znalazłam te artykuły w szufladzie. - Położyła wycinki na blacie. - Pochodzą z tego samego pisma „Talk”. Wszystkie podpisane przez Sarah Walker. Przejrzałam również pliki w komputerze. Wygląda na to, że wszystko należy tu do niej. Nigdzie nie natrafiłam na własne nazwisko. Nigdzie!

Gordon głośno wypuścił powietrze, starając się uspokoić. Wyprostował się.

- Ostrzegano mnie, że to nie będzie łatwe. Ale, do cholery, czy nie możesz trochę poczekać?

- Nie. Tak czy inaczej dowiem się wszystkiego, co mnie interesuje.

- Najpierw muszę zapytać doktora Levine’a. Jeśli on wyrazi zgodę, nie ma sprawy.

Bądź rozsądna, Liz. Ten człowiek uratował ci życie. I bardzo zależy mu na twoim zdrowiu.

- Nawet jeśli powie „nie”, ja nie skapituluję. Muszę wypełnić tę dziurę, która kiedyś była moim życiem. Czy za każdym razem będę musiała stoczyć walkę, abyś mi coś wyjaśnił...?

Zanim skończyła mówić, on już telefonował. Stała obok niego, gdy rozmawiał z doktorem. Wreszcie pokiwał głową i odłożył słuchawkę.

- Mówi, że skoro jesteś tak zdeterminowana, chyba sobie poradzisz.

- Oczywiście, że tak.

Podążyła za nim do szafki w przedpokoju, zadowolona, że jednak postawiła na swoim. Według niej to przede wszystkim Gordonowi, a nie lekarzowi, zawdzięczała życie.

- Chce, żebym po kolei wszystko ci wyjaśniał - rzekł i z górnej półki zdjął plik papierów, kolejny album i dwie kasety wideo.

- Dzięki.

Drżąc, odebrała materiały i wróciła do pokoju. Usiadł obok niej, na kanapie, gdy otworzyła otrzymany album na pierwszej stronie. Wklejone tu zdjęcie przedstawiało ją wraz z rodzicami przed majestatycznym, starym kościołem z przyporami i wieżami.

- Poznajesz to miejsce? - zapytał. - To królewska kaplica uczelniana w Cambridge.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zupełnie niespodziewanie do pokoju dotarł huk eksplozji. Jednocześnie z brzękiem tłuczonego szkła otworzyło się okno. Stolik przed nią rozpadł się niemal w drzazgi. Lampa podskoczyła do góry i rozprysła się spadając na podłogę. Strzały!

- Liz! Padnij!

Rzuciła się na dywan i przeczołgała za kanapę. Znow rozległy się serie strzałów, świst kul i trzask niszczonego sprzętu. Gordon był tuż przy niej. Wyjął pistolet spod koszuli. Drugi, wygrzebany spod kanapy, wcisnął jej w rękę. Był ogromny. Automatyczny, pomyślała.

Skąd wiedziała, że to broń automatyczna?

- Bierz! - polecił.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Nie wiem jak...

- Owszem, wiesz. Trzymaj!

Zacisnęła palce na kolbie. Kształt był... znajomy.

Kim była naprawdę?

## 2.

Nagle zapanowała cisza. Pył wolno opadał z sufitu, a pokruszone drewno i szkła zaścielały podłogę. Ta chwila była wprost nie do zniesienia.

I znowu kolejna ogłuszająca seria.

Głos Gordona był pełen napięcia:

- Strzelają z przeciwnej strony ulicy, żeby nas przygwoździć. Są...

- Dlaczego? Kto to? Kim my jesteśmy? Kto...

Eksplozja wstrząsnęła całym mieszkaniem.

- Liz! Uważaj...

Drzwi frontowe rozprysły się w drzazgi i przez powstały otwór do środka wpadło trzech mężczyzn. Gordon uniósł się na kolano i strzelił. Jeden z napastników runął na plecy odrzucony przez pocisk. Pozostali skoczyli na prawo i lewo, momentalnie odpowiadając ogniem. Pociski głucho uderzyły w kanapę.

- Liz!

Uniosła potężny pistolet, lecz napastnik z prawej błyskawicznie zniknął jej z oczu. Wyraźnie widziała tylko jego czarną, oksydowaną broń z krótką lufą. Po chwili kątem oka dostrzegła, że wychyla się zza kanapy i gwałtownym skrzętem ciała odwróciła się w jego stronę. Popatrzył jej prosto w oczy. Jego twarz, przysłonięta głęboko nasuniętym, brązowym kapeluszem, była pozbawiona wyrazu.

Uniósł się na kolana, z bronią wycelowaną prosto w jej serce. Zaraz będzie po wszystkim - zginie...

Pociągnęła za spust.

Siła odrzutu poderwała w górę jej rękę, a w głębi duszy przemknął jakiś błysk wspomnień. Była trupem... Bez ruchu patrzyła, jak na piersi mężczyzny wykwita wciąż rosnąca czerwona plama. Z ust trysnęła mu krew i zwinął się na podłodze niczym bezładnie rzucona szmaciana lalka...

Jacyś mężczyźni wpadli do mieszkania i unieszkodliwili trzeciego napastnika.

- Zajmijcie się Gordonem! - krzyknął ktoś.

Liz odwróciła się. Gordon leżał obok niej, zboczony krwią. Nagle ktoś ją podniósł i pociągnął w stronę wyjścia.

- Gordon! - wrzasnęła rozpaczliwie.

- Zajmiemy się nim. Chodź. Szybko! Nie ma czasu!

Znalazła się nagle w holu, popychano ją i ciągnięto w kierunku kuchennych schodów. Opierała się. Walczyła.

- Jezu, jesteśmy przyjaciółmi, Sansborough!

- Nie czas na wyjaśnienia. Dawajcie ją tutaj! - rzucił ktoś inny.

Trzech nieznajomych ściągnęło ją po schodach i wepchnęło do czekającego na dole samochodu, w którym poza kierowcą siedziało dwóch mężczyzn. Ci natychmiast przytrzymali ją, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Drzwi zatrzasnęły się i wóz ruszył z piskiem opon. Skręcił w Macheltoarena Street.

Za nimi podążał inny samochód, wyraźnie podziurawiony kulami. Więcej ludzi, trzeci wóz i coraz głośniejsze wycie syren. Samochody policyjne pędziły Garden Street w kierunku jej mieszkania.

Pojazd, którym była wieziona, zagłębił się w płataninę uliczek Rivieri, pokonał kilka stromych wzniesień i zjechał na dno doliny. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Nigdy nie chodzili tu na spacer z Gordonem.

Wreszcie zatrzymali się przed domem ukrytym w głębokim kanionie. Mężczyźni wepchnęli ją do pomieszczenia, gdzie stały jedynie łóżko i niewielkie biurko. Drzwi zamknęły się za jej plecami i usłyszała szcęk przekręcanego w zamku klucza. Okna były okratowane.

\*

W jej niewielkim więzieniu panował półmrok. Miała wrażenie, że siedzi tu od kilku godzin. Wciąż nie mogła się uspokoić. Jak ciężką ranę odniósł Gordon?

Co z tym mężczyzną o twarzy pozbawionej wyrazu, zaczesanymi do tyłu włosami i zakrwawioną piersią? Zabiła go?

Kim byli ci, którzy twierdzili, że są przyjaciółmi?

Czy „przyjaciele” trzymaliby ją w odosobnieniu bez jednego słowa wytłumaczenia?

Co prawda uratowali ją przed napastnikami i znali Gordona. Przynajmniej jego imię, ale...

Znów szcęk zamka i do środka wszedł jakiś mężczyzna. Był dość stary i chudy. Miał siwe włosy i dobrotliwy wyraz twarzy. W rękach trzymał tacę z kanapkami i mlekiem.

- Dlaczego mnie zamknęliście?

- Przykro nam, ale nie było czasu, żeby ci wszystko wyjaśnić, Liz. Nie zrozumiałabyś jeszcze. Obawialiśmy się, że będziesz próbowała uciec. Ale tutaj jesteś naprawdę bezpieczna.

Teraz przede wszystkim musisz się najeść, a my posłaliśmy już po...

- Gdzie jest Gordon? Trafili go przecież!

- Jest w szpitalu. Nie orientuję się, czy rana jest poważna, ale ustalę to najszybciej jak się da.

- A ten, do którego ja strzelałam?

- Trup. Zginął na miejscu.

Zamknęła oczy i skurczyła się w sobie, bo czuła, że zaraz zwymiotuje.

- Musiałaś do niego strzelić. Gdybyś tego nie zrobiła, on by cię zabił bez wahania.

Opanowała skurcze żołądka i zmusiła się do otwarcia oczu.

- Jesteście z policji?

- W pewnym sensie. Posłaliśmy po twojego lekarza. Wkrótce tu będzie. A teraz jedz, dobrze?

Nie miała zupełnie ochoty na jedzenie. Myślała o Gordonie i mężczyźnie, którego zabiła. Niechętnie, z ociąganiem ugryzła kanapkę.

\*

- Liz, nic ci nie jest? - pytał doktor Levine już od drzwi, a na jego pociągłej twarzy malował się niepokój. Włączył reflektorek na czole, z torby wyjął stetoskop i zbadał ją. - Powiedzieli, że miałaś poważne kłopoty.

- Kim byli tamci ludzie? Dlaczego chcieli nas zabić?

- Nie was. Obawiam się, że chodziło im wyłącznie o ciebie. Rzeczywiście powinnaś już chyba wiedzieć, dlaczego do tego doszło. Ale ostrzegam, że poznanie całego dotychczasowego życia w ciągu jednej chwili może być szokujące i wywołać poważne skutki. Jeśli tylko odczujesz, że dzieje się z tobą coś niedobrego, przerwij. Dokończysz jutro.

Wyszedł, lecz po kilku minutach wrócił z plikiem papierów, dwiema kasetami wideo i albumem, który zaczęła przeglądać jeszcze w swoim mieszkaniu. Przyjęła to wszystko z wdzięcznością. Po chwili doktor wprowadził stolik na kółkach, na którym ustawiony był telewizor z magnetowidem.

- Wiadomo coś o Gordonie? - zapytała.

- Przykro mi, Liz. Ja zajmuję się wyłącznie stanem twojego zdrowia. Oni zdobędą jakieś ubrania i doprowadzą cię do porządku. Możesz im zaufać. Czy mają znowu zamknąć drzwi?

Nie podnosząc oczu znad materiałów, przecząco pokręciła głową. Doktor wyszedł. Tym razem nie usłyszała już szcęknięcia zamka.

\*



Za oknem gwiazdy migotały na bezchmurnym niebie. Podeszła do biurka i zapaliła stojącą na nim lampkę. Otworzyła pierwszy skoroszyt i zaczęła czytać o swoim życiu.

Studiowała stosunki międzynarodowe w Cambridge. Mieszkała razem z kochankiem. Album zawierał mnóstwo jej zdjęć z młodym mężczyzną o ciemnej karnacji: w herbaciarni, przed biblioteką z czerwonej cegły, na rowerach, na regatach wioślarskich. Miał poważną, zawsze gładko ogoloną twarz, oczy czarne niczym węgle i równie ciemne włosy. Niemal na każdej fotografii niesforne kosmyki opadały mu na czoło. Nazywał się Husajn Szahid Noon i był członkiem sławnej pakistańskiej rodziny. W czasie wakacji wyjechał do domu, by opowiedzieć rodzinie o Liz. Pewnego dnia postanowił polatać awionetką. Zawiódł silnik i zginął w katastrofie.

W otaczającej ją ciszy usiłowała przywołać wspomnienie poważnego młodzieńca o szczerych oczach, lecz nic jej z tego nie wychodziło. Chyba go kochała. Musiała być zdruzgotana wiadomością o jego śmierci. Ale czy to była miłość? Kochała wciąż Gordona, i zapomniała już, że przeżyła kiedyś romantyczne uniesienia, ale ta nowa silna miłość przerastała ją.

Rodzice także zginęli, jeszcze wówczas, gdy uczyła się w Cambridge. Zabił ich jakiś złoczyńca, gdy jak co roku przebywali w Nowym Jorku. Ogarnął ją żal i ból z powodu śmierci tych osób, których przecież nie знаła. Jej rodziców.

Czego jeszcze było potrzeba, by odzyskała pamięć? By znów mogła myśleć o takich zdarzeniach jako o osobistej stracie?

Przez kilka chwil siedziała bez ruchu, rozmyślając o tych nieznanym przecież ludziach, którzy byli jej rodzicami. Wreszcie westchnęła ciężko i wróciła do czytania. Okazało się, że to nie koniec jej osobistych nieszczęść.

W rok po śmierci rodziców wyszła za mąż za piegowatego, muskularnego, emanującego pewnością siebie blondyna, Garricka Richmonda, Amerykanina, który otrzymał stypendium Fulbrighta w Cambridge. W albumie znalazła całą serię wspólnych zdjęć. Zawsze uśmiechnięty tryskał radością życia. Ona miała wówczas dwadzieścia jeden lat. Zdecydowała się przyjąć amerykańskie obywatelstwo. Wkrótce przeprowadzili się do Wirginii, gdzie Garrick podjął pracę dla CIA. Zginął podczas wykonywania niebezpiecznego zadania w Libanie.

Zamknęła album i skoroszyt. Z trudem oddychała, a myśli kłębiły się w jej głowie. Kolejna śmierć ukochanej osoby. Czy wszyscy, których kochała, musieli umrzeć? Może było coś w niej samej, jakaś klątwa, która ją przesładowała? Pozbawiona wspomnień z przeszłości mogła tylko snuć rozmaite przypuszczenia i... bać się. Nie pamiętając niczego, co się w jej

życiu zdarzyło, czuła się tak, jakby wcześniej nie istniała.

Podeszła do łóżka. Gdy dotychczasowe życie jest tylko czarną plamą, nie da się być sobą. Bo kim się jest? Brakuje przecież osobowości. Przeszłość nie zdołała jej ukształtować. Nie ma doświadczeń, na których można by oprzeć swoje osądy. Żadnych zapamiętanych emocji potrzebnych do skonfrontowania z przeżywanymi obecnie.

Jest się tylko odbiciem w lustrze. Smakiem pasty do zębów. Plamą światła, która grzeje. Dotykem ubrania. Ciałem.

Pozostaje więc tylko smutek, wściekłość i niekończące się, bezsensowne rozmyślania.

Nazywała się Liz Sansborough. Miała trzydzieści dwa lata. Była wdową. Z wyjątkiem Gordona wszyscy, których kochała, nie żyli. Leżała na łóżku w obcym pokoju i płakała z żalu za tymi, których utraciła i których nawet nie pamiętała.

\*

Pracowała dla CIA. Była szpiegiem.

Jej kompletne dossier znajdowało się w następnym skoroszycie. Związała się z Firmą już po śmierci Garretta Richmonda. Trenowała w Camp Peary w Wirginii - na „Farmie”. W dossier wymienione były urządzenia i rodzaje broni, którymi potrafiła się posługiwać. Potwierdzono, że nabyła umiejętności szyfrowania oraz deszyfrowania, jakie opanowała sztuki walki i zaliczyła sprawdziany kwalifikacji strzeleckich... Była dobrym strzelcem, przynajmniej kiedyś. Nic dziwnego, że Gordon nalegał, by wzięła do ręki broń.

Wsunęła kasetę do magnetowidu. Ujrzała wnętrze swego mieszkania w Londynie, sfilmowane pięć lat temu przez przyjaciela. Było niewielkie, z nowoczesnymi, duńskimi meblami, takimi jak w Santa Barbara. Na ostatnim ujęciu, przedstawiającym ją z książką, wyraźnie widoczny był skrzywiony mały palec lewej dłoni.

Nic z tego nie pamiętała.

Druga kasetka została nagrana przez Firmę. Przedstawiała ją w czasie pobytów w Poczdamie, Salzburgu, w Wiedniu. W ostatniej sekwencji wyłoniła się z ciemności i zatrzymywała pod jasno świecącą latarnią. Twarz bez wątpienia należała do niej. Widać było nawet wyraźnie pieprzyk nad kącikiem ust.

Według dossier rezydowała w Londynie, ponieważ świetnie znała to miasto i mogła działać stamtąd na terenie całej zachodniej Europy. Wreszcie, trzy lata temu, została wysłana do Lizbony na spotkanie z kurierem. Gdy przybyła na miejsce, zastała go już martwego. Zastrzelonego przez mordercę, zwanego Mięsożercą, który następnie zaatakował i ją. Postrzelił i pozostawił, aby wykrwawiła się na śmierć.

Była bliska śmierci, ale lekarze CIA wyciągnęli ją z tego. Kiedy już odzyskała siły,

odesłano ją na emeryturę i umieszczono w Santa Barbara jako dziennikarkę pod przybranym nazwiskiem Sarah Walker.

Sarah Walker!

A więc biurko w tamtym mieszkaniu naprawdę należało do niej. Rozważała przeczytane informacje. Dziennikarka Sarah Walker. Było w tym coś znajomego, ale chyba w grę wchodziły obecne emocje, a nie wygrzebane z mózgu wspomnienia.

Została postrzelona i pozostawiona własnemu, oczywistemu przecież losowi. W pewnym sensie zginęła. Tylko umarli pamiętają tyle co ona.

Ale czy to prawdziwa historia jej życia?

Na końcu dossier znalazła wspólną fotografię z Gordonem. Stali objęci gdzieś na plaży. Ona była w kostiumie, on w kąpielówkach. Za plecami grzywiaste fale rozbijały się o złoty, piaszczysty brzeg. Przyjrzała się uważnie zdjęciu, po czym odwróciła je. Z opisu wynikało, że zostało wykonane rok temu w Hendry's Beach.

Wyglądali na szczęśliwych.

Cicho otworzyły się drzwi. Odwróciła się. Stał w nich Gordon, z pobladłą twarzą i obandażowanym ramieniem na temblaku.

Poderwała się i przycisnęła go mocno do siebie.

\*

Siedzieli tuż przy sobie, na łóżku w niewielkim pokoju.

- Pracowałam dla CIA. Wiedziałeś o tym? - zapytała.

- Tak, Liz.

- A więc i ty musisz być z CIA.

- Tam się właśnie poznaliśmy. Nie używajmy jednak tego skrótu. Lepiej mówić Firma, Agencja lub po prostu Langley.

- A faceci, którzy nas uratowali?

Gordon uśmiechnął się.

- Oni też są z Firmy. A teraz tkwimy w jednej z naszych kryjówek.

- Ale jak to możliwe, że mieszkaliśmy wspólnie w Santa Barbara? Co z twoją pracą? Twoimi zadaniami?

- Nawet agenci mają prywatne życie, kochanie. Nie mieszkalem tam przez cały czas, to prawda, ale Santa Barbara stała się moim „domem”. Ty byłaś tym domem. Widzisz to? - Uniósł lewą dłoń. Na serdecznym palcu miał szeroką, złotą obrączkę.

Zauważyła ją już wcześniej, ale właściwie nie zwróciła na nią uwagi.

- Jesteśmy małżeństwem?

- Oficjalnie nie.

Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął z niej mniejszą obrączkę i uśmiechnął się.

- Ta jest twoja.

- Dałeś mi ją... wcześniej? - Popatrzyła na swoją dłoń i serdeczny palec.

- Tak. Wręczyliśmy je sobie, kiedy tylko się wprowadziłem. Ale pielęgniarka zdjęła ci ją w szpitalu. Obawiam się kradzieży w sytuacji, gdy pacjent jest nieprzytomny. Później, kiedy zorientowaliśmy się, że cierpisz na amnezję, uznałem, że mam prawo znów ci ją włożyć. Weź ją, kochanie.

Obrączka ciążyła jej w dłoni.

- Kiedy uległaś wypadkowi i nastąpiły komplikacje, nie mogłem cię zostawić - powiedział miękko. - Ty stałaś się moim jedynym zadaniem.

Wiedziała, że chce, by włożyła obrączkę na palec. Ale nie mogła. Miało to zbyt duże znaczenie, którego sensu jeszcze nie w pełni rozumiała.

Wsunęła ją do kieszeni i zmieniła temat:

- Mięsożerca to złowieszczy pseudonim. Kim on jest?

Jej decyzja wywołała błysk rozczarowania w oczach Gordona.

- To międzynarodowy zabójca, jeden z najlepszych w swoim fachu. Nikt nie wie, kim naprawdę jest. Nie dysponujemy nawet jego fotografią. Przypuszczamy, że likwiduje wszystkich, którzy zobaczą jego twarz. Tak właśnie stało się z tobą w Lizbonie. Był przekonany, że go widziałas, więc uważał, że musi cię zabić.

Popatrzyła w jego pobladłą twarz.

- Powiedz mi wszystko, co o nim wiesz.

Gordon wstał i podszedł do okratowanych okien. Popatrzył w nocne niebo, jakby spodziewał się ujrzeć na nim zarówno przeszłość, jak i przyszłość.

- Przez trzydzieści lat staraliśmy się go wyeliminować. Nie tylko zresztą my. Każda agencja wywiadowcza po obu stronach dawnej „żelaznej kurtyny” chciałyby wpisać taki sukces na swoje konto. Jest samotnym zabójcą w coraz szybciej zmieniającym się świecie. Bezlitosnym. Skutecznym. Całkowicie niezależnym. Jego jedyna miłość to pieniądze. Podobno naprawdę nazywa się Alex Bosa, ale nie byliśmy w stanie potwierdzić nawet tej informacji. Data i miejsce urodzenia, narodowość jego rodziców, wykształcenie, jeśli ma jakiegokolwiek, stanowią dla nas wielką niewiadomą. Nie mamy pojęcia, jak wygląda, bo, jak już wspomniałem, nikt nie przeżył spotkania z nim.

- Jeżeli ja widziałam jego twarz, dlaczego nie przekazałam jego rysopisu?

- Widziałas tylko jego niewyraźną postać, ale on myślał inaczej. Otworzył do ciebie

ogień. Padłaś nieprzytomna na ziemię, cała zalana krwią.

Strach ścisnął jej serce.

- Miałam szczęście.

- Ogromne. Policyjny patrol skręcił w alejkę, w której leżałaś, akurat w chwili, gdy chciał cię dobić. Stał już nad tobą. Na szczęście nie zdążył i uciekł. Od razu domyśliliśmy się, że to był on, a następnego dnia otrzymaliśmy potwierdzenie poprzez agenturę.

Liz przebiegł dreszcz. Stwierdziła, że Gordon przygląda się jej uważnie. Popatrzyła na jego pobladłą twarz, zabandażowany bark, ramię na temblaku. Wróciła myślami do nagłego ataku na mieszkanie i błyskawiczną pomoc CIA.

Fragmenty zaczęły układać się w przerażającą w swojej wymowie całość.

- A więc CIA obserwowało mnie - rzekła. - A mężczyźni, którzy nas zaatakowali? Kim byli?

- Nie jesteśmy pewni. Ten, którego złapaliśmy, nic nie powiedział i chyba nie ma co liczyć, że coś z niego wyciągniemy. Wiemy jednak, czego chcieli.

Czekała na wyjaśnienia, a serce waliło jej w piersi.

- Mieliśmy przeciek - wyjaśnił. - Mięsożerca dowiedział się, że przeżyłaś, i obawiając się, że jednak zobaczyłaś jego twarz, postanowił działać. Rozpuścił w podziemnym światku wieść, że na twojego zabójcę czeka wysoka nagroda. Nie zamierza ryzykować, więc równocześnie sam także dybie na twoje życie. I tym razem zapewne zrobi wszystko, abyś... zginęła.

### 3.

W robotniczej dzielnicy Paryża przez tłum strajkujących kierowców miejskich autobusów przeciskał się mężczyzna w przybrudzonych dzinsach i obcisłym podkoszulku. Wszedł do obskurnego baru. Chodziło mu o furgonetkę firmy remontowej, zaparkowaną na zewnątrz. Zamierzał skraść ją wraz z kierowcą.

Mężczyzna miał miękki, koci chód i umiejętność rozplływania się w tłumie. W rzeczywistości liczył sobie około sześćdziesięciu lat, lecz wyglądał co najmniej o dziesięć lat młodziej. W czasie operacji plastycznej przebytej w Zurychu usunięto mu zmarszczki, spłaszczono nos i skrócono podbródek. W Rzymie przeszczepiono zęby, co definitywnie uniemożliwiło skojarzenie go z osobą, pod której nazwiskiem był kiedyś znany. W Berlinie za pomocą specjalnej mieszaniny kwasów usunięto linie papilarne. Znów przyjmował sterydy i codziennie trenował. Jego umysł był jasny, a serce zimne i bezwzględne jak zawsze. Był biznesmenem. Wczoraj właśnie wrócił do Paryża.

Siwe włosy nosił krótko przystrzyżone i z tego właśnie powodu w pewnych francuskich kręgach mówiono na niego „Plume”. Ludzie posługujący się językiem angielskim nazywali go „Quill” - Jeżyk.

Quill skierował się prosto do barmana i kiwnął na niego głową. Gdy ten zbliżył się, patrząc spode łba i nie przestając wycierać szklanki, gość zlustrował wzrokiem klientelę, tłoczącą się przy barze niczym świnie u koryta.

Barman zatrzymał się przed nim.

- *Qu'est-ce que?*

- *Bock.* Millera. - Quill rzucił na ladę kilka monet.

Kiedy obsługujący chował je do kieszeni fartucha, gość dostrzegł mężczyznę, którego szukał. Kierowcę. Na plecach jego jednoczęściowego kombinezonu widniała nazwa firmy remontowej, tej samej co na karoserii furgonetki.

Quill wziął podane piwo i ruszył w jego stronę. Mężczyzna także popijał piwo. Było wczesne popołudnie i widocznie ciężko pracujący Francuz poczuł pragnienie.

\*

Na południe od Paryża, na trawiastych brzegach Rodanu gromadzili się mieszkańcy starego Avignonu, którzy wyszli ze sklepów, biur i domów, by zaczerpnąć świeżego

powietrza. Wesoła, akordeonowa muzyka rozbrzmiewała w oddali. Przyzywała podekscytowane dzieci, które z plakatów rozwieszonych na dwunastowiecznych murach i dziewiętnastowiecznych lampach mogły się dowiedzieć, że właśnie dzisiaj odbędzie się parada cyrkowa. Podczas gdy kraj ogarniała kolejna fala recesji, ludzie pragnęli choć na chwilę oderwać się od codziennych kłopotów.

Na tyłach stacji benzynowej młoda kobieta w stroju cyklistki zamknęła się w kabinie obskurnej toalety. Nie było tam muszli, tylko otwór w podłodze i dwa metalowe stopnie umożliwiające oparcie stóp.

Zamierzała jednak wykorzystać ten przybytek dla nietypowych celów.

Sprawnymi, pewnymi ruchami zdjęła czapkę, okulary przeciwsłoneczne, plecak oraz obcisły strój sportowy. Z plecaka wyjęła tanią, luźną sukienkę, włożyła ją, a ściągnięty z siebie ubiór wcisnęła do plecaka.

Nie spieszyła się, ale i nie marnowała czasu. Po prostu działała szybko.

Z przegródki wyjęła lusterko i zestaw do makijażu. Nałożyła coś na twarz, która stała się blada i pożółkła. Wokół ust i na czole narysowała zmarszczki. W szaliku, okularach z grubymi szklami i wysuszoną skórą twarzy z pewnością nie będzie wzbudzać zainteresowania mężczyzn.

Poczuła nagły przypływ adrenaliny. Nie pracowała od trzech lat. Tęskniła za tym, choć z drugiej strony będzie zadowolona, gdy operacja dobiegnie końca.

Usatysfakcjonowana swym nowym wyglądem wyszła z toalety. Muzyka stawała się coraz głośniejsza, co oznaczało, że pozostało jej mało czasu. Podjechała na rowerze do *epicerie*, gdzie napełniła koszyk na kierownicy świeżą marchewką, fasolą szparagową, czosnkiem, cebulą i rzodkiewką.

Znowu wsiadła na rower i tym razem pojechała aleją do miejsca, obok którego z całą pewnością będzie przejeżdżał cyrk. Zatrzymała się na rogu i zaczęła zachwalać towar jak najprawdziwsza francuska chłopka.

- *Ciboules grandes! Carottes! Radises! Ail!* - W jednym ręku trzymała warkocz czosnku, w drugim zaś pęczek pękatek rzodkiewek. - *Ail grand! Radises grandes!*

Kiedy z głębi alei wyłoniła się parada, jakaś gospodyni domowa nabyła u niej czosnek i cebulę. Chwilę później podszedł urzędnik. Kupił pęczek rzodkiewek, przetarł jedną z nich i zjadł, akurat gdy mijały ich pierwsze cyrkowe kuce.

Dalej szli fikający koziołki, robiący sobie nawzajem psoty i z przesadnym zapalem witający gapiów klauni. To oni stanowili zawsze najlepszą reklamę cyrku, więc tłum na ich widok zafalował podekscytowany i rozbawiony.

Chłopka reagowała podobnie i nawet przysunęła się ze swoim rowerem do samego krawężnika, by lepiej widzieć. Jeden z klaunów, ubrany w strój marynarza z epoki napoleońskiej, obrócił głowę w jej stronę. Zatrzymał się tuż obok i zaczął zonglować kolorowymi piłkami.

Chłopka śmiała się i klasnęła w dłonie, zupełnie zapominając o podtrzymywanym rowerze, który stoczył się z krawężnika i przewrócił na klauna.

Artysta zdołał chwycić będące w powietrzu piłki i przewrócił się z teatralną przesadą. i Kobieta pochyliła się nad nim, aby podnieść swój rower.

- Proszę wybaczyć! - zawołał głośno po francusku. - Co ja narobiłem! Nic się pani nie stało? - Po czym wyszeptał po angielsku: - Jak tam?

Uśmiechnęła się.

- Zgodnie z planem. A u ciebie?

Nie było czasu na dalszą rozmowę. Klaun wykonał zamach nogami i zerwał się z kocią zwinnością.

Zgromadzeni nagrodzili go oklaskami.

Uklonił się nisko i wręczył chłopce o ziemistej cerze niebieską piłkę. Przyjęła ją z głośnym *merci*, a artysta popędził za swoimi kolegami.

Choć kobieta miała chęć jak najszybciej się oddalić, pozostała jednak na miejscu, aż minęła ją cała cyrkowa kawalkada. Wreszcie i ona odjechała.

Na innej stacji zmyła makijaż i ponownie przebrała się w strój cyklistki. Rozciąła gumową piłkę i wyjęła z niej pojedynczą kartkę. Zwinęła ją w rulonik i ukryła w długopisie. Na koniec pocięła piłeczkę na kawałki, wrzuciła do muszli i spuściła wodę.

Wyszła, rozejrzała się i odjechała na południe, w stronę Marsylii. Tam miała zamiar ponownie zmienić swój wygląd, a następnie złapać najbliższy autobus do Paryża. Była bardzo ładną kobietą, a uśmiech na twarzy jeszcze dodawał jej uroku.

\*

W zadymionym barze w robotniczej dzielnicy Paryża Quill stawiał piwo za piwem pracownikowi firmy remontowej, dopóki ten, podziękowawszy mu, nie skierował się chwiejnym krokiem ku wyjściu. Quill odczekał chwilę, po czym podążył za Francuzem.

Robotnik wsadł za kierownicę furgonetki i zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu kluczyków. Quill rozejrzał się wokół i stwierdził, że po zakończeniu demonstracji na ulicy panuje idealny spokój. Wyjął czarne pudełeczko, a z niego wypełnioną jakimś płynem strzykawkę. Otworzył drzwi od strony pasażera.

Francuz zaskoczony popatrzył na intruza, a jego mętne spojrzenie nabrało wyrazu.



Zobaczywszy strzykawkę, nadspodziewanie szybko zorientował się w czym rzecz i usiłował zadać cios pięścią.

Quill był jednak szybszy. Zrobił unik, wskoczył do szoferki i wbił igłę w udo mężczyzny. Ten zamierzył się ponownie, lecz w tym momencie gwałtownie opuściły go siły. Napastnik bez trudu przerzucił bezwładne ciało na tył wozu. Kiedy Francuz obudzi się rano, z ogromnym kacem, nie będzie pamiętał, co działo się z nim i jego samochodem.

Quill usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. W Paryżu miał cztery kryjówki. Nikt obcy nie znał żadnej z nich. W jednej spędził ostatnią noc. Teraz, dysponując wozem firmy remontowej, odwiedził trzy pozostałe. Był nie do rozpoznania dzięki swej nowej twarzy, kombinezonie robotnika i firmowej czapeczce. Sprawdził działanie wszystkich urządzeń, systemy alarmowe i drogi ucieczki. W każdej kryjówce zmagazynował zapasy żywności, środki medyczne i zestaw rzeczy potrzebnych mu do zmiany powierzchowności.

Mógł zatrudnić do tego ludzi, ale już dawno nauczył się, że nawet najbardziej godny zaufania „przyjaciel” może zdradzić. Wszystko przecież na tym świecie miało swoją cenę. Wolał pracować sam.

O czwartej po południu wrócił na lewy brzeg Sekwany i zaparkował wóz w alei, nieopodal potężnego drapacza chmur ze stali i szkła, nazywanego Le Tour Languedoc.

Wyłączył silnik, splótł ramiona na muskularnej piersi i odchylił głowę, jakby drzemał. Zupełnie wyjątkowo odczuwał coś na kształt zdenerwowania. Nie, właściwie nie było to zdenerwowanie, które z upływem lat stawało mu się coraz bardziej obce, ale niepokój wynikający z koniecznej w tym momencie beczynności.

Wreszcie ją zobaczył. Szła zalany promieniami słonecznymi chodnikiem. Spod w półprzymkniętych powiek obserwował zbliżającą się kobietę. Podziwiał jej zgrabny chód, wspaniałe proporcje ciała podkreślane przez obcisłą czarną sukienkę, lśniące, kasztanowe włosy. Nie mógł sobie jednak pozwolić nawet na chwilę nieuwagi.

Wprawnym wzrokiem omiółt aleję i dostrzegł ogon: kobietę idącą jakieś sto metrów dalej, w eleganckiej sukience, z aktówką pod pachą i drugą ręką wolną, by szybko móc sięgnąć po broń. Nie miał bowiem wątpliwości, że w aktówce ma pistolet.

Dostrzegł też jej towarzyszy - dwóch mężczyzn. Wyprzedzili ją i znaleźli się przy Languedoc. Jeden, tak jak on, siedział w samochodzie, a drugi podlewał rośliny. Zmierzył ich wzrokiem, lecz nie marnował czasu na bardziej szczegółową obserwację. Był także czwarty! A to oznaczało, że przywiązują ogromną wagę do tej operacji.

Wreszcie długonoga piękność weszła do Le Tour Languedoc.

Quill uważnie obserwował teraz śledzącą ją czwórkę. Dziewczyna minęła podwójne

szklane drzwi i skierowała się ku najdalszej windzie. Podążyła za nią tylko kobieta z aktówką, ale zatrzymała się przy pierwszej windzie.

Pokiwał głową. W porządku. Wszystko szło według planu.

Zajmie się kontynuacją przygotowań, gdy dziewczyna będzie znowu bezpieczna. Musiał poczekać, aż wyjdzie, zgubi ogon i zniknie. Poczul, że zaciska mu się gardło. Była jego największą i chyba jedyną słabością.

## 4.

Sierp księżycyca rzucał srebrne światło na kryjówkę CIA w cichym kanionie w Santa Barbara. Liz Sansborough stała właśnie przy oknie w kuchni, gdy dwaj uzbrojeni mężczyźni wyłonili się z gęstych krzaków. Serce zadudniło jej w piersi.

- Gordon? - rzekła cicho.

Natychmiast wyrósł za jej plecami.

- To strażnicy.

Mieli na sobie panterki, w rękach długą broń, a u pasa wisiały im granaty. W bladej poświacie księżycyca wyglądali jak duchy. Bez przerwy rozglądali się wokół, wypatrując morderców nasłanych przez Mięsożercę. Albo... jego samego.

Nagle zamarła.

- Skąd on wiedział, gdzie jestem?

- Nie mamy pewności. Ale wiedzieliśmy, że ma twój adres. Dlatego Langley rozmieściło agentów wokół domu.

Rozlał kawę do dwóch kubków i postawił je na kuchennym stole. Zmrużyła oczy. Wszystko wyglądało zbyt ładnie, zbyt prosto.

- Czas, byś wyjaśnił mi, co naprawdę się tu dzieje, Gordonie. Nie chcę więcej takich niespodzianek.

Usiadł przy stole, zerknął na kubek, ale nie sięgnął po niego. Uśmiechnął się z wyrozumiałością.

- Langley przymierza się, żeby zdjąć Mięsożercę. Żywego. Chcą wyciągnąć z niego wszystko, co wie. Wszystkie polityczne tajemnice.

- To wspaniale. Nie będę już musiała się go obawiać... - urwała, a jej oczy rozszerzył strach. - Schwytanie Mięsożercy ma coś wspólnego ze mną? I to zdrową, tak?

- Langley potrzebuje ciebie do przeprowadzenia tej operacji.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Firma jest przekonana, że możesz okazać się nadzwyczaj przydatna. Poza tym uznali, że tobie także będzie zależało na powodzeniu całej tej akcji.

Zaczęła nerwowo spacerować.

- Ale przecież ja nic nie umiem! Dysponuję tylko rejestrem dat, miejsc oraz opisem

operacji, w których uczestniczyłam. Wyłącznie tym, co dałeś mi do przeczytania. A przy okazji mogę zginąć. Albo swoim zachowaniem spowodować śmierć kogoś, kto będzie po naszej stronie!

Jego głos był spokojny i pełen powagi:

- Langley jest przekonane, że odpowiednie przygotowanie zmniejszy takie ryzyko do minimum. To ma sens, Liz. Łączy cię już z Mięsożercą nierozzerwalny związek i właśnie dlatego jesteś niezastąpiona. Chcą wysłać cię do naszego elitarnego obozu treningowego w Kolorado. Tam odzyskasz zdrowie, wyrobisz w sobie odporność, a także otrzymasz wszelkie potrzebne informacje... o bieżących zdarzeniach, najważniejszych osobistościach, polityce... Oczekują, że będziesz w stanie prowadzić rozmowę na każdy temat, nie zwracając na siebie uwagi. No i oczywiście, że nauczysz się znowu w pełni wykorzystywać swoją inteligencję.

Ciężko opadła na krzesło. Popatrzyła na kawę, ale straciła na nią ochotę. Z tego co czytała, w tajnych obozach treningowych Langley zdobywało się rozliczne umiejętności, a po zakończeniu „treningu” stawało się w pełni przeszkolonym agentem. Jednak...

- Pozostanę przy tobie, więc zawsze będę ci służył jako podpora - zapewnił uśmiechając się.

- Mówisz, że Langley potrzebuje mnie ze względu na powiązania z Mięsożercą. - Z uwagą wpatrywała się w jego piwne oczy, starając się odczytać ukrytą tam prawdę. - A więc chcą go pochwycić, używając mnie jako... przynęty?

Odwrócił głowę.

- Przykro mi, Liz. Po prostu nie wiem. Szczerze mówiąc, nie mam także pojęcia, jaką rolę mnie powierzono. Zapewne zdradzą nam to dopiero w ostatniej chwili. Bezpieczeństwo jest najważniejsze. A określenie „ściśle tajna” w stosunku do tej operacji to zbyt mało. Ma niebieski kod. Nie chodzi w niej tylko o wyeliminowanie Mięsożercy. Istnieje zagrożenie, że inne kraje będą chciały nas ubiec. A my musimy mieć go wyłącznie dla siebie, o czym i on dobrze wie. - Znowu spojrzał jej w oczy, a jego kanciasta twarz pozostawała poważna i jakby smutna. - Jeżeli masz być przynętą, zostaniesz do tego właściwie przygotowana, i możesz być pewna, że Langley zrobi wszystko, by cię ochronić. To wspaniali fachowcy. Oni doskonale wiedzą, co robią.

Łyknął kawy.

- Nikt cię do niczego nie zmusza, kochanie. Możesz natychmiast zapomnieć o wszystkim, co ci powiedziałem. Langley nie skorzysta z twojej pomocy, jeśli nie będziesz w pełni przekonana o słuszności proponowanych ci działań. Jeżeli nie chcesz w tym uczestniczyć, możesz ukryć się gdzie indziej. Zaszyć w innym mieście.

Jego słowa zupełnie nie pokrywały się z tym, o czym świadczył wyraz jego twarzy. Gordon i Agencja potrzebowali jej.

- Powiedz mi dokładniej, o co chodzi Langley.

Po kolei wyrecytował wszystkie znane sobie szczegóły. Kiedy skończył, pochyliła się do przodu, oparła głowę na rękach i zamyśliła się. Jeszcze niedawno była w tragicznym stanie, ale wydaje się, że obecnie jej umysł pracuje już bez żadnych zgrzytów. Ciało z każdym dniem nabierało sił. Ale co z tkwiącą w mroku niepamięci przeszłością? Według udostępnionych jej informacji była wysokiej klasy agentem. W Firmie wierzyli w nią tak bardzo, iż byli gotowi narazić się na kłopoty i wydatki, by tylko z powrotem przygotować ją do pracy.

A Mięsożerca nigdy nie zrezygnuje z poszukiwania jej. Nie mogła pogodzić się z myślą, że do końca życia ze strachem będzie spoglądać za siebie.

Poza tym, być może, trening pozwoli jej odzyskać pamięć.

Westchnęła ciężko i sięgnęła po kubek chłodnej już kawy.

- Zrobię to.

\*

Następnego dnia Liz i Gordon lecieli nad ciemnobrązowymi pustyniami Kalifornii i Utah ku zielonym górcom w północnym Kolorado, gdzie na przestrzeni dwudziestu tysięcy porośniętych lasami akrów rozciągał się Obóz Williama Donovana. Nazwano go tak na cześć „Dzikiego Billa” Donovana - szefa OSS. Miejsce było tak utajnione, że nawet w samym Langley wiedziało o nim niewielu ludzi. Aby dokładniej zakamuflować jego prawdziwe przeznaczenie, tabliczki wokół ogrodzenia głosiły: BRAK PRZEJŚCIA. RANCHO FOUR-ROCK - WŁASNOŚĆ SŁUŻB LEŚNYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Z tego właśnie powodu wtajemniczeni nazywali obóz Ranchem.

W jego centrum, pięć kilometrów od wjazdu, stał maszt z flagą. Wokół niego usytuowano blaszane zabudowania mieszczące laboratoria, biura, sale wykładowe i magazyny. Panujący tu idealny porządek potęgował jeszcze atmosferę tajemniczości i powagi. Przez okrągły tydzień, w dzień i w nocy mężczyźni i kobiety przechodzili obok masztu, spiesząc na rozliczne zajęcia. W powietrzu wyczuwało się stałą pogoń za czasem. W Rancho nie było czasu na odpoczywanie, bo studenci mieli bardzo wypełniony plan zajęć, a poza tym ich nauczycielom zależało, by przyzwyczaili się do działania w napięciu i pośpiechu.

Większość uczniów i wykładowców posługiwała się pseudonimami. Ci pierwsi, podobnie jak Liza, zazwyczaj sposobili się do wyznaczonych im już konkretnych zadań.

Jedną z zasad obowiązujących na Ranchu było niedopuszczanie do zawiązywania przyjaźni, a nawet zwykłych znajomości, traktowanie bowiem współpracownika po przyjacielsku w czasie akcji mogło zakończyć się w najlepszym przypadku wpadką, a w konsekwencji spowodować nawet czyjąś śmierć.

Na Ranchu znajdowało się jeszcze chyba dwóch uczniów, którzy mieli osobistych trenerów, lecz żaden z nich nie zajmował się swym podopiecznym z takim poświęceniem jak Gordon. Przynosił jej pisma i gazety, karmił odżywkami, towarzyszył w czytelnicy i na wykładach, gdzie uczono wszystkiego na temat broni, sztuki wywiadowczej, walki wręcz, zakładania podsłuchów i unieszkodliwiania zasadzek. Siedział przy niej cierpliwie, gdy do późna wbijała sobie do głowy całą tę wiedzę. Często robił jakieś notatki, używając swego ulubionego pióra firmy Cross. Bardzo pragnął, aby jej się udało. Odczytywała to z jego poważnego spojrzenia, dbałości o jej potrzeby oraz pełnych otuchy słów.

Czy ktoś mógłby okazać większe poświęcenie?

Żałowała, że nie wie nic o miłości, która ich łączyła. Wyjaśnił jej:

- Zdecydowałem się czekać. Uznałem, że najważniejsze jest twoje zdrowie, a teraz oczywiście operacja unieszkodliwienia Mięsożercy. Będę czekał, aż odzyskasz pamięć albo znowu się we mnie zakochasz. Nie mam wątpliwości, że warto się uzbroić w cierpliwość, kochanie.

W tym momencie poczuła się jakby winna, ale i kompletnie zagubiona. Był dla niej rodzicem, bratem, przyjacielem, doradcą - całym jej życiem. Marzyła o seksie z nim i uświadomiła sobie, że to właśnie owa część pamięci, której nie utraciła. Pamiętała odczucia wiążące się z uprawianiem miłości, lecz nie była w stanie przypomnieć sobie żadnego z partnerów, nawet Gordona.

Czasami, gdy tego nie widział, obserwowała go uważnie - muskularnego mężczyznę kojarzącego się z lwem. W jej umysł głęboko wrył się dźwięk jego głosu, miękkość ruchów. Z przerażeniem myślała, że mogłaby go stracić. Że mogłby odejść. Albo zginąć.

Czy tak właśnie wygląda miłość?

Zapytała o jego przeszłość.

- Zostałem wciągnięty do Firmy, kiedy jeszcze studiowałem - wyjaśnił. - Na Uniwersytecie Michigan, na początku lat siedemdziesiątych. Profesor historii zaprosił mnie pewnego dnia do swego gabinetu, a tam czekał już człowiek z Langley. Propozycja brzmiała interesująco, więc zdecydowałem się rzucić studia.

- Od razu wiedziałeś, że właśnie tego chcesz?

- Może to zabrzmiało zbyt patetycznie, ale zawsze marzyłem o walce za ojczyznę. A

wtedy przecież toczyła się zimna wojna. Tak, wiedziałem od razu.

- I nie żałujesz?

- Nie. - Jego twarz stężała. To było głupie pytanie.

Zastanowiło ją jednak, dlaczego mówi tak otwarcie. Wyczuła w jego głosie jakąś obcą nutkę... jakby wywołaną złością. Nie była tego pewna. Jeśli jednak się nie myliła, trafiła na jedną z rys w tej jego spokojnej, pełnej profesjonalizmu masce, którą prezentował wobec całego świata.

Musiał zorientować się, w jakim kierunku podążają jej myśli.

- Hej, nie zrozum mnie źle. Oczywiście, że mam gorsze dni, ale staram się nigdy nie siedzieć z założonymi rękami. Nie da się tak postępować i równocześnie przetrwać w naszym biznesie. Pamiętaj o tym.

Gdziekolwiek była, ukradkiem przyglądała się wszystkim twarzom. Jak mógł wyglądać Mięsożerca? Gdzie teraz przebywał? Co musiałyby zrobić, by spotkawszy się z nim uratować życie?

Aby uchronić się przed obłędem, skupiła całą uwagę na jednym: przygotowaniach do operacji, bez względu na przydzieloną jej rolę. Gordon sprawiał wrażenie równie zaangażowanego w sprawę. Widziała, jak jest dumny z jej ogromnych postępów. Pomimo wyczerpujących zajęć, wypełniających bez reszty jej dni, stopniowo wracała do sił. Nie odczuwała żadnych stanów depresyjnych ani poczucia niesprawdzania się w tym, co robi. W miarę jak nabierała wiary w siebie, coraz bardziej irytowało ją codzienne przyjmowanie środka antydepresyjnego.

Pewnego ranka przy śniadaniu zapytała:

- Dlaczego ciągle muszę to łykać? - Popatrzyła na pigułkę, którą podał jej Gordon. - Świetnie się czuję. Wczoraj odbyłam szesnastokilometrową wędrowkę w pełnym rynsztunku.

- To twoje ciało jest tak silne, ale nie mózg - odpowiedział delikatnie.

- Ale według doktora Levine'a miałam problemy z fizycznymi reakcjami zachodzącymi w moim mózgu. A to bardziej odnosi się do „ciała”.

Odłożył łyżkę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Doktor Levine jest wspaniałym specjalistą od wszelkich spraw związanych z funkcjonowaniem mózgu. Bez niego nie wiem, co by z tobą było. Nie ma czasu, żeby znowu wyciągać cię ze stanu, w jakim się znajdowałaś. Mamy zadanie!

- Wątpię, by zrezygnowanie na próbę z jednej tabletki...

Jego twarz przybrała inny wyraz. Pojawiła się na niej złość, może nawet wściekłość, ale równie dobrze mogła to być po prostu obawa.

- Liz, masz do wykonania rozkazy. Jesteśmy już tak blisko końca. Nie pozwolę, żebyś wszystko zepsuła! Weź to!

Zamrugła powiekami. Powoli włożyła pastylkę do ust i połknęła ją popijając wodą. Jego reakcja stanowiła dla niej zaskoczenie: był ślepo posłuszny poleceniom. Przypomniała sobie jedyny wcześniejszy przypadek, gdy widziała go zdenerwowanego. Doszło do tego, kiedy wyciągnęła rzeczy znajdujące się w biurku i żądała, by opowiedział dalsze koleje jej życia. Wówczas także chciał postąpić według zaleceń doktora Levine'a.

Wtedy nie miał racji, więc i teraz mógł się mylić.

Do końca dnia rozważała istniejącą sytuację. Następnego ranka zdecydowała się zaryzykować na własną odpowiedzialność. Podczas śniadania udała, że połyka pigułkę. W rzeczywistości ukryła ją w papierowej serwetce, którą ukradkiem wsunęła do kieszeni, a później wrzuciła do muszli klozetowej.

Ani przez chwilę nie odczuła symptomów depresji. Dzień później znów tylko udała, że bierze lekarstwo. Do końca tygodnia uzyskała pewność, że jej diagnoza była prawidłowa. Funkcje mózgu ustabilizowały się. Ani razu nie przyjęła już środka antydepresyjnego. Uznała jednak, że bezpieczniej będzie nie mówić o tym Gordonowi.

\*

Wkrótce potem uczestniczyła w pierwszym wykładzie na temat szyfrowania.

- Zamierzam pokazać wam, jak posługiwać się najstarszą metodą szyfrowania - rozpoczął wykładowca.

- Ale przecież dysponujemy najnowocześniejszym elektronicznym sprzętem. Po co w ogóle zajmować się czymś tak przestarzałym i pracochłonnym jak szyfry?

Wykładowca - łysiejący mężczyzna w okularach o drucianej oprawie - niezadowolony uniósł brwi.

- Przekazy radiowe i telefoniczne da się podsłuchać - zaczął tłumaczyć. - Z kolei sygnały elektroniczne można namierzyć. NSA co roku wydaje miliardy dolarów na służący temu sprzęt. Nowoczesne metody niewątpliwie są skuteczne, ale często ich wykorzystywanie okazuje się zbyt ryzykowne. A to zmusza do posłużenia się prostszymi środkami. Lepiej unikać bezpośredniego przekazywania informacji, bo grozi to podsłuchaniem lub przynajmniej zwróceniem na siebie uwagi. Co więc zrobić? Najlepiej zostawić wiadomość w jakimś ogólnie dostępnym miejscu - skrzynce kontaktowej. I zadbać, by nikt inny nie mógł odczytać tego, co napisaliśmy. Temu właśnie celowi służą szyfry.

- Rozumiem.

- Wybierz słowo. Jakiegokolwiek.



- Hamilton - powiedziała bez wahania. I natychmiast przyszła refleksja: skąd przyszło jej to do głowy.

Instruktor kazał zapisać je na tablicy.

- Pierwszych pięć liter w górnym wierszu, następne poniżej.

Wszyscy słuchacze przyglądali się, co robi, i skrupulatnie notowali.

- Dalej wpisz po kolei, także po pięć, pozostałe litery alfabetu. I oraz J zapisz w jednej kratce.

Kiedy skończyła, uzyskała kwadrat - pięć liter na pięć:

H A M I/J L

T O N B C

D E F G K

P Q R S U

V W X Y Z

Kazał jej jeszcze napisać: „Tam gdzie zawsze, o dwunastej” i wrócić na miejsce.

Pokazał zgromadzonym, jak pogrupować słowa w pary, eliminując wszelkie znaki przestankowe i odstępy:

ta mg dz ie za ws ze od wu na st ej

Następnie wykorzystał pierwszą parę liter do wyznaczenia narożników, w tym przypadku, kwadratu. Litery znajdujące się w dwóch pozostałych rogach posłużyły mu do zastąpienia pierwotnej pary. Pierwszą w szyfrowanej wiadomości było T, więc poniżej zapisał O, znajdujące się w narożniku kwadratu, w tym samym wierszu. Następną literą, zastępującą A, było H.

| --- |

| H A | M I/J L

|| ||

|| ||

| T O | N B C

| --- |

D E F G K

P Q R S U

V W X Y Z

- Kiedy już zaszyfrujecie wiadomość, pogrupujcie litery po pięć - polecił.

Postępując według instrukcji „Tam gdzie zawsze, o dwunastej” zamieniło się w OHIFK VAGWL YQWKT EZQOM PBGA.

Popatrzyła na zdające się nie mieć żadnego sensu zbitki liter. To naprawdę działało.

Podczas gdy pozostali kursanci wprawiali się w szyfrowaniu, Liz zamyśliła się. Ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie. Zmusiła się do pracy, lecz myślami wciąż wracała do zapisanego na tablicy imienia, a może nazwiska - Hamilton.

Wreszcie doszła do wniosku, że zapewne chodziło jej o polityka Aleksandra Hamiltona lub kochankę lorda Nelsona - lady Emmę Hamilton. To jednak ciekawe, dlaczego pomyślała akurat o którymś z nich. Nazwiska tych postaci trafiły do jej pamięci już po wypadku - czytała o nich w historycznych książkach wypożyczonych z biblioteki na Ranchu.

Nie opuszczało jej jednak wrażenie, że chodzi o kogoś lub coś innego. Imię krążyło jej po głowie jak na wpół zapomniana melodia. Nagle ogarnęła ją radość. Po raz pierwszy coś przedarło się przez zasłonę niepamięci.

## 5.

Sierpniowy, lśniący księżyc wisiał nad Waszyngtonem. Pojedynczo, w krótkich odstępach, już po północy czterej mężczyźni, mimo upału i późnej pory, ubrani w garnitury, zajechali na pustą ulicę przed neoklasycznym budynkiem stojącym kilka przecznic od brzegu Potomaku. Przyjechali w zwykłych, nierzucających się w oczy amerykańskich wozach, z jakich korzystała większość administracji federalnej. Każdy z nich miał jednak własnego kierowcę, który wysiadł jako pierwszy, rozejrzał się po okolicy i kiwnął głową. Pasażerowie pośpiesznie wchodzili do budynku.

Cała czwórka była już po sześćdziesiątce. Spotkawszy się w holu, weszli do windy i zjechali nią sześć pięter w dół. Tam weszli do sali konferencyjnej i zasiedli przy lśniącym, ogromnym stole. Pomieszczenie było zabezpieczone przed zamachem bombowym, doskonale klimatyzowane i wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt elektroniczny.

Dyżurujący w prowadzącym do niego korytarzu strażnik nacisnął przycisk. Zanim jednak zamknęły się dźwiękoszczelne drzwi, do środka wszedł piąty mężczyzna i zajął miejsce u szczytu stołu. Emanowały z niego władza i pewność siebie, choć jego twarz, jakby rzymskiego patrycjusza, z zapadniętymi policzkami i wydatnym, wąskim nosem, pozostawała zupełnie nieruchoma. Nazywał się Hughes Bremner i był zwierzchnikiem pozostałych.

- Panowie - przemówił. - MASKARADA wkrótce wejdzie w decydującą fazę.

Twarze pozostałych nie odzwierciedlały żadnych emocji, lecz w pomieszczeniu dało się wyczuć napięcie. Powodzenie MASKARADY było niezwykle ważne. Jej klęska zniszczyłaby ich wszystkich.

- Czy ryzyko operacji wciąż pozostaje tak wysokie? - zapytał najstarszy spośród zebranych. - Bezustannie próbujemy go wyeliminować, zanim się uaktywni?

- Oczywiście - potwierdził Bremner. - Ukrył się jednak i nasi ludzie nic nie mogą zdziałać. Istnieją niewielkie szanse, że na tym etapie uda się go zneutralizować. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebna jest nam więc MASKARADA.

Lucas Maynard był człowiekiem potężnej postury - numerem jeden grupy. Siedział po prawicy Bremnera i rozmyślał nad sytuacją: trzy miesiące temu Mięsożerca skontaktował się z rządami czterech państw i poinformował je, że jest już zmęczony i chce zniknąć z pozimnowojennego świata, pełnego nowych twarzy i nieznanych mu zasad. W zamian za

zapewnienie bezpieczeństwa proponował ujawnienie informacji o wszystkich zabójstwach i innego typu akcjach, w których uczestniczył lub o których cokolwiek wiedział. Wystawiał na przetarg bezcenne, najtajniejsze na świecie informacje. Do negocjacji zaprosił Wielką Brytanię, Francję, Niemcy oraz Stany Zjednoczone.

Hughes Bremner w tej niecodziennej licytacji reprezentował Stany. Jego zadanie nie było jednak proste - prezydent nie chciał zgodzić się na mieszanie jego kraju w tę sprawę. Oświadczył, iż nie po to piastuje swe stanowisko, by powielać błędy poprzedników, i nie dopuści do tego, aby Stany Zjednoczone zapewniały azyl mordercy i terroryście, który splamił się krwią tylu ofiar.

Z pomocą dyrektorki CIA Bremner zdołał jednak przekonać prezydenta o tym, jaką wartość przedstawiają informacje Mięsożercy. Uzyskał pozwolenie na wzięcie go pod skrzydła, uzależniając jednak swą decyzję od utrzymania wszystkiego w najściślejszej tajemnicy.

- To dobrze, że wygramy tę licytację, Hughes - rzekł Lucas Maynard.

Bremner uśmiechnął się w duchu. Niewielu mogło mu dorównać w tej grze.

- Tak. Recesja w Anglii i Francji znacznie osłabiła ich pozycję przetargową, a Niemcy mają teraz na głowie problemy z neonazistami i Wschodem. My byliśmy w stanie zapewnić Mięsożercy wszystko, czego zażądał. - Urwał i popatrzył po twarzach zgromadzonych, na których pojawiła się ulga. - Rozpoczęliśmy standardowe procedury dla sprawdzenia szczerości jego zamiarów i prawdomówności. MASKARADA znajduje się w pełnym toku. Teraz przypomnę wam dokładnie, jak przedstawia się ostatni etap jej realizacji.

Przez niemal godzinę szczegółowo opisywał bieżącą sytuację, ryzyko, środki ostrożności oraz plan działań. Zaprezentował nagraną na wideo rozmowę z jednym z najslawniejszych na świecie neurologów. Kiedy skończył, zebrani długo jeszcze siedzieli w milczeniu, rozważając to, co usłyszeli. Bremner bacznie ich obserwował.

- Od razu wyjaśnijmy sobie ewentualne wątpliwości - zachęcił. - Chodzi przecież o nasze życie.

Debatowali przez kolejne dwie godziny, ale w rezultacie nie wprowadzili do planu żadnych większych zmian. Operacje przygotowywane przez Bremnera rzadko tego wymagały.

Była czwarta rano, gdy zaczęli pojedynczo wychodzić. Lucas Maynard jechał windą jako ostatni. Sięgnął pod krawat i nacisnął przycisk przewijania super miniaturowego magnetofonu. Sprawdził, czy jakość nagrania jest właściwa, i uśmiechnął się.

Następnego ranka w Waszyngtonie nadal panował upał. Weteran CIA Lucas Maynard, spocony i czerwony na twarzy, przybył do ekskluzywnego Hotelu Hay-Adams na śniadanie ze starym przyjacielem, podsekretarzem stanu Clarence'em „Clare'em” Edwardem. Maynard z rozmysłem przyszedł nieco wcześniej, ale jak na kogoś tak doświadczonego w działalności wywiadowczej za bardzo się denerwował. Jednak od wielu już lat nie operował w terenie i nigdy przedtem nie działał na własną rękę.

Wybrał Hay-Adams, który znajdował się zaledwie przecnicę dalej od Białego Domu, bo stoliki ustawiono tu z dala od siebie, tak że można było swobodnie prowadzić prywatne rozmowy. Poprosił o to spotkanie, ponieważ po ponad trzydziestu latach chciał wykorzystać dług wdzięczności, jaki miał wobec niego podsekretarz.

Edward nie domyślał się nawet, o co chodzi. Właściwie można by uznać tę sytuację za zabawną, gdyby nie była tak cholernie niebezpieczna.

Mając na względzie swą cukrzycę, Maynard zamówił owoce i owsiankę. Zlustrował wzrokiem salę, szukając kogoś z Langley. Nie rozpoznał żadnej twarzy, nie dostrzegł też żadnego urządzenia mogącego służyć do podsłuchu ani nikogo zerkającego ukradkiem w jego stronę. Nikt w Firmie nie miał przecież powodu, by go podejrzewać. Motywy swego działania znał tylko on - tego był pewien.

W tej samej chwili gdy przyniesiono śniadanie, przybył podsekretarz. Po wymianie wzajemnych uprzejmości i odejściu kelnera, Edward przeszedł od razu do sprawy. Już sprawiał wrażenie zmęczonego i zaganianego, a przecież była dopiero ósma.

- O co chodzi, Lucas?

- Znowu nie spałeś całą noc? - zapytał Maynard z uśmiechem.

Urzędnik lubił kobiety, szczególnie zaś te, które dla niego pracowały.

Przekonał się, że równie łatwo okazywać im swoje uwielbienie w biurze, jak i w łóżku. Może nie było to zbyt oryginalne, lecz z pewnością dawało urozmaicenie i przyjemność. Jeśli zdarzyło się, że któraś z tych kobiet nie chciała mu ulec, prznosił ją do innego departamentu, podnosząc nieco zarobki, by milczała. Zdaniem Maynarda był beznadziejnym głupcem, ale zawsze odznaczał się nadzwyczaj wybujałym ego.

Podsekretarz uśmiechnął się szeroko i pogładził krawat.

- Wiesz, jak to jest.

Maynard spróbował owsiankę. Była zbyt gorąca.

- Jak tam sprawy w departamencie?

- Po staremu.

Edward miał włosy pokryte szronem siwizny, żywe błękitne oczy i opaleniznę, jakby

nie robił nic innego, tylko plackiem leżał na słońcu. Dobiegał już sześćdziesiątki, lecz wyglądał przynajmniej o dziesięć lat młodziej, a jadł i uganiał się za panienkami jak nastolatek. Zamówił czarną kawę, sok śliwkowy i duński ser.

Maynard ponownie spróbował parującej owsianki.

- Coś nowego w sprawie tej studentki zaginionej w Gwadelupie? - zapytał ostrożnie.

Podsekretarz popatrzył na niego podejrzliwie.

- Chodzi ci o córkę senatora z Wirginii? Nie, wygląda to tak, jakby nagle zapadła się pod ziemię. Tamtejszy dyktator, nasz przyjaciel, oczywiście polityczny, uparcie twierdzi, że nic o tym nie wie. A co?

Owsianka wciąż była zbyt ciepła. Maynard uznał więc, że zje tylko owoce. Na takiej diecie w ciągu miesiąca schudnie kolejne pięć kilo. To dobrze. Kiedyś był szczupły, nawet chudy, lecz w miarę upływu lat przybywało i kilogramów, więc to zapewne otyłość była przyczyną cukrzycy.

- Przypomina mi to zaginięcie innej córki innego senatora. - Z zadowoleniem dostrzegł grymas na twarzy Edwarda.

On i Clare zostali wysłani do Berlina Zachodniego wkrótce po wzniesieniu muru w 1961 roku. Wtedy obecny podsekretarz również był agentem Langley. Tamto lato spędził uganiając się za nastoletnią senatorówną. Chcąc zrobić na niej wrażenie, zabrał ją do Berlina w strefie sowieckiej, gdzie chciał sfotografować jakieś zakłady wojskowe. Sowieci błyskawicznie ich złapali i osadzili w areszcie, gdzie powszechnie stosowaną praktyką były tortury.

Jako nowy szef placówki, Maynard bez wahania skontaktował się z samą górą. Zadzwoił do ojca dziewczyny i do Białego Domu. Prezydent Kennedy sięgnął po swój czerwony telefon i interweniował u Nikity Chruszczowa. Już następnego dnia para została wymieniona na moście Glienicke na dwóch szpiegów KGB.

- Berlin. Tak. - Edward ponuro popatrzył na rozmówcę. - To było bardzo dawno temu, Lucas, ale nie zapomniałem. Jestem twoim dłużnikiem. Mów, o co naprawdę ci chodzi.

Zjawił się kelner, przynosząc na tacy śniadanie dla podsekretarza. Maynard tymczasem raz jeszcze rozejrzał się po sali, sprawdzając, czy nie są obserwowani. Nie zauważywszy niczego niepokojącego, zaczął mówić przytłumionym głosem. Wyraźnie dało się zauważyć, że zastanawia się nad każdym wypowiedzianym słowem:

- Czy przypominasz sobie także zadziwiające nagłe polepszenie się sytuacji OMNI-American Savings & Loans kilka lat temu?

W 1990 roku ten gigant uginał się pod ciężarem operacji na śmieciowych obligacjach i

pożyczek hipotecznych z niepewnym zabezpieczeniem. Prawo stanów Texas i Arizona umożliwiło bowiem nieograniczone dokonywanie operacji obarczonych znacznym ryzykiem. Zupełnie niespodziewany potężny zastrzyk kapitału pozwolił mu jednak podźwignąć się z kłopotów.

Urzędnik obracał w palcach łyżkę.

- Zadziwiające to zbyt delikatnie powiedziane. Ta gwałtowna poprawa wywołała powszechny szok.

- Tak naprawdę poszły na to pieniądze pochodzące z transakcji Iran-contras - oświadczył szeptem Maynard. - Brudna forsa.

Edward odłożył łyżkę. Otarł usta serwetką i poprawił krawat. Popatrzył na rozmówcę i uśmiechnął się pod nosem. Maynard wiedział, że podsekretarz zdaje sobie sprawę z ogromnej wartości tej informacji. Wystarczyło wykorzystać ją odpowiednio, a to z pewnością Edward potrafił. Przecież właśnie dzięki tego rodzaju talentom zawędrował tak wysoko.

- Masz dowody na piśmie, Lucas? - zapytał cicho.

- Oczywiście.

Przyjrzał się uważnie Maynardowi. Ten miał na sobie nie rzucający się w oczy lniany garnitur, białą bawełnianą koszulę i gładki, niebieski krawat. Na ręku timexa. Nie sprawiał wrażenia zamożnego. Wygląd wysoko postawionych pracowników Agencji mógł być jednak mylący i podsekretarz doskonale o tym wiedział.

- Dokopałeś się do tego na własną rękę? - zapytał ostrożnie Edward.

- Można tak powiedzieć.

Clare pochylił się do przodu.

- Potrzebuję czegoś, co będę mógł pokazać sekretarzowi i prezydentowi. Czegoś konkretnego. Musisz mi to dać, w przeciwnym wypadku roześmieją mi się prosto w twarz.

- Wiem. Zacznijmy więc od BCCI.

Podsekretarz zbladł mimo wspaniałej opalenizny. BCCI - Bank of Credit and Commerce International - był największym na świecie i najpewniejszym narzędziem transmisji kapitału bez zadawania zbędnych pytań. Stał się w tego typu działalności godnym spadkobiercą tradycji takich instytucji, jak Schroder Trust czy Nugan Hand Bank. Nawet w najbardziej pragmatycznych kręgach wiedziano, że BCCI gra nieczysto.

- Wiesz oczywiście, że Langley zdeponowało tam dziesiątki milionów dolarów dla kontras - ciągnął Maynard.

- Niezgodnie z prawem.

- Żebyś nie miał żadnych wątpliwości, powiem, iż BCCI bez słowa przyjmował od

nas worki pełne gotówki - pieniędzy Langley - i przesyłał je, dokąd tylko chcieliśmy.

- Piorąc je przy okazji.

- Zgadza się. Ponadto odbywało się to praktycznie z całkowitym pominięciem nadzoru bankowego. W takich warunkach nic dziwnego, że znaleźli się agenci, którzy otworzyli sobie prywatne konta i na nie kierowali skromną część przelewów.

Podsekretarz głośno wypuścił powietrze z płuc i odchylił się w krześle.

Maynard zaś pozwolił sobie na uśmiech.

- Dysponuję także całkowicie pewnymi informacjami o gwałtownej ekspansji innej amerykańskiej korporacji: Nonpareil International Insurance.

Tym razem Edward rozejrzał się ostrożnie po sali. Wreszcie przeniósł wzrok z powrotem na rozmówcę.

- Także za sprawą pieniędzy skradzionych z kont Iran-contras?

- Tak.

- Ile będą mnie kosztować te informacje, Lucas?

- Immunitet dla mnie. To wszystko. Powiedziałem ci tylko o wierzchołku góry lodowej. Dysponuję dowodami, które wywołają największy skandal polityczny w historii Stanów Zjednoczonych. W porównaniu z nim sprawa BCCI, Irangate, Irangate czy Watergate to tylko dziecięce igraszki.

Edward napił się kawy. Maynard zaś odchylił się i ponownie rozejrzał, dając rozmówcy czas na rozważenie propozycji. Ten musiał szybko zdecydować, czy możliwe do osiągnięcia korzyści są większe od ryzyka zajęcia się tą sprawą.

W końcu uznał, że warto się nią zainteresować, lecz nie zamierzał dać tego jasno do zrozumienia.

- Musisz dostarczyć mi więcej szczegółów - zażądał. - A także czegoś, co posłuży za dowód, który będę mógł przedstawić swoim zwierzchnikom. Tylko w ten sposób dałoby się zdobyć dla ciebie immunitet.

- Sprawdź konto w BCCI na nazwisko Samuela Troopera. Informacje o nim znajdziesz w danych dochodzeniowych. Gdy badając przelewy cofniesz się wstecz, dojdiesz do pierwszej wpłaty gotówki uzyskanej ze sprzedaży rakiet Iranowi. Idąc zaś w drugą stronę, natrafisz na konto, na którym zgromadzono około pięćdziesięciu milionów, które wycofano w listopadzie dziewięćdziesiątego roku. Ostrzegam jednak, że poszukiwania nie będą łatwe.

- I?

- Pieniądze zniknęły z pola widzenia. Jak myślisz, co można kupić za taką kwotę nie wzbudzając podejrzeń?



- Udziały w instytucji finansowej takiej jak OMNI-American. Dysponuję dowodami, że tak właśnie zostały ulokowane.

Podsekretarz kolejny raz niespokojnie rozejrzał się po sali. Pochylił się ponownie i spojrzał w oczy rozmówcy, który wytrzymał jego twarde spojrzenie.

- Powiedz, Lucas, po co ci ten immunitet? Chyba nie skubnąłeś także dla siebie kilku milioników, stary przyjacielu?

Maynard pozostał nieporuszony.

- To, co zrobiłem, nie powinno mieć dla ciebie jakiegokolwiek znaczenia. Jeśli chcesz otrzymać towar, musisz przystać na moje warunki. Jeżeli zaś nie zgodzisz się na nie, pójdę ze swoją ofertą gdzie indziej. Tylko ja dysponuję dowodami. Nikt inny. To dla ciebie niepowtarzalna okazja, i dobrze o tym wiesz. Jeśli ujawnisz to, co jest w moim posiadaniu, zostaniesz okrzyknięty bohaterem narodowym.

- Ty zaś, spryciarzu, spokojnie spędzisz starość na jakiejś tropikalnej wyspie, przez nikogo nie niepokojony. A na dodatek pewnie dostaniesz wysoką emeryturę.

- Wchodzisz w to, Clare?

- Nie mógłbym nie skorzystać - odparł z uśmiechem podsekretarz.

- Więc zlokalizuj konto Samuela Troopera i prześledź, co się na nim działo.

- Kiedy mam się z tobą skontaktować?

- Nie zaprzataj sobie tym głowy. Ja sam odezwę się do ciebie.

\*

Nieco w głębi restauracyjnej sali młoda kobieta w szarej garsonce skończyła śniadanie i sięgnęła po „Wall Street Journal”. Zdawała się nie zauważać odejścia od stolika dwóch rozmawiających uprzednio z zapalem starszych mężczyzn.

Jakieś pięć minut później kiwnęła na kelnera, który po chwili przyniósł jej na srebrnej tacy rachunek. Kiedy sprawdzała widniejącą na nim kwotę, drugą ręką wyłączyła przycisk nagrywania przekazanego jej jednocześnie miniaturowego magnetofonu. Zapłaciła gotówką i wyszła.

## 6.

Kilkanaście kilometrów od hotelu Hay-Adams, gdzie Lucas Maynard jadł śniadanie z podsekretarzem Clare'em Edwardem, Hughes Bremner wrzeszczał wściekle do słuchawki bezpiecznego od podsłuchów telefonu:

- Nie! Nie tak szybko! Nie spiesz się tak z kupnem franków. Wszyscy od Tokio po Londyn nabiorą podejrzeń. Trzymaj się planu albo nici z transakcji! - Słuchał chwilę. Kiedy przemówił ponownie, jego głos był już spokojny, wyrachowany. - Dostaniesz swoje pięć milionów, Crowther. Ale teraz działaj powoli i spokojnie. W poniedziałek ich załatwimy. Pamiętaj o swoim wynagrodzeniu. Dostaniesz je, jeśli właściwie wykonasz zadanie. To powinno cię uspokoić!

Bremner odłożył słuchawkę i wzrokiem zlustrował papiery leżące na biurku. Jego skromne biuro mieściło się na siódmym piętrze ogromnego, rozłożystego kompleksu CIA w Langley w Wirginii. Powinien zabrać się do pracy, lecz zamiast tego zaczął spacerować po pokoju. Był zdenerwowany i nie mógł się skoncentrować. Wyjrzał przez okno na morze zielonych drzew porastających okoliczne wzgórza. Ów widok dziewiczej przyrody zazwyczaj go uspokajał.

Hughes Bremner był człowiekiem o dużym znaczeniu: szefem Mustanga głęboko utajnionego, elitarnego oddziału CIA. Placówka ta istniała już od dawna, lecz pod inną nazwą, a jej podstawowym kierunkiem działania była walka z komunizmem. Teraz gdy świat przewrócił się do góry nogami, zespół obarczono dwoma nowymi zadaniami: po pierwsze, mieć baczenie i kontrolować zachodzące przemiany, po drugie zaś, nie dopuścić do powstania nowego supermocarstwa, które mogłoby zagrozić Stanom Zjednoczonym.

Bremner, który zajmował to stanowisko już od piętnastu lat, zdawał sobie sprawę z wysokiej pozycji, jaką osiągnął. Kiedyś jednak miał wyższe aspiracje. Pragnął zostać wicedyrektorem do spraw operacyjnych i kierować całym pionem szpiegowskim CIA, mieć kontrolę nad wszystkimi agentami rozlokowanymi poza granicami kraju. Marzył o sterowaniu każdym ich posunięciem, szczególnie w tym wspaniałym okresie, gdy nowe państwa pojawiały się na mapie i znikwały z niej z dnia na dzień.

W latach pięćdziesiątych, na początku kariery w CIA jego awans na wicedyrektora operacyjnego, a nawet dyrektora całej Agencji, wydawał się dosyć realny. Zawdzięczał to nie

tylko nienagannemu przebiegowi służby i odpowiednim predyspozycjom, ale także właściwemu pochodzeniu. Pomóc w tym mogła przecież jego żona Barbara, „Bunny” Hartford Bremner.

W dawnych czasach wpływy i pochodzenie miały ogromne znaczenie.

Porównując swój wygląd z portretem wiszącym w jego domu, stwierdził duże podobieństwo z twórcą świetności rodu - praprapradziadem - pierwszym Hughesem Bremnerem. Obaj mieli siwe, falujące włosy i oblicza angielskich arystokratów z wąskimi nosami i błękitnymi oczami. Ich spojrzenia były łądząco podobne: lodowate i nieprzeniknione niczym nadbrzeżna angielska mgła.

Był dumny ze swego pochodzenia, lecz zachował dla siebie informację o źródle pochodzenia bogactwa nestora rodu, który zajmował się importem Afrykańczyków do Nowego Świata. Rodzina Bunny Bremner także miała tak zwaną barwną przeszłość. Wzbogaciła się na nie zawsze uczciwych manipulacjach złotem jeszcze na początku dziewiętnastego wieku.

Pukanie do drzwi przerwało te rozmyślenia. Odwrócił się i jego twarz znów wyglądała jak maska.

- Proszę.

To wracała dziewczyna, którą wysłał do hotelu Hay-Adams. Była nowa i paliła się do udowodnienia, że może się na coś przydać. Dano jej możliwość wykazania się i wyekspediowano na miejsce spotkania Lucasa Maynarda z podsekretarzem Clare'em Edwardem.

- Zapłaciłam jednemu z kelnerów pięćdziesiąt dolarów za umieszczenie podsłuchu pod talerzem z owsianką. - Była zimna, spokojna i opanowana. - Powiedziałam, że jestem prywatnym detektywem. Pokazałam odpowiednią legitymację. Nie zadawał żadnych pytań.

- Dobrze. Przesłuchałaś nagranie?

Wyprostowała się oburzona.

- Ależ skąd, sir.

Bremner uśmiechnął się łaskawie i zapewnił dziewczynę, że spotka ją zasłużona nagroda. Kiedy wyszła, uruchomił miniaturowy magnetofon.

\*

W urządzonym z przepychem biurze w Departamencie Stanu podsekretarz Clare Edward rozsiadł się w głębokim, skórzanym fotelu i nakręcił numer do szefa Biura Wywiadu i Badań.

- Interesuje mnie rutynowe sprawdzenie OMNI-American Savings & Loans,

Nonpareil International Insurance oraz rachunku w BCCI na nazwisko Samuel Trooper - oświadczył.

- Mam szukać czegoś konkretnego, sir?

- Chodzi o przesledzenie wszystkich operacji przechodzących przez to konto w BCCI, a ponadto powiązań między wszystkimi trzema instytucjami.

Odłożył słuchawkę, wezwał swą rudowłosą sekretarkę i przykazał, aby natychmiast zawiadomiła go, gdy tylko zostaną przesłane informacje, o które poprosił. Wreszcie zajął się przeglądaniem sterty pism z Kongresu. Nie cierpiał tego, ale miał świadomość, że to konieczne. Czasami można było tam trafić na coś interesującego, co dało się wykorzystać do własnych celów.

Jak zwykle, za kwadrans dwunasta wyszedł na lunch do swojego klubu, gdzie często korzystał z solarium, by zachować imponującą opaleniznę uzyskaną w Cabo San Lucas. Wrócił do biura piętnaście po trzynastej i rozpoczął zaplanowane na popołudnie spotkania.

O szesnastej miał jeszcze przeprowadzić jedną rozmowę, choć wcześniej miał nadzieję, że o tej porze skończy już pracę. Zatelefonował i polecił, by nowa osiemnastoletnia kochanka znalazła się w jego domu w Georgetown, zanim sam tam dotrze.

Pobyty w biurze przedłużał się, lecz pocieszał się myślą, że dziewczyna już na niego czeka - delikatna, napalona, ładna i nieco zawstydzona.

Wreszcie za kwadrans osiemnasta, gdy stary ogromny gmach już prawie opustoszał, zjawił się posłaniec. Osobiście potwierdził odbiór zapieczętowanej koperty.

Opanowując podniecenie wrócił do biura, zamknął za sobą drzwi i zaczął studiować dokumenty. W informacjach o OMNI-American Savings & Loans i Nonpareil Insurance nie było nic interesującego. Zawierały dane o ich założeniu, listę władz, głównych klientów i większych placówek. Jediną ciekawostką był fakt, iż obie firmy znajdowały się w posiadaniu tej samej międzynarodowej korporacji - Sterling-O'Keefe Enterprises.

Poza tym nic podejrzanego.

Żadnych pieniędzy z Iran-contras. Najmniejszej wzmianki o CIA.

Żadnego śladu.

Według raportów OMNI-American przeprowadziła radykalne cięcia oszczędnościowe pozbywając się wielu nieruchomości, a jednocześnie przyciągnęła godnych zaufania nowych klientów. Nonpareil International zawdzięczał zaś swój gwałtowny rozwój wykupywaniu małych, deficytowych firm ubezpieczeniowych i umiejętnemu wyprowadzaniu ich na prostą. Co zaś się tyczy rachunku Samuela Troopera, został założony w osiemdziesiątym czwartym roku przez austriackiego biznesmena, a zamknięty w październiku, a nie w listopadzie

dziewięćdziesiątego.

Nic.

Jeśli ten ślad w ogóle istniał, został starannie zatarty.

Wściekły, wybrał numer szefa Biura Wywiadu i Badań. Ten sukinsyn już wyszedł. Zostawił wiadomość, żądając dokładnego zbadania wszystkiego, co dotyczyło konta Samuela Troopera. Jeśli rzeczywiście przepłynęły przezeń pieniądze z Iran-contras, miał możliwość zdobycia dowodów na nadużywanie władzy przez CIA. Musiał je uzyskać.

\*

O osiemnastej Hughes Bremner nerwowo spacerował po swym biurze w Langley. Okazało się, że mikromagnetofon nie działa jak należy. Odesłał go na dół, do speców od techniki. Siedzieli nad nim już niemal cały dzień, ale wciąż nie udawało im się odtworzyć nagrania. A to oznaczało, że jego podejrzenia dotyczące osoby Lucasa Maynarda i tym razem nie zostaną potwierdzone.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. To przyszedł technik o pociągłej, teraz wyraźnie zatroskanej twarzy.

- Przykro mi, sir.

Chciał wręczyć mikromagnetofon szefowi, lecz zreflektował się i odłożył go na biurko. Bremner tylko kiwnął głową. W Agencji nieokazywanie jakichkolwiek emocji stanowiło powszechnie praktykowaną zasadę. Przybysz wycofał się ku drzwiom, zdając się wyczuwać wzbierającą w zwierzchniku wściekłość.

- Co właściwie się stało - głos Bremnera był cichy i na pozór spokojny.

- W tego typu magnetofonie wykorzystywane są niezwykle wąskie taśmy.

- Tak, wiem o tym.

- Powoduje to, iż łatwo mogą się zakleszczyć. I w tym wypadku właśnie coś takiego nastąpiło, ponieważ ktoś umieścił urządzenie w pobliżu silnego źródła ciepła...

- Na przykład miski z owsianką?

- Jeśli była wystarczająco gorąca, to tak. W rezultacie taśma przestała się przesuwac.

Nic więc nie zostało na niej zarejestrowane. Sprawdziliśmy dokładnie.

- Nie zostało na nią nic nagrane?

- Nie, sir.

Bremner odwrócił się do okna, a kiedy usłyszał dźwięk zamykających się drzwi, zacisnął pięści, wsparł się ciężko na biurku i zaklął siarczyście.

Tak potrzebował tego nagrania.

O co, do diabła, chodziło Lucasowi Maynardowi?

Zadzwoił do Sida Williamsa, któremu zlecił obserwowanie domu Maynarda i kontrolowanie jego wszystkich rozmów telefonicznych.

- Nic nowego, sir - oświadczył Williams. - Maynard właśnie wyszedł. Idzie za nim Matt.

- Koniec z tygodniowymi zbiorczymi raportami. Chcę otrzymywać codzienne meldunki z dokładnymi informacjami: z kim rozmawia, spotyka się, dokąd chodzi. Mają trafiać prosto na moje biurko. Punktualnie o siódmej następnego dnia. Jeśli zdarzy się coś ważnego, melduj niezwłocznie. Coś jeszcze?

Agent zawahał się. Bremner wyczuł to.

- O co chodzi?

- Maynard co jakiś czas znika nam z oczu. Na szczęście chyba jeszcze nas nie wykrył. Wygląda na to, że profilaktycznie postępuje tak, jakby zamierzał zgubić ogon. Zazwyczaj w takich przypadkach nie ma go trzy, cztery godziny.

- Jezu Chryste! Macie kontrolować każdy ruch tego drania dwadzieścia cztery godziny na dobę! Jeśli trzeba, weź więcej ludzi.

- Tak jest.

- Zajmij się także podsekretarzem Edwardem. Obserwacja plus podsłuch rozmów telefonicznych. Biuro i dom, tak samo jak z Maynardem. Chcę wiedzieć wszystko o obu, jasne?

- Tak jest. Załatwione.

- Lepiej dla ciebie, żeby tak było.

## 7.

Następnego popołudnia Edward otrzymał kolejne informacje o koncie Samuela Troopera w BCCI, uzyskane przez wywiad jego departamentu. Nadal jednak nie zawierały niczego interesującego.

Później, gdy Maynard zatelefonował do podsekretarza, ten oświadczył:

- Nie będę w stanie ci pomóc, Lucas. Nie mogą znaleźć niczego, co potwierdzałoby twoje słowa.

Głos urzędnika CIA był pełen zniechęcenia:

- Mówiłem ci, że to nie będzie łatwe.

- Mój wywiad twierdzi, że nic tam nie ma.

- Chryste, chyba nie potrafią posługiwać się tymi swoimi komputerami!

- Powiedzieli, że brak tam jakiegokolwiek potwierdzenia twoich, hm, sugestii dotyczących danych bankowych. Przeprowadzili skrupulatne poszukiwania. To ślepa uliczka. Musisz dostarczyć mi coś pewniejszego.

- Pomyślę o tym - warknął Maynard.

Rozłączył się. Jego poirytowany głos świadczył o tym, że był niezadowolony z opóźnień. Podsekretarz z uśmiechem odłożył słuchawkę. Jego przyjaciel znajdował się widocznie w potrzasku. Potrzebował pilnie immunitetu, a jeśli tak, obaj wiedzieli, że w taki czy inny sposób będzie go musiał uzyskać.

Edward pochylił się w fotelu, oparł łokcie na antycznym biurku z orzecha włoskiego i splótł palce. Opuścił głowę i zadumał się nad własną przyszłością.

Dotarły do niego pogłoski, iż Sekretarz Stanu poważnie myśli o odejściu na emeryturę. Gdyby udało mu się zapewnić sobie rozgłos i sympatię prezydenta, droga do tak eksponowanego stanowiska stałaby przed nim otworem.

Chyba że Maynard zmieni zdanie...

Nie, znał go i wiedział, że Lucas nie ryzykowałby, gdyby wcześniej nie zgromadził absolutnie pewnych dowodów. Musiało zdarzyć się coś, co zachwiało jego pozycją w CIA i strąciło z piedestału do zwykłych śmiertelników.

\*

Przebywając na dalekim Ranchu, wysoko w Górach Skalistych, Liz Sansborough

zaczęła odczuwać dziwne sensacje związane z pamięcią. Przypominała sobie przede wszystkim dźwięki oraz zapachy. Nie były to więc kompletne wspomnienia. A taka ich namiastka tylko ją denerwowała.

Jak mogła znać swoje poglądy, reakcje i możliwości, analizować postępowanie, ufać sobie, skoro historię własnego życia znała tylko z raportów i fotografii?

Pewnego ranka zabrała się jak zwykle do nauki i studiowania programu najbliższych zajęć. Otworzyła notatnik akurat w miejscu, gdzie zapisywała sposób najprostszego kodowania, zaprezentowany na pierwszym wykładzie z tej dziedziny. Przeczytała napisany dużymi literami klucz: HAMILTON.

Przez jej umysł, niczym błyskawica, przebiegło: Hamilton Walker!

Z trudem łąpała powietrze. Skąd to się wzięło? Gorączkowo szukała w swoim umyśle rozwiązania tej zagadki. Przypomniała sobie niczym nieuzasadnioną radość, kiedy po raz pierwszy wypowiedziała to imię. Czyżby znała Hamiltona Walkera?

Do cholery! Potrzebowała bardziej szczegółowych informacji, by pomóc swej szukającej właściwych dróg pamięci. Czy Langley wyjawilo jej wszystko? Mogła zapytać Gordona...

Jego jednak absorbował wyłącznie Mięsożerca. Langley wydało mu rozkaz skoncentrowania się na tej sprawie, a on ślepo wypełniał polecenie. Nie wierzyła w to, przed czym uparczywie ją przestrzegano, iż owa desperacka chęć poznania swej przeszłości może doprowadzić do nawrotu choroby. Kim więc mógł być Hamilton Walker...?

Walker! Uśmiechnęła się. Oczywiście. Mieszkając w Santa Barbara ukrywała się pod nazwiskiem Sarah Walker, więc logika nakazywała sądzić, że to ktoś doskonale jej znany.

Nabrawszy wiary w siebie, pospiesznie skończyła przygotowania do zajęć, a resztę czasu poświęciła obmyśleniu planu dostania się do komputerowej bazy danych.

Poinformowała Gordona, że pragnie poćwiczyć strzelanie. Załatwił jej przydział amunicji. Gdy ją odbierała, zdołała ściągnąć z półki i ukryć pod ubraniem reflektor podczerwieni z goglami i uniwersalny wytrych laserowy.

Po kolacji wraz z Gordonem udała się na wykład motywacyjny. Docierały jednak do niej wyłącznie jego fragmenty, ponieważ w myślach odtwarzała opracowany wcześniej plan:

- ...dobry wywiadowca musi być nie tylko mistrzem szpiegostwa, ale także wysokiej klasy psychologiem i sprytnym spowiednikiem.

- ...w tym pełnym chaosu świecie CIA jest jedyną stabilną siłą zapewniającą wolność.

- ...za wami pozostaje dotychczasowe życie, wkraczacie w lepsze. Waszym zadaniem jest służyć krajowi i światu.



Przez moment poczuła coś na kształt winy. Natychmiast porzuciła jednak tę myśl. Jej plan nie kolidował z próbą pochwycenia Mięsożercy.

\*

Liz i Gordon dzielili chatkę pod sosnami, ustawioną na południe od masztu flagowego. Składała się z jednego tylko pomieszczenia mieszkalnego wyposażonego w dwa żelazne łóżka, stojące obok nich niewielkie szafeczki oraz w coś będącego połączeniem biurka i komody. Z pokojem sąsiadowała łazienka z prysznicem. Tak spartańskie warunki zapewniały jedynie minimum niezbędne do egzystencji.

Późnym wieczorem, kiedy Gordon chrapał już w swoim łóżku, Liz naciągnęła na siebie panterkę i zabrała wyposażenie zabrane z magazynu.

Wymknęła się na zewnątrz, omiotła wzrokiem pogrążony we śnie obóz i starając się pozostawać przez cały czas w cieniu, jak ją tego uczono, sprawnie przeskakiwała od budynku do budynku. Minęła maszt i przywarła do drewnianej ściany klubu oficerskiego. Sprawdziła czas. Dochodziła pierwsza.

Przemknęła przez trawnik w stronę blaszanego budynku administracyjnego. Aby dostać się do środka, musiała rozbroić czujniki i alarm przy drzwiach. Wiedziała, że może mieć z tym trudności. W razie niepowodzenia sygnał alarmu obudziłby nawet trupa. Słyszała kiedyś, jak go testowano.

Podkraśniała się pod drzwi i przyłożyła laserowy wytrych do dziurki od klucza. Włączyła urządzenie i, wstrzymawszy oddech, czekała.

Wiązka lasera omiotła wnętrze zamka, a po chwili do jej uszu dotarł szczepek przesuwających się zapadek.

Wiedziała, że teraz najważniejsza jest szybkość. Miała zaledwie piętnaście sekund na wprowadzenie kodu, który wyłączy czujniki. Pierwszego dnia pobytu na Ranchu ona i Gordon otrzymali prywatne kody. Jeśli kod nie zadziała, a ona spóźni się z jego wprowadzeniem, jej obecność w budynku zostanie wykryta.

Odetchnęła głęboko, przekreśliła klamkę, uchyliła drzwi, wsunęła się do środka i wystukała swój kod na klawiaturze alfanumerycznej.

Czekała.

Cisza aż dzwoniła w uszach. Po upływie pełnej minuty pozwoliła sobie na chwilę radości. Udało się!

Weszła do środka pogrążonego w ciemnościach pomieszczenia, zamknęła za sobą drzwi, na oczy nasunęła gogle i włączyła reflektor podczerwony. Omiotła wnętrze niewidoczną gołym okiem wiązką światła. Minęła barierki dla interesantów, rzędy biur i

znalazła się w pomieszczeniu komputerowym.

Zsunęła gogle, usiadła i włączyła jeden z komputerów. Kiedy na ekranie pojawiło się wezwanie o podanie hasła, ponownie wprowadziła przydzielony sobie kod. Bez problemu weszła do systemu i od razu wywołała dane osobowe Elizabeth Alice Sansborough. Szybko przebiegła wzrokiem znane już sobie informacje. Nagle zamarła. Sarah Walker została wymieniona jako jej bliska krewna, mieszkająca w Santa Barbara, w Kalifornii.

To nie miało sensu. „Sarah Walker” to przecież jej fałszywe nazwisko, przydzielone po odejściu z Agencji równocześnie z zatrudnieniem w charakterze dziennikarki w jednym z magazynów.

Dlaczego ktoś raptem stwierdza, że należy do jej kuzynki?

Czytała dalej i wreszcie natknęła się na to, czego szukała: Hamilton Walker.

Według danych istniała cała rodzina Walkerów - ojciec, matka oraz brat Sarah. W grę musiało więc wchodzić coś więcej niż tylko zbieg okoliczności, o czym świadczyły owe nieuporządkowane strzępki wspomnień. Na moment zamyśliła się, licząc że może do głowy przyjdzie jej coś nowego.

Ale nic z tego.

Rozczarowana wróciła do czytania. Matka Sarah była siostrą Harolda Sansborough, ojca Liz, a więc chyba jej ciotką. Ale przecież dossier, które przeglądała jeszcze w Santa Barbara, wyraźnie świadczyło o tym, iż nie miała żadnej żyjącej rodziny. Czy nie powinno być tam choć wzmianki o zmyślonej rodzinie jej „kuzynki”? Całość była cholernie niejasna.

Pozostałe dane zgadzały się z tymi, które udostępniono jej w Santa Barbara, począwszy od daty urodzenia, złamanego małego palca, pieprzyka nad prawym kącikiem ust, po Cambridge i werbunek do CIA. Ostatnia informacja pochodziła sprzed trzech lat. To właśnie w tym czasie Mięsożerca o mało jej nie zabił, a kiedy uszła z życiem, ukryto ją w Santa Barbara.

Jeszcze raz przeczytała informacje o rodzinie Walkerów.

Ojciec - Hamilton Walker.

Matka - Jane Sansborough Walker.

Brat - Michael Walker.

Wyłączyła komputer i długo siedziała w ciemnościach. Imiona i wzajemne powiązania osób krążyły jej po głowie, lecz nie przywodziły na myśl żadnych wspomnień ani nie ułożyły się w logiczną całość. Sfrustrowana i zdezorientowana skierowała się ku wyjściu. Ponownie wprowadziła swój kod reaktywując alarm, chwyciła za klamkę i wyjrzała na zewnątrz.

Zamarła. Ktoś tam był.

Z sercem głośno walącym w piersi jeszcze raz rozbroiła alarm. Był to mężczyzna, niższy i szczuplejszy od Gordona. Szedł powoli z rękami wbitymi w kieszenie kurtki, zapatrzony w niebo. Z ulgą pomyślała, że zapewne wyszedł sobie na spacer. Ale o tej godzinie? Poczula sympatię do tego człowieka. Dwoje obcych w nocy, w miejscu, w którym żadne z nich nie powinno się znaleźć.

Nagle idący zatrzymał się.

Odwrócił się w stronę budynku administracyjnego. Akurat w tym momencie chmury rozstąpiły się i światło księżyca padło na jego twarz. Była kanciasta, z ciemnymi, gęstymi brwiami i grubymi wargami. To nowy dyrektor administracyjny. Przybył tu kilka dni po ich przyjeździe. Był od niej młodszy - nie miał jeszcze trzydziestki, lecz sądząc ze sposobu bycia rozpiętały go duma i chęć działania. Był już znany w całym obozie ze względu na swe dziwne zachowanie.

Chmury znów zasłoniły księżyc, tak że widziała tylko zarys jego postaci. Jeszcze przez chwilę stał przyglądając się budynkowi, w którym była ukryta. Wreszcie ruszył w jego stronę.

Strach zacisnął swe szpony na piersi Liz. Pospiesznie uruchomiła alarm, zamknęła uchylone drzwi i najciszej jak umiała przebiegła za barierkę oddzielającą recepcję od reszty pomieszczeń administracyjnych.

Dopiero gdy znalazła się w najodleglejszym kącie, przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi na klucz.

Cóż za głupota z jej strony!

Za późno. Klamka już się poruszyła.

Nie miała wyboru. Zanurkowała pod jedno z biurk, sprawdzając jednocześnie, czy wciąż ma przy sobie reflektor podczerwieni i wytrych laserowy. Gogle wisały na szyi. Dodatkowo przysłoniła się fotelem. Na szczęście jego kółka były naoliwione.

Zaczęła się pocić.

Kiedy drzwi się otworzyły, mężczyzna zaklął.

Wstrzymała oddech, starając się zachować absolutną ciszę. Wstąpiła w nią jednak nadzieja. Jego reakcja świadczyła, iż sądził, że sam zostawił niezamknięte drzwi.

Mrucząc coś pod nosem wystukał swój kod, wszedł do środka i zamknął je za sobą. Włączył niewielką lampkę.

Zaczął chodzić od biurka do biurka. Wreszcie zatrzymał się naprzeciw miejsca, gdzie była schowana. Wydawało jej się, że czekanie trwa wieczność. Wreszcie zaszurał nogami i oddalił się. Widocznie sprawdzał, czy wszystko jest w należyтым porządku.

Krople potu ściekały jej po czole. Ponownie sprawdziła, czy ma przy sobie sprzęt. Zdenerwowana potrąciła reflektor, który zakotłosał się niebezpiecznie. Chwyciła go w ostatniej chwili i ponownie zamarła w bezruchu.

Mężczyzna skierował się tymczasem do sali komputerowej. Przystanął w drzwiach do niej prowadzących i włączył główne oświetlenie. Z pewnością tam również zamierzał dokonać oględzin.

Kiedy wszedł do środka, Liz ostrożnie odsunęła fotel. Wyczołgała się spod biurka i wysunęła głowę spod blatu. Stał odwrócony w jej stronę, więc błyskawicznie się schyliła.

Wyteżyła słuch.

Znów słyhać było jego kroki, lecz coraz cichsze. Wyjrzała ponownie. Podchodził do pierwszego rzędu komputerów i był odwrócony plecami do niej.

Trochę uspokojona zręcznie przesunęła się do wyjścia. Obejrzała się jeszcze raz, przywierając całym ciałem do podłogi. Nigdzie nie było go widać. Zapewne siedział przy komputerze.

Odetchnąwszy świeżym, ostrym, górskim powietrzem, cicho zamknęła za sobą drzwi i przykazała sobie panować nad zdenerwowaniem. Była na siebie wściekła z powodu dwóch kardynalnych błędów: pozostawienia niezamkniętych drzwi i potrącenia reflektora.

W takich sytuacjach tylko nieudacznicy mogli liczyć na szczęście. Wiedziała, że będzie musiała bardziej przyłożyć się do pracy, by poradzić sobie w czasie czekającego ją spotkania z Mięsożercą. I przeżyć tę konfrontację.

Kiedy wracała do swego domku, starając się zachować szczególną ostrożność, pośród kłębiących się w jej głowie myśli uporczywie pojawiała się nazwisko: Hamilton Walker.

Teraz była pewna. Tkwiło gdzieś w jej pamięci, ale jeszcze zbyt głęboko, by do niego dotrzeć. Ale czyżby pamiętała nazwisko fikcyjnej osoby? Jak to możliwe? Czy ktoś mógł być na tyle ważny, by akurat jego przypomniwała sobie w pierwszej kolejności?

Chyba że Hamilton Walker istniał naprawdę.

## 8.

Kilka kilometrów poza Waszyngtonem, w Arlington, Lucas Maynard szedł powoli wzdłuż szeregu butików na podziemnej stacji Crystal City Metro. Było to postępowanie rutynowe, aby zgubić ewentualny ogon. Miał także przy sobie broń, którą zaczął nosić od niedawna - waltera TPH, *taschen pistole mit hahn*. Ten mały pistolet, łatwy do ukrycia i niezawodny, był młodszą wersją osławionych walterów modeli PP i PPK.

Maynard przechodził z jednej strony ulicy na drugą, wykorzystując witryny sklepowe jako lustra.

Zdobywane latami doświadczenie dawało mu pewność, że zdoła się wymknąć spod każdej obserwacji.

Po godzinie, wiedząc już, że pozbył się swoich „cieni”, ponownie wyszedł na ulicę. Zdjął marynarkę, bo upał był nie do wytrzymania, i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Skręcił w wąską uliczkę i minąwszy trzy przecznice znalazł się przed domem mieszkalnym z czerwonej cegły. Pocił się, co bardzo go złościło. Nie lubił przychodzić spocony. Otworzył drzwi frontowe własnym kluczem i wspiął się po schodach. Wszedł do mieszkania znajdującego się na pierwszym piętrze.

- Co tak wspaniale pachnie? - zapytał.

Aromatyczny zapach pieczonego mięsa wypełniał skromne, lecz czyste i gustownie urządzone mieszkanie. Nagle poczuł się znów jak chłopiec mieszkający w Terre Haute w Indianie. Przy Leslee był jak siedemnastolatek, przed którym życie stoi otworem. Zapominał, że na karku ma już sześćdziesiątkę, cierpi na cukrzycę, ma problemy z nadwagą i trojgiem żyjących własnym życiem dorosłych dzieci.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Leslee Pousho wychyliła się z kuchni. Jej zarumienione policzki wyraźnie kontrastowały z blond włosami. Była drobna, niewysoka; wyraźnie uszczęśliwiona jego widokiem. Jej wesole, błękitne oczy promieniowały ciepłem.

- Kochanie, udało ci się wcześniej przyjść?

Czule przycisnął ją do siebie. Ucałował rozgrzane policzki i podziękował Bogu, że dał mu jeszcze tę drugą szansę.

Kobieta ujęła w dłonie jego głowę i namiętnie pocałowała prosto w usta. Uniósł ją i chciał przenieść do sypialni, ale wyrwała się.

- Zobacz, co dla ciebie mam - zaprotestowała.

Dała dwa kroki do tyłu i przez głowę ściągnęła sukienkę. Stała przed nim w różowo-czarnej koronkowej bieliźnie. Lśniące satynowe wstawki osłaniały tylko brodawki jej piersi i łono. Uwielbiał takie skąpe stroje. Świetnie o tym wiedziała. Aby dodatkowo go podrażnić, obróciła się na pięcie. Jej krótkie nogi wydawały się teraz niezwykle długie w czarnych pończochach i na wysokich szpilkach.

Zaczęła się śmiać jak rozradowane dziecko.

- Jezu, Les - wychrypiął.

Był wniebowzięty. Chciał ją objąć, lecz wymknęła mu się i popędziła do sypialni. Ruszył za nią energicznie niczym nastolatek.

\*

Nieco później Lucas i Leslee leżeli nago w łóżku, owiewani chłodnym strumieniem powietrza z klimatyzatora. Zawsze obawiał się, że może zrobić jej jakąś krzywdę, była taka krucha, drobna i szczupła, z niewielkimi piersiami nad wyraźnie rysującymi się żebrami. Miała trzydzieści dwa lata, a on sześćdziesiąt dwa. Jego ciało deformowały zwisające fałdy i zmarszczki, szczególnie teraz, kiedy się odchudzał. Ale Leslee mówiła mu zawsze, że jest pięknym mężczyzną.

- Czy przeze mnie nie spaliłaś przypadkiem obiadu? - zapytał.

- Nie. Przygotowuję wołowinę w sosie burgundzkim. Musi długo stać w piecu. Wprawdzie nie bardzo nadaje się na tak upalny dzień, ale miałam na nią straszną ochotę. Nie masz mi za złe, że ją zrobiłam?

Uśmiechnął się.

- Zawsze mam ochotę na to samo co ty.

Była dziennikarką w „Washington Independent” - średnionakładowej gazecie, która przetrwała dwadzieścia pięć lat mimo braku funduszy, ataków konserwatystów i politycznych zawirowań.

Ta kobieta odmieniła jego życie.

Sprawiła, że przestał patrzeć na nie przez pryzmat błędów przeszłości. Obecnie interesowały go przede wszystkim możliwości, jakie się przed nim zarysowały. Starał się rozsądnie planować wspólną przyszłość. Przede wszystkim chciał być z Leslee i oderwać się od przeszłości, w której tkwił od lat.

Tak, to co robił wraz ze współpracownikami było złem. Iran-contras i akcje inspirowane przez Billa Caseya, szefa CIA w gorących latach osiemdziesiątych, były błędem. Reagan i Bush także nie mieli racji. Maynard wstydził się tego teraz, że osobiście fałszował

dane, kradł pieniądze i pomagał mordercom.

Znużony przymknął oczy i wyobraził sobie twarz Leslee. To ona nauczyła go od nowa rozumieć świat. Bardzo chciał opowiedzieć jej o wszystkim, co wiedział i przeżył, ale postanowił, że zrobi to dopiero wtedy, gdy uzyska immunitet.

Wtedy powie Leslee i ożeni się z nią, oczywiście jeśli wówczas go zechce.

- Mój Boże - jęknęła. - Jedzenie.

- Ja się nim zajmę. Jesteś zmęczona.

Wstał. Musiał uchwycić się ramy łóżka, bo zakręciło mu się w głowie. To ta cholerna cukrzyca. Dlaczego nie spotkał Leslee, zanim się zestarzał, rozchorował i narobił tyle głupstw?

- Nic ci nie jest? - usiadła zaniepokojona, a jej drobne piersi lekko się zakołysały.

Bielizna i pończochy leżały na podłodze wraz z jego ubraniem. Nie miał jednak pojęcia, gdzie są jej pantofelki. Może w holu.

- Wszystko w porządku - zapewnił, wkładając szlafrok. - Co z tą kolacją? Czyżby już się przypaliła?

- Nie ma obawy. Powinna być akurat taka jak trzeba. Jesteś głodny?

Zjedli jak zwykle przy stole kuchennym, na ceratowym obrusie w czerwonej kratę.

- Pracuję nad materiałem związanym z twoją dziedziną - zagadnęła. - Skomentujesz moje spostrzeżenia?

- Wolałbym nie. Ale pytaj.

Zaczęli spierać się o zadania wywiadu rządowego oraz jego miejsce w demokracji, do której w żaden sposób nie przystaje. Wyrazili swe poglądy na temat nadużyć za czasów Reagana i Busha i wreszcie roli Agencji w obecnym świecie.

- Senator z Utah wniósł nowy projekt ustawy zezwalającej CIA na oficjalne angażowanie się w wywiad gospodarczy - zmieniła nieco temat.

- Wydajesz się tym zaskoczona.

- Tym razem projekt może przejść.

- Ja też tak sędzę - przyznał między kęsami i popatrzył na jej owalną twarz.

Zaczynała się irtować, ponieważ nie reagował na zaczepki.

- Rozumiem, o co ci chodzi. My, Amerykanie, w gruncie rzeczy jesteśmy bojaźliwi. Płacimy za naszą zachłanność. Staliśmy się największą potęgą finansową świata, a teraz potrzebujemy gwarancji, że tak już zostanie na zawsze. Wszystko jednak zdaje się sprzysięgać przeciwko nam. Obce agencje wywiadowcze instalują krety w naszych firmach. Ci wykradają dokumenty i próbki produktów najnowszych technologii. Francuzi ulokowali

pluskwy nawet w biznesklasie Air France. Zobacz, ilu amerykańskich konsultantów z Waszyngtonu znajduje się na listach płac Japończyków, Brytyjczyków, Rosjan, Niemców czy Chińczyków. Nic dziwnego, że i nasi biznesmeni domagają się umożliwienia im korzystania ze zdobyczy innych państw. Chcą uchronić się przed pozostaniem w ogonie za innymi.

- Ale kiedy już wykradniemy jakieś cudze tajemnice, jak zdecydować komu je przekazać? IBM, a może Apple? Delco czy G. E.?

- Może po prostu udostępniać to wszystkim zainteresowanym.

- Jeśli ta ustawa przejdzie, będziemy najzwyczajniej w świecie szpiegować naszych sprzymierzeńców. I dobrze wiesz, że rodzime korporacje będą się prześcigać w podkupywaniu agentów. Będzie im zależało na wejściu w posiadanie informacji, ubiegając nie tylko konkurencję zagraniczną, ale także i krajową. Tutaj jednak pojawia się problem korporacji międzynarodowych. Jak można określić, która z nich jest amerykańska, a która nie?

- Aby utrzymać bezpieczeństwo narodowe, musimy dbać szczególnie o własne interesy, Les.

- Do cholery, przecież mamy demokrację. - Zdenerwowana potrząsnęła jasną czupryną. - A ona wymaga wyraźnego rozgraniczenia między prywatnymi korporacjami a instytucjami rządowymi. Tak samo jak oddzielenia kościoła od państwa. Konieczne są ogromne zmiany w naszej mentalności i prawodawstwie, aby umiejętnie wykorzystać takie informacje zdobyte przez CIA. Jeśli za naturalne uważasz rozlokowanie agentów w sektorze prywatnym, wkrótce doczekamy się powstania jednej, totalitarnej, komunistycznej nieledwie struktury, łączącej w sobie władzę i przemysł. Ciekawe, co powie na to radykalna prawica.

Maynard w zamyśleniu żuł wołowinę.

- Amerykanie zawsze zauważali, że istnieje wyraźny konflikt między demokracją a utajnianiem informacji. Zgadzam się z poglądem Jerzego Waszyngtona, który uważał, że wywiad jest niezbędny, ale tylko po to, aby powstrzymać gwałt i przemoc w łonie własnego narodu. Jakkolwiek na to spojrzeć, robienie pieniędzy to nie to samo. Co prawda pieniądź w pewnych sytuacjach może wyzwolić i przemoc, ale konkurencja jako taka z pewnością nie jest formą przemocy. Chyba więc Langley nie powinno się zajmować wywiadem gospodarczym.

Leslee aż odłożyła widelec.

- Mówisz poważnie? Czyżby udało mi się przebić pod tą twoją twardą czaszkę?

- Osiągnęłaś to, a jednocześnie pomogłaś mi się na nowo narodzić. Masz rację. Nasz system polityczny: demokracja, został skażony systemem ekonomicznym: kapitalizmem.



Teraz postępujemy tak, jakby kapitalizm stał się systemem politycznym. Zysk jest najważniejszy. Jediną miarą sukcesu są pieniądze.

Przytaknęła.

- Kiedy ludzie pytają, czym się zajmujesz, interesuje ich wyłącznie to, ile zarabiasz.

- Langley swoją rolę postrzega inaczej. Powinno się tylko dostarczać stosownych informacji, które ułatwią decydom właściwe postępowanie. To jest ważne. Tego także pragnie nasza nowa dyrektorka planując wewnętrzne reformy, które ograniczą jakąkolwiek inną działalność. Ale to trudne zadanie. Jeśli teraz się ugnie i zaczniemy szpiegować zagraniczne firmy, odwrócimy się plecami do tego, co stanowi istotę demokracji i co nakazuje nam etyka narodowa.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Mogę cię zacytować?

- Zgoda, ale tylko jako anonimowe źródło bliskie rządowemu - odparł marszcząc brwi.

- Ale wkrótce będę to mógł powiedzieć publicznie.

## 9.

- Gordon, czy moja rodzina w Santa Barbara jest prawdziwa, czy też stanowi tylko część opracowanej przez Firmę legendy? - zapytała Liz. - Chodzi mi o Walkerów. Ciotkę Jane, wuja Hamiltona i kuzyna Michaela.

Siedzieli sami przy długim stole w jednej z sal wykładowych. Tkwił obok niej z notatnikiem pod pachą, ona zaś czyściła swoją berettę 92-F.

- Walker to fikcyjne nazwisko, które ci nadaliśmy - odparł.

- Tak, Sarah Walker. Ale czy stworzyliście dla mnie również rodzinę?

- Skąd do głowy przychodzą ci tak niedorzeczne pomysły?

Zwilżyła trzymaną w ręku szmatkę w oliwie.

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć? O sobie i moim pobycie w Santa Barbara?

- Skąd wzięłaś te brednie o fikcyjnej rodzinie Walkerów?

- Z moich danych w zbiorach CIA.

- W tym, co ci dałem, nie było na ten temat ani słowa.

- Ale było w danych personalnych. Skorzystałam z komputera.

- Kiedy?

Podniosła wzrok. Jego twarz poczerwieniała z wściekłości.

- Czy to ważne?

Poderwał się gwałtownie niczym pantera, chwycił ją za nadgarstek i brutalnie wykręcił rękę. Osłupiała, zaskoczona jego gwałtownością.

- Posłuchaj, Liz Sansborough - syknął, a jego oczy przypominały szparki. - Pokazałem ci wszystko, co powinnaś wiedzieć. To, co znajduje się w twoim dossier w bazie danych, nie powinno cię interesować. To ściśle tajne.

Żołądek podszedł jej do gardła, lecz umysł pracował nadzwyczaj sprawnie.

Jego twarz znajdowała się tuż obok.

- Pracujesz dla Firmy. Musisz wykonywać rozkazy. A one nakazują, byś trzymała się z dala od informacji, do których nie masz prawa zaglądać. Zrozumiano?

Mogła wbić palce w jego oczy. Albo kopnąć go w krocze. Jej pistolet nie był naładowany, ale mogła nim zadać cios w głowę, który by go ogłuszył... Ale dlaczego w ogóle

przyszło jej to na myśl? W taki sposób uczono ją traktować wyłącznie wrogów!

- Tak - odpowiedziała łamiącym się głosem.

Puścił ją i oddychał ciężko.

- Nie chciałem zrobić ci krzywdy, kochanie - odezwał się zupełnie zmienionym tonem, łagodnym, spokojnym głosem mężczyzny, którego podziwiała. - Praca dla Firmy to nie zabawa. Zasady są proste: życie albo śmierć. Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy pomysł, by zajrzeć do własnego dossier? - Popatrzył jej prosto w oczy, jakby starał się odczytać z nich myśli. - Na miłość boską, nie chcę, żeby podczas pracy w terenie coś ci się przydarzyło.

- Rozumiem.

Jednocześnie owładnęła nią trudna do pohamowania wściekłość. Kim byli Jane, Hamilton, Sarah i Michael Walkerowie? Jeśli żyli naprawdę, czy ich znała? Czy informacje o nich tkwiły gdzieś ukryte w jej umyśle?

I dlaczego niewielka wzmianka o nich sprawiła, że Gordon stracił nad sobą panowanie? Czego jeszcze jej nie pokazał i nie powiedział?

\*

Tego dnia na kolację było spaghetti. Kafeterię wypełniały zapachy oregano, tymianku i czosnku. Wdychając je Liz uświadomiła sobie, że wielokrotnie już jadła tę potrawę. I była przekonana, że przygotowywała ją siwowłosa dama, która mówiła po włosku i pachniała świeżo upieczonym chlebem. Kobieta miała w salonie bogato zdobiony kredens, a Liz jeszcze jako dziewczynka uwielbiała się za nim ukrywać.

Ale kim była ta siwowłosa staruszka?

Sąsiadką? A może babcią?

\*

Tej nocy Liz uważnie obserwowała śpiącego Gordona. Kiedy zapadł w głęboki sen, znów przekradła się przez obóz i włamała do budynku administracyjnego. Wprowadziła swój kod identyfikacyjny, by uzyskać dostęp do interesujących ją plików. Ale tym razem pojawiła się tylko odpowiedź:

ODCZYT NIEMOŻLIWY. WYJDŹ LUB SPRÓBUJ PONOWNIE.

Gordon zablokował jej kod.

\*

Wczesnym rankiem niebo nad obozem było bezchmurne i intensywnie niebieskie. Leżąc w łóżku, Liz patrzyła na nie i w myślach odtwarzała fotografię przedstawiającą ją i Gordona na plaży w Santa Barbara. Coś w niej się nie zgadzało...

- Nie spisz. To dobrze. - Gordon pochylił się nad nią. Jak zawsze uśmiechał się ciepło.

- Włóż dres. Przejedziemy się.

- Dokąd?

- Zrobię ci sprawdzian wytrzymałościowy. Trzydziestokilometrowy bieg.

Wkładając ubranie, przyglądała mu się podejrzliwie. Zachowywał się tak, jakby zapomniał o tym, że wczoraj stracił panowanie nad sobą, wykręcił jej ramię i zablokował dostęp do komputera. Beztrąsko mówił o czekających ją zajęciach. Kiedy była gotowa, wsiedli do zielonego forda explorera i wyjechali z Rancho jedną z piaszczystych dróg.

Zatrzymali się na wzniesieniu i wysiedli przy rozłożystym krzewie kwitnącej na żółto dzikiej róży. Droga, którą tu przyjechali, wiała się w dole wśród lasów. Słońce grzało teraz przyjemnie, lecz wiedziała, że za pół godziny zaczną palić, i poczują się jakby byli na rozgrzanej patelni.

- Po co ten sprawdzian? - zapytała, rozgrzewając mięśnie.

- Zobaczymy, w jakiej jesteś kondycji. Będę na ciebie czekać.

- A później?

- Później postawię ci w kantynie piwo.

- Gordon, do cholery... Po co to wszystko?

- Kiedy pomyślnie przejdziesz tę próbę, porozmawiamy.

Wsiadł do wozu.

Powiedział „kiedy”, więc był bardziej pewien niż ona sama, że zdoła przebiec trzydzieści kilometrów, nawet na tej wysokości. Jak dotąd nie pokonała za jednym razem więcej niż trzynaście kilometrów.

Ruszyła wolnym krokiem. Gordon tylko pomachał jej ręką i odjechał.

Starła się utrzymywać równe tempo. Ale w miarę przebywanego dystansu coraz szybciej ubywało jej sił. Stopy były coraz bardziej obolałe od ostrych kamieni, na które następowała od czasu do czasu. Miała świadomość, iż zbliża się do „ściany”. Marzyła o zatrzymaniu się i położeniu.

Ale duma nie pozwalała na to. Musiała biec dalej.

Ubranie przesiąkło potem. Stawy bolały przy każdym kroku.

I nagle dolegliwości zaczęły stopniowo ustępować. Pokonała piętrzącą się przed nią ścianę. Znów mogła normalnie oddychać.

W jej ciało wstąpiły jakieś nowe siły.

Biegła zadowolona z siebie, niemal z poczuciem triumfu. Wreszcie zobaczyła czekającego w wozie Gordona. A więc to już koniec biegu. Owładnęło ją uczucie ulgi.

Zwolniła.

Umysł i ciało zaczęły pracować na niższych obrotach, przygotowując się już do odpoczynku. Ale on wychylił się przez okno i wskazał dalszy odcinek górskiej drogi.

- Biegnij, biegnij! - krzyknął. - Do obozu masz jeszcze trzy kilometry!

Treść słów z trudem do niej dotarła. Czyżby za wcześnie zatrzymał samochód? Naprawdę jeszcze trzy kilometry?

Zakłęła pod nosem i zmusiła się do nieustającego przebierania nogami.

Odjechał, nawet się nie obejrzawszy. Znów ogarnęła ją przemożna chęć poddania się. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o rzuceniu się na trawę w cieniu szumiących sosen. Ale biegła dalej.

Znów zobaczyła Gordona, czekającego przy maszcie flagowym obozu. Ból opanował całe jej ciało. Nie potrafiła już opanować kołysania głowy. Była tak otępiała, że nie słyszała nawet odbijającej się echem głośnej relacji radiowej z meczu baseballowego.

Gordon ponownie wychylił się z samochodu.

Kabina obozowej śmieciarki, która krążyła powoli wokół masztu, trzęsła się aż od pokrzykiwań komentatora i wrzasku kibiców. Dodgersi grali z Bravesami. A w śmieciarce siedział nowy dyrektor administracyjny, który niemal przyłapał ją na gorącym uczynku, kiedy po raz pierwszy włamała się do budynku administracyjnego.

Gdy dobiegała do Gordona, wykrzesła z siebie resztkę sił i nie padła na ziemię. Zwalniała powoli, pozwalając mięśniom stopniowo stygnąć.

- Ten facet wreszcie do końca zwariował - mruknął Gordon wskazując na śmieciarkę.

- Co się stało? - wyszeptała z trudem. - Źle wyliczyłeś dystans?

- Nie. Chciałem, żebyś przebiegła pełne trzydzieści trzy kilometry.

- Ty draniu. Powinieneś mi powiedzieć.

- Po to, byś mogła rozplanować bieg? Równomiernie rozłożyć siły? Nie, w tym właśnie rzecz. W naszej robocie nigdy nie wolno uwierzyć, że osiągnęło się cel, bo wtedy ciało i umysł tracą swą maksymalną sprawność.

Przeraziło ją to proste wytłumaczenie.

- Chodziło o sprawdzenie, czy zdołam się ponownie zmobilizować?

- Teraz rozumiesz, co tak naprawdę sprawdzałem?

Przytaknęła.

- Przetestowałeś sprawność mojego organizmu, ale przede wszystkim odporność psychiczną.

- Zgadza się. Determinację, wytrwałość i odwagę. Nazwij to jak chcesz. Zdarza się, że każdy z nas, agentów, musi wykonać coś, co pozornie zdaje się niemożliwe. A do tego

nieodzowne jest odblokowanie umysłu i ciała. - Uśmiechnął się szeroko, a w jego oczach widać było, jak bardzo jest z niej dumny. - Cóż, kochanie, zdołałaś przebiec ten dodatkowy odcinek, a ponadto domyśliłaś się także, czemu to miało służyć. Mógłbym zrobić ci jeszcze sprawdziany z historii, kultury i obecnej sytuacji politycznej, ale to zbyteczne. Patrząc, jak pochłaniasz wiedzę, i jestem pewien, że będziesz w stanie poradzić sobie w każdej sytuacji.

Niemal się zachłysnęła.

- O czym ty mówisz, Gordon? Czyżbym skończyła szkolenie? Czy...?

- Pomówię jeszcze z Hughesem Bremnerem. Poinformuję go, że według mnie jesteś już gotowa. Na pewno będzie zadowolony.

Przy jakiejś okazji Gordon powiedział jej, że Bremner to bardzo ważna figura w Langley, która szczególnie się nią interesuje. To właśnie jemu Gordon przysyłał sporządzane codziennie notatki.

- Ostatnią fazą szkolenia będzie przygotowanie cię do samej operacji. Gratuluję, kochanie. Najbardziej wyczerpujący etap masz już za sobą.

\*

Podczas gdy Gordon udał się do budynku administracyjnego, by zatelefonować do Bremnera, Liz powlokła się do ich domku. Czowała się winna.

Może nie miała racji. Może niewłaściwie osądziła Gordona.

Rozebrała się i wzięła prysznic. Jednocześnie bez przerwy myślała o ostatnich zdarzeniach, usiłując je do końca zrozumieć. Kiedy ponownie się ubierała, wróciły poranne wątpliwości. Niepokoiło ją coś w fotografii z Gordonem...

Znalazła ją w szufladzie, obok złotej obrączki, na której noszenie nie mogła się zdecydować. Przyjrzała się roześmianym, emanującym wprost szczęściem twarzom. Obie jej ręce były niewidoczne, lecz w kadrze znalazła się lewa dłoń Gordona. Serdeczny palec... był pusty. Nie było na nim śladu obrączki.

Z trudem chwytiała powietrze. A więc to właśnie tak ją zaniepokoiło. Przez chwilę jeszcze przyglądała się zdjęciu. Wreszcie spojrzała na jego odwrotną stronę. Ktoś zapisał tam nazwę miejscowości i datę.

Fotografia została zrobiona niecały rok temu. A przecież powiedział jej wyraźnie, że nie zdejmował obrączki już od dwóch lat. W grę mogła wchodzić zwykła pomyłka, lecz nie przekonywało jej takie wytłumaczenie. Zbyt ostentacyjnie podkreślał znaczenie, jakie przykładał do faktu noszenia obrączki. Czyżby więc kłamał? Ale dlaczego?

Wpadł w furję, kiedy dowiedział się, że zaglądała do swoich danych w komputerze. Zablokował nawet dostęp do niego. Teraz była niemal pewna, że gdyby dowiedział się, iż

przestała przyjmować zalecane lekarstwo, zareagowałby równie gwałtownie.

Dłużej już nie mogła bagatelizować swych wątpliwości. Czowała, że coś jest nie tak.

Jakich jeszcze innych kłamstw jest autorem, a może tylko przekazicielem? I dlaczego?

Czy chociaż to, co mówił o Mięsożercy, było prawdą?

\*

Tego wieczoru, przed kolacją, Liz towarzyszyła Gordonowi, gdy z biura faksował do Langley codzienne notatki dla Hughesa Bremnera. Jak zwykle pochylił się nad niewielkim formularzem faksowym, dodatkowo przysłaniając go ręką, gdy pisał coś swym ulubionym, srebrnym piórem Crossa. Nie było sposobu, by podejrzeć jego osobisty kod. Kiedy skończył, wyrwał kartkę z bloczka formularzy, przypiął ją do raportu i wszystko wręczył sekretarce. Ta zobowiązała się niezwłocznie przesłać wiadomość. Gordon odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu. Liz chwilę zwlekała. Rozejrzała się ukradkiem, a gdy stwierdziła, że wszyscy są zajęci swoimi sprawami, sięgnęła po bloczek formularzy, ukryła go w kieszeni i szybko podążyła za opiekunem.

Wieczorem zamknęła się w łazience. Przyjrzała się uważnie pierwszej kartce w bloczku, lecz nic nie dało się z niej odczytać. Widziała jednak, że Gordon wypełnił druk energicznym pismem z zapalem równym jego oddaniu Langley. A więc przynajmniej część tekstu powinna odcisnąć się na następnym arkusiku.

Posługując się pyłem grafitowym zeskrobanym z miękkiego ołówka, zabrała się do odczytywania tego, co napisał. Stopniowo wyłaniały się kolejne znaki, aż wreszcie odszyfrowała cały rząd. Uradowana odetchnęła głęboko. Udało się. Zdobyła personalny kod Gordona!

\*

Kilka godzin później Liz uważnie obserwowała poszczególne fazy snu swego współlokatora. O trzeciej nad ranem, gdy zasnął głęboko, znów włamała się do budynku administracyjnego. Zasiadła przy komputerze i wprowadziła poznany kod. Czy zadziała?

Kiedy pojawiło się menu, westchnęła z ulgą.

Wprowadziła polecenie pokazania danych osoby, pod której nazwiskiem się ukrywała - Sarah Walker. Po kilku sekundach na ekranie pojawiło się zdjęcie.

Widoczna na nim twarz nie należała do niej!

Miała przed sobą sympatycznie wyglądającą kobietę o pociągłej twarzy, lekko garbatym nosie i bez pieprzyka nad kącikiem ust. Wpatrywała się w wizerunek, jakby spodziewała się, że wyczyta z niego coś więcej.

Czy ta twarz była znajoma? Może...

Przeczytała znajdujące się poniżej dane. Sarah Jane Walker - dziennikarka popularnego magazynu przeprowadzająca wywiady z największymi sławami - urodziła się w tym samym roku co Liz. Ich wzrost różnił się zaledwie o centymetr, waga zaś o niecałe dwa kilogramy. Matka Sarah miała brata mieszkającego w Anglii - Harolda „Hala” Sansborough, który ożenił się tam z Melanie Childs. Wkrótce urodziła im się córka Liz. Hal i Melanie Sansborough zostali zamordowani w Nowym Jorku.

Znów nie była w stanie pojąć tego, co czyta. Jak miała odróżnić prawdziwą przeszłość od podsuniętego jej kłamstwa?

Jeśli Liz Sansborough i Sarah Walker były jedną i tą samą osobą, to skąd wzięły się istniejące różnice w ich wyglądzie? Czyżby operator popełnił prostą gafę? Tak niewielka różnica wzrostu pozostawała w granicach błędu, a waga mogła zmienić się o dwa kilogramy prawie z dnia na dzień. Oba opisy mogły więc odnosić się również i do niej.

Ale jeśli była jednocześnie Lizą i Sarah, dlaczego dane jednej nie zostały po prostu przeniesione do dossier drugiej?

I dlaczego fotografie przedstawiały dwie różne osoby?

Czytała dalej, aż w końcu natrafiła na wzmiankę o prababce. Wspólnej prababce zarówno Liz, jak i Sarah - Firenze. Musiała być więc babką Jane Sansborough-Walker i Hala Sansborough. Przed oczami stanął jej obraz energicznej, siwowłosej staruszki pachnącej świeżym chlebem i włoskimi przyprawami do spaghetti.

Serce zabiło jej mocno w piersiach. Zamknęła oczy i starała się zachować w pamięci twarz staruszki. Ta jednak rozpułyła się niczym topione masło.

Do cholery. Znów w głowie miała tylko pustkę.

Ale czyżby to było kolejne prawdziwe wspomnienie?

Tak! Bez wątpienia! Prababcia Firenze!

Czytała dalej. Sarah studiowała na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara. Współredagowała tam uczelnianą gazetę „Daily Nexus”, a gdy zakończyła naukę, związała się z „Santa Barbara Independent”. Zerwała jednak z tą gazetą i, dorywczo pracując dla magazynów, żyła głównie z pieniędzy odziedziczonych po prababci.

Jak więc wytłumaczyć to przypomnienie sobie o prababci, skoro nigdzie nie natrafiła nawet na wzmiankę, że jej rodzina - Sansborough - kiedykolwiek odwiedziła Santa Barbara?

Może więc to prababka przyjechała do nich do Anglii i w ten sposób się poznały?

Czyżby istniała prawdziwa Sarah Walker? Ktoś, kto wyglądał jak ta kobieta z komputerowej fotografii. Jeśli tak, to co się z nią stało?

Te myśli sprawiły, że przebiegł ją dreszcz. Długo jeszcze siedziała w ciemnościach



rozjaśnionych tylko bladą poświatą monitora.

Wreszcie ocknęła się z zamyślenia, przewinęła plik do początku i powtórzyła sobie zapamiętane numery telefonów do Sarah, Hamiltona, Jane oraz Michaela Walkerów.

Gdy była już pewna, że pozostaną w pamięci, wyłączyła komputer i opuściła budynek. Tym razem na zewnątrz nie było nikogo. W tym momencie przypomniał się jej spektakl w wykonaniu nowego dyrektora administracyjnego, który na cały regulator nastawił relację sportową, jeżdżąc w kółko śmieciarką.

Przekradając się do swej kwatery, zwróciła uwagę na skupisko świateł gdzieś w oddali, na południowym zachodzie. Zapewne znajdowała się tam góraska wioska. Leżała nie dalej niż dziesięć kilometrów stąd, lecz był to już zupełnie inny świat.

\*

Następnego ranka, idąc na pierwszy wykład, Liz zboczyła do damskiej toalety. Gordon odszedł za róg, do męskiej. Kiedy zniknął jej z oczu, rzuciła się pędem do budynku administracyjnego, na którego ścianie znajdował się publiczny telefon. Wrzuciła garść monet i wybrała numer Sarah Walker w Santa Barbara. Po czterech sygnałach komputerowy głos poinformował, że numer został odłączony. Spróbowała więc połączyć się z rodzicami Sarah. Odebrała jakaś kobieta.

- Pani Walker?

- Nie. Pod jaki numer pani dzwoni?

Liz podała go. Rozmówczyni oświadczyła, że co prawda numer zgadza się, lecz przydzielono go jej zaledwie przed trzema miesiącami.

Rozczarowana, niespokojnie spoglądała na wyjście z toalety, w którym lada chwila mógł się pojawić Gordon. Na szczęście będzie odwrócony do niej plecami. Zdecydowała więc podjąć próbę połączenia się jeszcze z bratem Sarah - Michaeliem. Telefon dzwonił i dzwonił. Nikt nie podnosił słuchawki. Odłożyła swoją, lecz przed odejściem zawahała się na moment. Dlaczego? Minęła chwila, zanim to sobie uświadomiła.

Tuż przed odwieszeniem słuchawki usłyszała dwa cichutkie trzaski. Gdy biegła z powrotem do toalety, ogarnął ją paraliżujący strach. Jedyne telefon w obozie znajdował się na podsłuchu. Teraz dowiedzą się, że wciąż usiłuje dojść, kim naprawdę jest Sarah Walker.

## 10.

Gdy Waszyngton zaczynał pocić się w narastającym upale, Lucas Maynard zasiadł na ławeczce pod wiśniami, gdzie czekał już na niego zniecierpliwiony podsekretarz Clare Edward.

Maynard trzymał pod pachą dużą kopertę.

W jej wnętrzu znajdowały się dokumenty, które skopiował poprzedniego wieczora z oryginałów ukrytych w ogniotrwałym sejfie zamontowanym pod łóżkiem Leslee Pousho. Spała już, gdy wymknął się z mieszkania, aby powielić je w całodobowym punkcie usługowym. Sejf należał do niego, i Leslee nie miała pojęcia, co w nim ukrywa. Obiecał, że wkrótce jej to wyjawia, a kochanka wierzyła mu na tyle, że była gotowa poczekać. Na wszelki wypadek podał jej numery telefonów Edwarda do biura i do domu, pouczając, że jeżeli cokolwiek by mu się stało, ma przekazać sejf podsekretarzowi.

Starał się nawet nie myśleć o takiej ewentualności. Zdawał sobie jednak sprawę, iż kiedyś znudzą się Leslee ciągle problemy wynikające ze związku z podstarzałym szpiegiem, który zmieni orientację. Będzie miała dość tych ciągłych tajemnic i zapragnie żyć normalnie.

Jeśli nie chce jej stracić, musi jak najszybciej uporządkować swoje sprawy.

Dokumenty, które zamierzał przekazać podsekretarzowi, dostarczały informacji o pochodzeniu dziesięciu milionów dolarów z Iran-contras i handlu narkotykami, które trafiły na konta w BCCI. Gdy pieniądze znalazły się już w systemie bankowym, stały się anonimowe. Dysponował jednak dowodami, że te same pieniądze zostały później wycofane i zainwestowane w OMNI-American oraz Nonpareil Insurance.

Żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem.

Obaj dyskretnie rozglądali się wokół.

W końcu Maynard położył kopertę na siedzeniu ławki, po czym wstał i zniknął wśród drzew.

Edward, przybywszy do Departamentu Stanu z dużą kopertą w rękę, pospiesznie udał się do swojego biura. Nie zwrócił nawet uwagi na mężczyznę o poważnej twarzy i rozbieganych oczach, który rozmawiał właśnie z jego rudowłosą sekretarką. Ta odczekała, aż podsekretarz ją minie, i uśmiechnęła się do młodego człowieka, który ostatnio bardzo często ją odwiedzał. Lubiała jego towarzystwo, choć traktowała go raczej jak brata niż potencjalnego

adoratora.

Wręczył jej bukiet róż.

- Dziękuję. Są przepiękne.

- Może dasz się skusić na późne śniadanie?

- Przykro mi. Teraz, gdy pojawił się szef, będę miała mnóstwo roboty.

\*

Podsekretarz Clare Edward siedział uśmiechnięty za swym antycznym orzechowym biurkiem. Krew pulsowała mu w skroniach, gdy czytał dokumenty przyniesione przez Lucasa Maynarda.

Znalazł w nich wszystko, co chciał, a nawet więcej. Nie znał co prawda żadnych wymienionych tu nazwisk - zapewne były to podstawione płatki - lecz odszukanie ich nie powinno sprawić trudności. A numery kont i opisy transakcji sprzedaży broni i narkotyków były o niebo bardziej dokładne i wyczerpujące od przygotowanych przez oskarżycieli w aferze Iran-contras.

Zatelefonował do biura sekretarza stanu. Oświadczył asystentowi, że zależy mu na pilnym spotkaniu. Umówił się na 10:10 następnego ranka.

Przez resztę dnia podsekretarz nie mógł sobie znaleźć miejsca i zabrać się do jakiegokolwiek poważniejszej pracy. Po południu, kiedy Maynard wreszcie zadzwonił, Edward z trudem ukrywał entuzjazm.

- To naprawdę jest coś, Lucas. Na jutro rano umówiłem się z Warrenem. Przygotuj resztę informacji. Jeśli są równie rewelacyjne jak to, co już mam, rozpoczniemy niezłą zabawę.

Głos Maynarda był twardy i zdecydowany:

- Nie dostaniesz nic więcej, dopóki nie zapewnisz mi tego, czego żądałem w zamian - pełnego immunitetu.

\*

Hughes Bremner siedział za biurkiem w Langley, kiedy Gordon zatelefonował, by przekazać informację o pomyślnie zakończonym teście wytrzymałościowym.

- Wspaniale. Odwaliłaś kawał dobrej roboty. Jak zniosła ten dodatkowy dystans?

- Początkowo była wściekła, ale później bardzo dumna, że się jej udało.

Bremner zachichotał. Duma. Zapewne próżność zniszczy tę dziewczynę, ale jemu pozwoli odnieść sukces, jakiego nikt nie był w stanie nawet sobie wyobrazić.

- Jak ogólnie oceniasz jej zachowanie, Gordon?

- Uspokoila się, sir. Wszystko, o czym się do tej pory dowiedziała, do niczego

istotnego jej nie zaprowadzi. Nie będzie mogła ponownie włamać się do systemu komputerowego.

- A ponad to nie ma chyba wystarczających umiejętności?

- Z pewnością, sir. Kiedy mam rozpocząć następny etap jej przygotowań? - zapytał Gordon.

- Jutro będę w Paryżu. Do domu wracam pojutrze. Wtedy zaczniesz. Chcę być na miejscu, żeby mieć na wszystko oko. I pamiętaj, że nie możemy dopuścić, by coś wymknęło się spod naszej kontroli. Zwłaszcza gdy finał jest już tak blisko.

\*

W południe do biura Bremnera trafiła transkrypcja rozmowy telefonicznej Lucasa Maynarda z podsekretarzem. Szef Mustanga przeczytał ją z rosnącą w nim z każdą chwilą wściekłością i niepokojem.

Maynard domagał się immunitetu, a Edward zamierzał przedstawić jakieś jego rewelacje sekretarzowi stanu.

O czym właściwie wiedział Lucas? Co chciał wymienić za immunitet? I z jakich powodów? Z całą pewnością nie chodziło o francuską operację. Nawet najbliżsi współpracownicy Bremnera nie mieli zielonego pojęcia o tej największej w jego karierze operacji pod kryptonimem GRANDEUR. Nie widział powodu, dla którego ktokolwiek miałby wtrącać się do tej sprawy. GRANDEUR będzie jego wyłącznym i ostatecznym triumfem. Wstrząśnie Europą aż po jej drobnomieszczańskie fundamenty. Ale Lucas Maynard należał do grona zaledwie kilku osób wiedzących trochę na ten temat. Same tylko szczegóły dotyczące Sterling-O'Keefe zniszczyłyby wszystko, włącznie z GRANDEUR!

Jeszcze raz przejrzał zapis i dołączony do niego raport agenta działającego między innymi na terenie Departamentu Stanu, który zajmował się obserwacją Edwarda. Donosił on, że podsekretarz wpadł do swego biura z dużą kopertą, a transkrypcja rozmowy potwierdzała znaczenie jej zawartości.

Ale ani wtyczka w departamencie, ani śledzący Maynarda nie byli w stanie ustalić, gdzie znika on na całe godziny. Bremner nie mógł już dłużej zwlekać z wyjaśnieniem tego. Zamierzał osobiście zająć się tą sprawą.

Już wiele lat temu zapoczątkował praktykę zapraszania współpracowników na kawę do swojego skromnego biura na siódmym piętrze. Takie wyróżnienie było obiektem marzeń co bardziej ambitnych podwładnych. Bremner tkwił na szczycie, więc podczas takich spotkań można się było od niego wiele nauczyć i dowiedzieć. Wszyscy wiedzieli, że czapkowanie szefowi bardzo się opłaca.

Zatelefonował więc do Maynarda i zaproponował mu kawę.

- Tylko my, Lucas.

Maynard bez zająknięcia podziękował za zaproszenie. Odmowa mogła przecież wzbudzić podejrzenia. Obaj doskonale o tym wiedzieli.

Dziesięć minut później stawiał się w gabinecie szefa.

- Od dawna już nie rozmawialiśmy, Lucas - powiedział Bremner witając go i wskazując sofę oraz fotele stojące przy niskim stoliku w rogu pomieszczenia. Za nimi przez duże okna widoczna była panorama lasów Wirginii.

- Byłeś zajęty, Hughes. Ja zresztą też. - Gość zasiadł w fotelu plecami do okien.

- Schudłeś - zauważył Bremner napełniając filiżanki.

- Jak dotąd prawie dziesięć kilo. Cukrzyca zmusza mnie do zrzucenia zbędnych kilogramów.

- Ach tak.

Gospodarz rozstawił filiżanki, obok nich kładąc lniane serwetki. Pośrodku ustawił śmietankę i cukier oraz tacę pełną kanapek. Wszystko zwykł robić sam, stwierdziwszy, iż jego goście poczytują to sobie za dodatkowe wyróżnienie i stają się jeszcze bardziej podatni na jego sugestie.

- Zastanawiałem się nad Sterling-O'Keefe i MASKARADĄ. - Bremner zasiadł naprzeciw, skąd miał wspaniały widok. - Masz w związku z tą sprawą jakieś wątpliwości?

W głowie Maynarda rozległ się sygnał alarmowy. Nigdy nie mówili w Langley o Sterling-O'Keefe. Nigdy. Czyżby działo się coś innego? Coś, co Bremner chciał zachować wyłącznie dla siebie? A może odkrył jego konszachty z podsekretarzem?

Będąc jednak doświadczonym agentem, nie dał po sobie niczego poznać i spokojnie podniósł do ust filiżankę z kawą.

- To dziwne pytanie, szczególnie gdy właśnie ty je zadajesz. Sterling-O'Keefe to przecież twoje dziecko. Sam sprawiłeś, że staliśmy się bogaci niczym Midas. Dlaczego więc miałbym mieć jakieś wątpliwości?

Bremner uśmiechnął się.

- To ty mi powiedz.

Maynard odstawił filiżankę i splótł ramiona na potężnej piersi.

- Nie mam żadnych, Hughes. Najwyżej obawiam się o siebie. Starzeję się, a ze zdrowiem coraz gorzej. Może już czas odpocząć?

- Emerytura?

- Wszystkich nas to czeka.

- Oczywiście poza gwiazdami z holu.

Szef Mustanga miał na myśli niemal sześćdziesiąt prostych, pięcioramiennych gwiazd przytwierdzonych do ściany zaraz przy wejściu do budynku. Każda z nich symbolizowała agenta, który zginął wykonując powierzone mu zadanie. Obok, w pamiątkowej księdze znajdowały się nazwiska tych śmiałków, lecz było ich dwa razy mniej niż gwiazdek. Pozostali bohaterowie pozostawali anonimowi, podobnie jak ich zakończone niepowodzeniem misje. Ponad rzędem gwiazd w marmurze wyrzeźbiono słowa: „Pamięci tych Amerykanów, którzy poświęcili życie służąc swej ojczyźnie”.

Służba. Ojczyzna. Właśnie te ideały przyświecały Bremnerowi i innym, którzy znaleźli się w szeregach Agencji w latach pięćdziesiątych. Byli idealistami. Sam Bremner oddałby wtedy wszystko, by stać się jedną z tych gwiazdek. We wczesnych latach zimnej wojny było to jego marzeniem. Oczywiście nie zaraz śmierć, lecz chwała w imię poświęcenia ukochanemu krajowi. W owych czasach Stany Zjednoczone wiedziały, z kim należy walczyć, i potrafiły zwyciężać.

Lata osiemdziesiąte były już zupełnie inne. Bremner zajmował się wtedy przerzutami broni do Iranu i sprzedażą narkotyków w Stanach, by zdobyć pieniądze dla *contras* - *contrarevolucionarios* - w Nikaragui. W świetle prawa był przestępcą. I zrozumiał, że jego kiedyś okryta chwałą ojczyzna w ciągu tych trzech dekad stoczyła się na dno.

Wspaniałe Stany Zjednoczone stały się ruiną. Ich fundamenty zniszczyli radykałowie, filantropi, reformatorzy i liberałowie.

Dotarła do niego bolesna prawda: nie warto się dłużej poświęcać. To już nie była jego ojczyzna. Czas było pomyśleć o sobie. Przez ułamek sekundy, podejmując tę decyzję, poczuł się jak niegdyś jego uprawiający handel niewolnikami przodek - renegat. Wtedy też podjął inne, ważne postanowienie: jeśli raz zejdzie z obranej wcześniej drogi, nie będzie już nigdy próbował na nią powrócić. Musi stać się tak bogatym, tak potężnym, że znajdzie się poza zasięgiem wszystkich śmiertelników.

Stanowisko szefa wydziału CIA dawało mu władzę równą feudalnemu panu. Ci najwyżej postawieni - dyrektorka Centralnej Agencji Wywiadowczej i jej trzech zastępcy - mieli na głowie zbyt wiele pracy. Szefowie wydziałów, tacy jak Bremner, uzyskali więc placet do zupełnie niezależnego działania. Dawało to nieograniczone możliwości wykorzystania go do własnych celów, a zarówno Bremner, jak i jego czterej zastępcy nie byli głupcami. Głośny przypadek kreta KGB Aldricha Amesa sprawił tylko, że stali się ostrożniejsi. Wiedzieli, że każdy problem da się jakoś rozwiązać, a każdą zasadę można jakoś obejść.

- Nie umrzemy za naszymi biurkami - mruknął Maynard.

- Cholera, mam taką nadzieję. - Bremner popatrzył przez okno. Nadszedł czas na zastawienie pułapki. - Mamy za sobą szmat drogi, Lucas. Powiedz, nie tęsknisz za latami zimnej wojny?

- Boże, i to jak. Wtedy chociaż było wiadomo, kto jest dobry, a kto zły. Całe obecne zamieszanie i pretensje, że wywiad nie dostarcza władzom istotnych informacji, to farsa. Wydaje mi się, że to coś nowego. Pamiętasz pięćdziesiąty siódmy i ósmy, kiedy prowadziliśmy tę zakrojoną na dużą skalę operację mającą na celu obalenie Sukarno? Przekazywaliśmy Waszyngtonowi tylko to, co chciał usłyszeć. Wprowadzaliśmy w błąd ambasadorów, którzy usiłowali nas powstrzymać, a później załatwialiśmy ich przeniesienia, by nie utrudniali nam roboty. A to tylko jeden z wielu podobnych przypadków. Czy tęsknię za zimną wojną? Jak cholera. Wtedy wszystko wydawało się takie proste. Takie podniecające. Byliśmy w stanie wiele zrobić. Działaliśmy w imię wolności i demokracji.

- Zimna wojna wskazała Stanom wyraźny cel. - Szef uniósł głowę i uśmiechnął się. - Byliśmy wszystkim, czym nie potrafiła być druga strona. Pamiętasz, w jaki sposób Ike przeforsował projekt budowy sieci autostrad międzystanowych? Powiedział, że jest niezbędny do ewakuacji miast w przypadku ataku nuklearnego. A kiedy Kennedy zdecydował, że należy podwyższyć w szkołach poziom nauk ścisłych, tłumaczył to koniecznością prześcignięcia Sowietów. Teraz nie możemy praktycznie nic.

Maynard zapatrzył się gdzieś w dal i Bremner wiedział, że powstała między nimi więź, której potrzebował. Lucas wpadł w pułapkę.

Teraz wystarczyło czekać. Na tym polegała cała sztuczka: uśpić czujność rozmówcy, znaleźć płaszczyznę porozumienia i zamilknąć. Cisza stanie się krępująca i wówczas może gość poczuje potrzebę przerwania jej, mówiąc o tym, co leży mu na sercu.

- Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, Hughes, że od pięćdziesięciu lat zadaniem Langley jest walka z tym, co najgorsze na świecie. Z mafią. Z baronami narkotykowymi, od Miami po Hongkong. Z generałami, którzy gwałcą swe kraje ogarnięci żądzą pieniędzy i władzy. Mieliśmy pospolitować się z tymi szumowinami, w razie konieczności współpracować, ale nie iść z nimi do łóżka.

- To inny świat, Lucas. Nie można go uznać za piękny.

Twarz Maynarda była pełna napięcia. Co go gryzło? Bremner wyraźnie chciał go zachęcić do większej otwartości, ale powinien przewidzieć, że to nic nie da. Gość był uczestnikiem zbyt wielu przesłuchań. Wiele z nich prowadził osobiście. Zaraz nabralby podejrzeń.

Szefowi Mustanga pozostawało więc tylko czekać. Czy Maynard sam zdecyduje się kontynuować temat?

Tymczasem Lukas odstawił filiżankę, jakby było to trudne do utrzymania brzemień. Popatrzył prosto w oczy zwierzchnika, i przez moment gospodarzowi wydawało się, że zaraz zacznie zdradzać swe najskrytsze sekrety.

Zamiast tego jednak rzucił okiem na zegarek.

- Jakieś spotkanie?

Bremner doświadczył nietypowego dla siebie uczucia: zdziwienia.

- Przykro mi, Hughes. Nie dałeś mi czasu, by je odwołać.

- Musi być ważne - rzekł wyrozumiale, lecz w rzeczywistości miał ochotę zmiażdżyć tę tłustą gębę Maynarda.

Gość wyczuł, że wypada coś jeszcze dodać. Powiedział więc bez wahania:

- Mój informator z byłego Stasi. Wiesz, jak jest przerażony. Jeśli go zawiodę, narazimy się na utratę jednego z naszych najpewniejszych źródeł w niemieckim rządzie.

- Oczywiście. To bardzo ważne.

- Czy o czymś jeszcze chciałeś mi powiedzieć, Hughes? - zapytał Maynard wstając. - Nie do końca rozumiem, po co właściwie mnie zaprosiłeś.

Bremner także się podniósł. Uśmiechnął się w duchu. Ten drań usiłował zaatakować jego własną bronią.

- Nie chcę tracić kontaktu z przyjaciółmi. A wiesz przecież, jak cię cenię, Lucas.

- Dziękuję ci. Przez tę chwilę poczułem się jak za dawnych czasów. Tych najwspanialszych. Już niewielu z nas je pamięta.

- Niestety, to prawda.

Bremner zatrzymał się w drzwiach, podczas gdy jego współpracownik odszedł ku windowi. Nawet odwrócony plecami wyglądał dostojnie. Po raz pierwszy od wielu lat Hughes Bremner był naprawdę zdenerwowany.



## 11.

Bremner odczekał pół godziny, dając Maynardowi mnóstwo czasu, aby powrócił do swojego biura, a następnie zdążył wyjść na umówione spotkanie.

Oczywiście pod warunkiem, że się w ogóle na nie wybierał. Może wymyślił wszystko w ostatniej chwili, by wyczuwając pułapkę ocalić swój tyłek.

Bremner wybrał numer jego biura. Odezwała się sekretarka. Poprosił o połączenie z szefem.

- Przykro mi, sir. Wyszedł.

- Ach tak. A dokąd? Coś mówił, ale wyleciało mi z głowy...

- Na spotkanie z niemieckim informatorem, sir.

A więc wyglądało na to, że Maynard mówił prawdę. Bremner nie posunął się ani o krok. W gardle poczuł gorzki niesmak. Już zamierzał podziękować za informacje i odłożyć słuchawkę, gdy przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie.

- Poinformował cię o tym spotkaniu, zanim do mnie wyszedł? Czy może później?

- Znacznie wcześniej, sir. Polecił zadzwonić do siebie, gdyby jego pobyt u pana przedłużał się.

Do cholery. Był pewien, że całe to spotkanie zostało zmyślane tylko po to, by stanowić dla Maynarda dobrą wymówkę. Niczego nie był jednak w stanie dowieść. Zadał jeszcze ostatnie pytanie:

- A kiedy ten Niemiec wyznaczył termin spotkania?

- To chyba pan Maynard się z nim umawiał. Musiał załatwić to ostatnio.

- Ostatnio?

- Tak. Kiedy już wyszedł, przypomniałam sobie, że nie zdąży na wizytę u lekarza. A nigdy tego nie zaniedbuje. Wie pan, ta jego cukrzyca. Sądzę więc, że rozmawiał z tamtym zaledwie kilka minut przed wizytą u pana, chyba że...

Bremner uśmiechnął się. Maynard był dobry, ale tym razem nie do końca. Sam wyznaczył termin spotkania, podejrzewając, że może mu być potrzebna wymówka umożliwiająca opuszczenie biura Bremnera.

Głos sekretarki zadrżał.

- Sir... czy coś jest nie tak? Zadaje pan tyle pytań...

Szef Mustanga wiedział już wszystko, co go interesowało. Poszczególne klocki układały się w całość: śniadanie z podsekretarzem, żądanie immunitetu, duża koperta, która tak ucieszyła Edwarda. Istniało tylko jedno logiczne wytłumaczenie: Lucas Maynard zaczął sypać.

- Muszę przyznać, że tak, Mildred - rzekł głosem pełnym troski. - Martwię się o cukrzycę Lucasa. Czy nie uważasz, że ostatnio się przepracowuje?

- Och, panie Bremner, ma pan w zupełności rację...

Jednym uchem wysłuchał litanii sekretarki, skarżącej się na stan zdrowia Maynarda. Jego umysł był już jednak w tym momencie zajęty obmyśleniem planu.

\*

Nie było nic gorszego niż zdrada, a Lucas Maynard na pewno zdradził. Kiedy indziej Bremner może pozwoliłby sobie na luksus kontynuowania inwigilacji, by wyjaśnić kierujące nim pobudki. Zawsze przecież były jakieś przyczyny i dobrze byłoby je poznać. Ale nie w obecnej sytuacji. Teraz nie można sobie było pozwolić na zbędne ryzyko, na najmniejszy błąd, który mógłby zniweczyć MASKARADĘ i jego prywatną operację GRANDEUR.

Gdy tylko Hughes Bremner rozłączył się z sekretarką Maynarda, zadzwonił poprzez kodowaną linię do Sida Williamsa.

- Maynard wykradł rządowe dokumenty o najwyższym stopniu tajności - oświadczył.  
- To poważne zagrożenie dla MASKARADY i w ogóle dla bezpieczeństwa narodowego. Musimy odzyskać te materiały i uciszyć go. Rób co musisz. Włącznie z zajęciem się podsekretarzem. Natychmiast.

\*

O szesnastej, limuzyna jak zwykle zabrała podsekretarza Edwarda spod Departamentu Stanu do jego domu w Georgetown. Kopertę otrzymaną od Maynarda miał ukrytą w neseserze. Przed wyjściem zastanawiał się, czy nie zostawić jej tu w sejfie, lecz stwierdził, że zbyt wielu ludzi ma do niego dostęp.

Gdy podążył tym tropem, uznał, że także dostanie się do jego biura nie nastrecza większych trudności. Choćby dzisiaj, kiedy wychodził, zwrócił uwagę, że w korytarzu stoi nowy ochroniarz i plotkuje z jego własną sekretarką. Polecił mu się oddalić. Facet okazał szczerą skruchę, ale...

Nie, nie było mowy, aby pozostawić w biurze dokumenty takiej wagi. Nikogo nie mógł do nich dopuścić.

Będzie spać, trzymając je pod poduszką.

Gdy limuzyna zajęła przed dom, postanowił zadzwonić do swej nowej kochanki.

Pracowała w podlegającej mu księgowości. Stanowiła wyśmienity kąsek. Dopiero co skończyła naukę. Była młodziutka. I drobna. Lubił drobne kobiety. Dawały mu najwięcej radości.

Nagle usłyszał jakiś hałas i odwrócił się.

Jakiś blond chłopak sunął w jego kierunku na wrotkach. Podsekretarz dostrzegł błysk stalowego ostrza w jego dłoni. Strach ścisnął mu gardło. Wyciągnął rękę, starając się osłonić, lecz było już za późno. Nóż ciął go po palcach i wbił się między zębra. Wrotkarz przewrócił się na niego.

Edwarda ogarnęły ból i przerażenie. Nie był w stanie się poruszyć.

Chłopak przeszukał jego kieszenie. Wyjął portfel, po czym zdjął rolexa i dwa sygnety z brylantami. Wsunął zdobycz do kieszeni, zadał kolejne pchnięcie i zerwał się na nogi.

Podsekretarz uniósł drżące ramię. Chciał krzyknąć, zatrzymać bandytę. Ale nie był w stanie. Ból narastał i narastał. Zalała go gorąca fala krwi. Umierał. W przeblysku świadomości uznał, że to dobrze. Życie stało się bezsensowne. Pomyśleć, że nie mógł się doczekać spotkania z jakąś nierozgarniętą nastolatką. Zamknął oczy, gdy chłopak odjeżdżał. Przedtem zdążył jeszcze zobaczyć, że bandyta mocno przyciska do piersi jego neseser.

\*

W tym samym czasie Lucas Maynard szedł do mieszkania Leslee Pousho w Arlington. Był głupcem. Nie docenił Hughesa Bremnera. Zrozumiał to dopiero w jego biurze, a obawy te znalazły potwierdzenie, kiedy wrócił do domu.

Czekali tam Sid Williams i Matt Lister. Aby włamać się do środka użyli laserowego wytrycha najnowszej generacji. Gdyby nie lata zakodowanej gdzieś w mózgu ostrożności i walter pod pachą, nigdy nie zdołałby uciec.

Kiedy szedł od garażu w stronę frontowych drzwi, dostrzegł lekkie poruszenie firanki w oknie. Stary kocur nigdy nie rozkładał się na parapecie, gdy dom był pusty. Momentalnie popędził więc w stronę swego wozu. Kiedy cofał, wypadli na zewnątrz. Strzelił w nogi Listera, co zmusiło Williamsa do poszukania schronienia. To dało mu czas, by odjechać.

Uśmiechnął się ponuro. W jego domu nie było ani jednego dokumentu traktującego o Sterling-O'Keefe i MASKARADZIE. Wszystko miał tutaj, w sejfie pod łóżkiem Leslee. Teraz należało szybko skontaktować się z Clare'em Edwardem. Podsekretarz musiał natychmiast załatwić ochronę i bezpieczne schronienie dla niego i Leslee. Dzięki Bogu miał się do kogo zwrócić. Bez niego nie potrafiłby sobie poradzić w całym tym zamieszaniu.

Maynard sięgnął po słuchawkę i wybrał numer.

\*

O 16:45 Hughes Bremner, rozparty na tylnym siedzeniu swej czarnej limuzyny, wyglądał przez boczną szybę na zatłoczone skrzyżowanie w Georgetown. Potężny silnik pracował na niskich obrotach. Limuzyna była wyposażona we wszelkie możliwe zabezpieczenia: opancerzenie, podłogę przeciwminową i kuloodporne przyciemniane szyby.

Dokładnie o 16:50 na ulicy pojawił się młody blondyn na wrotkach i podjechał do samochodu.

Bremner opuścił szybę. Przejeżdżając obok, wrotkarz bez słowa cisnął do środka skórzany neseser.

Dobry rzut - wylądował prosto na kolanach pasażera.

Chłopak zniknął za rogiem, a limuzyna włączyła się do ruchu i skierowała w stronę lotniska. Szef Mustanga miał rezerwację na nocny lot do Paryża.

Pospiesznie przejrzał dokumenty dostarczone przez Maynarda. Od razu zorientował się, że podsekretarz niewątpliwie miał powody do radości. Kontrahent przekazał mu rejestr operacji prania brudnych pieniędzy. Był na tyle szczegółowy, że wystarczyłby do wysunięcia poważnych oskarżeń i zniszczenia wszystkiego, co zbudowali, włącznie z francuską akcją. A przecież Maynard zapewniał, że to dopiero początek jego rewelacji.

Ale Bremner nie natrafił nawet na najmniejszą wzmiankę o GRANDEUR. Uśmiechnął się rozluźniony. Przynajmniej to było wciąż nie zagrożone.

Odchylił się na siedzeniu i przymknął oczy, podczas gdy limuzyna przedzierała się przez popołudniowe korki. Myśli powędrowały ku najważniejszemu zadaniu. Za kilka godzin jego najlepsi ludzie znów spróbują osaczyć Mięsożercę w jego tajnej kryjówce.

## 12.

Podczas lunchu w stołówce Liz Sansborough udawała, że nie myśli o niczym innym, jak tylko o jedzeniu. Nagle poruszyła się niespokojnie, wyprostowała i popatrzyła na Gordona.

- Zapomniałam materiałów na następny wykład - oświadczyła podnosząc się. - Są w mojej szafce. Zaraz wracam.

Już chciał wstać, by za nią podążyć, lecz lekko podnosząc głos przypomniała mu, że niezależne działanie jest jedną z ćwiczonych umiejętności, które powinna opanować. Obok siedział jeden z instruktorów i trzech uczniów. Słyszając to, zgodnie spojrzeli na nich. Gordon poruszył się niespokojnie. Po chwili z uśmiechem pokiwał głową. Kiedy wychodziła ze stołówki, czuła na plecach jego przenikliwy wzrok.

Sprawdziła godzinę. Była 12:06. Zaczęła biec. Musiała zaoszczędzić jak najwięcej czasu. Ale gdy wypadła zza rogu klubu oficerskiego, nadziała się wprost na dyrektora administracyjnego.

- Przepraszam - szepnęła.

Uśmiechnął się szeroko.

- Dodgersi prowadzą trzy do dwóch.

U pasa miał walkmana, a na uszach słuchawki. Ubrany w podkoszulek, szorty i adidasy, w czasie pracy znów słuchał relacji z meczu baseballa. Naprawdę był szalony. A ona nie miała czasu do stracenia. Wymamrotała kilka słów przeprosin i pobiegła dalej, prosto do swojej szafki.

Jeśli nie pomyliła się, telefon, z którego korzystała rano, był na podsłuchu. Na kwaterach nikt nie miał aparatów. Znajdowały się one wyłącznie w pomieszczeniach biurowych. Ten na ścianie budynku administracyjnego był jedynym ogólnie dostępnym.

Skoro adeptom ograniczano kontakt ze światem zewnętrznym, nie należało sądzić, że podsłuch został założony z jej powodu. Istniał zapewne już od dawna i monitorowano wszystkie rozmowy. Można się było przecież spodziewać, że obce agencje wywiadowcze, sprzymierzone lub wrogie, zechcą infiltrować miejsce, gdzie rodzą się amerykańscy szpiegowie.

Dlatego też zarejestrowane zostały jej próby skontaktowania się z rodziną Walkerów z Santa Barbara.

Gdy dopadła szafki, szybko wzięła przygotowane już wcześniej rzeczy. Pobiegła przez trawnik do budynku administracyjnego. Był zamknięty, jak miała nadzieję. Cały personel jadł bowiem lunch. O to właśnie jej chodziło.

Ostrożnie rozejrzała się wokół, po czym posługując się wytrychem laserowym i kodem Gordona dostała się do środka. Zamknęła za sobą drzwi i popędziła do sali komputerowej. Usunęła panel osłaniający włącznik światła i umieściła tam zdobyte wcześniej, uruchamiane drogą radiową urządzenie niezależnie sterujące oświetleniem.

Głęboko pod blatem pierwszego stolika operatorskiego ukryła miniaturowy magnetofon. Był wielkości zaledwie pudełka zapalek i obsługiwało się go pilotem. Na znajdującej się w nim taśmie znajdowało się pół godziny nagranych wcześniej w bibliotece odgłosów charakterystycznych dla biura: kroków, otwierania i zamykania szuflad, skrzypienia i przesuwania krzesel, pisania na komputerze.

Gdy skończyła, zerknęła na zegarek. Nie było jej osiem minut. Chwyliła notatki i popędziła z powrotem do swego anioła stróża.

\*

Tej nocy, kiedy Gordon zapadł w głęboki sen, Liz cicho wymknęła się z domku i skryła w cieniu pod jodłą rosnącą obok budynku administracyjnego. Powietrze było chłodne i przepojone wilgocią.

Czas płynął powoli.

Odświeżyła w pamięci wszystkie szczegóły swego planu. Zdawało się jej, że niczego nie pominęła. A może w ogóle przyjęła błędne założenia. Może zastawienie pułapki miało się z celem.

Nagle coś poruszyło się między drzewami.

Wytężyła wzrok, starając się coś dostrzec. Ktoś wyłonił się zza rogu klubu!

Przywarła do ziemi. Postać otworzyła drzwi budynku administracyjnego. Tymczasem ona, posługując się pilotem, uruchomiła urządzenia umieszczone uprzednio w sali komputerowej. Światło zapaliło się, a więc zapewne i z magnetofonu zaczęły dobiegać głosy świadczące o tym, że w środku ktoś jest.

Kiedy wszedł do biura, podkraśla się bliżej. Przy oknie nasunęła gogle na oczy, włączyła reflektor podczerwieni i zajrzała do wnętrza.

Natychmiast go zlokalizowała. To był mężczyzna, przyczajony przy wejściu do sali komputerowej, skąd sączyło się światło. Nasłuchiwał wyraźnie. Nie była jednak w stanie rozpoznać jego twarzy.

Wreszcie jednak zmienił pozycję i natychmiast go poznała.

Gordon!

Wściekła i pełna obrzydzenia obserwowała, jak podkraść się do jednego z komputerów w recepcji i włączył go. Wiedziała, co planuje: dostanie się do systemu wykorzystując swój kod a wówczas będzie mógł sprawdzić, czym Liz zajmuje się w pomieszczeniu obok. Musiała zniknąć, zanim odkryje, że został wyprowadzony w pole.

Ruszyła biegiem, rozglądając się po uśpionym obozie, nabrawszy już pewności, że jest systematycznie oszukiwana. Na początku to miejsce napawało ją nadzieją. Teraz jednak myślała już inaczej. Ktoś, kto monitorował rozmowy z publicznego telefonu, poinformował Gordona o jej próbach dodzwonienia się do Santa Barbara. A więc i Rancho ją zawiodło.

Co Gordon usiłował przed nią ukryć?

Dlaczego nie był z nią szczery?

Zaufała mu, a on stale ją okłamywał.

W głębi serca wciąż tęskniła za Gordonem takim, jakiemu bezgranicznie wierzyła i jakiego podziwiała w Santa Barbara. Teraz poważnie wątpiła, czy kiedykolwiek mieli ze sobą romans. Złote obrączki były świetnym pomysłem - romantycznym i przekonującym. Co więcej, utwierdziły ją w wierze w jego dobre intencje.

A gdzieś tam w głębokim cieniu czaił się Mięsożerca...

Dzięki wielokierunkowemu szkoleniu na Rancho wiedziała teraz, jak podstępne i perfidne może być w swych działaniach Langley. Gordon potrafił zapewne zaaranżować atak na jej mieszkanie w Santa Barbara i sfabrykować dossier utwierdzające ją w przekonaniu, że Mięsożerca dybie na jej życie. Ten napastnik w Santa Barbara, którego rzekomo zabiła, mógł użyć sztucznej krwi. Gordona stać było nawet na prawdziwy postrzał, by uprawdopodobnić całe to przedstawienie. Poza tym atakiem i dossier nie było bowiem żadnych dowodów na to, że Mięsożerca w ogóle istnieje, nie mówiąc już o jego zamiarach wobec jej osoby.

Musiała przede wszystkim dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Każdy ma przecież do tego prawo. Wystarczyło się tylko urodzić. Teraz wiedza ta była jej potrzebna bardziej niż kiedykolwiek, bo sądząc z zachowania Gordona jej utracona pamięć musiała zawierać informacje o tym, co planowali w Langley.

\*

Mimo ciemności panujących w domku poruszała się sprawnie. Do pasa przypięła nóż i menażkę, a do plecaka spakowała reflektor podczerwieni, kompas, nożyce do cięcia drutu, berettę i portfel Gordona z pieniędzmi oraz kartami kredytowymi. Gogle wciąż wisały jej na szyi.

Wyjrzała przez okno, sprawdzając, czy nie nadchodzi opiekun. Nie zauważyła

żadnego ruchu. Uchyliła więc drzwi.

Nagle z ciemności wystrzeliła pięść. Pchnęła drzwi, chcąc w nią trafić.

Gordon błyskawicznie wycofał rękę i stanął w wejściu.

- Z powrotem do środka! Nigdzie się stąd nie ruszysz! - Pchnął ją tak silnie, aż się zatoczyła. Kipiał wściekłością. Jego słowa były ostre jak brzytwa.

Znów złamała obowiązujące zasady, na domiar złego wystrychnęła go na dudka.

Wystrychnęła na dudka swojego guru.

Nienawiść dławiała gardło dziewczyny, ale nie zwracała na to uwagi. Znów ruszyła w stronę drzwi. Wiedziała, że musi wyrwać się z Rancho.

- Wyjeżdżam stąd, Gordon.

- Żebyś się nie przeliczyła! - Chwyił ją za ramię i zawrócił. - Zrobisz to, co ci każę!

- To już koniec. Przestałam ci wierzyć. - Bezskutecznie starała się oswobodzić. - Nie chcę mieć nic wspólnego z tym, czym się zajmujesz!

- Ty suko. Ty głupia, arogancka suko! - Wściekły chwycił za paski plecaka starając się zerwać go z jej pleców.

Błyskawicznie zareagowała. Chwyliła mężczyznę za koszulę, zablokowała jego stopę swoją i mocno go pchnęła. Padł na wznak.

- Liz!

- Odpieprz się, Gordon.

Zanim zdążył się pozbierać, wypadła na zewnątrz.

- Liz, kochanie! - zawołał za nią znów łagodnym i przyjemnym tonem. - Wracaj. Musisz zażyć lekarstwo!

- Pieprz się z lekarstwem.

Pędziła w ciemnościach, kierując się na południowy zachód, ku światłom zabudowań, gdzie spodziewała się znaleźć drogę do cywilizacji i odzyskania własnej osobowości.



## 13.

Nowy, pełniący tymczasowo tę funkcję dyrektor administracyjny Rancho - Asher Flores - spał w swym domku. Śniły mu się ucieczki z chóru kościelnego w niedzielne poranki, mecze baseballa, w których wygrywali Dodgersi, i zabawne opowieści wuja, gdy rodzina jego matki zbierała się na Rosh Hashanah.

Nagle poczuł, że ktoś szarpie go za ramię.

Próbował wrócić do swych sennych wspomnień, ale szarpanie przybrało na sile. Wreszcie otworzył oczy.

Nad łóżkiem stał Gordon Taite.

- Odczep się - mruknął Asher i odwrócił się na drugi bok.

- Wstawaj, Flores.

- Spadaj.

- Wstawaj! To rozkaz!

Asher z ociąganiem otworzył oczy.

- Nie jesteśmy w wojsku, Taite. Wyluzuj się.

Burcząc coś i klnąc pod nosem, zmusił się jednak do wstania. Gordon Taite wspiał się w hierarchii Langley wyżej niż on. Mimo to w innych okolicznościach Asher nie obawiałby się go zlekceważyć, ale teraz nie mógł sobie na to pozwolić. Miał tak serdecznie dosyć Rancho, że na samo wspomnienie tej nazwy zbierało mu się na wymioty. To miejsce doprowadzało do szaleństwa. Dręczyło wprost niewyobrażalną nudą. Do diabła, nawet Dodgersi przegrywali. Jeśli Bremner zamierzał go ukarać pozostawiając w Stanach, to przynajmniej jego ulubiona drużyna powinna zacząć odnosić sukcesy.

Asher włożył koszulę, zaplął spodnie i pasek.

- Dobra, co jest? - zapytał, starając się nadać swemu głosowi przesadnie miłe brzmienie. Zauważył krew na włosach Taite'a. - Co się stało? Obudziłeś kogoś, komu nie spodobało się to jeszcze bardziej niż mnie?

- Powiem ci, kiedy wrócisz do prawdziwej służby - warknął Gordon wściekle.

- Które buty: traperki czy adidasy?

- Traperki.

- Świetnie. O tym właśnie marzyłem. Nocna przechadzka.

Wciągnął buty i zajął się ich sznurowaniem.

- Mógłbyś się szybciej ruszać, Flores. Ludzie zaczynają już mówić na twój temat.

Asher uśmiechnął się odruchowo. Gordon miał zapewne na myśli jego wyczyny w śmieciarce i wprost ostentacyjne lekceważenie przydzielonej pracy. Robił jeszcze wiele innych rzeczy, by zarobić sobie na opinię człowieka nie w pełni odpowiedzialnego. Miał nadzieję, że wieści o tym dotrą do uszu Hughesa Bremnera, a ten zaniepokoi się destrukcyjnym działaniem podwładnego.

- A więc mówią o mnie? Co dokładnie?

- Że zaczynasz świrować.

Asher uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wiedział, że wzbudza obrzydzenie w Gordonie. Taite był typowym twardzielem. Człowiekiem, który jednocześnie całował i pluł. Asher nigdy go nie lubił. Na pozór czarujący, w rzeczywistości był zerem. Ludziom takim jak on nie można ufać.

- Mam nadzieję, że doniosłeś o tym Bremnerowi.

- Oczywiście.

Asher zachichotał w duchu. Może jednak miał przed sobą jeszcze jakąś przyszłość.

- Gdzie jest twoja podopieczna, ta długonoga ślicznotka? Wyobraź sobie, że dzisiaj na mnie wpadła. Jeśli mam już nie spać, wolałbym popatrzeć sobie na nią, a nie na ciebie.

Głos Gordona ciął powietrze niczym bat:

- Liz uciekła. Musisz pomóc mi sprowadzić ją z powrotem.

\*

Asher Flores kiedyś zajmował się wyłącznie operacjami w terenie, lecz Hughes Bremner za karę wysłał go do tego cholernego obozu treningowego gdzieś na końcu świata. Nielatwo mu przychodziło przestrzeganie dyscypliny; z największą przyjemnością robił wszystko, aby się od niej wykręcić. Liczył, że wreszcie doczeka się jakiejś awaryjnej sytuacji, kiedy Bremner będzie zmuszony ponownie skorzystać z jego umiejętności.

Może właśnie taka chwila nadeszła.

- Powiedz mi więc o tej Liz... Sansborough, prawda?

Asher wcisnął się do centrum kontrolnego, gdzie cała ściana monitorów pokazywała ujęcia z rozmieszczonych na terenie obozu kamer na podczerwień.

- Widzisz to? - Taite wskazał punkcik na jednym z ekranów, posuwający się na południowy zachód. - To ona. Kiedyś była dobrą agentką, ale później miała problemy ze swoją psychiką. Jest nam potrzebna do operacji szczególnej wagi. Nasz lekarz twierdził, że wszystko już z nią w porządku. A jeśli nie, wyjdzie to podczas szkolenia. No i przekonaliśmy

się, do cholery. Skontaktowałem się już z nim. Leci tu.

- Załamała się?

Gordon przytaknął.

- Dziś wieczorem. Nie była w stanie wytrzymać napięcia. Szkoda. W każdym razie musimy podać jej teraz odpowiednie leki, by od nowa zacząć rehabilitację.

Asher przyglądał się obrazowi na monitorze.

- Mam wrażenie, że kieruje się w stronę Dziesięciu Skalpów. To ta wioska położona na południowym zachodzie.

Ku zdziwieniu Gordona dyrektor administracyjny przysunął sobie fotel, rozsiadł się na nim, wsparł nogi na biurku i zatopił wzrok w ekranie. Nie zwracał najmniejszej uwagi na pełne złości spojrzenia Taite'a, a gdy ten już, już otwierał usta, powiedział spokojnie:

- Nie ma sensu po omacku szukać w ciemnościach. Zdażymy ją złapać. Co powiesz na kawę? Kofeina to najlepszy narkotyk.

\*

Kiedy Liz pędziła przed siebie w ciemnościach, jej myśli krążyły wokół Gordona. Z pewnością zdażył już powiadomić ochronę. Ale jeśli to zrobił, dlaczego nie słyhać żadnych odgłosów alarmu? Było to dla niej niepojęte. Chyba że Gordon chciał chronić swą dumę... lub miał inny sposób na jej pochwycenie...

Zaniepokojona zwolniła do szybkiego marszu. Brakowało jej tchu, ale nie dlatego, że zmęczyła się biegiem. Denerwowała się, że nie może rozgryźć strategii, jaką zastosował Gordon. Zdawała sobie też sprawę, że ma przed sobą całe godziny wędrówki, więc powinna oszczędzać siły.

Rozglądała się uważnie w poszukiwaniu kamer i czujników, w każdej chwili spodziewając się przenikliwego pisku alarmu. Księżyc świecił na tyle jasno, że nie miała problemów z orientacją. Pokonywała strome wzniesienia i połoniny. Przeskakiwała strumienie zasilane śniegiem topniejącym gdzieś w wysokich partiach Gór Skalistych. Od czasu do czasu słyszała odgłosy pierzających w panice zwierząt. Raz dostrzegła nawet stadko jeleni. Często popijała wodę z butelki i tylko raz przystanęła, aby zrobić siusiu.

Natknęła się na jedną z budowli Rancho - wieżę spadochronową. Ominęła ją szerokim łukiem. Nigdzie nie zauważyła śledzących ją urządzeń. Może systemy bezpieczeństwa zamontowano tylko w pobliżu ogrodzenia.

Wreszcie dotarła do wysokiego, betonowego muru. W półmroku zdawał się niemal sięgać nieba. Na jego szczycie dodatkowo znajdowało się kilka rzędów drutu kolczastego. Nasunęła gogle i włączyła reflektor podczerwieni. Poszukując czujników i kamer omiotła nim

ogrodzenie i teren wokół niego.

Wreszcie dostrzegła kamerę krótkiego zasięgu. Chwilę później wypatrzyła drugą. Obie ulokowano wysoko na jodłach, skąd mogły skutecznie obserwować przyległą okolicę, będąc prawie niewidoczne zarówno z ziemi, jak i z powietrza.

Przywarła do ziemi, analizując sytuację. Wreszcie do głowy przyszła jej dobra myśl. Rozgarnęła igliwie aż do gleby. W tym tygodniu dużo padało, więc gliniasta ziemia była miękka i wilgotna.

Chwyciła jej garść i wspięła się na pierwsze z drzew. Rozsmarowała błoto na obiektywie niemal całkowicie go przykrywając. Później zrobiła to samo z drugą kamerą. Jeśli dopisze jej szczęście, strażnicy stwierdzą, że nastąpiło naturalne zabrudzenie i, dopóki ktoś nie przyjdzie, aby je usunąć, nie zobaczą, co dzieje się na odcinku ogrodzenia liczącym ponad sto metrów.

Zeskoczyła na ziemię. Sprawnie wspięła się na mur i stanęła na jego szczycie, unikając dotknięcia rzędu drutów kolczastych. Reflektorem omiotła ogrodzenie.

Zobaczyła je, tam gdzie się tego spodziewała: czujniki wibracyjne - niewielkie metalowe pudełka przymocowane do prętów, na których wspierały się druty. Gdyby ktoś mocniej potracił któryś z nich, natychmiast uaktywniony zostałby alarm.

Odetchnęła głęboko i przecięła nożycami jeden z drutów. Uważnie obserwowała zegarek i gdy upłynęła ponad minuta, dokonała kolejnego cięcia, tworząc metrowej szerokości wylom. Przerwa w działaniu miała zwieść strażników, którzy - gdyby nawet zauważyli drgania - powinni uznać, że spowodował je silniejszy podmuch wiatru bądź też jakieś niewielkie zwierzę.

Pewnym ruchem wrzuciła nożyce do plecaka i przez powstałą dziurę prześlizgnęła się pomiędzy rzędami drutów.

Zeskoczyła z drugiej strony muru. Nim ktoś zauważy, że fragment ogrodzenia został przecięty, ona będzie już daleko stąd. Szybkim krokiem pokonała dość strome wzniesienie i skrajem doliny podążyła ku zabudowaniom, których światła tak ją intrygowały.

Gdy na horyzoncie pojawiła się różowa zorza, dotarła do pierwszych budynków. Marzyła o prysznicu i śnie w pokoju motelowym, ale wiedziała, że wtedy Gordon nie miałby żadnych trudności z jej odnalezieniem.

Była spocona i wyczerpana, lecz z radością wciągała do płuc powietrze pachnące wolnością. Zamierzała w praktyce wykorzystywać wiedzę, którą wpoił jej Gordon i pozostali nauczyciele na Ranchu. Miała przed sobą dwa cele: rozszyfrować znaczenie swoich wspomnień oraz dowiedzieć się, co zrobił jej Gordon. A przy okazji poznać motywy jego

działania.

Nie zamierzała pozwolić temu draniowi na realizowanie jego planów, choćby wymagało to od niej ogromnych poświęceń.

**Część druga**

**Asher Flores**

## 14.

Liz maszerowała szybko poboczem drogi, która wcześniej przecięła górskie miasteczko. Znow zwolniła i wyrównała krok. Pokonała kolejne pół kilometra, gdy do jej uszu dobiegł odgłos silnika samochodu nadjeżdżającego z południa. Uskoczyła z drogi między drzewa. Przykucnęła, by nie rzucać się w oczy. Pot sływał jej po czole. Czekala.

Wreszcie zobaczyła wóz. Do cholery, to dżip. Mógł przybyć z Rancho. Zaczęła przekradać się w głąb lasu.

Samochód zatrzymał się tymczasem na poboczu.

W skroniach dudniła jej krew, gdy padła na ziemię, na grubą warstwę liści, i zaczęła się czołgać. Ostre gałęzie szarpały jej ubranie i raniły skórę. Za plecami słyszała męskie głosy: rozmowy i nawoływania. Nikt się nie troszczył o zachowanie ciszy. To właśnie ją przerażało.

Pot przesiąkał przez spodnie i bluzkę. Oddychała ciężko. Strach paraliżował ruchy. Zdołała odczołgać się jakieś sto metrów od skraju lasu, gdy nagle usłyszała, że ktoś jest przed nią. Później czyjeś kroki z prawej i lewej.

Zawróciła. Gdyby udało jej się dotrzeć z powrotem do drogi, może nikogo nie byłoby przy dżipie...

Nagle zapadła idealna cisza. Nie słyhać była nawet żadnego owada ani ptaka. Ciemny las stał się wrogi, przygnębiający, groźny.

Zamarła zlna potem. Gdzieś z przodu trzasnęła złamana gałązka. Chciała znow zmienić kierunek, jak najdalej od źródła dźwięku. Jak najszybciej...

Niespodziewanie z kępy zarośli z prawej strony wyskoczył Gordon. Wylądował na jej plecach z taką siłą, że aż zabrakło jej powietrza w piersiach. Jednocześnie z lewej wyłonił się drugi mężczyzna - dyrektor administracyjny.

Starala się walczyć.

Ale obaj działali błyskawicznie i niezwykle fachowo. Obrócili dziewczynę na plecy. Dyrektor przygniótł jej nogi do ziemi, a Gordon unieruchomił tułów.

- Do cholery, Gordon! Puszczaj! - wyjęczała, jednocześnie starając się oswobodzić ręce.

- Uspokój się, Liz - przemówił spokojnie doktor Levine, który właśnie wyszedł zza

drzewa.

- Co pan tu robi!?

- Nie jesteś sobą, Liz. - Doktor postawił na ziemi swą czarną torbę i uniósł do góry strzykawkę.

- Jezu Chryste! Co wy mi robicie! - Popatrzyła dziko na strzykawkę, a później na lekarza, który ją trzymał.

- Potrzebujesz trochę czasu, żeby się z tego otrząsnąć, kochanie - rzekł Gordon swym pełnym ciepła tonem. Uśmiechnął się lekko.

- Puszczajcie! - wrzasnęła kopiąc i wijąc się, ale Gordon i Flores trzymali ją mocno.

- Trzeba ją zupełnie unieruchomić! Muszę zrobić zastrzyk!

- Proszę się uspokoić. Jest nas trzech. Nie masz szans na ucieczkę - odezwał się ten z kanciastą twarzą, czarnymi, gęstymi włosami i takimiz brwiami. Asher Flores. To on był bliski schwywania jej, gdy po raz pierwszy włamała się do budynku administracyjnego.

- Wy sukiny! - wrzasnęła. - Ładujecie we mnie jakieś narkotyki...

Gordon dłonią zasłonił jej usta.

- Doktorze, teraz!

Levine, nie zważając na panterkowe spodnie, wbił igłę w udo Liz.

Już po kilku sekundach zaczęła odczuwać działanie wstrzykniętego środka. Nie pozwalała swemu ciału przyjąć tej substancji, lecz powoli zaczynała tonąć w senności niczym w gorącej kąpieli. Docierał do niej jeszcze głos doktora. Spróbowała odwrócić głowę w jego stronę, by zapamiętać... coś... ale powieki były już bezwładne.

- Zobacz, jak wygląda jej mały palec - powiedział ktoś. Chyba Flores. - Złamała go teraz?

Rozjuszony Gordon oddychał głośno.

- Nie, kilka tygodni temu. Czy straciła już świadomość, doktorze? Wschodzi słońce. Musimy się stąd wynosić.

Poczuła, że badają jej puls.

Głos Levine'a stawał się coraz bardziej odległy.

- Możecie być spokojni, chłopcy. Jest już pod skrzydłami Morfeusza.

\*

Asher Flores jadł śniadanie w obozowej kafeterii i zastanawiał się, co robić. Nie przejmował się tym, co istotnie było najważniejsze - Życiem przez duże Ż. Gnębiły go drobne sprawy, jak choćby kwestia spędzenia dzisiejszego dnia.

To właśnie takie drobnostki doprowadzały go do szaleństwa.



Miał dwadzieścia dziewięć lat. Był synem Żydówki - emigrantki z Polski - i Meksykanina - fanatycznego wprost katolika. Wyrósł na macy i tortilli, kniszu oraz burrito. Do ósmego roku życia chodził na przemian do kościoła i do synagogi. Wówczas to postanowił nie odwiedzać więcej ani jednego, ani drugiego. Miał już świadomość, że jeśli nie wycofa się wystarczająco wcześnie, kiedyś stanie przed koniecznością dokonania wyboru.

Wtedy wraz z rodziną mieszkał w południowej części Los Angeles, gdzie strzelaniny i zbrodnie traktowane były jako popołudniowa rozrywka. W szkole podstawowej trzymał z grupą wietnamskich łobuziaków i zapewne między innymi z tego powodu rodzice przeprowadzili się do konserwatywnej Mission Viejo w hrabstwie Orange. Tam zaprzyjaźnił się z trzema francuskimi rówieśnikami, których rodziny codziennie, z wyjątkiem Dnia Czwartego Lipca, wywieszały trójkolorową flagę. Bardzo mu się to podobało. Pomógł chłopcom zorganizować w szkole drużynę piłki nożnej, a oni w podziękę podarowali mu koszulkę z wizerunkiem wieży Eiffla.

W szkole średniej jego najlepszym przyjacielem został z kolei chłopak z Niemiec Zachodnich.

Na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego zajmował się stosunkami międzynarodowymi, co dawało mu możliwość poznawania ludzi ze wszystkich kontynentów. Właśnie tam został zwerbowany przez Agencję. Spodobało mu się ich motto: szukamy ludzi, którzy pomogą nam wprowadzić demokrację na całym świecie.

W okresie skandali lat osiemdziesiątych pracował na terenie Europy, więc nie miał nic wspólnego z aferą Iran-contras. A i tak właściwie dobiegła już końca, zanim rozpoczął służbę. Jak wszyscy śledził w prasie doniesienia na ten temat i słuchał plotek rozpowszechnianych przez współpracowników, ale tak naprawdę nigdy nie pojął, jak komuś udało się wplątać Firmę w tę przestępczą, nie przystającą agentom działalność.

Asher był dumny z faktu, iż jest jednym z najlepszych pracowników operacyjnych Hughesa Bremnera. Nie miał najmniejszych obiekcji w związku z powołaniem kobiety na stanowisko dyrektora Agencji. Uznał, że przyszedł już na to czas. Miał pełne zaufanie do Langley. Według niego celem wszelkich tajnych operacji było zaktywizowanie nieświadomych, nauczenie ludzi inaczej patrzeć na świat, wsparcie chwiejnych demokracji i dopilnowanie, aby zło nie miało szans na odniesienie zwycięstwa.

Cóż było w tym złego?

Asher starał się nie komplikować sobie życia, ale też i nie ułatwiać go specjalnie.

Gdzieś w głębi ducha tęsknił bowiem za trudnym przecież dla niego okresem w Los Angeles, kiedy to drobny, żydowsko-meksykański chłopak musiał pięściami torować sobie

drogę do szkoły i domu. Kiedy przyjaźnie zawierało się na całe życie.

Kiedy, budząc się, nigdy nie wiedział, co przyniesie dzień.

W jego naturze leżało łamanie wszelkich zasad. Dawało mu to nie tylko gwarancję bardziej urozmaiconego życia, ale i pozwalało kierować się intuicją. Najlepszymi agentami byli ci, którzy oprócz umysłu posługiwali się właśnie przecuciami. A Asher często na nich polegał. Według Hughesa Bremnera nawet zbyt często. To właśnie dlatego męczył się na tym zapomnianym przez Boga Rancho.

Nie tylko KGB miało własne gułagi.

Teraz jadł śniadanie. Nie wyspał się wskutek rannego wtargnięcia Gordona Taite'a i nocnej eskapady, ale mimo to miał ochotę pobiegać. Później zamierzał wypróbować nowy sprzęt do przygotowania terenu pod nową salę gimnastyczną, który Wuj Sam dostarczył wczoraj.

Może sprawdzi też, jak pracuje personel. Przecież w końcu był ich zwierzchnikiem.

Wyszedł ze stołówki i zamyślony okrążył maszt flagowy. Do meczu Dodgersów pozostało jeszcze mnóstwo czasu, więc musiał się czymś zająć. Gdy mijał niewielki budynek izby chorych, pomyślał o Liz Sansborough.

Niezła dziewczyna. Szkoda, że ześwirowała.

Gdy skończył drugie okrążenie wokół masztu, doszedł do wniosku, że właściwie nie cierpi Taite'a. Zawsze uważał go za odpychającego, lecz sposób, w jaki Taite traktował Sansborough w drodze powrotnej sprawił, iż poczuł do niego odrazę. Zapewne Gordon siedział teraz nad nią w izbie chorych i delektował się swoim zwycięstwem, choć według słów doktora będzie ona spać jeszcze przez kilka godzin.

Przyszło mu do głowy, że Taite ma skłonności sadystyczne.

Tak, to bardzo prawdopodobne.

Kiedy skończył trzecie okrążenie, splunął i ruszył do swojego biura. Nagle uderzyła go jakaś myśl. Intuicyjnie wyczuł, że Gordon coś knuje.

Jako ekspert w dziedzinie samodzielnej działalności operacyjnej, Asher wyrobił w sobie szósty zmysł reagujący na takie sytuacje. Czyżby Taite prowadził jakąś prywatną rozgrywkę? Jeśli tak, nie miałby nic przeciwko pokrzyżowaniu mu planów. Zasiadł przed komputerem i zamyślił się. Chyba najlepiej zacząć od początku. W grę musiało wchodzić coś związanego z tą dziewczyną.

Wydał polecenie wyświetlenia informacji na temat Elizabeth Sansborough. Tekst błyskawicznie pojawił się na ekranie. Po standardowym wstępie przeczytał opis jej dzieciństwa. Została wychowana tradycyjnie. Natrafił jednak na coś, co wzbudziło jego

podejrzenia: mały palec lewej dłoni został złamany i zrósł się nieprawidłowo, gdy była jeszcze dzieckiem.

Ale Taite powiedział przecież wyraźnie, że doszło do tego zaledwie przed kilkoma tygodniami.

Asher uśmiechnął się. Zwęszył trop. Jeśli dopisze szczęście, Gordon Taite będzie miał poważne kłopoty.

## 15.

Trzyosobowy zespół urzędników biura administracyjnego funkcjonował niezależnie od Ashera. Uaktualniali dane, wyliczyli urlopy i rozpatrywali prośby i podania członków personelu technicznego. Kiedy szef raczył do nich zajrzeć, sprawiali wrażenie, jakby w ogóle go nie zauważali. Dobrze, że przynajmniej nie przeszkadzał w pracy. Było jasne, że Asher nie ma pojęcia, co powinien robić dyrektor, i raczej nie pała chęcią dowiedzenia się tego. Jeśli miał to być dowcip Langley, to personel nie mógł się w tym doszukać niczego zabawnego.

Cały zespół z niecierpliwością czekał na przełożonego z prawdziwego zdarzenia.

Dobrze chociaż, że Flores umiał posługiwać się komputerem. Tyle tylko, że gdy siadał do niego, marnotrawił czas na gry takie jak Hammurabi, Harpoon czy jego ulubiony Jet Flight Simulator. Trudno go było za to wszystko szanować. Tego ranka, gdy jeden z urzędników zauważył, że dyrektor czyta czyjeś dane personalne, odetchnął z ulgą i przekazał radosną wieść współpracownikom. Może jeszcze była jakaś nadzieja.

Asher nie zwrócił uwagi na ten wybuch cichej radości. Czytał z uwagą. Niestety, nie udało mu się natrafić na nic podejrzanego, z wyjątkiem owego palca. Ale przecież nie znał bliżej Sansborough, więc wykrycie jakichś innych nieścisłości graniczyłoby z cudem, chyba że tkwiły one w samym dossier.

Mimo wszystko było tam coś, co bardzo go zaintrygowało: ostatnia informacja pochodziła sprzed trzech lat. Od tego czasu cisza. Może właśnie wtedy Sansborough zaczęła mieć problemy z własną psychiką?

Aby wyjaśnić te wątpliwości, tak na wszelki wypadek, połączył się z zainstalowaną w Langley, wartą dziesiątki milionów dolarów Connection Machine 5 - potężnym komputerem wieloprocessorowym o mocy obliczeniowej znacznie przewyższającej większość superkomputerów. Podczas ostatniej wizyty w siedzibie CIA widział to urządzenie - czarny sześciątka najeżony czerwonymi kontrolkami. Teraz walczył z nim, jak na razie bezskutecznie, o dostęp do znajdujących się tam danych o Liz Sansborough. Wreszcie doszedł do wniosku, że musi posłużyć się ściśle tajnym kodem dającym mu błękitny szczebel dostępności, który przydzielono mu wraz z nowym stanowiskiem.

CM-5 nie miał już oporów i wypuł z siebie żądane informacje, które niczym prawie nie różniły się od tych dostępnych na Ranchu. Tyle tylko, że zawierały umieszczone na końcu

dwa dodatkowe akapity.

Pochylił się w fotelu, gdy czytał pierwszy z nich. Ta wiadomość była dla niego prawdziwym zaskoczeniem: jakieś trzy lata temu agentka CIA Liz Sansborough zakochała się w niezwykle niebezpiecznym mordercy używającym pseudonimu „Mięsożerca” i przeszła na jego stronę.

Asher odczekał, aż ta rewelacja na dobre do niego dotrze, po czym jeszcze dwukrotnie przeczytał akapit, by go zapamiętać. Odchylił się i cicho zagwizdał. Ta laska była więc zdrajczynią. Zakochała się w najlepiej opłacanym na świecie zabójcy. Porzuciła wszystko, w co do tej pory wierzyła, by bawić się z nim w dom.

W zamyśleniu skrobał policzek. Nie ogolił się, więc skóra była szorstka niczym papier ścierny.

Co, u diabła, Liz Sansborough tu robiła? Gordon Taite twierdził, że ma problemy ze zdrowiem psychicznym. Mając Mięsożercę za kochanka? Nic w tym dziwnego. Musiała jednak znów przejść na stronę Agencji. Może chciała jej pomóc? Ale jeśli raz zdradziła, nie wolno było zaufać jej ponownie.

Zrezygnował z czczych rozważań i przeczytał ostatni akapit: w ubiegłym miesiącu za pośrednictwem Liz Sansborough Mięsożerca przekazał informację, iż oboje chcieliby uzyskać schronienie w jednym z czterech krajów: Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Francji lub Wielkiej Brytanii. W zamian za nową tożsamość i dostatnie życie Mięsożerca obiecywał powiedzieć wszystko, co wie.

Wiadomość kończyła się lakonicznym stwierdzeniem: „Mięsożerca przyjął ofertę Stanów Zjednoczonych”. Później wyliczono szereg dat. Ostatnią była dzisiejsza. Sansborough odgrywała w Paryżu rolę posłańca, w te właśnie dni przekazując „dowody” szczyrych intencji swego kochanka.

A to oznaczało, że prawdziwa Liz Sansborough nie mogła znajdować się tu, na Ranchu. A może jednak była tu?

\*

Izba chorych mieściła się w dużej chacie zbudowanej z bali. Znajdowała się w niej salka z sześcioma łózkami, izolatka, gabinet lekarski oraz laboratorium. Pachniało tam środkami dezynfekcyjnymi i jakąś trudną do określenia mieszaniną chemikaliów.

Asher nerwowo kręcił się po maleńkiej poczekalni. Kiedy pojawił się poznany ubiegłej nocy doktor - Allan Levine - poprosił go o dopuszczenie do Liz Sansborough.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Jest nieprzytomna. Przetrzymamy ją przez jakiś czas w tym stanie.

- Dlaczego?

Doktor był już po pięćdziesiątce, lecz jego pociągła, koścista twarz sprawiała wrażenie młodej. Na moment przerwał sporządzanie zapisków i ze złością machnął ręką w stronę Ashera.

- Młody człowieku, to chyba ja jestem lekarzem. Sam zdecyduję, kiedy będzie mogła przyjmować gości.

- Muszę ją o coś zapytać. Zajmie mi to tylko chwilę. To ważne.

- Jej zdrowie jest dla mnie znacznie ważniejsze.

Levine odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

- Miło nam się rozmawiało - mruknął Asher, gdy doktor zniknął w korytarzu.

Jeśli znajdowała się rzeczywiście w tak poważnym stanie, powinna zostać umieszczona w izolatce, pomyślał. Rozejrzał się, przyłożył ucho do drzwi i po chwili nacisnął klamkę.

Gordon Taite siedział przy oknie i pisał coś w swym notatniku. Spojrzał spode łba na wchodzącego.

- Co jest, do diabła...

- Świetnie. Właśnie cię szukałem. O co chodzi z tą Liz Sansborough?

- O czym ty mówisz?

- Przekazano mi, że chce się ze mną widzieć. Gdzie ona jest?

Taite zamrugnął powiekami.

- Chyba żartujesz. Przecież nawet cię nie zna. Co ty kombinujesz... wpakować się do jej łóżka? Lepiej się stąd wynoś, Flores!

Asher uśmiechnął się. Warto było spróbować. Teraz miał już pewność, że dziewczyny nie ma w izolatce. Zdecydował się zagrać z Gordonem w otwarte karty:

- Posłuchaj, bracie. Nie wiem, co z nią naprawdę jest. Wcale nie wygląda mi na wariatkę. Przecież świetnie radziła sobie ze szkoleniem. Właśnie czytałem jej dossier i...

Gordon wstał i zaczął wolno zbliżać się do Ashera. Ten odruchowo dał krok do tyłu. Taite był wkurzony. Gdy tracił nad sobą panowanie, wyglądał naprawdę groźnie.

- Powierzono jej ściśle tajne zadanie, które nie powinno cię interesować. Jasne? To nie twój zasrany interes. A teraz zejdź mi z oczu, zanim złożę na ciebie raport!

Opiekun Liz oddychał ciężko. Naprawdę trzeba było mieć się przed nim na baczności.

Asher wrócił do budynku administracyjnego. Znow zasiadł za swoim biurkiem. W porze lunchu, gdy został sam, zatelefonował do Hughesa Bremnera, do Langley. Ale szefa nie było. Wyjechał do Paryża w jakiejś pilnej sprawie, która mogła zająć mu sporo czasu. Do

diabła.

Poskrobał szczecinę na policzku, tak czarną i gęstą jak jego fryzura.

Bremner był w stolicy Francji, a z dossier Sansborough wynikało, że tam właśnie docierały wiadomości od Mięsożercy. I dzisiaj spodziewano się kolejnej. Nie trzeba być Einsteinem, by domyślić się, że Bremner poleciał tam, by spotkać się z jakąś lalą podającą się za Liz Sansborough i odebrać od niej najnowsze wieści od Mięsożercy.

\*

Jedząc lunch, Asher nałożył na uszy słuchawki i śledził relację z meczu Dodgersów. Właśnie przegrywali z Houston trzy do jednego. Zjadł dwie kanapki z tuńczykiem, paczkę frytek, kiwi i wypił dwie mrożone herbaty z cytryną. Kiedy skończył, wynik pozostawał bez zmian. Postanowił, że wysłucha już całego sprawozdania. Zdążył zjeść trzy czekoladki, nim mecz dobiegł końca. Dodgersi przegrali cztery do jednego.

Co za gówniany dzień.

Powędrował z powrotem do izby chorych. Może tym razem uda mu się zobaczyć z Sansborough? Mijał akurat maszt, gdy dostrzegł roześmianego od ucha do ucha Gordona.

- Flores, mam coś dla ciebie. Właśnie przyszło.

Taite wręczył mu kartkę papieru. Był to przefaksowany rozkaz z Langley, aby Asher niezwłocznie stawiał się na Spitzbergenie. Tam dopiero czekała go prawdziwa nuda, niekończąca się zima i mroźne wichury. Langley nie mogło go już wysłać do gorszego gwałgu.

- Tam przydzielę ci nowe zadanie. *Bon voyage*, Flores - rzekł z nieukrywanym rozbawieniem Taite. Splótł ramiona. Jego uśmiech stał się jeszcze radośniejszy.

- Dziękuję, Gordon. Mogę cię ucałować?

\*

Po powrocie do biura Asher zdołał przekonać CM-5, by udostępnił mu dossier Mięsożercy. Przeczytał je pospiesznie. Nic ciekawego - spekulacje dotyczące jego osoby i wykaz mokrych robót, które mu przypisywano.

Tylko jedna ciekawa informacja: zabójca przez trzy ostatnie lata nie wykonał żadnego zadania. A właśnie trzy lata temu Sansborough przeszła podobno na jego stronę. To chyba raczej nie był zbieg okoliczności. Musiał istnieć związek między tymi zdarzeniami.

Zdecydował się wydrukować dane Mięsożercy. Gdy drukarka wypluwała kartkę za kartką, niespokojnie zerkał na drzwi. Gordon Taite mógł pojawić się w każdej chwili w towarzystwie marines, zaciągnąć go do ciężarówki i wysłać gdzieś na kraniec świata. Musiał się spieszyć. Uznał jednak, że warto by mieć jeszcze dossier Sansborough, a przy okazji

wszystkich osób, o których wspomina się w informacjach o niej.

Podwładni ze zdziwieniem spoglądali to na niego, to na drukarkę. Asher nie był w stanie odgadnąć, czy są zaniepokojeni czy tylko zaskoczeni.

- Drobne zadanie powierzone mi przez Langley - wyjaśnił na wszelki wypadek.

Odpowiedzieli uśmiechami. Skoro zaraz jednak powrócili do zwykłej pracy, pomyślał, że nic jeszcze nie wiedzą o spisaniu go na straty. Czekając w napięciu, rozmyślał nad „ściśle tajnym zadaniem, którym nie powinien się interesować”, zleconym Sansborough przez Firmę. Wyglądało na to, że jakaś kobieta podająca się za Liz działała w Paryżu po stronie Mięsożercy. Ale co tamta dziewczyna miała wspólnego z tą?

Przecież owa Sansborough z Paryża musiała cieszyć się pełnym zaufaniem zabójcy, skoro wybrał ją na swego łącznika. Mięsożerca musiał być przekonany, że ma do czynienia z właściwą osobą. Podobnie jak Langley, bo taką właśnie informację zawierało jej dossier.

A jeśli kobieta będąca tu, w Kolorado, to prawdziwa Sansborough? Czy więc paryżanka podszywała się pod nią od trzech lat, odkąd zachorowała? Można było przyjąć i taką ewentualność. Jednak dane Liz wyraźnie stwierdzały, że zakochała się w Mięsożercy i przeszła na jego stronę. Nie do pomyslenia więc było, aby morderca nie rozpoznawał swojej kochanki. Chyba że od samego początku miał do czynienia z tamtą, podstawioną kobietą.

Asher pokręcił głową. Elementy układanki nie chciały trafić na swoje miejsca, ponieważ było ich zbyt wiele. I za dużo młodych kobiet nazywało się Liz Sansborough.

Kiedy drukarka zakończyła pracę, złożył równo wszystkie kartki i schował je do skoroszytu.

Wciąż nie mógł przestać myśleć o tym dupku Gordonie. Kiedy pojawiał się na horyzoncie, rzadko można było spodziewać się czegoś dobrego. Czy więc istniała możliwość, że Taite chce zniweczyć plany Firmy dotyczące Sansborough? Jeśli tak, i Asher zdołałby tego dowieść, wycieczka na Spitzbergen zapewne nie doszłaby do skutku. A przy okazji może sam trafiłby na ślad Mięsożercy? To ci dopiero wyzwanie dla agenta operacyjnego.



## 16.

Tego ranka Lucas Maynard był w Arlington i pocił się jak mysz. Powtarzał sobie uporczywie, że to tylko skutek temperatury, szoku i tej cholernej cukrzycy.

Ale w głębi ducha wiedział, że to objaw strachu.

Znajdował się w kuchni mieszkania Leslee. Właśnie przygotował sobie kubek czarnej kawy, usiadł przy stole i sięgnął po „Washington Post”. Momentalnie zabrakło mu tchu w piersiach i zaczął się pocić jeszcze bardziej. Na pierwszej stronie widniało duże zdjęcie Edwarda Clare’a, a pod nim wydrukowany dużymi literami tytuł:

### WYSOKI URZĘDNIK RZĄDOWY OBRABOWANY I ZAMORDOWANY

Poprzedniego wieczora Maynard usiłował skontaktować się z podsekretarzem w jego domu w Georgetown. Teraz już wiedział, dlaczego nikt nie podnosił słuchawki, a włączała się jedynie automatyczna sekretarka. Żołądek skurczył mu się do rozmiarów pięści. Wraz ze śmiercią Edwarda pogrzebane zostały szanse na łatwe uzyskanie immunitetu.

Przetarł twarz kuchenną ściereczką i zagłębił się w treść artykułu. Według niego nie było naocznych świadków całego zdarzenia oprócz kilku kierowców, którzy twierdzili, że widzieli chłopaka o jasnoblond włosach, na wrotkach, który wpadł na elegancko ubranego mężczyznę idącego obok domu, gdzie mieszkał Edward Clare. Policja ujawniła, że morderca zabrał podsekretarzowi wszystkie kosztowności i zadźgał go nożem.

Ciąg dalszy relacji znajdował się na drugiej stronie, gdzie opublikowano też fotografię zbroczonych krwią zwłok Edwarda.

A co stało się z tym jego cholernym neserem?

Ciało Maynarda po raz kolejny oblała fala potu. Clare z pewnością zostawił kopertę w swoim sejfie, w departamencie. Nie zabierałby do domu tak ważnych materiałów, nie podjąwszy odpowiednich środków bezpieczeństwa.

A może podsekretarz obawiał się, że w biurze ktoś może dotrzeć do materiałów i ubiec go w ich ujawnieniu? To byłoby w stylu Clare’a.

To oraz jego próżność pozwalały przypuszczać, iż przynosił materiały po prostu w zwykłym neserze. Gdyby Edward był rozsądnym człowiekiem, dawno już porzuciłby myśl, że każda piękna kobieta w departamencie jest jego prywatną zabawką.

Przez chwilę w Maynarda wstąpiła nadzieja: może zabił go chłopak któregoś z tych

dziewczyn. Podsekretarza spotkałby los często opisywany w brukowej literaturze, ale jednocześnie oznaczałoby to, że Bremner nie miał nic wspólnego z całą sprawą.

Ale Lucas nie miał złudzeń. To Hughes Bremner polecił zabić Edwarda i w ten sposób wszedł w posiadanie koperty z materiałami obciążającymi Sterling-O'Keefe. A następnym w kolejce do nieba będzie Maynard. Musiał więc działać. I to jak najszybciej.

\*

Leslee wciąż jeszcze spała. Maynard popatrzył na jej rozwichrzone włosy i twarz w kształcie serca. Zagrożone teraz było życie ich obojga.

Wróciła z redakcji o pierwszej w nocy. Była skrajnie wyczerpana. Zdążyła jednak skończyć duży artykuł o służbach wywiadowczych. Następnego dnia wzięła wolny dzień, mogła więc się wyspać.

Kiedy się obudzi, będzie sama w łóżku. Nie mógł dopuścić do tego, by sama jego obecność stanowiła dla niej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Przyglądał się jej z taką czułością i żalem, że coś ścisnęło go za gardło. Znalazł przy niej szczęście po tylu samotnych latach. Teraz nie mógł jej stracić.

Czas uciekać. Nie ma co ujawniać prawdziwej roli Sterling-O'Keefe i niszczyć MASKARADY. Trzeba zapomnieć o immunitecie. Wyrwać się stąd i gdzieś zaszyć. I to jak najszybciej.

\*

Skoro Leslee planowała wziąć wolny dzień, aby pochodzić po sklepach, spotkać się z przyjaciółmi i pozatlatwiać wszystko to co zaniedbała pisząc swój artykuł, Maynard oświadczył, że planuje to samo i na razie zostaje w domu. Nie uwierzyła, ale wiedział, że poczeka, aż sam wyjaśni, o co chodzi... chyba że ciekawość zwycięży.

Zanim się obudziła, czterokrotnie wymykał się do pobliskiej budki telefonicznej i kontaktował się z „przyjaciółmi” z Liechtensteinu, którzy następnego ranka mieli zorganizować bezpieczny, szybki przerzut z Waszyngtonu. Teraz dopiero się okazało, jak bardzo się opłaciły podjęte przez niego wcześniej środki ostrożności. Sąsiedzi z pewnością byli przyzwoici, a to oznaczało, że przynajmniej przez pewien czas nie groziło im tu żadne niebezpieczeństwo.

Bez długów wdzięczności, które nagromadził w ciągu ostatnich czterdziestu lat, nie zdołałby zorganizować ucieczki z kraju. A i tak będzie go to kosztować ogromne pieniądze. Dla siebie i Leslee uzyskał status etatowych kurierów Swissair. Polecą do Zurychu - lotniska położonego najbliżej Liechtensteinu, a później już lądem przedostaną się do tego maleńkiego, górskiego księstwa nad Rodanem. Powinno to być łatwe, skoro granica między

Liechtensteinem a Szwajcarią w praktyce nie istniała.

Tego wieczora wspólnie zjedli kolację, rozmawiali i kochali się w jej łóżku. Na krótko przyjemność pozwoliła mu zapomnieć o zmartwieniach. Tylko wciąż powracała świadomość, że będzie musiał jej wyjaśnić, co dzieje się naprawdę, jakie ma plany i że konieczny jest pośpiech.

Jej drobne ciało było miękkie i ponętne. W jego ramionach przypominała kotkę. Światło z lampki przy łóżku rzucało długie cienie na ściany klimatyzowanej sypialni. Ten pokój do złudzenia odpowiadał wizerunkowi gospodyni - był niewielki, umeblowany z gustem i cholernie nęcący.

- Leslee, podoba ci się Europa?

- Uwielbiam ją. A dlaczego pytasz, kochanie?

- Chciałabyś jutro rano tam polecieć?

Drobna dłoń nagle rozprostowała się na jego obnażonym torsie. Palce były dziecięce, lecz umysł z pewnością należał do dorosłej kobiety. Maynard zawsze zachwycał się tym kontrastem. Ale teraz był wyraźnie zdeprimowany, gdy popatrzyła mu prosto w oczy.

- Coś jest nie tak, Lucas, prawda?

- Miałem nadzieję, że po prostu się zgodzisz. - Przyciągnął ją do siebie. - Muszę opuścić Stany i chciałbym, żebyś wyjechała ze mną. Wycofuję się z interesu. Chyba już czas na emeryturę. W każdym razie wszystko już dzisiaj załatwiłem. Mam w Liechtensteinie nieco oszczędności. Wystarczy dla nas dwojga. Będziemy żyć w luksusie.

Milczała.

- W Liechtensteinie są tylko dwie rzeczy na sprzedaż - piękne widoki i dyskrecja - przemówiła wreszcie. - Masz aż tyle pieniędzy, że musiałeś założyć jakąś fikcyjną firmę tylko po to, by ukryć forszę na rachunku bankowym?

Zignorował wściekłość wyraźnie wyczuwalną w jej głosie i ciągnął:

- Chcę się z tobą ożenić, Leslee. Na świecie nie ma nic, co uczyniłoby mnie szczęśliwszym. Kocham cię. Proszę, powiedz, że za mnie wyjdiesz.

Usiadła na łóżku i przyglądała mu się z poważną miną.

- Kochasz mnie na tyle, by powiedzieć prawdę?

Pytanie zawisło w powietrzu.

Teraz nadszedł czas. Wiedział, że tak będzie, zanim jeszcze zaczął tę rozmowę. Tak naprawdę nie obawiał się tego, co może mu zrobić Hughes Bremner, lecz przerażała go wyłącznie utrata Leslee. Nie potrafił już bez niej żyć. Gdyby musiał się z nią rozstać, życie w ukryciu nie miałyby dla niego sensu.

Opowiadał cichym, pełnym uczucia głosem całą długą historię swej pracy w CIA: młodzieńczą chęć służenia ojczyźnie, bolesne rozczarowania wieku średniego, przekonanie, że jest się oszukiwanym, które sprawiło, iż wielu wspaniałych pracowników Langley odeszło ze służby lub radykalnie zmieniło poglądy, i wreszcie doszedł do narodzin Sterling-O'Keefe i MASKARADY.

- Szef naszego wydziału, Hughes Bremner, postanowił zostać i odebrać od Firmy to, co należało mu się za długie lata poświęceń. Wybrał sobie czterech zastępców: mnie, Adama Risleya, Tada Gormana i Ernie Pinkertona. Działaliśmy w czasie zimnej wojny, obserwowaliśmy, jak Waszyngton gnije od środka i wszyscy czuliśmy się zdradzeni.

Wszystko szło tak łatwo, wydawało nam się, że mamy błogosławieństwo Langley - ciągnął. - Uszczknęliśmy dla siebie miliony dolarów uciulane ze sprzedaży broni do Iranu i dystrybucji narkotyków na terenie Stanów. Powołaliśmy się na zobowiązania, jakie mieli w stosunku do nas BCCI, mafia, handlarze bronią, kongresmeni, firmy ubezpieczeniowe i banki oraz wielu innych. Od samego początku nawiązaliśmy wspaniałe kontakty. Kiedy mieliśmy już wystarczająco dużo forsy, założyliśmy spółkę - Sterling-O'Keefe Enterprises. „Sterling”, by podkreślić jej solidność, a „O'Keefe” dla uczczenia pamięci naszego starego mentora z Langley, Rudego Jacka O'Keefe. Jest już na emeryturze od co najmniej dziesięciu lat. - Zdobył się na lekki uśmiech. - Zwykł nam mówić: „Od szybkości działania przywódcy zależy szybkość wszystkich pozostałych”.

Popatrzył na Leslee. Milczała, a jej twarz przypominała maskę.

- Wszystko było ściśle tajne - ciągnął. - Przejmowaliśmy legalne firmy. Wreszcie Sterling-O'Keefe stał się właścicielem OMNI-American Savings & Loans oraz kompleksu hotelowo-kasynowego Presidents' Palace w Las Vegas i Atlantic City. Zdobyliśmy kontrolę nad Gold Credit Resources, największą w kraju firmą badającą zdolność kredytową, oraz Gold Star Rent-a-Car, jedną z najpotężniejszych międzynarodowych agencji wynajmu samochodów. Nonpareil International Insurance jest także nasza. A te znane firmy dysponują z kolei pakietami kontrolnymi innych. Nie pamiętam już nawet, co wchodzi w skład holdingu. Właściwie nie chcę tego wiedzieć. Ale to pewne, że Sterling-O'Keefe jest jedną z najprężniej rozwijających się spółek na świecie.

Maynard przerwał, ale Leslee dalej zachowywała milczenie. Zdecydował się więc kontynuować:

- Sterling-O'Keefe oficjalnie jest zarządzana przez jednego z błękitnokrwistych kuzynów Bremnera, Lelanda Bremnera Beavera. Ale w rzeczywistości to nasza tajna rada nadzorcza kieruje nią, będąc jej faktycznym właścicielem. Hughes pełni funkcję prezesa. Do

niego należy pięćdziesiąt jeden procent udziałów. Tad, Adam, Ernie i ja dzielimy między siebie pozostałe czterdzieści dziewięć.

- Świetnie - rzekła Leslee. - Idealny układ dla was wszystkich.

- Rzeczywiście, do niedawna tak właśnie było - przyznał. - Ale obecnie pojawił się problem, który zagraża dalszemu funkcjonowaniu Sterling-O'Keefe i MASKARADZIE.

Opowiedział jej o międzynarodowym zabójcy - Mięsożercy - który mógł zniszczyć wszystko, choć nie był dopuszczony do wszystkich tajemnic. Maynard nawet teraz nie zapoznał Leslee z wszystkimi szczegółami. Nie wolno mu było tego robić, ponieważ poznanie całej prawdy byłoby dla niej zbyt niebezpieczne.

- Ale ja i tak zdecydowałem się z tego wycofać, Les. Ze względu na ciebie - powiedział miękko. - Zakochałem się w tobie, i to zmieniło całe moje życie.

Sięgnęła po papierosa i plecami wsparła się o wezglowie łóżka. Jej głos był pełen pogardy:

- A więc to za moją sprawą dostrzegłeś własne błędy? Zabawne, ale nie widzę w tobie tej tak zwanej zmiany, którą się szczycisz. Obok siebie widzę kryminalistę... i tchórza... drżącego o swoje nędzne życie.

Chciał zaprotestować, ale ona ciągnęła dalej podnosząc głos:

- Jeśli teraz uciekniesz, Sterling-O'Keefe dalej będzie gwałcił ten kraj, a ty znikniesz z kradzioną fortuną i swoją dziewczyną, oczywiście jeśli zdołasz ją do tego nakłonić. I twierdzisz, że się zmieniłeś? - Przycisnęła prześcieradło do piersi. - Niedobrze mi się robi na twój widok!

- Próbowałem...

- To przez ciebie zginął podsekretarz!

- Może to był zwykły napad...

- Chciałbyś tego, prawda? W ten sposób czułbyś się rozgrzeszony! - Jej wąskie wargi wykrzywił grymas obrzydzenia. - Co trzymasz w tym sejfie pod moim łóżkiem?

- Dokumenty dotyczące Sterling-O'Keefe i MASKARADY.

- To ty je właśnie skopiowałaś i dostarczyłaś Edwardowi? - Kiedy przytaknął, ciągnęła: - tutaj więc ukrywasz dowody, które mogą zniszczyć Sterling-O'Keefe i MASKARADĘ?

Gdy ponownie kiwnął głową, uderzyła go w twarz. Z całej siły.

Odgłos policzka rozległ się echem w cichej sypialni. Nie podniósł ręki do piekącego miejsca, choć odruchowo chciał to zrobić. Choć cios nie był zbyt bolesny, ugodziła go bardziej, niż mógł przypuszczać.

- Mogłeś przecież mnie zabić! - wykrzyknęła, przewiercając go gorejącym wzrokiem.  
- Jeśli Bremner zamordował podsekretarza stanu za kilka numerów bankowych kont, wyobraź sobie, co zrobiłby, chcąc zdobyć to, co znajduje się pod moim łóżkiem!

Teraz i Maynard wpadł we wściekłość.

- Chroniłem cię! Nikt nie wie, co nas łączy. Nikomu nie udało się wysledzić mnie, gdy tu przychodzę. Jeśli nie rozpowiadałaś o nas, jesteśmy bezpieczni. Mogę to zagwarantować! - Imponowała mu pewność i stanowczość własnego głosu.

- Ty po prostu nic nie rozumiesz, Lucas. Zabieraj to swoje gówno i wynos się stąd. Widzę, że marnowałam swój czas.

Włączyła lampkę po swojej stronie łóżka i w sypialni zrobiło się jasno. Naga podeszła do szafy. Jej drobne piersi drżały, jakby zanosila się płaczem. Wyjęła biały, puszysty szlafrok i otuliła się nim szczelnie, choć w sypialni było bardzo ciepło mimo klimatyzacji pracującej na pełen regulator.

- Czego nie rozumiem? - zapytał cicho.

Jej jasne włosy w świetle lampy wydawały się niemal białe. W białym szlafrocuku, z zaróżowionymi policzkami i twarzą przypominającą serce Leslee wyglądała jak jeden z aniołków z bożonarodzeniowej choinki matki w Terre Haute.

Zapaliła kolejnego papierosa i stanęła w drzwiach.

- Ty nie istniejesz. Stworzyłeś jedynie wizerunek kogoś, kim wydawało ci się, że chcę cię widzieć. Udawałeś, że jesteś tą osobą, w której się zakochałam. Ale przecież twój zawód wymaga uroku i wychwalania pozorowanych wartości, prawda? Jakże głupia byłam dopatrując się w tobie jakichś zmian na lepsze! - Zaśmiała się gorzko. - A ty mówisz, że się zreformowałeś? Kiepski dowcip. Nie potrafiłbyś nawet ujawnić tych materiałów, nie załatwiając sobie najpierw gwarantującego bezpieczeństwo immunitetu. Z twego powodu musiał zginąć biedny podsekretarz, twój „przyjaciel”. - Wyszła do przedpokoju. - Sam jesteś kiepskim żartem, Lucas. Zbieraj się i jak najszybciej stąd wynos.

Nagi podążył za nią do kuchni. Bez niej nie miał po co żyć.

- Cóż innego mogłem zrobić? - starał się tłumaczyć. - Sam przeciw Bremnerowi i całej jego potędze? Całej sieci? Jezu Chryste, Les, ten człowiek ma na całym świecie ludzi, którzy dla niego pracują! Wiem wystarczająco dużo, by go zniszczyć. Wczoraj jego zbiry czekały w moim domu. Już wydał rozkaz zabicia mnie!

Leslee wsypała ziarna kawy do młynka i włączyła go. Hałas towarzyszący temu był głośny, drażniący. Wyłączyła go wreszcie, wsypała kawę do ekspresu i uruchomiła. Zamigotało czerwone światelko i prawie natychmiast kuchnię wypełnił zapach parzonej

kawy.

Zgasiała papierosa, odwróciła się i oparła o blat. Splotła ramiona na piersi i w milczeniu przyglądała się jego nagiemu ciału, a w jej błękitnych oczach bez trudu dało się wyczytać poczucie zawodu. W tych oczach nie było już miejsca na miłość.

- Chcesz, żebym wydał Sterling-O'Keefe i MASKARADĘ? Ujawnił publicznie wszystkie materiały? - zapytał. Nie było to jednak wyłącznie pytanie. Krył się za nim również wyrok śmierci.

Dwoma palcami wyjęła z paczki kolejnego papierosa. Paliła pall malla bez filtra. Tłumaczyła, że odpowiada jej ich zdecydowany, ostry smak. On zaś powtarzał setki razy to, co teraz, w nieco innym znaczeniu, odnosiło się do niego:

- To świństwo cię zabija, Les.

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wypuściła przed siebie chmurę dymu.

- Na paczce umieszczają przynajmniej ostrzeżenie o ich szkodliwości.

Stali tak naprzeciwko siebie milcząc. On nagi, bezbronny", wyraźnie zagubiony, ona zaś okręcona w puszysty szlafrok, z chmurną miną paląca papierosa.

Wreszcie zdecydował się usiąść.

- Mógłbym osobiście udać się do Departamentu Stanu i przedstawić materiały sekretarzowi. Ale to uniemożliwiłoby opuszczenie Stanów. Musiałbym zostać, by składać zeznania i zapewne także samemu stanąć przed sądem. Trafiłbym do więzienia. Wszystko potrwałoby całe lata.

- Wiem - odparła.

- Tego właśnie chcesz?

- Chcę, żeby prawda została ujawniona. - Uśmiechnęła się. A ostre, fluorescencyjne światło stało się nagle łagodne i miłe dla oka. - Poczekam na ciebie, bo mimo wszystko cię kocham.

Odpowiedział na uśmiech, nie spuszczać z niej wzroku. A więc przyszłość wciąż jeszcze znajdowała się w zasięgu ręki. Wstał, obszedł stół i mocno przycisnął ją do siebie.

- Jutro pójde do sekretarza stanu - wyszeptał.

## 17.

Liz Sansborough miała wrażenie, że uwięziono ją w jakiejś mrocznej jamie. Palce zaczęły krwawić, gdy próbowała wspinać się po oblodzonych ścianach. Wyczuła jakiś ruch, a potem czyjś głos kazał jej zejść na dół. Walczyła, usiłując wejść wyżej. Zaczęło do niej docierać coraz więcej głosów. Wysoko w górze jarzyło się oślepiające, aż przerażające swą siłą światło, lecz mimo to chciała się do niego dostać.

Światło oznaczało bowiem bezpieczeństwo.

Wolno uniosła powieki. Białe ściany. Dwa rzędy równie białych łóżek i przejścia między nimi. Szpital? Powietrze przesycone zapachem środków dezynfekujących i wykrochmalonej pościeli. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jest w izbie chorych na Ranchu. Jej łóżko stało przy oknie. Na zewnątrz sosna pięła się ku jasno świejącemu słońcu.

Sanitariusz starał się pohamować jej nie kontrolowane, gwałtowne ruchy.

- Proszę się uspokoić. Niedługo dojdzie pani do siebie.

Odwrócił się tyłem do niej i zaczął wymieniać butelkę w kroplówce. Musiał się z tym spóźnić i zapewne właśnie dlatego w ogóle odzyskała świadomość. Następna butelka zawierała kolejną dawkę substancji, którą ją zatruli. Sanitariusz miał sympatyczny, choć nieco tępy wyraz twarzy. Na pewno wykonywał bezmyślnie otrzymane polecenia. Nie miała czasu na tłumaczenie mu, jak się rzeczy mają w rzeczywistości.

Gdy był zajęty swoją pracą i nie patrzył na nią, zebrała wszystkie siły i nagłym zrywem przysiadła na piętach. Odwrócił się w jej stronę.

- Hej! Co pani...?

Prawą pięścią zadała cios prosto w szczękę. Zatoczył się do tyłu, ściągając rurkę z igły od kroplówki tkwiącej w nadgarstku jej lewej ręki. Uderzyła po raz drugi. Padł na bok, na puste łóżko. Jakiś pacjent leżący przy przeciwległej ścianie jęknął głośno.

Nasłuchiwała, rozcierając bolące palce. Cisza. Ośpienie ograniczało zdolność myślenia. Była jednak w stanie działać. Usunęła igłę z nadgarstka. Jej rzeczy leżały w kącie. Zdjęła szpitalną koszulę, ubrała się w panterkę, zapięła pas i włożyła ciężkie buty. Sanitariusz musiał być jedynym pracownikiem dyżurującym w izbie chorych, bo w przeciwnym wypadku hałas dawno już by kogoś tu ściągnął. W końcu jednak pojawi się lekarz, pielęgniarka lub inny pracownik. Ale do tego czasu już tu dawno jej nie będzie.



Związała i zakneblowała sanitariusza. Znalazła także swój plecak w szafce obok łóżka. Beretta i portfel Gordona zniknęły z niego. Do cholery. Będzie więc jeszcze musiała dostać się do ich chatki, by zdobyć broń.

Otworzyła okno, rozejrzała się wokół i zeskoczyła na trawę.

\*

Asher Flores wyszedł z budynku administracyjnego, dzierżąc pod pachą skoroszyt pełen wydruków. Zastanawiał się, czy uprowadzić helikopter czy po prostu ukraść jeden z samochodów. Głos rozsądku ostrzegł go jednak, by zbyt nie zagalopować. Sprawa Mięsożercy rzeczywiście była ważna, a choć Gordon Taite to tylko wypierdek mamuta, to przecież Hughes Bremner był jego szefem, a z nim nie opłacało się już igrzać.

Może właśnie Bremner i Taite przygotowali rewelacyjny plan pojmania Mięsożercy, wymagający posłużenia się panną Sansborough z Kolorado i wyprzedzający ujawnienie się zabójcy na podyktowanych przez niego warunkach. Gdyby go zniweczył, odległa placówka w Arktyce stałaby się szczytem marzeń. W Langley obowiązywały ścisłe reguły. Pozwalały one nieco naginać powszechnie uznawane zasady, pod warunkiem, że służyłoby to osiągnięciu zamierzonych przez Firmę celów. Ale gdy łamało się zasady i nic z tego nie wynikało, łatwo było wylecieć na zbity pysk. Asher pomyślał, że bezwzględnie powinien ponownie spróbować skontaktować się z Bremnerem. Może uda się namówić szefa, aby włączył go do akcji związanej z Mięsożercą.

Kiedy rozważał ostatni pomysł, dostrzegł stojącą na tyłach stołówki obozową śmieciarkę, w której wprost uwielbiał przesiadywać i jeździć nią po placu.

Nagle kątem oka zauważył jakiś ruch z prawej. Nie odwracając głowy ukradkiem zerknął w tamtą stronę. Zaskoczony przystanął na chwilę, aby móc dokładniej się przyjrzeć przemykającej postaci.

To Sansborough!

Była w panterce, z plecakiem i wyraźnie kierowała się w stronę parkingu. Rzeczywiście to wspinała laska. Podziwiał ją przez całe dziesięć sekund. Wyglądało na to, że przeznaczenie każe mu wmieszać się w tajną akcję Gordona Taite'a.

Sansborough znów uciekała. A więc Gordon Taite znowu spieprzył sprawę. Asher uśmiechnął się szeroko. Być może dzięki temu uda mu się wrócić do stajni Bremnera... a jednocześnie załatwić Gordona.

Szybkim krokiem podszedł do śmieciarki.

- Cześć, Asher. - Kierowca Bernie był jego bratnią duszą, przepadał bowiem za tym gratem tak samo jak on.

- Cześć, Bernie. Masz ochotę odpocząć? Może ja pojedę do miasteczka?

- No nie wiem. - Bernie otarł zroszone potem czoło. - Dzisiaj mamy sporo towaru. Musiałbyś bardzo uważać na podjazdach i zjazdach.

- Przecież nauczyłem się od ciebie, jak mam się z nią obchodzić.

- Zgadza się - mruknął kierowca. - A mnie rzeczywiście przyda się chwila oddechu. W porządku, bierz ją.

Bernie wysiadł i pogładził wóz po zderzaku.

Asher wskoczył za kierownicę, zwolnił hamulec ręczny i ruszył.

\*

Opróżnił ostatni pojemnik na śmieci stojący przy klubie oficerskim. Następnie udał się do swojej kwatery. Tam do sportowej torby upchnął broń, amunicję, ubrania, pieniądze, karty kredytowe i kilka kart identyfikacyjnych. Wrzucił torbę do kabiny śmieciarki i ruszył w stronę parkingu.

Liz Sansborough pochylała się nad silnikiem zielonego forda explorera, usiłując uruchomić go bez kluczyków. Dostrzegłszy nadjeżdżającą ciężarówkę, zatrzasnęła maskę i wskoczyła za kierownicę.

Zatrzymał wóz tuż przed zderzakiem forda, blokując jej wyjazd i wychyliwszy się przemówił miękko:

- Hej, Sansborough? Podwieźć cię?

Zacisnęła palce na kierownicy z taką siłą, że aż zbieleły.

- Nigdy nie wydostaniesz się stąd bez mojej pomocy - ciągnął.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

Boże, czy ona naprawdę była szalona?

- Przepraszam za dzisiejszy ranek. Wykonywałem tylko rozkazy. A teraz Langley wykiwało także mnie.

Wydostała się z forda, z plecakiem w rękę, i ukryta za błotnikiem rozejrzała się wokoło. Nikogo nie było w pobliżu. Podbiegła więc do śmieciarki od strony pasażera i błyskawicznie znalazła się w kabinie. Asher odwracał się w jej stronę z szerokim uśmiechem, lecz nagle zamarł.

Dokładnie na wysokości jego oczu znajdował się wylot lufy beretty, kaliber 9 mm.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytała ostro.

- Zauważyłem cię. Ale chyba tylko ja. Masz prawdziwy talent do ucieczek.

- W jaki sposób znaleźliście mnie rano?

Zaskoczony zmarszczył brwi. Trwało to jednak tylko moment.

- Twój pasek. Popatrz, jego sprzączka wygląda wprawdzie normalnie, ale w środku ma niewielki nadajnik. Takie paski otrzymują wszyscy adepci. Nadajniki uruchamiane są tylko wtedy, gdy na przykład jego właściciel się zgubi.

- „Zgubi się”. Tak, jasne - mruknęła zjadliwie, a jednocześnie wolną ręką rozpięła pasek, wyszarpnęła go ze szlufek i wyrzuciła przez otwarte okno. Wylądował pod tylnym zderzakiem zielonego explorera.

- Niezły rzut - pochwalił.

- Dlaczego to robisz?

- Kładź się na podłogę, żeby nikt nie mógł cię zobaczyć.

- Nie. - Nadal bez ruchu celowała do niego z pistoletu. - Mów.

Wzrokiem omiotła parking i skraj przyległego lasu. Zauważyłaby nawet najdrobniejszy ruch. A jednocześnie ani na moment nie straciła z oczu Ashera.

- Chcę wejść do gry, choć jeszcze nie bardzo znam jej zasady.

Boże, siedział obok byłej dziewczyny Mięsożercy. Ale czy w rzeczywistości nią była?

- O czym mówisz? - zapytała.

- Wyjaśniałem już, że wpadłem w pułapkę, z której muszę się wydostać.

- Jeżeli chcesz poprawić własne notowania, wydaj mnie już teraz.

- Chyba mógłbym tak postąpić. - Ale nie zamierzał tego robić. Podobała mu się ta dziewczyna i jej zdecydowanie. Poza tym uciekała przed Gordonem Taite'em, a przecież ludzkość nie wydała jeszcze na świat większego dupka. - Ale nie lubię Taite'a, a tu tymczasem zaczyna się dziać coś ciekawego. Chcę wiedzieć, o co tu właściwie chodzi.

Nie spuszczała z niego wzroku, a pistolet w jej dłoni nie drgnął ani o milimetr.

- Więc wyciągnij mnie stąd.

Wrzucił bieg i ruszył.

Przyglądała mu się nadal, ale już bez nienawiści i wściekłości. W jej spojrzeniu pojawiła się ciekawość.

- Może rzeczywiście mamy ze sobą coś wspólnego. Ale jeśli wykiwasz mnie i spróbujesz wydać, strzelę. Jasne?

Przytaknęła. Zsunęła się na podłogę, lecz lufa jej beretty tym razem była wycelowana prosto w jego serce. Podkuiliła pod siebie długie nogi. Zdumiewające, w jak mały kącik potrafiła się wcisnąć. Podobało mu się, iż jest w stanie go zadziwić.

- Zawsze uważałem, że Gordon to ciężki frajer - rzekł.

- Ja nie. Byłam przekonana, że uratował mi życie. Ale nie mam zamiaru łykać tych jego cholernych prochów. Gdzie jesteśmy?

- Wyjechaliśmy z centralnej części obozu i jedziemy w stronę bramy.

- Uważasz, że uda się nam ją minąć bez problemów? Przecież zainstalowano tam kamery.

- Zgadza się. Ale kamery nie prześwietlą metalu, a z miejsc, gdzie są przytwierdzone, nie będzie widać podłogi śmieciarki. Są w stanie dokładnie spenetrować osobowy wóz, może dzipa, ale nasza kabina znajduje się zbyt wysoko nad ziemią. Poza tym mamy doskonałą przykrywkę. Dziś według planu wywozi się z obozu śmieci.

- A przy okazji, co ty widzisz w tej kupie złomu? Wyjeżdżałeś już nią kiedyś z obozu?

- Tak. Bernie nauczył mnie obsługi tego sprzętu. Strażnicy nawet nie mrugną okiem, kiedy zobaczą, że to ja prowadzę.

- Powiesz mi to, gdy na dobre wydostaniemy się poza obóz.

Potężna ciężarówka jechała wzdłuż gęstego szpaleru rosnących przy drodze sosen. Ich zielone czapy kołysały się na tle lazurowego nieba. Wreszcie się zatrzymali.

- To już - powiedział cicho, niemal nie poruszając wargami, wiedząc że jest obserwowany przez kamery. Siedział nieruchomo, czekając w napięciu czy zabrzmiał sygnał alarmu, co oznaczałoby, że odkryli zniknięcie Sansborough. Obawiał się także, że strażnicy mogli już wiedzieć o rozkazie dotyczącym jego przeniesienia. Jeśli ta wiadomość zdążyła do nich dotrzeć, nie ma mowy, by wypuścili go poza teren ośrodka.

Wysiadł z kabiny i w momencie gdy wprowadzał swój kod, rozległ się świdrujący w uszach pisk. To alarm, który odbijając się od gór i ściany lasu zdawał się dobiegać ze wszystkich stron jednocześnie.

Boże, może jednak brama zdąży się otworzyć. Przez pewien czas nic się nie działo. Był już bliski rezygnacji, gdy nagle wrota drgnęły i uchyliły się na centymetr. Odetchnął głęboko i z pozorną nonszalancją w ruchach wrócił do szoferki.

Brama nabierała rozpędu, a alarm wył i wył.

- Wiedzą - wyszeptała Liz.

- Tak.

Ruszył. Wiedzieli o niej, ale widocznie nie skojarzyli sobie jeszcze wszystkich faktów związanych z jej ucieczką. Jeszcze nie.

Na wyboistej drodze zwiększył szybkość i zajął się analizowaniem własnej sytuacji. Jedno było pewne: spalił za sobą wszystkie mosty. Nie miał już odwrotu. Podjął decyzję, oferując pomoc tej dziewczynie. Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak zdobyć jej zaufanie.

Gdy alarm przycichł w oddali, powiedział Liz, co nastąpiło, kiedy zapoznał się z jej

danymi i zapytał o nią Taite'a.

- Mam uwierzyć, że wysyłają cię na Spitzbergen tylko dlatego, że węszyłeś wokół mojej sprawy? Mogłam stracić pamięć, ale nie jestem aż tak głupia.

- Straciłaś pamięć? - O tym nie wspomniano nawet w jej dossier. - Kiedy?

- Podobno jakieś dwa miesiące temu.

- I nie pamiętasz niczego, co zdarzyło się wcześniej?

- Co cię tak zdziwiło? Takie przypadki zdarzają się przecież.

- Jak więc, utraciwszy pamięć, możesz pomóc w schwytaniu Mięsożerca?

- A czy naprawdę istnieje zabójca, zwany Mięsożercą? - zapytała wyraźnie ożywiona.

Zmarszczył czoło.

- Oczywiście, że tak. A co?

Długo milczała. Wreszcie pokiwała głową.

- W porządku. Przynajmniej raz Gordon powiedział prawdę. Wygląda na to, że Mięsożerca dwukrotnie usiłował mnie zabić. A teraz mam pomóc Langley w jego schwytaniu.

Asher uśmiechnął się w duchu. Okazuje się, że celem tajnej operacji Gordona rzeczywiście jest ów morderca. Ale skoro Mięsożerca sam zamierzał się ujawnić, po co organizować tak skomplikowaną operację mającą na celu pochwycenie go? I dlaczego próbował zabić Sansborough?

- Najpierw wyjaśnijmy sobie pewne sprawy - zaproponował. - Twój kochanek Mięsożerca...

- Co!? - Zaskoczona wytrzeszczyła oczy. - Mój kochanek? - Jej palce pobieleły, gdy mocniej ścisnęła kolbę wciąż trzymanej w ręku beretty. - O czym ty mówisz?

Podziwiał impulsywne kobiety, które umiały posługiwać się bronią, ale nie wówczas, gdy mierzyły z niej właśnie do niego.

- Nic nie pamiętasz?

- Boże, mam nadzieję, że to nieprawda!

- A jeśli o tym właśnie mówią ściśle tajne informacje pochodzące z Langley?

Lufa pistoletu wciąż pozostawała w idealnym bezruchu.

- Słucham.

Odetchnął głęboko.

- Z danych znajdujących się w zbiorach Rancho wynika, że z twego życiorysu zniknęły ostatnie trzy lata.

- Widziałam te informacje. Przez cały ten okres mieszkałam w Santa Barbara pod

innym nazwiskiem. Ukrywałam się jako redaktorka Sarah Walker.

- Dossier z Langley wypełnia tę lukę. Mówi o tym, co zdarzyło się właśnie w tym czasie. Wyjaśnia także twoje powiązania z Mięsożercą.

- Zapewne jest tam mowa o wysłaniu mnie do Lizbony po odbiór jakiejś wiadomości. Spóźniłam się. Mięsożerca zabił posłańca, a mnie ranną zostawił na pewną śmierć. Ale próba zabójstwa to, do cholery, nie to samo co miłość. On przypuszcza, że widziałam jego twarz i wie, że żyję. Jeśli atak w Santa Barbara nie był pozorowany, to na pewno chodziło mu właśnie o mnie.

Opisała napaść na swoje mieszkanie.

Asher zamyślił się nad tym, co usłyszał.

- To absurd. Zawarł z Langley układ i teraz szykuje się do ujawnienia. Wychodzi z gry. Jakie znaczenie mógłby mieć teraz dla niego fakt, że go widziałas?

Patrzyła na rozmówcę, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc.

- Ujawnienia? Ale przecież Gordon mówił...

- Och, znów ten pieprzony Gordon. Największy dupek pod słońcem.

Nagła myśl poraziła go niczym grom z jasnego nieba. Jezu Chryste, czyżby Taite miał na celu rozwalenie całej operacji przejścia Mięsożercy na stronę Amerykanów? Czyżby zdradził? Hughes Bremner nie tylko nie wysłał go do białych niedźwiedzi, ale ozłocił za ujawnienie takiej rewelacji.

- Wiedz jedno: Gordon nie ma w sobie nic z człowieka. Jeśli ocalał ci życie, zrobił to wyłącznie po to, że widział w tym własny interes. Pamiętasz Claire'a George'a? Przed rozpętaaniem afery Iran-contras był zastępcą dyrektora operacyjnego. Na patrzących z boku sprawiał wrażenie idealnego szpiega: dowcipny, odważny, niecierpliwy i odnoszący sukcesy. Ale jeden z naszych ambasadorów przejrzał go na wylot. Zauważył, że sposób bycia George'a to jakże poszukiwana przez Firmę, zadziwiająca wprost mieszanka. Na pozór przyjazny i darzący ludzi zaufaniem, a w rzeczywistości obłudny jak diabli. - Zamilkł na moment. - Znasz kogoś podobnego?

Pokiwała głową.

- Gordon.

- Kiedy sytuacja nieco się wyklaruje, sama będziesz mogła przeczytać własne dossier, ale według Langley trzy lata temu zakochałaś się w Mięsożercy i przeszłaś na jego stronę.

- W porządku, masz rację, jeśli chodzi o Gordona. To kłamca, pajac i Bóg wie kto jeszcze. Jednak powinnam z pewnym dystansem przyjrzeć się temu, co wypisano o mnie i owym mordercy. Przecież... - Skrzywiła się. - Trwający trzy lata związek z jednym z

najokrutniejszych zabójców na świecie? Jezu!

- To nie wszystko. Jak wynika z tych danych, jesteś jego pośredniczką w rozmowach z Langley. Właśnie w tej chwili przebywasz w Paryżu i po raz kolejny kontaktujesz się ze znajdującym się tam naszym centrum dowodzenia. Właśnie w ten sposób Mięsożerca kupuje wam obojgu spokojną i dostatnią przyszłość.

- Ciekawa sztuczka magiczna, biorąc pod uwagę fakt, iż wszystko wskazuje na to, że jestem tutaj. Ktoś inny musi więc podszywać się przede mną i działać w Paryżu.

- To możliwe. A teraz omówmy sprawę twojego krzywego palca. Kiedy go złamałaś?

- Jeszcze będąc dzieckiem. Wypadek na wrotkach. Wszystko to jest w moich danych.

- Gordon twierdził, że stało się to zaledwie niecałe dwa miesiące temu.

Przymknęła powieki i zamyśliła się. Tymczasem Asher, od czasu do czasu zerkając na Liz, stwierdził, że bardzo mu się podoba ten pieprzyk nad prawym kącikiem ust. Bardzo seksowny. Poczł nagłą chęć dotknięcia go.

- Gdy złapaliście mnie dziś rano, doktor Levine zrobił mi zastrzyk. Słyszałam, jak ktoś, chyba ty, pytał Gordona o ten palec. Tak. Odpowiedział...

Przypomniała sobie jego słowa.

- Zgadza się. A więc ktoś tu kłamie. Albo Langley, albo nasz drogi przyjaciel Gordon.

W jej głowie rodziło się coraz więcej wątpliwości. Nagle usłyszała jeszcze odległy, ale stale narastający dźwięk. Popatrzyła na niebo ponad sosnami.

- Helikopter!

- Nawet dwa. Zapewne z Rancho. Szukają cię.

Nie pytała, co robić. Sprawdziła swą berettę i jeszcze bardziej przyłgnęła do podłogi.

Asher z niepokojem zerkał do góry, gdy dwa potężne ptaki szybko się zbliżały.

## 18.

Jednym ze śmigłowców był AH-64 Apache. Miał na sobie tyle rakiet i działek, że jedną salwą wysłałby śmieciarkę do Arizony. Gdy był już nad nimi, odezwał się umieszczony na nim głośnik:

- Do śmieciarki, zatrzymać się! Do Ashera Floresa, rozkazuję ci się zatrzymać!

Asher zerknął na Liz. Uniosła brodę. Miała bardzo kształtny podbródek.

- Nie sądzę, żeby udało mi się wyprzedzić dwa śmigłowce - powiedział.

Musiał wymyślić jakiś inny sposób wyplątania się z kłopotów. Tymczasem posłuchał polecenia i zatrzymał ciężarówkę.

Apache zawisł nad drzewami w miejscu, skąd doskonale widać było śmieciarkę. Drugi helikopter - UH-1B, jakich używano powszechnie w Wietnamie - wylądował na drodze przed samochodem. Z jego wnętrza wyskoczyło dwóch marines trzymających w rękach swoje nieodłączne M-16.

Flores wysiadł z szoferki i niespiesznym krokiem ruszył w ich stronę.

- Asher, do diabła, co ty wyprawiasz? - zawołał jeden z komandosów, wysiłając się, by przekrzyczeć hałas silnika śmigłowca.

- Mówiąc szczerze, byłem przekonany, że wiozę zwykłe śmieci! Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Otrzymaliśmy rozkaz przeszukania śmieciarki! - krzyknął drugi żołnierz.

- Po co? Czyżby coś radioaktywnego wyciekło z laboratorium?

Przeszli w pobliże ciężarówki, gdzie było już znacznie ciszej i nie musieli aż tak natężyć strun głosowych. Pierwszy marine zapalił papierosa. Asher, mimo że nie palił, poprosił o poczęstowanie. Zależało mu na odwróceniu ich uwagi i stworzeniu choćby w ten sposób sympatycznej atmosfery. Trzeba było zagrać na ich uczuciach.

Komandos podał mu ogień.

- Jedna z adeptek zwariowała. Elizabeth Sansborough. Znasz ją? - zapytał.

- Widziałem ją kilka razy. - Asher zaciągnął się dymem. Boże, przetyk palił go chyba aż do żołądka.

- Musimy ją znaleźć, żeby doktor mógł zaaplikować lekarstwa. Kazali nam przeszukać śmieciarkę.



- Rozumiem. Mogę tylko powiedzieć, że nikogo nie ma w szoferce. Ale z tyłu trzeba by sprawdzić. Chodźcie, zobaczymy, czy rzeczywiście się tam nie ukryła.

Obaj żołnierze unieśli brwi, gdy Asher poprowadził ich na tył wozu. Przesunął jedną z dźwigni i otworzył klapę. Natychmiast całą siłą uderzyła w nich fala smrodu z gnijących odpadków.

- Jezu - jęknął któryś.

- To dobrze, że jesteśmy tak wysoko nad poziomem morza - zauważył Asher. - Na tej wysokości prawie już nie ma much.

- Tak. Chyba mimo wszystko musimy sprawdzić, co znajduje się w środku.

- Może ja to za was zrobię, chłopcy?

Wdzięczność zawsze była potężnym sprzymierzeńcem. Może więc zaufają mu na tyle, by już nie zaglądać do kabiny. Chyba że ten odór spowoduje, że od razu zrezygnują z dokładniejszych oględzin.

Pierwszy marine uśmiechnął się.

- Jeśli nalegasz...

- Nie ma sprawy.

Dyrektor administracyjny zgasił papierosa, wyrzucił go z ulgą i wdrapał się do środka. Dał krok naprzód i od razu zapadł się po pas w śmieci. Przedzierał się między czarnymi workami przez butelki po piwie, odpadki z kuchni, namoknięte papiery, cuchnące stare buty, lepkie naczynia jednorazowe i Bóg wie jakie jeszcze odpadki pochodzące z obozu.

- Widzisz coś? - zapytał drugi komandos.

Asher zagłębił się jeszcze dalej.

- Nie ma tu nic żywego. Może zacząć szukać głębiej?

- Nie. Chyba wystarczy, prawda?

Marines naradzili się cicho, ale szybko uznali, że dalsze poszukiwania nie mają sensu i Flores wyskoczył na zewnątrz. Cuchnął jak same śmieci. Komandosi odruchowo cofnęli się o krok. Podziękowali mu gorąco, że ich wyręczył.

- Teraz musisz wracać do obozu, Asher - rzekł pierwszy z pewnym żalem. Wszyscy wiedzieli, jak nowy dyrektor administracyjny lubi tę ciężarówkę nadającą się tylko na złom.

- Jak to?

- Rozkazy. Chyba wiesz, że przyszła decyzja o twoim przeniesieniu. Chcą, żebyś jak najszybciej odleciał z Rancho.

Asher przytaknął. Musiał coś błyskawicznie wymyślić. Zbliżył się nieco do nich, by poczuli jak bardzo śmierdzi.

- Pozbycie się ładunku zajmie mi tylko godzinę. Nie sądzicie, że lepiej byłoby to załatwić, a nie ściągać aż tu biednego Berniego? Przecież godzina to nie tak długo. Poza tym im dłużej komora pozostanie nie opróżniona, tym bardziej będzie z niej śmierdziało. Nikt nie dopuści, żeby pełna wróciła do obozu. Już słyszę te wszystkie przekleństwa.

Dla podkreślenia zasadności swej opinii popatrzył na uwalane ubranie i skrzywił się. Wyświadczył tym chłopcom przysługę, a teraz liczył na rewanż z ich strony.

- No dobra - orzekł wreszcie żołnierz. - Wyjaśnię to jakoś, że wracamy bez ciebie. Do diabła, przecież jeszcze zdążą cię stąd wywieźć.

Od czasu do czasu można jednak liczyć na odrobinę szczęścia, pomyślał Asher. Marines wgramolili się z powrotem do helikoptera. On zaś stał przy śmieciarce i delektował się odniesionym sukcesem. Pomachał wesoło odlatującym maszynom.

\*

Flores śmierdział przeraźliwie, ale Liz wiedziała, że na pewien czas odsunął od niej niebezpieczeństwo. Rodziło się tylko pytanie, co nim kierowało? Zdecydowała się opuścić berettę, lecz wciąż trzymała ją w dłoni. Podziękowała mu. W odpowiedzi kiwnął tylko głową, aż zafalowały jego ciemne włosy.

Jechali wąską, leśną drogą.

- Powiedz, co według Gordona robiłaś przez ostatnie trzy lata.

Zdawało mu się, że mówiąc opowiada historię jakiejś zupełnie innej osoby. Poniekąd tak było, ponieważ tylko o tym czytała, nie mając możliwości odwołania się do własnych wspomnień. Zaciskała palce na kolbie, aż rozboleła ją ręka. Była wściekła i sfrustrowana, że nie jest w stanie ocenić, czy to wszystko nie jest po prostu stekiem bzdur.

- I wtedy Mięsożerca dowiedział się, że żyję. To oznaczało, iż musi mnie zabić, zanim zdołam go zidentyfikować - zakończyła.

- Może naprawdę nigdy cię nie widział. Może Gordon zainscenizował wszystkie te zdarzenia, których byłaś świadkiem? Pamiętasz, mówił, że jesteś lunaticzką. A jeśli wszystko, o czym mówisz, stanowi jedynie wytwór twojej wyobraźni? Czy nie lepiej, żebyś zaczęła przyjmować te środki, które chcieli ci zaaplikować?

Natychmiast uniosła broń, z palcem spoczywającym już na spuście. Ton jej głosu stał się lodowaty i twardy:

- Dlaczego mnie nie wydasz, jeśli tak uważasz? Zatrzymaj wóz. Natychmiast!

Flores zaczął hamować, aż rozległ się pisk i syk powietrza. Wreszcie śmieciarka zatrzymała się na poboczu drogi.

Długo mierzyli się wzrokiem w ciszy zakłócanej tylko szumem sosen.

Wreszcie Flores przemówił cicho, wyraźnie pojednawczym tonem:

- Jeśli chcesz, wysiadaj. Nie będę cię zatrzymywał. Ale pieszo nie masz praktycznie żadnych szans, szczególnie jeśli nie nauczyłaś się ukrywać w lesie. Skoro zapytałaś, wyjaśniłem szczerze, dlaczego cię nie sypnąłem. Jestem przekonany, że Gordon coś knuje. Może działa przeciwko tobie? Może przeciw Langley albo ojczyźnie? Chcę się tego dowiedzieć... dla ciebie, dla siebie i kraju.

Zdobył się na uśmiech. Liz milczała. Miała świadomość, że taki towarzysz może być przydatny dla powstrzymania Gordona. Jeśli zaś chodzi o wspomnienia, sama będzie musiała je odzyskać. Zrobi wszystko, by tak się stało.

- Uważasz, że potrafisz nas z tego wyciągnąć? - zapytała wreszcie.

- Mogę spróbować.

- A więc dobrze.

Flores wrzucił bieg i ruszył.

Po kilku chwilach zapytał cicho:

- A właściwie, co to za środki?

Znów długo zwlekała z odpowiedzią.

- Te ostatnie pigułki to podobno środek antydepresyjny. Musiałam łykać jedną dziennie. Ale kiedy znaleźliśmy się już na Ranchu, czułam się na tyle dobrze, że przestałam je przyjmować. Gordon straszyl mnie, że jeśli to zrobię, nastąpi niemal koniec świata. Dlatego nie powiedziałam mu ani słowa o swej decyzji. Stwierdziłam, że nie dzieje się ze mną nic złego i później nie połknęłam już żadnej.

- Jeśli rzeczywiście był to środek antydepresyjny, po odstawieniu go miałabyś trudne do zniesienia stany załamania.

- Wiem, ale nic takiego nie wystąpiło. To, co doktor wstrzyknął mi dzisiaj, było czymś zupełnie innym, znacznie silniejszym w działaniu. Po nim zrobiło się ze mną coś, co przypominało stany, w jakich byłam jeszcze w Santa Barbara, kiedy łykałam całe tony lekarstw.

- Dlaczego musiałaś przyjmować ich aż tyle?

- Gordon wyjaśnił, że na początku te leki miały zapobiec nawrotowi zapalenia mózgu, a później doktor zmienił zestaw, gdy zorientowali się, że mam amnezję. Zapewne miały mi pomóc w odzyskaniu pamięci.

Śmieciarka wyjechała wreszcie z krętej górskiej drogi na szerszą, stanową.

- Teraz chyba już możesz usiąść normalnie na fotelu.

Podniosła się z podłogi, zmęczona i odrętwiała. Usiadła obok Floresa. Śmierdział

niczym stajnia dla mułów, której cały rok nie sprzątało. Chwileczkę. Stajnia dla mułów? Dlaczego przyszło jej do głowy takie właśnie skojarzenie? Przeszukała swą pamięć, ale nie znalazła tam żadnego wyjaśnienia. Westchnęła ciężko i przeciągnęła dłońmi po udach.

Popatrzył na nią.

- W jaki sposób nabawiłaś się amnezji?

- Gordon powiedział, że padając uderzyłam się w głowę i to wywołało zapalenie mózgu, choć właściwie lekarze nie są tego do końca pewni. Doktor powiedział, że i tak miałam ogromne szczęście, bo w obrębie mózgu nie nastąpiły żadne trwałe uszkodzenia. Straciłam jedynie pamięć. Ale czasami docierają do mnie jakieś strzępy wspomnień.

- Zupełnie niespodziewanie?

- Tak. Chyba i tak mam szczęście. Zwykle amnezja jest wywoływana zwapnieniem naczyń krwionośnych, zatorami, udarami, nowotworami, problemami metabolicznymi, czy też toksykologicznymi reakcjami na różne substancje. W moim przypadku zapalenie wystąpiło w wyniku odwracalnych na szczęście obrażeń wewnętrznych.

- To musi być straszne: za jednym zamachem utracić całą swoją przeszłość. Ja w takiej sytuacji po prostu położyłbym się w rynsztoku i pozwolił, aby Hortensja mnie przejechała. To właśnie jest Hortensja. - Poklepał deskę rozdzielczą śmieciarki. - Hortensjo, poznaj Liz Sansborough. Liz, poznaj Hortensję. Więc powiedz, kim tak naprawdę jesteś nie mając przeszłości?

- Sama chciałabym wiedzieć.

Na chwilę rozkleiła się wyraźnie, czując żal i ból wywołane pustką w sercu. Nie zapelni jej nic, oprócz przywróconych wspomnień. Poczwała, że zaczyna darzyć Floresa sympatią. Przecież oboje mieli teraz przed sobą jeden cel - uciec Gordonowi.

- Jak z tobą postąpią, gdy dowiedzą się, że mi pomagałeś?

Wzruszył ramionami.

- W najgorszym razie wysuną oficjalne oskarżenia i wyrzucą z Agencji.

Znów uważnie mu się przyjrzała.

- Kochasz pracę agenta, prawda?

- Można tak powiedzieć.

- Może to ty jesteś szalony?

Roześmiał się wesoło. Sięgnął do schowka w drzwiach, wyjął stamtąd gruby skoroszyt i podał jej.

- Przyjrzyj się temu.

W środku znajdowały się wydruki. Kopie dossier: dwa Liz Sansborough - jeden z

Rancha, a drugi z Langley, Sarah Walker, Husajna Szahida Noona - jej pierwszego kochanka, jej męża Garricka Richmonda i samego Mięsożercy.

- Dzięki. Może w tych papierach odnajdę wytłumaczenie tego, co tu się dzieje.

I kim naprawdę jest. Przyzwyczaiła się do myśli, że jest skromną, miłą, rzetelną osobą, ale teraz miała już wątpliwości nawet co do tego.

Ciężarówką kołysało. W kabinie było ciepło, droga wiła się przed nimi monotonnymi zakosami, a środek zaaplikowany przez doktora Levine'a wciąż jeszcze krążył w jej organizmie. Spróbowała czytać, lecz zaraz zaczęły kleić się jej oczy. Zasnęła. Obudziła się gwałtownie z obawy, że znowu zaaplikują jej jakieś świństwo. W czasie snu nachodziły ją jakieś obrazy, które były może fragmentami dawnych przeżyć. Twarze, domy, jakieś nie powiązane ze sobą zdarzenia. Te strzępy wciąż krążyły jej po głowie, lecz nie dawało się z nich zbudować niczego sensownego. Flores zerkał na nią od czasu do czasu, nie odzywając się ani słowem. Bo cóż mógłby powiedzieć? Strach był uczuciem, z którym każdy musiał poradzić sobie sam.

\*

Na Ranchu, wysoko w Górach Skalistych, Gordon Taite chodził nerwowo po baraku, w którym mieściły się systemy zabezpieczające. Ręce skrzyżował na plecach, ubrany był w panterkę i masywne buty wyczyszczone na błysk. Zatrzymał się i po raz kolejny popatrzył na damski pasek, wijący się na biurku niczym złośliwy, jadowity wąż. Komandosi obserwowali rząd monitorów.

- Znaleźliśmy go pod pańskim explorerem, sir - wyjaśnił jeden z nich. - Wygląda na to, że usiłowała uruchomić samochód.

Szczęki Gordona zacisnęły się mocno.

- Suka. Nie mogła przecież rozplynać się w powietrzu. Gdzie, do cholery, mogła się ukryć?

- Postawiliśmy cały obóz w stan najwyższego alarmu, sir - oświadczył marine dowodzący akcją. - Znajdziemy ją!

- Tak, znajdziecie, jeśli jest jeszcze na terenie Rancha. A jeżeli już jej tu nie ma?

- Nie widzę możliwości, by wydostała się nie wywołując alarmu.

- Tak, dupku. Ale przecież nawet nie wiesz, gdzie jej szukać. Wyślij swoich ludzi na drogi. Użyj samochodów i helikopterów. Musimy ją znaleźć, i to jak najszybciej!

## 19.

W sierpniu, gdy słupek rtęci niemal rozsadzał termometr, Paryż pustoszał. Rozpoczął się tradycyjny już wakacyjny miesiąc. Arystokraci, przemysłowcy i bogaci snobi wyjeżdżali na chłodniejsze wybrzeże, do eleganckiego Cannes lub St. Tropez. Piekarze, kwiaciarze i sprzedawcy wiąźali zaś nadzieje z krewnymi w Marsylii czy Toulonie, od których oczekiwali zaproszenia. Byle tylko opuścić te wąskie uliczki liczącej dwa tysiące lat stolicy.

Uciążliwe upały zdawały się tylko sprzyjać wybuchom niezadowolenia wśród Francuzów. Demonstracje przybierały na sile, obejmując już nawet kierowców paryskich autobusów i cały związek transportowców. Robotnicy grozili strajkami, wyrażając w ten sposób swe poparcie dla tamtych. Wszyscy zgadzali się co do tego, że za tę sytuację winę ponosi ta ohydna *economie*. Ludzie tracili już cierpliwość. *Les citoyens* byli coraz bardziej wściekli i sfrustrowani.

Dlatego więc, kiedy wędrowny cyrk rozbił swój namiot w Seine-St.-Denis, bez trudu sprzedano wszystkie bilety, bo ludzie odczuwali potrzebę oderwania się od upału i *les troubles*. Kogóż nie zwabiliby kolorowo ubrani cyrkowcy, egzotyczne zwierzęta i wesola muzyka? Z namiotu rozlegały się więc salwy śmiechu i oklasków, a przed kasą oczekiwał długi ogonek chętnych do obejrzenia następnego spektaklu.

Pośród stojących w kolejce znajdowała się kobieta w średnim wieku, o zaniedbanym wyglądzie. Miała posiwiałe włosy, lekko garbiła się, owinięta grubym swetrem, jakby było jej zimno. W rękę trzymała zniszczoną torbę. Kupiła bilet i weszła do namiotu, lecz zamiast zająć miejsce na którejś z jeszcze nie do końca zapelnionych drewnianych ławek, zatrzymała się w cieniu obok przejścia.

I czekała.

Na arenie występ kończyły pudle w spódnicach baletnic, z różowymi kokardami na łebkach. Właśnie ukloniły się na komendę trenera i w towarzystwie ogłuszających oklasków pobiegły za kulisy.

Chwilę później rozpoczął się kolejny numer: z tuzin klaunów wypadło z bocznych wejść i przedzierało się przez tłum widzów ku arenie. Jeden przypadkowo potracił steraną życiem Francuzkę. Wsunął jej do ręki niewielką kopertę i zdążył wymienić z nią kilka słów

po angielsku.

- Dlaczego to tak długo trwa? - zapytał klaun szeptem.

- Nie udało się nam dowiedzieć. Quill mówi, żeby przycisnąć Langley stawiając im ostateczne ultimatum.

- Sami będziemy musieli podjąć stosowne przygotowania.

- Trzy dni. - Francuzka rozejrzała się wokół. - Niedziela wieczorem. o dwudziestej?

- Dobrze. Skontaktuj się z Niemcami i powiedz, że sprawa nie jest jeszcze definitywnie rozstrzygnięta. Niech będą gotowi. Ich oferta była również interesująca. - Klaun rozejrzał się ukradkiem, wywinął koziołka i głośno rzekł po francusku: - *Pardon, madame!* Miłego wieczoru!

Gdy artysta pognał na arenę, przygarbiona, siwowłosa kobieta zajęła jedno z ostatnich wolnych miejsc. Obserwowała widowisko i klaskała, gdy robili to inni. W przerwie wyszła przez St. Denis, upewniając się, czy nikt za nią nie podąża. Później wsiadła do metra i zajęła miejsce w samym końcu wagonu. Odwrócona tyłem do nielicznych pasażerów pochyliła się nad swoją torebką.

Wilgotnymi chusteczkami zaczęła ścierać zmarszczki i podkład z twarzy. Zużyła ich całe mnóstwo, ale wreszcie udało się jej przywrócić normalny wygląd. Przez chwilę, na jednym z przystanków, cały tył wagonu był pusty. Błyskawicznie zerwała z głowy siwą perukę i wstrząsnęła naturalnymi, kasztanowymi włosami. Gdy napłynęła nowa fala pasażerów, włożyła ciemne okulary i pozwoliła włosom przysłonić twarz. Patrzyła w okno, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Nie odczuwała strachu. Kochała tę pracę.

Wreszcie wstała do wyjścia. Jednym szybkim ruchem zdjęła sweter i wrzuciła go do torby, na perukę. Gdy znalazła się na chodniku, sięgnęła po dwie książki Wiktora Hugo i wcisnęła je sobie pod pachę, tytułami na zewnątrz.

W taniej bawełnianej sukience zadrukowanej stonowanym, kwiecistym wzorem wyglądała jak typowa studentka.

Weszła do ruchliwego, zatłoczonego Gare du Nord przy rue de Dunquerque. Tu dołączyła do sporej grupy turystów, zaniepokojonych przerwami w komunikacji w kraju, gdzie w każdej chwili pociągi, taksówki, autobusy i metro mogły stanąć ogarnięte strajkiem. Wśród nich mogłaby łatwo się ukryć na wypadek, gdyby ciągnęła za sobą ogon. Szła za nimi, dopóki nie znaleźli się obok toalety.

Wślizgnęła się do jednej z kabin i zamknęła od środka.

Odetchnęła głęboko, a serce waliło jej w piersiach. Ostatnie dwa miesiące były dla

niej ciężkim okresem, ale nie narzekała. Przeżywała przecież to, czego tak potrzebowała - napięcie, dreszcz podniecenia, podekscytowanie.

Zrzuciła ciężkie chodaki i z opalonych nóg zsunęła nylonowe pończochy. Zdjęła kwiecistą sukienkę i zamieniła ją na czarną, przylegającą do ciała, z poduchami na ramionach. Jej prosty krój podkreślał smukłość figury i wydatne piersi dziewczyny. Na stopy wsunęła czarne sandały na wysokim obcasie.

Umalowała się i wyszczotkowała kasztanowe włosy, aż stały się puszyste, zdjęte zaś ubranie wrzuciła do torby na zakupy. Niemal połowę twarzy przysłoniły jej duże, przeciwsłoneczne okulary. Z torby wyciągnęła ostatni element uzupełniający strój - czarną aktówkę. W środku miała kosmetyki, pieniądze, fałszywe dokumenty, waltera i kopertę od klauna. W takim właśnie stroju zawsze udawała się na spotkania do Le Tour Languedoc.

Wybrała go, ponieważ był praktyczny i wygodny.

Wychodząc z toalety zostawiła na talerzyku pięć franków.

Na koniec zamknęła torbę na zakupy w skrytce. Był to ostatni element końcowego etapu zmiany wyglądu zewnętrznego.

\*

Pół godziny później młoda, piękna Francuzka w dużych ciemnych okularach pojawiła się w pobliżu szeregu wieżowców stojących obok stacji kolejowej Montparnasse, na Lewym Brzegu. Ogromne klimatyzatory szumiały w sierpniowym upale niczym stada zgłodniałych komarów. Wysoka i zgrabna, szła sprężystym krokiem w blednącym świetle dnia. Nie zwracała uwagi na pełne ciekawości spojrzenia mijających ją mężczyzn.

Wreszcie weszła do Le Tour Languedoc - ekskluzywnego drapacza chmur zbudowanego ze szkła i stali dla paryskiego high life: architektów, lekarzy, prawników i księgowych. Minęła szereg lśniących wypolerowanym metalem wind i zatrzymała się przed ostatnią. Nie było przy niej żadnego przycisku.

Posługując się kluczem, otworzyła klapkę i na klawiaturze wystukała serię cyfr. Oczekała, aż ukryta kamera sprawdzi, czy rzeczywiście jest osobą, która może używać tego właśnie kodu.

Po krótkiej chwili drzwi windy rozsunęły się. Dźwig zawiózł ją na najwyższe piętro, wyżej niż wskazywała na to lista lokatorów, a nawet dokumentacja techniczna. Tafle odbijające światło szkła, które stanowiły elewację, nie pozwalały zorientować się, ile pięter liczy w rzeczywistości Languedoc. Niewielu ludzi wiedziało o istnieniu tego najwyższego, lecz nie można się temu dziwić.

Cały budynek stanowił własność Langley i właśnie na tym poziomie zlokalizowano



jego placówkę.

Rytuał za każdym razem był taki sam. Najpierw przekazywała kopertę z najświeższymi relacjami Mięsożercy. Gospodarze zapraszali ją następnie, by wraz z nimi zajęła miejsce przy nowoczesnym, szklanym stoliku. Koperta leżała na jego blacie, gdy proponowali jej kawę lub drinka, lecz ona jak zwykle podziękowała. Bóg jeden wie, czym mogli to nafaszerować. Nigdy też nie odkładała aktówki. Potrafili przecież umieścić w niej pluskwę ukrytą w długopisie, szmince, a nawet karcie kredytowej.

Była przekonana, że wewnątrz pomieszczenia jest przez cały czas obserwowane i podsłuchiwane. Te spotkania bez wątpienia były nagrywane i zapewne także na żywo przekazywane szefom Firmy.

Miała okazję widzieć inne pomieszczenia na tym piętrze. Zanim jeszcze opuściła Langley i przeszła na stronę Mięsożercy, czasami tu bywała. Odwiedziła kiedyś laboratorium, gdzie śmierdziało formaldehydem, centrum łączności, którego ściany wypełniały rzędy monitorów oraz centrum komputerowe. Mieściła się tu także skromna sala konferencyjna z rzutnikami ściennymi i mapami oraz sypialnie dla pracowników, którzy musieli zostać na noc.

W tej chwili znajdowała się w czymś w rodzaju recepcji, gdzie dwóch agentów usiłowało nawiązać uprzejmą rozmowę, a ona starała się ją podtrzymać. Według nich była renegatką. Zdradziła ojczyznę, a co gorsza Firmę. Wybrała okrutnego zabójcę. Bez trudu potrafiła odgadnąć ich myśli.

Irytowało to rozmówców, bo jeśli nawet nie poczuwała się do winy, powinna przynajmniej udawać zażenowanie.

Przeszła do rzeczy:

- To ostatnia informacja, jaką otrzymujecie od kontrahenta. - Głową wskazała kopertę.  
- Dowiódł już, jak cennymi informacjami dysponuje. Albo przejmiecie nas w niedzielę o dwudziestej, albo zrywamy kontrakt i rozpoczynamy rozmowy z konkurencją;

- To tylko trzy dni!

- Nie zdążymy - dodał drugi agent.

Wzruszyła ramionami.

- To ostateczny termin.

- My nie możemy podjąć decyzji - zaprotestował pierwszy. - Proszę przypomnieć sobie, jak długo trwały przygotowania do przejścia innych. Na przykład Arkadija Szewczenki. Trzy lata.

- W waszym przypadku to kwestia zaledwie kilku tygodni - zauważył drugi

rozmówca.

Langley cieszyło się reputacją ostrożnego w tego rodzaju działaniach. Zawsze brano pod uwagę ewentualność, iż międzynarodowi uciekinierzy mogli okazać się trudni we współpracy, nie tak cenni, jak można było przypuszczać, czy też po prostu nieuczciwi. Ale tym razem przecież przekonało się już o wartości informacji Mięsożercy.

Poirytowana wzruszyła ramionami. Obaj mężczyźni jak na komendę przenieśli wzrok na jej piersi. Jeszcze bardziej ją to rozzłościło.

Uśmiechnęła się lodowato i zaczęła blefować:

- Zabawa z Hughesem Bremnerem już się skończyła. Otrzymaliśmy interesującą propozycję z innego kraju. Prędko się dogadaliśmy. Są gotowi przejąć nas właśnie w niedzielę. To wasza ostatnia szansa. Niedziela albo udamy się do konkurencji.

Tego dnia był czwartek. To dawało Amerykanom kilka dni na załatwienie wszelkich formalności związanych z tą akcją.

- Natychmiast przekazemy ten warunek do centrali.

- Oczekuję na odpowiedź do jutra, do południa. - Wstała i skierowała się w stronę windy. - Jeśli się nie zdecydujecie, nigdy już nie usłyszycie o Mięsożercy.

Poderwali się gwałtownie i ruszyli za nią.

- Gdzie wyznacza pani nowy punkt kontaktowy?

Gdy drzwi windy stały już otworem, odwróciła się i powiedziała, że będzie to tablica ogłoszeniowa na St.-Germain-de-Pres, a wiadomość ma zostać zaszyfrowana w liściku miłosnym do „Michelle”. Za każdym razem wyznaczała inne miejsce. Nie ufała elektronicznym przekąźnikom - zbyt łatwo dawało się je wyśledzić.

Obaj agenci pokiwali głowami.

Przyglądała im się jeszcze przez chwilę, po czym weszła do windy.

- *Au revoir, monsieurs.*

Dźwig dopiero ruszył, lecz kobieta wyobrażała sobie, jak prześlizguje się między piekarniami, rzeźnikami, stoiskami z owocami i kwiatami. To właśnie tam, w plątaninie paryskich uliczek, zniknie na dobre deptającym jej po piętach Amerykanom.

\*

Hughes Bremner, ukryty za malowidłem na ścianie recepcji, przez które mógł obserwować, co się dzieje po drugiej stronie, zobaczył, że kobieta wsiada do windy, i zastanawiał się, co robić.

Miesiąc temu, w efekcie kilku długich rozmów, zdołał przekonać Arlene Debo - dyrektorkę Centralnej Agencji Wywiadowczej - że to właśnie Stany Zjednoczone muszą

poznać mroczne sekrety życia i działalności Mięsożercy. Później już razem brali się do przekonywania o swojej słuszności prezydenta, obawiającego się podobnych posunięć. Wreszcie uzyskali jego oficjalne przyzwolenie.

Jeszcze kilka minut temu Bremner kontrolował całą akcję przebiegającą zgodnie z planem.

Ale teraz Mięsożerca zaczął bruździć. Ta suka dostarczyła jego ultimatum.

A MASKARADA nie była jeszcze do końca przygotowana! Niewiele już brakowało, ale...

Bremner musiał dopaść Mięsożercę jako pierwszy i jedyny!

Przez ukryty mikrofon polecił agentom, by dostarczyli mu kopertę. W recepcji znajdowały się dwie pary drzwi. Jedne prowadziły do windy, drugie zaś na korytarz biegnący wzdłuż całego piętra. Posługując się posiadanymi kluczami oraz osobistymi kodami, agenci otworzyli kuloodporne drzwi od korytarza, podali kopertę i wrócili do swoich zajęć.

Bremner przekazał znajdującą się w środku wiadomość do rozkodowania i pospieszył do centrum koordynacyjnego. Stąd właśnie miała być koordynowana obserwacja łączniczki. Do jej śledzenia zostali skierowani najlepsi ludzie. Tym razem kobieta musiała ich zaprowadzić prosto do mordercy. A gdy Mięsożerca zginie, MASKARADA będzie już niepotrzebna i nic nie zagrozi największej w jego karierze operacji - GRANDEUR.

Zazwyczaj wysyłał za kurierką trzyosobowy zespół, wspierany przez posuwającego się równoległą trasą czwartego agenta, jednak dziewczyna zawsze potrafiła wyprowadzić ich w pole. Tym razem posłał za nią pieszo dwóch mężczyzn i kobietę, mężczyznę i dwie kobiety w samochodach i jeszcze parę w furgonetce pełnej elektronicznych urządzeń, pomalowanej tak, jak wozy wykorzystywane do rozwożenia ciastek.

Irytowało go, że nigdy w czasie swych wizyt nie dała się namówić na zjedzenie lub wypicie czegokolwiek. Ale było to tylko dowodem, iż Langley dobrze ją wyszkoliło. Naukowcy opracowali już bowiem bezsmakową metaliczną substancję, która umożliwiała z odległości niemal kilometra śledzenie osoby, która ją połknęła.

Gdyby tylko zdołał nakłonić ją do spożycia czegoś takiego, zaprowadziłaby ich do Mięsożercy, co równało się skazaniu go na śmierć.

Gdy kobieta wyszła z budynku ciągnąc za sobą ogon, skierował się ku drzwiom.

- Będę w swoim biurze - powiedział do operatorów, którzy nawet na moment nie odrywali wzroku od monitorów. - Natychmiast mnie zawiadomcie, gdyby zrodził się choć cień podejrzenia, że pojawił się nasz główny cel.

Łączniczka po wyjściu z Languedoc, natychmiast się zorientowała, że jest śledzona. Nie było to nic nowego. Zdziwiła ją jednak liczba agentów. Szła chodnikiem, jakby ich wcale nie dostrzegała, nie dała też po sobie poznać, że zauważyła Quilla. Jego obecność dodała jej otuchy.

Później, wieczorem, zostawi mu wiadomość w umówionej skrzynce kontaktowej, zdając relację z dzisiejszego spotkania. Wiedziała, że tak czy inaczej znajdą azyl w jednym z krajów, do których adresował swą ofertę.

Szybkim krokiem maszerowała przez rue de Vaugirard. Mijała sprzedawców ulicznych. Przeszła obok koncertującego na jednym z rogów saksofonisty. Skręciła w stronę Ogrodu Luksemburskiego. Pałac Luksemburski powstał w siedemnastym wieku jako rezydencja Marii Medici. Teraz ta wspaniała budowla była siedzibą Senatu, a park wokół niej stanowił raj dla spacerowiczów. Zagłębiła się w jego aleje. Przechodziła obok fontann, przyglądała się kobiercom kwiatowym, wstąpiła po drodze do baru na kielbasę i coca-colę.

Usiadła na ławce w cieniu i jadła z widoczną przyjemnością.

Po upływie dwóch godzin wiedziała, że ogoniarze są już zmęczeni i otępiali. Było jasne, że teraz znacznie łatwiej jest ich wykiwać. Wyszła z ogrodu i ruszyła tą samą drogą, którą tu przywędrowała. Ale zupełnie niespodziewanie skręciła w stronę Gare du Montparnasse przy Boulevard de Vaugirard. Tędy tylko piesi mogli za nią podążyć.

Nawet Quill nie był w stanie nadal jej śledzić.

Biegiem wpadła między potężny słup a stoisko z prasą. Pięć susów i znalazła się między dwoma innymi sklepikami, mając za sobą drewniany tył budki telefonicznej. Ktoś musiałby zajrzeć w ciemne przejście, aby ją zobaczyć.

Ale i tak nie miała zamiaru liczyć wyłącznie na własne szczęście.

Błyskawicznie zdjęła sandały i oberwała ich wysokie obcasy, a następnie umazała twarz, nogi i ręce czarnym proszkiem. Wsunęła stopy w teraz już płaskie buty, obciągnęła ukryte pod sukienką nogawki czarnych legginsów i odłączyła od niej spódnicę.

Dwukrotnie mignęli jej ludzie Bremnera, nerwowo przebiegający wśród kłębiącego się tu tłumu.

Działała jak zwykle pewnie i szybko. Ukryta za stoiskiem wyciągnęła z torby czarną satynową pelerynkę oraz różowe okulary przeciwsłoneczne w kształcie serc. Odpiętą spódnicę okręciła wokół szyi niczym szal. Jednym ruchem umalowała usta jaskrawoczerwoną szminką i wywróciła na drugą stronę swoją aktówkę, zamieniając ją w poplamioną torebkę. Na dodatek palcem rozprowdziła po zębach brązową substancję.

W takim przebraniu przypominała kobietę z marginesu. Obrazu dopełniała długa,

brązowa cygaretką w ustach. Wymachując torebką, wmieszała się w tłum.

Stojący w pobliżu agent zmierzył ją wzrokiem. Dostrzegła niesmak w jego oczach, ale i ciekawość. Zaniepokoiło ją to. Profesjonalne zainteresowanie mogło okazać się niebezpieczne. Dlatego musiała go przekonać, że zasługuje wyłącznie na odrazę.

Wsunęła nie zapaloną cygaretkę w kącik ust, zbliżyła się do agenta i przemówiła do niego tonem prostytutki najniższej kategorii. Jej brudna, zniszczona twarz znalazła się tak blisko, że poczuła w jego oddechu aromat wypitej kawy. A to oznaczało, że w niego z kolei uderzy intensywny zapach czosnku.

- *S'il vous plait, monsieur?*

Zawahał się.

W szerokim uśmiechu odsłoniła brązowo-żółte zęby, a jednocześnie wolną ręką chwyciła go za krocze.

Gwałtownie odskoczył do tyłu.

Zrobiła więc krok naprzód.

- *Oooh-la-la, monsieur!* Ależ przystojny. Ogień podany damie może przynieść nie lada korzyści. - Znów wyciągnęła rękę w kierunku jego krocza. - Choć nie całkiem za darmo!

Odwrócił się z wyraźnym obrzydzeniem i odszedł. Nie interesowały go choroby weneryczne, zlepione włosy pod pachami, mózg zniszczony jakimiś świństwami i Bóg wie co jeszcze. Ponownie zajął się poszukiwaniami.

W biurze w Languedoc rozległ się ostry sygnał telefonu. Hughes Bremner sięgnął po słuchawkę.

- Sir... nie możemy jej znaleźć.

- Co!

- Prowadziliśmy ją aż do Gare du Montparnasse. Sam pan wie, jak tam teraz jest. Ludzie korzystają z faktu, że przynajmniej pociągi kursują jeszcze normalnie, i stacja była wyjątkowo zatłoczona. Zgubiliśmy ją...

Słuchał tłumaczeń z chłodną furią. Łączniczka Mięsożercy zniknęła, a wraz z nią szansa na wyeliminowanie zabójcy jeszcze przed ujawnieniem się.

- Trzymaj ludzi na stanowiskach przez najbliższe dwanaście godzin - polecił. - Może być w środku i czekać, aż się zwiniecie.

Ledwie skończył wydawanie rozkazów, odezwał się dzwonek drugiego telefonu. Natychmiast pomyślał o Gordonie. Teraz MASKARADA miała większe znaczenie niż kiedykolwiek przedtem. Już od kilku godzin starał się z nim skontaktować.

- Gordon! Gdzie, u licha, się podziewałeś!

Taite wyraźnie się zawahał.

- Do cholery, co się stało?

- Sir, mam złe wieści. - Kolejna chwila ciszy. - Dziewczyna zniknęła. Uciekła. Asher

Flores także...

## 20.

W górskim miasteczku, gdzie zlokalizowane było wysypisko, Asher Flores wręczył Liz kartę kredytową i zostawił ją przy stacji benzynowej, której właściciel handlował także używanymi samochodami. Wybrała chevroleta caprice za trzy tysiące dolarów i wręczyła kartę. Miała nadzieję, że Langley nie zdążyło jeszcze jej zablokować.

Właściciel po chwili zwrócił kartę z uśmiechem na ustach. Podpisała się jako „pani Asher Flores”, myśląc jednocześnie, ile wykazała naiwności i niczym nie uzasadnionego zaufania wierząc Gordonowi opowiadającemu o złotych obrączkach.

Przez głowę przebiegła jej myśl, by uciekać dalej bez Floresa, ale przecież nie miała pieniędzy ani, poza tą jedną, kart kredytowych. Co prawda sama powinna dotrzeć do Santa Barbara, które, jej zdaniem, było najlepszym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań utraconej przeszłości, ale Gordon miałby wówczas ułatwione zadanie śledząc jej ruchy na podstawie jedynej karty.

Był także inny problem: jak w ogóle zabrać się za wyjaśnianie knowań Taite'a, Langley i Mięsożercy?

A co z Sarah Walker? Jeśli rzeczywiście istniał ktoś taki, mógł potrzebować natychmiastowej pomocy.

Z doświadczonym Floresem miała znacznie większe szanse na rozwiązanie tych zagadek. Ale co mogłoby się stać, gdyby miał jakieś powiązania z Gordonem? Jeżeli wyda ją lub wykorzysta realizując jednocześnie własne cele?

Gdy zdecyduje się związać swój los z Asherem, a on ją wykiwa, straci zapewne znacznie więcej niż tylko pamięć. Zmarszczyła brwi i uruchomiła silnik. Jak dotąd jednak Flores nie wykonał przeciw niej żadnego ruchu. Wprost przeciwnie - w znacznym stopniu pomógł w ucieczce, udostępnił dossier z nieosiągalnej dla niej, ściśle tajnej bazy danych w Langley, uratował przed ścigającymi ją komandosami. Na własne uszy słyszała przecież, jak mówili o oddelegowaniu Ashera na Spitzbergen, co jeszcze bardziej uwiarygodniało jego postępowanie.

Nigdy też nie próbował odebrać jej beretty.

Ruszyła w stronę autostrady, palcami bębniąc w kierownicę. Był ryzykiem, które z konieczności musiała podjąć... przynajmniej na jakiś czas. Postanowiła trzymać broń pod ręką

i uważnie śledzić jego poczynania.

Czekał przy wysypisku, w czystych džinsach i koszuli.

- Gdzie się wykąpałeś i zdobyłeś ubranie? - zapytała podejrzliwie. Czyżby wszystko było z góry zaaranżowane?

Uniósł swe gęste brwi, poklepał na pożegnanie Hortensję, wrzucił sportową torbę do bagażnika i usiadł obok niej.

- Znajomy facet prowadzący ten interes pozwolił mi skorzystać z prysznica. A ciuchy wzięłem ze sobą. Miałem nieco więcej czasu na spakowanie się niż ty. Masz coś na zmianę?

- Nie, tylko to, co na sobie.

W najbliższym miasteczku zatrzymali się przy sklepie. Kupił jej džinsy, kilka podkoszulków i kowbojskie buty. Żadnych spódnic czy bluzek. Ani panterek, choć w nich miało się przynajmniej swobodę ruchów. Zakręciła się przed lustrem, patrząc jak levisy przylegają do jej ciała. W takim stroju zwykła chodzić na co dzień. Flores obserwował ją z lekkim rozbawieniem. Nie miała pojęcia, o czym myśli, i właściwie nie bardzo ją to obchodziło.

Był dziwnym mężczyzną. Mniej więcej jej wzrostu, mocno zbudowany i na pierwszy rzut oka sprawny. Nie był w stanie zapanować nad wciąż rozwichrzonymi, ciemnymi włosami. Jego oczy od góry wieńczyły gęste, łączące się pośrodku brwi, a nos miał arystokratyczny kształt. Ubrania, które nosił, zdawały mu się tylko przeszkadzać. Sposób mówienia świadczył o żywym charakterze i zdecydowaniu. Zastanowiło ją, co musiał przeskrobać, by wylądować na Ranchu, którego bez wątpienia nienawidził.

Zatrzymali się w kolejnej miejscowości i kupili sobie okulary przeciwsłoneczne. On dodatkowo wybrał dla siebie kapelusz stetsona. Ona nie chciała żadnego nakrycia głowy, ale Asher upierał się i kupił dla niej kapelusz.

- Musimy zniknąć w dymie.

Wręczył jej czarną farbę do włosów i nożyczki.

- Chcesz, żebym je ścięła?

- ...i przefarbowała. Ja zapuszczam brodę. - Poskrobał się po podbródku. Już widać było na nim wyraźnie kruczoczarne włoski.

Tym razem zapłacił gotówką. Kazał jej zatrzymać wóz w miejscu, gdzie szosa przebiegała przez las, i przystąpił do znęcania się nad butami i kapeluszami. Obsypał je ziemią, zgniótł w rękach nakrycia głowy i pokazał Liz, jak oskrobać kowbojki o pień sosny. Gdy skończyli, nikt nie powiedziałby, że dopiero co były kupione.

Kiedy wracali do chevroleta, usłyszeli w oddali szum helikoptera.



- Gordon?

- Tak, to mogą być jego ludzie.

Flores błyskawicznie wypatrzył punkcik w oddali. Ukryli się pod drzewami i obserwowali, jak, lecąc nad autostradą, śmigłowiec rośnie w oczach.

- Dobrze, że nie było nas w wozie - szepnęła.

- Tak.

- I że kupiłeś kapelusze.

Helikopter przez chwilę kołysał się nad pustym chevroletem, po czym poleciał dalej. Z ulgą wypuściła powietrze z płuc.

- Nie ma to jak dreszczyk emocji.

W następnym miasteczku wymienili chevroleta na starego forda pikapa, jakich mnóstwo jeździło po drogach tej części Gór Skalistych.

Flores usiadł za kierownicą i ruszyli międzystanówką numer 70 na wschód. Liz otworzyła skoroszyt i zaczęła czytać dane swoje i Sarah Walker. W informacjach o Sarah nie znalazła nic nowego, ale dossier Sansborough rzeczywiście obejmowało także ostatnie trzy lata, jak twierdził Asher. Zakochała się w Mięsożercy, przeszła na jego stronę, a teraz była pośredniczką w pertraktacjach z Langley. Wstrząsnął nią dreszcz. Kto tu kłamał? Gordon czy Agencja? I, na miłość boską, dlaczego? A może te dane miały na celu zdezorientowanie jej do końca?

Zerknęła na towarzysza i znów zastanowiła się, do jakiego stopnia może mu ufać. Przeniosła wzrok na górski krajobraz i oczami wyobraźni dostrzegła srebrzyście lśniące doliny i góry zwieńczone czapami śniegu. Na myśl przyszły jej pikniki, piesze wycieczki i długie jazdy po górskich bezdrożach. Czyżby to strzępy wspomnień jeszcze z młodości w Europie?

Zerknęła na Floresa, od nowa owładnięta podejrzeniami.

- Nie spreparowałem tych danych, Sansborough. Jeżeli tkwi w nich jakiś podstęp, to mnie także używają jako narzędzia.

Jego oczy nigdy nie zatrzymywały się na jednym punkcie, bez przerwy lustrując okolicę i niebo. Widać było, że potrafi błyskawicznie myśleć i działać. Oby tylko te jego umiejętności nie zostały obrócone przeciwko niej.

Przekręciła kartkę i pochyliła się nad następnym dossier: Husajna Szahida Noona - jej pierwszego kochanka.

- Posłuchaj tego.

Zaczęła czytać na głos, przypominając sobie jednocześnie zdjęcia tego Pakistańczyka.

Był przystojnym młodzieńcem o ciemnej karnacji, poważnych oczach i czarnych włosach, które niesfornie opadały mu na czoło.

*W latach osiemdziesiątych naród pakistański przystał w referendum na zachowanie lansowanego przez prezydenta prawa koranicznego i przedłużenie kadencji prezydenckiej o kolejne sześć lat. Posiadając takie zaplecze, prezydent Zia wystąpił do parlamentu o reelekcję. Ojciec Husajna Szahida Noona - popularny parlamentarzysta - także zgłosił swą kandydaturę. Ale jeszcze przed wyborami, w czasie odwiedzin u syna w Cambridge zginął w wypadku samochodowym. Nie było żadnych świadków, a ojciec jechał w wozie sam. Według raportu policyjnego wpadł do rowu i skręcił kark. Koroner stwierdził, że był pijany. Władze nie znalazły żadnych dowodów potwierdzających udział innych osób.*

*Szahid nigdy nie uwierzył, że to był wypadek. Twierdził, iż ojciec - pobożny muzułmanin - nigdy nie tknął nawet alkoholu. W tej sytuacji oskarżył więc prezydenta Zię o morderstwo, ponieważ ojciec cieszył się poparciem zdelegalizowanej Partii Narodu Pakistańskiego.*

*Szahid sam zbadał okoliczności śmierci, a później poinformował przyjaciół, że według jego ustaleń prezydent Zia do mokrej roboty wynajął tajemniczego międzynarodowego zabójcę o pseudonimie „Mięsożerca”. Gdy w jakiś czas potem Szahid odwiedził rodzinę w Pakistanie, doszło do katastrofy jednosilnikowej awionetki, w której sam zginął. Władze pakistańskie podały, że uszkodzeniu uległ przewód paliwowy, co wywołało panikę pilota i samolot rozbił się w wyniku popełnionych przez niego błędów.*

- To twierdzenie o nadużyciu alkoholu przez jego ojca... - mruknął Flores. - Muzułmanów obowiązuje zakaz picia. Wcale nie zdziwiłbym się, gdyby stary Zia zlecił zlikwidowanie ich obu. To był człowiek całkowicie pozbawiony skrupułów. Uwielbiał pokazywać się w mundurze z piersią pokrytą medalami, które sam sobie nadawał.

- Zwróć uwagę na wzmiankę o Mięsożercy. Dane, które widziałam wcześniej, nawet słowem o nim nie wspominały. A przecież to bardzo ważna informacja.

- Może Gordon albo ktoś inny nie chciał, byś się dowiedziała, że Mięsożerca miał coś wspólnego z Szahidem.

- Ale dlaczego?

Gdy cienie zaczęły się wydłużać, sięgnęła po dane Garricka Richmonda. Był typowym amerykańskim chłopakiem: prezbiterianin, skaut, kapitan drużyny footballowej i przewodniczący klasy w szkole średniej. Uzyskał stypendium do college'u, gdzie kierował atakiem w drużynie, z najlepszą notą ukończył wydział ekonomii i uzyskał stypendium Fulbrighta w Cambridge. Nic dziwnego, że zakochała się w tym blondynie tryskającym

wprost radością życia i osobistym czarem.

- Och, Boże, posłuchaj tego.

Zaczęła czytać:

*Praca dyplomowa Garricka Richmonda traktowała o międzynarodowym zabójcy, znanym pod pseudonimem Mięsożerca.*

*Richmond zebrał o nim wszelkie dostępne informacje prasowe oraz materiały Langley, a ponadto rozmawiał z przedstawicielami Interpolu i agencji wywiadowczych Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii oraz Niemiec. Temu właśnie zawdzięczał ofertę pracy złożoną mu przez Centralną Agencję Wywiadowczą. Zgodził się. Odbył stosowne przeszkolenie, po czym trafił do Cambridge, gdzie studiował, a jednocześnie pracował jako zakamuflowany agent. Tam poznał Elizabeth Sansborough i ożenił się z nią.*

- Znów Mięsożerca - mruknął Flores drapiąc się po głowie. - Wszędzie on.

- Zarówno mój chłopak, jak i mąż mieli coś wspólnego z Mięsożercą. To nie może być zwykły zbieg okoliczności. Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie, lecz wydobyte przez ciebie dane ani Gordon nie wyjaśniają tego w najmniejszym stopniu.

- A na dodatek podobno jedynie ty widziałas twarz tego zabójcy. Znowu zbieg okoliczności? Jezu, może to Gordon Taite ma z nim jakieś konszachty?

Zamyśliła się. Po pewnym czasie powróciła do czytania informacji na temat Garretta Richmonda. Według niej zginął tak, jak wcześniej już usłyszała, zamęczony przez szyicki Dżihad. Skończył tragicznie, a przecież był jeszcze taki młody i do tego obiecujący.

Zatankowali wóz w miejscu oddalonym o jakąś godzinę drogi od Denver. Kiedy wrócili na autostradę, Liz ponownie sięgnęła po dossier Sarah Walker. Znajdowało się tam zdjęcie. Ale twarz na nim widniejąca, bez pieprzyka i z lekko garbatym nosem, nie była znajoma. Obok położyła własną podobiznę i porównywała obie, jakby na tej podstawie mogła cokolwiek wywnioskować.

- Jest do ciebie trochę podobna - zauważył Flores. - Widzę pewne analogie w budowie kostnej.

- Przecież to ja.

- Nie mówię o Liz Sansborough, tylko o Sarah Walker.

Liz pochyliła się nad zdjęciem osoby, pod którego nazwiskiem podobno się ukrywała.

- Może ktoś w Langley wziął moją fotografię, dokonał fachowego retuszu i proszę, oto Sarah Walker. Oficjalne zdjęcie w dossier nie istniejącej osoby.

- Langley starannie przygotowuje się do osłaniania ludzi, którzy muszą zniknąć. Jeżeli więc miałaś ukrywać się pod nazwiskiem Walker, jej zdjęcie nie powinno się zbytnio różnić

od twojego.

- A więc uważasz, że ona może naprawdę istnieć?

- To tłumaczyłoby różnice na tych zdjęciach.

- Pomyślałam dokładnie o tym samym. Ale jeśli istnieje prawdziwa Sarah Walker, gdzie była, gdy ja udawałam, że nią jestem?

- Może w Paryżu, gdzie właśnie wdzięczny się do Mięsożercy?

- To wiele by tłumaczyło. Ale dlaczego Langley miałoby wybrać dla mnie akurat taką osłonę?

Liz zrezygnowana pokręciła głową. Jej myśli znów powędrowały ku mordercy. Jak w ogóle jakaś kobieta mogła go sobie wybrać na partnera? Nie potrafiła na to sensownie odpowiedzieć. Zabrała się więc do czytania dossier Mięsożercy. Zanim jednak zaczęła, uświadomiła sobie, że coś jest nie tak.

- Och, pięknie - szepnął Flores. - Na podłogę, szybko!

Bez zbędnych słów zsunęła się z siedzenia i skuliła w kątku.

- Znowu helikopter?

Głębiej wcisnął kapelusz.

- Nie, oldsmobile cutlass. Taki sam widziałem na Ranchu. Dogania nas.

## 21.

Pikap mknął autostradą stanową Kolorado, a Liz Sansborough pocila się jak mysz. Siedząc na podłodze czuła się zupełnie bezsilna. Nie mogła znieść faktu, że musi polegać wyłącznie na Floresie.

- Co robi ten oldsmobile? - zapytała.

- Do diabła! To sam Gordon!

Serce zadudniło jej w piersiach.

- Gdzie?

- Jedzie prawym pasem i jest coraz bliżej. Boże, głowa obraca mu się na szyi o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Flores zsunął kapelusz jeszcze bardziej na czoło i poprawił okulary przeciwsłoneczne. Rondo i ciemne szkła niemal się dotykały. I wtedy Liz dostrzegła coś, co zdziwiło ją i przeraziło jednocześnie. Twarz towarzysza przeszła gwałtowną metamorfozę. Jego rysy nagle stały się grube, prymitywne, jak u człowieka całkowicie pozbawionego inteligencji. Zarost na brodzie i policzkach jakby się wydłużył. Wyglądał jak ciemny, zaniedbany gbur, a nie błyskotliwy znany jej Asher Flores.

- Gdzie Gordon? - zapytała ponownie.

- Siedzi nam niemal na ogonie. Gdyby wiedział, że tu jesteśmy, dawno już spróbowałby nas zatrzymać. Z tego co widzę, on i cały wspierający go oddział szukają w ciemno, mając nadzieję, że na nas natrafią. Zamierza wyprzedzić z prawej. Chyba namówię go, by gdzie indziej kontynuował swe poszukiwania.

Zmarszczyła czoło.

- Tylko nie kombinuj.

- Popatrz na to!

Włączył kierunkowskaz w prawo i brutalnie zajeżdżając drogę zmienił pas.

- Czyś ty oszalał? W ten sposób zwrócisz jego uwagę!

- O to właśnie mi chodzi.

- Flores!

Nasłuchiwała dźwięku klaksonu lub pisku opon, lecz nic takiego nie dotarło do niej.

- Co się dzieje? - zapytała.

Wzrok Floresa był utkwiony we wstecznym lusterku.

- Jest wkurzony. Chyba mi się udało. Tak, zdecydował się. Wyprzedza nas z lewej i przyspiesza. Chce pokazać, co potrafi jego maszyna.

- Cały Gordon. Na to właśnie liczyłeś?

Lekko pokiwał głową.

- Mignął tylko koło nas i już ledwie go widać. Ale lepiej jeszcze przez jakiś czas pozostań tam gdzie jesteś. Za nim mogą jechać następni.

- W porządku - mruknęła z wyraźną ulgą. - Tak się zmieniłeś, że i bez tego nie chciałabym być widziana w twoim towarzystwie.

Poruszył się wyraźnie zaintrygowany.

- A jak teraz wyglądam?

- Jak neandertalczyk - wyznała szczerze.

- Dzięki. Długo trwało, zanim nauczyłem się uwidaczniać swój prawdziwy charakter.

- Uśmiechnął się szeroko. Przez chwilę czuła się całkowicie bezpieczna.

Gdy pikap dalej mknął międzystanówką, Liz, wciąż przykucnięta na podłodze, położyła na siedzeniu dossier Mięsożercy i zabrała do czytania.

*Międzynarodowy zabójca, który sam nazywa siebie Mięsożercą, urodził się prawdopodobnie pod koniec lat trzydziestych. Niewykluczone, że co najmniej jedno z jego rodziców pochodziło ze Stanów Zjednoczonych, ponieważ z doniesień informatorów wynika, że kiedy posługuje się angielskim, ma wyraźnie amerykański akcent. Mówi także czterema innymi językami bez obcych naleciałości: niemieckim, francuskim, włoskim oraz hiszpańskim.*

*Przypuszcza się, że w rzeczywistości nazywa się Alex Bosa. Możliwe, że jest Węgrem, Włochem, Portugalczykiem czy Hiszpanem, a może pochodzić także z któregoś z krajów Środkowej lub Południowej Ameryki, na przykład Kuby. Przeważa jednak opinia, że jest Włochem.*

Zrelacjonowała Floresowi to, co przeczytała.

- Dalej piszą: „Przypuszcza się, że inicjację seksualną przeszedł w późnych latach pięćdziesiątych”. Wyraźnie zaznaczona orientacja heteroseksualna.

- Żonaty?

- Nie ma o tym ani słowa. Ale czy ktoś taki mógłby mieć żonę? Wiesz, przypomniła mi się ta kobieta z Paryża, która twierdzi, że jest Liz Sansborough. Ciekawe, czy w ogóle wie, w co się wpakowała.

- I czy zdoła się z tego wyplątać.

- Zgadza się.

Zacząła dalej czytać na głos:

*Legenda Mięsożercy narodziła się wraz z obaleniem reżimu Batisty na Kubie pierwszego stycznia 1959 roku. W jakiś czas po tym fakcie agent CIA uzyskał informację, że nieznany dotychczas zabójca o pseudonimie Mięsożerca wyeliminował jednego z najlepszych generałów Batisty, w ten sposób torując Castro drogę do sukcesu.*

*Mięsożerca jest także uważany za organizatora ataku, w grudniu 1975 roku, na uczestników odbywającego się w Wiedniu spotkania OPEC, podczas którego śmierć poniosło trzech ministrów.*

*Przypuszczalnie zabił także w Niemczech Zachodnich Hansa Schleyera - przewodniczącego Stowarzyszenia Pracodawców.*

*W roku 1978 za pomocą zatrutej końcówki parasola pozbawił życia w Londynie sławnego pisarza emigracyjnego Georgi Markowa...*

- Pamiętam to - przerwał jej Flores. - Zajmowałem się tą sprawą. Zbrodnia niemal idealna. Wszystko wskazywało na to, że śmierć nastąpiła na skutek zawału i nie było mowy o morderstwie. Ale dzięki Bogu sumiennie przeprowadzono sekcję zwłok.

- Jak więc udało się to wykryć?

- Całe ciało poddano bardzo dokładnym oględzinom. Znaleziono ślad ukłucia na udzie Markowa i skojarzono to z faktem, że jakiś mężczyzna z parasolem wpadł na niego na ulicy. Trucizna do tego czasu uległa już niemal całkowitemu rozkładowi. W grę wchodziła silnie toksyczna mieszanina wyciągów roślinnych. To morderstwo wstrząsnęło kręgami związanymi z wywiadem, ponieważ unaoczniło, jak w rzeczywistości jesteśmy bezbronni. Wreszcie winą za tę zbrodnię zostali obarczeni Bułgarzy. Dużo później dowiedzieliśmy się, że to sprawka Mięsożercy, ale dopiero wówczas, gdy sam się do tego przyznał.

- To doprawdy cudowny człowiek - mruknęła Liz z ironią w głosie. - Nic dziwnego, że nosi właśnie taki pseudonim.

Czytała dalej:

*W roku 1981 dokonał zamachu bombowego na biuro Radia Wolna Europa, w wyniku którego zostały poważnie ranne cztery osoby.*

*Uważa się powszechnie, że w drugiej połowie lat osiemdziesiątych ukrywał się w Berlinie Wschodnim. Obarcza się go odpowiedzialnością za podłożenie bomby we francuskim ośrodku kultury w Berlinie Wschodnim w 1983 roku, gdzie zginęła jedna osoba. Według ujawnionych niedawno dokumentów, Stasi i rząd NRD chroniły Mięsożercę.*

Flores aż gwizdnął przez zęby.

- Jezus. Mięsożerca przebywał w Berlinie i Niemcy dobrze o tym wiedzieli.

- Według tych informacji był tam aż do upadku muru. Posłuchaj:

*Prowadził swą działalność z Berlina Wschodniego, gdzie zajmował mieszkanie jemeńskiego dyplomaty i miał kierowcę przydzielonego mu przez Syryjczyków. Jego prawdziwa tożsamość znana była jedynie czterem najwyższym postawionym decydom.*

- Tak. Widocznie był dla nich szczególnie cenny. Stasi nie tylko zgodziło się ukrywać go na swoim terenie, ale zapewniło mu także odpowiednie warunki. A to jeszcze dodatkowo utrudniało nam jego namierzenie, nie mówiąc już o wyeliminowaniu. Zastanawia mnie jednak, dlaczego wybrał na swą bazę właśnie to miejsce i dlaczego później z niego zrezygnował?

- I gdzie zaszył się potem?

- Masz rację. Czytaj dalej.

*Szczególną cechą jego modus operandi jest fakt, iż wielokrotnie przypisywane mu są morderstwa dokonywane niemal w tym samym czasie w różnych, czasem bardzo odległych miejscach globu. W związku z tym wśród władz co prymitywniejszych krajów wzbudzał paniczny strach, przypisywano mu bowiem nadprzyrodzone możliwości. Rzeczywistym wytłumaczeniem tej sytuacji wydaje się posiadanie przez Mięsożercę specjalnie wyszkolonych, oddanych mu współpracowników.*

Flores parsknął pod nosem.

- To naprawdę oryginalna zabawa łapać kogoś, kto znajduje się jednocześnie w dwóch różnych miejscach.

- Sądzisz, że ma do pomocy jeszcze innych zabójców?

- To możliwe. Starzeje się już. Chociaż na jego miejscu wolałbym działać w pojedynkę. W tym biznesie należy przede wszystkim mieć na względzie własne bezpieczeństwo, a dopiero w następnej kolejności pieniądze. Jeśli ujawnia coś więcej niż tylko swój pseudonim, automatycznie ponosi ogromne ryzyko.

- Może więc wcale nie ryzykuje. Może rzeczywiście potrafi być w dwóch miejscach jednocześnie, podobnie jak ja jestem teraz tu i w Paryżu.

- Zgadza się. Bardzo zabawne.

Pozwoliła sobie na uśmiech i powróciła do czytania:

*Trzy lata temu Mięsożerca poznał agentkę CIA Elizabeth Sansborough podczas wykonywania przez nią zadania w Lizbonie. Przeszła na jego stronę, a on prawdopodobnie wycofał się z zawodu. Nie jest jednak jasne, czy to ów związek spowodował taką decyzję. Przyczyny mogą kryć się także w odniesionych obrażeniach lub trudności czy też niechęci do pracy w warunkach zmienionych wskutek zakończenia zimnej wojny. Nie wyklucza się także*



*śmierci Mięsożercy.*

Westchnęła rozzłoszczona.

- Boże, mam już dosyć słuchania, że jestem jego kobietą.

- Cóż, może przynajmniej nakłoniłaś go do zaprzestania zabijania. Powinnaś być dumna z tego powodu.

Spojrzała ponuro na Floresa.

- Potrafisz być naprawdę wyjątkowo złośliwy, wiesz?

Zmarszczył brwi i zmienił temat:

- Jest tam coś jeszcze?

- Pełna lista przypisywanych mu zabójstw. W większości brak jednak potwierdzenia, że to naprawdę jego robota.

Odczytała pełen wykaz. Omówili część bardziej znanych spraw i Liz wreszcie zamknęła skoroszyt.

Przez dwie następne godziny drzemała na podłodze. Flores widział w tym czasie jeszcze trzy wozy prowadzone przez ludzi z Ranza. Ale podobnie jak w przypadku Gordona, widocznie nie zidentyfikowali ich pikapa ani nie rozpoznali Ashera, zmienionego dzięki okularom, kapeluszowi i zarostowi. Właściwie mógłby to być dla niego powód do radości, lecz przecucie podpowiadało mu, że najgorsze jest jeszcze przed nimi.

\*

Zmierzchało już, a na bezchmurnym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

- Sądysz, że już mogę normalnie usiąść? - zapytała Liz.

- Chyba tak. A możesz się jeszcze w ogóle ruszać?

- Sama chciałabym wiedzieć.

Cała była obolała. Wsunęła się w siedzenie i wreszcie rozprostowała członki. Z ulgą zaczęła masować nogi, a później ręce. Gdy drzemała, ani na chwilę nie mogła zapomnieć o Mięsożercy. Powiedziała Floresowi, do jakich wniosków doszła:

- To psychopata. A raczej socjopata. Nie zdziwiłabym się, gdyby nie tylko w przenośni, jak wskazuje na to jego pseudonim, ale i w rzeczywistości był kanibalem. Dlaczego ktoś taki jak ja miałby przechodzić na jego stronę, nie mówiąc już o darzeniu go uczuciem? Langley musi mieć jakieś podstawy, by sądzić, że tak właśnie zrobiłam. Wskazujące na to informacje znajdują się zarówno w moim, jak i jego dossier, ale wciąż nie potrafię w to uwierzyć.

- Musieli umieścić je w obydwu, jeśli starają się w ten sposób wprowadzić kogoś w błąd.

- Ale kogo? Mnie? Przypomina mi się tu pokerowe powiedzonko, które słyszałam na Rancho: jeśli szukasz przy stole jelenia i nie możesz go znaleźć, to widać ty nim jesteś.

Za ich plecami zgasły ostatnie blaski dnia. Przed sobą zaś, gdy pokonali kolejne wzniesienie, ujrzeli w dole ogromne morze świateł Denver. Wspaniały widok, lecz odczuwane zmęczenie i napięcie spowodowało, że tylko przez chwilę radowali nim wzrok.

\*

Już w mieście Asher Flores zjechał z trasy międzystanowej do podrzędnego motelu między jakimiś magazynami a stadionem. Gordon Taite miał mniejsze szanse na znalezienie ich w miejscu, gdzie pokoje wynajmowało się na godziny, a recepcjonista nie zadawał żadnych zbędnych pytań i nawet nie starał się zapamiętać twarzy gości.

W tej obskurnej okolicy pełno było tylko jasno świecących reklam, natarczywych prostytutek i rozbrzmiewającej zewsząd kowbojskiej muzyki. Odór zwierząt, potu i nie zrealizowanych ambicji wisiał w parnym powietrzu. Nadchodziła kolejna sierpniowa noc, a Denver pławiło się w dobrobycie.

Asher gotówką zapłacił za pokój. Zabrali ze sobą torbę sportową, plecak i gruby skoroszyt. Niestety, nie było tam nawet klimatyzacji. Liz otworzyła okna i poszła do łazienki, by wziąć prysznic, przyciąć włosy i ufarbować je.

Asher pojechał tymczasem do chińskiej restauracyjki przy zjeździe z autostrady po coś do zjedzenia. Po drodze zatrzymał się przy budce telefonicznej, sięgnął do kieszeni po drobne i wybrał numer. Po chwili zgłosiło się Langley. Dyżurny oświadczył, że Hughes Bremner wrócił już z Paryża. W Waszyngtonie minęła już wprawdzie północ, ale szef zostawił instrukcję, by Asher został połączony bezpośrednio z jego domem.

Młody agent znów tylko kilka sekund czekał na połączenie.

Bremner błyskawicznie podniósł słuchawkę.

- Gdzie jesteś, Asher? Martwiłem się. - Głos starego był ciepły, pełen spokoju i pewności siebie.

Agent zaczął mówić.

## 22.

Asher rzekł do słuchawki:

- Chyba mamy tu poważny problem, szefie. Chodzi o Gordona Taite'a.

- Ha, obawiałem się czegoś takiego. - Gdzieś daleko Bremner westchnął ciężko. - Kiedy wróciłem dziś wieczorem, zadzwonił Ernie Pinkerton. Mówił, że Gordon przeniósł cię na Spitzbergen. Staralem się skontaktować z tobą na Rancho, ale zameldowali mi, że zniknąłeś. Mów, co się stało, Asher.

- Doszło do scysji Taite'a z Liz Sansborough. Nie mam pojęcia, co ona ma wspólnego z ujawnieniem się Mięsożercy...

- Słyszałeś o tym?

- Jasne. - Asher poczuł się dumny ze swych osiągnięć. - Dostałem się do CM-5 i ustaliłem, że trzy lata temu przeszła na jego stronę. Zdoła mi pan wyjaśnić, jak, u licha, może być jednocześnie w Stanach i we Francji?

- Mógłbym, ale nie zrobię tego. To tajne.

- Szefie, ona nie będzie nic warta, jeśli Taite znów dorwie ją w swoje łapy.

- Dziewczyna potrzebuje leczenia.

- Tak, ale kategorycznie twierdzi, że nie będzie już przyjmować żadnych leków.

- Jeśli mi to mówisz, mogę przypuszczać, że jest z tobą?

Instynkt podpowiadał Asherowi, żeby skłamać. Ale szef zawsze był z nim szczerzy. Ta ostatnia kara - zesłanie do zapomnianego przez Boga Rancho - była nieunikniona i obaj wiedzieli, że kiedyś wreszcie dobiegnie końca.

- Tak, jest ze mną.

- Musisz ją nam przekazać, Asher. Jest niezbędna dla zachowania bezpieczeństwa narodowego.

„Bezpieczeństwo narodowe” było jednym z tych określeń, które straciły już dawną rangę. Richard Nixon mówił o nim starając się zatuszować Watergate. Ronald Reagan, George Bush i były szef CIA Bill Casey w ten sposób tłumaczyli Irangate. To właśnie zapewnieniem „bezpieczeństwa narodowego” rozgrzeszano morderstwa dokonane przez Agencję. W 1992 roku muzeum sztuki Pentagonu, posługując się tym argumentem, usiłowało wytłumaczyć domalowanie sprayem wąsów na olejnym portrecie wysokiego oficera Sił

Powietrznych - Tony McPeaka.

Rzecz jednak w tym, iż bywały także rzeczywiste zagrożenia „bezpieczeństwa narodowego”. Asher już dawno temu doszedł do wniosku, że do tego typu argumentacji należy podchodzić z rezerwą, ale jednocześnie i z należytych szacunkiem.

- Chora dziewczyna zagraża bezpieczeństwu narodowemu? Trudno mi w to uwierzyć.

- Czyżbyś był po jej stronie? - Bremner wciąż zachowywał spokój, lecz Asher wyczuł w jego głosie zniecierpliwienie.

- Nie, a powinienem?

- Co ty opowiadasz. Widzę, iż nie wierzysz, że to wariatka. Ja jestem tego pewien. Będzie zachowywać się całkiem normalnie i nagle, zupełnie niespodziewanie straci nad sobą kontrolę, jeśli nie sprowadzisz jej do nas. Przekonasz się o tym na własnej skórze. Jest nam potrzebna. Leki, którymi dysponujemy, pomogą jej. Posłuchaj, przecież gdyby była całkiem normalna, bez oporów poszłaby na współpracę z nami. A tak, my musimy pomóc jej, żeby ona pomogła nam.

Bremner jak zwykle był przekonujący. Jednak Asher przypomniał sobie w tym momencie Liz Sansborough dziko walczącą, by uniemożliwić doktorowi zrobienie zastrzyku. Jej desperacką ucieczkę z izby chorych na Ranchu. Zwierzęcy strach, kiedy nadlatywały helikoptery. Inteligentną analizę informacji osobowych. Precyzyjnie zadawane pytania...

Jeśli rzeczywiście była szalona, czy tak wiele wstrząsających przecież doznań nie mogłoby doprowadzić jej do „utrąty kontroli nad sobą”, jak elegancko ujął to Bremner?

- Pomyślę o tym, szefie. Ale jeśli ją wystawię, zrobię to dla pana, a nie dla Gordona Taite'a.

- Oczywiście. Ale musisz się pospieszyć. Najpóźniej jutro. Zadzwoń. Spotkamy się.

Na pożegnanie Bremner pochwalił jeszcze podwładnego za lata poświęcone Langley, jego oddanie i szczerość. Obiecał także, że odwoła przeniesienie na Spitzbergen i przywróci go do pracy w terenie.

- Tylko sprowadź ją do mnie, Asher.

Flores nigdy nie słyszał, by szef był tak wylewny i sympatyczny.

Pojechał dwie przecznice dalej do chińskiej knajpy, kupił jedzenie i wrócił do motelu. Liz wyszła już spod prysznica i teraz miała na sobie podkoszulek i ręcznik przepasany w tali. Jej włosy były krótkie, proste i znacznie ciemniejsze niż przedtem. Zadumał się nad tym, co mówił szef, nie wiedząc do końca, jak powinien postąpić. Był przecież przekonany, że jest tak samo normalna jak on, a na pewno znacznie bardziej od Gordona Taite'a. Wierzył równocześnie Bremnerowi, że jej potrzebuje.

- Są okropne. - Skrzywiła się patrząc na swoje odbicie w zakurzonej lustrze wiszącym naprzeciw łóżek. Założyła ciemne okulary, wsunęła mokre jeszcze włosy za uszy i przypięła duże, zielone klipsy.

- Znalazłam je w szufladzie - wyjaśniła. - Co ty na to?

Wyglądała jak piękność z portowej dzielnicy, która na siłę stara się sprawiać wrażenie dziewczyny z klasą.

Nie był w stanie powstrzymać się od śmiechu.

- Potrzebujesz jeszcze długich na pięć centymetrów paznokci, pomarańczowej szminki i purpurowych, obcisłych spodni.

- A więc wyglądam tak jak chciałam.

- Nikt cię nie rozpozna. A o to przecież nam chodziło.

Miała smukłą sylwetkę, lecz ostatnie przeżycia sprawiły, że zostały z niej tylko skóra i kości. Szyja wyciągnęła się i wyszczupiała. Ramiona jej opadały, a kształtne piersi gdzieś zniknęły. Ręce przypominały patyki. Aktorzy wiedzą, jak emocje odbijają się na ich wyglądzie. Asher, słynący z umiejętności wcielania się w różne postacie, musiał przyznać, że jego towarzyszka jest świetną ilustracją takich zmian.

Powiedział jej o tym.

- Wyobraźnia jest jedną z najskuteczniejszych broni agenta. Aktorzy świetnie potrafią ją wykorzystywać. Widziałas Paula Newmana jako włóczęgę w „Hemingway’s Adventures of the Artist as a Young Man”? Był tak przekonujący, że nikt go nie rozpoznał, choć zdobył sobie już przedtem znaczną popularność.

Uśmiechnęła się lekko.

- To przypadek. Ja nie nauczyłam się tego na Rancho.

- A więc powinni umieścić to w twoim dossier jako wrodzone umiejętności - orzekł odpowiadając na uśmiech.

Zjedli naleśniki z warzywami, kwaśną zupę i podwójną porcję wołowiny w sosie ostrygowym. Nie było chińskiego piwa, tylko coors. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Liz wypila dwie butelki, on trzy. Smakowało, zwłaszcza w takim upale.

- Moim zdaniem po utracie pamięci największym problemem jest brak pewności, czy rzeczywiście przeszłość wygląda tak, jak ci ją przedstawiają - powiedziała cicho, z wyraźnym trudem.

Nie miała w czym spać, więc wślizgnęła się do łóżka w podkoszulku i majtkach. Pod poduszkę wsunęła beretkę.

On także z torby wyjął swój pistolet kaliber .45. Powstał w zakładzie zbrojeniowym

Springfield, z przeznaczeniem dla wojska. Później powiększono mu przyrządy celownicze oraz skrócono spust i przerobiono kolbę. Asher szczególnie go lubił ze względu na to, że doskonale leżał w jego niewielkiej dłoni. Chwilę obracał go w rękę i wreszcie wsunął pod poduszkę.

- Masz jakieś plany na jutro? - jej głos znów był spokojny.

Zdziwiło go, jak szybko adaptuje się w nowych warunkach. Ale przecież tak naprawdę nie miała wyboru.

- To zależy, jaki cel sobie postawimy.

Odwrócił się plecami do niej, zgasił światło i rozebrał do slipek, po czym położył do łóżka.

- Możemy pominąć pośrednictwo Gordona i uzyskać pomoc z Langley?

- Istnieje taka możliwość.

- Do kogo należałaby się z tym zwrócić.

- Do mojego szefa, Hughesa Bremnera. Kieruje Mustangiem. Udalibyśmy się prosto do niego.

Liz nie miała pojęcia, że Flores wciąż rozważa propozycję Bremnera. Jej przyjęcie zaoszczędziłoby im wiele kłopotów. Ale gdzieś w głębi duszy uporczywie nurtowała go myśl, by zachować Liz i Mięsożercę wyłącznie dla siebie.

Najpiękniejszą kobietę i najbardziej odrażającego zabójcę.

- Pamiętam to nazwisko - rzekła nagle. - Hughes Bremner. Gordon mówił, że z daleka uważnie przygląda się moim postępom. Szczególnie się mną interesuje. Bremner to ktoś ważny. Gordon ciągle przysyłał mu raporty z przebiegu mojego szkolenia.

Doszedł do wniosku, że Sansborough rzeczywiście musi odgrywać kluczową rolę w operacji związanej z Mięsożercą. Ale jeśli morderca i tak zamierzał się ujawnić, to po co te całe podchody? Kilka minut leżał bez ruchu, wsłuchując się w jej oddech. Wreszcie zasnął, z dłonią zaciśniętą na poręcznej kolbie swego pistoletu.

## **PIĄTEK**

Śniła o jakichś nieznanych krajach i surowych krajobrazach. Czasami była to pustynia, innym razem lód i śnieg. We śnie była dwiema Liz Sansborough - jedna, była żoną Mięsożercy, druga - Gordona. Bezsilnymi i złymi jak oni. Chciała umrzeć.

Obudziła się zlaną zimnym potem.

Chryste! Kim wreszcie była?

Światło czerwono-żółtego neonu motelu wlewało się przez brudne szyby do pokoju. Jedyne okno wciąż było otwarte, więc docierał przez nie szum pobliskiej autostrady oraz, cała mieszana nieprzyjemnych dla nosa zapachów.

Oddychała ciężko, nie mogąc się pozbyć uczucia lęku. Znow napłynęła senność. Powieki ciążyły coraz mocniej. Musiał już zbliżyć się świt.

Zamknęła oczy. Ale nagle podświadomy strach zmaterializował się w obrazie otwartego okna.

Czyżby intuicja podpowiedziała, że coś się w nim poruszyło?

Błyskawicznie znow otworzyła oczy. Nie odwracając głowy, kątem oka zlustrowała pokój. Wreszcie go dostrzegła. Cień przy regale w rogu. Przypominał rękę z bronią z długim tłumikiem.

Na moment strach sparaliżował jej ruchy. Ale zaraz przypomniała sobie, co robić.

Tego przecież uczono ją na Rancho.

Westchnęła jakby przez sen i mruknęła cicho. Przekręciła się na bok. Wsunęła dłoń pod poduszkę i chwyciła berettę.

## 23.

Liz odwracając się, nacisnęła na spust. Pokój aż zadrżał od huku. Napastnik natychmiast odpowiedział strzałem. Jej łóżko podskoczyło, a w powietrze wzbiły się strzępy tkaniny i zaraz rozległ się drugi strzał.

Był wymierzony w łóżko Ashera.

- Flores!

Zsunęła się na podłogę. Kolejny huk zagłuszył jej krzyk. Wlepiwszy wzrok w ciemności, zaczęła czołgać się po rozoranym pociskami linoleum, które raniło jej uda.

Wychyliła głowę ponad skraj łóżka.

Niemal jednocześnie rozległy się dwa kolejne strzały.

A więc Flores żył! Musiał być jednym ze strzelających. Ale którym? Tym z lewej, czy z prawej? Żadnego z nich nie udawało jej się zobaczyć.

Wślizgnęła się pod łóżko Floresa. Usłyszała jakiś ruch. Znów dwa strzały. Mężczyźni jeszcze raz zmienili pozycje. I nagle dostrzegła czyjeś obute stopy na lewo od drzwi. Nie mogły należeć do Ashera, bo ten na pewno boso wyskoczył z łóżka. Intruz musiał przykucnąć, kryjąc się za stołem. Wycelowała w miejsce, gdzie powinny być jego nogi. Chciała mieć go żywego. Musiała wyciągnąć z niego jak najwięcej.

Nacisnęła spust. Ręka poleciała do tyłu na tyle silnie, że o mało nie uderzyła ją w twarz. Usłyszała jęk i łoskot upadającego ciała.

- Flores! Gdzie jesteś?

- Wszystko w porządku.

Słyszała, jak zbliża się do leżącego. Usiadła czekając. Wkrótce pojawi się policja. Nawet w tej dzielnicy, gdzie życie nie było warte więcej niż drink czy działka hery, ktoś wreszcie wezwie gliny. Przyzwyczajenia cywilizacyjne nie wyparowują tak szybko.

Opuściła broń. Ale dlaczego ten ranny nie wydawał z siebie żadnego dźwięku? Gdyby żył, powinien jęczeć lub choćby kłąć.

- Sansborough, okno!

W blasku neonu ujrzała mężczyznę zaglądnącego do środka. Strzeliła bez zastanowienia. Czowała się tak, jakby znów była na strzelnicy, lecz tym razem nie trafiła w tarczę, lecz w czoło tamtego. W błysku eksplozji zdążyła dostrzec młodego blondyna z



wyraźnie zarysowaną zuchwą i zdziwieniem malującym się w oczach.

Kula przeszła przez czoło i rozsadziła czubek czaszki. Krew, mózg i odłamki kości rozprysnęły się wokół. Tym razem nie było już wątpliwości: zabiła człowieka. Zebrało się jej na wymioty.

Tamten upadając, w ostatnim odruchu nacisnął jeszcze na spust.

- Sprawdź okno! - syknął Flores, a sam zaczął się skradać do drzwi, gdzie coś się poruszało.

Cała obolała i złana potem podkradła się do okna. Za jej plecami rozległ się jeszcze jeden strzał. Odwróciła się gwałtownie.

- Wszystko w porządku - rzekł Flores ochryple. - Cholera, ten, którego raniłaś, był bardziej żywy niż myślałem.

- Zabiłeś go?

- Musiałem.

Zajął się przeszukiwaniem kieszeni trupa w nadziei, że znajdzie coś, co wyjaśniłoby, kim był i czego chciał.

Wyjrzała ponad parapet. Okno wychodziło na porośniętą chwastami, zaśmieconą parcelę. Nie dostrzegła żadnego ruchu. Odwróciła się więc i popatrzywszy na leżącego na podłodze, od razu rozpoznała broń, którą jeszcze trzymał w ręku. Pistolet maszynowy Ingram M-11. Długi zaledwie na dwadzieścia pięć centymetrów i ważący niecałe dwa kilogramy, był w stanie wypłuć z siebie osiemset pięćdziesiąt pocisków na minutę. Potęga. To nie była powszechnie używana broń.

Facet był profesjonalistą. Podzieliła się z towarzyszem swymi spostrzeżeniami. Tymczasem on przyciągnął trupa za nogi ku smudze światła wpadającego przez okno.

- Poza papierosami nie ma nic w kieszeniach. Nawet pieniędzy. Ale znam go. Nazywa się Matt Lister!

- Ja też!

Przyjrzała się jego twarzy. To ten sam mężczyzna, którego podobno zabiła w swym mieszkaniu w Santa Barbara. Ten sam tępy wyraz twarzy i zaczesane do tyłu włosy. Opowiedziała Asherowi szczegóły tamtego ataku.

- Gordon wcisnął mi do ręki pistolet, a ten facet wyłonił się zza sofy i mierzył do mnie. Strzeliłam. Wszystko działo się w ułamku sekundy, a ja byłam w stanie szoku. Zobaczyłam tylko, jak padł na plecy zboczony krwią, a raczej, jak się okazuje, jakąś jej imitacją!

- Ślepaki i fałszywa krew. Niezła sztuczka.

- Ale udała się, do jasnej cholery! Później uwierzyłam już we wszystko, co mi mówił!

- Oczywiście. Potrafią być cholernie sugestywni, a w takiej sytuacji nawet ja nie miałbym wątpliwości, że mówią prawdę. Najważniejsze, że nie dałaś się przekonać już do końca. - Wychylił się przez roztrzaskane okno. Tego nie znam, a ty?

Pokręciła głową. Flores przykucnął przy niej. Miał na sobie tylko białe bokserki. Jego ciało było muskularne i zgrabne, a nogi zdawały się należeć do biegacza; uznała je za niezwykle seksowne. Plecy miał proste, szerokie, takie jakie kobiety lubią najbardziej.

- Jest tam ktoś jeszcze? - zapytał.

- Nikogo nie widziałam. - Wyczuwała zapach jego potu, a w głosie słyszała napięcie.

- Ubieraj się i pakuj. Musimy się stąd wynosić.

- Naprawdę? - zadrwiła.

Uśmiechnął się. Włożyła dzinsy. On także szybko się ubrał i wrzucił wszystkie rzeczy do torby. Co dziwne, nie odczuwała już mdłości i nawet nie była zdenerwowana. Ogarnęła ją za to wściekłość.

Pierwsza skończyła przygotowania.

- Sądysz, że Gordon ich przysłał?

- Nie ma wystarczającej władzy, by zlecić morderstwo. Rozkaz musiał pochodzić od samego Bremnera. - Flores wyraźnie posmutniał. - Mojego mentora. W sprawę zamieszany jest nie tylko Gordon, ale także on.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Nie ma czasu na tłumaczenia. Idziemy.

Otworzył drzwi. Wydostali się na zewnątrz. Na ulicy nie zauważyli żadnego ruchu. Po przeciwnej stronie stała honda accord, dziwnie kontrastując swą czystością z leżącymi obok stosami śmieci.

- Musieli właśnie nią przyjechać.

Wsiadli do swego pikapa. Flores uruchomił silnik.

Liz przyglądała się tymczasem hondzie.

- To wóz z wypożyczalni - zauważyła.

Na tylnym zderzaku znajdował się emblemat Gold Star Rent-a-Car - największej tego typu firmy w Stanach.

Gdzieś w oddali zawyła policyjna syrena.

Flores ruszył.

- Szkoda, że nie mamy czasu na przeszukanie tego samochodu. Wszystko wskazuje na to, że Matt Lister miał mnie zabić, a ciebie zabrać ze sobą. Był tuż przy moim łóżku, zapewne

nie do końca pewien, gdzie które z nas leży. Gdyby kazano im zlikwidować nas oboje, mogli po prostu strzelać przez okno.

- Skąd wiesz, że Bremner maczał w tym palce?

Bardzo liczyła na to, że właśnie szef wydziału CIA im pomoże. Wiedziała już co myśleć o Gordonie, ale może przynajmniej kierujący Mustangiem...

Gdzieś za nimi urwał się nagle jęk syreny. Policja pewno dojechała do motelu. Na wschodzie, nad pociętym górami horyzontem, pojawiły się pierwsze światła dnia. Przed oczami stanęła jej pełna zaskoczenia twarz młodego mężczyzny o blond włosach, któremu wystrzelony przez nią pocisk przewiercił czoło.

Zabiła go. A przecież to był człowiek.

- Opowiedz mi o Bremnerze - wyszeptwała.

Jego szczęki zacisnęły się w odruchu żalu i złości.

- Zadzwoiłem do niego wieczorem, kiedy pojechałem po jedzenie. Staralem się z nim skontaktować jeszcze z Rancho, ale był „niedostępny” w Paryżu. Wczoraj wrócił.

- Jak dotąd nie widzę w tym nic złego. Chciałeś uzyskać od niego pomoc.

- Potrzebowałem informacji - szepnął.

Wreszcie zrozumiała. Flores popełnił błąd, i to właśnie najbardziej go ubodło.

- Bremner namierzył, skąd dzwoniłeś i wysłał swoich ludzi, aby nas odnaleźli. W okolicy nie ma aż tak wielu moteli. A więc twój telefon stał się drogowym wskazaniem dla zabójców.

Szczęki Floresa wciąż pozostawały zacisnięte.

- Stąd właśnie wiem, że Bremner jest przeciwko nam.

\*

Hughes Bremner wkroczył do holu znajdującej się w Wirginii rodowej rezydencji swej żony. Pani domu - Bunny Hartford Bremner, w przeszłości pierwsza dama Piątej Alei - wyszła mu na spotkanie. Był wczesny ranek, a przepiękna okolica zapraszała do spacerów. Ale on musiał przebywać w towarzystwie zdeklarowanej alkoholiczki, wyglądającej starzej niż na swoje sześćdziesiąt jeden lat. Była wyraźnie zła, bo o dziewiątej musiała stawić się w sądzie jako ławniczka. Obowiązek obywatelski, od którego nawet ona nie była w stanie się wykręcić.

Zacząła nawet dość spokojnie:

- O, Hughes. Zawsze musisz wyglądać jak chmura gradowa?

- Oszczędź sobie takich uwag, moja droga.

- Jesteś nadętym osłem.

Odwróciła się do niego plecami. Pod zbyt odważną jak na jej wiek czerwoną sukienką

miała stanik w tym samym kolorze. Jedna jego część była skrecona. Nie potrafiła już nawet ubrać się jak należy.

- Zapnij suwak - zażądała.

Posłuchał. Lubił zjadliwość dźwięku wydawanego przez zasuwany ekler. Z satysfakcją zauważył, że źle zapięty stanik odstaje pod sukienką. Z każdym dniem ludzie coraz wyraźniej mogli zobaczyć, jak nisko upada.

- Kiedyś lubiłeś mnie ubierać - ciągnęła. - I rozbierać. Ale wtedy ty byłeś biedakiem, a ja zakochanym podlotkiem.

- Nie przypomnisz mi kolejny raz, że twój kochany tatuś miał rację? Mówił, że jestem nikim, mam pusto w głowie i do niczego nigdy nie dojdę. Mój Boże, Bunny. Co się z tobą dzieje. To chyba pierwsza oznaka wypalenia mózgu przez szkocką.

Wycofała się do sypialni; zanim zdążył wejść po schodach, już z niej wyszła w butach i kapeluszu, w dłoni trzymając niewielką torebkę.

- Miałeś przynajmniej właściwe pochodzenie - zauważyła.

Choć może na pierwszy rzut oka nie było tego widać, dostrzegł, że piła już dzisiaj. Jej ciało promieniowało alkoholem, którego odór ciągnęła za sobą niczym wstęgę. Poczł nagłą ochotę popchnięcia jej. Nie potrzeba wiele, by stoczyła się na sam dół. Była otyłą kobietą w butach na wysokich, chwiejnych obcasach. Nakryłaby się nogami i skręciła tę swoją paskudną, pokrytą fałdami szyję. Jej pieniądze trafiłyby co prawda do funduszu powierniczego, do którego nie miał dostępu, ale teraz nie były mu już potrzebne.

Małżonka wciąż jednak była przekonana, że marzy o jej fortunie.

- Co byś powiedział na lekkie popchnięcie mnie, Hughes? - rzuciła przez ramię schodząc. - Chciałbyś, co? Oboje dobrze o tym wiemy.

Zupełnie niespodziewanie wybuchnął śmiechem. Śmiechem tak potężnym, że aż wstrząsnął całym jego ciałem. Bunny zaskoczona zatrzymała się i odwróciła. Otarł łzawiące oczy i trzymając się poręczy ruszył w dół, podczas gdy ona nie spuszczała z niego zdziwionego wzroku.

Dopiero po chwili był w stanie cokolwiek powiedzieć.

- Nie, moja droga. Zabicie cię jest ostatnią rzeczą, jakiej pragnę. I nie chodzi tu o twoje pieniądze. Nie, droga Bunny. Gdyby cię zabrakło, co, u licha, potrafiłoby mnie tak rozbawić?

Jej twarz przybrała wyraz podejrzliwości. Czyżby sobie z niej kpił? Nie była pewna. Wreszcie pokręciła głową, chcąc zbagatelizować sprawę, a jej niewielki kapelusik niebezpiecznie się przechylił. Nawet nie zwróciła na to uwagi.

Schodzili po schodach. Dwoje arystokratów, świadomych łączącej ich absurdalnej więzi.

- Wróc dziś na kolację, Hughes. Przyjdą Coxowie i Cabotowie.

- Spóźnię się. Jak zwykle. Może nawet wcale się nie pojawię.

- Hughes!

Tylko tyle była już w stanie powiedzieć. Powstrzymywanie się od ostrego komentarza potraktował jako własny triumf.

Przed drzwiami frontowymi na kolistym podejździe czekały już samochody. W oddali, oświetlona porannym słońcem kołysała się na wietrze bujna roślinność. Kiedyś chciał ujarzmić tę przyrodę. Planował zbudowanie tu centrum handlowego, stacji benzynowych, biur. Wokół nich powstałyby osiedla domków, a w parkach między nimi dzikie lasy Wirginii zostałyby przerzedzone i ucywilizowane. Ta ziemia była zbyt cenna, by ją marnować. Cywilizacja powinna wycisnąć tu swoje piętno na matce Ziemi i zmusić ją, by podzieliła się z ludźmi tym, czym dysponuje.

- Do zobaczenia, Bunny, kochanie - rzekł z udawaną czułością. - Życzę ci okropnego dnia.

Tommy otworzył drzwiczki od strony kierowcy jej płomiennoczerwonego, sportowego mercedesa 450 SL. Posłała ironiczne spojrzenie mężowi, uśmiechnęła się do Tommy'ego i wsiadając odsłoniła zwiotczałe udo. Bremner patrzył na to z niesmakiem. Jeśli miłość i nienawiść były dwiema stronami tej samej monety, musiał naprawdę mocno kochać Bunny. A ona jego.

Następnie kierowca otworzył tylne drzwi długiej, czarnej, rządowej limuzyny. Bremner wsiadł i zapadł się w dobrze znany fotel. Popatrzył przed siebie. Gdy Bunny wyrzucając spod kół kamyki ruszyła swym ekstrawaganckim wozem, drzwi limuzyny zamknęły się i dyrektor znalazł się w dźwiękoszczelnym azylu. Zadzźwięczał sygnał telefonu. Podniósł słuchawkę. Dzwonił Sid Williams.

- Matt i Beno nie żyją, sir - rzekł podwładny grobowym tonem.

Cholera! To właśnie Matta Listera i Beno Durante'a wysłał do Floresa i tej kobiety do Denver.

- Co się stało?

- Flores ich zastrzelił. W motelu.

Bremner odchylił się w miękkim siedzeniu.

- To przykre. Byli dobrzy w swoim fachu. - Rzeczywiście tak myślał. Zawsze lojalny wobec tych, którzy pozostawali mu wierni. - Co z Floresem i dziewczyną?

- Uciekli. Policja nic nie znalazła.

Umysł szefa Mustanga pracował na pełnych obrotach.

- Skontaktuj się z naszym przyjacielem z policji w Denver. Wyjaśnij sytuację: dwoje zbuntowanych agentów Langley zabiło dwóch wysłanych na negocjacje z nimi. Przekaż mu fotografie i rysopisy. Niech zaraz prześle wiadomość do międzystanowej sieci informacyjnej.

Sid Williams zachichotał.

- Gliny będą ich wszędzie szukać. Im już się nie wywiną.

- Tak. I dopilnuj, by wszyscy nasi ludzie zostali ostrzeżeni. Dziewczyna musi zostać wzięta żywcem. Dzisiaj.

- A Flores?

- Zdradził. Zlikwidujcie go. Coś nowego o Lucasie Maynardzie?

- Jeszcze do niego nie dotarliśmy, ale dom jest pod stałą obserwacją, podobnie jak wszystkie węzły komunikacyjne w rejonie Waszyngtonu. A poza tym założyliśmy podsłuch telefoniczny w biurze sekretarza stanu.

- Znakomicie.

Ten podsłuch był jego pomysłem. Uznał bowiem, że Maynard, który był znany ze swego uporu i braku wyobraźni, może nie odstąpić od realizacji planu uzgodnionego z podsekretarzem.

- Poinformowaliśmy też miejscową policję, że Maynard usiłował skraść samochód Langley. - Sid Williams aż dusił się ze śmiechu mówiąc o tym.

- Wspaniała improwizacja - pochwalił Bremner. Jeśli Maynard zostałby zatrzymany z jakiegokolwiek powodu, policjant przepuściłby jego prawo jazdy przez komputer i zatrzymał go do czasu, aż na miejscu zjawiłby się Williams.

- Zajmij się tym jeszcze dziś, Sid. Znajdź Maynarda i jego dokumenty. A później zlikwiduj go. Napad lub wypadek, co wolisz. Pamiętaj. Gdy tylko zdobędziesz te papiery, on nie ma prawa żyć.

## 24.

W mieszkaniu w Arlington Leslee poprosiła Lucasa, by pokazał jej dokumenty ukryte pod łóżkiem. Teraz oboje w tym tkwili i według niej nadszedł czas, by dowiedziała się, o co tak naprawdę tu chodzi. Gdy ona przeglądała zdobyte z takim trudem papiery, Maynard przygotował się do wyjścia.

- Muszę iść do pracy, kochanie - oświadczyła Leslee. - Ale nie na długo. A ty dokąd się wybierasz?

- Do telefonu. Nie chcę ryzykować i dać się tu namierzyć.

Uśmiechnęła się, a on wyszedł, aby zatelefonować do biura sekretarza stanu. Tak jak przedtem skorzystał z budki położonej dwie przecznice dalej. Z trudem przebrnął przez zwykłą biurokratyczną procedurę, aż wreszcie uzyskał połączenie z asystentką sekretarza. Przedstawił się i wyjaśnił, że podsekretarz Edward umawiał się pilnie ze swym przełożonym.

- I? - głos asystentki był niesympatyczny i pełen zniecierpliwienia.

- Spotkanie miało dotyczyć mnie. Mam pewne...

- Chwileczkę, panie Maynard. Muszę na moment przerwać rozmowę.

Lucas zaklął, gdy w słuchawce zaległa cisza. Chciał zapomnieć o tym szaleństwie, odlecieć do Zurychu, a dalej do Liechtensteinu. Ale nie mógł tego zrobić bez Leslee. Rozważał inne warianty postępowania. Mógł zanieść dokumenty do dyrektorki Agencji, do Langley, ale Bremner na pewno czekałby tam już na niego. Dlatego uznał, że szansę daje mu trwająca od lat rywalizacja między Departamentem Stanu a Langley. Może to jakoś powstrzyma Bremnera.

Wreszcie asystentka odezwała się ponownie:

- Proszę mówić dalej.

- Dysponuję informacjami o kolosalnym znaczeniu. Clare zamierzał powiedzieć o tym sekretarzowi. Właśnie dlatego zginął.

- Jeśli wie pan coś na temat okoliczności tego morderstwa, trzeba udać się na policję.

Ta kobieta była idiotką!

- Znam szczegóły skandalu, który wstrząśnie fundamentami świata! - warknął.

- To dziwne, że nie chce pan ujawnić tego za pośrednictwem Langley - odparła.

Maynard oblewał się potem w coraz duszniejszej budce. Rozejrzał się po ulicy w

poszukiwaniu oznak zagrożenia. Na co właściwie były mu potrzebne te biurokratyczne przepychanki?

- Daję pani pięć sekund! Albo mnie pani umówi, albo nie mamy o czym rozmawiać. Dostarczę to gdzie indziej. Później będzie się pani tłumaczyć szefowi, jak to się stało, że zostałem odprawiony z kwitkiem!

Zapadła chwila ciszy.

- Dobrze. Wcisnę pana na dziś, na 11:50. Ale będzie miał pan tylko dziesięć minut. Później sekretarz jest umówiony na lunch z trzema saudyjskimi książętami.

- W porządku.

Pocałujcie mnie w dupę, pomyślał Maynard odwieszając słuchawkę. Kiedy wrócił do mieszkania, Leslee jeszcze nie było. Usiadł w kuchni nad kubkiem zimnej kawy, ze wzrokiem utkwionym w zegarze nad grzejnikiem.

Jeszcze tylko kilka godzin. Pomyślał o zamordowaniu Clare'a i pomyśle skontaktowania się z „Washington Post”. Nie, te dokumenty musiał przekazać komuś ważniejszemu. Uderzyła go myśl, że niespodziewanie stał się reprezentantem cywilizacji, który posługując się słowem, a nie mieczem, musi zwalczyć grożące światu zło.

Leslee na pewno spodobałoby się to porównanie.

Akurat gdy kończył kawę, usłyszał skrobanie klucza w zamku. Pocałowała go na przywitanie. W rękę miała dziwnie wypchaną teczkę. Powiedział jej o umówionym spotkaniu w Departamencie Stanu.

Była zachwycona, ale jednocześnie zatroskana.

- Ja poprowadzę. Jeśli nie będziesz tracił czasu na parkowanie, to chociaż troszeczkę zmniejszy się zagrożenie. I dłużej będziemy mogli być razem. - Nie wspomniała ani słowem o czekającej ich później rozłące i o zdarzeniach mogących jeszcze nastąpić.

- Dobrze - zgodził się.

Pocałowała go ponownie i wyszła do sypialni. On zaś nalał jej kawy. Kiedy wróciła, opadła na krzesło i zerknęła na zegar.

- Mnóstwo czasu - zauważył. - Co sądzisz o tych materiałach?

Czuł się niezręcznie mając świadomość, że przejrzała papiery, które tak długo przed nią ukrywał.

Uśmiechnęła się.

- Doceniam to, że mi je pokazałeś. To fascynujące. Pranie i przerzucanie pieniędzy na taką skalę. Gwałtowna ekspansja. Tyle lat działalności Sterling-O'Keefe bez zwrócenia uwagi opinii publicznej. I wreszcie ten raport o MASKARADZIE. - Pokręciła głową i spuściła oczy.



Gdy je uniosła, były pełne smutku. - Ta operacja uświadomiła mi, jak krucha jest ludzka psychika.

Wzruszył ramionami, a jego dobry humor momentalnie stłumiło poczucie winy. Leslee położyła dłoń na jego ramieniu.

- Wszystko zawsze wydawało nam się takie konieczne do wykonania - wyznał. - Każde powierzone nam zadanie. I te czynności, które sami uznaliśmy za niezbędne. Po tylu latach życia w kłamstwie i wymyślonych usprawiedliwieniach chyba musi zmienić się także i ludzka osobowość. Właśnie coś takiego musiało stać się z tą naszą piątką starej gwardii, która założyła Sterling-O'Keefe. A teraz z kolei zaplanowała MASKARADĘ. W latach pięćdziesiątych nigdy nie zdecydowalibyśmy się na podobne działania.

- Przykro mi, Lucas. Bez wątplenia to, co robiłeś, było złe. Ale teraz naprawiasz tamte błędy. Łatwo jest pozostać bez grzechu, gdy nie ma się pokus. Ty jej uległeś, ale teraz masz okazję odkupić winy. Jestem z ciebie dumna i cieszę się, że możemy być razem.

Wstała i pocałowała go.

Oplótł ramionami jej szczupłe biodra i przycisnął policzek do jej brzucha. Była dla niego życiem i jedyną nadzieją.

\*

O jedenastej Leslee wjechała swym niebieskim volkswagenem rabbitem w Dwudziestą Pierwszą Ulicę. Departament Stanu - klejnot w koronie rządu Stanów Zjednoczonych - wkrótce znajdzie się po ich prawej stronie. Przed nimi, wzdłuż alei Konstytucji, rozciągał się park Zachodniego Potomacu z czarnym, granitowym pomnikiem Weteranów Wietnamu. Na zachodzie płynął Potomac, obrzeżony parkami i poprzecinany stale zatłoczonymi mostami. Barwny krajobraz miasta z panującym w nim szumem i zamieszaniem stanowił wizytówkę rodzaju ludzkiego, choć właściwie nie było w nim nic dającego szczególne powody do dumy.

Ruch był mniejszy niż zwykle, co ułatwiało wykrycie mogących się tu czaić ludzi Bremnera. Między stopami Maynarda, w ciężkiej reklamówce tkwiły dokumenty na temat Sterling-O'Keefe i MASKARADY. Zdecydował się upodobnić do turysty. Na szyi zawiesił aparat fotograficzny i lornetkę. Włożył lekką bluzę sportową, a na głowę wcisnął słomkowy kapelusz. Pod okryciem, ukryty pod pachą, znajdował się walter PPK. Jak na „cywilizowanego” człowieka świadomość posiadania broni dodawała mu szczególnie dużo otuchy.

Leslee, wciąż podtrzymując rozmowę, podjechała do budynku Departamentu Stanu. Zerknęła na zegarek. Była 11:04. Mnóstwo czasu. Poleciał jej okrążyć ogromną budowlę, a sam

dokładnie lustrował wzrokiem pojazdy, drzwi, załomy muru, okna i wszystko wokoło w poszukiwaniu ludzi Bremnera.

Ale czy to rzeczywiście konieczne? Skąd Bremner miałby wiedzieć, że pojawi się tu właśnie o tej porze?

Chyba to przejaw zawodowego braku zaufania. Ale przecież przełożony jakoś dowiedział się o dokumentach i podsekretarzu Edwardzie. Mimo całych godzin rozważań Maynard nie potrafił ustalić, gdzie mogły znajdować się źródła przecieków. Widać jednak Bremner miał swoje sposoby. On wiedział, jak to się robi, znacznie lepiej niż ktokolwiek inny.

Poprosił Leslee, by zrobiła jeszcze jedno okrążenie. A później trzecie. Nie zauważył nawet najmniejszego śladu agentów. Jeszcze raz sprawdził czas. Wciąż za wcześnie. To dobrze. Kolejny środek ostrożności, tak na wszelki wypadek.

Na Dwudziestej Pierwszej Maynard polecił Leslee zjechać na pobocze w miejscu, gdzie do monumentalnego budynku prowadził szereg lśniących drzwi z brązu i szkła.

- Zadzwoń najszybciej jak tylko będziesz mógł - szepnęła Leslee, a w jej oczach zaszklily się łzy.

Pocałował ją czule na pożegnanie.

- Cudownie smakujesz. - Uśmiechnął się dla dodania jej otuchy i otworzył drzwiczki.  
- Nie martw się. - Ale wiedział, że i tak będzie się przez cały czas zamartwiać.

Gdy wchodząc po schodach podniósł wzrok, natychmiast poczuł pustkę w żołądku.

Ułamek sekundy wystarczył mu na zorientowanie się w sytuacji. U szczytu schodów z cienia wyłoniło się trzech mężczyzn, którzy ruszyli w jego stronę. Ich twarze skrywały okulary przeciwsłoneczne. W ruchach widać wyczuwało się zwinność i zdecydowanie, które przerażały każdego, kto wiedział, jakiego to wymaga treningu. Maynard znał to aż za dobrze. Rozpoznał dwóch spośród nich - agenci Bremnera. Blokowali mu drogę do drzwi, przez które chciał wejść do środka.

Ale drań z tego Bremnera! Maynard prawie odruchowo zareagował.

Wcisnął torbę pod pachę, zerwał z szyi lornetkę oraz aparat i odwrócił się na pięcie. Odepchnął jakiegoś młodego mężczyznę i zaczął zbiegać po schodach.

## 25.

Tak! Była tam! A więc intuicja nie zawiodła go. Leslee czekała, by upewnić się, że bezpiecznie wszedł do środka. Silnik pracował, a ona patrzyła na niego, biała jak ściana z przerażenia.

- Maynard! - rozległo się za jego plecami. - Zatrzymaj się! Policja skarbowe!

Przyspieszył jeszcze, jakby pchany w dół siłą ciężkości. Agenci policji skarbowej. Było to niemal zabawne. Nawet w takiej sytuacji Bremner krył własną dupę. Nie miał z tym żadnego problemu, bo Tad Gorman - jeden z nieoficjalnych członków zarządu - piastował teraz w Departamencie Stanu wysokie, dające sporo władzy stanowisko. To jasne, że ci dwaj będą się nawzajem kryć.

Ale tam była Leslee, czekająca na niego w aucie. Jej twarz w kształcie serca zbliżała się z każdym krokiem. Okropnie się pocił. To ta cukrzyca. Serce waliło mu w piersiach jak oszalałe. Boże, w każdej chwili mogło eksplodować!

I nagle znalazł się tuż przy krawężniku. Leslee otworzyła przed nim drzwiczki.

- Szybko, Lucas!

Przeraził go widok jej drobnej dłoni, zbielejącej jakby nie było w niej nawet kropli krwi.

- Lucas, są tuż za tobą! - krzyknęła przerażona.

Rozległy się strzały. Kule odbiły się od betonu. Jedna z nich trafiła Maynarda w lewe ramię, w którym momentalnie stracił czucie. Upuścił torbę z dokumentami.

Odwrócił się, przyklęknął i zaczął strzelać. Czuł się znowu jak agent w terenie - dobrze naoliwiona maszyna.

Dwaj ludzie Bremnera padli na plecy, zbroczeni krwią.

Trzeci strzelił kolejny raz. Kula trafiła w zderzak samochodu, tak blisko Lucasa, że ten przestał cokolwiek słyszeć. Błyskawicznie odpowiedział strzałem i trzeci zgął się, padając jak w scenie z westernu. Obok jego głowy natychmiast ukazała się rosnąca plama krwi.

Czyżby zabił wszystkich trzech? Nie był tego pewien, ale właściwie wcale go to nie interesowało. Ich ciała leżały nieruchomo przed budynkiem. Przynajmniej ci nie sprawią już kłopotów.

Szybko przeanalizował sytuację. Departament Stanu. Czy teraz powinien spróbować

się do niego dostać? Doszedł do wniosku, że nie ma to najmniejszego sensu.

Gdzieś z daleka zbliżał się dźwięk syren. Jeśli zostanie, aresztują go. Musiał znaleźć inny sposób na przekazanie swych rewelacji w ręce, które zadbają, by pożył wystarczająco długo, aby zeznawać.

- Lucas!

Nie zwracał uwagi na Leslee. Jego głowa kołysała się na boki, gdy podejmował decyzję. Nie wolno było wciągać jej w całą tę sprawę. Z tyłu podjeżdżał jakiś samochód. Musiał go uprowadzić.

Ruszył w jego kierunku, z torbą i pistoletem w prawej dłoni, podczas gdy lewa ręka zwisała bezwładnie. Nagle rozległy się dwa kolejne strzały i poczuł potężny wstrząs, jakby ciężarówka przejechała mu po plecach. Ale co dziwne, nie było żadnego bólu. Popatrzył w stronę, z której strzelano. Zobaczył nadbiegającego Sida Williamsa. W obu dłoniach trzymał wciąż gotową do strzału broń. Musiał właśnie się tu pojawić.

Pieprzony Bremner. Posłał jeszcze Sida Williamsa, a ten strzelił mu prosto w plecy.

Maynard opadł na kolana, a jego coraz mniej widzący wzrok zatrzymał się na piersiach. Kule rozerwały się głęboko w ciele. Tkanki wycierały z wnętrza przez dziury wyrwane w brzuchu. Zobaczył jeszcze Leslee, pochylającą się nad nim i próbującą wciągnąć go do swego wozu. Łzy płynęły po jej policzkach.

- Jedź! - wychrypiał. - Zdobędą twoje numery. Ze mną już koniec!

Padł na twarz. Oczy zamknął i nie miał już sił ich otworzyć. Ktoś wyrwał mu torbę. Ktoś inny pociągnął go na chodnik.

- Wysiadać!

Słyszał łkanie. To Leslee. Chwilę później rozległ się pisk opon ostro ruszającego samochodu. Spóźniła się jednak. Spisali numery rejestracyjne wozu. Znajdą ją. Jakimże był głupcem. Stracił wszystko. Świat się zmienił, a on nie znalazł w nim swojego miejsca.

\*

Hughes Bremner został wezwany do biura dyrektorki Agencji zaledwie kilka minut po otrzymaniu od Sida Williamsa wiadomości o śmierci Lucasa Maynarda. Nie miał więc niestety czasu radować się tą informacją. Był pewien, że przelożonej chodzi o Maynarda. Wieści docierały tu z Waszyngtonu niemal z szybkością światła. Szczególnie gdy w grę wchodziło zastrzelenie jednego z jego ludzi przez agentów policji skarbowej w miejscu tak uczęszczanym jak wejście do Departamentu Stanu.

Był pewien, że zwierzchniczka nie wie nic o przyczynie śmierci Maynarda, o powiązaniach Langley ze Sterling-O'Keefe, MASKARADZIE ani o coraz realniejszym

sukcesie GRANDEUR. Ale Bremner to człowiek rozważny, ostrożny i zapobiegliwy, więc gdy wszedł do biura Arlene Debo, na jego twarzy nie dało się zauważyć nawet śladu zadowolenia.

Pierwsza kobieta - dyrektor CIA piastowała tę funkcję już od roku i mówiono powszechnie, że ma jaja większe niż jakikolwiek mężczyzna. Jej biuro znajdowało się na przeznaczonym dla firmowej elity siódmym piętrze, podobnie jak jego, lecz było dwukrotnie większe. Dwa rzędy okien spotykały się w narożniku, co dawało możliwość oglądania przepięknej panoramy zdającej się sięgać pomnika Lincolna. Oczywiście w rzeczywistości było to niemożliwe, ale taka myśl przebiegła przez głowę Bremnera.

Składające się z dwóch części biuro było ozdobione antykami gromadzonymi przez Debo od wielu lat i wędrującymi wraz z nią z miejsca na miejsce, wcześniej bowiem pracowała w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i Federalnym Biurze Wywiadowczym. Oczekiwała go siedząc za ogromnym mahoniowym biurkiem, ubrana w drogą, elegancką garsonkę. Miała siwe włosy, pełne policzki i wydatne piersi. Sprawiała wrażenie osoby pewnej i solidnej. Kobiety jedzącej chleb z nie jednego pieca, lecz zawsze godnej zaufania.

Kiedy wskazała mu miejsce, Hughes Bremner zapadł się w fotel przed biurkiem. Ściany za plecami dyrektorki były udekorowane jej fotografiami w towarzystwie prezydenta, osobistości z całego świata i rodziny. Znaczną część powierzchni biurka zajmowały trzy potężne konsole telefoniczne, a dalej piętrzyły się sterty teczek z różnokolorowymi oznaczeniami klasyfikującymi rangę i tajność zawartych w nich informacji.

Niskie czoło Arlene Debo przecinała głęboka zmarszczka.

- Nie możesz lepiej pilnować swoich ludzi, Hughes? - zapytała. - Dobry Boże, Lucas Maynard zamierzał ujawnić ściśle tajne informacje! I nie udało się nam zdjąć go żywego. Spartaczona robota. Co masz do powiedzenia na ten temat?

- Absolutnie się z tobą zgadzam, Arlene. Kilka dni wcześniej zleciłem obserwację Maynarda. Podejrzewałem, że coś się dzieje.

Wiedział, że nie może nie doceniać szefowej. Była nie tylko zwolenniczką liberalizmu, ale i konsekwentnie wprowadzała w życie reformy w zgrzytającej i zacinając się machinie, jaką coraz bardziej stawała się Agencja. To niebezpieczna kobieta.

Dyrektorka milczała. Przyglądała mu się uważnie, bębniąc palcami w blat biurka.

- Lucas wiódł samotnicze życie, a cukrzyca bardzo go przygnębiała - ciągnął Bremner. - Zbliżał się już do emerytury. Ale nie cieszył się jej perspektywą. Emerytury nasi ludzie mają dość wysokie, ale nie dla kogoś, komu pieniądze rozplływały się w rękach. Doszły nas słuchy, że korzystał z usług prostytutek. Tych najlepszych, najdroższych. Sięgał też po narkotyki.

Wysłałem po niego swoich ludzi w towarzystwie policji skarbowej, by tamci dopilnowali prawidłowości aresztowania, ale Lucas sięgnął po broń. Do diabła, zabił jednego z nich. To tak, jakby sam prosił o śmierć.

Szefowa zacisnęła usta. I tym razem nie odezwała się nawet słowem. Bremner pomyślał, że zastanawia się, czy wyciągnąć wobec niego konsekwencje w związku z niedopełnieniem obowiązków.

Ale okazało się, że wiedziała znacznie więcej.

- Dlaczego, do jasnej cholery, nie poinformowałeś mnie o sprawie Mięsożercy? - zapytała ostro.

- Bo nie dzieje się nic nowego. Za pośrednictwem swej kobiety zażądał przejęcia ich w niedzielę, więc wydałem polecenia mające na celu spełnienie tego ultimatum.

Arlene Debo podsunęła mu komputerowy wydruk. Była to ostatnia wiadomość przekazana przez Mięsożercę. Pięć lat temu został wynajęty do zamordowania Beni-Domo - prezydenta japońskiej korporacji, zajmującej dominującą pozycję w światowym przemyśle komputerowym. Protegowanym prezydenta był Taru Mukogawa. To właśnie on zaangażował Mięsożercę do tego zadania. Gdy zabójca je wykonał, sam zajął miejsce starego. Mukogawa nadal pełni funkcję prezydenta Beni-Domo. W Japonii, gdzie prowadzenie interesów było równoznaczne z otwartą wojną z konkurencją, przebiegły i pozbawiony skrupułów Taru Mukogawa był uważany za najpotężniejszego w kraju biznesmena. Poza tym właśnie w tym tygodniu na zjeździe swej partii zgłosił zamiar ubiegania się o stanowisko premiera.

Bremner już wcześniej poznał treść owej zaszyfrowanej wiadomości. Stanowiła ważną informację, ale na szczęście nie miała bezpośredniego związku ani z nim, ani też z Mustangiem, MASKARADĄ czy GRANDEUR.

- Beni-Domo prowadzi ostrą grę - zaczęła Debo. - Jej władze przez całe lata uniemożliwiały wejście amerykańskich firm na rynek japoński. Wykorzystywali każdą nadarzącą się okazję, by nam dopiec. - Uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd tu przyszedł. - Przy obecnym bilansie obrotów w handlu z Japonią ta informacja jest dla nas niezwykle cenna. Stanowi świetny straszak. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, zdradzimy Taru Mukogawie, co wiemy o nim, i możesz być pewien, że Beni-Domo, a może cała Japonia da Stanom wszystko, czego zażądamy.

Dyrektorka nie przyznała się, że w natłoku pracy łatwo mogła przeoczyć tę korespondencję i że właśnie zadaniem Bremnera było zwracanie jej uwagi na tego rodzaju rewelacje. On jednak w tym momencie był zajęty MASKARADĄ i sprawą Lucasa Maynarda. Dziełem przypadku było, że zwróciła uwagę na treść informacji Mięsożercy. Natychmiast też

doceniła jej znaczenie. Mogła więc przedstawić ją prezydentowi i tym samym zrobić na nim dobre wrażenie. Taka wiadomość mogła się stać potężnym orężem w rękach Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza gdyby Mukogawa rzeczywiście został premierem.

Kiedys będzie ją można nawet przekazać prasie. Skandal mający na celu opublikowanie przestępczych działań konkurenta czasami bywał dokładnie tym, czego potrzebowały Stany.

Bremner popełnił błąd. Szefowa pochyliła się w fotelu i wysunęła do przodu podbródek.

- Dlaczego, do diabła, nie zasygnalizowałeś mi tego? Czyżbyś zaczął zaniedbywać swoje obowiązki? - Jej głos był lodowato zimny i Bremner ujrzał już przed sobą niebezpieczne mielizny. - To ja przekonałam prezydenta do twojej koncepcji w sprawie Mięsożercy. Stary wciąż martwi się, że narusza zasady moralne zapewniając schronienie temu mordercy. Wolałby chyba, żeby Mięsożerca trafił do któregoś z naszych konkurentów. Wiesz, jak się umawialiśmy...

- Żadnych przecieków - rzekł Bremner pospiesznie. - Gwarantuję to. Prasa, opinia publiczna, nikt nigdy nie dowie się o naszej umowie z Mięsożercą. Wszystko jest pod kontrolą...

- Doprawdy? Jeśli zaniedbałeś poinformowania mnie o czymś tak ważnym, jak sprawa Beni-Domo, mam co do tego poważne wątpliwości. Nie dawaj mi kolejnych powodów do niepokoju, Hughes. Wiedz, że zanim pozwolę spieprzyć przejęcie Mięsożercy, odbiorę ci całą tę sprawę, bez względu na to, jakimi metodami...

- Rozumiem to świetnie, Arlene.

- To dobrze. Nie chcę, aby między nami pozostały jakiegokolwiek niedomówienia.

\*

Leslee Pousho wciąż jeszcze miała przed oczami przebieg tragicznych zdarzeń. To było jak odtwarzany na zwolnionych obrotach horror: Lucas zbiega po schodach, mężczyźni w ciemnych okularach gonią go, a wszystkiemu temu przyglądają się przerażeni bądź też zaintrygowani przechodnie i turyści.

Tamci strzelają.

Lucas odpowiada ogniem i kule powalają ich kolejno na ziemię.

I nagle tamten mężczyzna po drugiej stronie ulicy, który strzelił Lucasowi w plecy.

Piekące łzy płynęły po jej policzkach. Będzie widzieć tę scenę, słyszeć huk wystrzałów i słowa już do końca życia. Nigdy przed nimi nie ucieknie, ale może przynajmniej pokrzyżować szyki zdrajcom, którzy wykorzystali Lucasa do własnych przestępczych celów,

a później go zamordowali. Zdrajców, którzy teraz będą dybać także na jej życie.

Na głos wypowiedziała powracające jak ponury refren słowa:

- Ze mną już koniec... Jedź... Ze mną już koniec... Jedź...

Miała nadzieję, że w ten sposób ułatwi sobie zrozumienie ich znaczenia. Upłynęło pół godziny, a ona oddalając się od miejsca swej życiowej tragedii wciąż czuła otępienie i ból. Jutro, gdy na dobre zacznie do niej docierać fakt śmierci Lucasa, jeszcze bardziej będzie jej go brakować. A co dopiero za tydzień...

Ale teraz musiała wrócić do teraźniejszości i zastanowić się, co robić, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Lucas kazał jej stamtąd uciekać. Odjechać, zanim ją schwytają. Powiedział, że mają numery rejestracyjne samochodu.

Minęła właśnie placówkę Gold Star Rent-a-Car. Musiała pozbyć się swojego auta. Gdy zerknęła we wsteczne lusterko, ujrzała swą bladą twarz i pełne przerażenia oczy. Zapaliła pall malla i głęboko się zaciągnęła.

Myślała o Lucacie. Był człowiekiem pełnym sprzeczości, i chyba przede wszystkim to właśnie tak ją pociągało. Kiedy spotkała go po raz pierwszy, był niczym granitowy głaz - ciężki, nieruchawy, przytłoczony zbyt dużą masą ciała i zmarnowanych lat. Ich znajomość rozpoczęła się od scysji.

Udowadniała wtedy, że rząd przypomina nabrzmiały wrzód. Jego działania opierają się na korupcji, pokątnych interesach, kumoterstwie i kłamstwie.

Lucas nie zgadzał się z tymi zarzutami, lecz chyba już wtedy zaczął zastanawiać się nad własnym życiem. Był urodzonym reformatorem i sam chciał być zreformowany. Leslee była przyzwyczajona do lekceważącego traktowania przez mężczyzn, on zaś szanował jej poglądy i okazywał podziw dla błyskotliwości i intelektu. Rzeczywiście starał się ją zrozumieć.

To było coś zupełnie nowego i niezwykle miłego. Czuła się jak kwiatek zwracający się ku dającemu ciepło słońcu. Był dla niej czuły i wyrozumiały, a ona, zapomniawszy o jego wieku, problemach ze zdrowiem i charakterze pracy, zakochała się w nim bez pamięci.

Nawet wtedy gdy umierał, bardziej martwił się o nią niż o siebie. Kochany Lucas.

Łzy płynęły ciurkiem po jej policzkach.

Starła je ze złością. Wiedziała już, co robić.

Zawróciła w alei Jerzego Waszyngtona. Zostawiła wóz na długoterminowym lotniskowym parkingu, wynajęła fordę taurusa w najbliższej agencji - Avis - i skierowała się do swojego mieszkania w Arlington. Jeśli dopisze szczęście, upłyną całe dni, zanim Langley znajdzie jej volkswagena.



Dwukrotnie przemierzyła wozem własną ulicę. Nie zauważyła niczego podejrzanego. Wprowadziła się tu zaledwie pół roku temu. Miała nadzieję, że to dodatkowo utrudni Bremnerowi poszukiwania.

Zaparkowała na zapleczu budynku i wbiegła na górę tylnymi schodami. Drżącymi rękami przypaliła papierosa. Po chwili zmagani udało jej się otworzyć drzwi do mieszkania. Nikogo tu nie było podczas jej nieobecności. Wyciągnęła walizkę i wrzuciła do niej jakieś ubrania.

Chciało jej się krzyczeć... i uciekać.

Zamiast tego już znacznie spokojniej zgasiła papierosa i zamknęła walizkę. Chwyciła ją w jedną rękę, w drugą zaś wzięła swoją teczkę, do której nie zajrzała od rana. Ten ranek wydawał się teraz tak odległy. Wtedy jeszcze Lucas żył. Pocałowała go wierząc, że wkrótce znajdzie się pod opieką Departamentu Stanu. Bezpieczny. Zrobi to, co powinno zostać zrobione. A później pozostaną ze sobą już na zawsze.

Teraz Lucas nie żył, a ona musiała walczyć o przetrwanie. Jej jedyną szansą były poznane tajemnice.

Kochanek przez cały czas coś przed nią ukrywał, ale i ona nie powiedziała mu wszystkiego. Żałowała, że nie zdążyła mu powiedzieć. Była tak przerażona MASKARADĄ i działalnością Sterling-O'Keefe, że kiedy Lucas wyszedł dziś rano, aby zatelefonować, zabrała jego tajne dokumenty do biura i skopiowała je. Wszystkie.

Właśnie te kopie znajdowały się w teczce. I nikt o tym nie wiedział.

Zeszła na dół i wrzuciła torbę oraz walizkę do bagażnika wynajętego wozu. Ukradkiem sprawdziła, czy nikt jej nie obserwuje, po czym wróciła do mieszkania po laptopa, przenośną drukarkę, papier, ołówki i jedzenie. Załadowała wszystko do forda, wsiadła do niego i ruszyła.

I wtedy go zobaczyła. Mężczyznę, który zamordował Lucasa. Było ich dwóch. Nadjechali hondą accord.

Skurczyła się na fotelu uświadamiając sobie, jak dobrym posunięciem było błyskawiczne porzucenie własnego samochodu i posłużenie się innym. Zaparkowali za narożnikiem jej domu i wysiedli. Jeden skierował się ku frontowym schodom, drugi zaś poszedł w stronę tylnych.

Przez ciało Leslee przebiegł zimny dreszcz.

Szybko jednak się opanowała, wrzuciła bieg i odjechała w stronę Georgetown, gdzie zatrzymała się przy budce telefonicznej. Zatelefonowała do swojej szefowej z „Washington Independent” i umówiła się z nią za dwadzieścia minut w kawiarni przy Narodowej Galerii

Sztuki. Sama była tam tylko kilkakrotnie, szefowa zaś ani razu. Takie miejsce było najdogodniejsze, ponieważ nie chciała się teraz natknąć na kogoś znającego którąkolwiek z nich.

- Co się stało? - zapytała przełożona, gdy uzgodniły już miejsce spotkania.

Leslee znów rozplakała się na wspomnienie o Lucasie. Jej głos drżał.

- Mam historię, którą musimy ujawnić. Moje życie jest w niebezpieczeństwie.

## 26.

Asher Flores zamyślony prowadził wóz, gdy Denver załało delikatne światło dnia. Komu mógł wierzyć w Langley? Bezpieczniej byłoby trzymać się z dala od tajnych agentów, ale chciał pomóc Liz w poznaniu prawdy o Mięsożercy i ostrzec Agencję przed Bremnerem. Wciąż szokiem dla niego było postępowanie szefa. Zawsze podziwiał przełożonego i lubił go. A wcale nie było to łatwe. Dlatego tym boleśniej odczuwał teraz fakt, że dał sobą manewrować jak bezwonną kukielką.

- Kto nam uwierzy, nawet jeśli ujawnimy wszystko, co wiemy, Departamentowi Sprawiedliwości, a nawet i samemu prezydentowi?

Widać było, że i Sansborough była także zatopiona we własnych myślach. Nie mógł jej nie podziwiać, patrząc jak radzi sobie w okolicznościach, w jakich się znalazła. Pozbawiona przeszłości była właściwie nowicjuską, a zabicie człowieka musiało być dla niej szokiem. Sam nienawidził mokrej roboty. Ale tym razem nie miał wyboru. Cholerni Bremner i Taite...

Ale jakież właściwie intencje mogły kierować szefem?

- Wątpię, by ktoś w Langley nam uwierzył. Prezydent zresztą także - podsumował Asher rozglądając się, czy przypadkiem nie są śledzeni. - Bremner już od lat obraca się w najwyższych kręgach. Ma powiązania rodzinne na całym Wschodnim Wybrzeżu. Jeden z jego kuzynów był sekretarzem spraw wewnętrznych, a ostatni wiceprezydent to z kolei kuzyn jego żony. Poza tym dysponuje dowodami świadczącymi o twoim braku równowagi psychicznej. Jeśli zaś chodzi o mnie, to i moje konto trudno uznać za nieskazitelnie czyste, ponieważ, jak to sam ujął, zbytnio angażowałem się w powierzane mi zadania operacyjne.

- Kiedy powiesz mi, co zrobiłeś, że za karę zostałeś przeniesiony na Rancho?

- To nic ciekawego. - Zerknął na nią kątem oka i pospiesznie zmienił temat. - W takiej sytuacji, gdybyś zasiadała w rządzie, uwierzyłabyś nam?

- Rzeczywiście nie jesteśmy chyba zbyt wiarygodnymi oskarżycielami.

- No widzisz.

- Mam pomysł, Flores. Znajdźmy Mięsożercę i tę drugą „Liz Sansborough” sami. Wtedy dowiemy się, o co właściwie w tym wszystkim naprawdę chodzi. Mówiłeś, że Bremner pracuje nad przejęciem Mięsożercy i mnie, a jednocześnie byłam przez Gordona

przygotowywana do akcji mającej na celu pochwylenie tego zabójcy.

- To prawda.

- A więc jestem w Kolorado, a jednocześnie wcale mnie tu nie ma. Przebywam w Paryżu i pełnię funkcję łączniczki. To nie ma sensu. Musimy poznać cały tok działań Bremnera, żeby móc przedstawić dyrektorze CIA niezbite dowody... Albo samemu prezydentowi. Co powiesz na wycieczkę do Francji?

Asherowi podobał się jej sposób myślenia.

- Znam tu w Denver utalentowaną artystkę. Jedną z jej licznych umiejętności jest podrabianie paszportów, praw jazdy i innych dokumentów.

\*

Usługa miała kosztować fortunę - pięć tysięcy dolarów od osoby, ale fałszerka gwarantowała dyskrecję i właściwą jakość. Żądała co prawda zapłaty z góry, ale Flores dał jej całą posiadaną przy sobie gotówkę i oświadczył, że resztę dostanie po wykonaniu zamówienia. Wręczył jej zdjęcia i oznajmił, że zjawi się ponownie o piętnastej.

Gdy wrócił do pikapa, Liz stwierdziła:

- Twoja mina pozwala przypuszczać, że masz już gotowy plan sfinansowania tej przyjemności.

- Oczywiście. Zamieńmy się miejscami.

Liz jeździła w kółko, podczas gdy Asher udał się po zakupy. Pojawiwszy się ponownie, miał już na sobie naciągnięty na zwykłe ubranie zielony jednoczęściowy kombinezon. W rękę trzymał duży notatnik z wystającymi z niego jakimiś formularzami. Ponownie zajął miejsce za kierownicą.

- Pamiętasz jeszcze kod dostępu Taite'a?

Podyktowała mu go.

- Co zamierzasz zrobić?

- Później ci powiem. - Uśmiechnął się tajemniczo. - Może ty wolisz zdradzić mi własne plany?

Tym razem i ona lekko się uśmiechnęła.

- Innym razem.

Wysadził ją przy bibliotece publicznej na Broadwayu przy Wschodniej Trzynastej Alei. Biblioteka znajdowała się w Denver Civic Center, gdzie pośród trawników i parków mieściły się również Denver Art Museum, teatr oraz pomnik Pionierów. Mnóstwo zieleni i neoklasyczna architektura budowli przywróciły Liz wiarę w osiągnięcia ludzkości, zachwianą porannymi zdarzeniami w motelu.

W czytelnicy pomaszrowała prosto do działu czasopism. Poprosiła o roczniki magazynu „Talk”, do którego podobno pisywała pod przybranym nazwiskiem Sarah Walker. Przejrzała numery z ostatnich osiemnastu miesięcy. Ostatni z wielu artykułów jej autorstwa ukazał się dwa miesiące temu. Wreszcie natrafiła na to, na co tak bardzo liczyła - niewielką wzmiankę o awansie Sarah Walker.

Zamknęła oczy i ostrożnie otworzyła je ponownie.

Tak, było tam zdjęcie Sarah, a nie jej. Tamta kobieta miała lekko garbatego nos, wąski podbródek i ani śladu pieprzyka. Nie ukrywała się więc pod nazwiskiem Walker, bo gdyby tak, to w tym miejscu znalazłaby się jej fotografia. A nie prawdziwej Sarah Walker.

\*

Mając fałszywy identyfikator specjalisty komputerowego przypięty do zielonego kombinezonu, Asher Flores zajął do notatnika i oświadczył śmiało recepcjonistce banku East Colfox, że przysłano go, by sprawdził, czy bankowa sieć komputerowa działa jak należy. Tam gdzie wciąż unowocześniano komputery i dodawano do nich nowe urządzenia, normalną rzeczą były takie okresowe kontrole. Recepcjonistka bez wahania dopuściła go więc do stanowiska, które sobie upatrzył. Znajdował się tam nie tylko komputer, ale i urządzenie wystawiające czek.

Kiedy zajęła się innymi klientami, Asher stworzył fikcyjne konto bankowe. Posługując się kodem Gordona Taite'a dostał się do bazy CIA i dyspozycyjnego funduszu Mustanga, po czym przelał z niego na własne konto czterdzieści siedem i pół tysiąca dolarów. Wyprawa do Europy była kosztownym przedsięwzięciem, zwłaszcza, gdy jednocześnie trzeba było zacierać za sobą ślady.

Wydał polecenie wystawienia pięciu czeków kasowych, każdy po dziewięć i pół tysiąca dolarów, i wszystkie pieniądze zniknęły z konta. Wsunął czyste czek do maszynki na biurku, która natychmiast zamieniła je na imienne, wystawione na nazwisko widniejące w jednym z kompletów fałszywych dokumentów zabranych wcześniej z Ranche. Schował czek do notatnika i ostentacyjnie wypełnił jakieś dwa formularze, jakby dla potwierdzenia wykonania zleconej pracy.

Oświadczył sympatycznej recepcjonistce, że sieć działa prawidłowo, i wyszedł. Na końcu jakiejś pustej alejki ściągnął kombinezon i wcisnął go wraz z notesem do kosza na śmieci. W wysokich butach, dżinsach i kapeluszu, znowu wyglądał jak kowboj.

Obszedł kolejno pięć banków i w każdym z nich wymienił czek na cztery tysiące w gotówce, resztę realizując w czekach podróźnych, wystawionych tym razem na nazwiska, które widnieć będą w dokumentach jego i Sansborough, przygotowywanych przez fałszerkę.

Musiał tak postąpić na wypadek gdyby Langley namierzyło przelewy z East Colfox. Nigdzie nie zadawano mu żadnych pytań: nie prowadziło się kontroli transakcji na kwoty poniżej dziesięciu tysięcy dolarów.

Później odwiedził biuro podróży i kupił dwie miejscówki na wieczorny lot do Paryża. Także na nazwiska z podrobionych dokumentów. Zapłacił za nie gotówką.

Bezpośrednio potem powędrował do drugiego biura i kupił bilety do Kopenhagi na samolot odlatujący pół godziny po paryskim.

Był z siebie zadowolony. Ale przecież każdy czułby się podobnie z kieszeniami wypchanymi forszą. Wsunął kciuki za pasek i zaczął pogwizdywać pod nosem. Tak, miał pieniądze, a poza tym towarzyszyła mu najwspanialsza kobieta szpieg, jaką kiedykolwiek miał okazję spotkać. Wypełniała go radość, która wyparowała jednak w ułamku sekundy, gdy mijał stoisko z prasą.

Na pierwszej stronie „Denver Tribune’s” ujrzał bowiem ogromną podobiznę swoją, a także Liz. W kolorze, około piętnastocentymetrowe. Nagłówek pod nimi także był niewiele mniejszy:

#### POLICJA POSZUKUJE DWOJGA PODEJRZANYCH O MORDERSTWO

Z trudem przełknął ślinę i głębiej wcisnął kapelusz kryjąc twarz pod jego rondem. Zarost przysłaniał ją już częściowo, więc miał nadzieję, że zmieni ją na tyle, by nikt nie skojarzył go ze zdjęciem z pierwszej strony gazety. Kupił pismo i szybko się odwrócił.

- Hej, proszę pana.

Serce zamarło mu w piersiach. Odwrócił się wolno.

- Tak?

Sprzedawca - starszy mężczyzna - popatrzył na fotografię, a później na Floresa.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli nie jest pan do niego podobny. To brat, czy kto?

- Do kogo? - Asher udał zaskoczonego i na pozór spokojnie wysłuchał opowieści o zabójstwie dwóch przyjezdnych biznesmenów w jednym z obskurnych moteli w Denver. Ludzie zaczęli zbierać się przy nich i głośno rozmawiać, czy rzeczywiście Flores przypomina mężczyznę ze zdjęcia.

Nagle agent nerwowo spojrział na zegarek.

- Moja żona! To dopiero prawdziwy zabójca. Zamorduje mnie, jeśli spóźnię się na spotkanie z nią. Proszę wybaczyć.

Jego słowa natychmiast wywołały salwę śmiechu. Tym razem udało się uniknąć niebezpieczeństwa, ale Bremner nie marnował czasu i władze lokalne wiedziały już, kogo mają szukać. Teraz nie tylko on ich szukał, ale także policja i patroli stanowe.

Nadszedł czas, by pozbyć się pikapa, co wymagało posłużenia się jednym z zapasowych zestawów dokumentów.

Na szczęście dysponował zarówno nowojorskim prawem jazdy, jak i kartą kredytową Gold Star Rent-a-Car wystawionymi na to samo nazwisko, a na dodatek nie wyprodukowanymi w Langley. To pozwalało mu rozwiązać przynajmniej bieżące problemy. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiał korzystać z innych fałszywych papierów. Pojechał do biura ogromnej agencji wynajmu samochodów, przez cały czas myśląc o tym, iż w sytuacji gdy opublikowano ich zdjęcia i listy gończe, wejście na pokład samolotu lecącego do Europy będzie graniczyć z cudem.

\*

Młoda, bystra asystentka menażera, w placówce Gold Star Rent-a-Car mieszczącej się w centrum Denver, natychmiast rozpoznała Ashera Floresa, mimo jego zarostu i kapelusza. Miała fotograficzną pamięć, a poza tym wiedziała, że musi wykorzystać każdą nadarżającą się szansę na awans i przeniesienie do Littleton - bogatego przedmieścia Denver.

Oczywiście spodziewała się, że będzie miał podrobione dokumenty. Centrala przestrzegła ją przed tym, choć jego fałszywe nazwisko nie figurowało w dostarczonym jej wykazie. Była święcie przekonana, iż podobne informacje przesłano wszystkim pracownikom Gold Star Rent-a-Car w Stanach Zjednoczonych, a może także w Europie i na Bliskim Wschodzie.

Wraz z wytycznymi przekazano fotografię tego faceta i ostrzeżenie, że może być niebezpieczny. A skoro podejrzewano, że jest akurat w tej okolicy, rankiem do każdej placówki agencji wynajmu FBI dostarczyło specjalne nadajniki pozwalające namierzyć pojazd, z poleceniem umieszczania ich pod zderzakami wozów wypożyczanych przez Floresa.

Gdy więc klient wypełniał stosowną umowę, asystentka przeprosiła go na moment, tłumacząc to koniecznością dopilnowania przygotowania samochodu. W rzeczywistości przekazała urządzenie jednemu z mechaników, tłumacząc co z nim zrobić, i pośpiesznie wróciła za biurko.

Sytuacja dodatkowo pobudziła jej zapał i chęć działania. Gdy tylko Flores odjechał, zadzwoniła pod numer przekazany przez agenta FBI. Taka forma współpracy między rządem a prywatną firmą wyraźnie ją podniecała. Była dumna z siebie mając świadomość, że mogła spełnić swój obywatelski obowiązek i w ten sposób przysłużyć się ojczyźnie.

\*

Flores zatelefonował z budki do głównej siedziby International A. M. - P. M. Catering

Inc. w Nowym Jorku. Poprosił o rozmowę z Abnerem Beldenem.

- Mówi Belden.
- Nowy Jork to nie to samo co Sofia, prawda?
- Asher? Jezu, skąd dzwonicz?
- Z Denver. Potrzebuję przysługi.
- Nie ma sprawy.
- Musisz mi zaufać.

Zapadła chwila ciszy.

- Znów improwizujesz w terenie?
- Langley się nie zmieniło. Same dupki.

Belden zaśmiał się.

- Mów, o co chodzi.

Asher szybko wyjaśnił, o co mu chodzi.

\*

W bibliotece miasta Denver Liz odczekała, aż w łazience nie było nikogo. Stała przed lustrem i przyjrzała się uważnie swej twarzy.

Kim była? Kim naprawdę była?

Dlaczego z dossier wynikało, że ukrywała się pod nazwiskiem Sarah Walker?

Ze wszystkich stron przyglądała się swemu odbiciu. Flores powiedział, że między nią a Walker istnieje znaczne podobieństwo, ale wcale nie była o tym przekonana. Nagle zwróciła uwagę na szczegół, którego do tej pory nie zauważała.

Poniżej brody miała niewielką, ledwie widoczną szramę długości jakichś dwóch centymetrów.

Wysoko uniosła głowę, by lepiej jej się przyjrzeć. Była bladoczerwona. A to oznaczało, że rana zabiłła się stosunkowo niedawno.

Znów uważnie przyjrzała się rysom twarzy. Coś zaczęło świtać jej w głowie...

Wróciła do czytelnicy czasopism i znów odszukała „Talk”, w którym ukazał się ostatni artykuł Sarah Walker. Nerwowo przerzucała strony. Czyżby rzeczywiście to widziała? Tak, ogłoszenie na ćwierć strony zachęcające do sięgnięcia po kolejne numery magazynu. Obwieszczało ono:

**NIESAMOWITE ATRAKCJE!**

Zapowiedź

Twarzą w twarz z przyszłością: operacje plastyczne.

Nasza dziennikarka Sarah Walker otrzymuje zupełnie nową twarz



dzięki rewelacyjnym osiągnięciom chirurgii plastycznej...

Zupełnie nowa twarz! Czyżby przeoczyła traktujący o tym artykuł? Znów przerzuciła wszystkie numery aż do aktualnego. Nie. Nie ukazał się, przynajmniej w „Talk”. Zajrzała do stopki - pisma, odszukała tam numer telefonu do redakcji i zapamiętała go.

Odłożyła rocznik na półkę. I nagle ujrzała swoją fotografię patrzącą na nią z pierwszej strony jakiegoś dziennika. Strach ścisnął żołądek. Zaczęła się pocić. Obok jej zdjęcia znajdowała się podobizna Ashera Floresa. Ostrożnie rozejrzała się wokół. Bibliotekarka rozmawiała przez telefon. Przy jej biurku stała jakaś kobieta i przeglądała trzymane w ręku pismo czekając na obsłużenie.

Odsunęła gazetę. Pod nią znajdowały się dwa inne lokalne dzienniki, a w każdym na pierwszej stronie zdjęcia dwojga poszukiwanych przestępców. Przeczytała znajdującą się poniżej notkę:

*Elizabeth Sansborough, lat 32, i Asher Flores, lat 29, oboje z Kalifornii, są poszukiwani jako główni podejrzani o kradzież i dokonane ze szczególnym okrucieństwem morderstwo dwóch przyjezdnych biznesmenów, do którego doszło przed świtem w Denver.*

*Policja twierdzi, iż Sansborough i Flores są uzbrojeni i wyjątkowo niebezpieczni. Obiecuje, że dołoży wszelkich starań, by pojmać tę dwójkę, zanim zagrożeni zostaną inni obywatele...*

Liz ponownie zerknęła na rozmawiającą przez telefon bibliotekarkę i kobietę przy jej biurku. Ułożyła gazety tak, by fotografie pozostawały niewidoczne, po czym wyszła.

W holu znalazła telefon. Wybrała numer „Talk” w Santa Barbara. Recepcjonistka miała miły, przyjazny głos. Bez oporów połączyła Liz z wydawcą.

- Czy mogłabym dowiedzieć się, kiedy ukaże się artykuł Sarah Walker o operacji plastycznej, której się poddała?

- Ach, ten. Został odwołany.

- Co się stało?

- Dziennikarka zachorowała i nie mogła zrealizować tej zapowiedzi - padła nerwowa odpowiedź. - Szkoda.

- Rozumiem. A czy Sarah Walker naprawdę poddała się tej operacji? - zapytała ostrożnie Liz.

- Tak.

- Chciałabym się z nią skontaktować.

- Przykro mi. Wyjechała w prywatnych sprawach. Poza tym nie wolno nam udostępniać adresów ani numerów telefonów naszych pracowników.

W informacji telefonicznej także nie dowiedziała się niczego o redaktorze „Talk”. Odwiesiła słuchawkę, lecz nie cofnęła ręki, starając się złożyć w jedną całość wszystkie zdobyte informacje...

Sarah Walker miała nową twarz.

Sarah Walker zniknęła z życia publicznego.

Liz Sansborough nie mogła być jednocześnie we Francji i w Kolorado. Może więc tamta - łączniczka Mięsożercy - była prawdziwą Liz, a ta w Stanach - czyli właśnie ona - fałszywą?

Prawda powoli zaczęła przebijać się przez zasłonę niepamięci i zagubienia. Liz Sansborough nie mogła znajdować się w dwóch miejscach jednocześnie.

Liz Sansborough była teraz w Paryżu.

A ona nie jest prawdziwą Liz Sansborough.

Była więc Sarah Walker z nową twarzą. Twarzą Liz Sansborough.

Nie było innej alternatywy. Była Sarah Walker.

Wciąż kurczowo zaciskała palce na słuchawce, złana zimnym potem. Zapora blokująca dostęp do przeszłości pękła i zalała ją fala prawdy. Drżąc wspominała rodzinne wypady w Góry Sierra... kąpiele słoneczne na plażach Santa Barbara... męczące wyprawy rowerowe z bratem Michaeliem... irytację ojca, gdy musiał pomagać jej w matematyce. Przypomniła sobie wspaniałe zapachy kuchni: sosu pomidorowego Campbella, kawy parzonej każdego ranka, smażonego bekonu. Dotyk delikatnych palców matki na twarzy...

Stała tak w budce telefonicznej, gdzie nikt nie zwracał na nią uwagi. Po policzkach spływały jej łzy. Łzy ulgi.

**Część trzecia**

**Sarah Walker**

## 27.

Młoda kobieta o twarzy aktorki, odczuwająca wewnętrzną ulgę, ale równocześnie podniecona i wściekła, wyszła szybkim, sprężystym krokiem z biblioteki w Denver. Asher Flores czekał na nią w wynajętym samochodzie - nowej toyocie camry. Wsiadła z przodu, od strony pasażera.

- Teraz jedziemy po nowe dokumenty - oświadczył, gdy już włączył się do ruchu. - Nie masz co tęsknić za naszym starym pikapem. Nadszedł czas zmiany naszego *modus operandi automobilius*. Wiesz... - Zerknął na nią i urwał. - Jezu, co się stało?

- Jestem Sarah Walker.

- Co?

- Dobrze słyszysz.

Zjechał na pobocze, odwrócił się ku niej i przez chwilę patrzył jej prosto w oczy. Następnie pokręcił głową i ruszył.

- W porządku. Mów wszystko, co wiesz.

- Nie jestem Liz Sansborough. Ona musi być w Paryżu z Mięsożercą. Nie wiem, co tu robię i dlaczego jestem tak potrzebna Gordonowi i Bremnerowi. Pewne jednak, że nazywam się Sarah Walker, a ci dranie zrobili mi straszną krzywdę.

- Byłaś dziennikarką? Wynikałoby z tego, że nigdy nie pracowałaś dla Langley.

- Nie. Przeprowadzałam wywiady z gwiazdami: Jimmym Stewartem, Madonną, Jonasem Salkiem, Hillary Rodham Clinton, Magie Johnsonem...

Wspomnienia napływały gwałtownie, jakby niesione przez wezbrany potok świadomości. Opowiedziała Floresowi o swej pierwszej pracy, kiedy była reporterką „od wszystkiego” w obrazoburczym „Santa Barbara Independent”. Zauważono ją trzy lata później jako autorkę reportaży o show-biznesie zamieszczanych w „Los Angeles” i „Californii”. Wtedy to Tina Brown, redagująca wówczas „Vanity Fair”, ściągnęła ją do siebie, traktując to jako zastrzyk nowej krwi z Dzikiego Zachodu. W jakiś czas później Sarah nawiązała współpracę z „Talk” - jednym z dwóch największych krajowych magazynów dla kobiet. Stała się tam najlepszą specjalistką od wywiadów, a rok temu awansowała na stanowisko szefowej działu, na którym tak jej zależało. „Talk” stworzył jej warunki, dzięki którym zadomowiła się tam już na dobre.

Nigdy nie wyszła za mąż ani nie miała dzieci. Na krótko wiązała się z kilkoma mężczyznami, a z jednym mieszkała nawet przez pewien czas, lecz doszła do wniosku, że żaden z tych związków nie miał przed sobą przyszłości. Partnerzy ją obarczali winą i, prawdę powiedziawszy, chyba mieli rację. Pierwszy, z którym była dłużej, okazał się na tyle miły, że odchodząc stwierdził tylko, iż ma cygańską duszę. Rzeczywiście, zawsze odczuwała potrzebę posiadania pod ręką spakowanej walizki.

Urodziła się jako Sarah Jane Walker i była drugim dzieckiem swych rodziców. Starszy brat Michael tak bardzo pasjonował się jaszczurkami, dinozaurami, footballiem, a później dziewczętami, że nigdy nie wchodził jej w drogę.

Ojciec nazywał się Hamilton Walker i należał do tego gatunku miłych, ciepłych ludzi, za którymi przepadały wszystkie dzieci. Matka - Jane Sansborough Walker - dorastając marzyła, by stać się kiedyś cudowną żoną oraz matką, i rzeczywiście nią była.

W rodzinie Walkerów istniał tylko jeden problem - tajemnicza przeszłość obojga rodziców. Dla dzieci stanowiło to nieodgadnioną zagadkę.

Dopiero gdy Michael i Sarah dorośli, dowiedzieli się, że ich ojciec w wieku czterech lat został oddany przez matkę do sierocińca. Później nigdy już jej nie zobaczył. Trafiał do różnych rodzin, jednych dobrych, innych złych. W dwóch znęcano się nad nim psychicznie, bito i głodzono. Przebrnął jednak jakoś przez ten trudny okres i rozpoczął życie na własną rękę. Kiedy na świat przyszła Sarah, był już szanowanym profesorem angielskiego w Santa Barbara City College, w którym pracował aż do przejścia na emeryturę. Hamilton Walker kochał swą rodzinę, studentów i życie pedagoga.

Ojciec Jane Walker - Otto Sansborough - nie cierpiał Hamiltona, ponieważ twierdził, iż chłopakowi „brakuje ambicji”, co było ogromną skazą w oczach człowieka bez reszty oddanego walce o władzę i sukcesy zawodowe. Otto był jednym z najlepszych adwokatów na Zachodnim Wybrzeżu. Sarah słyszała, że nazywano go rekinem.

Dziadkowie Sarah dawno już zmarli. Ale jej rodzice - Jane i Hamilton Walker - żyli, podobnie zresztą jak brat.

Miała rodzinę. A przecież Gordon mówił jej...

\*

Był czerwiec. Siedzieli w jej mieszkaniu w Santa Barbara, ale Gordon wcale z nią nie mieszkał. Tak naprawdę dopiero co się poznali. Tydzień wcześniej wprowadził się do mieszkania na dole.

Teraz wiedziała to na pewno: wszystko, co mówił o ich związku, było kłamstwem. Wcale nie mieszkali ze sobą od dwóch lat, bo nigdy się do niej nie wprowadził. Ta historyjka

miała tylko na celu wzbudzenie wiary w dobre intencje Gordona.

Tego czerwcowego dnia zaproponowała mu herbatę. Zaprosiła go do kuchni; nalegał, by pozwoliła mu samemu ją przygotować. Gdy napoczął nową puszkę Twiningsa, otworzyła list od rodziców. Adres zwrotny: Cielo Tranquilo, Arizona.

Kiedy kuchnię wypełnił aromat świeżej czarnej herbaty, opowiedziała mu, co wyczytała:

- Rodzice wygrali wspaniałą nagrodę w konkursie zorganizowanym przez OMNI-International. Sprzedali dom w Santa Barbara, część pieniędzy oddali do banku, a resztę przeznaczili na luksusowy dom z zapewnioną dożywotnią opieką na terenie klubu golfowego w Arizonie. W ramach wygranej musieli za niego zapłacić zaledwie dziesięć procent normalnej ceny. W tej sytuacji nie zastanawiali się długo.

- Podoba im się tam?

- Piszą, że jest wprost cudownie. Szczególnie mama jest zachwycona. Jej ojciec był wziętym prawnikiem w Beverly Hills, więc dorastała w luksusie. Ale później wyszła za tatę. On wykładał w college'u i poziom jej życia zdecydowanie się obniżył. A teraz, w czterdzieści lat później, znów żyje w komforcie.

Roześmiał się.

- To doprawdy słodka zemsta.

- Rzeczywiście - przyznała z uśmiechem.

Przejrzała resztę poczty: rachunki, jakieś foldery, zaproszenia na przyjęcia dla wybrańców w Santa Barbara i Los Angeles, które wciąż przysyłano jej jako znanej dziennikarce zajmującej się życiem gwiazd, i widokówkę od brata.

- Michael jest antropologiem. W zeszłym tygodniu wyruszył na wykopaliska w Himalaje. Uwielbia to. Wszyscy pozostali członkowie wyprawy to Włosi. Jest zachwycony, że przez miesiąc nie będzie musiał mówić po angielsku ani się myć.

- To wprost przeciwnie niż ja. Notorycznie się pluszczę, a poza tym tylko dobry nauczyciel zrozumiałby mój włoski.

Zwróciła uwagę na piwne oczy Gordona, które harmonizowały z gęstwiną włosów. Nieco za długich, ale i tak podobały się jej.

- To już cała twoja rodzina? - zapytał.

- Tak. Cóż, mam jeszcze gdzieś w Anglii kuzynkę. Ale prawie nic o niej nie wiem i nigdy nie miałam okazji jej zobaczyć.

Chodziło o Liz Sansborough. Prawdziwą Liz Sansborough.

Zagwizdał czajnik. Gordon podsunął sobie ronderek, podgrzał go, wsypał liście

herbaty, zalał je wrzącą wodą i przykrył.

- Zaskakujesz mnie - rzekła z uśmiechem. - Naprawdę jesteś specjalistą od parzenia herbaty. - Rzeczywiście zrobił na niej duże wrażenie już na samym początku znajomości. Zawsze wiedział, co zrobić i powiedzieć. Ale na tym, między innymi, polegała praca tajnego agenta. Wkradać się w czyjeś łaski, by dostać się tam, gdzie nie dawało się dotrzeć w uczciwy sposób.

\*

- Nie wiem, co stało się potem - wyjaśniła Floresowi, gdy jechali przez zalane słońcem Denver do artystki fałszerki. - To znaczy, pamiętam kolejne spotkanie z Gordonem, ale to wszystko. Chyba zabrał mnie na kolacje, a później... - Wysiliła pamięć starając się coś sobie przypomnieć, lecz wreszcie rzuciła ze złością: - Nie, nie wiem.

- Dowiemy się - pocieszył ją. - Kto, co i dlaczego. - Uścisnął jej dłoń. - A co z operacją plastyczną?

- To było jeszcze przed poznaniem Gordona. Jakies sześć tygodni wcześniej...

\*

Miała nową twarz, ale nie taką, jakiej się spodziewała. Stała przed lustrem w sypialni i oglądała ją z uwagą. Była sobie zupełnie obca. Piękna, ale obca. Opuchlizna niemal już zniknęła, więc powinna wyglądać jak na szkicach, które prezentował jej chirurg. Ale było inaczej.

Popatrzyła na siebie z profilu. Nie podobał się jej nowy nos. Chciała mieć prosty i wąski, ten natomiast zbyt rozszerzał się na dole. Implanty na podbródku i policzkach były wyraźniejsze niż się spodziewała. Oczywiście usta pozostały niezmienione. Wciąż były zbyt szerokie, ale niewiele można było z nimi zrobić. Chirurg dodał tylko nad prawym kącikiem rzucający się w oczy pieprzyk.

Do diabła, sądziła, że twarz jej będzie miała bardziej stonowany wyraz. A tymczasem wyglądała jak jakaś cholerna gwiazda filmowa. Nie jak osoba przeprowadzająca wywiady, ale jak taka, która ich udziela. Pierwsza z tych ról była znacznie wygodniejsza - stwarzała przynajmniej iluzję panowania nad sytuacją.

Poza tym, gdy przez trzy dekady życia miało się dość pospolitą twarzyczkę, można się było do tego przyzwyczaić. Nie miała nic przeciwko przemianie w atrakcyjną osobę, ale zbyt przesada mogła tylko zwiększyć niebezpieczeństwo. Bóg jeden wiedział, do czego to doprowadzi.

Odeszła od lustra, zanim zrodziły się kolejne niepokojące pytania. Zasiadła przy biurku w salonie, chcąc zabrać się wreszcie do pisania artykułu o dawnej i nowej twarzy. Co

za układ. Darmowa operacja plastyczna, a do tego „Talk” płaci jeszcze za artykuł na jej temat. Tak to właśnie wygląda, gdy człowiek zdobędzie sobie popularność jako dziennikarz poczytnego pisma: do kieszeni wciskają ci swoje numery telefonów ludzie, którzy cieszą się sławą, oraz ci, którzy marzą o jej osiągnięciu, ludzie okryci hańbą, wszyscy, którzy pragną zyskać rozgłos.

Odpędziła od siebie nachodzące ją wątpliwości. Trzeba było cieszyć się tym, co zdobyła. Jednego była pewna: nigdy więcej już nie zdecyduje się na podobną operację. Nie powinna traktować nowej twarzy jako nieszczęścia, a raczej jak kolejną życiową okazję. Cóż złego mogło wyniknąć z tego, że kobieta staje się piękna?



## 28.

Asher Flores w zamyśleniu pokiwał głowę.

- Hughes Bremner nie mało się natrudził, by przygotować cię do wyznaczonego zadania. Musi tu chodzić o coś naprawdę ważnego.

- To drań. Czy mógł spowodować, że straciłam pamięć?

- Może rzeczywiście doszło do tego w wyniku wypadku. Niewykluczone, że mamy tu do czynienia ze zwykłą amnezją, a Bremner po prostu wykorzystał sytuację, błyskawicznie dostosowując do niej swój plan.

- Upadek z urwiska, czy cokolwiek naprawdę się ze mną stało, nastąpił już po poznaniu Gordona. Czyżby dlatego wciąż nie mogę sobie przypomnieć, co się wtedy zdarzyło. - Zamilkła i zamyśliła się. - Czy Bremner mógłby zaaranżować taką darmową operację plastyczną?

- Oczywiście.

- Zapewne chodziło mu o mnie ze względu na pokrewieństwo z Liz Sansborough. Kilka implantów tu i tam, i już stałam się jej sobowtórem. Jakiś czas temu pisałam dla „Talk” cykl artykułów o sztuce przetrwania. Spędziłam miesiąc w jednym z obozów treningowych w Montanie. To tam właśnie nauczyłam się posługiwać pistoletem, takim samym jak ten, który Gordon wcisnął mi do ręki. Dzięki wcześniej nabytym umiejętnościom tak dobrze radziłam sobie na Rancho. Zawsze dbałam o sprawność fizyczną, więc uzyskanie odpowiedniej kondycji nie było specjalnie trudne.

- Bremner nie miał problemu z ustaleniem tego wszystkiego. Możesz być pewna, że skrupulatnie zbadał twoją przeszłość.

- Ale co miał na celu nadając mi wygląd kochanki Mięsożercy?

- Dobre pytanie. A co tak naprawdę wiesz o Liz Sansborough? Nie chodzi mi o informacje z jej dossier.

Zamyślona gładziła włosy.

- Właściwie nic. To znaczy, wiem jedynie, że moja mama miała brata Harolda, na którego wszyscy mówili „Hal”. Pamiętam, że Hal ożenił się i mieszkał w Londynie. Miał także córkę w moim wieku. Nigdy nikogo z nich nie spotkałam. Nie pamiętam też, by pisali do mamy listy. Nie przychodziły nawet kartki z życzeniami urodzinowymi. Ale mama

wiedziała, co u nich słyhać, bo od czasu do czasu coś o nich wspominała.

- Mów dalej.

- Ich matka, a moja babka Sansborough, była nawet sympatyczna, ale jakaś taka dziwna. Piekła ciasteczka dla mnie i Michaela, gdy przyjeżdżaliśmy do niej i dziadka do Beverly Hills. Babcia była z kolei córką prababci Firenze, która mieszkała w Santa Barbara. To właśnie z nią miałam kontakt na co dzień i ona była dla mnie jak prawdziwa babcia.

- A twój dziadek z Beverly Hills, ten prawnik?

- To był okrutny i mściwy człowiek. Pamiętam, że kiedyś wziął śrutówkę i bez słowa zastrzelił labradora sąsiadów. Podobno zdenerwowało go szczekanie. Później uświadomiłam sobie, że wybrał śrutówkę, by zwierzak bardziej cierpiał przed śmiercią. A miał przecież sztucery, z których wystarczyłoby oddać jeden strzał. Wezwano nawet policję, ale dziadek jakoś się wykręcił. Nie poniósł za to żadnej odpowiedzialności.

- Milutki facet.

- Tak - przyznała sucho. - Mama jest wspaniałą kobietą i wydaje się, że mimo wszystko bardzo go kochała. Ale jasno powiedziała Michaelowi i mnie, byśmy w żadnym wypadku nie próbowali brać z niego przykładu. Może właśnie dlatego nie utrzymywała bliższych kontaktów z bratem. Może Hal Sansborough odziedziczył charakter po ojcu.

- Możliwe. A co stało się z dziadkami Sansborough?

- Zginęli w wypadku na jachcie. W testamencie nie zapisali niczego ani mamie, ani Halowi. Wszystko co mieli przekazali Uniwersytetowi Południowej Kalifornii. Na tamtejszym wydziale prawa jest sala nazwana imieniem dziadka.

- Musiał więc mieć spory majątek.

- I żadnych przyjaciół. Wszystkich do siebie zniechęcał. Podśluchałam kiedyś, jak mama mówiła, że ten testament był zemstą za jej zamążpójście wbrew woli rodziny.

- Nie podobał im się twój ojciec?

- Wybierając go miała na względzie zupełnie coś innego niż pieniądze. - Uśmiechnęła się filuternie. - Teraz już rozumiem, dlaczego gdy kazano podać dowolny klucz kodu, do głowy przyszło mi natychmiast imię „Hamilton” i później czułam się taka szczęśliwa. To wspaniały człowiek. Ale rodzice przeprowadzili się do Arizony, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy brat wyjechał prowadzić wykopaliska w Himalajach. Wróci nie wcześniej niż za kilka miesięcy.

- To też mógł zaaranżować Bremner - mruknął Flores.

- Co?

- Usunął wszystkie mogące wesprzeć cię osoby. Planowa izolacja. W ten sposób

warunki do zaakceptowania przez ciebie podstawionego, fałszywego przyjaciela: Gordona.

Skrzywiła się.

- Ta sprawa ma przynajmniej jeden pozytywny skutek: mama i tata są szczęśliwi w nowym miejscu. A na dodatek są w sobie nadal zakochani. To wspaniale, że miłość przetrwała tyle lat.

- Uważasz, że miłość jest ważniejsza od pieniędzy?

- A ty nie? - W tym momencie ogarnęła ją niespodziewana fala poczucia osamotnienia.

- Romantyzm nie na wiele się przydaje w naszym biznesie - zauważył trzeźwo Flores.

- Twój biznes nie jest moim. Wyjaśnijmy to sobie od razu. Nie jestem agentką. Znalazłam się w obecnej sytuacji tylko dlatego, że mnie wykorzystano.

- Tak, ale lepiej zacznij myśleć o sobie jako o twardym, zawodowym agencie, jeśli zamierzasz wyjść cało z tarapatów, w jakich się znaleźliśmy.

Zacisnęła usta, starając się opanować wściekłość. Miała ochotę wyrwać kierownicę z rąk Floresa i na pełnym gazie wyrznąć w najbliższy budynek. Chciała pięścią rozbić deskę rozdzielczą i wyrwać silnik spod maski wozu. Chciała strzelić prosto w łeb Gordona i następnym pociskiem rozszarpać serce Bremnera. Chciała...

Zamarła, sama przestraszona gotującą się w niej furią.

Cholerny Hughes Bremner i jego ciemne sprawy.

Głośno wypuściła z płuc powietrze.

- Tylko cynicy wiodą samotne życie, Flores. Ja zaś chciałabym kiedyś zaznać szczęścia. - Popatrzyła gdzieś w dal, starając się stłumić wściekłość. - Ale wracając do tematu: tym właśnie jest dla mnie rodzina. Teraz spróbujmy spojrzeć na całą sprawę z drugiej strony. Co Hughes Bremner ma na celu zmieniając mnie tak, bym wyglądała jak kobieta Mięsożercy?

- Może na Liz Sansborough nie można polegać lub chce zrezygnować z roli łączniczki. Może jest chora...

- A może Bremner lub Langley jej nie ufają.

- O cokolwiek w tym wypadku chodzi, Bremner bez wątpienia dybie na nasze życie i do tego celu wykorzystuje wszelkie środki, jakimi dysponuje Langley.

- Wiemy, że zaangażowani są w to co najmniej Gordon, Bremner i ci dwaj, których ustrzeliliśmy. Ale czy to oni, czy przypadkiem nie całe Langley?

- Może i tak być - przyznał ze smutkiem. Minęli kilka restauracji i rząd budynków biurowych. - A więc, Sansborough...

Urwał i popatrzył na nią zawstydzony.

- Nic nie szkodzi, Flores. Przez pewien czas będzie ci trudno się przyzwyczaić, ale spróbuj.

Sarah Walker. Bawiła się w myślach swym imieniem i nazwiskiem. Nagle spłynęła na nią jasność i przypomniała sobie, jak pisała to nazwisko na szkolnych sprawdzianach. Tak, szkoła! Podstawówka Monte Vista, La Colina Junior High, Santa Barbara High i wreszcie uniwersytet w Santa Barbara. Była w stanie wymienić nazwiska większości nauczycieli i starych przyjaciół. Thiel Rivers! Co stało się z jej najlepszą przyjaciółką? Coś świtało jej w głowie... Coś, co zdarzyło się niedawno...

- W porządku - rzekł Flores. - Więc mamy kłopoty, Walker. Bremner zarzucił sieć. Rozpoczął nagonkę angażując do niej wszystkie agencje, poczynając od FBI.

- Musimy działać jak najszybciej się da.

- I będziemy.

Wręczył jej pięć tysięcy dolarów.

- Hej, obrabowałeś bank czy co?

- Można to tak nazwać.

Opowiedział, jak to zrobił, dostawszy się do systemu bankowego.

- A więc po to był ci potrzebny kod Gordona.

- Własnego nie mogłem wykorzystać. - Zerknął na nią kątem oka. Jednocześnie nieśmiało i szelmowsko. - Kilka miesięcy temu zażądałem mnóstwa forsy potrzebnej do przeprowadzenia zleconej mi operacji w Monte Carlo. Miała być przynętą w kasynie dla dwóch koreańskich biznesmenów, którzy wykradli projekt jednej z naszych rewelacji technologicznych: anteny tak małej jak ziarenko piasku. Rzecz w tym, że ci dranie mieli przy stole wyjątkowe szczęście. Wygrali cztery miliony dolarów, a cała ta forsa należała do Langley. Zebrałem co prawda wystarczające dowody, by skazano ich na dożywocie, ale zdołali uciec do ojczyzny zabierając ze sobą wygraną.

Roześmiała się.

- A więc to za to Bremner wysłał cię na Rancho.

- Tak. A na swój kod nie mam prawa dokonywać żadnych przelewów. Najpierw musiałyby zostać usunięta specjalna blokada - powiedział dusząc się ze śmiechu. Udało mu się bowiem przechytrzyć Hughesa Bremnera.

Zdziwiło ją, że potrafi być tak wesoły mając na karku FBI, CIA, a na dodatek policję. Zachowywał się jak jeden z owych poszukiwanych listami gończymi w czasach Dzikiego Zachodu. Ale i ona znalazła się w takiej sytuacji, mimo że wcale tego nie chciała. Wyjęta

spod prawa.

Kilkakrotnie objechali zakamuflowane studio artystki. Wreszcie uznali, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

Asher wszedł do środka, ona zaś zajęła miejsce za kierownicą i nie gasząc silnika uważnie przyglądała się każdemu pieszemu i przejeżdżającemu samochodowi. Dlaczego z rozkazu Bremnera obdarowano ją twarzą Liz Sansborough? Po co wysłano ją na przeszkolenie na Rancho? Czy Bremner chciał schwytać Mięsożercę, czy też prawdziwa była informacja w dossier mówiąca o jego zamiarze ujawnienia się?

Wszystkie nitki w tej ogromnej gmatwaninie zdawały się prowadzić do Hughesa Bremnera. Jakiegokolwiek plany miał ten człowiek, zapewne gotów był zaryzykować wszystkim, by wprowadzić je w życie.

Przyszło jej nagle do głowy, że Flores miał rację. Musiała łączyć w sobie umiejętności Liz Sansborough z osobowością Sarah Walker. Podświadomie jednak opierała się temu. A teraz już szczególnie zależało jej na rozdzieleniu wszystkiego, co dotyczyło tych dwóch tak różnych od siebie osób. Rozpaczliwie zapragnęła nie tylko wypłatania się z kłopotów, ale także powrotu do dawnego życia, zebrania rozrzuconych fragmentów układanki i doprowadzenia do tego, by już jako Sarah Walker zaznać nieco szczęścia.

Wreszcie Flores pojawił się na schodach. Rozejrzał się i niespiesznym krokiem przeszedł przez ulicę. Usiadł na miejscu pasażera, a Sarah ruszyła.

- Odwaliła kawał dobrej roboty - powiedział. - Takie dokumenty powinny na pewien czas zapewnić nam spokój.

Pokazał jej paszporty, prawa jazdy i karty VISA. Paszporty nie tylko wyglądały wiarygodnie, ale po prostu były autentyczne. Falszarka zdobyła kradzione i wprawną ręką dokonała wszystkich niezbędnych zmian. Prawa jazdy stanu Kolorado i karty VISA były natomiast fałszywe. Choć karty podrobiono idealnie, były absolutnie nieprzydatne w przypadku sprawdzenia stanu konta. Ale ważne, że sprawiały wrażenie autentycznych i w ten sposób potwierdzały resztę dokumentów na nowe nazwiska. Flores był teraz Erikiem Hoffmanem, a Sarah Julią Fasick.

Asher polecił jej skręcić na północny wschód, w stronę międzynarodowego portu lotniczego.

- Ochrona na lotnisku musi już o nas wiedzieć, Flores. Jak, u licha, planujesz ich przechytryć?

- Jesteśmy kryci. - Zadowolony z siebie, zatknął za szybę identyfikator pracowników naziemnych i polecił Sarah zjechać na specjalnie wydzielony parking.

Zatrzymała na nim wóz i wysiedli. Flores otworzył bagażnik i wyjął z niego dwie pary bawełnianych, granatowych spodni, także czapki i białe koszule.

- Ubieraj się. Masz swój identyfikator i odznakę. Kapelusze wrzuć do bagażnika. W Paryżu od razu byłoby widać, że jesteśmy jankesami. W dzinsach nie będziemy się już tak rzucać w oczy.

- Uniformy? Gdzie je zdobyłeś?

- Zatrzymałem się na moment w drodze po ciebie. Są oryginalne, a my jesteśmy autentycznymi pracownikami International A. M. - P. M. Catering, Inc.

Gdy już na dzinsy wciągnęli mundurowe spodnie, zapytała:

- Jak udało ci się to załatwić?

- Kumpel, o którym ci wspominałem, jest wiceprezydentem w centrali tej firmy. W Langley przyjaźniliśmy się, a ponadto kiedyś w Sofii ocaliłem mu tyłek. Zadzwoiłem więc do niego do Nowego Jorku, a on skontaktował się z kierownikiem miejscowego oddziału i polecił mu załatwić wszystko, o co poproszę. Powołał się na bezpieczeństwo narodowe.

- Czy ten przyjaciel nie sprzeda nas aby Langley?

Włożyli białe koszule i czapeczki, a na piersiach przypięli odznaki.

- Nie Abner. Nie jest bezwolnym narzędziem w rękach Langley, a poza tym zna mnie zbyt dobrze.

- Nie przechodzimy przez terminal? - Zdjęła plastikowe klipsy i ułożyła swe czarne, krótkie włosy tak, by przysłaniając czoło opadały aż na ciemne okulary.

- Nie, to nie będzie konieczne.

- Odznaki pozwolą nam przejść przez kontrolę na pasie startowym?

- Przemkniemy się niczym duchy. Pracownicy funkcjonują tu na zupełnie innych zasadach niż zwykli pasażerowie. Nie są przeszukiwani ani nie przechodzą przez bramki wykrywaczy metalu.

- Jesteś genialny, Flores - rzekła pełna podziwu dla towarzysza i nieco uspokojona.

Wyszli z parkingu. Asher w ręku trzymał swoją sportową torbę, a ona miała plecak. Beretta znajdowała się w środku.

- Przed nami jest część portu niedostępna dla pasażerów. Tam idziemy? - zapytała.

- Tak. Odznaki mają wtopione paski magnetyczne, które otworzą przejście. To nasze klucze.

Sarah na moment zwolniła.

- Gdybym była pasażerką, takie porządki wcale by mi się nie podobały. Jak w tej sytuacji władze lotniska ochronią ludzi przed jakimś szalonym pracownikiem, który może

przecież przemycić broń?

- Po pierwsze większość pracowników nie jest zatrudniana przez zarząd portu, ale działające na jego terenie prywatne firmy. Przenoszą bagaże, myją samoloty i wykonują inne tego rodzaju prace. Wymaganie, by wszyscy oni za każdym razem byli przeszukiwani i przechodzili przez magnetometry, uniemożliwiłoby w praktyce normalne funkcjonowanie lotniska. Zamiast tego przeprowadzane są wyłącznie wrywkowe kontrole. W ich ramach ochroniarze sprawdzają jednak tylko autentyczność odznak. A skoro oboje jesteśmy zarejestrowani jako pracownicy International A. M. - P. M, mogą nas kontrolować ile razy chcą.

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem twojej wiedzy na temat funkcjonowania służb naziemnych portu lotniczego.

- A na dodatek jestem niezwykle skromny - dodał kłaniając się lekko.

Zachichotała, gdy zbliżyli się już do wejścia na płytę lotniska. Nagle za ich plecami z piskiem opon zatrzymał się jakiś wóz. Oboje obejrżeli się jak na komendę. Z samochodu wyskoczył Gordon w towarzystwie trójki uzbrojonych agentów.

- Biegiem! - rozkazał Flores.

Popędzili, ile sił w nogach, ku bramie, słysząc za plecami krzyki i tupot nóg.

## 29.

Asher Flores pierwszy dopadł bramy i przykucnął przy niej z pistoletem w dłoni, osłaniając Sarah, która przesunęła swą odznakę ponad skanerem. Ścigający ich: Gordon, kobieta i dwóch mężczyzn byli coraz bliżej. Serce waliło w piersiach Sarah, gdy sięgnęła po berettę. Ale na szczęście w tym momencie brama drgnęła i gdy tylko rozsunęła się wystarczająco, oboje wślizgnęli się do środka.

- Liz, zaczekaj! - zawołał Gordon.

Wystawiła lufę broni przez stalową siatkę ogrodzenia. Jak na dłoni miała teraz czwórkę ścigających ich agentów. Tamci zatrzymali się, widząc wycelowane w siebie dwa pistolety. Na parkingu kilku pracowników przystanęło przyglądając się z zainteresowaniem rozgrywającej się na ich oczach scenie.

Gordon zrobił jeszcze kilka kroków w stronę bramy.

- Wracaj ze mną, Liz, a przyrzekam, że zapomnimy o całym tym gównie. Ty także, Flores. Wszyscy popełniamy błędy, ale na Rancho bez wątpienia się dogadamy.

Zatrzymał się, gdy skierowała na niego lufę. Delektowała się myślą, że tym razem to Gordon się jej boi.

- Masz niezwyklej wagi spotkanie z Mięsożercą, Liz - ciągnął poważnym tonem. - Musimy cię do tego dokładnie przygotować.

- Wynośmy się stąd - szepnął Flores.

- Zaraz.

Z tyłu znajdowały się zabudowania gospodarcze i magazynowe, a dalej ogromne odrzutowce kołowały do terminalu i oddalały się od niego. Ale zanim popędzą do tego, który leciał do Paryża, musiała jeszcze coś zrozumieć.

- Nie wiem, co robić, Gordon - powiedziała drżącym głosem.

- Chodź z nami, Liz. Dokończ szkolenie. Wróć do Firmy.

Tkwiał w miejscu niczym model reklamujący broń - długie, mocne nogi, muskularna pierś, włosy rozwiewane przez wiatr, twarz emanująca uczciwością, a w dłoni pistolet. Sprawiał wrażenie, jakby nie do końca rozumiał, że stoi naprzeciw wroga. A tym wrogiem była ona.

- Co z Mięsożercą? - zapytała.



- Będziesz zdolna sobie z nim poradzić, Liz. Obiecuję.

- Nie nazywaj mnie Liz Sansborough, Gordon. Ona przebywa w Paryżu. Jestem Sarah Walker. - Czekala, aż zaprzeczy, lecz on milczał. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Nieodgadniona maska. - Dlaczego Mięsożerca się mną interesuje?

- Bo jest przekonany, że go widziałaś. Mówiłem ci przecież.

- Chodziło o Liz Sansborough. A więc dlaczego chce zabić mnie?

- Jezu, Liz! Nic nie rozumiesz. Przypominasz sobie okres, gdy pod nazwiskiem Sarah Walker ukrywałaś się przed Mięsożercą. Tak naprawdę jesteś Liz Sansborough! Wracaj do mnie, kochanie. Razem dopadniemy tego mordercę. - Jego głos zmiękł. - Poza tym tęsknię za tobą.

Nic dziwnego, że tak długo ją oszukiwał. Kłamstwa wypowiadał cholernie sugestywnie.

Flores przysunął się do niej.

- Zaraz się wyrzygam. Na ciebie i na pewno na Gordona. Nie możesz się pospieszyć?

- Zamknij się! - warknęła - Jak znajdziemy Mięsożercę - zapytała Taite'a. Koniecznie potrzebowała wskazówki, która pomogłaby jej w samodzielnych poszukiwaniach.

- Jest pewne miejsce... - urwał, gdy jeden z jego ludzi powiedział coś cicho.

- Cholera! - szepnęła.

Gordon i tamten agent rozmawiali o czymś nerwowo. Tymczasem jeden z pracowników stojących na parkingu pospiesznie ruszył do budynku biurowego zapewne po to, by wezwać ochronę lotniska lub policję. Pewne było, że władze wkrótce zareagują i niewątpliwie uwierzą słowom Gordona, a nie jej i Floresa.

Gordon zbliżył się jeszcze do bramy.

- Współpracownik właśnie przypomniał mi, że musimy się spieszyć. Chyba nie zamierzasz mnie zastrzelić, kochanie. Chodź z nami. To twoja ostatnia szansa. Nigdy cię nie zawiodłem, więc i tym razem także możesz na mnie liczyć.

Nonszalancko wodził po nich lufą pistoletu. Musiał wziąć ich żywcem, zwłaszcza Sarah. Naciskał, by dokonała wyboru. Wciąż liczył, że jest w stanie ją przekonać.

Jego prośby były z pozoru tak szczerze, że rzeczywiście na moment się zawahała. Uświadomiła sobie, że jakaś jej część pragnie mu zaufać, ulec prośbom, by wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Jakże chciała, by ktoś był gwarantem pewniejszej przyszłości.

- Niezły teatr - rzekł do niej Flores. - Ale nic z tego. Niczego się od niego nie dowiesz. Przytaknęła.

- Biegniemy za ten najbliższy budynek. Nie zamierzają nas zabić, przynajmniej na

razie, ale niewykluczone, że otworzą ogień. Musimy więc utrudnić im celowanie. Jesteś gotowy?

- Możemy startować, Walker.

- Gordon, ty kłamliwy sukinsynu! Ktoś kiedyś wepchnie ci z powrotem w gębę te wszystkie twoje łgarstwa! - krzyknęła.

Jednocześnie oboje poderwali się do biegu, pędząc co sił zygzakiem. Rozległy się strzały. Odłamki asfaltu pryskały w rozgrzane wilgotne powietrze, siekąc ich po nogach.

Rzucili się za narożnik upatrzonego budynku i błyskawicznie odpowiedzieli ogniem. Gordon i jego ludzie ukryli się za ogrodzeniem. Uciekinierzy przebiegli w tym czasie za osłonę kolejnego magazynu. Nagle Sarah uświadomiła sobie, że strzelają tylko trzy osoby.

- Flores, gdzie jest...?

Odwrócili się. Spomiędzy dwóch cystern wypadła nagle agentka, szeroko rozstawiła nogi wymierzając z uzi prosto w serce Floresa.

- Pozwolono mi cię zabić, Flores - rzuciła ostrym tonem. - No dalej. Zrób jeszcze krok, a przekonasz się, że nie żartuję.

Wokół nich stały szeregi cystern oraz nieregularnie porozrzucane magazyny. W oddali słychać było huk startujących i lądujących odrzutowców. Samotny kierowca, znajdujący się na tyle blisko, by widzieć, co się dzieje, wysiadł pospiesznie ze swej cysterny i uciekł.

Flores sprawiał takie wrażenie, jakby zamierzał rzeczywiście rzucić się na kobietę. Tymczasem Gordon i towarzyszący mu mężczyźni pokonali już ogrodzenie i zaatakowali od tyłu. Strach ścisnął żołądek Sarah. Nie mogła przecież wrócić z Gordonem.

- Ty suko!

Taite wytrącił jej z ręki berettę, chwycił za ramię i z szybkością błyskawicy otwartą dłonią uderzył ją dwukrotnie w twarz. Policzki zapiekły jak oparzone, lecz nawet nie uniosła do nich ręki.

- Czarujący jak zawsze - syknęła.

Fałszywa maska Gordona opadła i udawaną łagodność zastąpił grymas wściekłości. Szarpnął ją za ramię.

- Przejrzałem cię, ty dziwko. Pieprzysz się z Floresem. Ale nie zapominaj, że to ja cię stworzyłem. Jesteś moja. Nie pozwolę ci schrząnąć tej operacji. Szmaty takie jak ty zawsze sięją rozdźwięk między mężczyznami!

Zaślepiiony złością odwrócił się na pięcie usiłując łokciem trafić Floresa w splot słoneczny. Ten jednak był szybszy. Uchylił się nieco, chwycił za łokieć Gordona, nim ten osiągnął cel, i odepchnął go mocno. Jeden z agentów podskoczył, by pomóc szefowi, obie zaś

kobiety w tym czasie stały naprzeciw siebie bez ruchu.

Na to właśnie czekała Sarah. Wbiła pięść w żołądek przeciwniczki, a gdy ta zgięła się wpół, zadała cios karate w kark. Agentka nieprzytomna osunęła się na ziemię.

Flores tymczasem z odskoku kopnął w głowę jednego z mężczyzn, który padł jak ścięty.

- Zabierz ją stąd! - polecił Gordon ostatniemu z podwładnych.

Sam zwarł się z Floresem, podczas gdy agent chwycił Sarah za ramię i pociągnął ją w stronę bramy. Jednak dziewczyna zablokowała jego kolano nogą i pchnęła w bok. Zaskoczony, przewrócił się z głośnym hukiem.

Sarah natychmiast skoczyła po swą berettę. Skierowała lufę w stronę leżących agentów, podczas gdy Flores i Gordon wciąż zmagali się spleceni ramionami. W pewnej chwili Asherowi udało się oswobodzić jedną rękę i wymierzyć na tyle silny cios, że Gordon stracił przytomność.

Sarah osłaniała Floresa, kiedy odbierał przeciwnikom broń.

- Pieprzeni zdrajcy - warknął jeden z agentów.

- Prawdziwymi zdrajcami są Gordon i Bremner - odpowiedziała dziennikarka.

- Powiedz to Beno i Mattowi! - syknęła kobieta. - To nie Gordon ani Bremner zabili ich w motelu, tylko wy.

Flores z rezygnacją pokręcił głową.

- Oni wiedzą tylko tyle, ile usłyszą od tamtych.

Polecił agentom przenieść Gordona do ciemnej szopy, po czym kazał im zdjąć koszule i paski. Przez cały czas asekurowany przez Sarah związał im z tyłu ręce paskami. Oderwał rękawy jednej z koszul i skrępował kobietę, podczas gdy Sarah do końca darła koszule. Asher wykorzystał powstałe z nich pasy do związania Gordona oraz nóg pozostałych, a na koniec zakneblował im usta.

Sarah przesyłała zawartość ich kieszeni do swojego plecaka. Wzięła wszystko, by ewentualnie nie umknęła jakaś wskazówka pomocna w wyjaśnieniu tego, co naprawdę dzieje się w Waszyngtonie i Paryżu.

Gdy Flores skończył robotę, poskrobał się lufą pistoletu po zarośniętej brodzie. W zamyśleniu przyglądał się Gordonowi, wyraźnie coś rozważając.

- Powinniśmy się go pozbyć, Walker. To nieobliczalny morderca. Teraz z całą pewnością nie spocznie, dopóki cię nie dopadnie... albo zabije.

- Możliwe.

- Jeśli ty go nie zlikwidujesz, ja będę musiał to zrobić.

Powieki Gordona zdrząły. Odzyskiwał przytomność. Przyjrzała się uważnie jego kanciastej twarzy. Teraz widać było wyraźnie cechy kształtujące jego rysy. Ta z pozoru niewielka zmiana sprawiła, że emanował wprost brutalnością i zimnym wyrachowaniem.

Mogła pozwolić Floresowi, by go zabił. Gordon wyrządził jej ogromną krzywdę, może nawet większą niż sądziła, ponieważ wciąż nie wiedziała, w jaki sposób przeistoczyła się w Liz Sansborough. Przecież jeszcze przed chwilą z trudem powstrzymywała kipiącą w niej wściekłość. Pałała nienawiścią do niego, Bremnera i tego wszystkiego, co jej zrobili. Zabicie Gordona stanowiłoby dającą satysfakcję zemstę...

Uświadomiła sobie, że Flores czeka na jej decyzję. W szopie było tymczasem coraz cieplej i całe ciało miała już mokre od potu. Popatrzyła na trójkę agentów, leżących niczym manekiny. Odpowiedzieli tylko ponurymi spojrzeniami. Oni bez wahania zabiliby Floresa i może ją także, ale to coś zupełnie innego, ponieważ byli przekonani, że działają w słusznej sprawie.

Z oddali dobiegł dźwięk syren.

- Nie - zdecydowała wreszcie. - Nie potrafię zabić kogoś tylko dlatego, że może stanowić dla mnie zagrożenie.

- To poważny błąd, Walker.

- Być może. Ale mimo wszystko popełnię go, bo nie potrafiłabym żyć ze świadomością innej decyzji. Liz Sansborough zapewne nie miałaby takich obiekcji. Ale Sarah Walker jest inna. Wynośmy się stąd.

Gordon właśnie otworzył oczy. Słyszał, co mówiła. Jego wzrok aż palił nienawiścią. Przypomniało jej się stare chińskie przysłowie: wyświadczyć komuś przysługę, a on nigdy ci tego nie wybaczy.

Wspólnie przeciągnęli agentów w róg szopy, sprawdzili jeszcze ich węzły i zasłonili stertą dużych, kartonowych pudeł. Wyszli na zewnątrz i dodatkowo zamknęli drzwi na kłódkę. Głos syren przybierał na sile. Chwilę nasłuchiwali, aż w końcu rzucili się biegiem w stronę długiego rzędu potężnych odrzutowców.

## 30.

Sarah i Flores ukryli się za garażem. Jęk syren był coraz bliższy. Pozostawali w miejscu obawiając się wykrycia. Sarah przycisnęła się plecami do ściany, ściskając w dłoni berettę. Twarz paliła ją jeszcze od ciosów zadanych przez Gordona.

Dzwoniące w uszach wycie ucichło nagle.

- Muszą być gdzieś przy bramie - stwierdziła.

- Tak - mruknął Flores, przecierając wierzchem dłoni zroszone potem czoło.

Popędzili ku magazynowi, na którym znajdowała się wypisana granatową farbą nazwa International A. M. - P. M., Inc. Zatrzymali się przy wejściu do ogromnej hali. W środku kręcili się pracownicy w strojach takich samych jak te, które mieli na sobie.

Niski, korpulentny mężczyzna na widok Sarah i Ashera zaklął siarczyście.

- Do cholery, gdzie się włóczęcie? Wydawało mi się, że słyszałem strzały...

Był tym kierownikiem, z którym kontaktował się Abner Belden, polecając mu, by bez zadawania zbędnych pytań pomógł tej dwójce dostać się na samolot do Paryża, a później trzymać buzie zamkniętą na kłódkę. Uprzedził, że chodzi o bezpieczeństwo narodowe.

- Nie przejmuj się tym - odparł Flores. - Pomóż nam lepiej dostać się do samolotu.

- Cholera, musiałem już wysłać wóz z aprowizacją. Taka jest procedura. Następny...

- W porządku. Bierzemy go.

Kierownik poskrobał się po czuprynie i poprowadził ich ku jednej z potężnych ciężarówek. Sam zasiadł za kierownicą, a uciekinierzy zajęli miejsca obok. Gdy zbliżyli się do stanowisk postojowych, huk samolotów stał się trudny do zniesienia, więc wszyscy nałożyli na uszy ochraniacze. Jadąc mijali szykowane do lotu 747 i DC-10.

- To boeing do Paryża - krzyknął mężczyzna.

- Zmiana planów - odparł Asher. - Samolot do Kopenhagi.

- Flores... - zaczęła Sarah.

Położył palec na ustach.

Kierownik przyglądał im się ciekawie. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Jak chcecie. - Cofnął wóz i zatrzymał się przy innym boeingu. - Ten leci do Kopenhagi. - Wysiedli i podeszli do kolosa. - Załatwię co trzeba z obsługą. Powodzenia.

- Kolejna zmiana planów - oświadczył Flores. - Lecisz z nami.

Małe oczka mężczyzny rozszerzyło zdziwienie.

- To dla twojego własnego bezpieczeństwa. Tę strzelaninę, którą słyszałeś, wywołały dupki, które nie odpuszczą i dorwą cię. Uprzedzam, że nie będą mili. Powiedz kapitanowi, że w Kopenhadze są jakieś kłopoty i musisz interweniować. Chyba czasem zdarza się coś takiego, prawda?

Kierownik z trudem przełknął ślinę. Na jego twarzy widoczny był strach. Zbliżył się jednak do stojącego przy schodkach mężczyzny w mundurze pilota i wyjaśnił, że musi lecieć do Kopenhagi na inspekcję.

- Co się dzieje, do diabła? - szepnęła Sarah.

- Tak czy inaczej Gordon i jego dranie uwolnią się i zaczną węszyć po całym lotnisku. Widzieli nasze uniformy. Domyślą się, jaką sztuczkę obmyśliłem, i Bremner zleci swoim ludziom w Paryżu, by czekali na nas na lotnisku. Jedyną więc szansą jest ich oszukanie.

Uśmiechnęła się.

- Znacznie łatwiej będzie nam dotrzeć do Paryża lądem.

- Zgadza się - przyznał odpowiadając na uśmiech. - To awaryjny plan.

- Odjadę stąd ciężarówką. Wrócę przez terminal przejściem dla pracowników - powiedziała Sarah w chwili, gdy kierownik szedł już w ich stronę.

Wsunęła berettę do kieszeni, wsiadła do wozu, przejechała nim w pobliże innego odrzutowca i schodami dla personelu do strefy odpraw.

W przeciwnym końcu poczekalni dwóch policjantów uważnie lustrowało tłum, zapewne w poszukiwaniu pary agentów CIA, którzy zdradzili i zabili w motelu swych kolegów. Szła przed siebie energicznym, pewnym krokiem. Gdy zbliżała się do przejścia prowadzącego do odrzutowca, przed oczami stanęła jej budząca przerażenie wizja: mogłaby pod byle pozorem wciągnąć obu policjantów w jeden z pustych korytarzy i tam przestrzelić im głowy.

Nic trudnego. Zwykły podstęp. Doskonale wiedziała, jak to zrobić.

W skroniach pulsowała krew i zbierało jej się na wymioty. Morderstwo było dla niej czymś obrzydliwym, a jednak zupełnie podświadomie zaplanowała je. Co się z nią działo?

Żaden z policjantów nie popatrzył nawet, gdy mijała pracownika obsługi i zniknęła w rękawie łączącym terminal z samolotem do Kopenhagi. Korzystając z faktu, że nikogo tu nie ma, pospiesznie zdjęła uniformę. Weszła na pokład, odszukała Floresę i usiadła obok niego. Asher także był już w cywilnym ubraniu. Kierownik siedział przed nimi, a więc mogli mieć na niego oko.

Potężny odrzutowiec zaczął wreszcie kołować, a następnie nabierać rozpędu już na

pasie startowym. Asher wyjrzał przez okno, a potem ujął jej rękę i mocno ścisnął.

- Dlaczego? - zapytał patrząc na nią poważnie.

Wiedziała, że pyta, dlaczego nie zdecydowała się zabić Gordona Taite'a.

Tym razem ona wyjrzała przez okienko, maszyna bowiem oderwała się już od ziemi.

- Czytałeś kiedyś Abrahama Masłowa?

- Nie sądzę.

- Był wspaniałym psychologiem i pedagogiem - wyjaśniła. - Poznałam jego osiągnięcia w college'u. Jego książka *Ku istocie psychologii* pozwoliła mi z innej strony spojrzeć na naszą naturę i pomogła zrozumieć, jakiego rodzaju osobą pragnę być.

- Co więc pisał Masłow?

- Że psychologia tradycyjnie zajmuje się neurotykami i psychopatami. Czyli chorymi. On i jego współpracownicy zajęli się zaś badaniami nad zwykłymi, szczęśliwymi ludźmi. Wyniki były fascynujące i zupełnie odmienne od oczekiwań wielu nawet współczesnych naukowców.

- A mianowicie?

- Poszukiwanie wartości jest najważniejszym elementem naszej natury. Po zaspokojeniu podstawowych potrzeb: najedzeniu się, zaspokojeniu pragnienia i znalezieniu schronienia dążymy do doskonałości, odczuwamy potrzebę sprawiedliwości, piękna, prawdy, współczucia, spełnienia w pracy i temu podobnych.

- Dla tych, z którymi ja mam do czynienia, prawda i litość są ostatnimi rzeczami w katalogu ich potrzeb. Jedynym prawdziwym pragnieniem są wypchane kieszenie.

- Wiem. Masłow twierdzi, że tak właśnie jest, gdy ludzie wypierają się, nawet nie z własnej woli, swej prawdziwej natury. Inna psycholog, Karen Horney, mówi, że za każdym razem, gdy świadomie zrobimy coś złego, zostaje to zapisane gdzieś w głębi nas. Z dobrymi uczynkami jest podobnie. Innymi słowy, każdy z nas nieświadomie dokonuje oceny swych postępów i po zakwalifikowaniu rejestruje je. Wreszcie szala przeważa na jedną lub drugą stronę, a w rezultacie albo lubimy się i podziwiamy, albo też czujemy się bezwartościowi i niekochani. Z tego znowu wynikają określone zachowania. Wiesz, to jakby samosprawdzająca się przepowiednia.

- Kryminaliści rzeczywiście czują się niekochani, ale nie ma w tym niczego odkrywczego.

- Możesz żartować, ale wyobraź sobie, jak wyglądałby świat, gdybyśmy wszyscy znajdowali w życiu spełnienie.

- W przypadku naszego gatunku to niemożliwe. Jesteśmy urodzonymi wojownikami.

- Błąd. To już przeszłość. Poszukiwanie doskonałości i altruizm rzeczywiście leżą w ludzkiej naturze i jeśli tylko potrafimy przetrwać wystarczająco długo, staną się naszą przyszłością.

- Powiedz to w Langley i na Ranchu. I przekonaj samą siebie. Teraz, po tym co przeszłaś.

Zmarszczyła brwi.

- Nasza psychika wciąż ewoluuje, więc trudno już w tej chwili zobaczyć taki świat, jaki jesteśmy w stanie stworzyć. Ale nawet jeśli go nie znamy, musimy wierzyć, że może powstać. Trzeba wciąż próbować. My także, choć teraz przede wszystkim powinniśmy skoncentrować się na walce o własne życie. Chwilowo musi przeważyć instynkt samozachowawczy.

Ale myśli, jakie nachodziły ją, gdy maszerowała przez terminal, nie miały nic wspólnego z tym instynktem. Świadomość, z jaką łatwością przyszłoby jej wykorzystanie nowych umiejętności, poraziła ją niczym piorun. Zabić i uciec. I jeszcze czerpać z tego przyjemność. Może więc w rzeczywistości nie było tak, jak tłumaczyła Floresowi?

- Według mnie zarówno ty, Masłow, jak i ta Horney jesteście szaleni. Muszę jednak podzielić się z tobą jednym spostrzeżeniem. Zamartwiałaś się, kim tak naprawdę jesteś. Przecież to Gordon w pewnym sensie cię stworzył. Powinnaś więc być taka jak on, a nie jesteś. Gdybyście zaleźli się w odwrotnej sytuacji, on bez wahania by cię zastrzelił. Czy nie świadczy to, jaka naprawdę jesteś?

- Może w rzeczywistości przypominam Gordona w większym stopniu niż ci się zdaje.

Roześmiał się.

- Nie sędzę.

Jeszcze wczoraj jego słowa byłyby dla niej pociechą. Ale przecież tego ranka uśmierciła człowieka jednym strzałem, a niedawno, patrząc na policjantów, miała przez chwilę ochotę zabić ich także.

Zamknęła oczy. Nie, nie mogła być tak krwiożercza. Nie dopuści do tego!

Popatrzyła w pełne ciepła, ciemne oczy Floresa. Ujrzała w nich coś zupełnie wyjątkowego - szczerą dobroć. Szalony Flores był z gruntu dobrym człowiekiem. A jednocześnie, kiedy to konieczne, twardym, pozbawionym skrupułów profesjonalistą. I zapewne miał rację nakłaniając ją do zabicia Gordona. Ale dla niej to byłoby jak skok w próżnię. Była dumna z tego, że się nie ugięła. Tak naprawdę liczyły się bowiem nie same odczucia, ale postępowanie zgodnie z ich wskazówkami. Miała nadzieję, że różnica między nią a Gordonem jest taka sama, jak między wiarą w przyszłość, a chęcią jej zniszczenia. Teraz



musiała bardzo uważać na siebie. Pilnować się, by nie podążyć śladami Gordona.

- Flores, czy ty naprawdę jesteś typowym agentem Langley?

Roześmiał się ubawiony. Uświadomił sobie jednak po chwili, że Sarah pyta jak najbardziej poważnie.

- W jednym z testów, którym mnie poddawano, należało umieścić kwadratowe kołki w owalnych otworach. Myśleli już, że mnie mają. Większości kołków nie dało się bowiem nigdzie wetknąć.

- I co zrobiłeś?

Wyjął z kieszeni szczyryk.

- Były z drewna. Ociosałem je tak, że w końcu pasowały.

Roześmiała się. Jego twarz przybrała wesoły, szelmowski wyraz.

Nad przejściem do kabiny pilotów zgasł napis nakazujący zajęcie miejsc, więc pasażerowie porozpinali pasy, a kilku nawet wstało.

- Wreszcie - mruknęła i sięgnęła po plecak, który leżał pod siedzeniem obok jej stóp.

- Sprawdzimy, czy nie znajdziemy tu czegoś przydatnego.

Przedmioty należące do każdego z czworga agentów wrzucała do osobnych przegródek tak, by się nie pomieszały. Żadne nie miało przy sobie wiele rzeczy, co nakazywało doświadczenie. Zajęła się rzeczami Gordona, a Flores - agentki.

W portfelu Taite'a znalazła 521 dolarów w gotówce, prawo jazdy z Wirginii i jedną kartę VISA. Miał także kluczyki do buicka, którym przyjechali na lotnisko, portmonetkę z siedemdziesięcioma dziewięcioma centami, ulubione pióro Crossa, którego używał przez cały okres ich znajomości, i paczkę orzeszków ziemnych.

- Nie ma tego wiele.

Była zawiedziona. Złożyła całe to gospodarstwo na podłozie, przy nodze, by nie zwróciły czyjejś uwagi, i sięgnęła po przedmioty odebrane któremuś z mężczyzn.

- U mnie też nic ciekawego - rzekł równie rozczarowany Flores. Sięgnął po własność ostatniego z agentów.

Kiedy skończyli, mieli cztery kupki składające się z fałszywych praw jazdy i kart kredytowych oraz książki Briana Garfielda, napoczętej paczki winstonów i puderniczki należącej do agentki.

Flores westchnął ciężko.

- Chyba czas przystąpić do bardziej szczegółowych oględzin.

Położył sobie na kolanach torebkę sanitarną i skruszył nad nią pierwszego papierosa. Gdy do środka posypały się tytoń i filtry oraz bibułki, Sarah sięgnęła po puderniczkę, lecz

nagle zatrzymała się w pół ruchu.

Zamiast niej podniosła kluczyki do wozu.

- Może to zbieg okoliczności, ale zwróć uwagę, gdzie wynajął samochód. - Podniosła do góry kluczyki z brelokiem Gold Star Rent-a-Car. - Pamiętasz auto Matta Listera i Beno Durante przed motelem? Także pochodziło z Gold Star. I... - wzruszyła ramionami. - Chodzi mi po głowie, że jakiś inny wóz z tej agencji miał związek ze mną i Gordonem jeszcze w okresie pobytu w Santa Barbara, przed utratą przeze mnie pamięci.

Wysiliła umysł, lecz nie była w stanie przypomnieć sobie niczego więcej. Zrezygnowana popatrzyła na Floresa.

I on myślał intensywnie.

- Jezu, może właśnie w ten sposób nas znaleźli - mruknął wreszcie.

- Jak to?

- Gordon mógł zlecić przekazanie nadajników i naszych fotografii placówkom Gold Star w Denver, zakładając, że musimy zmienić wóz, a wypożyczenie jest bezpieczniejsze od kradzieży.

- A że wszędzie można spotkać przedstawicielstwa Gold Star, spróbował nas ubiec. I udało mu się.

- Nie nas. Mnie - rzucił ze złością.

- Podjąłeś właściwą decyzję, a tylko wybór agencji był niestosowny. Poza tym gdybyśmy nie zdecydowali się na wymianę, zapewne do tego czasu namierzyliby naszego pikapa.

Jego ciemne oczy zatrzymały się na niej. Uśmiechnęła się odruchowo.

\*

- Pierwszą rzeczą, jaką zrobię w Paryżu, będzie sprawdzenie, czy Gold Star ma jakieś powiązania z Bremnerem.

- W porządku.

Sarah sięgnęła po srebrne pióro Gordona. Używał je zawsze w Santa Barbara, a później na Rancho. Wyobraziła go sobie pochylonego nad notatnikiem, notującego zapamiętałe, przygotowującego kolejny raport dla Hughesa Bremnera. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Co takiego było w tym piórze? Przyjrzała mu się uważnie. Na jego boku wygrawerowano drobnymi literami napis.

- Co tam jest napisane? - zapytał Flores.

- *Je Suis Chez Moi.*

- Masz okropny akcent. Pozwól. - Odczytał płynnie. - To znaczy: „Jestem u siebie”.

W myślach powtórzyła tłumaczenie.

- Co to takiego? Jakiś szyfr?

- Możliwe. - Obejrzał pióro, rozkręcił je, złożył i zwrócił Sarah. - To drogie pióro. Może prezent od jednej z kochanek Gordona. Wiesz, kochanie - sparodiował Taite'a przewracając oczami.

Uśmiechnęła się, lecz nie zmieniła tematu.

- Bardzo cenne, a napis jest ledwie widoczny. Wygrawerowany, by nie wytarł się z czasem. A każde słowo zaczyna się wielką literą, jakby to była jakaś nazwa własna.

- Co więc według ciebie oznacza?

- Nie wiem. Ale znam pewną osobę, która uwielbia takie tajemnice, szczególnie gdy mogą wiązać się z jakimś skandalem.

- W Paryżu?

- Tak, to mój współpracownik.

Lecieli teraz nad Kanadą, gdzie potężne turbulencje kołysały samolotem na wszystkie strony. Zastanowiła się, czy Gordon zdążył się już oswobodzić.

Wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Mimo wysiłków Floresa Gordon i Bremner w końcu wytropią ich w Paryżu.

Zerknęła na plecak, wsunięty pod fotel. W środku znajdował się jej śmiercionośny przyjaciel - beretta. Teraz musiała obawiać się trojga morderców: Mięsożercy, Gordona i siebie samej. Nie miała pewności, czy Mięsożerca rzeczywiście chce jej śmierci, jako „Liz Sansborough”. Ale Gordon niewątpliwie zrobi wszystko, by ją dopaść. Tylko komu pierwszemu się to uda?

I co wówczas zrobi?

Mocno ścisnęła w dłoni pióro Gordona. Musiała powstrzymać zarówno jego, jak i Bremnera przed realizacją planu, który pozbawił życia już tylu ludzi. Gdzieś w głębi ducha tłumiała żądzę zemsty. Wierzyła w możliwość odpokutowania win, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, że są ludzie, którzy nigdy się nie zmieniają i przez całe życie będą żyli w świecie swych chorobliwych marzeń i ambicji.

Aby nie czuć się winną za to, co może się wydarzyć, musiała wytrwać w swej misji. Poznać i zrozumieć postępowanie przeciwników, a także ich intencje. I pokrzyżować plany Bremnera i Taite'a.

## 31.

Chantelle Joyeaux wcierała egzotyczny olejek eukaliptusowy w skórę premiera Vincenta Vaubana, szczególną uwagę poświęcając jego dobrze rozwiniętym mięśniom klatki piersiowej. Biedak był przytłoczony problemami, które nękały Francję niemal od momentu jego zaprzysiężenia w marcu. Szczerze mu współczuła, podziwiając jednocześnie tężyznę pięknego ciała.

Premier miał pięćdziesiąt pięć lat; choć zżerały go stresy związane z rosnącym bezrobociem i nasilającą się recesją, zdołał jednak zachować krzepę i wygląd człowieka po trzydziestce, mimo śnieżnobiałych włosów, które według Chantelle dodawały mu jeszcze uroku i dystynkcji. Musiał sprawiać wiele radości madame Vauban.

- Chantelle. - To był szept Maurice'a.

- *Oui*. Już kończę.

W drzwiach stał doktor w swoim długim kitlu, a za nim drobny Maurice „Mysz” w białej koszulce i równie nieskazitelnych spodniach noszonych przez wszystkich pracowników tej prywatnej kliniki odnowy, która mieściła się w samym sercu Paryża. Chudy jak patyk doktor i malutki Maurice wyglądali obok siebie karykaturalnie. Z trudem powstrzymała się przed wybuchem śmiechu.

Doktor sprawdził, ile zostało jeszcze substancji wzmacniających podawanych pacjentowi za pomocą kroplówki.

- Jeszcze pięć minut, Maurice. Później odłącz kroplówkę i powiadom mnie, gdy się obudzi.

Gdy tylko lekarz wyszedł, Maurice usiadł na stołku i obserwował dłonie Chantelle masujące mięśnie brzucha pacjenta. Biały ręcznik narzucony na jego biodra uniósł się i kołysał.

- Chantelle, ty świntucho. Sprawiałaś, że nasz wspomniały mąż stanu ma wzwód.

- Cicho, Maurice. Ktoś może usłyszeć.

- To dopiero szczęściarz. Ile to lat już cię proszę, abys zrobiła mi to samo.

W ten sposób zwykle żartowali, i choć nie zawsze dowcipy te uważała za zabawne, nie miała nic przeciwko nim. Lubiła „Mysz”. Był z natury łagodnym mężczyzną, który nigdy nie powiedział o nikim złego słowa i odnosił się z wyrozumiałością do wszystkich klientów.

Dzięki żartom zapominał, kim naprawdę jest, i mógł snuć marzenia o innym życiu.

- Bank Francji jest masowany w pokoju obok i chrapie jak smok - powiedział z uśmiechem. Chodziło o Henriego le Petita, prezesa banku narodowego. Maurice był niezgłębionym źródłem plotek. - Miał przyjść w południe, ale zatrzymało go jakieś ważne spotkanie i spóźnił się.

Chantelle sięgnęła do zamrażarki po worek z lodem i ułożyła go na ręczniku okrywającym premiera. Roztarła dłonie, by je rozgrzać. Dygnitarz zadrzał przez sen i wybrzuszenie ręcznika zniknęło.

- Jesteś wyjątkowo okrutną kobietą, Chantelle.

Zdjęła worek i roześmiała się.

- Nie. Tylko uważam, że rzeczywistość jest znacznie atrakcyjniejsza od fantazji.

- Ranisz mi serce!

Zaśmiała się ponownie i zaczęła wcierać wonny olejek w uda premiera z satysfakcją obserwując jego długie, muskularne nogi.

„Mysz” zerknął na zegarek i odłączył kroplówkę. Odwrócił się w stronę swego stołka, lecz zawahał się, i zanim ponownie na nim usiadł, dokładnie zamknął drzwi.

- Chantelle, możemy przez chwilę poważnie pomówić?

Podniosła głowę.

- Oczywiście. A o co chodzi?

- Jesteś przecież studentką medycyny. Powiedz, czy powinienem mieć powody do niepokoju?

Nie zrozumiała.

- O czym mówisz? - zapytała zaskoczona.

- Nasi klienci zmieniają się nie tylko pod względem fizycznym. Zauważyłaś to? Ich umysły także zdają się pracować jakby inaczej.

- Oczywiście. Doktor wyjaśnił, że stają się sprawniejsi i zdrowsi, więc zmienia się także ich wyobrażenie o samych sobie. To właśnie daje im nasza klinika. Dlatego wszyscy odwiedzają ją regularnie. Co w tym złego?

W zamyśleniu pokiwał głową.

- Zastanawiałem się, czy wyświadczysz mi pewną przysługę. Skopiowałem część materiałów, znajdujących się w biurze doktora, które z pewnością zrozumiesz lepiej ode mnie.

- Maurice!

- Cii. Wiem, wiem. - Uniósł ręce w geście obrony i wzruszył ramionami. - Ale jeśli

nie mam racji, wypowiadam się ze swoich grzechów po raz pierwszy od dwudziestu trzech lat.

Uśmiechnęła się.

- A czego dotyczą te dokumenty?

- Myślę, że jakichś badań przeprowadzanych na naszych klientach. Znajdują się w tym eleganckim biurze doktora, w szufladzie z plakietką „MK-ULTRA”. Po pracy moglibyśmy spotkać się w Café Justine i tam pokażę ci, co mam. Przyjdiesz, *si'l vous plait*, Chantelle, *cherie*?

Przez chwilę zastanawiała się, czy to nie jest przypadkiem próba uwodzenia jej. Ale w głęboko osadzonych oczach „Myszy” malowała się głęboka troska zamiast pożądania.

- Dobrze. Spotkamy się tam, *mon ami*.

\*

Była północ. W dziewiętnastowiecznej rezydencji Henriego le Petita na rue de Grenelle wstano właśnie od kolacji. Jego żona - madame le Petit, premier Vincent Vauban, madame Vauban i jeszcze dwoje gości podążyli za Henrim do biblioteki na koniak i kawę. Le Petit był niezwykle ważną osobistością. Kierował bankiem narodowym - Bankiem Francji. Bogaty konserwatysta, aż kipiący życiem.

- *Non, non!* - upierał się. - Ludzkie ciało powinno funkcjonować jak rząd. To powinien być dobrze wyważony system, jak w banku. - Zachichotał beztrzesko, a goście zawtórowali mu. Był we wspaniałym humorze, pewien siebie i coraz mniej przytłoczony odpowiedzialnością związaną z piastowaniem swej funkcji.

- Czyżby kuracja w tej nowej klinice sprawiła, że nabrałeś tyle sił i wigoru? - zapytała Gigi Devant - właścicielka jednego z najlepszych paryskich salonów mody. - Chodzisz tam codziennie od niemal roku, więc chyba wiesz, co ci to daje. Jak można się tam dostać?

Henri wymienił spojrzenia z premierem. Dyrekcja kliniki wyraźnie dawała do zrozumienia jej bywalcom, że nie zależy jej na powiększaniu liczby pacjentów.

- Och, droga Gigi. - Vauban sięgnął po kieliszek i stanął przy bogato zdobionym kominku. - Niestety, przyjmują tam tylko za specjalnymi zaproszeniami. Nie rezygnuj jednak. Polecimy cię doktorowi i poprosimy, byś została przyjęta. Co ty na to?

Z przyciętymi krótko platynowymi włosami, zdrową cerą i skrzyjącymi się oczami, Gigi wyglądała rewelacyjnie jak na swoje trzydzieści pięć lat. Henri le Petit był zdania, że właściwie nie potrzeba jej żadnych zabiegów.

- Może i ty chciałbyś wstąpić do naszego klubu, Charles? - zapytał przez grzeczność Henri.

Charles la Marie posiadał pakiet kontrolny w firmie budowlanej znanej na całym świecie. Jej specjalnością były głównie zapory wodne, mosty i elektrownie. Pokręcił głową i uniósł swój kieliszek.

- Znajduję wystarczająco dużo energii w szklaneczce czegoś mocnego, *merci*. Ale Gigi stoi już niemal nad grobem i trzeba ją ratować wszelkimi możliwymi sposobami - zażartował.

Gigi lekko uderzyła go w ramię i cała grupa wybuchnęła śmiechem.

- Szkoda że Phillipe Paquin nie zdążył trafić do waszej kliniki - rzekła złośliwie. - Może dzięki temu żyłby do dzisiaj.

- Podobnie jak poprzedni premier - dodał Charles uśmiechając się kwaśno.

- Tak, tylko że to akurat nie leżałoby w interesie Francji - rzekła pospiesznie madame Celeste Vauban.

Premier zapatrzył się w pusty już kieliszek i po chwili podszedł do stolika w stylu Napoleona III, by ponownie go napełnić. Henri le Petit wiedział, że Vauban miał pewnego rodzaju poczucie winy za śmierć poprzednika. Spojrzał więc na Gigi oraz Charlesa i powiedział:

- Dzięki Bogu Vincent był na tyle rozsądny, by zawnocześnie pomyśleć o swoim zdrowiu. Zaczął bywać w klinice jeszcze przed zawałem Phillipe'a. Nakłonił też do tego mniej przezornych mężów stanu, również mnie, abym zatroszczył się o siebie. Popatrzcie, jakie mamy szczęście. Nasz nowy premier nie czeka, aż pojawią się jakieś problemy, tylko dusi je w zarodku!

- Jeśli już mowa o problemach, Vincent, to muszę ci się poskarżyć. - Gigi utkwiała wzrok w premierze, gdy ten powrócił na swoje miejsce przy kominku. - Mój salon jest niemal na granicy upadku. Przynosi coraz to mniej zysków z powodu wysokich podatków i szalejącej recesji.

- *Alors!* Rzeczywiście masz powód do zmartwienia! - Madame le Petit uniosła idealnie ukształtowane brwi. - Roczny dochód w wysokości miliona franków to istotnie prawie plajta - zadrwiła.

Gigi rozejrzała się, szukając wsparcia, lecz nie znalazła sojuszników.

- Mógłby być znacznie wyższy, gdyby tylko klientela czuła się bezpieczniej! - odparowała.

Kręcąc głową, Henri znów wymienił spojrzenia z Vincentem. Opracowali bowiem śmiały plan postawienia ekonomii Francji na nogi i zapewnienia ojczyźnie dominującej pozycji w Europie, a może i na całym świecie. Oczywiście w wyniku jego realizacji będą i

tacy, którzy ucierpią, lecz zawsze trzeba było liczyć się z pewnymi ofiarami. Kiedyś jednak cały naród i Europa będą im za to wdzięczni.

- W poniedziałek, droga Gigi, zaledwie za trzy dni, wiele z tych problemów może zostać rozwiązanych - powiedział premier uśmiechając się lekko. - Możesz być pewna, że wraz z Henrim przywrócimy Francji jej dawną *La Grandeur*!

\*

Na rue de Grenelle, naprzeciw rezydencji bankiera, w furgonetce siedział mężczyzna, trzymając w dłoni mikrofon kierunkowy. Obok, na stojaku, znajdowała się kamera wideo wycelowana prosto w okna biblioteki. Jego szpakowaty partner pochylał się do przodu i bezustannie manewrował pokrętlami, dbając o jakość odbieranych i nagrywanych rozmów. Obaj byli podekscytowani. Trzy godziny siedzieli beczynnie, ponieważ jadalnia znajdowała się poza zasięgiem ich urządzenia. Kiedy jednak towarzystwo przeniosło się do widocznej od frontu biblioteki, mężczyźni w furgonetce mogli już rejestrować wszystko. Wykonując tę robotę, poczuli się jak ryby w wodzie.

\*

Na drugim brzegu Sekwany Chantelle Joyeaux, nie zwracając uwagi na studentów hałasujących przed jej oknami, pochłonięta była raportami wykradzionymi przez Maurice'a Aria. Z emocji pocila się i aż kręciło się jej w głowie. O pierwszej zmusiła się do odłożenia dokumentów i pójścia spać. Wzięła środki uspokajające, bo wiedziała, że bez nich nie zaśnie z powodu kłębiących się w głowie tysiący pytań i wątpliwości.

Już w łóżku próbowała oderwać się od tych myśli i zaplanować sobie następny dzień. Z samego rana miała czterogodzinne zajęcia z anatomii, później zaś włoży swój biały uniform i zajmie się pracą jak w każdą sobotę. Ale tym razem, zamiast wyczekiwania na przystąpienie do masażu przystojnego premiera, który przyjeżdżał co dzień, spróbuje znaleźć jakiś sposób, aby się dostać do biura doktora. Musiała zdobyć więcej informacji na temat MK-ULTRA.

\*

Niezauważony przez studentów wesoło się zabawiających na rue de Harpe przed domem Chantelle Joyeaux, mężczyzna średniego wzrostu, ukryty w głębokim cieniu, obserwował okno dziewczyny. Kiedy zgasło w nim światło, oddalił się, by zatelefonować. Szedł pewnym krokiem, starając się, by na jego twarz nie padało światło mijanych latarni.

- Dobra robota, *compadre* - pochwalił go szef. - Sądysz, że uda ci się zdobyć kopie tych medycznych raportów?

Po powrocie mężczyzna jeszcze przez dwie godziny prowadził obserwację. Gdy wreszcie ulica opustoszała, wbiegł po schodach prowadzących do mieszkania masażystki i



zatrzymał się przy drzwiach nasłuchując. Poruszał się bez pośpiechu. Każdy jego krok był przemyślany. Otworzył drzwi posługując się wytrychem, wszedł do środka i długo wsłuchiwał się w oddech śpiącej dziewczyny, dochodzący z sypialni. Na biurku ujrzał studiowane przez nią wcześniej papiery. Posługując się reflektorem podczerwieni zorientował się, że właśnie o nie chodzi. Po kolei sfotografował każdą stronę, po czym opuścił mieszkanie tą samą drogą, którą przyszedł. Zniknął niczym duch w wąskich uliczkach Paryża.

## 32.

Tego wieczora, około dwudziestej drugiej Hughes i Bunny Bremner siedzieli na skórzanej kanapie w swej rezydencji w Wirginii i oglądali najnowszy film wyprodukowany przez siostrzeńca Bunny. Ona jak zwykle najbardziej była zainteresowana szkocką z lodem, chyba już szóstą z kolei, podczas gdy Hughes miał na głowie zmartwienia większe niż pijana żona i jakiś głupi film.

Owinięty w bonzurkę z chińskiego jedwabiu czytał raport Sida Williamsa dotyczący Lucasa Maynarda i Leslee Pousho. Maynard już nie żył, a posiadane przez niego dokumenty udało się przechwycić. To już był powód do zadowolenia, gorzej jednak wyglądałyby sprawy z dziewczyną. Gdy Sid i jego ludzie dzięki rejestracji namierzili jej mieszkanie w Arlington, znaleźli tam już tylko pusty sejf pod łóżkiem.

Musiała być tam jednak chwilę przed nimi, o czym świadczył tłący się jeszcze papieros. Dlaczego więc tak ryzykowała, mimo że Maynard już nie żył?

Sid znalazł odpowiedź: kserokopię pojedynczej strony z tajnego raportu Sterling-O'Keefe odbitą z dzisiejszą datą. Nawyk dziennikarki: zawsze datować pozyskane materiały. Ta suka powieliła dokumenty Maynarda.

Jeden z ludzi Sida wciąż pilnował mieszkania, agentka obstawiała „Washington Independent”, a sam Sid kierował zespołem przeczesującym Waszyngton, a także stany Wirginia i Maryland. Zapisali nazwisko Pousho i numer jej prawa jazdy w komputerze Langley, międzystanowej bazie policyjnej i prywatnej sieci informacyjnej Sterling-O'Keefe. Może będą mieli odrobinę szczęścia, jeśli poszukiwana wynajmie samochód w ich firmie - Gold Star. W ten sposób ułatwi im jednocześnie odzyskanie dokumentów i dostarczy własnych zwłok. Wiedział, że tak czy inaczej wejdą w posiadanie i jednego, i drugiego.

Bremner zerknął na Bunny starając się uspokoić. Zastanawiał się, jak to możliwe, że tak zwyczajnie siedzą obok siebie nie kłócąc się.

Od początku zależało mu tylko na jej pieniądzach. Gdy przyszedł na świat, fortuna Bremnerów była już tylko odległym wspomnieniem. Kiedyś przerażała go sama myśl o konieczności opuszczenia tej pięćdziesięciopokojowej rezydencji, której właścicielami byli jego przodkowie od stu lat, zanim przeszła w ręce rodziny Bunny. Spodziewał się, że małżeństwo i czas skłonią ją do zniszczenia intercyzy, na podstawie której, gdyby zmarła

przed nim, byłby skazany niemal na klepanie biedy.

Nie mieli własnych dzieci, a Bunny zapisała wszystko swym siostrzeńcom i siostrzenicom. Zawiódł się srodze, mimo bowiem upływu czasu nic nie wpłynęło na zmianę jej decyzji. Była niezmiernie przywiązana do swych pieniędzy - nieodrodna córeczka tatusia.

Gdy skarżył się, że wszystko tu jest jej własnością, a było to w czasach kiedy jeszcze go kochała, obiecywała:

- Za rok, kochanie. Kiedy wyjaśni się sprawa majątku dziadka. - Ale po roku mówiła tylko - Obiecuję, że skontaktuję się ze swoim prawnikiem.

I na tym koniec.

Kiedy miłość przerodziła się w nienawiść, cisnęła mu w twarz jego rachunki krzycząc:

- Ty rozrzutniku! Przecież już tyle ode mnie wyciągnąłeś. Dlaczego mam ci dawać pieniądze, skoro na co dzień stwarzasz mi takie piekło?

- Bo potrzebujesz tego piekła tak samo jak ja, Bunny - odpowiedział.

Takie wyjaśnienie sprawy wywołało u niego dziwną ulgę. Jeszcze większą poczuł dzięki świadomości posiadania pół miliarda dolarów w rajach podatkowych: w Luksemburgu i na Kajmanach. A teraz GRANDEUR da mu tyle, że nawet nie był w stanie sobie tego wyobrazić.

Przetarł powieki. Był zmęczony. A w takich sytuacjach stawał się jeszcze bardziej podobny pod względem fizycznym do przodka trudniącego się handlem niewolnikami. Zapadnięte policzki, wąski, arystokratyczny nos, zimne spojrzenie. Odchylił się i przymknął oczy.

Trwał w takiej pozie, aż w pewnej chwili poczuł, że Bunny go obserwuje. Błyskawicznie się ocknął. Jej świńskie oczka, osadzone w tłustej gębie, rzeczywiście przewiercały go z nie ukrywaną nienawiścią.

- Zamknij usta, Bunny, bo cała zalejesz się zółcią.

- Ty draniu! Co przede mną ukrywasz?

Zachichotał.

- To dziwne, że twój mózg w ogóle jeszcze działa. Niestety, wielce żałuję, ale muszę cię rozczarować - niczego nie „ukrywam”. Cenię sobie jednak wszelkie przejawy twojej troski o mnie. Powinna zmobilizować mnie do wymyślenia czegoś.

- Dupek - syknęła i pociągnęła ze szklaneczki.

Rozległ się dzwonek telefonu. Na pewno do niego. Kilku nielicznych już znajomych Bunny wiedziało, że nie warto dzwonić do niej o tej porze. Podniósł słuchawkę.

- Przykro mi, sir. - To Gordon Taite z Denver, spokojny i opanowany jak zawsze. -

Flores i Walker znowu nam uciekli.

Bremner jęknął w duchu.

- Jak to się stało?

Gordon w kilku słowach streścił przebieg wydarzeń.

- Zespół odnalazł nas po pięciu godzinach, w szopie. Wytropiliśmy powiązania Ashera i dziewczyny z firmą cateringową. Jeden z pracowników powiedział, że odprowadzał ich sam kierownik ekspozytury. Musieli wsiąść na pokład któregoś z samolotów, ale nie wiemy którego. Może to być jedna z trzydziestu sześciu maszyn, a kierownik znający ich plany, przepadł.

- Mów dalej.

Gdzie, u licha, mogli zniknąć Walker i Flores?

- Nadajnik umieszczony w wozie Ashera doprowadził nas do fałszerki, która przygotowała im paszporty, by mogli wejść na pokład odrzutowca. Mamy ją. Wyciągnęliśmy z niej już fałszywe nazwiska, którymi tamci teraz się posługują.

- Musieli za to zapłacić gotówką. Skąd ją wzięli?

- Flores włamał się do jednego z naszych funduszy rezerwowych.

- To niemożliwe. Zablokowałem mu dostęp. Czyim numerem mógłby się posłużyć?

Chwila ciszy.

- Moim, sir.

Bremner zmełł w zębach przekleństwo, ale starał się mówić spokojnie, zadając kolejne pytanie:

- Ta kobieta ci go wykradła?

- Na to wygląda, sir.

Westchnął i zastanawiał się, do czego Flores mógł dotrzeć w bazie komputerowej Langley. Zdecydowanie zbyt wiele było tych możliwości. Wyglądało na to, że oboje poznali prawdę o Mięsożercy i Liz Sansborough.

- Dobra, musi im chodzić o Paryż - skonstatował. - Powiadomię naszych ludzi, by obstawili lotnisko De Gaulle'a, ale nie sądzę, aby nam to coś dało. Flores znajdzie inny sposób na dotarcie do miasta. Ty poleć ich śladem.

- Tak jest. - Gordon zawahał się. Po chwili kontynuował niepewnym tonem: - Ona wie, że nazywa się Sarah Walker.

- Jezu Chryste! - Tym razem Bremner już nie wytrzymał. Aby MASKARADA się powiodła... Mięsożerca został wyeliminowany... Sterling-O'Keefe była nadal poza wszelkimi podejrzeniami... a przede wszystkim, aby akcja GRANDEUR zakończyła się sukcesem,

kobieta musiała wierzyć, że jest Liz Sansborough!

Bunny wyrwała się z odrętwienia i przypatrywała mu się z pijackim uporem. Rzadko w jej obecności tracił nad sobą panowanie, ale teraz poczerwieniał jak burak.

Spróbował pozbierać myśli i stłumić w sobie odruch paniki. Zniżył głos:

- Jak mogło do tego dojść?

- Musiała mnie przechytryć. Mogła przestać łykać pigułki. Wiem, że miała taki zamiar.

- To dlatego weszła w budynku administracyjnym. W porządku, porozmawiam z doktorem i dowiem się, czym jeszcze dysponuje. Twoim teraz zadaniem jest schwytać ją żywcem, i to jak najszybciej!

Głos Gordona był cichy, ale zdecydowany.

- Zrobię to, może pan być pewien.

- Załatwię ci przydział nowego kodu dostępu. Skontaktuj się z sekcją za piętnaście minut. - Bremner przerwał połączenie i wykręcił numer dyspozytora w centrum komputerowym. Powiadomił go o wykorzystaniu kodu Gordona przez Ashera. - Niech oba nadal pozostaną czynne. Chcę, żeby natychmiast mnie powiadomiono, gdyby któryś z nich został wykorzystany. Flores musi odzyskać dostęp, dopilnuj tego, w przeciwnym wypadku trudno go będzie zlokalizować.

- Tak jest. Coś jeszcze? - głos był niemal mechaniczny, jakby bezosobowy. Dyspozytor pracował jednak dla Bremnera od niemal dwudziestu lat, i cieszył się jego pełnym zaufaniem.

- Sarah Walker i Asher Flores znajdują się prawdopodobnie w drodze do Paryża. Upředź wszystkich naszych agentów, że powinni się tam wkrótce pojawić.

Bremner odłożył słuchawkę, odchylił się do tyłu i utkwiał wzrok w suficie. Musiał się zastanowić. Bunny wciąż mu się przyglądała z wyraźnym przerażeniem w oczach. Przywykł już do jej wybuchów wściekłości i nienawiści, ale nie strachu. Co wywarło na niej tak piorunujące wrażenie? Szkocka tak regularnie i intensywnie przepływała w jej żyłach, że mózg dawno już powinien znaleźć się w jakimś laboratorium i służyć za przykład zmian, jakie w nim występują pod wpływem alkoholu. A tu nagle zdawała się obawiać... ale czego?

- Hughes? - powiedziała. - Kto to jest Sarah Walker?

Była poruszona. Mimo półzamroczenia jakoś dotarło do niej imię i nazwisko, lecz skąd się wziął taki niepokój? Dopiero po chwili zdołał to sobie wytłumaczyć. Była zazdrosna. Sądziła, że jeździ do Paryża na spotkania z kobietą. Nie podejrzewał, że stać ją jeszcze na takie uczucia. Absurdalna, a zarazem śmieszna reakcja Bunny uspokoiła go.

- Nikt, kogo byś znała, moja droga - odparł beztrosko - lub kogo powinnaś poznać.

## 33.

### SOBOTA

Nastał ranek. Powietrze w Wirginii było o tej porze przesycone wilgocią parującej rosy. Lasy porastające podnóża gór Blue Ridge pięły się ku bezchmurnemu niebu. Leslee Pousho wyglądała przez okno sklepiku oczekując na przefaksowanie do Waszyngtonu pierwszego odcinka prawdziwej historii Sarah Walker.

Pisała go całą noc, i dopiero teraz poczuła się zmęczona. Mimo to była jednocześnie podniecona tym chyba niezłym początkiem zaakceptowanej przez naczelną redaktorkę opowieści o napawającej przerażeniem przemianie Sarah Walker w Liz Sansborough. Dziś wieczorem napisze drugi odcinek i przefaksuje go rano. Teraz jednak marzyła tylko o łóżku, do którego położy się zaraz po powrocie do wynajętego w górach domku, jakieś piętnaście kilometrów stąd. Czuła się stosunkowo bezpiecznie w tej głuszy, z dala od dużych skupisk ludzkich.

Wybrała Wirginię nie tylko ze względu na jej zaciszne zakątki, ale także dlatego, że gdzieś w pobliżu, w jednej z tych wspaniałych rezydencji otoczonych tysiącem akrów dziewiczych lasów mieszkał z żoną Hughes Bremner. Lucas opowiedział jej kiedyś o tym.

To dla Lucasa przygotuje tę serię artykułów o Hughesie Bremnerze. Człowieku, który z bezpiecznego Langley kierował korporacją obejmującą swymi mackami cały świat.

Było to z gruntu niebezpieczne przedsięwzięcie. Gdyby tamci zawczasu odkryli, co zamierza, natychmiast by ją zabili. Ale była przekonana, że każdy powód byłby dla nich dobry. Dlatego koniecznie chciała ich ubiec. Ujawniając światu tajemnice, które były w jej posiadaniu, mogłaby im w dużym stopniu zagrozić.

Balansowała nad przepaścią, to prawda, ale jedynym sposobem na przetrwanie było w jej sytuacji podjęcie walki. Musiała się przed nimi ukryć, najlepiej tam, gdzie najmniej się tego będą spodziewać. Bremnerowi może nie przyjdzie do głowy, że tkwi tuż pod jego nosem.

- Skończyłem - rzekł młody człowiek za ladą uśmiechając się nerwowo. -  
Przepraszam, że to trwało tak długo, ale nigdy wcześniej niczego nie faksowałem.

Gdy wsuwała do notesu oryginał, zauważyła, że przed sklepem zatrzymuje się

czerwony mercedes 450 SL. Wsiadła z niego kobieta około sześćdziesiątki, z rozjaśnionymi platynowymi włosami, zbyt wyzywającym makijażem, ubrana w jedwabną sukienkę. Weszła po schodkach stukając wysokimi obcasami.

Leslee podziękowała chłopakowi, zapłaciła i niemal otarła się o wchodzącą damę. Chociaż powietrze wypełniał ciężki zapach oliwy z oliwek i *potpourri*, wyczuła wyraźnie w jej oddechu coś innego - ostrą woń alkoholu.

- Filiżankę kawy, Buddy. Czarnej - głos kobiety był słaby i drżący, jakby pochodził ze starej płyty.

- Proces jeszcze się nie skończył, pani Bremner? - zapytał chłopak.

Leslee obejrzała się.

Kobieta przytaknęła.

- Dzisiaj specjalne posiedzenie. - Zapłaciła za podaną kawę i ruszyła w stronę wyjścia.

Pousho otworzyła przed nią drzwi.

- Dziękuję, kochanie. - Bunny Hartford Bremner uśmiechnęła się szeroko i trzymając kubek w obu rękach wyszła na zewnątrz. Ruszyła przez plac ku budynkowi sądu okręgowego.

Leslee podążyła za nią.

- Pani Bremner?

Kobieta spojrzała na nią uprzejmie, ale nie zwolniła kroku.

- Nie teraz, kochanie. Mam obowiązki w sądzie.

- Mogę zaprosić panią w przerwie na lunch?

Bunny Bremner spojrzała na nią zaskoczona, jak kot gwałtownie wyrwany z drzemki. Leslee przyszło do głowy, że niewielu ludzi zaprasza nałogową alkoholiczkę na lunch.

- No nie wiem, przecież nawet pani nie znam...

- Jestem dziennikarką i przygotowuję tu cykl artykułów. Miałam nadzieję, że udzieli mi pani wywiadu. Słyszałam, że jest pani jedną z najbardziej szanowanych osób w całym okręgu.

Bunny ożywiła się słysząc te słowa i już bez oporów zgodziła się na spotkanie.

Gdy pani Bremner zniknęła w budynku sądu, Leslee uśmiechnęła się po raz pierwszy od śmierci Lucasa. Znajdzie jakiś sposób, bez względu na cenę, jaką jej przyjdzie zapłacić, by wystawić Hughesa Bremnera. Nie tylko po to, by pomścić śmierć Lucasa, ale przede wszystkim, by nadać sens jego życiu. Niewielu zeszło do piekieł i z nich powróciło. Lucasowi niemal się to udało.

- Nie wiem, kochanie. Hughes chyba jest normalnym mężem. Zawsze chodziło mu o moje pieniądze. Ale nie napiszesz o tym w artykule, dobrze? - Bunny Bremner nerwowo



przekładała w palcach kanapkę z jajkiem, rozglądając się po kawiarni. Większość tutejszych gości była ubrana w skórzane stroje motocyklistów.

Jak Leslee Pousho się spodziewała, kawiarnia była niewielka, z obrusami w niebieską kratkę, bukietami świeżych goździków w wazonikach i winem z miejscowych plantacji Meredyth i Piedmont.

- Oczywiście, że nie. Chodzi mi tylko o ogólne zorientowanie się w sytuacji. Nie rozumiem jednak, dlaczego pan Bremner w ogóle zdecydował się pracować.

Zamówiła drugą wodę mineralną dla Bunny.

Ta uśmiechnęła się blado i wypięła łyk.

- Po części dlatego, że kochał swą pracę. Nie mogę zdradzić, w której agencji pracuje, ale ta informacja nie jest ci chyba potrzebna. Nie udało mu się jednak przebić na sam szczyt. Trzy lata temu pociągnęłam za kilka sznurków. W innym przypadku nigdy bym tego nie zrobiła, ale pomyślałam, że lepiej żeby stanął na czele tej firmy, niż dybał na moje pieniądze. Ale nic nie działałam. Albo nie przypadł im do gustu, albo był tak dobry na obecnym stanowisku, że postanowili go na nim zatrzymać.

Sięgnęła po kanapkę, ale odłożyła ją nienaruszoną. Alkohol sprawiał, że wcale nie miała apetytu. Leslee dziwiło jednak, że nie interesuje jej barek w rogu, który już o tej porze cieszył się dużą popularnością. Widocznie była jeszcze w stanie zapanować nad głodem alkoholowym.

- To musi być przykre dla pani patrzeć, jak jest nieszczęśliwy.

Pousho ugryzła swoją kanapkę z serem, chociaż strach i ostatnie przeżycia jej także odebrały apetyt. Najważniejsze, że ta kobieta mogła okazać się kopalnią informacji.

Bunny zmarszczyła czoło, co natychmiast uwidoczniło setki drobnych zmarszczek na jej twarzy.

- To właśnie bardzo mnie niepokoi. Wcale nie zachowuje się jak ktoś niezadowolony z życia. Wprost przeciwnie, od pewnego czasu wydaje się szczęśliwszy. Ale przecież nie ma po temu żadnego powodu. Nasze małżeństwo... nie należy do idealnych. Chwilami zastanawiam się, czy nie zamierza ode mnie uciec. Ale chyba nie powinnam pani o tym opowiadać.

- Ależ dlaczego? Leży to pani na sercu, a ja przecież nie notuję ani słowa. My kobiety dobrze się rozumiemy w takich sprawach.

Miała do siebie żal, że przyjęła taką taktykę, ale liczyła, że w ten sposób nawiąże bliższy kontakt z Bunny, która nie mogła znaleźć swego miejsca w świecie zdominowanym przez nieczułych mężczyzn.

- Rzeczywiście. - Do podmalowanych różowawym cieniem, niewielkich oczek Bunny napłynęły łzy. - Ostatniego wieczora słyszałam fragmenty jego rozmowy przez telefon. Mówiąc szczerze, nieco wtedy wypłam. Ale rzecz w tym, że usłyszałam o jakichś jego znajomych udających się do Paryża. O Sarah Walker i Asherze coś tam. Asher - co to za imię? W każdym razie dało się wyczuć, że Hughes chce za nimi jechać. Pewnie żeby się tam spotkać. Ostatnio bardzo często lata do Paryża. Nie chciał mi powiedzieć, kim jest ta Sarah Walker. Może zna ich pani? Sarah Walker i tego Ashera? Czy są bogaci? Sławni? A ona, czy jest młoda i ładna?

Leslee zmusiła się, aby nie dać nic po sobie poznać, i dalej spokojnie jadła kanapkę.

- Jeśli, jak pani zauważyła, wydaje się szczęśliwszy, nie powinien mieć powodu do odejścia. Niestety, nie znam Sarah Walker. A Asher to biblijne imię.

Jej umysł zaczął usilnie przetwarzać zdobytą informację. Sarah Walker kieruje się do Paryża! Ale kim jest ten Asher? To imię nie pojawiło się ani razu w dokumentach Lucasa. Jeśli „Liz Sansborough” została zabrana do Paryża, zdecydował o tym zapewne sprawujący nad nią pieczę niejaki Gordon Taite. Na Ranchu musiało jednak zdarzyć się coś, co zakłóciło realizację MASKARADY.

Starsza kobieta ciągnęła:

- Musisz wiedzieć, że niegdyś Bremnerowie byli tak zamożni jak moja rodzina. Tajemnicą poliszynela jest, że ich majątek pochodził przede wszystkim z handlu niewolnikami, jeszcze na początku osiemnastego wieku...

Leslee słuchała jednym uchem historii rodów Bremnerów i Hartfordów. Później Bunny przedstawiła drzewa genealogiczne innych słynnych rodzin w okręgu. Nim nadszedł czas powrotu na salę sądową, jej blade zazwyczaj policzki zaróżowiły się i zjadła prawie całą kanapkę. Leslee uświadomiła sobie, w jakiej rozpacz jest ta kobieta. Była jak droga porcelana kupiona tylko po to, by zaimponować innym, a nie cieszyć się nią i używać.

Gdy dziennikarka płaciła, pani Bremner rzekła:

- Ale teraz i ja mam swój sekret. Ciebie. Jak się nazywasz, kochanie?

- Marilyn Michaels.

Był to pseudonim, którym podpisała artykuł o Sarah Walker. Gdy przedstawiała się, uderzyła ją myśl. A może owa Walker vel Sansborough uciekła? Może właśnie dlatego podążała teraz do Paryża?

- Ponieważ dzisiaj jest sobota, wypuszczą nas wcześniej z sądu - oświadczyła Bunny, gdy wyszły z kawiarni. - Może nawet podejmiemy jeszcze jakąś decyzję. Masz ochotę spotkać się ze mną o piętnastej na drinka? Tak miło mi się z tobą rozmawia.

Leslee przystała na to bez chwili wahania. Starsza pani uśmiechnęła się i powędrowała do sądu. Pousho wróciła do sklepu i przefaksowała do redakcji kilka zmian w tekście artykułu dotyczących ewentualnej ucieczki Sarah. Poprosiła także, by redaktorka przekazywała cykl o Sarah jej przyjaciółce z „International Herald Tribune”, którego duża część była pisana i redagowana właśnie w Paryżu.

W porze lunchu, kiedy Hughes Bremner jadł w swym biurze w Langley brie, pieczone jabłka i krakersy, rozległ się dzwonek telefonu. To zaufany operator z centrali Sterling-O’Keefe w Waszyngtonie.

- Sir, mamy informację o tej kobiecie: Leslee Pousho.

- O co chodzi? - Dobrze. Wreszcie coś jest.

- Otrzymaliśmy z Gold Star potwierdzenie, że korzystając ze swej karty wynajęła na miesiąc domek w Wirginii.

Bremner uśmiechnął się.

- Wiesz dokładnie gdzie?

- Mamy pewne problemy z ustaleniem tego, sir. Nie udało się nam skontaktować z właścicielem. Ale wkrótce będziemy wiedzieli.

- Jak się nazywa?

Bremner znał go: James Carr. Dziwne. Lekko wzruszył ramionami. Najważniejsze, że wolność Leslee Pousho, a co za tym idzie i jej życie, nie potrwają już długo.

## 34.

Sarah Walker przecięła zalany promieniami słońca Boulevard St.-Germain i przecisnęła się przez tłum hałaśliwych studentów protestujących przeciw ogłoszonemu dzień wcześniej podwyższeniu przez Bank Francji stóp procentowych. Studenci trzymali nad głowami transparenty i zachęcali przechodniów, by do nich dołączyli. A wokół wznosiły się zbudowane jeszcze w osiemnastym wieku, eleganckie domy. Tylko we Francji dawał się zauważyć tak wyraźny kontrast między dziedzictwem arystokracji a rewolucyjnym entuzjazmem.

Sarah zatrzymała się przy kiosku z prasą i kupiła „International Herald Tribune”. Przejrzała anglojęzyczne strony w poszukiwaniu fotografii swojej i Floresa. Nie znalazła ich jednak, jak również jakiegokolwiek wzmianki o prawdopodobnym pojawieniu się w Paryżu pary morderców z Denver. Już znacznie spokojniejsza ruszyła dalej, niczym nie różniąc się od przeciętnych paryżan, w dżinsach, luźnej koszuli i z plecakiem przewieszonym przez ramię. Z pewnym rozbawieniem skonstatowała, że w mieście, które mieni się światowym centrum *couture*, najpopularniejsze są typowo amerykańskie ciuchy.

Ani ona, ani Flores nie musieli przebierać się więc po przybyciu do Paryża godzinę temu. Dwie poprzednie noce pełne wrażeń spowodowały, że spali mocno podczas całego lotu do Kopenhagi. Dalszą część podróży odbyli szybkobieżnym pociągiem, a później wynajętym samochodem. Gdy wreszcie dotarli do Paryża, była już siedemnasta. Zameldowanie się w hotelu pod nazwiskami widniejącymi w fałszywych dokumentach było ryzykowne, bo, zakładając że w samochodzie wypożyczonym z agencji Gold Star znajdował się nadajnik, ścigający ich zapewne już namierzyli fałszerkę. Jeśli tak, to Gordon zdążył poznać ich nowe personalia.

Tylko Asher dysponował jeszcze jednym fałszywym paszportem, zdecydowali więc, że sam zamelduje się w dobrze znanym sobie hotelu, o którym jednak nie wiedziało Langley, a dziewczyna przekradnie się do jego pokoju.

Potem Flores zamierzał zająć się sprawą Gold Star. Sarah też miała do wykonania pewną robotę. Weszła do budki telefonicznej i wybrała numer starego przyjaciela Blounta McCawa, który współpracował z wieloma amerykańskimi i europejskimi pismami. W swej karierze zdążył już obsmarować wszystkie znane osobistości, poczynając od dzieci

księżniczki Grace, a kończąc na rozpustnym hrabim Paryża - pretendencie do francuskiego tronu. Po tych sukcesach dziennikarskich zdobył sobie sławę europejskiego sułtana skandali.

- *Allo? Allo?* - rozległ się jego głos.

- Wszędzie rozpoznam ten twój słodki głosik, Blount.

- Sarah? Dobry Boże, to ty? Skąd dzwonicz?

- Z Los Angeles. - Małe kłamstewko, by uniknąć ujawnienia swej nowej twarzy.

- Jak najszybciej uciekaj z tej dziury. Jak możesz ścierpieć widok tych obrzydliwych palm?

Obok budki studenci na znak protestu zaczęli się rozbierać. Demonstracja w iście paryskim stylu. Sarah uśmiechnęła się na ten widok, pomyślawszy jednocześnie, jak świetny artykuł można by o tym napisać.

- Blount, dzwonię, bo mam problem ezoterycznej natury, który tylko ty jesteś w stanie rozwiązać. - Przeszła do konkretów.

- Ezoteryczny? A może erotyczny?

- Przestań. Niestety, obawiam się, że nawet taki orzeł jak ty może mieć z tym kłopot.

- Ja zawsze znam właściwą odpowiedź.

- Zawsze?

- Jeśli nawet nie od razu, to i tak jestem w stanie się dowiedzieć.

- Świetnie. A więc słuchaj. Co to znaczy „Je Suis Chez Moi”?

- Jestem u siebie.

- To dosłowne tłumaczenie. Mnie chodzi o jakieś ukryte znaczenie. Te słowa są wygrawerowane na bardzo drogim piórze Crossa i każde z nich jest pisane wielką literą. Literki są drobniutkie, bardzo dyskretne, jakby przeznaczone dla tajemniczego kochanka, ale mam przeczucie, że to jakaś maksyma. Może wiąże się z określonym zdarzeniem albo organizacją.

- Sądysz, że dowiem się czegoś na podstawie tak niepełnej informacji i być może dotyczącej jakiejś nieznaczącej osoby? - W jego głosie słychać było powątpiewanie.

- Zawsze wierzę w twoje możliwości, Blount. Sam przecież przed chwilą powiedziałeś, że nawet jeśli nie wiesz, to i tak się dowiesz.

Potwierdził, a Sarah zapewniła, że wkrótce się z nim skontaktuje.

\*

W tym samym czasie na rue St-Honore Asher Flores przeglądał „International Herald Tribune” w poszukiwaniu informacji o ich przyjeździe do Paryża. Zadowolony, że niczego nie znalazł, zainteresował się wiadomościami sportowymi. Tak! Dodgersi wczoraj wygrali.

Pokonali drużynę Padres 5 - 2 i 13 - 11. A przecież grali na wyjeździe, w San Diego. Jego chłopcy nabierali rozpędu!

Zadowolony wsunął gazetę pod pachę i ruszył ulicą. Myślał o Sarah Walker. Cholernie dziwna kobieta. Miał świadomość, że przeżywa teraz okres pełen wątpliwości, czy jest w stanie podołać czekającym ją zadaniom. Wierzył, że okaże się wystarczająco silna i zdecydowana.

Gdy skręcał do sklepu komputerowego, przypomniał sobie jej twarz w chwili, gdy stali nad obezwładnionymi przeciwnikami w magazynie na lotnisku. Stała tam zlna potem i wściekła na Gordona, ale zdecydowana ocalić mu życie. Miała twarde zasady. A poza tym wspaniałe nogi i twarzyczkę niczym z bajki. Jakże mu się podobała. I to nie tylko z powodu wystrzałowej wprost urody.

Właścicielka sklepu przywitała go ciepło.

- *Bonsoir! Comment ca va?* To już chyba kilka miesięcy, Asher! - Siwowłosa Christine Robitaille obejrzała go od stóp do głów jak smakowity kąsek.

Dzięki przyjaźni z Francuzami jeszcze z czasów szkolnych Asher mówił w ich języku bez obcego akcentu.

- Miesiące, Christine? - Roześmiał się przekornie. - Ależ skąd. Mam wrażenie, że rozstaliśmy się wczoraj.

Uśmiechnęła się, nie wyjmując z kącika umalowanych ust papierosa ze złotym ustnikiem.

- Jesteś dla mnie najsympatyczniejszym kłamcą, *petit* Asher. Właśnie za to cię podziwiam. Musisz mi obiecać, że zjemy dzisiaj razem kolację. *Poisson cru marine au citron vert!* Owoce morza pokropione sokiem z cytryny.

- Byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność, ale przykro mi, Christine. Pracuję.

Wyjęła z ust papierosa i rozejrzała się wokół.

- *Zut! Zut! Alors, qu'est-ce vous voulez?* - Nie chciała, by ktokolwiek ich podsłuchał.

Zniżył głos:

- Mogę skorzystać z któregoś z twoich komputerów?

Christine współpracowała z Interpolem i kiedyś uratowała mu życie.

- A co, w Languedoc wszystkie nawaliły? - zapytała.

- To, co robię, jest zbyt tajne, bym mógł z nich skorzystać.

- Aha - mruknęła, zaciągając się dymem ze znaczącą miną. - A więc dobrze.

Zaprowadziła go do jednego z terminali. Na ścianie powyżej znajdował się duży napis: *De par le roi, defense a Dieu, de faire miracle en ce lieu.* Z rozkazu króla nawet Bóg

nie ma prawa dokonać tu cudu.

Korzystając z kodu Gordona Asher dostał się do CM-5 w Langley i zajął się poszukiwaniem informacji o Gold Star Rent-a-Car. Miał nadzieję, że znajdzie powiązanie między agencją a Hughesem Bremnerem, Gordonem Taitem i Firmą.

\*

Na Boulevard St.-Germain Sarah Walker przeprowadziła jeszcze trzy rozmowy telefoniczne. Między każdą z nich usiłowała dodzwonić się do Blounta McCawa, ale numer wciąż był zajęty. Studentów ogarnął tymczasem jeszcze większy entuzjazm. Śpiewali, tańczyli i wygłaszali mowy. Kilku sprzedawało *de lire* - delirium - narkotyk stanowiący połączenie LSD z ekstazą.

Wreszcie udało jej się połączyć z McCawem.

- Jezu, kochanie! - Był wyraźnie podekscytowany. - W jaki sposób dowiedziałaś się o tym tajnym klubie? Wiesz, że odwiedza go sam premier? I prezes Banku Francji, arcybiskup Paryża, nie wspominając już o *creme de la creme* paryskiego świata biznesu i polityki? Wstęp tylko za zaproszeniami. Jeśli ktoś sam ubiega się o przyjęcie, to z góry wiadomo, że nie jest tego godnym!

- Nie rozumiem, o czym mówisz, Blount. Je Suis Chez Moi to klub?

- To ekskluzywna, niezwykle droga i właściwie potajemna klinika odnowy.

- Dlaczego potajemna? Cóż więc się tam dzieje?

Rozmówca odchrząknął nerwowo.

- Nie wiesz nawet, ile mnie kosztowało zdobycie choćby tych informacji. A skąd ty o tym wiedziałaś?

- To zdanie było wygrawerowane na wiecznym piórze dawnego znajomego. Nie znasz go.

W jaki sposób Gordon mógł wejść w posiadanie pióra z nazwą tego tajemniczego klubu?

- Grzebiesz w czymś poważnym, Sarah. Znam cię. Powiedz, w czym rzecz, jeśli chcesz jeszcze coś ode mnie wyciągnąć.

Wahała się przez chwilę.

- Nie mogę. Moje życie jest zagrożone. Nic więcej nie mogę zdradzić.

- Twoje życie? Co ty opowiadasz?

- Pamiętasz tego włoskiego ojca chrzestnego...? Jak go nazywali, Bestia? Zlecił zlikwidowanie cię jako karę za odszukanie pewnej aktorki, która była matką jego sześciorga bękartów.

- Pięciorga - poprawił z westchnieniem. - Co za wspaniały skandal, ale nikt nigdy o nim nie usłyszy. Jeden z moich największych sukcesów! Z jego powodu byłem o krok od śmierci.

Wiedziała, że w ostatniej chwili wycofał przygotowany już do druku artykuł i wraz ze wszystkimi dokumentami w tej sprawie wysłał go prawnikowi Bestii do Rzymu. Materiał nigdy nie został opublikowany, ale Blount ocalał w ten sposób życie.

- Dobra, Sarah. Chyba się zgodzę i podzielę zdobytymi informacjami, ale musisz mi obiecać, że gdy będziesz już mogła, i ty ujawnisz mi wszystko, co wiesz. Sam chciałbym móc napisać o tym miejscu.

McCaw podał jej adres i numer telefonu kliniki. Ostrzegł, że z zewnątrz budynek niczym się nie wyróżnia. Klub był otwarty siedem dni w tygodniu, od piątej rano do północy, by dostosować się do różnych pór odwiedzin klientów. Prowadzono tam zajęcia rozciągające, siłowe i aerobik, a dodatkowo oferowano masaże, kuracje witaminowe i wzmacniające. Jednocześnie kierujący kliniką doktor zajmował się rozstrojami nerwowymi, a szczególnie stanami depresyjnymi pacjentów, wynikającymi z życia w ciągłym stresie.

- Klienci kochają to miejsce - zakończył. - Ludzie, którzy nienawidzili jakiegokolwiek wysiłku fizycznego lub byli załamani psychicznie, teraz nie wyobrażają sobie choćby dnia bez kliniki. Moim zdaniem zachowują się tak, jakby zażywali Prozac. Zmieniają się wewnętrznie, ale także i fizycznie. Ludzie przychodzący po raz pierwszy do kliniki są wrakami, po kilku zaś miesiącach stają się sprawni, pełni energii, zadowoleni z siebie i z życia. Nic dziwnego więc, że chcą utrzymać tę formę, i systematycznie tam uczęszczają. - Milczał przez moment. - Może i ja skuszę się na odwiedzenie tego miejsca. Pociągnę kilka sznurków i jakoś się wkręcę.

Demonstranci na ulicy wymalowywali hasła na własnych nagich ciałach. Pojawiły się kamery telewizyjne. Sarah odwróciła się, tak by nikt nie był w stanie dostrzec jej twarzy. W głowie zaczął rodzić się plan...

- Sarah, czy ty aby nie śniesz na jawie?

- Muszę już iść, Blount. Kiedy wszystko się unormuje, skontaktuję się z tobą. Obiecuję.

- Sarah! Czekaj. Co zamierzasz zrobić?

- Nie mogę powiedzieć. Przykro mi. Ale trzymaj za mnie kciuki.

Odłożyła słuchawkę i wymknęła się z budki. Stała w pewnej odległości od tłumu i obserwowała, jak niemal otwarcie handluje się tu narkotykami. Zbliżyła się do jednego ze sprzedawców delirium. Ukryta przed kamerami kupiła za pięćset dolarów niewielką fiolkę



owiniętą w papierowy ręcznik i ostrożnie wsunęła ją do plecaka.

\*

Je Suis Chez Moi znajdować się miało na rue Vivienne, niedaleko Bourse - paryskiej giełdy. Blount miał rację: Budynek z szarego kamienia niczym się nie wyróżniał oprócz niewielkiego, złotego numeru na masywnych drzwiach wejściowych; był niemal taki sam, jak sąsiadujące z nim domy zbudowane zapewne jeszcze w czasach Napoleona.

Sarah przechodząc obok zwróciła uwagę na wybrukowany podjazd prowadzący na tyły, dzięki któremu można było się zorientować, jak daleko w głąb sięga ta budowla. Kiedyś zapewne stanowiła prywatną rezydencję - *hotel particulier*. Spojrzała w niebo. Dochodziła już dziewiętnasta trzydzieści i słońce wisiało dość nisko, choć do zmroku pozostawała jeszcze co najmniej godzina. Obok znajdowała się kawiarnia - Café Justine - do której postanowiła wstąpić. Zamówiła *café glace*, by nieco się ochłodzić, i usiadła przy niewielkim stoliku na zewnątrz. Stąd mogła bez trudu obserwować Je Suis Chez Moi.

Co za dziwna nazwa - „Jestem u siebie”. Bardzo zwodnicza. Któż mógłby zgadnąć, że w rzeczywistości jest to elitarna klinika odnowy?

Popijając mrożoną kawę, rozglądała się dyskretnie. Jedynym klientem oprócz niej był jakiś starszy mężczyzna. Na głowie miał słomkową panamę z czerwoną wstążką. Czytał „Le Monde” i palił fajkę. Gdy przyglądała mu się, uniósł wzrok i ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy.

W ciągu następnej godziny na podjeździe pojawiły się kolejno dwie limuzyny, których pasażerowie udali się prosto do bocznego wejścia. Sześć innych osób tą samą drogą opuściło w tym czasie klinikę, pospiesznie wsiadając do taksówek lub czekających na nich samochodów. Nikt nie korzystał z masywnych drzwi frontowych.

Sarah zamówiła sałatkę z ryb morskich. Tymczasem w kawiarni pojawiła się zadurzona w sobie po same uszy młoda para. Zamówili *vin ordinaire*. Starszy pan skończył czytać gazetę, wstał i wyszedł. Sarah wciąż pozostawała na swym posterunku, obserwując pobliski budynek.

\*

Gdy Paryż zaczynał pogrążyć się w mroku, z kliniki wyszedł wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna gdzieś około czterdziestki, z gładko ogoloną, smagłą twarzą oraz białą jak gołąb głową. Skierował się ku oczekującej na niego limuzynie. Zdumienie Sarah nie miało granic. Znała tego człowieka. Nie spuszczała z niego wzroku, gdy pochylił się i z uśmiechem rozmawiał z kimś siedzącym w środku. Ale gdzie go widziała? Na Ranchu...? Tak, tam właśnie o nim czytała i ujrzała jego zdjęcie w jakiejś gazecie albo magazynie.

Elegancki mężczyzna w drogim, skrojonym tradycyjnie, lecz zarazem szykownym garniturze...

To Vincent Vauban - premier Francji.

Przyglądała się, jak wsiadał do długiej, czarnej limuzyny. To zadziwiające: poruszał się i wyglądał jak wysportowany trzydziestolatek, a przecież w rzeczywistości był już po pięćdziesiątce!

Gdy samochód odjechał, zagłębiła się w myślach. Jaki związek mógł mieć premier Francji z Gordonem Taite'em i Hughesem Bremnerem?

Musiała dotrzeć do wnętrza Je Suis Chez Moi.

## 35.

Po lunchu z Bunny Bremner Leslee Pousho udała się wynajętym fordem taurusem do swej chatki w górach Blue Ridge. Uznała, że teraz już nie można było zasypiać sprawy. Musi zacząć pisanie drugiego artykułu z rozpoczętego cyklu, zanim o trzeciej spotka się na drinku z żoną szefa Mustanga.

Gdy jechała wśród sosen i jaworów, po raz kolejny wróciły wspomnienia zdarzeń ubiegłego ranka. To przecież właśnie wczoraj odwoziła Lucasa do Departamentu Stanu. I wczoraj został zamordowany.

Żal ścisnął jej gardło. Nie wierzyła, że kiedykolwiek pogodzi się z myślą, że już nigdy go nie ujrzy.

Skręciła w górską drogę i wjechała między brzozy. Ich stojące blisko siebie białe pnie zdawały się sięgać bezchmurnego, przepięknego nieba. Delikatny wietrzyk łagodnie poruszał lśniąca liście. Gdzieś pośród nich odezwała się sójka, a po chwili zawtórowała jej druga.

Jeszcze kilka dni temu cieszyłaby się z możliwości odpoczynku w tak pięknym miejscu. Teraz musiała zająć się ważniejszymi sprawami. Rozglądała się uważnie w poszukiwaniu ludzi Hughesa Bremnera. Czuła się stosunkowo bezpiecznie, ale instynkt samozachowawczy nakazywał ostrożność.

Jednocześnie obmyślała już następny artykuł o Sarah Walker. Opisz cztery ostatnie dni przed jej ostatecznym załamaniem. Pochłonięta tymi myślami, zauważyła nagle w tylnym lusterku potężne, zielone volvo.

Natychmiast powróciła do teraźniejszości. To mogli być oni...

Volvo zbliżało się szybko. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Byli ubrani jak miejscowi. Wyraźnie widziała ich koszule Pendletona. Ale obaj mieli czarne okulary, jak tamci, którzy zaatakowali Lucasa.

Wdusiła pedał gazu, próbując zwiększyć między nimi odległość.

Ale ogromne volvo wciąż siedziało jej na ogonie.

Zjechali na lewo jeszcze i przyspieszyli, szykując się do wyprzedzenia. Zapewne zamierzali zepchnąć ją na prawo, w niemal pionową przepaść.

Odbiła w lewo, blokując im przejazd. Ścigający nieco zwolnili. Momentalnie cała oblała się potem. Oba wozy pędziły z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę drogą,

na której rozsądek nakazuje nie przekraczać sześćdziesiątki.

Volvo znów zjechało na lewo. Mijane drzewa zlewały się w jeden ciąg. Leslee znów usiłowała blokować, lecz tym razem nie zdążyła. Oba samochody jechały teraz równolegle, lecz to jej wóz znajdował się po niewłaściwej stronie.

Wcisnęła hamulec. Tamci również zwolnili. Spróbowała ich odepchnąć, lecz volvo było zbyt ciężkie. Jego kierowca odpowiedział tym samym, uderzając ją w błotnik. W powietrze poleciały iskry. Rozległ się zgrzyt metalu, który wstrząsnął Leslee aż do szpiku kości. Strach ścisnął ją za gardło.

W oknie pasażera volvo opuściła się szyba.

- Zjedź! - mężczyzna oparł lufę pistoletu o jej brzег. - Natychmiast!

Przyspieszyła gwałtownie. Ale tamci nie pozostali daleko w tyle. Kula przebiła tylne drzwi jej forda.

Wciskając aż do podłogi pedał gazu, ujrzała szansę ratunku: przed sobą, u stóp wzniesienia, na którego szczycie właśnie się znajdowali, był szeroki występ - mijanka dla ciężarówek.

Zjechawszy w dół, na początku poszerzonego pobocza gwałtownie zahamowała, aż wozem zarzuciło.

Kierowca volvo zareagował błyskawicznie, lecz prędkość i masa auta sprawiły, że znalazł się znacznie z przodu.

Leslee uzyskała pewną swobodę manewru. Korzystając z poszerzenia drogi, zakreśliła nie zdejmując nogi z gazu i pomknęła w przeciwną stronę. Nagle znów rozległy się strzały.

Zaczęło rzucać nią na boki. Kierownica wysuwała się z dłoni, jakby była wysmarowana tłuszczem. Nie panowała nad samochodem. Cholera jasna! Przestrzelili opony!

\*

Leslee Pousho drżała z bólu. Miała tak opuchnięte powieki, że prawie nic nie widziała. Leżała z rękoma i nogami przywiązanymi do żelaznego łóżka w wynajmowanym przez siebie domku, podczas gdy obaj mężczyźni demolowali go metodycznie w poszukiwaniu dokumentów Lucasa. A była już tak blisko pomszczenia jego śmierci...

Po policzku spłynęła jej łza. Myślami wróciła do uszkodzonego wozu i brzeziny, w której usiłowała się ukryć. Cienkie pnie nie zapewniały wystarczającej osłony, więc musiała biec. Pokonało ją piętnaście lat palenia. Zabrakło jej sił, by uciec oprawcom.

Teraz obok stanął wyższy z nich. Na jego dłoniach widać było krew. Jej krew.

- Gdzie to jest?

- Nie... powiem - wyszeptały z trudem sine usta.

Pięść opadła na jej twarz. Jakby z oddali usłyszała własny jęk. Przed oczami zatańczyły czerwone kręgi.

Ten drugi wziął do ręki jej laptopa, zapewne po to, by zabrać go do volvo. W jednej ręce trzymał pudełko dyskieta z kopiami bezpieczeństwa, drugą wskazał frontowe drzwi.

- Idź poszukać na zewnątrz.

Wysoki był wyraźnie rozczarowany. Widocznie dalej chciał ją bić.

Wymyśl coś, przykazała sobie. Wymyśl!

Wysoki po pewnym czasie pojawił się w drzwiach z teczką, którą ukryła w płytkiej piwniczce pod domkiem. Wyspał kopie na kuchenny stół.

- Bierzemy ją do forda...

- To musi wyglądać na wypadek.

- Przecież w górach jest tyle niebezpiecznych zakrętów...

Ten niższy przytaknął.

- W porządku - mruknął.

Podeszli do niej.

Z ogromnym wysiłkiem wychrypiała:

- To... nie jedyne kopie... Zabijcie mnie... ale nic wam to nie da. Świat dowie się, co Bremner zrobił Sarah Walker...

\*

O piętnastej trzydzieści Bunny Bremner zamówiła podwójne capuccino. Siedziała w kawiarni przy stoliku, przy którym wspólnie z Marilyn Michaels jadły lunch. Obserwowała drzwi w nadziei, że ta ładna blondyneczka zaraz się pojawi.

Kelner twierdził, że dziewczyna nie zostawiła dla niej żadnej wiadomości, co wydawało się dziwne, ponieważ robiła wrażenie solidnej i dotrzymującej słowa.

Bunny polubiła pannę Michaels i miała ochotę ponownie się z nią spotkać. Wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy miała ochotę na cokolwiek oprócz dużego drinka.

\*

W leśnym domku strumień lodowato zimnej wody zalał twarz Leslee. Krztusząc się i kaszląc, otumaniona bólem, z trudem odzyskiwała przytomność.

Leżała w czymś ciepłym i lepkiem. Cały materac był mokry. Wokół unosił się trudny do zniesienia smród. Aż palił jej nos i oczy. Przypominał odór wymiocin. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że rzeczywiście w nich leży.

- Chyba znowu udaje nieprzytomną.

Nie otwierała oczu i modliła się w duchu, by uznali, że wciąż pozostaje w omdleniu.

W jakiś dziwny sposób wciąż była w stanie myśleć logicznie, choć nad ciałem dawno już straciła kontrolę. Lucas na pewno byłby z niej dumny.

- Gdzie ukryłaś kopie?

- Powiesz, to pozwolę ci spać.

Jej myśli powędrowały ku Lucasowi. Kiedy ujrzała, jak umiera, przysięgła sobie, że wszystko już znieśie.

- Gdzie są kopie?!

Pięść trafiła ją w żołądek z taką siłą, że w środku coś pękło.

- Mów!

Następny cios był jeszcze mocniejszy. Ból przeszył jej pierś i głowę, lecz zanim stał się nie do wytrzymania, zapadła w ciemności. I znów nic nie czuła.

\*

Ledwie Hughes Bremner wrócił do biura w Langley, zatelefonował Sid Williams. Kilka godzin wcześniej dotarł wreszcie do właściciela, który podał mu dokładne miejsce pobytu Leslee Pousho.

- Gdzie jesteś? - zapytał Bremner. - Zlikwidowana?

- Jestem na werandzie domku Pousho. Wygląda na to, że mamy wszystkie papiery Lucasa.

- Zlikwidowana? - powtórzył.

Sid Williams odchrząknął.

- Jeszcze nie, sir.

- Dlaczego? Macie przecież dokumenty. Powiedziałem...

- Szeffie, ona twierdzi, że zrobiła jeszcze inne kopie i rozesłała ludziom.

Pieprzeni Lucas Maynard i ta Leslee Pousho! To podstęp stary jak świat, ale Bremner nie mógł ryzykować.

- Wyciągnij od niej wszystko co wie. Natychmiast!

- Rozumiem, ale jest już w nie najlepszym stanie.

Wiedział w czym rzecz. Williams chciał zasugerować, że dziewczyna może umrzeć, a wtedy nic już z niej nie wyciągną.

- Daj jej kilka godzin oddechu, a później nakłoń, żeby mówiła. Sid, postaraj się.

Chwilę później natarczywie odezwał się brzęczyk. Dzwoniła sekretarka. Wyraźnie zdenerwowana poinformowała:

- Właśnie odezwano się z Białego Domu, sir. Prezydent natychmiast chce pana widzieć. Będzie też pani Debo.

- Mówili, o co chodzi?

- Nie, sir. Pytałam, ale albo nie wiedzą, albo nie chcą powiedzieć.

Hughes Bremner był starym wygą. Nauczył się walczyć z problemami nie przejmując się nimi zbyt. Nigdy jednak nie wzywano go tak nagle do siedziby prezydenta. Odruchowo zrobił rachunek sumienia: dziesiątki milionów dolarów, które wraz z członkami rady nadzorczej wyciągnął z kont BCCI, Sterling-O'Keefe... MASKARADA... Sarah Walker... Lucas Maynard... Leslee Pousho... i wreszcie GRANDEUR. Był tak blisko zrealizowania wszystkich zamierzeń, stworzenia sobie takiego życia, o jakim zawsze marzył, że uwierzył już, iż nic nie może pokrzyżować tych planów.

Powstrzymał potok myśli. Jeśli prezydent lub Arlene Debo dysponowali dowodami, dlaczego nie przysłali kogoś, by go aresztował? Nie wzywiliby go tak po prostu na spotkanie w Białym Domu.

Prezydent Stanów Zjednoczonych i dyrektorka Centralnej Agencji Wywiadowczej oczekiwali Hughesa Bremnera w biurze głowy państwa. Prezydent siedział za dziewiętnastowiecznym stołem służącym mu za biurko, a Arlene Debo stała obok, przyglądając się tytułom książek na półkach biblioteki. Kiedy Bremner wszedł, odwróciła się w jego stronę.

Nie uśmiechnęła się na jego widok. Prezydent także miał poważną minę.

- Proszę siadać, panie Bremner.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Tapety na ścianach były purpurowe i wyraźnie imitowały skórę. Antyki z magazynu Białego Domu zdobiły pomieszczenie przypominające raczej bibliotekę niż gabinet.

Powitanie było bardzo oficjalne. To zły znak. Prezydent zaczął wyraźnie rozdrażnionym tonem:

- Mój rzecznik prasowy godzinę temu rozmawiał z Judith Zimmer. Zna ją pan?

- Wiem, kim jest. To naczelna redaktorka „Washington Independent”. - Bremner poczuł nagły ciężar, jakby serca i żołądek zamieniły się w kamienie. To właśnie dla tej gazety pracowała Leslee Pousho.

- Ona wie o przejęciu Mięsożercy - głos prezydenta był przesycony wściekłością. - Chce usłyszeć ode mnie, dlaczego przyjmujemy tego ociekającego krwią przestępcę, a jutro zamierza opublikować zdobyte informacje. Chodzi o pierwszy artykuł z cyklu ujawniającego poważne nadużycia w jednej z rządowych agencji.

- Której? - Bicie serca szefa Mustanga niemal ustało.

- Nie ujawniła tego. Dlatego na razie nie możemy zająć się szczegółami. - Posłał

Bremnerowi pełne wściekłości spojrzenie i ciągnął cedząc każde słowo. - Teraz najważniejsze, żeby nikt nie dowiedział się o Mięsożercy. Nikt. Wezwałem tu pana, by wydać rozkaz odwołania naszej oferty dotyczącej udzielenia mu schronienia. Będzie musiał szukać azylu gdzie indziej. Zamierzam oficjalnie zaprzeczyć, że kiedykolwiek prowadziliśmy z nim jakieś rozmowy, a pan ma dopilnować, by rzeczywiście nie miał już z nami nic wspólnego.

- Sir...

- Proszę nie oponować. - Prezydent uniósł rękę. - Moja administracja winna przestrzegać określonych zasad etycznych. Musimy dbać o nasz naród. I tak przez ten artykuł w „Independent” możemy mieć nie lada kłopoty.

- Wie pan, jakiego rodzaju informacje będzie zawierał ten cykl, panie prezydencie? - Twarz Arlene Debo wyraźnie pobladła.

- Panna Zimmer także kieruje się zasadami etyki, dla odmiany dziennikarskiej. Odmawia wcześniejszego udostępnienia tych materiałów. Będziemy musieli poczekać do jutra, jak reszta czytelników.

- Panie prezydencie, muszę pana przed czymś ostrzec. - Hughes Bremner splótł ręce na piersi. - W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Mięsożerca wykonywał mokrą robotę dla Stanów Zjednoczonych. Mogą z tego wyniknąć poważne kłopoty, szczególnie gdyby inny kraj ujawnił opinii publicznej zdobyte od niego informacje. Byłoby dla nas bardzo... wskazane zachować to tylko dla siebie, a ponadto dowiedzieć się, jakie zadania powierzały Mięsożercy inne państwa i pozostali mocodawcy.

- Pozostaje jeszcze sprawa Beni-Domo, sir - włączyła się Arlene Debo. - Dzięki Mięsożercy wiemy, że poważny kandydat na stanowisko premiera Japonii to morderca. Właśnie on zatrudnił naszego zabójcę do wyeliminowania założyciela Beni-Domo. A to nie jedyna informacja zdobyta dzięki Mięsożercy. Każda okazywała się niezwykle cenna.

Prezydent w zadumie zmarszczył brwi. Wreszcie przecząco pokręcił głową.

- Nie, nigdy nie powinienem dać się namówić na przejęcie go. Nasz naród czasem godził się na zasługujące na potępienie działania, ale to już przeszłość. Teraz musimy skoncentrować wszelkie wysiłki, aby tworzyć lepszy świat. Nie życzę już sobie dalszych rozmów na ten temat. Poinformuje pan Mięsożercę, że Stany Zjednoczone nie życzą sobie mieć z nim cokolwiek wspólnego, panie Bremner. Arlene, ty dodatkowo dopilnujesz, by udał się gdzie indziej ze swoimi brudnymi propozycjami. Dziękuję, to wszystko.



## 36.

W swym skromnym biurze w Langley Hughes Bremner odszukał w najdalszym kącie biurka butelkę Jacka Daniela. Rzadko w ogóle pił, a już zupełnie wyjątkowo tutaj.

To popołudnie było jednak takim wyjątkiem.

Napełnił szklaneczkę, jednym haustem wychylił połowę i zabrał się do telefonowania. Najpierw zadzwonił do członków rady nadzorczej: Tade'a Gormana, Erniego Pinkertona oraz Adama Risleya. Każdemu przekazał złą nowinę o decyzji prezydenta. Teraz musieli zewrzeć szeregi i do następnego wieczora zablokować wszelkie działania Arlene Debo. Po upływie tego czasu Mięsożerca będzie już martwy, a więc stanie się zadość woli prezydenta, choć może niedokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Mięsożerca nie znajdzie schronienia nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i gdziekolwiek indziej.

\*

W zaciszu swej rezydencji Bunny Bremner naląła sobie pierwszą tego dnia szkocką z wodą. Proces dobiegł końca, więc należało to uczcić. Musiała także przyznać, że czuje się mocno zawiedziona. Miała ochotę na dalszą pogawędkę z Marylin Michaels. Niestety nie wiedziała właściwie nic o tej dziewczynie. Nawet tego, dla jakiej gazety pracuje. Ale w końcu zawsze mogła zapytać o to Hughesa. On przecież miał ludzi, którzy bez trudu dowiedzą się czegoś równie prostego.

Zadzwoniła do biura męża, lecz nie zastała go. Sekretarka powiedziała, że jest w drodze do domu po bagaże, ponieważ znów wybiera się w zagraniczną podróż. Bunny z żalem popatrzyła na szklaneczkę, lecz uznała, że lepiej nie pić, zanim nie porozmawiają.

\*

Jak tego oczekiwał, walizki stały już przy frontowych drzwiach. Wcześniej zadzwonił do głównego lokaja, by ten go spakował. Bremner leciał do Paryża. Arlene Debo powiedział, że udaje się tam, ot tak, na wszelki wypadek, by dopilnować odwołania operacji przejęcia Mięsożercy i zapobiec ewentualnym przeciekom.

Dzięki Bogu Lucas nie wiedział nic o GRANDEUR ani o Je Suis Chez Moi.

Stanąwszy w drzwiach rezydencji zobaczył Bunny pochyloną nad swoim drinkiem, jakby chciała wpaść do środka i utopić się w nim. Była starą pijaczką, nafaszerowaną pretensjami i nędznymi resztkami niegdysiejszej dumy. W innych okolicznościach byłby

gotów poświęcić nieco czasu na dokładne przyjrzenie się jej, jak czynią to koneserzy sztuki w odwiedzanym muzeum.

- Wyjeżdżam - oświadczył. - Ach przestań, nie płacz. Wiem, że będziesz za mną bardzo tęsknić - zadrwił.

Podniosła wzrok.

- Dokąd jedziesz?

- Do Paryża. Miasta światła i miłości. Chyba jeszcze pamiętasz, co to takiego miłość. Na pewno, Bunny. Przecież wciąż kochasz swoje pieniądze.

Kiedyś miała przepiękne oczy koloru niezapominajek, ale im dłużej piła, tym bardziej bladły, aż stały się wodniste, niemal bezbarwne. Zamrugła powiekami. Jej dłonie drżały nerwowo.

Przeszła do pokoju i postawiła szklaneczkę na stole.

- Wiem, że nigdy już nie wrócisz - powiedziała pełnym bólu szeptem. - Jestem pewna, iż tak będzie. Jedziesz tam na spotkanie z przyjaciółmi. Z jakąś kobietą! Opuszczasz mnie.

Po części miała rację. Wprawdzie nie było żadnej kobiety, ale rzeczywiście nie zamierzał wrócić. Skłamał jednak bez zmruczenia oka:

- Nie licz na to, że będziesz miała aż tak dużo szczęścia, Bunny.

- Chciałam, żeby mianowali cię dyrektorem Agencji - ciągnęła ze smutkiem. - Trzy lata temu, jeszcze za czasów poprzedniej administracji. Próbowałam. Naprawdę, Hughes. Spotkałam się z wiceprezydentem, a on rozmawiał z samym prezydentem. - Opadła na fotel. - Nie martw się, Hughes. Proszę. Jesteś dobry. Powinieneś być szefem Centralnej Agencji...

- Ty idiotko! Ty stara suko! Przecież w ogóle mnie nie znasz. Odmówiłem wtedy. Zależało mi, żeby wszystko zostało po staremu!

Ruszył ku drzwiom, za którymi czekała na niego limuzyna. Nie zależało mu już na awansach, odznaczeniach wręczanych w foyer Langley, wizytach u prezydenta. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, był rozgłos.

Potrzebował tylko śmierci Mięsożercy. Gdy to się uda, powodzenie GRANDEUR było już zapewnione!

Odjechał, nie oglądając się ani razu na dom, którego właścicielem pragnął stać się od niemal czterdziestu lat.

\*

Bunny Bremner przez chwilę miała chęć za nim pobiec. Przeprosiłaby, ale przecież to jeszcze bardziej by go rozzłościło. Popatrzyła na drinka. Odniosła wrażenie, iż Hughes był rozczarowany, że nie wypila nawet łyżeczka. Zastanowiła się, dlaczego czerpał taką

przyjemność z ciągłego udowadniania jej, jaka jest słaba i głupia.

Zniecierpliwiona, wstała wreszcie niepewnie, lecz nie na skutek wypitego wczoraj alkoholu, lecz raczej obawy, że może utracić męża. Wezwała lokaja. Polubiła Marylin Michaels. Marylin była dla niej miła. Marylin postawiła jej lunch i słuchała z zainteresowaniem. A nawet z widocznym szacunkiem. Bunny poleciła, aby podstawiono mercedesa.

Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z dziewczyną w sklepie w miasteczku. Marylin wspomniała jej później, że wysyłała faks. Obsługujący ją Buddy należał do ludzi, którzy zapewne pamiętali takie wydarzenia. Warto więc było spróbować. Nie miała co liczyć na pomoc Hughesa. Sama musiała odszukać Marylin.

\*

Dwie godziny później Bunny Bremner wyszła z Carr's Real Estate Sales and Rentals. Wiele działała przez ten czas. Od Buddy'ego ze sklepu dowiedziała się, że kobieta, znana jej jako Marylin Michaels, przesłała dwa fakсы do „Washington Independent”. Podpisała je nazwiskiem Leslee Pousho.

Później Bunny obeszła wszystkie miejscowe agencje obrotu nieruchomościami. Wreszcie odwiedziła i agencję Carr. Zastała tam Jimmy'ego Carra. Molestowała go tak długo, aż przyznał, że wynajął domek pannie Pousho. Wyciągnęła od niego także wiadomość, gdzie należy jej szukać.

Była z siebie bardzo zadowolona. Zaszła do kawiarni, w której jadła z Marylin lunch. Zmusiła się nawet do zjedzenia rogalą z nadzieniem z grzybów. Tęsknie popatrzyła na stojące rzędem butelki z trunkami, lecz coś podpowiadało jej, by powstrzymać wzbierającą w niej chęć napicia się.

\*

W przepięknych, malowniczych górach Wirginii Leslee Pousho przeżywała piekło. Kolory zlewały się jej przed oczami w następujące po sobie eksplozje błysków przeplatanych ciemnością. Światło i dźwięki niosły ze sobą ból. Usiłowała myśleć o Lucasie. Przywoływała jego obraz i starała się zachować go przed oczami, jakby to mogło przynieść ulgę i ocalić życie.

Czasami słyszała własny płacz. Czasami krzyk.

W przeblasku świadomości zdała sobie sprawę, że już od pewnego czasu jej nie bili. Od jak dawna, tego nie wiedziała. Ale kiedy uchyliła powieki, dojrzała długie cienie. Musiało więc być późne popołudnie. Z lasu docierał śpiew ptaków. Domyślała się, że kolejny, przepiękny dzień zbliża się ku końcowi.

Ludzie Bremnera siedzieli przy niewielkim stole i popijali kawę. Czowała jej zapach. Znow przeszyła ją fala bólu. Marzyła o kubku także dla siebie.

I pomyśleć, że kilka dni temu jej jedynym zmartwieniem był kochanek pracujący dla CIA.

Zamknęła oczy i zapadła w niespokojny sen.

Z głośnym hukiem upadła, głową uderzając o podłogę. Ból przeszył jej ciało, podrażniając setkę obolałych miejsc.

Ktoś chwycił ją za stopę i pociągnął ku frontowym drzwiom. Drzazgi z nie oheblowanej podłogi raniły jej brzuch i piersi. Wreszcie znalazła się na werandzie. Z trudem chwyciła powietrze. Ciało piekło jakby żywym ogniem. Przewrócili ją na plecy i obleli lodowato zimną wodą. Krztusiła się i kaszłała.

Jeszcze więcej wody. Miała jej pełno w nozdrzach i gardle. Nie mogła oddychać! Dusila się. Znow przekręcili ją na brzuch i zaczęli zdzierać ubranie.

I nagle ją puścili. Uniosła opuchnięte powieki. Nadjeżdżał jakiś samochód. Słyszała szum potężnego silnika. Niewielki, sportowy wóz. Czerwony. Jeden z mężczyzn pospiesznie wciągał ją do środka, drugi zaś ruszył ku osobie, która wysiadała z auta.

\*

Będąc już na podjeździe, Bunny Bremner zauważyła coś jasnego i zapewne ciężkiego wciąganego do skromnego, niewielkiego domku. Zapadający zmrok i odległość nie pozwoliły jej dokładnie się przyjrzeć, co to było, lecz gdy wysiadła ze swego mercedesa, ujrzała zaparkowanego dalej forda taurusa Marylin Michaels, a może Leslee Pousho. Częściowo zasłaniało go ciemnozielone volvo.

Z trudem zaczęła wspinać się w swych szpilekach po stromym podjeździe. Przyciskała torebkę do piersi, by móc patrzeć pod nogi. Powinna była włożyć sportowe obuwie, ale przecież zupełnie nie pasowałyby do jej nowej sukienki w kolorze lawendy.

Na spotkanie wyszedł mężczyzna średniego wzrostu z obsypanymi siwizną włosami, pospolitą twarzą, kilkudniowym zarostem i dziwną pustką w oczach.

- Przyjechałam do Marylin - rzekła na powitanie.

- Do kogo? - Wyglądał na zaskoczonego. Zatrzymał się metr przed nią, blokując drogę do domku.

- Marylin Michaels. - Minęła go i szła dalej. - Może znać ją pan jako Leslee Pousho.

- Proszę zaczekać! - Zdecydowanie przytrzymał ją za ramię. - Nie ma tu nikogo o takim nazwisku. To teren prywatny. Lepiej niech się pani stąd zabiera, zanim wezwę policję.

Zmierzyła go wzrokiem. Stojąc blisko, czuła dość intensywny zapach jego potu.

Zauważyła, że spodnie i koszulę ma wymięte, jakby w nich spał.

- Młody człowieku - rzuciła. - Tak się składa, że wiem, iż tamten samochód należy do Leslee Pousho. I to właśnie ten domek wynajęła u Jimmy'ego Carra. Byłam z nią umówiona na kawę, lecz nie przyszła na spotkanie. Chciałabym więc z nią ustalić inny termin.

- Chciała pani napić się z nią kawy? - zapytał mężczyzna zaskoczony.

Czyżby miał jakieś problemy ze słuchem? Powtórzyła więc, z czym przyszła. Gdy wybuchnął śmiechem, wreszcie zrozumiała. Sytuacja wydała mu się po prostu absurdalna. Ale to on wyglądał idiotycznie w wymiętym ubraniu, nieogolony i nieprzyjemnie pachnący.

- Proszę mnie puścić! - warknęła i próbowała się uwolnić.

Pociągnął ją zdecydowanie w stronę mercedesa.

- Proszę wracać do domu. Pomyliła pani adres. Nie ma tu osoby, z którą chce się pani widzieć.

- Nonsens. - Trzasnęła mężczyznę torebką w twarz i znów ruszyła naprzód.

- Marylin! - zawołała. - Marylin! To ja, Bunny.

Nagle coś twardego uderzyło ją w kark. Kątem oka zauważyła ze zdziwieniem, że to kolba pistoletu! Ten odrażający facet śmiał ją uderzyć! Zanim zdążyła zaprotestować, brutalnie wykręcił jej ramię.

Zatoczyła się do przodu. Zdołała jednak utrzymać równowagę i pomimo bólu wyprostowała się.

- Jak śmiesz, łobuzie! - krzyknęła. - Wiesz, kim jestem?

- Skarbie, dla mnie możesz być nawet dobrą wróżką.

Jego złośliwy uśmiech sprawił, że aż zadrżała. Nie doceniła zarówno jego, jak i całej sytuacji, jaką tu zastała. Marylin musiała znajdować się w śmiertelnych opałach. I nagle dotarła do niej cała prawda: także i jej życie mogło tu być zagrożone.

## 37.

Zapadł zmrok i uciążliwy upał na szczęście zelżał, a z powietrza ulotniła się gdzieś tak męcząca duchota. Sarah stała w głębokim cieniu potężnego klasycystycznego budynku Je Suis Chez Moi, niewidoczna z jasno oświetlonej Café Justine. Choć ukryta w ciemności, nie mogła pozbyć się obaw i niepewności.

Poprawiając paski plecaka poczuła ciężar znajdującej się w środku beretty i pomyślała o młodym blondynie, którego zabiła w Denver. Czyżby oszalała? Niewykluczone, że teraz znów będzie musiała kogoś zabić, a może nawet i sama zginie. Zapragnęła uciec przed własną przeszłością i przyszłością. Opuścić Paryż i, korzystając z pomocy europejskich przyjaciół, odzyskać dawną twarz i zaszyć się gdzieś, dopóki cała ta sprawa z Mięsożercą nie dobiegnie końca. Blount McCaw na pewno jej pomoże. Miała przecież wielu innych wypróbowanych przyjaciół, na których mogła liczyć.

Kropla potu spłynęła jej po twarzy. Doprawdy, nie miała nic wspólnego z tym mordercą. On, Hughes Bremner i Gordon Taite powinni zostać powstrzymani przez zawodowców.

Przecież, na miłość boską, była zupełnie postronną osobą, która, niepytana o zdanie i kompletnie nieświadoma swej roli, została wmieszana w całą sprawę. Jakże różniła się od ludzi pokroju Ashera Floresa czy Gordona Taite'a...

W porównaniu z nimi nic właściwie nie umiała.

Powinna była skontaktować się z Asherem, opowiedzieć o Je Suis Chez Moi i, polegając na jego profesjonalizmie, pozwolić mu działać.

Przyjrzała się uważnie robiącej przytłaczające wrażenie kamiennej budowli, która przypominała fortecę. Była chyba szalona, myśląc o dostaniu się do jej wnętrza.

A jednak... Czyżby naprawdę całe życie miało być nie kończącym się pasmem odwrotów - jej, czyli Sarah Walker, a nie Liz Sansborough?

Dwa lata temu porzuciła ostatniego kochanka. Mieszkali wspólnie tylko parę miesięcy, ale i tak miała już tego dość. Jej życie z mężczyznami ograniczało się do miodowych miesięcy. Żaden związek nie wyszedł poza ten etap i stopniowo zaczynała wierzyć, że każdy musi kończyć się zerwaniem coraz bardziej ciężących jej więzów. Małżeństwo rodziców stanowiło dla niej niezgłębioną tajemnicę. Jak oni to robili, że potrafili

tak długo wytrwać w miłości? Intrygowało ją to, a jednocześnie przerażało.

Zostawiła tego mężczyznę, tak jak wszystkich poprzednich. A gdy szła już do drzwi, ten człowiek - teraz już wróg, który jeszcze tak niedawno był jej najbliższym przyjacielem i kochankiem - obrzucił ją przekleństwami i pretensjami:

- Prawdziwą wolnością jest poświęcenie się dla kogoś lub czegoś! - krzyczał. - Czemukolwiek! To tobie brakuje chęci ustabilizowania swego życia, a nie mnie. Dopóki nie stać cię na prawdziwy związek, jesteś nikim!

Czuła się, jakby ta scena rozegrała się zaledwie przed chwilą. Znowu powróciły wątpliwości oraz obawa, że to może być prawdą. Czasami chyba lepiej nie pamiętać przeszłości...

W tym momencie ujrzała potężnego, czarnego cadillaca skręcającego na podjazd kliniki. Jeszcze bardziej skuliła się w cieniu. Wóz nie stanął przy bocznym wejściu, lecz wjechał na tyły budynku, gdzie skryły go ciemności nocy.

Nagle poczuła się kompletnie bezsilna. Wszystko wokół niej, całe życie, przewróciło się do góry nogami. W pewnym sensie umarła. Zgwałcili jej umysł. Skradli osobowość. A nie można popełnić przestępstwa gorszego niż zniszczenie ludzkiej osobowości. Nie wiedząc kim się jest, stawało się bowiem martwym. Nigdy już nie będzie tą Sarah, którą była niegdyś. Rozmyślając nad swym przeznaczeniem nagle uświadomiła sobie, że już nie chce być tamtą kobietą, która zrywała wszelkie związki, zanim te na dobre się umocniły. Która wołała prowadzić wywiady, by przekonać samą siebie, że jest w stanie kierować własnym losem i panować nad sytuacją. Dziennikarką od podglądania życia gwiazd, której zadaniem było nadawanie plotkom charakteru informacji. Która była jedynie obserwatorką, bo zawsze brakowało jej sił, by wpływać na bieg wydarzeń...

Pod wpływem impulsu, jakby zastrzyku nowych sił, wyjęła z plecaka berettę i wsunęła do kieszeni spodni fiolkę delirium. Przycisnęła do ściany kliniki, by nikt nie mógł dojrzeć jej z okien na górze, zaczęła przekradać się na tyły budynku. Mur skręcał w lewo i wkrótce jej oczom znowu ukazał się cadillac. Stał przed dwuskrzydłową bramą, przodem do niej, z wyłączonymi światłami, lecz z pracującym na wolnych obrotach silnikiem i otwartym bagażnikiem.

Masywne odrzwia do budynku były uchylone, sączyło się przez nie żółte światło pozwalające dostrzec kwietniki, krzaki i drzewa, a dalej rząd zaparkowanych samochodów.

W zasięgu wzroku nie było widać nikogo. Sarah dopadła cadillaca i przykucnęła w jego cieniu. Nasłuchiwała, lecz docierał do niej tylko szum pracującego silnika. Wyrzała ponad maską i nie stwierdziwszy żadnego ruchu obeszła wóz, by zajrzeć do bagażnika.

Nagle żołądek podjechał jej do gardła. Z trudem przełknęła ślinę i zmusiła się, by dłużej popatrzeć na zwłoki... *Ujrzała głowę blondyna rozrywającą się w krwawym świetle... Poczula siłę odrzutu spowodowaną strzałem... Ból... Przerazająca potęga... władzy nad czyimś życiem...*

Zebrała siły i wzdrygnąwszy się odpędziła przerażające wizje. Liz Sansborough nie miałaby podobnych problemów. Nie traciłaby czasu na rozpamiętywanie tego, co się już zdarzyło, ponieważ mogło to spowodować kolejne zagrożenie.

Ale Sarah Walker nie potrafiła w stu procentach panować nad swymi emocjami.

Odetchnęła z trudem i już spokojniejsza przyglądała się zakrwawionym zwłokom leżącym w kufrze. To była młoda kobieta - brunetka z zaczesanymi do tyłu włosami i miłym wyrazem twarzy. Leżała na płachcie czarnego plastiku. Rubinowa krew i rozerwane tkanki utworzyły potężny skrzep pośrodku jej białej koszulki. Musiała tu pracować, bo miała na sobie jednolity uniform, a na piersiach przypiętą plakietkę z nazwiskiem.

Bez wątpienia była martwa, ale mimo to Sarah dotknęła palcami miejsca, gdzie przebiegała tętnica szyjna. Nigdy nie nauczy się łatwo akceptować śmierci.

Nie wyczuła pulsu ani żadnych oznak życia.

Ogarnęła ją dzika, ślepa furia. Co działo się na tym świecie? Jak mogło dochodzić do podobnych morderstw? Nie miała wątpiwości, że i ta śmierć ma związek z działaniami Bremnera, Gordona oraz całej reszty funkcjonującej pod skrzydłami Langley. A teraz wszystko wskazywało na to, że w sprawę wmieszany jest także sam premier Francji! Krew szumiała jej w uszach, a serce waliło jak młot...

Usłyszała głosy! Dochodziły z budynku i wyraźnie się zbliżały. Pospiesznie odpięła tabliczkę z imieniem zabitej i ukryła się w gęstej ciemności między dwoma stojącymi nieco dalej samochodami.

Po kilku sekundach z bramy wyłonili się dwaj mężczyźni w jasnych, chyba nawet białych strojach, niosący zakrwawione ciało drobnego, szczupłego mężczyzny. Wrzucili je do bagażnika obok ciała kobiety, uważając, by oba leżały na plastikowym podkładzie, po czym zatrzasnęli pokrywę.

Gdy tylko znów zniknęli w budynku, Sarah wytarła plakietkę identyfikacyjną z krwi i przechyliła ją w stronę światła. Bez trudu odczytała: Chantelle Joyeaux - masażystka. Nigdy o niej nie słyszała. Ze smutkiem pokręciła głową.

Oba osiłki wkrótce znów się pojawiły, tym razem w panterkach i w towarzystwie kierowcy w służbowym uniformie. Wszyscy trzej wsiedli do potężnego cadillaca i szybko odjechali.



Drzwi pozostały na wpół otwarte, a padające przez nie światło przyciągało coraz więcej latających bezładnie ciem. Umysł Sarah pracował jak dobrze naoliwiony mechanizm. Była przekonana, że odpowiedzi na nurtujące ją pytania znajdzie właśnie tam, w środku.

Uważając, by wciąż pozostawać w cieniu, zaczęła przekradać się między krzakami i drzewami ku wejściu. I nagle, zupełnie niespodziewanie załała ją fala ostrego światła. Przykucnęła odruchowo. Wokół stało się jasno jak w dzień. Jak spod ziemi na podjeździe pojawiła się furgonetka z otwartymi drzwiami. Zanim zdążyła unieść pistolet, wyskoczyło z niej sześć uzbrojonych postaci w czarnych strojach. Dwie kolejne pojawiły się w drzwiach. Nie upłynęła sekunda, a już w jej serce i głowę wymierzone były wszystkie lufy.

Ktoś wyrwał jej z rąk berettę i pociągnął gwałtownie do wnętrza budynku. W półmroku korytarza została przekazana czterem dobrze zbudowanym mężczyznom w białych kitlach. Grupa ubrana na czarno zniknęła, a rześiste światła zgasły. Podjazd znowu objęła w posiadanie cicha i ciemna noc, jakby nic się nie wydarzyło. Drzwi zatrzasnęły się z głośnym hukiem i szcękaniem przesuwanych zamków.

Usłyszała czyjeś kroki i odwróciła się. W korytarzu pojawił się wysoki, chudy mężczyzna. Spojrzała prosto w oczy doktora Allana Levine'a.

- O, Liz! Witam w Je Suis Chez Moi.

Nie była w stanie się ruszyć. Nawet głos zdawał jej się jakiś obcy, gdy wyszeptala:

- Sarah. Nazywam się Sarah Walker.

- Co takiego? - mruknął w zadumie Levine. - A więc już wiesz. Cóż, musimy znaleźć na to jakieś lekarstwo, nie sądzisz?

Nigdy jeszcze tak się nie bała.

## 38.

Tysiące gwiazd migotało nad Paryżem. Prezes Banku Francji - Henri le Petit - stał w ogrodzie wspaniałego Hotel Matignon przy rue de Varenne 57 i podziwiał, jak wschodzący księżyc obejmuje swym żółtawym blaskiem kamienne ściany gmachu. Budynek stanowił oficjalną rezydencję i miejsce pracy premiera Francji. W zamyśleniu pokiwał głową i odwrócił się w stronę blisko dwudziestu wysokich dygnitarzy i przedstawicieli elity gospodarczej, którzy zebrali się tu na specjalnej, prywatnej uroczystości.

- Gdzie on jest? - zapytał Rene Christian Martin, minister finansów. - Jak długo jeszcze będziemy czekać na naszego gospodarza. Co się z nim stało?

- Vincent miał bardzo pracowity dzień, *mon ami*. Jak wszyscy ma urwanie głowy w związku z przygotowaniami do poniedziałku. Musiał później niż zwykle odwiedzić Je Suis Chez Moi, a potem miał jeszcze umówione spotkanie. Ale obecnie jest już u siebie. Przebiera się. Nasza cierpliwość wkrótce zostanie nagrodzona.

Uśmiechnął się obserwując, jak wyraz troski malujący się na twarzy ministra finansów powoli znika. Rene od pewnego czasu znajdował się w doskonałej formie, zarówno fizycznej, jak i psychicznej.

- Nie ma z nami także Louise Dupuy - zauważył minister.

- *Oui*. Vincent wspomniał, że pojawiła się w klubie tuż przed jego wyjściem. Zapewne nadal tam jest.

Louise Dupuy była najpopularniejszą dziennikarką telewizyjną we Francji. W poniedziałek przez cały dzień będzie relacjonować odważne, nowatorskie działania podjęte przez rząd.

- O, jest Martine! - zauważył Rene i ucałował ozdobioną pierścieniami dłoń Martine Tisa.

Nowo przybyła miała już pewnie z osiemdziesiąt lat, lecz w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy odmłodziła o dobre trzydzieści i teraz wyglądała na zadbaną pięćdziesięciolatkę, z platynowymi włosami kokieteryjnie zaczesanymi za uszami. Ścisnęła energicznie podawane jej dłonie. Należała do niej firma wydawnicza kontrolująca czterdzieści procent rynku prasy codziennej i sześćdziesiąt procent rynku magazynów. Od lat trzymała swoje imperium żelazną ręką.

Obok stał magnat naftowy Jacques Mieux w idealnie skrojonym smokingu, z sylwetki przypominający panterę. Rozmawiał z Rogerem Cluny, który nie skończył jeszcze trzydziestu lat i zapewne dzięki swej energii i wiekowi stał się najlepiej opłacanym i najpopularniejszym konsultantem firm lokujących swe produkty na rynku młodzieżowym. Trzecią osobą w dyskutującej grupie była Claudette Cochiti - legendarna gwiazda filmowa, teraz bez reszty zaangażowana w działalność dobroczynną na rzecz dzieci i zwierząt. Katolicy byli zdania, że pewnego dnia zostanie uznana za świętą.

Henri poczuł się mocno onieśmielony towarzystwem tylu znanych całemu światu osobistości, zgromadzonych na tym przepięknym podwórcu, pod rozgwieżdżonym niebem. Już wkrótce zarówno oni, jak i cała Francja sięgną szczytu i znajdą się obok tych gwiazd.

Spacerował wśród zgromadzonych żartując, śmiejąc się i poklepując znajomych po plecach. To była tak piękna noc, że wszyscy jeszcze silniej odczuwali podniosłość chwili.

Kiedy wreszcie premier ukazał się na progu, witając ich, natychmiast ucichły wszelkie rozmowy. Goście patrzyli na niego, podziwiając elegancję ruchów i gęste, siwe włosy kontrastujące ze zdrową, jakby młodzieńczą opalenizną. Francja znajdowała się u progu swej chwały, a Vincent Vauban triumfalnie poprowadzi ją do nie spotykanych dotychczas sukcesów.

Premier uśmiechnął się swobodnie.

- Przyjaciele. - Rozpostarł ramiona, jakby chciał wszystkich objąć. - Odbiliśmy wspólnie daleką drogę. Kiedyś niektórzy spośród nas byli socjalistami, inni mienili się konserwatystami. Pamiętamy rok 1968, gdy zbuntowani studenci i strajkujący robotnicy próbowali doprowadzić Francję do anarchii. Dzisiaj nasz wspaniały naród znów jest słaby i znajduje się w obliczu poważnego zagrożenia. Ale nie wyrzekniemy się naszej suwerenności na rzecz europejskich technokratów. Nie pozwolimy, aby zrujnowano nasz przemysł i rolnictwo. - Wysoko uniósł głowę, a jego głos rozbrzmiał z taką siłą, jakby chciał być słyszany w najdalszych zakątkach Europy. - Dlatego zjednoczmy swe siły w imię LA GRANDEUR!

\*

Gdy Sarah prowadzono pustymi korytarzami Je Suis Chez Moi, jej mózg był sparaliżowany przez przerażenie i wściekłość. Przerażenie, ponieważ znów trafiła w diabelskie łapy Levine'a, a wściekłość na siebie samą za to, iż w tak dziecinnie prosty sposób dała się złapać. Liz Sansborough nie byłaby tak głupia i nie pozwoliłaby się zaskoczyć. Sarah powinna była najpierw skontaktować się z Floresem. Uświadomiła sobie, jak bardzo chciała go znów ujrzeć, aby podtrzymywał ją na duchu swą dobrocią i optymizmem.

Do cholery, wciąż była bardziej Sarah niż Liz. Choć wrażliwa i słaba musi połączyć cechy Liz ze swoimi, aby poznać prawdę, co z nią zrobiono i dlaczego, a na dodatek ująć z tego z życiem. Chyba żeby już i na to było zbyt późno.

Konwojenci otworzyli jakieś drzwi i wepchnęli ją do środka. Nie tracąc czasu rozejrzała się, by zobaczyć, gdzie jest. Stała pośrodku dużego pomieszczenia wyposażonego w osiemnastowieczne francuskie i orientalne meble oraz całe mnóstwo bibelotów. Gdyby nie bogato zdobione biurko pod wysokim oknem i rząd szafek z polerowanego drewna, pokój można by określić jako elegancki salon. Z prawej, za podwójnymi, uchylonymi teraz drzwiami, znajdowała się jadalnia. A więc było to jakby połączenie mieszkania z biurem.

Doktor skinął dłonią i mężczyzna w bieli trzymający jej pistolet odebrał także plecak. Towarzysząca mu kobieta zaczęła zaś przeszukiwać Sarah. Ta odruchowo chciała zasłonić fiolkę z delirium schowaną w kieszeni, ale na szczęście w porę się opanowała. Tylko serce jej waliło, jakby próbowało wyskoczyć z piersi.

Kobieta wymacała coś w kieszeni dzinsów.

- Wyjmij to - poleciła.

Sarah wyciągnęła tabliczkę z imieniem i nazwiskiem Chantelle Joyeaux. Twarz rezydentki stężała. Podała plakietkę doktorowi.

- Jak to zdobyłaś, Sarah? - zapytał.

Mimo oszołomienia wywołanego strachem szybko doszła do wniosku, że nie warto kłamać. Ze sposobu, w jaki została schwytana, wynikało, że akcja była skrupulatnie zaplanowana. Bez wątplenia przeprowadzili ją ludzie Bremnera z Languedoc.

- Widziałam zwłoki w bagażniku cadillaca.

- Bardzo dobrze. - Levine zwrócił tabliczkę strażnicze, która wsunęła ją do kieszeni. - Dowiodłaś, że warto z tobą porozmawiać. Gdybyś skłamała... - zawiesił głos i tylko wzruszył ramionami, lecz Sarah zrozumiała, co ma na myśli.

- Co zrobiła wam Chantelle Joyeaux, że ją zabiliście? - zapytała starając się odwrócić uwagę przeszukującej ją kobiety.

Ta bez trudu znalazła jednak owiniętą w chusteczkę fiolkę. Krew szumiała w skroniach Sarah. Nie wiedziała dlaczego, lecz przeczuwała, iż szanse wyrwania się Levine'owi uzależnione są od posiadania narkotyku.

- Wyjmij to!

- Podczas lotu miałam problemy z zatokami - skłamała wyjmując zmiętą chusteczkę. Pociągnęła nosem, oczyściła go i wyciągnęła rękę z chusteczką w stronę kobiety.

Ta ani drgnęła, tylko przyglądała się doktorowi.

- Nie ma przy sobie nic więcej, sir - zameldowała.

Sarah znów pociągnęła nosem i rozejrzała się. Obok biurka stał kosz na śmieci. Podeszła do niego, odwracając się plecami od swoich prześladowców.

Zachowywała spokój, udawała, że znów wyciera nos, ukrywając jednocześnie fiolkę w dłoni, po czym chusteczkę wyrzuciła do kosza. Opuściła ręce płynnym ruchem, wsuwając narkotyk do kieszeni dzinsów. Gdy odwracała się, jej uwagę przykuł błyszczący srebrem przedmiot leżący na biurku. Było to pióro Crossa. Identycznym piórem posługiwał się Gordon.

Wróciła na miejsce.

Doktor skinął głową swej obstawie.

- Możecie już wrócić do zwykłych obowiązków.

Tamci zawahali się.

- Sądzę, że jednak powinniśmy z panem zostać - rzekła kobieta.

- Nie obchodzi mnie, co sądzisz. Wyjść!

- Ona jest pełnowartościowym agentem... - zaprotestował mężczyzna. - Bremner nie...

- To ja stworzyłem z niej niby-agentkę, a na Bremnera nie masz co się powoływać.

Tylko ja tu rządzę - warknął Levine. - Wezmę jej broń. Zapewniam was, że umiem się nią posługiwać. - Mężczyzna z ociąganiem oddał mu berettę. - Dobrze, a teraz zostawcie nas samych.

Gdy wyszli, doktor wsunął pistolet do kieszeni swego kitla. Uśmiechnął się do Sarah i rzekł ciepłym tonem:

- Usiądź sobie wygodnie. Po takich przejściach musisz być głodna. Zjemy więc razem kolację i porozmawiamy.

Przez cały czas śledziły ich kamery. Westchnęła w duchu. Liz Sansborough spodziewałaby się tego. Co prawda w „Herald Tribune” nie wiadano jeszcze, że przyjechała wraz z Floresem do Paryża, ale Liz domyśliłaby się, że Bremner zawczasu uprzedził swoich ludzi. Zapewne przynajmniej część personelu klubu była na jego usługach.

- Kim oni byli? - zapytała. - A tamten mężczyzna w panamie? A młoda para trzymająca się bez przerwy za ręce?

Doktor pokręcił głową przybierając smutny wyraz twarzy.

- Nie powinnaś czynić sobie wyrzutów, Sarah. Hughes i jego ludzie to zawodowcy. A ty mimo wszystko jesteś przecież tylko zwykłą dziennikarką.

Rozsiadł się w stojącym na środku pokoju fotelu, zrelaksowany i uśmiechnięty. W jakiś sposób musi podać mu narkotyk, i to jak najszybciej. Mogłaby przemycić go w jedzeniu,

ale Bóg wie jak długo przyjdzie czekać na posiłek. Delirium powinno jak najszybciej znaleźć się w jego organizmie, ponieważ zaczynało działać dopiero po upływie co najmniej czterdziestu minut. Jak znaleźć sposób na podanie go, a co za tym idzie - odzyskanie beretty...

Dyskretnie zlustrowała oba pomieszczenia. W kącie tego, w którym ją umieszczono, znajdował się bogato wyposażony barek, z tkwiącymi w wycięciach kieliszkami. Wysoko na ścianie przymocowano przypominającą ołówek kamerę.

Doktor obserwował ją uważnie.

- Nie zwracaj sobie głowy planowaniem ucieczki - przemówił równie łagodnym tonem. - To nie Rancho. Tu wszystkie drzwi mają zamontowane automatyczne zamki sterowane z centrum kontroli. Szyby w oknach wykonane są z materiału, do którego skruszenia potrzeba by co najmniej armaty. A nasza obsługa jest doskonale wyszkolona. Zna wszystkie rodzaje walki.

Znów uśmiechnął się przyjaźnie. I nagle jakiś głos w jej wnętrzu ostrzegł: on czegoś od ciebie chce. Nie dla Bremnera - dla siebie samego. Właśnie dlatego zachowywał się tak sympatycznie i odesłał swych pomocników. Ale nie zapomniała tego, czego nauczyło ją postępowanie Gordona. Nigdy już nie pozwoli sobie na utratę czujności. Jednego była pewna: gdy komuś na czymś zależy, automatycznie staje się słabszy.

Musiała w jakiś sposób odwrócić uwagę Levine'a.

- Nie powiedział mi pan, dlaczego Chantelle Joyeaux i ten mężczyzna musieli zginąć. Kim byli?

Doktor wyprostował się w fotelu i zmarszczył brwi.

- To ludzie, którzy popełnili błąd. Ale drugi raz im się to już nie zdarzy. - Uśmiech powrócił na jego usta. - Wciąż zadajesz pytania. To bardzo dobrze. - Pochylił się naprzód i nagle jego głos aż zadrżał z emocji. - Powiedz, Sarah, czy pamięć wracała ci powoli, jakby etapami, czy też gwałtownie, od razu?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Ale zdawał się tego nie zauważać. Wciąż trwał w tej samej pozycji, niecierpliwie oczekując odpowiedzi.

- Czy zdarzenia z przeszłości odsłaniały się przed tobą po kolei, czy wszystkie na raz, jakby ktoś rozsunał zasłony? Kiedy uświadomiłaś sobie, co się z tobą dzieje?

Nagle dotarło do niej, jaki jest cel tych wszystkich pytań. Badania naukowe! Dla Hughesa Bremnera i Gordona Taite'a stanowiła tylko część większej operacji wymierzonej przeciw Mięsożercy. Dla Levine'a była jednak przede wszystkim królikiem doświadczalnym, na którym przeprowadził udany eksperyment, więc chciał wyciągnąć od niej to, czego nie mógł dowiedzieć się z żadnego innego źródła - jej doświadczenia. Było więc znacznie lepiej,

niż początkowo sądziła. Nic nie mogło zaabsorbować uwagi naukowca w większym stopniu niż głód wiedzy!

- Dlaczego miałabym powiedzieć panu cokolwiek? Czyżby pozostały mi jeszcze jakieś szanse przeżycia?

- Ależ oczywiście! Kiedy MASKARADA dobiegnie końca, po prostu...

- Do czego jestem potrzebna Hughesowi Bremnerowi?

Doktor pokręcił głową.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie mogę ci tego zdradzić.

- Więc dlaczego ja miałabym dzielić się swoimi przeżyciami?

Jeszcze bardziej pochylił się nad nią.

- Dla nauki, Sarah. W imię wiedzy. Dla ludzkości i jej przyszłych pokoleń. Wznies się na wyżyny. Obiecuję, że skłonię Hughesa do wypuszczenia cię, gdy tylko operacja dobiegnie końca. - Znowu uśmiechnął się do niej ciepło. - A więc, czy pamięć wróciła gwałtownie, czy też odzyskiwałaś ją stopniowo?

Musiała rzucić mu coś na przynętę, by podtrzymać jego zainteresowanie.

- Właściwie trudno to jednoznacznie określić - powiedziała wolno cedząc słowa. - Pierwszą oznaką jej odzyskiwania było pojedyncze słowo. Imię: Hamilton. To... - spojrzała nerwowo na barek w rogu. - Czuję się nie najlepiej. Mogę prosić o drinka?

- Co? - Levine był tak pochłonięty jej opowieścią, że nagła zmiana tematu dotarła do niego z opóźnieniem. - Ależ tak, oczywiście.

Ktoś posiadający tak bogato zaopatrzone barek zapewne sam nie stronił od alkoholu. Jeśli dopisze jej szczęście... Doktor zawahał się, zapewne zamierzając wezwać kogoś z personelu.

- Hamilton - ciągnęła. - To imię pojawiło się w mojej głowie podczas zajęć z szyfrowania. Później...

Zawiesiła głos i jeszcze raz wymownie popatrzyła na barek. Tym razem nie ociągał się już. Wstał i ruszył w jego stronę. Sarah zaś podążyła za nim.

- Chyba nie każe mi pan pić samej?

Levine spojrzał na nią z uśmiechem.

- Oczywiście, że nie.

Staął za ladą i z góry zdjął dwie szklaneczki. Ona zaś zatrzymała się z drugiej strony barku, ustawiając się przynajmniej częściowo poza zasięgiem kamery, i wsunęła dłoń do kieszeni dzinsów. Gdy starała się namacać fiolkę, na jej czoło wystąpił pot. Wreszcie zdołała wsunąć ją między palce.

Ustawił szklaneczki na blacie i sięgnął po szkocką. Gdy napełniał pierwszą, Sarah zapytała swobodnym tonem:

- A może jest burbon?

- Bourbon?

Rozejrzał się niepewnie. Pijał widocznie wyłącznie szkocką. Upłynęła długa chwila, zanim wreszcie odszukał wzrokiem właściwą butelkę.

W tym czasie Sarah, starając się nie wykonywać żadnych widocznych ruchów, odwrócona plecami do kamery obejmującej swym zasięgiem róg pokoju, próbowała zdjąć z fiolki kapturek. Z trudem powstrzymała się od westchnienia ulgi, gdy wreszcie udało się go ściągnąć. Pochyliwszy się nad barem wlała złotawy płyn do whisky doktora, zanim ten zdążył zdjąć z półki butelkę z burbonem. Gdy przygotowywał jej drinka, stała już nieruchomo, a pusta fiolka tkwiła w jej kieszeni. Całe ciało miała jednak zlane potem. Doktor nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Dolał wody do obu szklaneczek i wręczył jej burbona. Idąc za nim w stronę foteli, rękawem ocierała wilgotne od potu czoło.

Założył nogę na nogę i nerwowo nią poruszył.

- Tak, Hamilton. Imię twojego ojca. Co odczuwałaś, gdy po raz pierwszy przyszło ci na myśl?

Miał niewątpliwą przewagę: system bezpieczeństwa, zamknięte pomieszczenie, jakieś diabelskie środki... Tyle tylko, że chciał z niej wydobyć osobiste odczucia. Informacje, których nie mógł wymusić siłą, a które zapewne uznawał za niezwykle ważne.

Łyknał alkoholu.

- Jak długo po zaprzestaniu przyjmowania bloкера pamięci odczułaś...?

- To był bloker pamięci?

- Tak. Te pigułki, które łykałaś codziennie.

- Powiedział mi pan, że to środek antydepresyjny. - Popatrzyła na niego z wściekłością. - A więc to pan wywołał u mnie amnezję!

- Tak. - Uśmiechnął się, odsłaniając drobne zęby. - Mogę opowiedzieć ci o tym osiągnięciu, a także o wielu innych. Chcesz posłuchać?

- Zostałam wybrana zapewne dlatego, że łatwo było mnie upodobnić do Liz Sansborough, ale czy to pańskie środki sprawiły, że wierzyłam, iż nią naprawdę jestem?

Levine przytaknął ruchem głowy. Sarah zauważyła, że jest niezwykle dumny ze swoich sukcesów i pragnie się nimi przed nią pochwalić.

- Powiem wszystko o swoich doznaniach, jeśli pan odpowie na moje pytania - zaproponowała.



- Zgoda. - Uniósł szklaneczkę w geście toastu.

Znów się napili i w tym samym momencie dało się słyszeć pukanie do drzwi. Żołądek Sarah skurczył się do rozmiarów pięści. Czyżby ochroniarze zobaczyli jednak, że dodała mu coś do drinka?

- Proszę! - warknął zniecierpliwiony doktor.

Do pokoju wszedł kelner w szamerowanej złotem białej marynarce i czarnych spodniach, pchając przed sobą zastawiony stolik na kółkach.

- A, kolacja - mruknął Levine wstając. - Dla mnie zwykle tysiąc kalorii. Badania na Ranchu wykazały, że tłuszcz stanowi dwadzieścia jeden procent masy twojego ciała, więc nie powinnaś jeść więcej niż siedemset. Gwarantuję jednak, że będzie ci smakowało. Nasi klienci preferują jedzenie najwyższej jakości. Zapraszam.

Z dobrze ukrywaną satysfakcją patrzyła, jak jednym haustem dopił drinka, wstał i przeszedł do jadalni. Podążyła za nim i usiadła przy niewielkim stole w stylu rokoko. Kelner podał potrawkę z kurczaka z warzywami. Na talerzu doktora znalazło się niemal o pięćdziesiąt procent jedzenia więcej niż na jej. Bębnił palcami o blat stołu, dopóki kelner nie skończył ich obsługiwać. Wreszcie odesłał go niecierpliwym gestem i znów pochylił się ku Sarah, zapominając o stygącym posiłku.

- Powiedz wreszcie, kiedy przerwałaś przyjmowanie moich pigułek. I dlaczego? Czy wcześniej miałaś jakiegokolwiek przebłyski pamięci?

Zabrała się do jedzenia. Czekał wpatrzony w nią, w ogóle nie zwracając uwagi na swój talerz. Wreszcie zaczęła opowiadać. Świadomie ukryła fakt, że wciąż niewiele pamięta z okresu od poznania Gordona do przebudzenia się już jako Liz Sansborough. O tym właśnie chciała się dowiedzieć od niego, zanim narkotyk zacznie działać.

Musiała podtrzymywać rozmowę, zajmować go jeszcze przez co najmniej pół godziny. Odpowiadała na kolejne pytania, lecz po każdym z nich domagała się wyjaśnień. Minuty upływały powoli, lecz wreszcie dowiedziała się, co właściwie jej zrobili.

## 39.

Wszystko zaczęło się późną wiosną, od propozycji Mięsożercy złożonej największym światowym mocarstwom. Arlene Debo, prezydent Stanów Zjednoczonych, a nawet sam Mięsożerca nie wiedzieli jednak, że dysponuje on wiedzą stanowiącą śmiertelne zagrożenie dla Hughesa Bremnera i jego współpracowników. Ci nie mogli więc dopuścić, by został przejęty i zaczął dzielić się posiadanymi informacjami.

Pozostawało im tylko jedno wyjście - zawczasu uciszyć mordercę. Mieli jednak świadomość, że ich poczynania będą znajdować się pod stałą, wnikliwą obserwacją. Musieli zatem obmyślić plan działania, którego realizacja niosłaby za sobą minimum ryzyka i dawała maksymalną gwarancję powodzenia. Bremner skontaktował się z doktorem Allanem Levine'em - jednym z najwybitniejszych na świecie neurologów, znajdujących się na liście płac CIA oraz prywatnej liście Bremnera.

W młodości Levine był asystentem „ojca” kanadyjskiej psychiatrii - doktora Ewena Camerona - który w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych prowadził na zlecenie CIA badania związane z praniem mózgow. Cały ten utrzymywany oczywiście w ścisłej tajemnicy projekt opatrzone kryptonimem MK-ULTRA. W jego ramach rozpracowanie poszczególnych elementów zostało zlecone pięćdziesięciu uniwersytetom na terenie dwudziestu jeden krajów. Uniwersytety te nieświadome, czemu mają służyć ich badania, utrzymywano w przekonaniu, że zlecenia pochodziły ze Stowarzyszenia Badań Ekologicznych, które przeznaczyło na ten cel dwadzieścia pięć milionów.

Głównym celem MK-ULTRA było znalezienie nowych metod oddziaływania na umysł. Robiono wszystko co możliwe, by ubiec zajmujących się tym także Sowieci i Chińczyków, a przy okazji zapewnić Langley możliwości wpływu na poprawę zdrowia psychicznego skuteczniej niż dotychczas.

Najwięcej środków na ten cel otrzymał Uniwersytet McGilla w Montrealu, w którym pracował sławny doktor Cameron. Podczas gdy naukowcy w Stanach przeprowadzali swe eksperymenty związane z MK-ULTRA na więźniach i prostytutkach, Cameron wykorzystywał do tego przeciętnych Kanadyjczyków, którzy odwiedzali jego klinikę, uskarżając się na stany depresyjne i inne tego typu dolegliwości. Nikt spośród badanych nie został poinformowany, że jest królikiem doświadczalnym wykorzystywanym do badań

związanych z dokonywaniem zmian w ludzkim umyśle.

Działania podejmowane przez Camerona były nie mniej radykalne niż polityka tamtych czasów. Lekarz podawał pacjentom ogromne ilości różnorodnych środków, między innymi niedawno odkryty halucynogen - LSD. Stosował silne elektrowstrząsy, wywoływał trwające nawet osiemdziesiąt dni stany śpiączki lub poddawał mózgi pacjentów długotrwałemu działaniu bodźców, często także gdy pozostawali pod wpływem silnych narkotyków.

Jednym z jego odkryć było stwierdzenie, że takie bezpośrednie oddziaływanie na centralny układ nerwowy może powodować trwałe uszkodzenia mózgu. Pewna pacjentka, pragnąca wyleczyć się z lekkiej nadpobudliwości, po sześciu miesiącach terapii przestała poznawać męża i dzieci, nie potrafiła czytać, gotować, prowadzić samochodu ani też kontrolować funkcji fizjologicznych. Niewątpliwie było to tragiczne, lecz dla Camerona i jego asystenta doktora Levine'a stanowiło konieczny do zaakceptowania koszt postępu naukowego.

Wreszcie pewne informacje o skutkach prowadzonych tu eksperymentów przedostały się do publicznej wiadomości. Wkrótce potem rozpoczęły się przesłuchania i procesy sądowe.

Langley dla własnego bezpieczeństwa zniszczyło w 1973 roku akta programu MK-ULTRA. Jeszcze wcześniej, w roku 1967, doktor Cameron uległ śmiertelnemu wypadkowi w górach, a jego rodzina przezornie spaliła wszystkie dane, jakimi dysponowała. Od realizacji projektu oficjalnie odstąpiono.

Hughes Bremner nalegał jednak, by nie rezygnować ze współpracy z niezwykle zdolnym asystentem Camerona - doktorem Allanem Levine'em i w tajemnicy kontynuować badania.

Levine otrzymał do dyspozycji tajne laboratorium w Nowym Meksyku, by móc tam prowadzić badania nad biochemicznym oddziaływaniem na ludzki mózg. Realizując marzenia mistrza, pragnącego udoskonalić umysł, Levine był autorem idealnie prostej teorii: w hydraulice, gdy jakaś rurka ulega uszkodzeniu lub staje się niedrożna, należy ją wymienić. Podobnie rzecz wygląda z „zepsutą” osobowością. Tak więc psychiczne zdrowie ludzkości zależy od umiejętności przeprogramowywania chorego umysłu.

W absolutnej tajemnicy, zachęcany przez Bremnera i wspierany przez niego finansowo, Levine kontynuował więc prace nad MK-ULTRA. - Eksperymenty na zwierzętach, a czasami na ludzkich „ochotnikach”, przynosiły coraz to wspanialsze efekty. Dwa lata temu Bremner polecił Levine'owi przenieść się z całym laboratorium do Paryża. Jednocześnie zaproponował mu zorganizowanie nowatorskiej placówki dającej możliwość

praktycznego sprawdzenia dotychczasowych osiągnięć. Doktor bez wahania skorzystał z nadarzającej się okazji.

Stworzył klinikę odnowy, której istnienie także starano się utrzymać w tajemnicy. Było to również na rękę także jej zaledwie trzydziestu pacjentom, którym zależało, aby opinia publiczna nie wiedziała o sposobie, w jaki przeprowadzona została ich metamorfoza.

Podobnie jak jego kanadyjski nauczyciel, Levine koncentrował się na mózgu - ważącej średnio trochę ponad kilogram galaktyce komórek nerwowych, których było więcej niż gwiazd w Drodze Mlecznej. We wczesnych pracach nad MK-ULTRA Cameron starał się wywierać wpływ na nie wszystkie, bez względu na funkcje, jakie pełniły. Z czasem jego następcą zastosował znacznie bardziej wyrafinowane metody i nauczył się oddziaływać tylko na określone ich zespoły.

I nagle postanowił się ujawnić Mięsożerca. Ta decyzja, jak wynikało ze słów doktora, stanowiła groźbę zniszczenia wszystkiego, co z takim trudem osiągnęli naukowcy. Należało go zatem wyeliminować, i to w taki sposób, by najmniejsze podejrzenie nie padło na Hughesa Bremnera, Mustanga ani CIA. Nie mogło dojść do żadnego dochodzenia. Dlatego właśnie Bremner wpadł na pomysł zorganizowania akcji opatrzonej kryptonimem MASKARADA i oddał w ręce doktora Sarah Walker.

Levine twierdził, że potrafi zmienić każdego - poczynając od drobnych korekt, a kończąc na stworzeniu zupełnie nowej osobowości. W przypadku Sarah okazał szczególny entuzjazm, ponieważ należała ona do tego typu ludzi, którzy najtrudniej poddają się przeprogramowaniu. Była młoda, fizycznie zdrowa, pełna optymizmu i wiary w siebie, mająca wyrobione poglądy, a ponadto silnie związana emocjonalnie z rodziną i przyjaciółmi.

Zaczął od separowania jej od bliskich osób. Później podstawił „przyjaciela”, na którym mogła polegać w stu procentach i który potrafiłby ją przekonać, że wymaga pomocy psychiatrycznej. Współpraca „obiekta” była bowiem niezwykle ważnym czynnikiem, potęgującym skutki terapii i przyspieszającym osiągnięcie celu.

Sarah nie zdołała jednak wydobyć od doktora szczegółów, w jaki sposób, do spółki z Bremnerem, nakłonił ją do współdziałania.

Kiedy wreszcie obaj ją przekonali o konieczności poddania się leczeniu, a nawet sama się tego domagała, doktor zaczął podawać jej udoskonalane przez lata specyfiki. Wpływały one bezpośrednio na dwie strefy jej mózgu. Pierwszą było podwzgórze, gdzie znajdował się ośrodek pamięci; drugą zaś - kora mózgowa, będąca miejscem przechowywania informacji. Stosowane środki powodowały blokadę połączeń śródmózgowych i upośledzenie funkcji obu fragmentów mózgu.

W wyniku tych działań początkowo całkowicie utraciły zdolność funkcjonowania, lecz wkrótce naturalne reakcje powróciły. Sarah nie pamiętała jednak żadnych zdarzeń z przeszłości i stała się bardzo podatna na przyswojenie sobie nowej osobowości.

Tu jednak pojawiał się problem. Ludzki mózg jest tak potężnym i skomplikowanym narzędziem, będącym w stanie gromadzić i obrabiać tak ogromne liczby danych, że nie mogą się z nim równać nawet najpotężniejsze superkomputery. Istniało więc zagrożenie, że w jakimś momencie przestanie zachowywać się zgodnie z oczekiwaniami i powróci do dawnego stanu.

Innymi słowy, nie można było wykluczyć, że Sarah odzyska pamięć.

Doktor, zabezpieczając się przed taką ewentualnością, polecił Gordonowi Taite podawać jej codziennie bloker pamięci. Dopóki go przyjmowała, było mało prawdopodobne, aby sobie przypomniała, że w rzeczywistości nazywa się Sarah Walker. Wciąż byłaby przekonana, że jest Liz Sansborough - była agentką CIA.

Kiedy Mięsożerca się ujawni, Bremner osobiście zajmie się doprowadzeniem go na pierwsze przesłuchania do kryjówki we Francji. Przybędzie tam także cała rzesza ekspertów Langley, którzy będą chcieli zdobyć możliwie najwięcej informacji. Ale zanim ktokolwiek będzie miał okazję pozostać z nim sam na sam, zabójca zginie w sposób nie pozwalający podejrzewać, że maczał w tym palce Bremner. Niespodziewana śmierć. Zaskakująca, lecz nieunikniona. MASKARADA dobiegnie wówczas końca.

\*

Doktor Levine w zamyśleniu przesuwiał palcami po krawędzi rokokowego stolika i nagle oświadczył triumfalnym tonem:

- Osiągnięcia moje i innych naukowców przyniosą ogromną korzyść całej ludzkości. Dzięki nim nasz rodzaj zrobi kolejny duży krok na drodze ewolucji. Już teraz udało mi się znaleźć remedium na słabości moich pacjentów i zwielokrotnić ich siły witalne. Jestem także w stanie poprawić pamięć, intelekt, zdolność koncentracji i wpływać na nastroje. Czynienie homo sapiens coraz sprawniejszym, potężniejszym stanowi mój życiowy cel i już wkrótce zdobędę pieniądze na kontynuację swego wiekopomnego dzieła.

Używał coraz bardziej pompatycznych, kwiecistych określeń. Sarah słuchała z przerażeniem, jak żywych ludzi, na których dokonuje swych eksperymentów, nazywa „obiektami”, „pacjentami” lub generalnie „gatunkiem”. Czytała kiedyś o procesach w Kanadzie związanych z MK-ULTRA, w których dowiedziono, że te eksperymenty w sposób nieodwracalny niszczyły ludziom ich osobowość. Jego tak zwani pacjenci byli ofiarami zbrodniczych doświadczeń. On, lekarz medycyny, który przysięgał pomagać ludziom, w imię

pseudonauki wyrządzał im ogromną krzywdę! Aż wstrząsnął nią dreszcz. Ją też mógł tak okaleczyć.

- Odzyskałam pamięć - rzekła. - Co więc zamierza pan teraz zrobić? Skłonić mnie, bym znowu uwierzyła, że jestem Liz Sansborough?

Zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie roześmiał się filuternie.

- Szczerze mówiąc nie. Zrobię coś zupełnie innego.

- Już bez chemii?

- Użycie pewnych środków będzie niezbędne, ale... - urwał zakłopotany, jakby nie pamiętał, o czym chce dalej mówić. Po chwili znów się jednak rozpromienił. - Wola. To ona jest naszym najpotężniejszym atutem: chroniącym nas pancierzem. Skuteczna współpraca wymaga zaangażowania woli. To pozwoli zmaksymalizować korzystne efekty elektrochemicznych zmian zachodzących w neurotransporterach. Tym razem posłużymy się twoją wolą! Właśnie ona, mój geniusz i pomysłowość Hughesa pozwolą pozbyć się Mięsożercy, a mnie zapewnią fundusze na kontynuowanie prac!

- Jeśli sądzisz, że zgodzę się na współpracę, lepiej sam łykaj te swoje świństwa, bo jesteś szaleńcem, Levine.

Doktor odchylił się w fotelu, szeroko rozpostarł ramiona i rzekł:

- Dobrze wiem, co mówię. I przysięgam, że zrobisz dokładnie to, co zaplanowałem.

## 40.

W sklepie Christine Robitaille Asher Flores odchylił się w fotelu i splótł dłonie nad głową. Przeciągnął się, ziewnął i znów popatrzył na ekran monitora. Boże, co za cholerny niefart. Spróbował wszystkich znanych sobie sztuczek, przeglądając dziesięć baz danych w poszukiwaniu jakichkolwiek powiązań między Gold Star Rent-a-Car a Langley, Hughesem Bremnerem i Gordonem Taite'em. Wszystkim, co do tej pory osiągnął, był ból pleców i czarne plamy migające przed oczami.

Mruknął coś pod nosem. Wpadł na kolejny pomysł - zajrzenie do dossier Mięsożercy. Może ten stary drań miał jakiś związek z Gold Star.

Wywołał plik dotyczący mordercy i przeczytał dobrze już sobie znane informacje. Na końcu pojawiło się jednak coś nowego... Ale bomba: prezydent Stanów Zjednoczonych odwołał akcję przejęcia zabójcy! Mięsożercy przekazano wiadomość, by szukał szczęścia gdzie indziej, ponieważ Stany nie chcą mieć nic wspólnego z nim i jego brudnymi interesami!

Asher dumał przez kilka minut i wreszcie doszedł do wniosku, że na dobrą sprawę nie zmienia to sytuacji, w jakiej znalazł się wraz z Sarah. A dokładniej, jeśli dziewczyna nie była już potrzebna Hughesowi Bremnerowi, to decyzja prezydenta znacznie pogarszała ich położenie. Oboje znaleźli się bowiem na liście przeznaczonych do odstrzału, ponieważ wiedzieli zbyt dużo.

Myśl o prawdopodobieństwie śmierci Sarah poruszyła nim do głębi. Od czasu gdy się rozstali, nie mógł przestać o niej myśleć. W głębi ducha był nawet skłonny przyznać, że za nią tęskni. Westchnął ciężko. Jeśli nie rozszyfrują gry tego pieprzonego Bremnera, to prędzej czy później oboje będą trupami, pozbawionymi przecież wszelkich uczuć, łącznie z tęsknotą.

Przerwał połączenie z Langley i przeszedł na międzynarodową bazę danych zawierającą informacje gospodarcze. Tam znalazł charakterystykę Gold Star. Była to potężna spółka o międzynarodowym zasięgu - największa agencja wynajmu samochodów w Stanach Zjednoczonych, posiadająca placówki w całej Europie i Azji. Należała do Sterling-O'Keefe Enterprises - kolosalnej korporacji, o której nawet i on słyszał. Przyjrzał się ekranowi, na którym wyświetlona była długa lista firm stanowiących własność Sterling-O'Keefe. Wydrukował ją i zmęczony przetarł powieki. Nazwa Sterling-O'Keefe wciąż krążyła mu po głowie, sam nie wiedział dlaczego.

\*

Senność ogarnęła podróżującego pierwszą klasą Hughesa Bremnera. Delikatne wibracje potężnych silników odrzutowca lecącego nad Atlantykiem uspokajały i usypiały. Błogi nastrój prysnął jednak w mgnieniu oka, gdy rozległ się brzęczyk telefonu.

Dzwonił jego osobisty operator z Langley:

- Sir, ktoś wszedł do komputera posługując się starym kodem Gordona Taite'a. Połączenie nawiązano z Paryża, z Lewego Brzegu...

Bremner zatarł ręce. Asher Flores!

- Świetna robota, Ryan - pochwalił protekcjonalnym tonem. - Natychmiast przekaż namiar do Languedoc. - Już wcześniej wydał ludziom w Paryżu stosowne polecenia. - Miej dalej uszy i oczy szeroko otwarte.

Ledwie zdążył odłożyć telefon i sięgnąć po gazetę, gdy ten znowu zadzwonił. Rozmowa z Paryża za pośrednictwem bezpiecznej linii. Zameldował się jeden z asystentów Allana Levine'a.

- Sir! Doktor pragnie powiadomić, że mamy Sarah Walker. Natychmiast będzie nakłaniać ją do współpracy uruchamiając program rezerwowi!

Bremner odsłonił zęby w triumfującym uśmiechu. Miał ją. Klucz do MASKARADY. Teraz powodzenie było już pewne. Zmusił się, by jego głos nie zdradzał podniecenia:

- Przekaż doktorowi, żeby na nią uważał. Nigdy za wiele ostrożności.

- Tak jest - rzekł asystent - ale... pojawił się niewielki problem.

Szef Mustanga zmarszczył brwi. Doktor nauczył się wiele przez lata znajomości z nim. Bez wątpienia polecił asystentowi najpierw przekazać dobre wieści, by zmiękczyć go i przygotować na mniej pomyślne.

- Co się stało?

- Przyłapaliśmy dwoje masażystów, którzy dobrali się do danych dotyczących MK-ULTRA. Nie było innego wyjścia. Musieliśmy ich wyeliminować.

Bremner poczuł narastającą wściekłość. Uprzedzał przecież Levine'a, by zatrudniał tylko takich, których ciekawość da się kupić. Ale widać ten głupi idealista go nie posłuchał. Kiedy tylko dotrze do Paryża, pozbędzie się wszystkich amatorów pracujących dla doktora.

Przerwał połączenie i przez chwilę siedział bez ruchu, starając się uspokoić. Nienawidził braku kompetencji. Wreszcie odprężył się. Wyrzwał przez okno na ocean zmieniający barwę z lawendowego na granatowy w stopniowo zapadającym zmroku. Był zwycięzcą. Poczucie triumfu sprawiało mu ogromną radość. Miał Sarah Walker, a wkrótce w ręce wpadnie mu także Asher Flores. Uśmiechnął się do własnych myśli i jeszcze raz sięgnął



po telefon. Połączył się z Kitem Crowtherem - koordynatorem finansowym GRANDEUR.

\*

Asher Flores wstał i rozciągnął zdrętwiałe członki. Sięgnął po „Herald Tribune” i dla rozprostowania nóg przeszedł się po sklepie. Nigdzie nie było widać Christine Robitaille, a sprzedawca zajmował się akurat jakąś grupą nastolatków.

Z przyzwyczajenia wyjrzał na zewnątrz, lustrując uważnie ciemną już ulicę. Oparł się o ścianę i zaczął przeglądać gazetę. Na końcu bieżących wiadomości natrafił na krótką wzmiankę następującej treści:

*Pracownik wywiadu Stanów Zjednoczonych Lucas Maynard został zastrzelony przez agentów federalnych przed budynkiem Departamentu Stanu. Według władz Maynard usiłował zbiec z kilogramem kokainy ukrytym w reklamówce...*

Asher nie uwierzył w ani jedno słowo. Maynard zajmował się różnymi sprawami, ale nie handlem narkotykami. Należał do starej gwardii, działającej od początku zimnej wojny. Był jednym z zastępców Bremnera i jego bardzo bliskim współpracownikiem. Bezgranicznie oddany swojej pracy. Ale równocześnie handlarz narkotykami? Niemożliwe.

Chyba że Maynard wykonywał jakieś konkretne zadanie, a „agenci federalni” popełnili błąd.

W to także nie wierzył. Jeśli Lucas Maynard rzeczywiście zginął, kto faktycznie go zabił? I z jakiego powodu?

Asher przeszedł na zaplecze i zapukał do drzwi z napisem „Biuro”.

- *Entrez!* - zawołała Christine Robitaille.

Wszedł do pomieszczenia.

- Pamiętasz Lucasa Maynarda? - zapytał.

Zgasiała papierosa w pełnej niedopałków popielnicze.

- Czytałam tę wiadomość. Zabity. - Przyjrzała mu się uważnie. - Nie wierzysz w to, prawda? Posłuchaj, Asher, *mon cher*. Istnieje wiele powodów, dla których czyni się zło. Niemal zawsze w przekonaniu, że wciąż pozostaje się dobrym. - Wzruszyła ramionami i zapaliła kolejnego papierosa.

Chciał zapytać, co wie o Hughesie Bremnerze. Poczulby ulgę, gdyby mógł jej opowiedzieć, co zdarzyło się po tym, jak postanowił pomóc Sarah Walker. Ale nie zrobił tego. Lepiej było milczeć. Pożegnał ją tylko. Ona zaś, spowita chmurą dymu, uniosła głowę znad papierów życząc mu *bon voyage*.

\*

Wepchnięta do stojącego na uboczu domku w Wirginii Bunny Bremner miała przed

oczami sfatygowane żelazne łóżko, na którym leżała biedna Marylin. Dziennikarka była nieprzytomna, niezdolna do ucieczki, więc mężczyźni nie uważali za konieczne związanie jej, choć z każdego narożnika łóżka zwisały zbroczone krwią pasy. Dziewczyna była na wpół naga. Jej ciało pokrywały sińce i rany. Wcześniej musiała leżeć we własnych wymiocinach i ekskrementach. Jeśli do tej pory nie wystąpiła gorączka, to w każdej chwili można się było jej spodziewać. Bez pomocy medycznej narażona była na niemal pewną śmierć.

Z poprzedniego spotkania w pamięci Bunny pozostała śliczna buzia Marylin kształtem przypominająca serce. Teraz dziewczyna tak opuchła, że była nie do poznania. Pięknej kobiecie nie można było wyrządzić większej krzywdy niż zeszcpecenie. Bardziej jeszcze przykre jest starzenie się obok mężczyzny, który tobą gardzi.

Bunny siedziała na prostym, kuchennym krześle. Więzy krępowały jej nadgarstki i kostki u nóg. Zaciskała zęby, starając się nie przynieść wstydu swym antenatom - Johnowi Howlandowi z „Mayflower” i pozostałym znamienitym przodkom. Przypomniała sobie, kiedy po raz ostatni odczuwała tak intensywny fizyczny ból. Było to jeszcze wtedy, gdy często jeździła konno. Zrzucił ją narowisty arab i złamała rękę. Sama pojechała jednak do szpitala, gdzie nastawiono i zagipsowano jej rękę, po czym wróciła konno do domu, nie rezygnując z dalszej przejażdżki.

Starła się zrozumieć, co się właściwie tu dzieje. Nigdy w życiu nie miała do czynienia z czymś podobnym. Tylko jakieś zdegenerowane potwory mogły wyrządzić tyle zła, ile tu zastała. Nie wiedziała nawet, jak ma się zachowywać w takiej sytuacji.

Mężczyzna o imieniu Sid otworzył jej portfel.

- Jezu Chryste, pani Bremner, jak ma na imię pani mąż? - wychrypiął nagle. Grymas strachu wykrzywił jego butną dotychczas twarz.

Zauważyła to i nadała głosowi groźny ton:

- Hughes Bremner. On już dopilnuje, żebyście trafili do więzienia za to, co zrobiliście pannie Michaels i mnie. Lepiej więc nas wypuście. Panna Michaels wymaga natychmiastowej pomocy medycznej. Jeśli umrze, skażą was na elektryczne krzesło.

Sid i jego partner wyszli na zewnątrz, a Bunny obserwowała ich przez kuchenne okno. Słyszała wystarczająco dużo, by zorientować się, że zastanawiają się, czy nie zadzwonić do Hughesa. Znali go więc osobiście?

Nie była w stanie doszukać się tu jakiegokolwiek logiki. Związku tych dwóch bydlaków z Hughesem i CIA nie sposób było sobie wprost wyobrazić. Poczwała pragnienie. Najlepiej byłoby napić się szkockiej. Zwalczyła jednak w sobie natychmiast tę okropną żądzę. Musiała znaleźć sposób na uratowanie Marylin... i siebie.

\*

Sid zatelefonował do Hughesa Bremnera, gdy ten właśnie jadł kolację. Poinformował go, że mają nie tylko Leslee Pousho, ale także jego żonę. Bremnerowi na moment odebrało mowę. Co, u diabła, robiła tam Bunny? Głupia, zapijaczona suka! Nie miał wyboru. W obecnej sytuacji stało się oczywiste, że musi się jej pozbyć, choć jednocześnie odczuwał jakiś dziwny żal. Była kiedyś przyszłością w jego młodzieńczych fantazjach. Marzeniach idealisty wdzięczącego się do świeżo poślubionej żony. Ale wszystko zmieniło się radykalnie, gdy został zdradzony przez nią i ludzi, dla których pracował. Teraz uświadomił sobie, że właściwie zawsze wiedział, że to będzie nieuniknione.

Był przecież przygotowany na to, że nigdy już jej nie ujrzy. Po poniedziałku, gdy spełnią się jego faustowskie wizje, zniknie na zawsze. Delektował się już myślą o samotnej Bunny, pozostawionej własnemu losowi w rodowej rezydencji, która była dla niej ważniejsza niż mąż. Ze złośliwą satysfakcją przewidywał, że samotna i zdesperowana popadnie w skrajny alkoholizm, wiedząc że opuścił ją, bo po prostu przestało mu zależeć nawet na jej pieniądzach.

Obecnie sytuacja uległa zmianie. Teraz musiała zginąć.

- Masz tam jakąś whisky, Sid? - zapytał.

- Nie, szefie.

- Więc kup kilka butelek. Daj Bunny tyle, ile zechce. A później spal chałupę razem z nimi obiema. Niech to wygląda jak wypadek. Zwarcie albo cokolwiek innego. Zrób to jutro z samego rana. Jeśli dodatkowe kopie dokumentów Lucasa nie wypłyną do tego czasu, będziemy mieli potwierdzenie, że Pousho ich po prostu nie zrobiła.

- Mamy tu zagrożenie pożarowe, szefie. W górach jest naprawdę sucho.

- Wiem.

Jakże efektowne pożegnanie starej alkoholiczki. Stanowiła nikomu już niepotrzebną pamiątkę ze snu, o którym chciał jak najszybciej zapomnieć.

\*

W samotnym domku w górach Blue Ridge Bunny Bremner siedziała na kuchennym krześle związana i z zakneblowanymi ustami. Wcześniej proponowała mężczyznom milion dolarów za uwolnienie jej i Marylin. Ten wysoki - Fess - był już gotów się zgodzić, ale Sid bezceremonialnie ponownie ją zakneblował.

Teraz znów wyszli przed chatę. Usłyszała, jak jeden z nich rozmawia chyba przez telefon komórkowy. Później zawarczał silnik odjeżdżającego volvo. Sid, pełniący wyraźnie funkcję dowódcy, wrócił do izby i Bunny przyglądała się, jak znudzony gra w samotnika, pije

kawę i przeskakuje z jednej stacji radiowej na drugą. Leżąc na łóżku Marylin zaczęła jęczeć. Narzucił na nią koc, lecz i tak trzęsła się pod nim w gorączce. Jej poobijana, obrzmiała twarz była purpurowa i wykrzywiona grymasem bólu.

Volvo wróciło i Fess zjawił się z trzema butelkami czarnego Johnny'ego Walkera.

Bunny odruchowo ożywiła się na ten widok. Zauważyli to i wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Wyjmij jej knebel. - Sid otworzył butelkę i postawił ją na kuchennym stole. - Podciągnij tu jej krzesło i rozwiąż ręce.

Słodki zapach whisky miło polechtał nozdrza Bunny. Nie będąc w stanie zapanować nad sobą, sięgnęła po butelkę. Ale nagle zastygła z ręką w powietrzu. Podniosła wzrok na prześladowców.

- Skąd wiedzieliście?

- Powiedział nam mały ptaszek. No dalej, napij się.

Przypomniała sobie, że rozmawiali przez telefon.

- Kontaktowaliście się z Hughesem. Pracujecie dla niego?

Sid przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Tak, jest naszym szefem - przyznał wreszcie.

- Macie nas zabić, prawda?

- On chyba już pani nie lubi - rzekł Fess.

- Nigdy mnie nie lubił - warknęła. - Chodziło mu tylko o moje pieniądze. Ale po co mnie zabijać? I Marylin?

Sid usiadł przy stole i podsunął jej butelkę.

- Nie wiem, pani Bremner. Otrzymaliśmy takie rozkazy, i to wszystko. Pani mąż jest moim szefem już od dawna i naprawdę nie mogę na niego narzekać.

Bunny przyjrzała się uważnie ich tępych twarzom pozbawionym inteligencji. Dwaj szeregowi pracownicy administracji rządowej, którzy na rozkaz jej własnego męża mieli z zimną krwią dokonać zabójstwa. Mąż - człowiek, z którym przeżyła kilka ładnych dziesięcioleci - zlecił tym degeneratom morderstwo.

Patrzyła na butelkę, gdy podsuwana przez Sida wędrowała po stole. Zasłoniła twarz dłońmi, ale nie miało to sensu. Fess wykręcił jej rękę i siłą otworzył usta, a jego kompan zaczął wlewać alkohol do gardła. Kaszłała i dławiała się. Wreszcie whisky zaczęła krążyć w żyłach. Po całym ciele rozchodziło się tak dobrze znane ciepło, a nerwy znalazły wreszcie odprężenie. Załkała i dalej piła już z własnej woli.

## 41.

Doktor Levine mówił z zapalem i roziskrzonymi oczami:

- Jeszcze nie tak dawno moje naukowe osiągnięcia uznano by za czary. A przecież to zwykła biotechnologia. - Wysoko uniósł kościstą brodę, delektując się sukcesem. Gdyby Sarah nie słuchała tego w ogromnym napięciu, bawiłaby ją ironia obecnej sytuacji: podawał LSD, prowadząc badania na niczego nie podejrzewających ofiarach, a teraz sam doświadczał skutków jego działania.

- Dzisiaj rozszyfrowujemy tajemnice DNA, ludzie rozpoczynają swe istnienie w probówkach, a syntetyczny hormon wzrostu jest w stanie uczynić z karła normalnego człowieka - ciągnął. - Ostatnio w poważnym piśmie medycznym opublikowano artykuł, którego autorzy dowodzą, iż wkrótce poznamy reakcje chemiczne zachodzące w ludzkim organizmie w takim stopniu, że będziemy w stanie opóźnić, a nawet odwrócić przynajmniej część efektów procesu starzenia. - Roześmiał się nienaturalnie głośno. - Sam mógłbym o tym wiele napisać, bo między innymi właśnie tym zajmuję się tu, w Je Suis Chez Moi!

Słuchając go i znając metody jego postępowania, Sarah czuła narastające obrzydzenie. Ale musiała jeszcze wyciągnąć z niego, jak i kiedy ma pomóc Hughesowi Bremnerowi w zabiciu Mięsożercy.

- Jaką więc rolę ja mam odegrać w MASKARADZIE? - zapytała beztrąsko.

Zaskoczony zamrugał powiekami, po czym uśmiechnął się przebiegle.

- Ha! Już wkrótce się tego dowiesz. - Znow się roześmiał, wyraźnie zadowolony z siebie.

Odnosiła wrażenie, że początkową ekscytację wynikającą z gwałtownej chęci zdobycia bezcennych dla siebie danych powoli zastępuje pobudzenie wynikające z działania narkotyku. Wkrótce nadejdą też halucynacje wywołane LSD. Należy spodziewać się spazmów, ataków kaszlu i potężnych psychodelicznych wizji. Po pewnym czasie przestanie panować nad swoim zachowaniem, a wtedy odbierze mu berettę i spróbuje uciec, zanim strażnicy zorientują się, że coś jest z nim nie tak.

- Je Suis Chez Moi musi być niezwykle ważne dla Bremnera - zagadnęła. - Wydał przecież na nie mnóstwo pieniędzy. Weźmy na przykład to mieszkanie. Wspaniałe, a więc i bardzo kosztowne.

Levine jakby rozmarzony pokiwał głową.

- Wszystkie pomieszczenia w tym domu wyglądają podobnie. Są przecież przeznaczone dla paryskiej superelity.

- Na przykład dla premiera?

- Tak, szczególnie dla premiera Vaubana. - Miała wrażenie, że za chwilę Levine wybuchnie histerycznym śmiechem. - Dzięki potężnym politykom i ich równie znamienitym przyjaciółom Hughes już wkrótce zapewni mi fundusze na najlepsze laboratorium, w którym będę mógł dalej budować podwaliny nowoczesnej nauki. A wszystko dzięki mojej pracy nad MK-ULTRA i tobie - pierwszej osobie o całkowicie odmienionej świadomości. Ta przemiana była sukcesem, dopóki Gordon nie zaniedbał podawania blokera. Ale w poniedziałek Mięsożerca padnie już martwy, a ja nigdy więcej nie będę musiał prosić o pieniądze!

Utkwił wzrok w Sarah, wyraźnie otumaniony delirium. Może teraz uda jej się poznać całą prawdę?

- W poniedziałek? To wówczas odbędzie się operacja przejęcia Mięsożercy?

- Nie. W niedzielę o dwudziestą. Wszystkie nasze zmartwienia...

- To jutro!

- Kiedy już tu jesteś, mamy mnóstwo czasu. - Wstał zataczając się, lecz widocznie nie zdawał sobie z tego sprawy. - Chodź, pokażę ci coś.

Przez chwilę miała ochotę pchnąć go na ścianę, by pogruchotać mu wszystkie kości. Ale zrezygnowała i spokojnie wyszła za nim na korytarz. Rozejrzała się w poszukiwaniu pracowników obsługi, ale nie dostrzegła żadnego. Natomiast niecałe dziesięć metrów przed sobą ujrzała masywne drzwi wejściowe. Nie zdążyła zobaczyć niczego więcej, ponieważ skręcili w boczny korytarzyk.

Doktor otworzył pierwsze z brzegu i wprowadził ją do pokoju wypełnionego aromatem olejku eukaliptusowego. Młody mężczyzna wprawnie masował uda leżącej na kozetce atrakcyjnej trzydziestolatki podłączonej do kroplówki. Oczy miała przymknięte jakby spała, lecz jej twarz rozpromieniał szeroki, pełen radości uśmiech.

- Poznaję ją... - szepnęła Sarah.

Levine niedbale machnął ręką.

- Louise Dupuy, najpopularniejsza francuska dziennikarka telewizyjna.

Młody masażysta zaskoczony podniósł wzrok na doktora.

- I mająca ogromne wpływy - dodała pospiesznie Sarah i stanęła między Levine'em a masażystą. - Ale musi mieć już koło pięćdziesiątki, a przecież wygląda na trzydzieści lat. A pamiętam, że jeszcze niedawno miała ogromne problemy z nadwagą.

Doktor splótł swe drobne dłonie.

- A ponadto była także alkoholiczką i nadużywała narkotyków. Ale odwiedza mnie już od roku. Na początku było z nią tak źle, że musiała zostawać tu przez cztery godziny dziennie. Teraz wystarczy godzina. Poddała się operacji plastycznej, zerwała z nałogami i prowadzi zdrowy tryb życia. To w połączeniu z naszymi ćwiczeniami i stosownymi środkami przyniosło tak wspaniały efekt. - Przesunął palcami po jej zdrowej, gładkiej skórze. - Teraz już nie dręczą jej obawy, że może stracić pracę na rzecz jakiejś młodszej i ładniejszej dziennikarki, bo sama znów jest młoda i piękna.

- Zadziwiające - rzekła Sarah ujmując rękę Levine'a, gdy masażysta znów zaczął mu się przyglądać. - Ale założę się, że nie jest pan w stanie zrobić niczego więcej.

- Więcej? - Doktor zatoczył się i roześmiał głośno. - Pokażę ci więc. Chodź.

Wycofali się do pustego korytarza. Znów się zatoczył, aż musiał wesprzeć się o ścianę, a na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Czy zmienił pan osobowość Louise Dupuy? - zapytała go.

Odzyskał równowagę i przytaknął zdecydowanym ruchem głowy.

- Można to nazwać niezbędnymi poprawkami. Odkryłem związki chemiczne wywołujące określone zmiany w pracy mózgu i z nich właśnie jestem w stanie tworzyć substancje pozwalające dowolnie kształtować ludzką osobowość. Każdy klient otrzymuje typowy zestaw programujący go między innymi na codzienne odwiedzanie nas i pozytywnie wpływający na nastrój, a ponadto indywidualnie dobrane środki. Teraz odpowiednie ich skomponowanie nie stanowi już dla mnie żadnego problemu.

Otworzył następne drzwi i weszli do pogrążonego w półmroku pomieszczenia pełnego kabli, rur, migających kontrolki, w którym monotonicznie szumiały jakieś urządzenia. Pachniało tu środkiem odkażającym i jakby mydłem. Pośrodku stała kozetka, na której leżał mężczyzna pod kroplówką, z płataniną przewodów opasujących ciało.

W pomieszczeniu nie było żadnego pracownika obsługi. Drżąca ręka doktora dotknęła czoła pacjenta z serdecznością, niemal pieszczotliwie. Mężczyzna wyraźnie nieobecny wzrokiem wpatrywał się w sufit, jakby widział na nim jakiś odległy ląd.

- Gerard - rzekł Levine po francusku - jak się czujesz?

- *Joyeux. Robuste. Intelligent. Constant. Vive la Grandeur!*

- Wyobraź sobie, Sarah, że nasz Gerard jest potentatem przemysłowym. Jego pracownicy z powodu niskich płac i ciężkiej pracy w złych warunkach grożą strajkami. No i oczywiście ma na głowie te zabójcze podatki. - Przetłumaczył swe słowa na francuski. - Zgadza się? - zapytał na koniec pacjenta.

- *Absolument!*

Doktor zawahał się, wyraźnie usiłując zebrać myśli.

- Ale Gerard ma świadomość, że jest coś znacznie ważniejszego. Trzyma się twardo odmawiając spełnienia ich żądań. Dlatego większość z nich w poniedziałek rozpocznie strajk, *non?*

Znów powtórzył po francusku i Gerard przyznał mu rację.

- Nasi specjaliści klienci są bardzo ważni dla Hughesa. Wszystkim trzeba wpoić określony przez nas sposób myślenia. Odpowiedzialne za to połączenia nerwowe nie są łatwe do sforsowania, ale ustawiczne powtarzanie pewnych idei i zasad postępowania w specjalnych warunkach sprawia, że po pewnym czasie mózg traktuje je jako własne. Przy równoczesnym stosowaniu chemii proces staje się nieodwracalny i moje założenia sprawdzają się w stu procentach. I to właśnie dzięki temu LA GRANDEUR...

Zamarł. Sarah napięła wszystkie mięśnie. Doktor zgiął się wpół, głową niemal dotykając kolan, po czym gwałtownie się wyprostował. Z jego piersi wyrwał się ochryply jęk. Chwiał się w przód i w tył, jakby ziemia kołysała mu się pod nogami. I nagle skoczył przed siebie rozbijając sprzęty. Obejrzał się na Sarah, w przeblysku świadomości zdziwiony, co się z nim dzieje. Zatoczył się na kozetkę, wyrwał kropłówkę i zepchnął nagiego Gerarda na podłogę.

Dziewczyna zawołała tymczasem w stronę kamery:

- Alarm medyczny! Szybko!

Chwyliła z wieszaka na ścianie długi biały kitel i pospiesznie włożyła go na siebie, chcąc choć na chwilę zmylić przeciwnika.

Levine odzyskał równowagę i wychrypiał:

- Co się ze mną dzieje?

Zaskoczenie jeszcze bardziej zaostrzyło rysy jego kościstej twarzy. Po chwili znowu roześmiał się histerycznie i zupełnie niespodziewanie padł jak długi na podłogę. Sarah pochyliła się i odwróciła go plecami do kamer. Wyjęła mu z kieszeni swój pistolet i ukryła się za drzwiami.

Usłyszała tupot nóg w korytarzu. Tym razem muszę być twardsza, powtarzała sobie w myślach.

Do środka wpadło sześć osób. Dwoje, ze stetoskopami wystającymi z kieszeni, skoczyło ku Levine'owi i Gerardowi. Dwie następne, chyba pielęgniarki, poszły w ich ślady. Piąta - kobieta z pistoletem - ubezpieczała czwórkę medyków. Ostatni mężczyzna z automatem w ręku rozejrzał się szybko po pokoju. Natychmiast zauważył Sarah z berettą w



dłoni.

- Kim jesteś! - Jego palec niebezpiecznie zbliżył się do spustu karabinu.

\*

Nie miała wyboru. Pragnęła tego uniknąć, ale nie miała wyboru. Strzeliła i mężczyznę odrzuciło na stojącą obok kobietę. Sarah wypadła na korytarz, lecz zatrzymała się tuż za drzwiami i czekała. Ścigająca ją kobieta trzymała co prawda pistolet gotowy do strzału, lecz dała się zaskoczyć. Trafiona kolbą beretty prosto w twarz, straciła przytomność i osunęła się na ziemię. Sarah popędziła w stronę frontowych drzwi.

Jedno ich skrzydło było otwarte, a w wejściu ktoś głośno rozmawiał z pracownicą obsługi.

- Ależ moja droga! Nikt mi nie odmawia. Powiedz swojemu doktorowi, że chciałbym się z nim zaraz widzieć!

Och Boże! Ten głos bez wątplenia należał do jej starego przyjaciela i informatora - Blounta McCawa. Właśnie w tym momencie minął on kobietę i ruszył korytarzem w stronę Sarah. Miał na sobie luźne spodnie i kamizelkę fotografa narzuconą na gołe ciało, w rękę zaś trzymał dyktafon. Obok Sarah przebiegły dwie osoby. To ta młoda para z Café Justine! Ludzie Bremnera! Oboje w dłoniach mieli broń, ale w pośpiechu nie rozpoznali uciekinierki.

McCaw dostrzegł ich pistolety i zatrzymał się przerażony.

- Blount! Uciekaj! - krzyknęła dziewczyna.

- Sarah? Mój Boże, Sarah, czy mnie oczy mylą? Coś ty z sobą zrobiła? Kiedyś prezentowałaś się tak oryginalnie, a teraz... twoja twarz! Jest zupełnie inna! Wyglądasz jak jakaś gwiazda filmowa!

Wokół rozbrzmiał świdrujący dźwięk alarmu. Przybierał na sile i cichł modulowany falowo. Na ułamek sekundy nagły hałas zaskoczył także oboje ludzi Bremnera. Agentka uniosła jednak broń i strzeliła do Blounta, który chwilę wcześniej odwrócił się i zaczął uciekać.

Jego głowa eksplodowała. Kula wbiła się w potylicę i wyszła w okolicach nosa, odrywając cały czerep. Tylko usta pozostały nienaruszone, rozchylone w niemym wyrazie zdziwienia i trwogi.

- Blount! - krzyknęła Sarah. Wiedziała, że już nie żyje i że ją w każdej chwili może spotkać podobny los.

Agent obejrzał się i tym razem ją rozpoznał. Jakby na zwolnionym filmie zobaczyła unoszącą się lufę. Nie wahała się już. Strzeliła trzykrotnie. Padł, a marynarka na piersiach szybko nasiąkała krwią. Rzuciła się naprzód i zanim agentka pojęła, co się dzieje, została

staranowana i powalona na podłogę. Pracownica kliniki, która wcześniej rozmawiała z Blountem, przerażona skuliła się w kącie.

Sarah minęła ją obok nieruchomego ciała McCawa i wypadła na zewnątrz. Sygnał alarmu wciąż dzwonił jej w uszach. Poły kitla przeszkadzały w biegu, gdy stopniowo nabierała szybkości.

Nagle poczuła uderzenie i ostry ból. Kula trafiła ją w lewy bark. Na białym fartuchu natychmiast wykwitła czerwona plama. Do oczu napłynęły łzy, ale nie wywołane fizycznym bólem, lecz żalem po MacCawie. Nie miała jednak czasu na rozpaczanie. Pędziła chodnikiem, jakby goniła ją cała sfera cerberów.

Widziała, jak z Je Suis Chez Moi wybiega jeszcze kilku ludzi. Dopadła rue Vivienne, wciąż ściskając w dłoni pistolet, pozbawiona pieniędzy, dokumentów i samochodu, mając za plecami zgraję ścigających ją przeszkolonych morderców. Przebiegła na drugą stronę ulicy nie bacząc na ostrzegawcze sygnały klaksonów. Za wszelką cenę starała się nie ulec panice.

Nagle przy stoliku przed wejściem do Café Justine znów ujrzała starszego mężczyznę w panamie z czerwoną wstążką, zsuniętej nisko na oczy i ustnikiem fajki wystającym z kieszeni koszuli. Odniosła nawet wrażenie, że kiwnął na nią dłonią.

Ale zanim dotarło to do niej na dobre, potężna siła cisnęła ją o ścianę jakiegoś sklepu. Ułamek sekundy później powietrze rozdarł ogłuszający huk eksplozji. Odruchowo padła na ziemię osłaniając głowę rękami, gdy wokół posypały się odłamki muru i szkła.

Ody wreszcie wszystko ucichło, podniosła się ostrożnie i rozejrzała. Fronton budynku mieszczącego Je Suis Chez Moi praktycznie przestał istnieć. Pozostała tylko jedna, tkwiąca samotnie kamienna kolumna.

To musiała być bomba. Czyżby ktoś w ten sposób mścił się na klinice? A może... może ktoś znowu próbował ją zabić!

## 42.

Gwałtowna eksplozja spowodowała, że samochody na rue Vivienne wpadały na siebie lub wykonując nagle skręty uderzały w mury. Dały się słyszeć okrzyki bólu i trwogi. Całą okolicę zasnuła chmura dymu i pyłu. Ludzie wybiegali z mieszkań i kafejek, by zobaczyć, co się wydarzyło. Sarah dostrzegła, że mężczyzna w panamie oddala się niespiesznie, z gazetą wsuniętą pod pachę i dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie. Zachowywał się naturalnie i beztrąsko.

Nagle z niewielkiej odległości dobiegł do niej odgłos strzałów pistoletowych i trzy kule przemknęły tak blisko, że na twarzy poczuła podmuch, a z chmury dymu wyłonił się mężczyzna w białym kitlu. Rzuciła się do ucieczki biegnąc zygzakiem przez dobre pięć minut, klucząc w wąskich zaułkach, zanim odważyła się ponownie obejrzeć. Nadal była ścigana, i to nie tylko przez mężczyznę, chyba lekko rannego, ale i przez postawną, również uzbrojoną kobietę!

Sarah jeszcze bardziej przyspieszyła. Kto mógł podłożyć tę bombę, zastanawiała się. I dlaczego? Czyżby miał z tym coś wspólnego ów mężczyzna w kapeluszu? Gdyby tak było, pozostałby na miejscu, tak jak reszta błyskawicznie nadciągających gapiów. Czy rzeczywiście kiwał na nią ręką? Może chciał ją ostrzec? Ale przecież równie dobrze mogło mu zależeć, by znalazła się bliżej źródła eksplozji.

Ramię bolało ją jak diabli. Czuła, że coraz bardziej kręci się jej w głowie. Musiała się gdzieś ukryć. Z prawej ciągnął się rząd domów mieszkalnych oddzielonych od ulicy ogrodzeniami utrudniającymi dostęp do nisko w ziemi umieszczonych suteryn. Zaciskając zęby jednym skokiem sforsowała barierę i wylądowała obok koszy na śmieci. Wzbiła przy tym chmurę kurzu, który natychmiast osiadł na jej białym fartuchu. Śmieci przywiodły jej na myśl Floresa i ich wariacką eskapadę śmieciarką. Miała wrażenie, że od tamtych zdarzeń upłynęły już całe miesiące. A przecież dziś była sobota, a wtedy był czwartek - zaledwie dwa dni temu.

Tyle wydarzeń... tyle zmieniło się od tamtego czasu! Uświadomiła sobie, że coraz częściej myśli o Asherze i jego dziwactwach. Co się z nią dzieje?

Boże, i jeszcze ten ból ramienia.

Nagle usłyszała kroki kogoś idącego chodnikiem. Musiała się ukryć.

Bezszelestnie przywarła ciasno do ściany domu i wyjrzała zza narożnika. Przed nią pojawił się zupełnie nieoczekiwany widok: dość szerokie schody prowadzące do bramy w wysokim murze. Wbiegła po nich i na moment zatrzymała się przy wejściu. Przed sobą ujrzała rozległy, stary cmentarz. Morze jasnych płyt z piaskowca i granitowych krzyży, a pośród nich ona, w upylonym fartuchu, wyglądająca jak duch.

Ciesząc się z dopisującego jej na razie szczęścia przycupnęła za jednym z kamiennych pomników. Czuła się jak wrak człowieka, zmęczona, obolała, zakrwawiona i brudna.

\*

Zbliżała się godzina zamknięcia komputerowego sklepu Christine Robitaille. Asher Flores pożegnał się ze sprzedawcą i wyszedł na ulicę. Zupełnie niespodziewanie z cienia wyłoniło się trzech mężczyzn i wbiło lufy z tłumikami w jego ciało. W szortach i luźnych koszulkach przypominali turystów, którzy przypadkowo spotkali znajomego.

- Jak dobrze cię znowu widzieć, Asher, stary przyjacielu! - rzekł jeden z nich wprawnym ruchem wyjmując mu jednocześnie pistolet ukryty pod pachą. Popchnęli go przed siebie.

Ludzie Bremnera. Jak, do diabła, tak szybko go znaleźli?

- Flores, tym razem jesteś ugotowany - dodał. - Żyjesz tylko z jednego powodu. Gdzie jest Sarah Walker?

- Kiedy ją znajdziecie, nie zapomnijcie i mnie powiadomić - mruknął Asher. - Sam jej szukam. Wszystkiego już próbowałem. Hughes prosił mnie o pomoc w tej sprawie.

- Nigdy nie dajesz za wygraną, co, Flores?

- Umieć przegrywać, ale tym razem staram się po prostu pomóc, a wy tymczasem wbijacie mi lufy w zębra. Co to za podziękowanie? - Na czoło wystąpił mu pot. Czy Interpol ostrzegł Christine Robitaille? Może sama powiadomiła kogo trzeba, kiedy poszła do swojego biura? A może wytropili go za pośrednictwem kodu Gordona?

- Tutaj, dupku - polecił agent, popychając go brutalnie w zaułek. Przy rozsypującej się ceglanej ścianie stał zaparkowany granatowy renault. Gdy jeden z mężczyzn otwierał drzwiczki, Asher zaniósł się gwałtownym kaszlem.

- Nawet nie próbuj, Flores!

- Jezu, ale jesteście nerwowi. Powiedzcie mi, gdzie szukaliście, a wówczas powiem, gdzie ja próbowałem. W ten sposób zaoszczędzimy mnóstwo czasu.

- Jasne. - Idący z przodu agent otworzył drzwiczki. - Udawaj głupka. I oczywiście powiesz, że nie masz pojęcia, kto załatwił Matta Listera i tego nowego, Beno Durante'a, w Denver, prawda?

- W Denver?

Asher czekał, aż któryś popchnie go w stronę samochodu. Zależało mu na uzyskaniu rozpędu...

- Wsiadaj, frajerze - rzucił trzeci z mężczyzn. Jego twarz wykrzywił grymas pełen obrzydzenia. W ich środowisku agent, który zdradził, był zniechęcony bardziej niż zabójca gliny. A dla nich Flores to bez wątpienia zdrajca.

Asher zaparł się i stał w miejscu.

- Najpierw powiecie mi, co tu się dzieje.

Nie zareagowali. Byli na to za sprytni.

- Hej, chłopaki... - spróbował znowu, ale zamiast odpowiedzi otrzymał mocny cios w kark. Ogarnęła go fala bólu. Zatoczył się. Zanim zdołał odzyskać równowagę, kolejne uderzenie wpełniło go do auta. Padł na siedzenie, piętami uderzając o krawężnik. Nie dawali mu sposobności, by mógł spróbować kontrataku...

- Nie ruszać się! - dobiegł go kobiecy głos. - Bo strzelam!

Asher uniósł głowę. Przez chwilę nie poznawał dziewczyny.

- Walker! Co, u diabła, się z tobą działo? Uważaj na tych klaunów!

Uświadomił sobie, że jego rady są zbędne. Ani na moment nie spuszczała wzroku z agentów, gdy ostrożnie do nich podchodziła. Trzymała pistolet w obu dłoniach, spokojna i zdecydowana, gotowa do natychmiastowej reakcji. Chryste, była ranna. Nie wiadomo skąd wytrzasnęła długi, brudny kitel, teraz zbroczony krwią na lewym barku i na piersi. Jej twarz była poszarzała i zabrudzona, a włosy rozczochrane i pozlepiane. Wyglądała, jakby stoczyła walkę na śmierć i życie... i zwyciężyła!

- To Sarah Walker? - zapytał jeden z agentów wyraźnie zaskoczony.

Cała trójka popatrzyła na siebie unosząc brwi. Jeden pozostał przy Asherze, a pozostali dwaj odwrócili się do dziewczyny, z pistoletami w rękach.

- Cofnąć się! Rzucić broń! - Bez wahania strzeliła im pod nogi. Kula z wizgiem zrykoszetowała na chodniku.

- Mamy rozkaz dostarczyć cię...

Zanim pilnujący go mężczyzna skończył, Asher kopnął go w kolano z taką siłą, że usłyszał chrzęst pękających kości. Agent przewrócił się z głośnym jękiem.

- Nie ruszaj się, Flores! - krzyknął któryś ze stojących naprzeciw Sarah. - Ciebie wolno nam zabić!

Ale Asher był szybki jak błyskawica. Rzucił się w stronę swojego pistoletu, upuszczonego przez powalonego agenta. Ten próbował się podnosić, podczas gdy jego dwaj

towarzysze skoczyli w kierunku Sarah.

- Stać! - krzyknęła, gdy Asher przekoziółkował i jeszcze w locie strzelił. Skroń wstającego eksplodowała krwią i odłamkami kości. Flores wylądował na kolanach i ujrzał, że pozostali dwaj są już niebezpiecznie blisko dziewczyny. Jej źrenice rozbłysły zimnym światłem, jakby w mózgu rozjarzył się jakiś potężny reflektor.

- O, cholera!

Strzeliła dwukrotnie.

Natychmiast uświadomiła sobie, że wszelkie pytania dotyczące tego, kim jest, straciły sens wraz z oddaniem tych dwóch strzałów. Trafionych z tak bliska mężczyzn odrzuciło niczym szmaciane lalki. Nie miała czasu na celowanie w nogi czy ręce napastników. Ich było dwóch, ona zaś sama. Musiała wybierać: ich życie albo kolejne spotkanie z opętanym doktorem Levine'em. Kule utkwily w sercach obu, a na chodniku błyskawicznie wykwitły rozlewające się coraz szerzej plamy krwi.

Strach i niepewność zniknęły bez śladu. Minęła też złość. Pozostały tylko zimna stanowczość i pewność siebie. Bremner popełnił ogromny błąd. Teraz była jednocześnie Sarah Walker i Liz Sansborough. Zespoleniem dwóch osobowości, które zrodziło się w jej mózgu.

W zaułku zapanowała cisza. Na ulicy nieopodal nikt nie zdawał się zwracać uwagi na to, co się tutaj stało. Asher dotknął ramienia dziewczyny.

- Walker? Nic ci nie jest?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Wszystko w porządku, Flores. Wynośmy się stąd.

Jednocześnie spoglądając na pobojuwisko, w głębi ducha przyrzekła sobie: nie pozwoli temu draniowi Bremnerowi, by ziściły się jego zbrodnicze plany.

## 43.

Sarah i Asher nie ruszali się jednak z miejsca. Patrzyli na siebie w półmroku jak zahipnotyzowani, zupełnie nie zwracając uwagi na leżące obok zwłoki.

- Chryste - szepnął Flores. Niespodziewanie zawładnęła nim myśl, że przez całe dotychczasowe życie czekał na nią, i tylko na nią.

- Asher? - Poczula nagłą ochotę pozostania na zawsze z tym mężczyzną, a w chwilę później przyszło przerażenie, że coś podobnego w ogóle mogło zrodzić się w jej głowie. Ona w stałym związku? I to akurat teraz?

- Słucham?

W oddali rozległ się jęk syren i wszystko, co chciała mu powiedzieć, umknęło jej z głowy. Spojrzała na samochód agentów.

- Lepiej ty prowadź - rzekła. Opadła na siedzenie pasażera i, położywszy pistolet na kolanach, podtrzymywała sobie drugą ręką obolałe ramię.

Flores, mając w rękach kluczyki znalezione przy jednym z trupów, wślizgnął się za kierownicę i ostro ruszył do przodu.

- Jak poważna jest twoja rana? - zapytał. - Potrzebujesz lekarza?

- Drobiazg. Kula nie weszła głęboko. Drasnęła tylko bark. Warto by założyć opatrunek i łyknąć coś przeciwko zakażeniu. I aspirynę przeciwbólowo. Na Ranchu szczepili mnie przeciw tężcowi. - Wsparła głowę na zagłówku i nagle poczuła, jak bardzo jest wyczerpana.

- Gdzie twój plecak?

- W biurze doktora Levine'a w Je Suis Chez Moi.

- Doktora Levine'a...?! - zaskoczony popatrzył na jej zmęczoną twarz. - Nic, potem mi o wszystkim opowiesz. Najpierw musimy zdobyć potrzebne medykamenty, a później odpoczniesz. Znalazłem w miarę bezpieczny hotel. Przemycę cię do pokoju, a później zajmę się zdobyciem nowych ubrań. W porządku?

- Brzmi nieźle.

Sięgnęła po beretkę i wyjęła magazynek. Był pusty. Patrzyła nań długo. Wreszcie podniosła wzrok na Ashera. Gdyby zabrakło tej ostatniej kuli... Ale na szczęście nie stało się tak i teraz uśmiechnęła się z ulgą.

Floresowi przyszło zaś do głowy, że w życiu nie widział nic wspanialszego i bardziej ekscytującego niż ten radosny uśmiech malujący się na zmęczonej i brudnej twarzy.

- Naćpałam Levine'a. Dałam mu naprawdę końską dawkę. Miałam cholerne szczęście, że się z tego wywinęłam.

\*

Nocą Paryż nabierał swoistego uroku. Na bulwarach dominowały muzyka i jasne światła. Z niewielkich knajpek dochodziły zapachy perfum, win i egzotycznego tytoniu. Pod rozgwieżdżonym niebem śmigłowiec z Gordonem Taite'em na pokładzie wylądował na dachu Tour Languedoc. Pasażer natychmiast zjechał windą piętro niżej, do francuskiej centrali amerykańskiego wywiadu. Do swego tymczasowego biura wezwał pilnie grupę realizującą MASKARADĘ.

- Meldować.

Poinformowali go, że Sarah Walker została pochwycona podczas próby dotarcia do wnętrza Je Suis Chez Moi.

Twarz Gordona pociemniała.

- Gdzie jest? Bremner będzie chciał...

- Pan Bremner jest w drodze. Został już zawiadomiony - oświadczył dowódca zespołu.  
- Ale... ona znowu uciekła.

- Jak to możliwe?

- Doktor chciał pomówić z nią na osobności i odesłał strażników. Dziewczyna domieszała mu do drinka jakiś narkotyk, odebrała swoją broń i uciekając zabiła kilku naszych ludzi. Została ranna, ale zdołała zbiec. A Levine przynajmniej do jutra do niczego się nie nadaje.

- Dokładnie, jak długo będzie w takim stanie? Gdy naprawimy błędy wszystkich pieprzonych durniów i znowu ją przyskrzynimy, ma do wykonania swoją robotę.

- Nie wiadomo, sir. Jest przy nim asystentka. Zapewniała nas, że wszystko z nim w porządku. A jeśli nie, sama jest w stanie przejąć jego obowiązki.

Gordon splótł dłonie na muskularnej piersi i zamyślił się. Nie lubił tego pompatycznego mądrali Levine'a, ale lekarz był potrzebny Hughesowi Bremnerowi i MASKARADZIE.

- A co z Floresem? - zapytał.

Tuzin zgromadzonych tu mężczyzn i kobiet popatrzyło po sobie niezdecydowanie.

- Mówić! - warknął.

- On także się nam wymknął, sir. - Kierownik grupy operacyjnej opisał sytuację, jaką



zastali jego podwładni wysłani, by sprawdzić, co stało się z trójką długo nie odzywających się agentów.

- Paryscy gliniarze obsiedli tę alejkę jak stado gołębi. Nie udało się nam tam dotrzeć. Ustaliliśmy tylko, że nasz wóz zniknął, a cała jego załoga nie żyje. A w dodatku zabójcy domagają się wyjaśnień, co nasi ludzie robią na ich terytorium bez uprzednich uzgodnień. Wkrótce może się pan spodziewać interwencyjnych telefonów.

- Jestem tego pewny. Kogo straciliśmy? - Wysłuchał nazwisk zabitych i pokręcił głową. - Dziwne. To byli cholernie dobrzy ludzie. Jak przedstawia się bieżąca sytuacja?

Członkowie zespołu po kolei meldowali o realizacji poleceń Gordona dotyczących ustalenia kryjówki zbiegów. Ponad dwudziestu agentów odwiedzało hotele w całym mieście szukając osób, które zameldowały się pod nazwiskami widniejącymi w fałszywych dokumentach poszukiwanych. Wszyscy dysponowali także szczegółowymi rysopisami i zdjęciami Floresa i Walker. Jednocześnie usiłowali znaleźć samochód pochodzący z Languedoc i przeprowadzali wywiady wśród lekarzy i w aptekach, gdzie, być może, widziano kobietę postrzeloną w lewy bark.

- Mamy jej plecak z kompletem dokumentów i pieniędzmi - dodał jeszcze szef grupy.  
- Jeśli zostanie zatrzymana bez paszportu, będzie miała kłopoty. Dysponowała sporą kwotą pieniędzy w gotówce i czekach podróжных. Przypuszczamy, że Flores ma własną, oddzielną pulę. Ciekawe jednak, gdzie zdobyła takie pieniądze?

- To sprawka Floresa. Ten drań włamał się do jednego z naszych funduszy. - Gordon popatrzył po zgromadzonych tak, jakby to oni byli odpowiedzialni za upokorzenie, jakiego doznał, pozwalając Walker wykraść swój tajny kod. Uniósł głowę i zdusił w sobie wszelkie emocje, wzorując się na swym mistrzu Bremnerze. Zgromadził tu przecież najlepszych agentów z terenu całej Europy. - Otrzymałem pozwolenie na wyznaczenie dodatkowej nagrody w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów dla tego, kto znajdzie Walker. Mamy na to zaledwie dwadzieścia godzin. - Jego głos zabrzmiał ciepło i szczerze. Chciał, by poczuli, jak są teraz ważni i potrzebni. - Hughes Bremner i całe Langley liczą na was!

Agenci ze zrozumieniem pokiwali głowami. Bezspornie byli najlepsi i dobrze wiedzieli, że są w stanie wykonać każde zadanie. Dlatego znajdą Sarah Walker.

\*

Dotarli do hotelu Afrodyta - klasycznej budowli z cegły wzniesionej jeszcze w dziewiętnastym wieku. Gdy udało im się przekraść tylnymi schodami do wynajętego wcześniej pokoju, Sarah od razu ruszyła do łazienki, wyposażonej w bidet, suszarkę do włosów i podstawowy zestaw kosmetyków. Była jednak tak obolała i zmęczona, że nie

zwracała na te luksusy uwagi. Łyknęła podwójną dawkę aspiryny, z trudem się rozebrała i okryła miękkim hotelowym szlafrokiem.

Przeszła do pokoju i usiadła przy stole. Asher otworzył buteleczkę antyseptycznego leku. Odsłoniła bark, jednocześnie opowiadając, co wydarzyło się w Je Suis Chez Moi. Pocisk naruszył górną część mięśnia czworogłowego. Asher, zacisnąwszy zęby i słuchając jej relacji, zabrał się do dezynfekowania rany.

Gdy skończył, rzekł:

- Wiesz więc, jak Bremner zamierza zdobyć te miliardy, o których mówił Levine?

- Jeszcze nie. - Zacisnęła zęby, ponieważ rana paliła coraz bardziej. - Levine jest tak przejęty swoją pracą, że nie interesuje go nic innego. Niewykluczone, że Bremner wtajemniczył go w swoje plany, ale widać nie usiłował nawet tego zapamiętać.

- A ten przemysłowiec, którego widziałaś w klinice? Dlaczego nie daje swoim pracownikom tego, czego żądają, skoro jest skłonny uznać, że mają rację?

- Jego postępowaniem kieruje LA GRANDEUR. To określenie Charlesa de Gaulle'a. Jeszcze w latach pięćdziesiątych generał używał go, chcąc przywołać ducha narodowego Francuzów. Pragnął przywrócić krajowi świetność z czasów, kiedy był uznawany za największą potęgę cywilizowanego świata. W każdym razie wszystko na to wskazuje, że operacja Bremnera musi mieć ogromny zasięg, a Levine dzięki niej spodziewa się zbudować supernowoczesne laboratorium. Należy sądzić, że ów finansowy magnat ma w tym także jakiś udział. Oboje dobrze wiemy, iż Bremner nie robi niczego bez określonego powodu. Spodziewa się pokaźnych zysków od kapitałów zainwestowanych w uruchomienie tego tajemniczego klubu dla francuskiej elity.

Asher odstawił antyseptyk i sięgnął po maść antybiotykową. Grubą jego warstwą pokrył otwartą ranę.

Zimna maść nieco uśmierzyła ból.

- Tego się dowiedziałam - ciągnęła. - Po pierwsze, wiemy więc, że Levine prowadzi eksperymenty związane z funkcjonowaniem mózgu, które można uznać za ogromny sukces. Ponadto mamy do czynienia z operacją finansową na ogromną skalę, która zostanie zainaugurowana w poniedziałek i przyniesie miliardy dolarów Bremnerowi i jego ludziom. I po trzecie, pojawił się na horyzoncie międzynarodowy zabójca, który chce się ujawnić, ale Bremner zmierza do zabicia go, zanim ten będzie miał okazję ujawnić to, co wie.

- I ja mogę co nieco dodać. - Asher zrelacjonował przebieg komputerowych poszukiwań przeprowadzonych ze sklepu Christine Robitaille. - Na końcu danych Mięsożercy pojawiło się zdanie informujące o zmianie zamierzeń prezydenta, który postanowił zerwać

wszelkie pertraktacje z mordercą.

Sarah zmarszczyła czoło.

- Coś tu nie pasuje. Dlaczego więc Levine twierdził, że szczegóły przejęcia są już ustalone: realizacja jutro o dwudziestej. Był tego absolutnie pewien.

- Tak szybko?

Potwierdziła ruchem głowy.

- Ktoś jest niedoinformowany, kłamie albo...

- Albo Bremner postanowił działać na własną rękę. Boże, cokolwiek zaplanował na poniedziałek, to musi być coś cholernie poważnego!

- To jeszcze nie wszystko. - Opowiedział o śmierci Lucasa Maynarda. - Również w tym trudno doszukać się sensu. Chyba że Maynard dowiedział się o czymś, czego nie powinien wiedzieć, i należało zamknąć mu usta.

Podczas gdy zastanawiali się wspólnie nad prawdopodobieństwem zdrady Bremnera, Flores przyłożył jej do rany gruby opatrunek i przymocował go plastrami.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś bardzo delikatny, Asher.

Wymienili przeciągłe spojrzenia.

Ona pierwsza spuściła wzrok.

- W jaki sposób mogli cię namierzyć?

- Możliwe, że wysłedzili mnie poprzez kod Gordona. Wydaje mi się to najbardziej prawdopodobne. - Milczał przez chwilę. - W każdym razie ślad Gold Star Rent-a-Car okazał się ścieżką prowadzącą donikąd. Nie znalazłem niczego podejrzanego. Wydrukowałem listę firm należących do Sterling-O'Keefe. Później ci ją pokażę. Może u ciebie wywoła to jakieś skojarzenia.

Naciągnęła szlafrok na opatrzony bark. Asher musiał teraz pozbyć się jej zakrwawionego ubrania i kupić nowe w którymś z pobliskich, otwartych do późna sklepów.

Chciała, aby został. I on tego pragnął.

- Zabili Blounta - powiedziała nagle i przymknęła oczy. - Wciąż nie może to do mnie dotrzeć. Był taki miły, zabawny i szczery. Uważał, że elity tego świata to banda drani, i postawił sobie za punkt honoru ujawnianie wszystkich kompromitujących ich faktów. Był wyraźnie zbulwersowany moim obecnym wyglądem. - Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Musiałaś naprawdę go lubić.

- Tak. - W uszach wciąż dźwięczały jej słowa: „Mój Boże, Sarah... Wyglądasz jak jakaś gwiazda filmowa! - Śmierć jest straszna.

- Lucas Maynard był jednym z najbardziej zaufanych współpracowników Bremnera. Od trzydziestu lat pracowali razem. W Je Suis Chez Moi odwaliłaś kawał dobrej roboty. Jednak wyszłaś z tego z życiem nie tylko dzięki szczęściu. Co skłoniło cię do zakupu tego narkotyku?

- Sama nie wiem. To chyba przecucie. A może spowodowały to osobiste przejścia z podobnymi świństwami.

- W naszej branży taki instynkt nazywamy jajami. Ty bez wątplenia je masz, Sarah, chociaż jesteś kobietą. To coś, do czego nie da się dojść dzięki treningowi.

Czekał, aż zaprotestuje. Powie, że nie jest agentką i nigdy nią nie zamierza być.

- Zmieniłam się - stwierdziła po chwili.

- Wiem.

- I cieszy mnie to.

- Mnie także.

Zapragnął przytulić ją do siebie, powiedzieć, że doskonale rozumie, jak jej ciężko, i pochwalić za pokonanie swego największego przeciwnika - siebie. Ale dość tego, wzywały obowiązki. Musiał zdobyć dla niej ubranie. Miał świadomość, że Mięsożerca ujawni się już jutro. Musieli niezwłocznie dowiedzieć się, gdzie to nastąpi i w jaki sposób Bremner zamierza go zabić, a później, w poniedziałek, zdobyć owe miliardy dolarów.

Sarah dokładnie zamknęła za nim drzwi. Aspiryna zaczynała działać i ból zelżał. Ale im mniej dokuczał bark, tym gorzej było z całą resztą, i to zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym. Doszła do wniosku, że pomoc może gorąca kąpiel. Położywszy załadowaną berettę blisko siebie, weszła do wanny, uważając, by nie zamoczyć opatrunku. Od razu poczuła się lepiej.

Przymknęła oczy i spróbowała o niczym nie myśleć. Ani o terażniejszości, ani o przeszłości. Próbowala, ale bezskutecznie. Wciąż wracały wspomnienia o Je Suis Chez Moi i szalonym doktorze Frankensteinie - Allanie Levine. Znów ujrzała przerażone oczy Blounta McCawa tuż przed śmiercią. Nie była w stanie zapomnieć tego okropnego wieczoru. Wreszcie udało się, gdy myśli powędrowały ku osobie Ashera.

Widziała go oczami wyobraźni. Nieświadomie zaczęła go rozbierać. Uśmiechnęła się do swych marzeń.

Nagle otworzyła oczy, gdy rozległo się chrobotanie klucza w zamku.

Oprócz wejścia do łazienki w pokoju znajdowały się jeszcze dwie pary drzwi - na korytarz i do przyległego pokoju. Dźwięk dochodził od strony wejściowych. Widziała je przez świadomie nie zamknięte drzwi od łazienki.

Z sercem łomoczącym w piersi sięgnęła po pistolet leżący na występie wanny. Wycelowała w drzwi, gdy te zaczęły się otwierać.

Usłyszała kobiecy głos:

- *Bonsoir! Bonsoir! Pardonnez-moi!*

Sarah niespokojnie patrzyła na szparę między drzwiami a framugą. To mogła być wysłanniczka Bremnera. Albo ktoś od doktora Levine'a. A może tylko pokojówka?

Zawołała ostro:

- Proszę odejść! Ten pokój jest zajęty!

Drzwi uchyliły się nieco szerzej.

- *Bonsoir. Bonsoir!*

Wycelowała i zmusiła się do równomiernego oddychania. Boże, żeby to rzeczywiście była pokojówka.

Nagle w wejściu ukazał się Asher Flores, w czarnym, typowo francuskim berecie na głowie.

- *Bonsoir, madame!* - rzekł idealnie naśladowując kobiecy głos.

Wszedł do środka, piętą zatrzaskał drzwi, rzucił trzymane w rękach pakunki na łóżko i cofnąwszy się, przekręcił klucz w zamku.

- Asher! Czyś ty oszalał? Mogłam cię przecież zabić!

Na jego twarzy pojawił się filuterny uśmiech. I dopiero wtedy spojrzał na nią. I już nie oderwał wzroku.

Ujrzała swą nagość odbijającą się w jego oczach. Opuściła pistolet.

Długą chwilę bez słowa patrzyli na siebie. Ogarnęło ją pożądanie, gorące i niemożliwe do opanowania. Znow o nim marzyła i znow go rozbierała...

Podszedł do niej oddychając szybko. Wstała, ociekając wodą i wyszła z wanny. Objął ją. Jego usta mocno przywarły do jej. Język delikatnie głaskał podniebienie. Poczowała podniecającą szorstkość jego dżinsów. Zadrżał, gdy rozpinała i zsuwała mu spodnie. Wspięła się na palce.

- Och, Boże - jęknęła, kiedy wślizgnął się między jej uda. - Och, Boże.

## 44.

W pokoju hotelowym panował półmrok, rozrzedzany tylko nikłym światłem nocnej lampki. Powietrze przesycone było seksem i wonią olejków kąpielowych. Sarah i Asher leżeli przytuleni do siebie. Dopiero po dłuższym zastanowieniu doszło do jej świadomości, gdzie są jej własne nogi, a gdzie jego. Rana i siniaki bolały jak diabli, ale nie zwracała na to uwagi.

- Czyżbyś mruczała jak kot? - szepnął jej do ucha.

- Może. Rzeczywiście wydaje mi się, że coś we mnie szumi. To chyba z radości.

- Przedtem to byłem ja, kiedy się kochaliśmy.

- Tak, ale wtedy też nie mruczałeś. Raczej należałoby to określić jako ryk.

- Rzeczywiście, chyba jestem dość głośny.

Roześmiała się i odwróciła, dotykając jego nosa koniuszkiem swojego.

Oddychaj. Chcę chwycić twój oddech.

- Przecież oddycham.

- Wiem. I chcę, żebyś dalej to dla mnie robił. - Wciągnęła wypuszczone przez niego powietrze. - Cudownie pachnie. - Westchnęła. - Boże, jakże się cieszę, że oboje żyjemy.

- Tak. W tej chwili dopiero możemy to docenić. - Dotknął palcami jej ucha. - Teraz chyba powinniśmy coś zjeść.

- Oczywiście. Musimy zadbać o zregenerowanie sił.

Doszli do wniosku, że lepiej nie opuszczać pokoju. Im mniej się pokazywali, tym lepiej. Asher zarejestrował się pod nazwiskiem, którego nie mógł znać nikt z Languedoc, ale i tak należało wystrzegać się zbędnego ryzyka.

Uniósł się na łokciu. W półmroku ciemne, kręcone włosy i broda sprawiały, że wyglądał jak pirat.

- Tutejsza restauracja jest *superbe*.

Wstał nagi, prezentując wspaniale umięśnione ciało. Podobał jej się, był taki męski.

Przyglądała mu się rozleniwiona jak kotka w słońcu, gdy sięgnął po telefon i nienaganną francuszczyzną złożył zamówienie. Patrzyła na czarny trójkąt włosów łonowych i leniwie kołyszącego się członka.

Podniosła się, uklękła przed nim i opuszkami palców przeciągnęła od owłosionej piersi w dół.

- Jesteś tak niewiarygodnie seksowny... - szepnęła, przesuwając rękę jeszcze niżej.

Aż podskoczył uśmiechając się, lecz odsunął ją delikatnie.

- *Merci beaucoup* - powiedział do słuchawki. Popatrzył w dół. - Boże, nie dajesz nawet zebrać myśli.

- *Merci beaucoup*.

Wciąż nadzy, stanęli obok siebie przy wysokim oknie, wychodzącym na ulicę. Spleceni ramionami wyglądali przez szparę w zasłonach na leżącą poniżej wąską rue Bonaparte, która służyła z eleganckich galerii i antykwariatów.

Czuli przepływające między ich ciałami prądy.

- To ci dopiero stara ulica - rzekł. - Pomyśl, że ludzie chodzili po niej już w trzynastym wieku. - Rozejrzał się uważnie, ale z pewnością nie w poszukiwaniu duchów z tamtych czasów.

Nie dostrzegli nikogo, kto czaiłby się w cieniu, obserwując hotel. Bez słowa, doskonale rozumiejąc znaczenie tego faktu, odeszli od okna i zasiedli naprzeciw siebie przy okrągłym stole.

- Powinniśmy włożyć szlafroki.

- Tak.

Ale nie zrobili tego. Zsunęli bliżej krzesła i przyglądali się sobie radując wzrok.

- Odbyłam dzisiaj rozmowy telefoniczne, o których powinieneś wiedzieć - odezwała się po dłuższym czasie. - Pierwsza do znajomego dziennikarza z Londynu. Przejrzał dla mnie stare roczniki „The London Times” w poszukiwaniu wiadomości o śmierci rodziców Liz Sansborough. Natrafił tylko na krótkie, zdawkowe informacje. Ale było w nich coś niepokojącego. Pamiętasz, co Gordon mówił na temat ich śmierci?

- Tak.

- Rzeczywiście zostali zamordowani w Nowym Jorku. Znalezione ciała były częściowo spalone. Rzecz w tym, że mieli przy sobie portfele, ale puste.

- I co z tego?

- Zazwyczaj złodziej zabiera wszystko. Nie marnuje czasu na wyjęcie z portfela jedynie gotówki i kart kredytowych. Myśli tylko o jak najszybszym oddaleniu się z miejsca przestępstwa.

- Zgadza się. Ale jakie to ma właściwie znaczenie?

- Nie wiem. Może żadnego. Ale to kolejna sprawa, która rodzi wątpliwości.

- Nie rozumiem cię. Przecież aby utwierdzić w tobie przekonanie, że jesteś Liz Sansborough, przekazano ci jedynie bardzo okrojone informacje. Po co mieliby zagłębiać się

w szczegóły dotyczące twoich domniemanych rodziców? Pamiętaj, że ich głównym celem była zmiana twojej osobowości. W takim wypadku detale nie miały żadnego znaczenia, a nawet były wręcz niewskazane.

Kiedy obsługa hotelowa zastukała do drzwi, pobiegli po szlafroki. Zanim się ubrali, dotknął jeszcze jej nagich piersi zachwycony ich kształtem.

Już okryci pozwolili wejść kelnerowi. Ten zręcznie przeniósł jedzenie z wózecka na stół. Asher zamówił dla siebie ravioli z homarów z kapustą, a dla Sarah kaczkę z wiśniami. Do picia zaś czerwonego burgunda - Morey-St. Denis Cios de Tart rocznik 1983.

Gdy odziany na biało kelner uklonił się i wyszedł, Asher uniósł napełniony kieliszek.

- Za twój sukces.

- Nasz sukces.

- Nasz. - Uśmiechnął się, a jego białe zęby zaśniły kontrastując z ciemną brodą.

Z apetytem zabrali się do jedzenia.

- Podobno twoja matka była Żydówką z Polski, a ojciec meksykańskim katolikiem - zagadnęła. - Jak to więc możliwe, że mówisz po francusku jak miejscowy i świetnie znasz Paryż, a nawet słowem nie wspomniałeś o Żydach, Polakach, Meksyku czy Hiszpanii?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Dlaczego?

- Sam nie wiem. A jakie to ma znaczenie?

- Ma. To bardzo ważne, by mieć własne życie. Ja to wiem najlepiej.

- Ty może tak, ale ja wcale tak nie uważam.

Takim go jeszcze nie znała. Ale wyczuła, że mimo oporów chce się z nią podzielić czymś, co go dręczy.

- Aż tak nie cierpiałeś chodzić na przemian do kościoła i synagogi? - zapytała.

- Szczerze mówiąc, obie religie bardzo mi się podobały. Te wszystkie obrzędy i śpiew. Księża i zakonnice, rabini i *minyun*. Opowieści o szlachetnych uczynkach. W soboty wraz z matką odwiedzałem świątynię i nic więcej nie robiłem, bo obowiązywał nas szabas. W niedziele zaś szliśmy z ojcem na mszę. Wydawało mi się to normalne. Aż któregoś wieczoru usłyszałem, że się kłócą. Sprzeczali się o Boga. Który jest prawdziwy. Katolicki czy żydowski? Byłem jedynakiem, więc gdybym dokonał wyboru, utwierdziłbym któreś z nich w przekonaniu, że właśnie ono ma rację. Jak wówczas czułoby się drugie?

Machinalnie popatrzył w okno, jakby zasłony nie stanowiły przeszkody dla jego wzroku. Nadal nie potrafił doszukać się logiki w tej religijnej wojnie rodziców. Wzruszył tylko ramionami.



- Chyba nie powinnam poruszać tego tematu. - Przyjrzała się jego arystokratycznemu profilowi. Odniosła wrażenie, że ciałem Ashera wstrząsnął dreszcz.

- Może - mruknął. Popatrzył na Sarah, wyraźnie zawstydzony, że tak się przed nią odsłonił.

- Nie stanowisz wyjątku - pocieszyła go. - Ja na przykład nie odzyskałam jeszcze moich wszystkich wspomnień. Może załamie się, kiedy wreszcie poznam całą prawdę o sobie.

Przez chwilę czuła się tak, jakby trzymał ją w swoich ramionach. Jego ciało miało w sobie jakiś magnetyzm. Sięgnęła po kieliszek. Ogarnęła ją gwałtowna chęć, aby stanąć przed nim nago i pieścić jego ciało. Nadal podniecał ją jego zapach.

Odłożył widelec i wyciągnął rękę. Gładził palcami policzek dziewczyny. Odchyliła głowę i pocałowała jego dłoń. W oczach Ashera ujrziała głód jej ciała, czułość i delikatność.

\*

Po kolacji pokazał przeznaczone dla niej ubranie - białą, męską koszulę, czarny krawat, ponury czarny garnitur, także skarpety i buty oraz płaski kapelusz z szerokim rondem, szal i fałszywe pejsy w kolorze jej włosów.

Oglądała je, nie kryjąc zdziwienia.

- Boże, wybieramy się na żydowski pogrzeb?

- Mam nadzieję, że nie. To codzienny strój młodego chasyda. Potrzebne ci będą jeszcze okulary... - Wręczył jej okulary w drucianej oprawce. - ...i *tefillin*. - Sięgnął po niewielkie skórzane pudełko na długim pasku. - *Tefilin* - powtórzył. - Pokażę ci jeszcze, jak się go nosi. Przechowują w nim Pismo Święte. Chasyd oznacza „pobożny”, i rzeczywiście oni tacy są. Żarliwie wierzą w Boga i wciąż się do niego modlą.

- Będę wyglądała jak ich uczeń?

- Tak. Młody jesziwa, któremu jeszcze nie rośnie broda. W takim przebraniu nikt cię nie rozpozna.

Zachichotała.

- Cudownie.

Później zaprezentował jej swój nowy strój biznesmena oraz listę obejmującą firmy należące do Sterling-O'Keefe. Kilka nazw odczytała głośno: OMNI-American Savings & Loans, hotele i kasyna sieci Presidents' Palace w Las Vegas i Atlantic City oraz Gold Star Credit Resources i Gold Star Rent-a-Car. Długo studiowała wykaz.

- Nie rozumiem. Czy istnieje jakieś powiązanie między Sterling-O'Keefe a Gordonem, Bremnerem czy samym Langley?

Asher nerwowo spacerował po pokoju.

- Langley! - wykrzyknął pstrykając palcami.

- Co?

- Wcześniej powinienem o tym pomyśleć. Jak nazywał się „założyciel” Langley?

Jeden z tych wizjonerów, który zmienił OSS w dzisiejsze CIA?

Patrzyła na niego zaskoczona.

- John O’Keefe. Rudy Jack O’Keefe.

- Stąd Sterling-O’Keefe.

- O’Keefe to dosyć popularne nazwisko.

- Być może, ale Jack O’Keefe był wzorcem dla Bremnera. Jeśli Bremnera łączy coś z tą korporacją, O’Keefe także może mieć z nią jakieś powiązania.

- A czy on w ogóle jeszcze żyje?

- Gdyby umarł, wiedziałbym. W naszym środowisku byłoby o tym głośno. Przecież to współtwórca szpiegowskiej potęgi Stanów. Gdybyśmy zdołali go odszukać...

- Znajdziemy go.

- Christine Robitaille. - Znow zaczął spacerować po pokoju. - Kiedyś byli kochankami. Opowiadała mi o tym. Może ona będzie wiedziała, gdzie go szukać.

- Ale ludzie z Languedoc na pewno obserwują jej sklep.

- Tak. Wiedzą, że istnieje pewne prawdopodobieństwo mojego powtórnego pojawienia się tam, a zapewne nie chcą zmarnować żadnej okazji. Jutro spróbuję się z nią skontaktować i namówić do spotkania w jakimś neutralnym miejscu. Już kiedyś, wiele lat temu, uratowała mi życie. Teraz musimy znaleźć starego O’Keefe’a, i ona jest naszą nadzieją. Ale najpierw muszę mieć absolutną pewność, że nie działa na dwa fronty.

- Świetnie. Ale jeśli nie ona cię wystawiła, to skąd wzięli się tamci trzej faceci?

- Chyba maczał w tym palce sam Bremner. Musieli się połapać, że dotarłem do funduszu operacyjnego w Denver korzystając z kodu dostępu Gordona. Z pewnością obserwują nadal z jego polecenia, czy znow z niego nie skorzystam. Okazuje się, że zbyt długo ryzykowałem licząc na własne szczęście.

Wtajemniczyła go w swoje plany:

- Jutro zamierzam wrócić do Café Justine. To co prawda mało prawdopodobne, ale może dowiem się od kogoś z personelu, kim jest mężczyzna w panamie i gdzie mogę go znaleźć.

- Dobrze. - Asher stanął za plecami Sarah, kładąc dłonie na jej ramionach, i skrzywił się. Wiedział, że nie ma siły, która by ją zatrzymała. - Ale jeśli Mięsożerca ma się ujawnić już

jutro wieczorem, staną na głowie, by cię znaleźć i wykorzystać w tym diabelskim planie realizowanym wspólnie z Levine'em.

- Pocałuj mnie - szepnęła.

Wargami musnął jej szyję.

- *Merci beaucoup*. Jeszcze. - Wstała pozwalając, by szlafrok zsunął się z jej ramion.

Przesunął dłońmi po jej biodrach, w górę, ku piersiom.

- Umm - zamruczała.

On także oswobodził się ze szlafroka. Natychmiast poczuła żar jego męskiego ciała. Całował ją długo i namiętnie. Zapomniała o bólu. Zawładnęła nią z każdą chwilą przybierającą na sile żądza.

- Nie miałem tego w planie - szepnął ochryple. Ale nie zamierzał przestać.

- Wiem.

Odwzajemniła pocałunek. Znowu głęboko wciągnęła do płuc jego zapach.

- Chodź do łóżka - szepnęła.

Martwienie się o przyszłość odłożyli do jutra.

## 45.

### NIEDZIELA

Coś wyrwało ją ze snu. W ciemności popatrzyła na fluoryzujące wskazówki zegarka. Piąta. Asher leżał na boku, odwrócony w jej stronę, z rękami złożonymi na piersi. Naga, poczuła się jak osaczona zwierzyna.

Gdzie była jej beretta?

Znów usłyszała dźwięk, który zapewne ją obudził. Delikatny chrobot klucza w zamku, jak wówczas gdy brała kąpiel. Odwróciła głowę i obudziła Ashera, szepcząc mu prosto do ucha.

Natychmiast poderwał się na równe nogi.

Stała obok tak blisko, że widziała zarys jego postaci.

- Jednego spróbujemy wziąć żywcem.

Wcisnął jej do ręki berettę i lekko popchnął w stronę drzwi zamkniętych na klucz, stanowiących połączenie z sąsiednim pokojem.

Sam podkradł się do wejścia.

\*

Asher Flores tylko raz zerknął w stronę Sarah. W pokoju panowały takie ciemności, że nie mógł jej widzieć. Był jednak pewien, iż stoi na szeroko rozstawionych nogach dla zapewnienia sobie równowagi, z berettą gotową do strzału. Bardzo podniecała go taka demonstracyjna, kobieca pewność siebie. Szczególnie gdy ta kobieta była zupełnie naga.

\*

Pomacał wokół i stwierdził, że stoi tuż za drzwiami, w miejscu gdzie nie sięgnie światło z korytarza, gdy ktoś je otworzy.

Wszystkie jego zmysły pozostawały w gotowości. Początkowa obawa zniknęła bez śladu. Pozostało tylko podniecenie, jak zawsze. Jedyne głupcy i masochiści wykonywali podobną robotę, nie odczuwając satysfakcji z towarzyszących jej emocji.

Drzwi uchyliły się powoli. Asher miał nadzieję, że sposób przeprowadzenia akcji pozwoli mu się zorientować, jakie będą zamiary Mięsożercy, czy zamierza się ujawnić, a zatem czy Bremnerowi nadal potrzebna jest Sarah do odegrania wyznaczonej jej roli.

Usłyszał, że ktoś usiłuje także otworzyć drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju. Ludzie Bremnera fachowo skoordynowali swe działania.

I nagle postać cała w czerni wślizgnęła się do środka.

Światło z zewnątrz na moment oświetliło intruza i ten widok zmroził krew w żyłach Ashera. Drzwi zamknęły się ponownie. Flores rzucił się na intruza, pchnął go na ścianę i z całej siły uderzył pięścią w żołądek.

Napastnik z jękiem zgiął się wpół i zwymiotował. Asher jedną ręką namacał kark mężczyzny, a drugą zadał cios kolbą pistoletu i tamten osunął się na podłogę. Przez chwilę Flores odtwarzał w pamięci ustawienie mebli. Prawie na oślep, najszybciej jak mógł ruszył w stronę drzwi pilnowanych przez Sarah. Popęłnił błąd. Rozpędzony wpadł na kogoś.

- Jeden został! - głos Sarah był cichy, lecz wyraźny. Powiedziała, że było ich dwóch, ale poradziła sobie tylko z jednym.

Ledwie skończyła, gdy ten drugi rzucił się na Ashera. Był silny jak tur. Flores ledwo utrzymał się na nogach.

I nagle zapaliło się światło.

Przy przełączniku stała naga Sarah. Asher natychmiast zadał napastnikowi cios *tai otoshi*. Gdy mężczyzna upadł, dziewczyna podbiegła do niego i wbiła mu lufę prosto w nos.

- Gdzie wasze wsparcie? Mów! - zażądała.

Facet miał na sobie czarny jednoczęściowy kombinezon, a twarz osłaniała mu kominiarka. Asher zauważył jego zaskoczenie, kiedy zobaczył nad sobą piękną nagą kobietę mierzącą z pistoletu. Wielu mężczyzn mogłoby sądzić, że scena ta jest realną wizją marzeń seksualnych, lecz dla tego człowieka oznaczało to jedynie poważne kłopoty.

Sarah przesunęła lufę w stronę krocza jeńca i powtórzyła:

- Mów!

Napastnik trajkotał tak szybko, że słowa prawie się zlewały. Określił pozycje czterech agentów czekających na zewnątrz: jednego w korytarzu, jednego w holu na dole i dwóch na ulicy. Gdy Asher krępował go, mężczyzna dodał jeszcze:

- Wkrótce zjawi się tu Bremner, a wtedy koniec z tobą, Flores.

- Mów dalej, Howells. Jak nas znaleźliście?

Jeniec uniósł głowę i rozejrzał się. Sarah akurat rozbierała dwóch pozostałych agentów. Cały pokój wypełniał odór wymiocin tego, którego obezwładnił Asher. Gdy oboje, Asher i Sarah, przebierali się w zdobyczne kombinezony, Howells opowiedział, jak agenci Languedoc sprawdzali wszystkie paryskie hotele, zaglądali do ksiąg meldunkowych, pokazywali fotografie i rozdawali rysopisy, aż wreszcie około trzeciej w nocy recepcjonista

hotelu Afrodyta zidentyfikował Ashera.

- Stary policyjny sposób - zauważyła Sarah, wiążąc nieprzytomnych.

- Flores, ty draniu - warknął Howells. - Pieprzony morderco. Jak możesz zabijać swoich?

- To Bremner jest mordercą - odparł spokojnie Asher, pakując rzeczy do sportowej torby. - Co ma się zdarzyć w poniedziałek?

- Niczego ode mnie nie wyciągniesz. - Ale w jego oczach wyraźnie widać było strach i zaskoczenie.

Sarah podeszła do szafki i wyjęła z niej pakunek zawierający nowe ubranie.

- A więc nic nie wiesz o poniedziałku, prawda? - zapytał Asher z wyraźną ironią w głosie. - O ogromnej operacji Bremnera? Założę się, że Langley też o niczym nie słyszało.

- Gówno prawda. - Leżący na podłodze agent, związany jak baran, nie chciał uwierzyć w nic, co mogło źle świadczyć o Hughesie Bremnerze. - Mięsożerca ujawni się dziś wieczorem. A na poniedziałek nie planuje się niczego szczególnego. A ty jesteś kłamcą i cholernym mordercą.

Asher zapiął swoją torbę.

- To Hughes i Gordon mnie wystawili. Powiedz to moim przyjaciółom w Firmie. Chcesz wyświadczyć przysługę ojczyźnie, durniu? Powstrzymaj Bremnera.

Sarah zbliżyła się do drzwi.

- Bremner planuje coś tak ogromnego i przerażającego jednocześnie, że jest gotów poświęcić własnych ludzi. My usiłujemy dowiedzieć się, o co mu chodzi.

Zanim Howells zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Asher zakneblował mu usta. Po raz ostatni rozejrzeli się po pokoju. Sarah zgasiła światło i uchyliła drzwi. Na korytarzu nie było nikogo.

Przebrani w czarne stroje napastników bezszelestnie wymknęli się z pokoju niczym dwa cienie.

Na klatce schodowej natknęli się na nieprzytomnego agenta. Popatrzyli po sobie zdziwieni, ale nie mieli czasu, by zastanawiać się dłużej nad tym faktem. Pospiesznie zbiegli po schodach.

\*

Starszy mężczyzna w szlafroku, trąc powieki, wyjrzał na korytarz hotelu Afrodyta. Coś nie dało mu spać. Wcześniej słyszał jakieś zamieszanie w pokoju tej młodej pary, podobnie jak jeszcze z wieczora kilka rund hałaśliwego seksu. Podśluchiwanie ich wyraźnie sprawiało mu przyjemność.

A teraz, jeśli się nie mylił...

Tak. Drzwi prowadzące do tylnego wyjścia kołysały się jeszcze. Doliczył do dwudziestu i wyrzwał na schody. Leżał na nich nieprzytomny mężczyzna, a w dole widać było jeszcze dwoje szybko oddalających się ludzi w czarnych strojach. W dłoniach trzymali broń.

Uśmiechnął się wyraźnie zadowolony. Pogwizdując, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie szlafroka, wycofał się do swojego pokoju. Ubiegłego wieczora usiłował przekazać Sarah ostrzeżenie, by jak najszybciej oddaliła się od *Je Suis Chez Moi*, zanim eksploduje bomba. Ale dziewczyna nie zareagowała. Nie uwierzyła mu. Na szczęście okazała się dostatecznie szybka i umknęła przed eksplozją. Jego *compadres* obserwowali ją na starym cmentarzu, gdzie zgubiła ludzi doktora Levine'a, a potem gdy zmierzała do sklepu komputerowego Christine Robitaille, aż wreszcie, po kolejnych perypetiach znalazła się tutaj. Kochana Christine. Wspominał ją z ogromną czułością. Kiedyś była cudowną kobietą, ale czas i dla niej był nieubłagany.

W swoim pokoju sięgnął po telefon, przeliczając, że gdy w Paryżu jest czwarta nad ranem, w Waszyngtonie zegary wskazują dwudziestą pierwszą, czyli sześć godzin wcześniej. Wybrał numer Langley. Gdyby się przedstawił, natychmiast połączono by go z Arlene Debo. Ale nie zamierzał z nią rozmawiać. Przekazał tylko operatorowi anonimową informację:

- Proszę dokładnie zapisać - polecił. - Hughes Bremner przejmuje Mięsożercę w niedzielę, o dwudziestej. Arlene, lepiej rusz tu swój zadek, *pronto*, jeśli chcesz go powstrzymać.

Wreszcie podał dyżurnemu kod najwyższego uprzywilejowania, który gwarantował, że wiadomość dotrze bezpośrednio do Debo, gdziekolwiek się znajduje.

Kiedy odłożył słuchawkę, uśmiechnął się, jak zawsze zadowolony z siebie. Miał siedemdziesiąt pięć lat, ale nigdy nie czuł się zdrowszy, sprawniejszy i pewniejszy siebie. Ubrał się, spakował i powiadomił recepcję, że opuszcza hotel.

W niewielkim pokoju wynajmowanym po drugiej stronie miasta na automatycznej sekretarce nagrana była wiadomość od jednego z ludzi wysłanych na obserwację tego dziwnego budynku przy rue Vivienne. Strażacy i policja opuścili już to miejsce i wreszcie zapanował tam względny spokój.

Wyszedł jeszcze raz, by w skrzynce kontaktowej zostawić wiadomość dla Quilla. Wreszcie położył się do łóżka. Potrzebował odpoczynku. Jutro będzie pracowity dzień. Jak zawsze zasnął, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. Spał jak dziecko.

\*

Z pokoju, w którym wcześniej mieszkali Sarah i Asher, dobiegł pojedynczy,

stłumiony strzał. Gordon Taite otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, gdzie oczekiwało go czterech podwładnych. W rękę trzymał berettę z tłumikiem.

- Ten drań Bill Howells usiłował mnie zabić - wyjaśnił. - Flores zrobił mu wodę z mózgu - ciągnął dalej i odczekał chwilę, aby ta informacja dotarła do zgromadzonych. - W porządku, bierzmy się do przeszukania.

- A co z Billem? - zapytał jeden z agentów.

- Nie żyje - odparł ze złością Gordon.

Flores nagadał Howellsowi rzeczy, o których ten nigdy nie powinien się dowiedzieć. Dlatego trzeba było go zabić. Jego ludzie nie zrozumieliby tego, więc na poczekaniu musiał zmyślić historyjkę o konieczności obrony.

Agenci rzucili jak na komendę: niech diabli wezmą tę pieprzoną Sarah Walker i Ashera Floresa.

\*

Korzystając z chwilowej nieobecności dyżurującego recepcjonisty, który wyszedł na zaplecze, Sarah i Asher unieszkodliwili agenta pilnującego wyjścia z foyer i nieprzytomnego ukryli w jakimś podręcznym schowku. Popędzili aleją wyjazdową do hotelu i na skraju najbliższego skweru schowali się za kartonową kryjówką jakiegoś clocharda. Tam się przebrali i naradzili, co robić dalej.

Gdy miasto zbudziły pierwsze światła dnia, przez otwarte okna zaczęła dobiegać muzyka i radiowe wiadomości. Dzwony paryskich kościołów wzywały wiernych do modlitwy. Miłe aromaty kawy i rogalików przyciągały do otwieranych właśnie kafejek. Słońce wspięło się na niebo i wiekowe miasto zaczynało tętnić życiem.

W godzinę później Sarah i Asher siedzieli w knajpce, daleko od hotelu Afrodyta, wspólnie przeglądali „International Herald Tribune” i co chwilę uśmiechali się do siebie. Sarah była już w swoim przebraniu, z pejsami, w okularach, ciemnym stroju i kapeluszu z szerokim rondem.

Asher zaś miał na sobie szare, letnie spodnie, lekkie mokasyny wsunięte na boscie stopy i kremową, lnianą koszulę bez kołnierzyka. Koszula była na tyle luźna, że pod pachą mógł ukryć zawieszony na szelkach pistolet. Na głowie miał czarny beret, podkreślający ekscentryczność swego właściciela.

- Udało ci się odgadnąć, jaki rozmiar ubrań noszę.

- Widocznie jestem w tym dobry.

- Tak. Masz wyjątkową pamięć do kobiecych ciał.

Roześmiał się.



- Wyłącznie gdy chodzi o twoje.

Kelnerka obrzuciła młodego chasyda ciekawym spojrzeniem, lecz bez słowa przyjęła zamówienie.

Asher był wyraźnie niezadowolony, że nie znalazł w gazecie informacji o wynikach Dodgersów. Widocznie mieli przerwę w rozgrywkach. Sarah przejrzała pierwszą stronę i odwróciła kartkę. Jej uwagę zwrócił nagłówek na trzeciej stronie:

NIE WRACAJ DO DOMU, SARAH

Poczuła ucisk w piersi.

To imię, wypisane wielkimi literami, wywołało falę wspomnień. Wzywanie przez mamę na kolację. Gdy kładła się do łóżka, matka zawsze całowała ją na dobranoc w policzek i mówiła: „Kocham cię, Sarah”.

Ojciec zaś, zdenerwowany a jednocześnie dumny z jej wyczynów, krzyczał: „Sarah! Natychmiast złaż z dachu!”

Była pewna, że tytuł artykułu to zwykły zbieg okoliczności, ale zdecydowała się go przeczytać...

## 46.

NIE WRACAJ DO DOMU,  
SARAH

MARYLIN MICHAELS  
specjalnie dla „Herald Tribune”

*Waszyngton. Większość z nas wie o spokojnym życiu. Praca, rodzina, przyjaciele. Ta normalność i płynący z niej spokój powinny cieszyć. Opierając się na takiej solidnej podstawie możemy radować się odnoszonymi sukcesami i rozwiązywać problemy piętrzone przez życie.*

*Ale co się stanie, jeśli zaczniemy mieć wątpliwości dotyczące naszego zdrowia psychicznego?*

*Poznajcie Sarah, trzydziestodwuletnią, inteligentną, ambitną i atrakcyjną kobietę. W ciągu zaledwie sześciu dni jej świat wywrócił się do góry nogami.*

*To, co jej się zdarzyło, powinno być nauką dla nas wszystkich: komu należy i można ufać. Jeśli nie możemy pokładać wiary w nasz rząd, to w kogo? Nauczymy się także czegoś, co dotyczy będzie wyobraźni. To bowiem, co większość z nas uważa za niewyobrażalne, stanowi pożywkę dla geniuszy... i potworów.*

*Nie mogę, niestety, ujawnić nazwiska naszej Sarah ani innych osób występujących w tym cyklu reportażu, lecz możecie być pewni, że wszyscy oni to postacie autentyczne. Dysponuję wszelkimi niezbędnymi dowodami na poparcie swych słów.*

*Ponieważ ze strony niektórych z moich bohaterów grozi mi niebezpieczeństwo, ja także zmuszona jestem posłużyć się pseudonimem. Niebezpieczeństwo grozi i wam, dlatego też postanowiłam poruszyć ten temat...*

Sarah Walker podała gazetę Asherowi.

- Rzuć na to okiem.

Flores zmarszczył czoło na widok nagłówka. Zaczął czytać.

Sarah popatrzyła przez okno na błękitne niebo, gdzieniegdzie upstrzone obłokami, leniwie przepływającymi w lekkich podmuchach wiatru.

W dalszej części artykułu znajdował się opis operacji plastycznej w Beverly Hills, przeprowadzonej na niej przez chirurga, który następnie zniknął w tajemniczych okolicznościach. Później przedstawiona została historia znajomości Sarah z pewnym mężczyzną - Gordonem. Na końcu znajdowała się zapowiedź dalszego ciągu w jutrzejszym numerze. Najbardziej zainteresowanej nie był on już jednak potrzebny. Wspomnienia wracały na początku strzępami, lecz wreszcie ułożyły się w jedną całość.

Nagle przypomniała sobie nową parę lewisów. W domu w Santa Barbara wyjęła je z reklamówki i z przerażeniem stwierdziła, że są pocięte w paski. Kto...? Jak...? Była tylko jedna możliwość... Thiel - najlepsza przyjaciółka - wpadła, by powiedzieć jej coś ważnego...

\*

- Ty pierwsza - rzekła Thiel. - Mężczyźni są ważniejsi od spraw zawodowych. Kim jest ten nowy facet?

Thiel miała kręcone blond włosy, duże, zielone oczy i ciągle rozpierała ją energia. Była zdolną reporterką pracującą dla „Santa Barbara News-Press”, nie rozstającą się ze swym dyktafonem.

Gdy zasiadły przed kominkiem. Sarah opowiedziała jej o spotkaniu z Gordonem Taite'em.

- Zdążył ci już zawrócić w głowie? - zapytała, unosząc brwi z udawaną powagą. - Czy jest delikatny, wielkoduszny i opiekuńczy? Innymi słowy, jak bardzo jest kobiecy?

- Thiel!

- Wiem, jak to jest. Ja także chciałabym kogoś takiego poznać. Kogoś, komu wreszcie będę mogła zaufać.

Sarah roześmiała się.

- A po co nam to? Oni przecież nigdy nie pamiętają nawet o żadnych rocznicach ani urodzinach, a znają wyniki baseballowe sprzed dwudziestu lat.

- Z całej tej gry podobają mi się tylko obcisłe spodnie zawodników. Widać, co mają między nogami.

- Zamknij dwóch zupełnie obcych sobie chłopów w pokoju ze skrzynką piwa, chipsami, telewizorem ze sportowym kanałem, a zaprzyjaźnią się w ciągu pięciu minut i już nie będą chcieli wyjść.

Wybuchnęły śmiechem, klepiąc się po udach.

- Och, Boże. Szkoda, że to szczerą prawdą - stwierdziła Thiel.

- Sądzisz, że kiedykolwiek poznamy facetów, z którymi będziemy chciały zostać na stałe?

Thiel była wyraźnie zaskoczona.

- Chodzi ci o małżeństwo? Widziałas, jak wyglądają ostatnie statystyki dotyczące liczby rozwodów?

- Tak. Ale pomyśl o przedłużeniu gatunku. Nie czujesz się winna, że zaniedbujemy swoje obowiązki w tej dziedzinie?

- Dzieci? Sarah, uspokój się! - rzekła Thiel i sięgnęła po marchewkę.

Gospodyni poszła w jej ślady.

- W porządku, może więc powiesz mi, dlaczego tak nagle chciałaś się ze mną zobaczyć?

Koleżanka długo milczała. Widocznie to co miała do powiedzenia nie bardzo chciało jej przejść przez gardło.

- Widzisz, dostałam pracę w „Chicago Tribune”.

- Moje gratulacje!

- Ale chcę mnie od zaraz. Wynika z tego, że nie będziemy miały czasu na zorganizowanie prawdziwego pożegnania. Nie poznam nawet tego twojego Gordona, chyba że będzie tu, kiedy przyjadę po meble. Jutro wylatuję. A pojutrze zaczynam pracę. Ktoś im tam zmarł i trzeba go natychmiast zastąpić.

Tym razem to Sarah długo milczała.

- Czy mam jakąś wysypkę, AIDS, czy inną zarazę? A może to z powodu nowej twarzy wszyscy mnie opuszczają.

Uściskały się.

- Przepraszam.

- Nie masz powodu przeproszać. To dla ciebie ogromna szansa.

Sarah dotknęła ramienia przyjaciółki.

- Wszystko w porządku, Thiel. Chciałabym teraz, żebyś zajrzała do mojej sypialni. Chcę ci coś pokazać.

Weszły do pokoju i gospodyni sięgnęła pod łóżko po reklamówkę. W środku znajdowały się pocięte dzinsy. Wręczyła torbę Thiel.

- Powiedz, co o tym myślisz?

- Świetne. Akurat mój rozmiar... - Uniosła wzrok i urwała patrząc na Sarah. - Dlaczego zrobiłaś taką dziwną minę? Usiądź. Coś ci jest? Sarah! Co się dzieje?

Spodnie były w idealnym stanie.

\*

Tak, Sarah przypomniała sobie teraz wszystko, poczynając od zniszczenia dzinsów i

ich cudownego powrotu do nienaruszonego stanu, a kończąc na przekonaniu, że otruła szczeniaka otrzymanego od Gordona. Niezwykłe przygnębiający wypadek. Tyle tylko, że teraz uzyskała już pewność, iż to Gordon był za wszystko odpowiedzialny. Zabił podarowanego pieska tylko po to, by uwierzyła, że jest nie zrównoważona, bądź nawet chora psychicznie.

A robił to wszystko w celu, który zamierzali zrealizować w najbliższy poniedziałek. Zabili psa, jej przyjaciela, wielu niewinnych ludzi, planują jeszcze uśmiercić mordercę... To były kolejne szczeble do tego, co Bremner zaplanował na poniedziałek.

Poznanie Gordona było początkiem koszmaru, który stał się jej udziałem. Zawaliła dwa proste artykuły i w rezultacie straciła pracę w „Talk”. Spędziła także podobno upojną noc w Las Vegas z hotelowym boyem. Przypomniała sobie, jak tamtego wieczora szła do swojego pokoju, by przepisać nagrany wywiad. Podczas jego przeprowadzania wypijała drinka, który musiał zawierać jakiś narkotyk, bo niczego dalej nie pamiętała... Ani jak złamała sobie mały palec, ani w jaki sposób rzekomo skasowała tak przecież ważne dla siebie nagranie.

Pokręciła głową. Boże, nic dziwnego, że nabrała przekonania, iż traci rozum. Nic też dziwnego, że w takiej sytuacji zgodziła się na spotkanie ze znajomym Gordona - psychiatrą Allanem Levine'em. I w konsekwencji przystała na zaproponowaną przez niego kurację.

Przypomniała sobie coś jeszcze. W jakiś czas po rozpoczęciu leczenia zniknęły z jej mieszkania stare meble. Pewnego ranka obudziła się i stwierdziła, że teraz stoją w nim nowoczesne, duńskie.

Gordon powiedział jednak wtedy:

- To wszystko twoje. Nie pamiętasz?

Nie pamiętała, ale przyznanie się do tego było dla niej zbyt dużym wysiłkiem. Po chwili zawahała się i zaczęła się zastanawiać, gdzie właściwie jest. A później zapomniała nawet, jak się nazywa.

- Nie wiesz jak masz na imię? - zapytał.

- Nie.

- Dowiesz się. Obiecuję, że wkrótce się dowiesz. A teraz odpoczywaj, mój piękny skarbie.

A potem została Liz Sansborough. Liz, która uznała duńskie meble za własne.

Autorka artykułu w zakończeniu napisała, że cykl będzie się składać jeszcze z pięciu części. Wyraźnie dała do zrozumienia, że przemiana Sarah ma jakiś związek z działalnością władz. Nie wymieniła jednak nazwy żadnej instytucji ani jakiegokolwiek nazwiska. To, jak stwierdziła, zostanie opublikowane dopiero w ostatnim odcinku.

Sarah długo siedziała bez ruchu, przyglądając się przechodzącym ulicą paryżanom. Jej gorący rogalik dawno już zdążył wystygnąć. Kiedy Asher skończył czytać, poprosiła go, by jeszcze raz pokazał jej listę firm należących do Sterling-O'Keefe.

- Zostałam wylana z pracy, bo gwiazdor filmowy, z którym przeprowadzałam wywiad, upił mnie. W istocie był rzecznikiem prasowym Nonpareil Insurance. Nagroda rodziców - wspaniały dom - została ufundowana przez OMNI-Savings & Loans. W hotelu sieci Presidents' Palace w Vegas miałam umówione inne spotkanie, a następnego ranka tamtejszy boy oświadczył, że go uwiodłam, a podczas uprawiania seksu złamałam sobie palec. To drań. - Uniosła dłoń z krzywym palcem. - Wszystko zostało sfabrykowane, z wyjątkiem tego nieprawidłowego zrośnięcia. Liz Sansborough miała przecież skrzywiony palec, musieli więc mi go złamać, abym uwierzyła w nieprawdziwą historię własnego życia.

Pokiwał głową.

- Gold Star, Nonpareil Insurance, OMNI Savings & Loans i Presidents' Palace to części Sterling-O'Keefe. Trudno uwierzyć, by mógł to być zwykły zbieg okoliczności. - W czarnych oczach Ashera zapalił się ogień. - Założę się, że Sterling-O'Keefe stanowi jeden z kluczy do tego wszystkiego, co się tu dzieje. Dlatego musimy zdobyć jak najwięcej informacji o Jacku O'Keefe.

Gdy to mówił, gazeta wysunęła mu się z ręki i upadając otworzyła na jednej ze środkowych stron. Zobaczyli tu własne podobizny, a poniżej ostrzeżenie o dwóch szczególnie niebezpiecznych terrorystów ukrywających się w Paryżu. Wiedzieli, że w końcu i tu dotrze wieść o nich, ale mimo wszystko było to dużym zaskoczeniem. Hughes Bremner wyciągnął przeciw nim kolejnego asa ze swojej talii.

## 47.

W pozbawionym okien, klimatyzowanym pokoju w swojej kryjówce na Montmartre Quill rozszyfrował ostrzeżenie wyjęte ze skrzynki kontaktowej. Dwukrotnie przeczytał wiadomość, po czym zagłębił się w fotelu. Jego twarz jak zwykle nie odzwierciedlała żadnych emocji. Prezydent Stanów Zjednoczonych zmienił zdanie i polecił Hughesowi Bremnerowi odrzucić ofertę Mięsożercy, ale on nic o tym nie wiedział i zapewne Liz także. Wprost przeciwnie - ludzie Bremnera potwierdzili, że przejęcie odbędzie się dziś o godzinie dwudziestej drugiej.

Bremner należał do ludzi, którzy nigdy się nie poddawali. Ale o co teraz mogło mu chodzić?

Quill zaczął spacerować po pokoju, włączył ogromny telewizor, lecz zaraz go wyłączył. Zatrzymał się przed lustrem i przyglądał sobie, po czym przeniósł wzrok na pudełko ze sterydami. I jeszcze raz sięgnął po dostarczoną mu wiadomość: Languedoc było postawione w stan alarmu i uporczywie poszukiwało kuzynki Liz - Sarah Walker. Co, u licha, robiła tu Sarah? Czyżby wykonywała zlecenie redakcji, dla której pracowała? A może to Bremner zamierzał wykorzystać ją w sobie tylko znany sposób?

No i jeszcze ten budynek przy rue Vivienne. Wyglądało na to, że odbywało się tam coś, w czym uczestniczyli najwięksi francuscy politycy i przedsiębiorcy. A informatorzy Quilla donieśli mu ostatnio, że dodatkowo macza w tym palce jakiś wysoko postawiony urzędnik CIA. Czyżby był nim Hughes Bremner, który założył tam swoje prywatne przedstawicielstwo? A jeśli tak, jaki to mogło mieć związek z Mięsożercą?

Quill znowu zaczął spacerować. Popatrzył na palce, z których przy użyciu specjalnego kwasu usunięto linie papilarne. Wreszcie splótł muskularne ramiona na piersi. Ktoś obserwujący go uznałby, że przypomina dzikiego kota zamkniętego w klatce, ale w rzeczywistości nie odczuwał zdenerwowania, a tylko niepokój wynikający z beczynnego oczekiwania. Nie opuszczał go ani na chwilę, odkąd Mięsożerca zdecydował się ujawnić. Ta decyzja radykalnie zmieniła życie Quilla.

Nie był nią zachwycony. Jego zdaniem Mięsożerca powinien pozostać nieznan.

Ale klamka zapadła i teraz jedynym motorem jego działania była Liz. A ona pragnęła wieść normalne życie.

Zabrał się do zmiany swojego wyglądu.

\*

Śmigłowiec wiozący Hughesa Bremnera wylądował na szczycie Languedoc. Pilot wyłączył silnik i szef Mustanga, schyliwszy się, wyskoczył z kabiny. Gordon Taite z ponurą miną już na niego czekał. Co za cholerna passa! Co jeszcze pójdzie nie po jego myśli? Czyżby popełnił błąd powierzając Gordonowi realizację najważniejszej części MASKARADY?

Gdy przechodzili pod występ na skraju dachu, gdzie mogli swobodnie rozmawiać, Bremner pomyślał, jakiej przemianie uległa jego dwudziestoletnia już znajomość z Gordonem. Jej początkiem był moment, gdy uznał, że Gordon jest patologicznym kłamcą i, dopatrzwszy się w nim także innych interesujących go cech, stwierdził, że ten młodzik może mu się kiedyś przydać.

Gordon całkowicie mijał się z prawdą, twierdząc, że był szczególnie uzdolnionym studentem, zwerbowanym do CIA przez swego profesora historii. W rzeczywistości należał do Ku-Klux-Klanu, nielegalnie posiadał broń i był zawieszonym studentem. W owych czasach Langley zatrudniało wielu zabójców, a oficer werbunkowy doszedł do wniosku, że Gordon nadaje się do tej roli.

Jak wielu zawodowych morderców, takich jak Ten Bundy czy Jeffrey Dahmer, Taite nie tylko notorycznie kłamał, ale wyróżniał się także inteligencją i gdy tylko chciał, potrafił być miły i czarujący. Rodzice uwodzonych dziewcząt z reguły darzyli go zaufaniem. Ale one same szybko zauważały jego chorobliwą wprost żądzę krwi.

Bremner uważnie obserwował młodego Gordona, którego cechowała zdumiewająca pewność siebie i całkowity brak hamulców moralnych. Zabijając na polecenie przełożonych, działał w sposób absolutnie beznamiętny, a patologiczny wprost pęd do zapewnienia sobie mocnych wrażeń skłaniał go do coraz większej brutalności.

A Bremner cenił połączenie takich właśnie cech z inteligencją. Potrzebował człowieka, który potrafił być uroczym towarzyszem, a jednocześnie zimnym, wyrachowanym wykonawcą rozkazów. A na dodatek kogoś, czyich potrzeb nie dało się zaspokoić w inny sposób, jak tylko przekraczając bariery wyznaczone przez prawo.

Gordon nawet nie próbował zrozumieć, jakimi pobudkami kieruje się przełożony. Dla niego najważniejszy był fakt, że Bremner, znając jego prawdziwą naturę, nie waha się dać mu władzy, zapewnia mu szacunek i godne miejsce w ich świecie. Zabijał dla swego przełożonego i był mu wdzięczny za umożliwianie tego. Jeżeli miał jakieś nie spełnione marzenie, to była nim jedynie chęć, aby szef Mustanga traktował go jak syna. Obaj o tym



wiedzieli. I po dwudziestu latach Taite uświadomił sobie, że Bremner czasami ma taki do niego stosunek jakby był jego ojcem.

Stali teraz na dachu, obaj wysocy, atletycznie zbudowani, nieustraszeni, twardzi. Patrzyli z wysokości siedemdziesięciu pięter na ulicę w dole i dalej, na panoramę rozległego miasta. Na bulwarach i w alejkach panował normalny ruch. Zewsząd rozbrzmiewały dźwięki kościelnych dzwonów. Była ósma.

- Mów - rozkazał Bremner.

Gordon podał mu „Herald Tribune”.

- Jest tu o mnie. Autorka, Marilyn Michaels, nie podała nazwiska, ale z treści wynika to jednoznacznie. Każdy, kto mnie zna, domyśli się tego.

- Na pewno nie jest aż tak źle - rzekł szef Mustanga i zaczął czytać. Ale było źle. Z trudem stłumił w sobie wściekłość i strach.

- Kim jest ta Michaels?

- To pseudonim Leslee Pousho, suki Lucasa. Skopiowała jego dokumenty. Ale na szczęście mamy już i ją, i te papiery. Bez obaw, dalszy ciąg już się nie ukaze.

Bremner ani słowem nie wspomniał, że dziewczyna wciąż żyje i niewykłuczone, że sporządziła jeszcze jeden komplet kopii. Ale wkrótce zginie, podobnie jak Bunny. Za dwa dni, po sukcesie GRANDEUR, gdy już będzie wprost niewyobrażalnie bogaty, przeniesie się do swojej twierdzy na wysepce Indigo Reef na południe od Pago Pago, na Morzach Południowych, i nikt już nie będzie w stanie mu zagrozić. Z dala od Waszyngtonu, Langley, Arlene Debo i tego nadętego prezydenta.

- A jeśli ktoś się dowie? - zapytał Taite.

Bremner poklepał go po ramieniu.

- Na pewno nie. A teraz mów, co z Sarah Walker. - Za ich plecami pilot zakończył czynności związane z obsługą maszyny i dołączył do miejscowego personelu, który zajął się już bagażami szefa.

Gordon zrelacjonował okoliczności ucieczki Sarah z Je Suis Chez Moi, nieudane próby schwytania Floresa i pechową akcję w hotelu Afrodyta.

- Ktoś podłożył bombę w Je Suis Chez Moi i pomógł Walker uciec, a Flores prawdopodobnie też nie był sam, gdy nasi wreszcie go odnaleźli. Nie wiemy do końca, o kogo chodzi, ale podejrzewamy, że przed sklepem komputerowym pojawiła się Walker. Jeśli tak, to ona właśnie załatwiła naszych agentów. Niewykłuczone, że wszystkich trzech.

- Zbyt dobrze ją przygotowałeś - mruknął Bremner. Po chwili dodał już łagodniej: - Ale może dziś stanie się to nareszcie korzystne i dla nas.

- Tak. Obstawiliśmy całe miasto. Wszyscy są na stanowiskach. Znaleźliśmy ją już dwukrotnie, więc znajdziemy i teraz, ale tym razem już się nam nie wymknie.

- Musimy ją mieć do osiemnastej. Levine potrzebuje co najmniej dwóch godzin, żeby odpowiednio ją przygotować.

- Wszyscy wiemy doskonale, że należy się spieszyć, sir. To dodatkowo dopinguje ludzi, podobnie jak śmierć Billa Howellsa w hotelu. Szkoda, że musiałem go zlikwidować.

- Nie mogłeś inaczej postąpić. To było konieczne - przyznał Bremner kiwając głową.

- A po tym jak Flores i Walker zabili Eda, Steve'a i Jaspera, cały zespół stanie na głowie i zrobi wszystko, żeby ich znaleźć.

- To dobrze. - Zaangażowanie emocjonalne stanowiło najlepszą motywację. Ale szef Mustanga zmarszczył czoło. - Nie dowiedziałeś się jeszcze, kto podłożył tę bombę?

- Wciąż staramy się to ustalić.

- A policja?

Gordon uśmiechnął się złośliwie.

- Załatwiona. Na moje zlecenie jedna z agentek anonimowo skontaktowała się z nimi twierdząc, że reprezentuje wyzwolenczą organizację baskijską i że zamach został zorganizowany przez konkurencję.

Bremner uśmiechnął się lekko, a Taite natychmiast uznał to za pochwałę, a więc powód do dumy.

- Chodźmy.

Ruszyli wzdłuż krawędzi dachu, każdy zagłębiony w swych myślach. Gordona ogarnął spokój, nie zakłócony zwykłą dla niego żądzą mocnych wrażeń. To obecność Bremnera tak na niego wpływała.

W połowie drogi szef Mustanga zatrzymał się, zbadał, z której strony wieje wiatr, i wdrapał się na murek okalający dach. Gordon wahał się przez chwilę, lecz także poszedł w ślady swego nauczyciela. Stali tak nad przepaścią, niepodatni na zwykły, ludzki strach. Bremner czuł się tak, jakby tkwił na szczycie najwyższej góry świata. Miał wrażenie, że jest w stanie sięgnąć nieba. W dole ludzie spieszący do kościołów przypominali mrówki. Wydawało mu się, że wszystko tam, na ziemi należy do niego. Uświadomił sobie, że jest gotów zapłacić każdą cenę i zrobić wszystko, by tylko osiągnąć to, do czego zmierza.

- Popatrz na nich, Gordon. Jakże się cieszą, że od narodzin aż do śmierci są niczym więcej jak tylko mrówkami. Robactwo. Nikt tak naprawdę nie interesuje się ich nędzną egzystencją.

Nagle sięgnął do suwaka spodni i rozpiął go. Mając wiatr w plecy, zaczął oddawać

mocz. Gdy żółta struga uryny popłynęła w dół, roześmiał się na całe gardło. Gordon z przerażeniem przyglądał się swojemu mistrzowi, aż wreszcie zrobił to samo. Obserwowali, jak ich mocz skrapia ów świat robactwa, siedlisko przeciętności.

- Mówiłem ci, że po zakończeniu GRANDEUR zamierzam przenieść się na stałe na Indigo Reef? - zapytał Bremner zapinając spodnie. - Ty także będziesz bogaty. Chciałbyś pojechać tam ze mną, Gordon? Chciałbyś zostać moim numerem jeden?

Serce Taite'a aż podskoczyło. Ogarnęła go ogromna radość. Będzie dziedzicem Bremnera. Jego synem. A pewnego dnia może nawet zostanie obdarzony jego nazwiskiem.

- Bardzo tego pragnę, sir - w jego głosie zabrzmiał szczery zapach.

Hughes Bremner popatrzył na niego chłodno.

- Więc do osiemnastej musisz mi znaleźć Sarah Walker.

## 48.

Sarah przez cały czas tęskniła za Asherem. Marzyła o jego dotyku i ciepłym oddechu na swojej skórze. Gdy szła ulicą w stroju chasyda, czuła się kobietą bardziej niż kiedykolwiek przedtem. To chyba ironia losu, że nie tylko odgrywała rolę tajnej agentki, ale jeszcze się zakochała w przedstawicielu tego brudnego fachu. Do głowy przysła jej stara chińska klątwa: „Obyś żył w ciekawych czasach”. Czuła, że klątwa ta nad nią zawisła, choć z drugiej strony umożliwiła przecież poznanie Ashera.

Skreśliła w rue Vivienne, zwolniła i porzuciwszy marzenia, skupiła się na teraźniejszości. Zaciśnęła zęby, przybrała poważną minę, idąc starała się poruszać raczej barkami niż biodrami, by nadać swym ruchom ciężki, męski charakter.

Spojrzała w głąb ulicy i, zaskoczona, na chwilę przestała oddychać.

Potężny budynek mieszczący Je Suis Chez Moi dosłownie zniknął. Pozostało po nim tylko dymiące gruzowisko. Po wybuchu musiało dojść tu do potężnego pożaru.

Na ulicy wciąż stały wozy strażackie. Strażacy zwijali właśnie węże i składali drabiny. Po przeciwnej stronie ulicy gapie okupowali wszystkie stoliki na chodniku przed Café Justine i tłoczyli się wokół.

Sarah udawała, że nie ma pojęcia o tym, co się tu zdarzyło. Zwróciła się więc o wyjaśnienia do chłopaka z niesforną grzywą, który stał oparty o swój rower. Wiedział tylko tyle, że nie znaleziono żadnych ciał. Nieco dalej, na ławce przy przystanku autobusowym, siedzieli dwaj starsi mężczyźni z papierosami w kącikach ust. Sprzeczali się głośno, kto mógł być sprawcą tylu zniszczeń.

W Café Justine niania kołysząc wózek z dzieckiem przyglądała się nie tylko rumowisku, ale i zgromadzonym tu ludziom. Była otyła, ubrana w prostą sukienkę, grube rajstopy i niezgrabne buty, na głowie zaś miała niewielki, biały czepek. Wyglądała jak wyjęta z ram jakichś francuskich obrazów. Gdy Sarah spytała ją, co tu się stało, powiedziała nie więcej niż rowerzysta.

Sarah weszła do kawiarni. Nie opuszczało jej dziwne uczucie, że gdzieś już widziała tę kobietę. W środku uchwyciła skierowany na siebie wzrok kilku osób, ale uznała to za rzecz normalną. Nigdzie nie dostrzegła mężczyzny w panamie ani nikogo z ludzi widzianych wczoraj w Je Suis Chez Moi.

Usiadła przy barze i po francusku zamówiła gorącą herbatę.

- *Americain?* - zapytała nie kryjąc swej ciekawości obsługująca ją kobieta.

Sarah przytaknęła.

- *Oui. Etudiant* z Kalifornii.

Pogładziła swój modlitewny szal. W przerwach między obsługiwaniem klientów barmanka opowiedziała jej o pożarze, który wybuchł tuż przed świtem. Na szczęście, chyba w związku z wcześniejszym zamachem bombowym, wewnątrz nikogo nie było. Twierdziła, że wszystko to jest sprawką Basków. Gdy mówiła o nich, znacząco popukała się palcem w czoło.

Sarah była zaskoczona. A więc to były tu dwa zupełnie odrębne wydarzenia - wybuch bomby, a dopiero później pożar. Zastanawiając się nad tym, popijała herbatę i odpowiadała kobiecie na pytania dotyczące Izraela i Kalifornii. Wreszcie sama zapytała o mężczyznę w panamie z czerwoną wstążką. Ale barmanka stwierdziła jedynie, że w lecie wielu ludzi nosi takie kapelusze. Na nikogo takiego nie zwróciła szczególnej uwagi.

Sarah wyszła przed kafejkę i stojąc popijała gorący napój. Chłopak na rowerze zniknął, ale na swoich miejscach pozostawali nadal mężczyźni z papierosami i niania. Znów uważnie zlustrowała twarze zgromadzonych. Ale nie rozpoznała nikogo. Przypomniała sobie o doktorze Levine. Miała nadzieję, że wciąż ma halucynacje, a jeśli nawet ustały, to cierpi z powodu okropnego kaca.

Brakowało jeszcze trzech godzin do południa, kiedy to miała spotkać się z Asherem. W pobliskiej budce telefonicznej przewertowała książkę i odszukała w niej nazwisko Chantelle Joyeaux. Uśmiechnęła się, widząc adres dziewczyny. Przechodziła dzisiaj obok jej mieszkania.

Opuściła budkę i ruszyła ulicą. Gdy skręciła z rue Vivienne, ogarnął ją dziwny niepokój. Przecucie Liz Sansborough: szło za nią dwóch mężczyzn. Z lewej dostrzegła jakieś otwarte drzwi. Nie zastanawiając się, skręciła w nie i popędziła mrocznym korytarzem. Na jego końcu widać było światło.

Wypadła na niewielkie patio obrośnięte pelargoniami. Przeskoczyła kamienną ściankę i wylądowała w jakimś wąskim przejściu. Poczuła, że obłuźnił się opatrunek, spod którego znów zaczęła sączyć się krew.

Nie zwracała uwagi na drętwiejące ramię, ponieważ dobiegły do niej coraz bliższe przekleństwa i tupot nóg. Szybko ruszyła po kamiennych schodach i znalazła się w wąskiej, cieniejszej uliczce. Gdzieś z tyłu wciąż słychać było ścigających. Na moment zamarła nasłuchując. Z berettą w dłoni podbiegła do skrzyżowania, jak sądziła, z ulicą, na której była

wcześniej.

Intuicja podpowiedziała jej, że ktoś czai się tuż za rogiem, zapewne ubezpieczając tamtych.

Z pistoletem w obu dłoniach wyskoczyła zza załomu muru. Przykucnięty przy ścianie mężczyzna na jej widok usiłował wstać. Lufą wymierzyła mu cios wprost w spoconą twarz, aż z nosa buchnęła krew. Zatoczył się, ale zdążył chwycić Sarah za ubranie i padając pociągnął ją za sobą. W jego wolnej ręce zobaczyła cienki, błyszczący nóż. Strzeliła bez chwili namysłu. Przeciwnik jęknął i padł na plecy z szeroko otwartymi ustami i wzrokiem wpatrzonym gdzieś w przestrzeń.

Trzymając nerwy na wodzy dziewczyna szybkim krokiem ruszyła ku zapełnionej ludźmi rue Vivienne.

Niemal dopadła już skrzyżowania, gdy obok zatrzymał się brązowy renault. Zobaczyła mężczyznę siedzącego za kierownicą. Gordon!

Nienawiść w jego oczach świadczyła, że gotów jest zrobić wszystko, by ją schwytać. Opuścił boczną szybę i krzyknął:

- Do mnie, chłopcy! Mamy ją!

Obejrzała się. Za plecami miała czterech agentów, a Taite odcinał jej drogę na rue Vivienne. Nie zabijają jej, ale gdyby próbowała uciec, nie zawahają się przed zranieniem jej. Mając tak ogromną przewagę bez trudności sobie z nią poradzą, a przecież dodatkowe wsparcie zapewne także już znajdowało się w drodze. Ale niech ci dranie zobaczą, z kim mają do czynienia. Szczególnie ten jeden - najgorszy.

Strzeliła w kierunku samochodu. Gordon skulił się, otworzył drzwi od strony pasażera i nawet nie draśnięty wyskoczył na zewnątrz. Zakłęła i strzeliła w nogi najbliższego z nadbiegających agentów. Gdy upadł, zwróciła lufę ku następnemu, lecz ten okazał się niezwykle szybki. Mignęła jego stopa i pistolet wyleciał w powietrze.

I nagle nie wiadomo skąd rozległa się długa seria z automatu. Mężczyzna, który pozbawił ją broni, padł na ziemię jakby rażony piorunem. Kula roztrzaskała mu czaszkę. Dwaj pozostali także osunęli się na chodnik, trafieni w piersi.

Sarah rozejrzała się zaskoczona. To niania. Dziecięcy wózek leżał na boku, a siwowłosa kobieta trzymała w rękach uzi. Dziewczynie zakręciło się w głowie. Jak przez mgłę dotarło do niej, że pistolet maszynowy musiał przez cały czas leżeć ukryty w wózku.

Z oddali dobiegło wycie policyjnej syreny. Sarah za wszelką cenę starała się nie stracić przytomności. Zapadła się jednak w ciemną studnię bez dna.

**Część czwarta**

**Mięsożerca**

## 49.

Sarah jakby z oddali słyszała monotony szum klimatyzatora. Otworzyła oczy. Leżała na sofie w niewielkim, skromnym saloniku. Żaluzje w oknach były opuszczone i w pokoju panował półmrok. W rogu zobaczyła sprzęt do treningu siłowego. Naprzeciwko dużego telewizora stał podniszczony fotel. Jedyнным elementem ożywiającym dosyć ponure pomieszczenie były przedmioty ustawione na gzymsie nad kominkiem: kolorowy kapelusz, porcelanowe pudle i fotografia fikającego koziołka klauna.

- Jak się czujesz, Liz?

Dobrze zbudowany mężczyzna średniego wzrostu z krótko przystrzyżonymi, siwymi włosami stał w przejściu do kuchni i przyglądał się jej z troską. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Właśnie wycierał ściereczką kubek. Zmył już z twarzy makijaż, lecz wciąż miał na sobie ubiór niańki.

- Nie wiem - odpowiedziała, czując nasilający się ból. - Boli mnie głowa i szczęka. - Przypomniała sobie szamotaninę z mężczyzną, który chciał ugodzić ją nożem, a później świst kuli tuż nad uchem i wirujący wokół świat. Uniosła rękę i namacała bandaż na głowie.

- Zmieniłem ci też opatrunek na barku. Nie powiedziałaś, że cię postrzelili. - W jego głosie wyczuła pretensję. Znał widocznie prawdziwą Liz Sansborough. Musiała uważać.

- Nie warto było o tym wspominać.

Usiadła. Nieznajomy nawet nie usiłował jej pomóc. Wycofał się do kuchni. Sarah zaś rozejrzała się uważnie, próbując dociec, gdzie jest i z kim ma do czynienia. Mężczyzna najwyraźniej brał ją za Liz Sansborough. Nic nie wskazywało na to, że trafiła do Languedoc, więc jej obecny opiekun musiał być jednym z ludzi Mięsożercy. Chyba że w tej grze uczestniczyły jeszcze inne drużyny, o których nic nie wiedziała.

Wrócił z tacą w dłoniach i usiadł w fotelu. Nalał do kubka herbatę, dodał mleko i cukier. Zapewne w ten sposób przyrządzony napój lubiła prawdziwa Liz. Podał jej naczynie.

Napiła się. Herbata była zbyt słodka, ale dość smaczna.

- Weź to - mówił po angielsku jak rodowity Amerykanin.

Podał jej dwie białe tabletki. Jego ręce zdawały się należeć do niedźwiedzia i widać było, jak ogromna siła w nich drzemie. Nie był wysoki, ale bardzo szeroki w barkach. Może grał kiedyś w football albo uprawiał zapasy i nadal systematycznie dbał o kondycję.



Odruchowo powąchała pastylki i koniuszkiem języka sprawdziła ich smak. Aspiryna. Gdy zobaczyła, jak się jej przygląda, uświadomiła sobie, że popełniła błąd.

Dała do zrozumienia, że mu nie ufa.

Roześmiała się.

- Chyba wciąż jestem w szoku. Zupełnie zapomniałam, gdzie jestem - wytłumaczyła.

Pokręcił głową.

- Ale mnie wystraszyłaś. Co ty, do diabła, wyprawiasz? - w jego głosie brzmiała z trudem tłumiona wściekłość. Widocznie martwił się o Liz.

- Zaskoczyłam cię. Przepraszam.

Uśmiechnął się i nagle przed oczami mignęła jej widziana gdzieś fotografia. Czarno-białe zdjęcie identycznie uśmiechającego się mężczyzny. Tamten miał inne rysy twarzy, a poza tym był zdecydowanie młodszy. Kto to mógł być?

Jego nastrój uległ wyraźnej zmianie.

- Mogłaś wszystko zepsuć. Wszędzie nas szukają. Szczególnie ciebie, bo wiedzą, jak wyglądasz. Miałaś niezłe przebranie, ale jednak mogli cię rozpoznać.

Jeśli zapyta o szczegóły, może mieć kłopoty. Musiała natychmiast zmienić temat.

- Jak udało ci się mnie wyciągnąć? Pamiętam, że zacząłeś strzelać do ścigających mnie. A co stało się z Gordonem Taite'em? Jego też zabiłeś?

Zakaszła, zasłaniając usta serwetką, która nagle zniknęła. Po chwili wyciągnął ją zza dekoltu swojej sukienki. Widocznie był specjalistą od tego rodzaju sztuczek.

- Aroganckie dupki. Dwóch obserwowało cię w Café Justine. Później zrobiło się ich znacznie więcej. Nie mogłem nawiązać z tobą kontaktu. Czekałem więc, aż zaczną działać. W efekcie Taite uznał, że lepiej jeśli się wycofa. I miał cholerną rację. Dysponowałem większą siłą ognia niż oni.

- Ma to jakiś wpływ na ujawnienie? - zapytała beztrąsko.

- Nie. Wszystko załatwione. Ale czy takiego życia naprawdę chcesz? Możesz popełniać niewybaczalny błąd.

- To z całą pewnością nie jest błąd. Czas się ujawnić.

Strzał w dziesiątkę. Nieznajomy był współpracownikiem Mięsożercy. Ale jak tu wyciągnąć z niego, jak naprawdę się nazywa i gdzie przebywa Liz oraz Mięsożerca?

Łyknął herbaty.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, Liz, czego właściwie tam szukałaś. - Popatrzył na nią przenikliwie i nagle poczuła się jak pod aparatem rentgenowskim.

Musiała coś odpowiedzieć.

- A ty skąd się tam wziąłeś?

Rysy jego twarzy stężały. W potężnej dłoni pojawił się walter.

- Moja Liz precyzyjnie odpowiada na pytania. I od lat nie nosiła przy sobie beretty.

Kim jesteś?

Znalazła się w pułapce. Napiała się, uniosła głowę i odpowiedziała na jego spojrzenie.

- Zależy ci na Liz. Jestem jej kuzynką - Sarah Walker. Szukam jej. Musimy pomówić.

Przez moment sprawiał wrażenie zaskoczonego. Wreszcie lufa pistoletu zwróciła się w stronę jej głowy.

- Nie kłam. Sarah Walker i Liz nie są do siebie tak bliźniaczo podobne. A ty mi nie wyglądasz na Sarah. Na dziennikarkę od plotek. - Parsknął pod nosem. - Hughes Bremner połknąłby ją żywcem i tylko się oblizał.

Nie była w stanie ukryć zdziwienia. Skąd ten człowiek mógł wiedzieć, jak powinna wyglądać? I gdzie pracowała? Nie miała jednak czasu na zastanawianie się nad tym. Widać było, że nie żartuje grożąc jej bronią.

- Mów, kim naprawdę jesteś i skąd to podobieństwo do mojej Liz!

Nie spuszczała oczu z jego twarzy.

- Jestem Sarah Walker, a na drugą część pytania nie potrafię odpowiedzieć. Wiem tylko tyle, że ma to jakiś związek z ujawnieniem się Mięsożercy.

- Skąd Sarah Walker miałyby wiedzieć o tym cokolwiek?

- Bo to Hughes Bremner wpadł na pomysł przeprowadzenia operacji plastycznej mojej twarzy, po to, abym mogła odgrywać rolę Liz.

- Udowodnij, że naprawdę jesteś Sarah Walker - warknął.

- Moja mama nazywa się Jane Sansborough Walker. Ojcem Liz był Harold Sansborough - brat mamy. Mój tata - Hamilton Walker - jest emerytowanym profesorem...

- Tego wszystkiego mogłaś się wyuczyć.

- W porządku, wygląda na to, że dobrze znasz Liz. Jeśli tak, to wiesz, że miała babcie, która często piekła specjalny włoski chleb z dodatkiem rozmarynu. Na imię miała Firenze.

- Babcia Firenze? - powtórzył. - Ale przecież ona wcale nie była babcią, ani twoją, ani Liz?

Sarah przytaknęła.

- Nie. Była naszą prababcią.

Przez chwilę siedział bez ruchu, aż w końcu opuścił lufę waltera i uśmiechnął się znowu w dziwnie znajomy sposób. Ale skąd go znała...?

- Czego chcesz od Liz?

- Mam powody przypuszczać, że Hughes Bremner planuje jakąś sztuczkę mającą na celu zabicie Mięsożercy.

Pochylił się do przodu, a potężne ramiona i pierś zarysowały się wyraźnie pod sukienką.

- Mów wszystko, co wiesz na ten temat.

- Nie mogę rozmawiać na ten temat z nieznanym. Muszę wiedzieć, kim ty naprawdę jesteś.

Poprawił się w fotelu.

- Pracuję dla Mięsożercy. Nazywają mnie Quill. - Przeciągnął palcami po przyszytych na jeża włosach. - Historia mojego życia nie ma tu chyba żadnego znaczenia.

- Więc opowiedz mi o Mięsożercy i Liz. Coś, co przekona mnie, że mogę przekazać ci zdobyte wiadomości.

- Jestem w stanie zmusić cię do mówienia.

- Jeśli tak postąpisz, nie będziesz miał pewności, że powiedziałam prawdę. Nie chcę, żeby Bremner zabił Mięsożercę. A ty?

Roześmiał się.

- Ciekawy tok rozumowania. - Zadumał się na chwilę. - Ale dobrze. Od dawna znam Mięsożercę. Zrozumie, jeśli teraz zdradzę kilka z jego tajemnic, szczególnie w sytuacji, gdy wkrótce pozna je wielu ludzi. Mogę ci powiedzieć, że jest Amerykaninem. Wychowywał się w Beverly Hills jako dzikie i nieujarzmione dziecko bogatych rodziców. Na początku lat pięćdziesiątych palił już trawkę i kradł samochody. Kilkakrotnie lądował w więzieniu. Jego ojciec był ogólnie szanowanym prawnikiem, któremu wreszcie znudziły się ciągle problemy z synem. Wyrzucił go więc z domu. Chłopak przeniósł się do kuzyna matki do Vegas. Kuzyn, a właściwie jego wuj pochodził z Włoch i nazywał się Bosa.

Bosa! Przypomniała sobie dossier zebrane przez Langley, w którym zawarte były przypuszczenia, że Mięsożerca w rzeczywistości nazywa się właśnie Bosa!

Quill wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- W Vegas mój przyjaciel dostał pracę w kasynie wuja, ożenił się i próbował ustatkować. Ale wciąż kierowały nim złe duchy. Znalazł więc sobie naraz dwie kochanki. Żona dowiedziała się o tym i w rewanżu też sobie kogoś poszukała. - Milczał długo, wyraźnie niezadowolony z konieczności kontynuowania tej opowieści. - Ale kiedyś amant pobił ją tak, że zmarła. A gliny, nie kiwnąwszy nawet palcem, powiedziały, że nie ma na to żadnych dowodów. Po pogrzebie facet znalazł sobie inną kobietę. Był sadystą, więc i ją bił. Mój przyjaciel, który w kilka lat później zacznie nazywać się Mięsożercą, nie mógł tego znieść.

Kochanek jego zmarłej żony był draniem, któremu wszystko uchodziło na sucho. Dlatego Mięsożerca go zabił.

Quill wzruszył ramionami.

- Oczywiście mój przyjaciel musiał uciekać z miasta. Ojciec jednak nie chciał go więcej widzieć. Włoski wuj, członek La Cosa Nostra, załatwił mu wówczas robotę w Nowym Jorku. To wtedy właśnie przyjął nazwisko Alex Bosa, po wuju. - Uśmiechnął się na myśl, co nastąpiło później. - Kiedy otrzymał pierwsze zadanie, przygotowywał się do niego długie tygodnie. Robota poszła mu tak gładko, że rodzina wypożyczała go przyjacielom, znajdującym się akurat w potrzebie. Miał bowiem umysł tak bystry i precyzyjny jak jego ojciec. Odczuwał satysfakcję z takiego podobieństwa do niego, ponieważ wiedział, że praca, jaką mu powierzano, wzbudziłaby w ojcu oburzenie i pogardę. Była to więc swego rodzaju zemsta na kimś, kto go niegdyś wyrzucił z domu.

- Wreszcie, po kilku latach Alex dostał pierwsze, naprawdę poważne zadanie: zlikwidowanie kubańskiego generała, który nie chciał spłacić hazardowych długów. Ale generał był najlepszym człowiekiem prezydenta Batisty i jego śmierć właśnie w tym momencie ogromnie pomogła Fidelowi Castro w zdobyciu władzy. - Quill uśmiechnął się chłodno. - W określonych kręgach międzynarodowych ta akcja znacznie podwyższyła notowania Alexa Bosy.

A więc dane Langley nie kłamały: akcja mafii rzeczywiście pomogła Castro w przejściu władzy, Mięsożerca urodził się w końcu lat trzydziestych, miał co najmniej jednego rodzica - Amerykanina i był heteroseksualistą.

- A skąd się wziął jego przydomek? - zapytała.

- Ojciec chrzestny rodziny Bosa uznał, że Alex zasługuje na imię sławiące jego umiejętności i okrzyknął go Il Carnivoro „Mięsożercą”. Po wykonaniu roboty na Kubie Alex poprosił o zezwolenie mu na samodzielną działalność. Obiecał jednak, że nadal będzie wykonywał „specjalne” zadania dla rodziny. Była to rozsądna propozycja, więc wyrażono zgodę. W ten właśnie sposób rozpoczęła się kariera Mięsożercy.

Quill odłożył na stolik trzymany w dłoni pistolet i nalał sobie herbaty.

- Ja także poproszę.

Wziął od niej kubek. Poczula dla niego podziw, może z powodu spokoju, jaki z niego emanował. Przeszkolenie odbyte na Ranchu pozwalało jej w pełni docenić tę cechę.

Obserwowała jego precyzyjne, pewne ruchy.

- Jak do tego doszło, że znalazłeś się dziś rano w Café Justine?

- Otrzymałem informację; że Bremner robi jakieś dziwne rzeczy w klinice przy rue

Vivienne. Muszę przyznać, że w tym momencie miałaś ogromne szczęście. A teraz opowiedz mi o Bremnerze.

- Ale ja muszę porozmawiać z Liz! Tu nie chodzi o zwykłą ciekawość. Muszę wiedzieć, jak mogę powstrzymać tego... - Urwała, widząc jego ponury i groźny uśmiech.

Poraziła ją bijąca od niego determinacja.

- Ja sam zajmę się Hughesem Bremnerem. Ty masz mi zrelacjonować jego postępowanie, powiedzieć o planach. Wszystko! Zaczynaj od swojej twarzy. Kiedy...

Niespodziewanie rozległ się sygnał alarmu. Quill nacisnął przycisk na kopercie zegarka i na ekranie potężnego telewizora ukazał się długi korytarz pełen skradających się uzbrojonych mężczyzn. Sarah przez moment widziała złą, zaciętą twarz Gordona, gdy ten poganiał podwładnych.

Odwróciła się. Walter znów znajdował się w dłoni mężczyzny, skierowany lufą w jej stronę. Drugą ręką sięgnął za fotel i wyjął stamtąd uzi.

- To ty ich sprowadziłaś! - warknął.

Od razu wiedziała, że się nie myli.

- Przecież nie zamierzałam tego zrobić - szepnęła.

Myśl, nakazała sobie. Sięgnęła po okrycie i szybko przeszukiwała kieszenie.

- To ten z nożem. Musiał mi jakoś podrzucić nadajnik!

- Nie mam czasu - rzekł Quill celując w jej skroń.

- Jest! Pięciocentówka! - rzuciła, czując jak serce wali jej w piersi. Podobne monety demonstrowano uczniom na Ranchu, z ukrytym w środku mikronadajnikiem. Cisnęła ją w kąt.

- Cholera, powinienem cię przeszukać! Starzeję się. - Skinął na nią lufą pistoletu. - Tędy. Ruszaj!

Poszła za nim przez ciemne przejście. Oczywiście Quill musiał mieć przygotowaną drogę ewakuacyjną. Nagle za ich plecami rozległa się potężna eksplozja. Wiedział, że wysadzili drzwi do mieszkania. Za kilka sekund będą mieć na karku Taite'a i jego ludzi.

Wyskoczyli przez okno na wyasfaltowany dach. Schyleni przebiegli wzdłuż wznoszącej się wyżej ściany. Quill zatrzymał się wreszcie przy jednej z zamkniętych okiennic. Za nimi słychać już było tupot nóg, lecz nikogo jeszcze nie dostrzegli. Otworzył okiennicę i znajdujące się za nią okno. Wskoczyli do jakiegoś zaniedbanego magazynu wypełnionego zapachem cebuli i czosnku. Przedostali się do ciemnego korytarza i pobiegli przed siebie.

Skręcili w prawo, potem w dół chwiejnymi schodami i wreszcie znaleźli się w

niewielkim garażu. Quill zamknął za sobą drzwi na skobel. Nie zatrzyma to ścigających, ale na pewno choć na chwilę osłabi ich tempo. A to już coś.

Wsiedli do lśniącego MG, którego silnik zaskoczył po pierwszym przekręceniu kluczyka. Quill wcisnął pedał gazu i w tym momencie rozwarły się drzwi garażu.

Wyjechali na spokojną ulicę.

Nagle z lewej strony rozległy się strzały. W ich kierunku biegli mężczyzna i kobieta, strzelając z M-16. Ludzie Gordona. To było logiczne: skoro wiedział, że poszukiwana tu jest, kazał obstawić całą okolicę. Quill wystawił uzi przez boczne okno i odpowiedział ogniem. Strzelał i strzelał, nawet gdy już dawno padli martwi.

- Quill! Oni nie żyją! - krzyknęła Sarah, potrząsając go za ramię. - Przestań!

Wtedy dopiero rzucił broń na kolana. Jechali coraz szybciej i na pierwszym skrzyżowaniu Sarah ujrzała dziwny obrazek: klaun z pękiem balonów biegł w ich stronę. Trwało to jednak tylko ułamek sekundy.

Siedziała nieruchomo i miała wrażenie, że w nozdrzach czuje zapach śmierci. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to tylko sugestia. Byli już zbyt daleko od tamtych. W grę wchodziły jedynie wspomnienia: blondyn w Denver, para w bagażniku cadillaca, pracownik Je Suis Chez Moi, Blount McCaw, trzech agentów przed sklepem i teraz tych dwoje. Tyle trupów...

Samochód zwolnił niespodziewanie. A przecież znajdowali się zaledwie kilka przecznic od mieszkania. Wóz potoczył się jeszcze kilkanaście metrów i stanął.

- Przykro mi, Sarah. Próbowałem... - jego głos był tak słaby, że ledwie go słyszała.

Quill przyłożył dłoń do piersi, oparł głowę o kierownicę i westchnął ciężko.

Objęła go, odchyliła do tyłu i ujrzała, że cały lewy bok koszuli jest nasiąknięty krwią. Musiał go dosięgnąć co najmniej jeden pocisk wystrzelony przez tamtych dwoje. Może właśnie dlatego tak długo sam do nich strzelał.

Uśmiechnął się żałośnie, ale i tak jakoś ciepło, znajomo.

- Chyba w końcu szczęście mnie opuściło.

Skąd mogła znać ten uśmiech? Gorączkowo przeszukiwała pamięć. Widziała go przecież gdzieś ostatnio... I nagle sobie przypomniała.

To był uśmiech Hala Sansborough - ojca Liz - zapamiętany ze zdjęcia w starym rodzinnym albumie. Tym, który przeglądała wielokrotnie, wierząc, że sama jest Liz. Ale przecież Hal Sansborough nie żył. Zginął wraz z żoną w Nowym Jorku...

Jak więc Quill mógłby być Haroldem Sansborough?

- Quill! - Chwyciła go pod brodę i zmusiła, by na nią spojrział. Wciąż się uśmiechał. -

Quill! Naprawdę nazywasz się Hal Sansborough? Jesteś moim wujem?

Ciągle jeszcze łagodnie się uśmiechał.

- Wykapana Jane. Powiedz jej, że jestem z ciebie dumny.

Skrzywił się i skurczył gwałtownie.

- I powiedz Liz... że ją kocham.

Przyłożyła policzek do jego ust. Ale Quill już nie oddychał. Nie była w stanie powstrzymać płynących jej po policzkach łez.

## 50.

Oślonięta szklanym dachem łódź była jedną z wielu *bateaux-mouches* kursujących po Sekwanie między Pont de l'Alma a Pont de Sully. W niedzielny poranek można na niej było dostać gorące *brioche*s, *fromage* i dojrzałe owoce.

Hughes Bremner stał samotnie i jedząc powoli przyglądał się nabrzeżu. Sprawiał wrażenie, że widoki te wprawiają go w dobry nastrój, ale w rzeczywistości radośnie nastrajała go bliska perspektywa zakończenia sukcesem dwuletnich przygotowań i wielomilionowych wydatków: GRANDEUR. Będzie to ukoronowanie jego kariery, które uczyniłoby go żywą legendą. Tyle tylko, że nikt się nie dowie, co zdołał osiągnąć.

Zanim ktokolwiek będzie w stanie zorientować się, co naprawdę się wydarzyło, on dotrze już do rajy na ziemi, jakim jest niewątpliwie Indigo Reef. Od dwóch lat gromadził tam dzieła sztuki: obrazy, ceramikę, rzeźby. Tamtejsze biuro, jakże odmienne od znajdującego się na siódmym piętrze w Langley, zdobić będą malowidła Braque'a, Kandinsky'ego oraz Soulagesa. Sama willa została zbudowana przez najlepszych kamieniarzy sprowadzonych z Włoch. Piwniczkę wypełniały znakomite wina z Francji i Kalifornii. Funkcjonował już tam nawet najnowszy system bezpieczeństwa oraz sieć łączności, co zapewniało mu bieżący dopływ informacji o wszystkim, co się dzieje na świecie...

- Niedzielny poranek w Paryżu - rozległ się głos za jego plecami. - To naprawdę wyjątkowy widok.

Bremner ani drgnął. Nie spuszczał wzroku z brzegu rzeki. Obserwował, jak jakaś kobieta kupuje balony dwójce dzieci i spaceruje z nimi wzdłuż nabrzeża. Nie wyobrażał sobie nudniejszego spędzania wolnego czasu.

- Melduj - rozkazał.

Kit Crowther zaczął mówić cichym, monotonnym głosem. To jego zadaniem było pilnowanie realizacji finansowej części GRANDEUR. W nagrodę otrzyma sowitą zapłatę. Ale nie będzie miał czasu nacieszyć się nią. Kiedy tylko wszystkie transakcje zostaną zakończone, Gordon wyeliminuje go.

- Proszę posłuchać, co się stanie - mówił Crowther. - Gdy dojdzie do ogłoszenia tych informacji, natychmiast nastąpią znaczne wahania kursów europejskich walut, stóp procentowych i kursów akcji. Sprzedałem na krótko franki warte dziesięć miliardów dolarów



i natychmiast kupiłem mocne obecnie dolary amerykańskie za osiem miliardów. Zwiększyłem także zasoby francuskich akcji do miliarda dolarów, bo gdy nastąpi dewaluacja franka, ich wartość wzrośnie. Operując rezerwami Sterling-O'Keefe potrzebowałem do tego tylko miliarda w dających stuprocentowe zabezpieczenie papierach. Ale i tak w przypadku niepowodzenia Sterling-O'Keefe już się nie podźwignie.

Bremner tylko lekko się uśmiechnął.

Crowther zaciągnął pożyczkę we frankach i wymienił je na amerykańskie dolary. Gdy tylko franki gwałtownie stracą na wartości, odkupi je znacznie taniej i spłaci kredyt. Do kieszeni Bremnera trafi więc cała reszta pieniędzy, oczywiście po opłaceniu Gordona, Allana Levine'a i jeszcze kilku innych. Będzie wtedy miliarderem, którym postanowił zostać w chwili, gdy porzucił ideę służenia ojczyźnie i założył Sterling-O'Keefe.

Crowther patrzył gdzieś w dal.

- Chciałbym wiedzieć, na jakiej informacji opiera pan tę swoją strategię.

- Nie musisz. Chcesz tylko zarobić swoje pięć milionów dolarów.

Kątem oka Bremner dostrzegł, jak finansista uśmiechnął się i przytakująco kiwnął głową. Za pięć milionów Crowther był gotów pozostać w nieświadomości. Nie na długi.

- Tato! Tato!

Crowther obejrzał się.

- Już idę, kochanie. Gdzie zgubiłaś mamę?

Bremner znów oczami wyobraźni ujrzał Indigo Reef. Oszlifowany brylant pośród błękitnego morza. Już wkrótce będzie mógł dać do zrozumienia całemu światu, aby się od niego odpieprzył. Opuści CIA, zniknie i będzie wiódł żywot, o jakim zawsze marzył. Delikatna bryza. Ciepłe noce. I bogactwo - niewyobrażalne nawet dla królów.

\*

W biurze w Languedoc bremnerowska wizja własnej Arkadii w jednej chwili legła w gruzach.

Na biurku czekała wiadomość od Arlene Debo:

*Przylatuję, Hughes. Będę około siedemnastej waszego czasu. Otrzymałam meldunek, że Mięsożerca dziś wieczorem przechodzi na naszą stronę.*

Bremner z trudem chwycił oddech. Niech piekło pochłonie tę kobietę! Czyżby ktoś ją ostrzegł...? Nie. To niemożliwe. Nikt, kto wiedział o przejęciu, nie mógł jej o tym powiadomić. To byli jego ludzie. Lojalni tylko i wyłącznie wobec swego pana!

Zmusił się do zachowania spokoju i logicznego myślenia. Trzeba było jakoś rozwiązać ten problem. Czyżby ktoś rzeczywiście go zdradził? W ciągu kilku najbliższych

godzin musiał to ustalić i wymyślić sposób na Arlene. A jednocześnie należało dopilnować przygotowań związanych bezpośrednio z Mięsożercą.

Do tego potrzebował Sarah Walker, i to natychmiast.

Sięgnął po prywatny telefon.

\*

Sarah Walker zamknęła powieki martwego wuja i otarła łzy ze swych policzków. Wciąż się uśmiechał, a krew spływała z jego piersi w dół, rozlewając się w gwałtownie rosnącą plamę na siedzeniu. Przed oczami stanęła jej wyraźnie fotografia z albumu. Jego nos był teraz nieco szerszy, a broda mniej wydatna, ale po odjęciu dwudziestu lat i kilkunastu kilogramów nie było wątpliwości, że to ojciec Liz - Hal Sansborough. Ten sam, który stał przed domem w Chelsea trzymając za rękę córeczkę.

„Powiedz Liz, że ją kocham”, wyszeptał umierając.

Otrząsnąwszy się z otępienia, wyskoczyła z wozu i ostrożnie się rozejrzała. Nikogo nie było na ulicy ani w oknach okolicznych domów. Sięgnęła po waltera Quilla i sprawdziła magazynek. Ruszyła ku najbliższej stacji metra, przygnębiona i zdeorientowana. Mężczyzna, którego nigdy właściwie nie знаła, ale który przez pewien czas sądził, że jest jej ojcem, nie żył. Wiedziała, że powinna być wściekła. Powinna pałać żądzą zemsty, ale marzyła tylko o jednym: aby wokół niej przestali wreszcie ginąć ludzie.

Dopiero po pewnym czasie dotarło do niej na dobre, że jest siostrzenicą pozbawionego skrupułów, wielokrotnego mordercy.

I powiedział, że jest z niej dumny.

Ta myśl aż ją zmroziła. Zawodowy zabójca dumny z jej czynów. Odruchowo zaczęła przyspieszać kroku, jakby w ten sposób usiłowała zostawić za sobą dręczące myśli.

\*

Kiedy Sarah dotarła do bistro, w którym umówiła się z Asherem, ten czekał już przy krawężniku siedząc na siodełku nowoczesnego motocykla BMW.

- Boże, twoja głowa! - Delikatnie dotknął jej czoła. - Co się stało?

- Później ci opowiem. Chyba powinniśmy stąd spływać.

- Zgadza się. - Rozejrzał się ukradkiem. - Zdjęcia i informacja o nas odniosła oczekiwany skutek. Dwukrotnie już mnie zatrzymywali. Za trzecim razem mogę już nie mieć tyle szczęścia. - Podał jej czarną skórzaną kurtkę i kask z przyciemnianą przyłbicą. - Dasz radę go włożyć?

- Jasne. - Skrzywiła się z bólu, ale wreszcie wcisnęła go głęboko. - Dokąd jedziemy?

- Jeśli o to chodzi, mam dobre wieści. Do Jacka O'Keefe. Christine Robitaille

powiedziała mi, gdzie mogę go znaleźć.

- Wreszcie! Może od niego się dowiemy, co planuje Bremner.

Kiedy wkładała kurtkę, Asher zauważył ukrytego pod ubraniem waltera.

- Co się stało? Gdzie masz swoją beretkę?

- To długa historia. Znikajmy stąd.

\*

Christine Robitaille siedziała na niewielkim balkonie w Les Halles i leniwie przyglądała się ruchowi ulicznemu. W polu widzenia miała także przecinającą środek miasta srebrzystą smużkę Sekwany. Jak zwykle paląc papierosa myślała o rzece oraz o przeszłości. I o sobie.

Zastanawiała się, czy jej przekleństwem jest powtarzanie wciąż tych samych błędów. A tak dobrze zapowiadała się, dorastając w środowisku paryskich kwiaciarzy. W tym romantycznym mieście, gdzie podstawowymi artykułami były chleb, wino i właśnie kwiaty, rozumiała znaczenie swojej pracy. Czyż był piękniejszy sposób okazania miłości niż wręczenie sześćdziesięciu czerwonych róż? Jaki lepszy prezent od chińskiej wazy pełnej śnieżnobiałych lilii, atlasowych hortensji, zielonych karczochów czy też szmaragdowych paproci?

W Paryżu nawet w najbiedniejszych dzielnicach nie mogło zabraknąć kwaciarni, ale sklep Robitaille znajdował się w ekskluzywnej części miasta. Stał naprzeciw budynku Zgromadzenia Narodowego, w sąsiedztwie wielu ambasad i ministerstw, gdzie istniało szczególnie duże zapotrzebowanie na kwiaty. A Robitaille'owie słynęli z jakości dostarczanego towaru.

Christine miała dwóch braci i dwie siostry. Gdy była jeszcze dzieckiem, wszyscy ją hołubili. Była najładniejszą z dziewczynek, ubierano ją w koronkowe pończoszki oraz plisowane sukienki i traktowano niemal jak rodzinną zabawkę. Gdy chodziła do szkoły, jednocześnie pracowała w sklepie. Miała talent do układania kwiatów, ale tak naprawdę najbardziej lubiła pracować przy kasie. Tam mogła flirtować z młodymi urzędnikami i szacownymi dżentelmenami, którzy przychodzili tu po bukiety dla swoich kochanek.

W wieku czternastu lat zaszła w ciążę. Jej sprawcą był ekspedient z popularnego sklepiku ze sztucznymi kwiatami. Nie tylko jej wiek, ale także jego praca wywołały burzę wśród najbliższych. Największym problemem był ten chłopak. Orzekli, że należy do grona tych, którzy zdradzili piękny zawód, więc nie zasłużył na przyjęcie do rodziny. Mimo to oświadczył się Christine. Należał do honorowych młodzieńców, choć oboje mieli świadomość, że powstała sytuacja jest wynikiem raczej chwili zapomnienia niż prawdziwej

miłości.

Jej katolicka rodzina nie widziała jednak innego wyjścia. Wzięli ślub.

Ale ona uciekła, przerwała ciążę i zaczęła pracować w klubie na Montmartre. Wkrótce trafiła nawet na estradę, tańcząc i śpiewając w coraz bardziej skąpym stroju. Ojciec, kiedy ją wreszcie odszukał, wyszedł z lokalu płacząc. Matce oświadczył, że ich córka umarła. Christine obiecała mu, że już nigdy nie pojawi się w domu.

Przez jej życie przewinęło się wielu mężczyzn, przeżywała coraz krótsze romanse, ale gdy dobiła trzydziestki, uświadomiła sobie, że kariera striptizerki dobiega końca. Właśnie wtedy aktualny kochanek - ciemny przystojniak z Marsylii - zasugerował, by porozmawiała z jego przyjacielem, Jeanem.

Jean, bo tylko z imienia знаła tego człowieka, choć ich zawodowa znajomość trwała już dwadzieścia lat, został jej nowym szefem.

Trafiła bowiem do Interpolu i *amour* - miłosne igraszki stały się jej zawodem. Pracując dla rządu handlowała towarem, którego nigdy jej nie brakowało. Ale teraz miała już ponad pięćdziesiąt lat i siwe włosy, które jakieś pół roku temu przestała farbować. Z upływem czasu jej uroda zbladła. Teraz zbyt dużo paliła, piła i odeszła ją ochota na amory. Nauczyła się, że dla mężczyzn seks był równoznaczny z potęgą. Dla kobiet stanowił jednak tylko jej nędzną namiastkę.

Lubiła Ashera Floresa, nie tylko dla jego osobistego uroku i szacunku, z jakim zawsze ją traktował, ale także dlatego, że jego nazwisko po hiszpańsku znaczyło „kwiaty”. Uważała, że ich spotkaniem, przyjaźnią, a później przekazaniem informacji, które ocaliły mu życie, kierowało przeznaczenie. Zaciągnęła go do łóżka. Nie z miłości, ale by mógł okazać swą wdzięczność.

Tego ranka zatelefonował do jej sklepu. Poleciała sprzedawczyni powiedzieć, że nie ma jej w pracy. Potrzebowała nieco czasu, ponieważ wcześniej otrzymała pewną wiadomość od swego nowego szefa - Guya, który zastąpił Jeana. Guy poinformował ją, że Interpol poszukuje Ashera Floresa, a trzech agentów Languedoc zginęło, usiłując go zatrzymać w pobliżu jej sklepu. Oczywiście wiedziała o tej strzelaninie, lecz nie sądziła, że Asher może mieć z tym cokolwiek wspólnego. Co więcej, w gazecie wyczytała, że Flores i jeszcze jakaś kobieta byli ścigani za zabójstwa dokonane w Denver.

Zaniepokoiło ją to. Ufała Asherowi. Wiedziała, że on nigdy nie zabija, chyba że jest to dla niego ostateczność. Nie mógł być zdrajcą. Ale Guy twierdził, że sprzeniewierzył się Langley.

Więc Asher Flores zdradził. Był renegatem.

Otrzymała rozkaz, by pomóc w wyeliminowaniu go.

Jego towarzyszką - Sarah Walker - musiała zostać jednak pochwycona żywcem i dostarczona do Languedoc.

Widziała się z Asherem, jakieś dwie godziny temu. Nawet skazany zasługiwał przecież na wysłuchanie; nie powiedziała mu jednak, że właśnie dlatego zdecydowała się na to spotkanie. Asher opowiedział jej o Sarah Walker i o tym, jaką krzywdę wyrządził jej Hughes Bremner. Zdradził też, że Mięsożerca zamierza się ujawnić po tylu latach wodzenia za nos służb specjalnych całego świata.

Uwierzyła mu. Był taki młody. A jaki wspaniały z niego kochanek. Pytał, gdzie może znaleźć Jacka O'Keefe. Zatelefonowała do paru osób i ustaliła, że obecnie mieszka w Burgundii. Z Jackiem także kiedyś była związana. Zdarzyło się to wiele lat temu. Ona - wówczas jeszcze bardzo atrakcyjna kobieta, a on - już żywa legenda Langley, tuż przed odejściem na emeryturę. Żałowała, że nie poznała go wcześniej, zanim jego rude włosy nie posiwiały. Rudy Jack O'Keefe.

Miała świadomość, że czas i jej odejść na emeryturę. Gdziekolwiek patrzyła, widziała cienie mężczyzn z przeszłości, których imion nawet już nie pamiętała. *Merde!* Nie mogła już sobie nawet przypomnieć imienia tego pierwszego, za którego wyszła za mąż. Nie żałowała, że przerwała wówczas ciążę, sama bowiem uważała, że nie powinna mieć dzieci.

Jakieś pięć lat temu, po śmierci rodziców ponownie nawiązała kontakt z rodziną. Zaprzyjaźniła się ze swoim siostrzeńcem, który ostatnio przeprowadził się do Seattle i tam otworzył kwaciarnię. Pisał jej, że wokół miasta drzewa rosną tak gęsto, iż przypominają tropikalną dżunglę. Chciałaby to zobaczyć. Nawet więcej - chciałaby mieszkać w Seattle, gdzie nikt jej nie znał i nie prześladowałyby jej wspomnienia. Marzyła, by ktoś z mocodawców w Stanach Zjednoczonych przedarł się przez gąszcz biurokracji i załatwił jej status rezydenta oraz emeryturę.

Guy i Asher Flores stworzyli taką właśnie możliwość. Za sprawą jednego telefonu mogła zdobyć bilet do Seattle. Ale czy tego naprawdę pragnęła?

A co z Asherem? Czy byłaby w stanie żyć ze świadomością, że przyczyniła się do jego śmierci?

Zgasła papierosa i zaczęła chodzić po mieszkaniu, jednocześnie się rozbierając. Włożyła skromną koszulę nocną, umyła zęby, przepłukała gardło i położyła się do łóżka, jakby to była już noc. Od wielu miesięcy nie miała żadnego mężczyzny i właściwie nie chciała nawet o tym myśleć, choć ciało wciąż się buntowało.

Obróciła się na bok i przykryła głowę poduszką. Co powinna zrobić?

Miała świadomość, że została zmuszona do wyboru między życiem Ashera... a własnym.

\*

Christine Robitaille nie usnęła. Godzinę później znów była na nogach. Zatelefonowała. Po upływie kolejnych trzydziestu minut szła już rue de Rivoli.

Mijała perfumerie, butiki, sklepy z pamiątkami i księgarnie, podświadomie rejestrując, że klientela nie dopisuje. Znów ta recesja. Weszła pod arkady Café Madeleine. Wybrała stolik na zewnątrz, skąd miała dobry widok na ulicę.

Zamówiła kawę. Ledwie ją przyniesiono, zauważyła wysokiego, przystojnego mężczyznę, który sprawiał wrażenie, jakby przyszedł tu na lunch. Zatrzymał się tuż przy wejściu i wypatrywał odpowiedniego stolika. To chyba on.

Sięgnęła po papierosa ze złotą obwódką i trzymała go na wysokości ust. Zauważył znak.

- Jeśli można, *mademoiselle*.

Podał jej ogień. Zaciągnęła się i popatrzyła w jego zimne oczy. Stwierdziła, że jest w nim coś z raroga, a może sokoła. Ze słyszenia wiedziała, że to prawdziwy drapieżca. Jak to dobrze, że podjęła odpowiednie środki ostrożności.

- Hughes Bremner? - zapytała.

- *Oui*.

- Proszę siadać, *monsieur*. Mamy szereg spraw do omówienia.

## 51.

Przyciemniane przyłbice motocyklowych kasków osłaniały ich twarze, ale Sarah nie przestawała się rozglądać w przekonaniu, że polowanie na nich przybrało na sile. Wiedziała, że Hughes Bremner tak łatwo się nie poddaje.

- Co z twoją beretką? - zapytał Asher, przekrzykując warkot silnika motocykla.

Przyłożyła swój kask do jego.

- Zapewne jest już w Languedoc. Gordon znowu omal mnie nie dopadł. - Opowiedziała o napaści w pobliżu Je Suis Chez Moi i o tym, jak uratowała ją „niania” Quill. Później zrelacjonowała drugą akcję CIA, śmierć swego wybawcy i odkrycie, kim był on w rzeczywistości.

- Był twoim wujem? To znaczy ojcem Liz? Ale przecież podobno on i twoja ciotka zginęli w Nowym Jorku.

- Widocznie ich śmierć została sfingowana. Przynajmniej jego. Pamiętaj, że w portfelach znaleziono dowody tożsamości. Dzięki temu nie uznano za konieczne przeprowadzenia dokładnej identyfikacji zwłok. Przecież on był „tylko” kupcem, a ona gospodynią domową. Bardzo przeciętni ludzie.

Kilka kilometrów za miastem Asher zjechał na pobocze, zatrzymał motor i nie gasząc silnika odwrócił się do Sarah.

- Ale po co tyle zachodu?

Westchnęła głęboko.

- Spokojnie, panie Flores. Według mnie wujek Hal miał po temu ważny powód. Po pierwsze, rzekomo był komiwojażerem, ale człowiek, którego ja poznałam, to bezlitosny zawodowy morderca, mistrz sztuki kamuflażu i... kuglarstwa. Wiedział chyba wszystko o najbardziej tajemniczym zabójcy na świecie. Opisał mi rodzinę tego człowieka, jego powiązania z mafią i pierwsze zadania.

- Liz mogła mu o tym powiedzieć.

- A więc zwróć uwagę na występujący tu dziwny zbieg okoliczności: ojciec Mięsożercy był podobno adwokatem w Beverly Hills, cieszącym się złą sławą, który wyrzucił go z domu jeszcze jako nastolatka. A przecież ojciec wuja Hala, mój dziadek, także odpowiada temu opisowi.

- Rzeczywiście brzmi to nieco podejrzanie.

- Mięsożerca i wuj Hal są mniej więcej w tym samym wieku. Moja babcia Firenze, a właściwie babka Hala, była Włoszką. Wuj mieszkający w Vegas, który zaopiekował się Mięsożercą, także pochodził z Italii. A później jeszcze ów ojciec chrzestny w Nowym Jorku... Babcia Firenze miała zapewne wielu kuzynów urodzonych na Sycylii...

Milczeli. Czas zdawał się stać w miejscu.

- Podróże w interesach stwarzały wujowi świetne alibi - przemówiła wreszcie. - Posiadanie żony i córki jeszcze bardziej odsuwały od niego wszelkie podejrzenia. Kto mógłby przypuszczać, że ciężko pracujący przedstawiciel klasy średniej, posiadający piękną żonę i wspaniałą córeczkę, jest zawodowym mordercą?

Asher pokiwał głową.

- Mafijny ojciec chrzestny w Nowym Jorku wymagał od Mięsożercy corocznego składania wyrazów szacunku i posłuszeństwa, a to tłumaczyłoby regularne wizyty w Stanach.

- Kiedy mama pisała do niego, zapewne wysyłała mu przy okazji jakieś zdjęcia moje i Michaela. Stąd zapewne wiedział, jak wyglądałam przed operacją. Po „śmierci” zaś pewnie na bieżąco śledził, co się z nami dzieje. Musiał wiedzieć, gdzie jesteśmy i czy przypadkiem nie sprawimy mu kłopotów. To dzięki temu znał moje miejsce pracy. Zawsze dziwiło mnie, że mama tak mało mówiła o nim i jego najbliższej rodzinie. Z oczywistego powodu wołał utrzymywać z nią jak najluźniejsze stosunki. Musiał dbać o to, by jak najmniej osób cokolwiek o nim wiedziało. A później „zginął”. - Pokręciła głową. - Boże, to mnie przeraża, że mogę być siostrzenicą Mięsożercy!

- Ciekawe, czy to za jego namową Liz podjęła pracę dla Langley - mruknął Asher.

Zamilkli, rozmyślając o Mięsożercy, Liz Sansborough i Hughesie Bremnerze.

Wreszcie odezwał się Flores:

- A więc już po wszystkim. Jeśli Mięsożerca nie żyje, Bremner nie musi się już niczego obawiać.

- Ale dla nas to nie koniec. On nas nie może pozostawić przy życiu. Zbyt wiele wiemy.

- Dlatego musimy koniecznie czegoś więcej dowiedzieć się o Sterling-O'Keefe i tej tajemniczej poniedziałkowej operacji Bremnera. Wciąż istnieją szanse, że pokrzyżujemy jego plany.

- Nie zapominaj o Liz. Na pewno jest równie sprytna, jak i twarda, a ponadto wie dużo o Mięsożercy. Bremner musi także i jej się pozbyć.

- Zgadza się.



- Może więc sama zdecyduje się ujawnić.

Popatrzył w dal, gdzie w cieniu jaworów pasło się bydło.

- Jeśli wyjawi to, co wie, przynajmniej nie będą już na nią polować. Znajdzie gdzieś azyl i ureguluje własne życie: wyjdzie za mąż, urodzi dzieci, podejmie pracę. Będzie kimkolwiek zechce. - W zamyśleniu pokiwał głową. - Tak, ma powody, by wyjść z ukrycia. Wygląda więc na to, że sytuacja Bremnera nie uległa zmianie: nie może ryzykować, bo Mięsożerca mógł przekazać jej tajemnice, na których i jemu tak bardzo zależy.

- Sytuacja niby się zmieniła, a mimo to pozostała taka sama. Nawet jeśli Mięsożerca nie żyje, to Bremner i tak musi nas wyeliminować. Nie można wykluczyć także, iż do dwudziestej wcale się nie dowie o śmierci Mięsożercy.

- To prawda. Trudno jest przypisać konkretnej osobie twarz, której nikt nie zna. Na czym więc w takim przypadku oprzeć identyfikację? Być może my jesteśmy jedynymi, którzy poznali prawdę. Spróbujmy więc to jakoś wykorzystać.

- Ale przecież mogę się mylić - rzekła Sarah dotykając jego policzka. - Quill jest moim wujem, ale może równocześnie był tym, za kogo się podawał: zaufanym podwładnym swego szefa. Reszta to tylko zbieg okoliczności albo celowo wymyślone przez niego kłamstwa. Mógł przecież zmyślić całą tę opowieść o życiu Mięsożercy. Do tej pory zabójcy skutecznie udawało się wodzić za nos cały świat. A jeśli to tylko mój wujek zginął, a Mięsożerca będzie działać dalej?

\*

W Café Madeleine przy rue de Rivoli Christine Robitaille nie skosztowała nawet łyżeczka kawy. Nie spuszczała wzroku z Hughesa Bremnera. Choć mu nie ufała, jednocześnie była pełna podziwu. *Un homme galant*. Był dostatecznie czarujący, by uznać go za rodowitego Francuza.

Doceniła jego mistrzostwo w modulowaniu tonu głosu i doborze komplementów. Zaproponował szampana. Musiała jednak odmówić. Osobisty czar rozmówcy nie osłabił bowiem jej czujności.

- Ma pani podobno dla mnie informacje dotyczące Sarah Walker i Ashera Floresy? - zapytał szef Mustanga uśmiechając się przebiegle.

Podobała jej się jego męska agresywność, twarz o drapieżnych rysach, głęboko osadzone oczy i dyskretna, arystokratyczna gestykulacja. Był człowiekiem, który radził sobie w każdej sytuacji.

- Mogę panu powiedzieć, dokąd teraz jadą. I gdzie będą przebywać dzisiejszego popołudnia.

Lekko przechylił głowę i kiwnął nią, potwierdzając zainteresowanie tym tematem.

- Proszę mówić dalej.

- Ja także mam pewną sprawę.

Słuchał uważnie, gdy wyjaśniała, że pragnie przeprowadzić się do Seattle i spodziewa się, że tam w banku będzie już na nią czekać okrągła sumka, a stan konta co miesiąc wzrastać o przekazywaną na nie emeryturę.

- Hm, nie widzę z tym większego problemu - rzekł. - To dość umiarkowane żądania.

- Nic dokładniejszego nie mogę powiedzieć o Asherze i owej dziewczynie, dopóki nie zobaczę swoich nowych dokumentów - ciągnęła. - Chyba pan rozumie?

- Oczywiście. Tak się jednak składa, droga pani, że trochę się spieszę.

Uśmiechnęła się. Była gotowa pertraktować. Wyprostowała się na krześle i sięgnęła po kolejnego papierosa.

- Ile czasu panu potrzeba?

Bremner zastanawiał się przez moment.

- Godzinę. Może nieco więcej.

- A więc przyjdę tu za godzinę.

Bremner pierwszy wstał i wyszedł.

Christine była głodna, ale postanowiła, że nie będzie tu jeść. Zgasiła papierosa i przez pewien czas spacerowała, sprawdzając fachowo, czy Bremner nie zlecił swoim ludziom śledzenia jej. Wreszcie zaszła do *bistra*, którego nigdy wcześniej nie odwiedzała. Zjadła smaczny lunch i punktualnie po godzinie wróciła do Café Madeleine.

Bremner już na nią czekał. Pokazał paszport amerykański z wypisanymi jej danymi osobowymi. Brakowało tylko fotografii. Schował go do kieszeni, po czym z innej wyjął grubą kopertę pełną studolarowych banknotów. I ona wróciła na poprzednie miejsce.

- A emerytura? - zapytała.

- Sprawa jest już nagrywana. - Wzruszył ramionami. - W tym wypadku będzie mi pani musiała zaufać. Dopiero jutro będę w stanie załatwić formalności.

- Hm. - Christine rozejrzała się po ulicy. - W takim razie dopiero jutro i ja przekażę panu swoje informacje.

- Wówczas nie będą mnie już interesowały, bo przecież dotyczą dzisiejszego dnia.

- To prawda. *Quel dommage*. Co za szkoda. - Być może blefował. Ale jeżeli mówił prawdę, musiała znaleźć inny sposób na zdobycie potrzebnych dokumentów, bo nigdy nie zdecyduje się zaufać człowiekowi pokroju Bremnera.

Wstała więc.

Zdziwiony uniósł brwi.

- Przepraszam, *mademoiselle*. Widzę, że źle panią oceniłem. - Wyjął kartkę z jeszcze innej kieszeni i podał jej. Usiadła i przeczytała uważnie treść. Już od następnego miesiąca miała otrzymywać od amerykańskiego Departamentu Stanu dosyć okazałą emeryturę.

Obdarzyła go czarującym uśmiechem.

- *Excellent*. Teraz da mi pan paszport i gotówkę, a ja przekażę swoje informacje. - Wyciągnęła rękę.

Posłusznie położył jej na dłoni to, czego żądała.

Znów wstała. Twarz Bremnera pociemniała ze złości. Zerwał się szybko i popatrzył na nią groźnie.

- A teraz pani kolej, *mademoiselle!*

Delektowała się naelektryzowaną atmosferą.

- Proszę, *monsieur*. Niech się pan nią nacieszy. - Z torebki wyjęła niewielką karteczkę, położyła ją na stole i pospiesznie się oddaliła.

## 52.

Christine Robitaille opuściła księgarnię tylnym wyjściem, szybkim krokiem przemierzyła alejkę i wydostała się na gwarną ulicę, przy której zaparkowała samochód. Popatrzyła na niego z daleka i nagle odczuła jakiś niepokój. Zdobyła paszport amerykański, sporą sumę pieniędzy i gwarancję emerytury... a jednak coś ją gnębiło i rodziło niepewność.

Ruszyła ulicą w przeciwną stronę. Co teraz powinna zrobić? Próbowała zatrzymać taksówkę, lecz wszystkie przejeżdżające miały już pasażerów - odświętnie ubranych wiernych powracających z kościołów do domu. Nienawidziła metra. Najchętniej wsiadłaby do własnego samochodu. Jutro poprosi przyjaciela, by go sprawdził i upewnił się, czy nie założono podsłuchu albo ładunku wybuchowego. A teraz najprościej będzie po prostu wynająć auto. W pobliżu znajdowała się placówka Gold Star Rent-a-Car. Ruszyła w jej stronę, lecz po chwili znów zmieniła zdanie.

Ktoś za nią szedł.

Przyspieszyła kroku idąc w stronę rue de Rivoli, którą dotrze do labiryntów Luwru. Po raz pierwszy odczuła strach. Była pewna, że śledzi ją co najmniej jeden mężczyzna. Miał na sobie letnie spodnie, luźną koszulę i okulary przeciwsłoneczne. Przez pewien czas szedł po tej samej stronie ulicy, później zaś przeszedł na drugą.

Udawał, że ogląda wystawy sklepowe, lecz lata pracy w Interpolu pozwalały jej bez trudu zorientować się, jakie wykonuje zadanie.

Ktoś ciągnął za nią ogon.

Chciała jak najszybciej znaleźć się w Luwrze. Tam zdoła się ukryć. *Mon dieu!* Luwr byłby w stanie zapewnić w miarę bezpieczne schronienie wszystkim szpiegom Francji, Anglii i Niemiec razem wziętym!

Byle tylko się tam dostać i...

Teraz zauważyła także idącą za sobą kobietę. W pewnej odległości, ale po tej samej stronie ulicy. Atrakcyjna dziewczyna w szortach i przewiewnej bluzce, z dużą torbą trzymaną pod pachą.

Na tyle dużą, by z łatwością mogła pomieścić pistolet.

Christine zaczęła się pocić. Przyspieszyła jeszcze. Gdy wreszcie ruszyła biegiem, jakiś mężczyzna zagroził jej drogę.

Zderzyli się.

- *Pardonnez-moi!* - wykrzyknął, podtrzymując Christine, by nie upadła.

Nie potrzebowała pomocy! Odepchnęła go.

- *Ca m'est egal!*

- Christine, *ma cherie!* - zawołała kobieta z tyłu.

Na dźwięk swojego imienia Christine znów ruszyła biegiem. Musiała im uciec!

I niemal natychmiast uświadomiła sobie, że już na to za późno.

Poczuła ukłucie w pośladek. Ogarnęła ją fala ciepła, a potem nagła słabość. Ugięły się pod nią nogi.

Chciała krzyczeć. Chciała walczyć. Chciała biec. Ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Ktoś wyrwał jej torebkę. Przez moment była wściekła. Przecież w środku były pieniądze i dokumenty gwarantujące przyszłość, o której marzyła. Zbyt późno. *De par le roi, defense a Dieu, de faire miracle en ce lieu.* Wzięła ją w posiadanie zimna, cicha śmierć.

\*

Tego ranka Bunny Bremner obudził jakiś drażniący dźwięk. W ustach czuła suchość i niesmak, a oczy swędziały i piekły. Znów usłyszała ten odgłos. To było jakby chrobotanie, zdające się dochodzić spod domku. Chrobot i męskie głosy. Poznała, że to rozmawiają jej prześladowcy, ale nie była w stanie rozróżnić poszczególnych słów.

Dźwięk coraz bardziej działał jej na nerwy. Popatrzyła na stojący w kuchni zegarek. Dziewiąta. Zasnęła gdzieś po północy, kiedy wreszcie zdołała nakłonić obu mężczyzn, by się z nią napili. Ale wtedy była już na tyle pijana, że i tak nie zdołałaby im uciec. Znów zapragnęła łyknąć szklaneczkę szkockiej, lecz nagle przypomniała sobie kpiący głos Hughesa, gdy mówił: „Napij się jeszcze, najdroższa Bunny! Nie możesz się przecież opanować, prawda, ty stara pijaczko? Dobry Bóg nigdy nie stworzył niczego bardziej I odrażającego od ciebie i właśnie dlatego tak cię kocham!”.

Z dziwną dla siebie wnikliwością uświadomiła sobie teraz, że jej alkoholizm stwarzał mu możliwość dowartościowywania siebie. Przecież zawsze mógł powiedzieć, że z nim nie jest aż tak źle jak z tą „odrażającą starą pijaczką, z którą związał go los”. A teraz...

Popatrzyła na łóżko. Marylin leżała na nim nieprzytomna. Obserwowała skuloną postać, dopóki nie stwierdziła, że koc na jej piersi unosi się i opada lekko. A więc jeszcze żyła. Choć może lepiej, gdyby już nie musiała się męczyć. Nagle wydało jej się, że słyszy głos swego ojca: „Jak długo żyjemy, tak długo mamy szansę zwyciężyć, Bunny. Hartfordowie nigdy się nie poddają. Nigdy”.

Potrząsnęła głową, starając się wyzbyć resztek zamroczenia alkoholowego, i

przysłuchiwała się dziwnemu skrobaniu. Jakby skrobanie metalu o metal. Dźwięki dochodziły równocześnie od strony kuchni. Czyżby rury? Obaj przestępcy skrobali rury przebiegające pod domem? Ale po co mieliby to robić?

Bunny rozejrzała się uważnie. Zniknęło stąd wszystko, co należało do prześladowców, z wyjątkiem ich kurtek, które wisiały przy drzwiach. Przez frontowe okno widziała swojego mercedesa i samochód Marylin zaparkowane przed gankiem. Zielone volvo stało zaś nieco dalej na podjeździe, z otwartym kufrem, jakby czekało, by wrzucić do niego ostatni bagaż i odjechać.

Usłyszała, jak mężczyźni czołgają się pod podłogą, a później głos Sida:

- To powinno wystarczyć. Jeszcze jedno nacięcie, włączymy piec i będzie po wszystkim.

Bunny popatrzyła na piec gazowy zamontowany w kuchni. A więc uszkodzili pod domem rurę doprowadzającą gaz! Uruchomią piec, odkręcą dopływ gazu, uciekną swoim wozem i...

Powoli mrugała powiekami, potrzebując nieco czasu, by w pełni dotarła do niej Świadomość, co nastąpi później. Gaz dostanie się do wnętrza. A gdy nagromadzi się go wystarczająco dużo, cały domek wyleci w powietrze. W środku będzie istne piekło. Ona i Marylin uduszą się albo spłoną żywcem.

Usłyszała głos Sida dochodzący od strony drzwi wejściowych:

- Zabieraj narzędzia do wozu. Jak tylko zadzwonimy, możemy się stąd zbierać.

Wszedł do izby i usiadł za stołem naprzeciw Bunny. Uśmiechnął się jak właściciel zakładu pogrzebowego szczęśliwy, że ma robotę.

Bunny ogarnął tymczasem dziwny spokój. „Hartfordowie nigdy się nie poddają”, powtórzyła sobie w myślach.

- Chce się pani napić? - Otworzył butelkę i podsunął jej.

Popatrzyła na nią i wiedziała już, co zrobi.

- No, bo się rozmyślę.

Pokiwała głową.

Roześmiał się, rozwiązał jej rękę i znów usiadł.

Jeśli udałoby się jej zrobić wszystko tak, jak to sobie zaplanowała, obie z Marylin miały jeszcze możliwość przeżycia. Na ułamek sekundy ogarnął ją paniczny strach. To może być jedyna szansa. Musiała działać, zanim strach ostatecznie sparaliżuje jej ruchy...

- Co jest, pani Bremner? Zmieniła pani zdanie?

- Nie.

Z sercem walącym w piersiach, Bunny chwyciła butelkę za szyjkę, poderwała się z krzesła i uderzyła mężczyznę z całej siły prosto w czoło.

Krew zalała mu twarz.

- Ty dziwko! - wychrypiął, usiłując wstać.

Ale było już za późno. Zadała kolejny cios, przy którym butelka aż się rozprysła. Sid jak na zwolnionym filmie, odchyłał się do tyłu tracąc równowagę. Przytomnie chwyciła go za koszulę i pociągnęła do siebie. Osunął się na stół.

Oddychała ciężko. Teraz musiała znaleźć sposób na tego drugiego. Nie próbowała rozwiązywać liny krępującej nogi. Wiedziała, że szybko nie uda jej się rozsypać mocnych węzłów. Przesunęła się więc razem z krzesłem, aż była w stanie sięgnąć do kieszeni Sida, gdzie znajdował się nóż.

Przecięła więzy, oswobodziła stopy i wstała. Wyjrzała przez okno.

Ten wysoki stał przy volvo i rozmawiał przez telefon komórkowy. Patrzyła, jak naciska przycisk, przerywając połączenie. Ruszył w stronę domku. Był tylko w koszuli, a spod pachy wystawał mu pistolet w kaburze.

Potrzebna jej była broń. Popatrzyła na mężczyznę, którego unieszkodliwiła. Nie był uzbrojony!

Pospiesznie rzuciła się do kurtek wiszących przy drzwiach. Szelki z bronią były przykryte jedną z nich. Wyszarpnęła pistolet z futerału. Ojciec nauczył ją wszystkiego o strzelbach, a przy okazji pokazał, jak używa się broni krótkiej. Była niezłym strzelcem. Nawet Hughes musiał to przyznać. Odetchnęła głęboko, starając się opanować emocje.

Pistolet był wyposażony w tłumik. Sprawdziła komorę i magazynek, zwolniła bezpiecznik i stanęła za osłoną drzwi wejściowych. Wciąż starając się trzymać nerwy na wodzy, wyjrzała przez okno i stwierdziła, że mężczyzna jest już na werandzie.

Był oprawcą i mordercą. Zmusiła się do działania. Gwałtownie otworzyła drzwi i strzeliła. Natychmiast uświadomiła sobie, że popełniła niewybaczalny błąd, nie usuwając Sida z pola widzenia. Fess zobaczywszy, co wydarzyło się w domku, pędził bowiem do drzwi ile sił w nogach.

Wystrzelony przez Bunny pocisk chybił celu. Wbił się w deski za jego plecami. Oblał ją zimny pot.

Mężczyzna sięgał już po swój pistolet.

Sparaliżował ją strach. Nie była nawet w stanie oddychać. Ani myśleć.

Ten ułamek sekundy zdawał się trwać godzinę, gdy zmuszała się, by stary, zardzewiały już przełącznik zaskoczył w jej mózgu. Była zbyt przerażona, by celować.

Strzelała więc na oślep, byle szybciej. Przez chwilę miała wrażenie, że lufa broni tamtego znajduje się na poziomie jej piersi i dostanie prosto w serce.

Ale zamiast tego rozległ się krzyk i Fess zatoczywszy się padł na deski werandy. Jego prawy bark i pierś zabarwiły się na czerwono. Z rąk wypadły pistolet i telefon.

Drżąc na całym ciele, Bunny odepchnęła nogą broń od leżącego, wciąż mając go na muszce. Z kącika ust Fessa zaczęła wypływać piana. Nie otwierał oczu. Trąciła go końcem buta.

- Wstawaj! - poleciła.

Jego ciało było całkiem bezwładne.

Oddychając ciężko rozejrzała się i zauważyła sznurek rozwieszony między słupami werandy. Szybko, posługując się nożem, zdjęła sznur. Przywiązała Sida do krzesła, na którym wpółleżał, wciąż nieprzytomny. Następnie wciągnęła Fessa do izby i przywiązała go z kolei do łóżka.

- Marylin? - wyszeptała.

Delikatnie dotknęła ramienia dziewczyny. Marylin, a tak naprawdę Leslee Pousho, nie reagowała. Jej oczy pozostawały zamknięte, a skóra miała odcień nienaturalnej szarości. Bunny zdawała sobie sprawę, że dziewczyna jest już jedną nogą w grobie. Potrzebna jej była natychmiastowa pomoc lekarska.

Po kilku próbach jakoś udało się jej postawić Marylin na nogi i przeciągnąć ją do mercedesa.

Przestrzeliła opony wozu wynajętego przez Leslee i volvo napastników. Wróciła jeszcze do chatki, odszukała swoją torebkę z kluczami do swego samochodu oraz torbę Marylin. Choć mogło się wydawać, że teraz są już bezpieczne, ani na chwilę nie opuszczał jej strach, a pot wciąż oblewał ciało.

Wsiadła do swego luksusowego sportowego samochodu - symbolu wszystkiego tego, co kochała i co do niej należało - i zacisnęła palce na kierownicy. Przez dobrą minutę głęboko oddychała. Wreszcie uruchomiła silnik i wcisnęła pedał gazu. Wóz pomknął w dół stromego stoku. Opony zapiszczały, gdy natrafiła na początek asfaltu i mogła jeszcze dodać gazu.

Poczuła wyraźną ulgę.

Półleżąc na siedzeniu obok Marylin jęknęła.

- Spokojnie, kochanie. - Bunny dotknęła jej ramienia. - Zaraz się tobą zajmę.

Dziewczyna otworzyła oczy. Pani Bremner była zaskoczona, że wykrzeszała z siebie tyle sił.

- Dokąd...? - zza opuchniętych warg Marylin ledwie dobywał się głos.



- Zabieram cię do szpitala, kochanie. Na pewno jesteś ciekawa, jak udało się nam uciec tym sadystom, ale jesteś zbyt słaba, żeby wysłuchać tego wszystkiego. Kiedy poczujesz się lepiej, zjemy razem lunch. Tym razem ja stawiam i wtedy opowiem ci...

- Muszę... powiedzieć...

- Oczywiście, moja droga. Zrobisz to.

- Dokumenty... - Ale mówienie okazało się dla Leslee zbyt dużym wysiłkiem. Znów straciła przytomność.

Bunny pędziła wśród gór, później wzgórz, aż wreszcie tylko pagórków. Dotarła do szpitala. Na szczęście Charlie Smithdeal miał akurat dyżur i natychmiast się nimi zajął. Marylin wysłał prosto na oddział intensywnej opieki medycznej, a otarcia i sińce Bunny opatrzył osobiście. W tym czasie uśmiechała się na wspomnienie opowieści, jak to dziadek sam odbierał jej poród, zanim przybyli wezwani lekarze.

Pooklejana plastrami wreszcie mogła sprawdzić, jak czuje się Marylin. Młoda dziennikarka wyglądała teraz znacznie lepiej, umyta i opatrzona, choć wokół niej pełno było specjalistycznej aparatury.

- Musisz odpoczywać, kochanie - rzekła Bunny widząc, że jest przytomna.

Marylin chwyciła ją za rękę.

- ...dokumenty... kopie... wysłałam... do siebie... musi pani... powstrzymać...

Bremnera...

Bunny zaparło dech.

- Możesz być tego pewna. Dopadnę Hughesa i osobiście się z nim rozprawię.

- Nie... teraz...

Ręka dziewczyny opadła.

Bunny wezwała pielęgniarkę, która pojawiła się niemal natychmiast. Skontrolowała odczyty aparatury i uspokajająco pokiwała głową.

- Nic jej nie będzie. Ale rzeczywiście potrzebuje odpoczynku.

- Rozumiem. Proszę jej przekazać, że przyjdę jutro. Oto moja wizytówka, gdyby się o mnie dopytywała.

Zjechała do foyer, jak zwykle w niedzielne popołudnie pełnego odwiedzających. Zastanawiała się, co Marylin pragnęła jej powiedzieć. Musi jutro ją o to zapytać. Najpierw jednak powinna skontaktować się z senatorem Joe Allenem i Philipem Sheltonem z Białego Domu i zażądać natychmiastowego aresztowania Hughesa.

Zastanowiła się, czy nie zatelefonować natychmiast, ale przecież była niedziela i do tego sierpień, więc odszukanie ich graniczyłoby niemal z cudem. Nagle poczuła się

kompletnie wyczerpana. Co więc powinna zrobić? Zanim w myślach dokończyła pytanie, już znała odpowiedź. Jeśli kiedykolwiek zasłużyła na kilka głębszych, to na pewno właśnie dzisiaj.

**NIEDZIELA, 15:45**

Asher Flores skręcił z autostrady na brukowaną drogę przecinającą wzgórze niczym kilwater na spokojnym morzu. Słońce paliło ich skórę, a efekt ten potęgował jeszcze gorący wiatr. Siedząca z tyłu Sarah mocniej przytuliła się do jego pleców. Asher zadrżał z rozkoszy na wspomnienie ostatniej nocy.

Czyżby ta chęć posiadania jej tylko dla siebie była równoznaczna z miłością? Przez cały czas pragnął patrzeć tylko na nią. Nie wyobrażał sobie, by mógł się nudzić w jej towarzystwie.

Wciąż się do niego przytulała. Położyła dłoń na jego sercu, pełna zaufania. On jednak nie potrafił na dobre oderwać się od rozważań, co jeszcze szykuje im Hughes Bremner i co zdołają wydobyć od Jacka O'Keefe.

Dziesięć minut później, dokładnie jak określała to Christine Robitaille - ponad lasem, ich oczom ukazało się coś, co wyglądało jak zamkowa wieża. Pokonawszy ostry zakręt, ujrzeli resztę wspaniałego château de la Vere. Forteca z żółtej cegły z okrągłą wieżą o stożkowatym dachu.

Wjechał na żwirowy podjazd i zatrzymał się przed potężnymi wrotami zawieszonymi na kutych zawiasach.

Zanim jeszcze zdążyli zsiąść, drzwi otworzyły się i wybiegł muskularny mężczyzna, wymachując muszkietem nad upudrowaną na biało peruką. Z pobieloną twarzą, w białych, jedwabnych pończochach i czarnych pantoflach wyglądał jak żywcem wyjęty z osiemnastowiecznych obrazów. Oczy miał jednak osłonięte ciemnymi okularami. Peruka była przekrzywiona, puder na twarzy częściowo starty, a prawy but włożony na lewą stopę i odwrótnie.

- *Liberte! Egalite! Fraternite!* Do broni! Do broni! - wykrzyknął mężczyzna i wymierzył muszkiet w stronę przybyłych. - Więzienia są pełne konspiratorów. Czyżbyście byli zbiegami, *citoyens?* *Zut! Zut!* Poślę was do grobu!

Sarah ukradkiem sięgnęła po waltera.

- Witaj, Jack. Przyjechaliśmy z wizytą - rzekł spokojnie Asher.

Dziewczyna zerknęła na starszego mężczyznę i zdecydowała się schować broń. Do diabła, czyżby ten żaloszny facet w przekrzywionej peruce i odwrotnie włożonych butach to legendarny mistrz, as wywiadu - Rudy Jack O'Keefe. Chyba z jego władzami umysłowymi coś było nie tak. Może właśnie dlatego musiał się tu zaszyć.

Asher przedstawił siebie i Sarah.

- Christine Robitaille przesyła ci pozdrowienia i wyrazy szacunku - dodał.

- Christine? - zapytał O'Keefe, wyraźnie zdając sobie sprawę o kogo chodzi.

W tym momencie z zamku dobiegł czyjś głos:

- *Monsieur Jack! Monsieur Jack! S'il vous plait!*

Były as wywiadu uniósł głowę. Na jego upudrowanej twarzy pojawił się wyraz zawodu, po czym opuścił muszkiet, podczas gdy ów głos wciąż domagał się odpowiedzi.

- *Me void!* - odkrzyknął wreszcie. Nerwowo wygładzał swą koronkową koszulę.

W wejściu pojawił się łysy mężczyzna. Był średniego wzrostu, lecz szeroki w barach. Miał okulary z grubymi szklami, starannie przystrzyżoną brodę, wściekłą minę, a na sobie ubiór lokaja. Zatrzymał się i przypatrywał gościom. Wreszcie wsparł dłonie na biodrach, z dezaprobatą pokręcił głową, po czym poprowadził O'Keefe'a po schodach do wnętrza zamku.

Przybysze pospiesznie zdjęli kaski. Podczas gdy Asher stawiał motocykl, Sarah delikatnie dotknęła swych ran. Bark już tak nie bolał. Zdjęła opatrunek z głowy. Kula drasnęła jej głowę tuż nad uchem. I tutaj ból powoli ustępował. Przysłoniła więc to miejsce włosami.

Wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Asherem i weszli do zamku.

\*

Lokaj sadzał właśnie starego szpiega przy stole znajdującym się na trawiastym dziedzińcu. Asher został, starając się nawiązać rozmowę z siedzącym bez ruchu O'Keefe'em, natomiast Sarah podążyła za lokajem.

- To schizofrenia? - zapytała.

- *Monsieur* cierpi na Alzheimera, *helas*.

Dziewczyna pisała kiedyś artykuł na temat tej choroby. Wiedziała, że u cierpiących na nią często występowały halucynacje i stany paranoidalne. A jeśli w tym przypadku choroba była już zaawansowana, nie uda im się niczego dowiedzieć od O'Keefe'a.

- Od jak dawna jest chory? - zapytała.

Lokaj popatrzył na nią przez swe grube jak denka od butelek szkła.

- Kto to wie? Lekarze nie są w stanie tego określić. Ale przez ostatnie dwa lata było źle, *tres*, źle. - W nowocześnie wyposażonej kuchni zabrał się do układania na tacy drobnych

kanapek, owoców i ciasteczek. - Zawsze jest głodny po *episode* - wyjaśnił. - Może się do niego przyłączyć? Rzadko miewa teraz *visiteurs*. Uważają, że jest...

- Ależ oczywiście. - Popatrzyła na lokaja, uśmiechając się smutno. - Czy Jack w ogóle wie, kim jest? I gdzie się znajduje?

- Od czasu do czasu.

Nie był to dobry prognostyk, ale należało próbować. A przecież istniała jednak pewna nadzieja - najwyraźniej skojarzył sobie imię Christine Robitaille.

Służący uniósł tacę z przygotowanym posiłkiem. Sarah poszła za nim na dziedziniec. Przy końcu dobrze utrzymanego trawnika znajdowała się sadzawka. Po idealnie gładkiej powierzchni pływały śnieżnobiałe łabędzie. Wzrok dziewczyny na moment spotkał się ze spojrzeniem Ashera. Ten lekko skinął głową.

Lokaj postawił tacę na szklanym blacie stołu, podczas gdy Sarah zajmowała miejsce naprzeciw O'Keefe'a. Jej towarzysz usiłował nawiązać z nim rozmowę o pogodzie, zamku, francuskiej recesji - czymkolwiek, co mogło wywołać koncentrację uwagi byłego asa wywiadu.

Wiedziała, że jedną z cech charakterystycznych dla choroby Alzheimera jest pamiętanie faktów z przeszłości, jakby się zdarzyły dopiero przed chwilą, przy jednoczesnym zapomnianiu o tym, co działo się prawie aktualnie. Oznaczało to, że w pamięci Jacka O'Keefe wciąż mogły tkwić informacje, na których im zależało. Ale jeśli nawet tak było, to czy uda się je z niego wydobyć?

Sarah postanowiła, że najlepiej będzie zacząć od zainteresowania go czymś.

- Słyszałam, że pracowałeś z Dzikim Billem Donowanem jeszcze w czasach OSS.

O'Keefe podniósł na nią wzrok. Na jego pobielonej twarzy wykwitł uśmiech. O tym widocznie jeszcze pamiętał.

- Cha, Bill! Najlepszy... Wiecie... podczas pierwszej wojny światowej dostał więcej medali niż jakikolwiek inny żołnierz amerykański... Ike nazywał go Ostatnim Bohaterem. Później, w czasie drugiej wojny Bill kierował wywiadem. Cholera, był w tym dobry. Zrobił z OSS wywiad z prawdziwego zdarzenia. - Podekscytowany aż wyłamywał sobie dłonie. - Był najtwardszym człowiekiem, jakiego znałem. Ale kochaliśmy go wszyscy. Kiedy mówił, że odwaliliśmy dobrą robotę, wiedzieliśmy, że tak właśnie było. Zawsze był z nami szczerzy.

Asher podchwycił tę nutkę.

- Hughes Bremner był z kolei jednym z twoich chłopców, prawda?

- Nauczyłem go wszystkiego, co sam umiałem.

- Teraz jest moim szefem - wyznał Asher, połykając jedną z kanapeczek. - Przydziela

mi naprawdę ciekawe zadania.

O'Keefe zachichotał.

- Masz wystarczającą liczbę szram, żeby to udowodnić?

Asher także się roześmiał i pokiwał głową.

Sarah zdecydowała się popробować od innej strony.

- Asher, chyba możemy powiedzieć Jackowi. Jestem pewna, że wciąż przysługuje mu dostęp do tego rodzaju wiadomości.

- Tak. Na pewno mu się to spodoba.

- Co? - Emerytowanego agenta rozpieierała ciekawość. Dla niego beczynność była chyba gorsza od choroby.

- Mięsożerca się ujawnia - powiedziała wolno Sarah.

O'Keefe popatrzył na nią ponad ciemnymi okularami.

- Po tylu latach. Dobry Boże. Co wie ten morderca...

- Bremner go przejmuje - dodał Asher. - Ale jest coś, czego nie rozumiemy. Może ty nam to wyjaśnisz.

- Zobaczę, co da się zrobić. - O'Keefe otarł usta serwetką. Jakże był zadowolony, że znów może wejść w rolę mentora.

- Jaki cel może mieć Hughes w przejęciu Mięsożercy wyłącznie dla siebie? - Sarah obserwowała, jak stary wywiadowca patrzy to na nią, to na jej towarzysza. Jego twarz znów przybrała nieodgadniony wyraz. Wiedział o czymś, lecz nie chciał tego zdradzić... lub nadchodził kolejny atak choroby.

## 54.

16:14

Sarah przyszedł do głowy pewien pomysł, ale byłoby to jak gra na loterii. O'Keefe znajdował się w takim stanie, że w każdej chwili mógł stracić kontakt ze światem i rozmowa zostałaby przerwana. Miała jednak nadzieję, że istnieje jakaś szansa powodzenia. A przecież musieli się spieszyć. Rzekła więc z pozorną bez troską:

- Masz tu wspaniały zamek, Jack. Utrzymanie go musi być bardzo kosztowne. Udziały w Sterling-O'Keefe przynoszą zapewne niezłe dochody.

Sprawiał wrażenie mocno zaskoczonego, później zaś zmieszanego.

Trafiła w czuły punkt. Żadna pensja w Langley nie pozwoliłaby mu kupić château de la Vere, a najwyższa nawet emerytura utrzymywać go w stanie, w jakim się teraz znajdował. A więc otrzymywał pieniądze z jakiegoś innego źródła.

- Nie wiedziałem, że jesteś biznesmenem, Jack - podchwycił Asher. - Sprytnie.

Ale posunęli się za daleko.

Jack O'Keefe aż podskoczył.

- Niech was wszyscy diabli! Nie mam nic wspólnego z żadnym Sterling-O'Keefe! Nie pozwolę zniszczyć własnej reputacji. Oprócz niej nic mi już nie zostało! - Wymachując rękoma zrzucił na trawę całą tacę z jedzeniem. Rozpoczął się kolejny atak i nie wykluczone, że upłynie wiele dni, zanim znów będzie można z nim porozmawiać.

Sarah odezwała się tonem najcieplejszym, na jaki potrafiła się zdobyć:

- Nie martw się Jack, obronimy twoją reputację. To ważne dla nas wszystkich w Langley.

- To dlatego właśnie tu przyjechaliśmy - dodał Asher.

Na twarzy O'Keefe'a pojawił się smutek. Jego głos zamienił się w szept:

- Pozostała mi już tylko legenda. Coraz gorzej ze mną. Ta cholerna choroba...

Asher delikatnie posadził go na krześle.

- Przychodzimy do ciebie po pomoc.

- Mamy trudną sytuację i jesteś nam potrzebny - dodała Sarah, po czym skłamała: - Dowiedzieliśmy się, że Hughes pcha się prosto w pułapkę. Ktoś planuje zabić jego i

Mięsożercę. Jeśli nie dowiemy się, dlaczego Hughesowi tak bardzo zależy na tym mordercy, nie będziemy w stanie mu pomóc.

- Wszystkim się zajmiemy - obiecał Asher. - Ale musimy wiedzieć wystarczająco dużo, żeby móc uratować Hughesa.

Czekali w napięciu. Czy O'Keefe zdecyduje się przekazać im to, co sam wie? Dłoń starego asa wywiadu drżała, gdy ujął ciasteczko, które jakimś cudem pozostało na stole. Zdawał się sięgać głęboko do swego wnętrza i koncentrować władze umysłowe.

Wreszcie ręce przestały drżeć, a twarz pojaśniała. Jeszcze kilka lat temu wypytałby ich dokładnie, zanim uwierzyłby w to, co mówią. Ale teraz nie potrafił już myśleć tak jasno. Ale czy zostały jeszcze wspomnienia?

Zaczął mówić. Najpierw powoli, niezdecydowanie, lecz z każdym słowem nabierał pewności...

### **KUBA, ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA, 1958**

W centrum Hawany zewsząd słychać było muzykę, śmiechy i sporadycznie strzały. Pośród wózków ciągniętych przez muły oraz cadillaców, na ulicach znajdowały się także pojazdy opancerzone. W hotelach ochroniarze pełnili służbę z bronią maszynową, a wspaniałe kobiety narzuciwszy futra z norek na kostiumy kąpielowe szły na baseny z krystalicznie przejrzystą wodą.

To miasto tak naprawdę nigdy nie zasypiało. Żyło intensywnie nawet teraz, kiedy otaczała je partyzancka armia Fidela Castro, która za kilku dni pozbawi władzy prezydenta Fulgencio Batistę y Zaldivara.

La Cosa Nostra dokładnie strzegła swych hawańskich kasyn, burdeli i barów. Nie wycofywała się, zachowując istic sycylijski spokój w przekonaniu, że tak podczas pokoju, jak i wojny ktoś zawsze będzie robił interesy, a więc i zarabiał na nich. Przewidując zbliżające się zmiany, obcy agenci grasowali pod osłoną tropikalnych nocy, zdobywając informacje i starając się na przyszłość zapewnić swoim krajom wpływy na tej strategicznie położonej wyspie.

Hughes Bremner, przebywający tam jako agent CIA, przygotowywał się na uderzenie politycznego cyklonu. Wyróżniał się tym szóstym zmysłem - jajami - który posiadali tylko najlepsi wywiadowcy. Z tego właśnie powodu Rudy Jack O'Keefe wziął młodzieńca pod swoje skrzydła. Ale w tym czasie Jack został wysłany w pilnej sprawie do Norymbergii i Bremner pozostał w Hawanie sam.



Pewnej nocy poznał młodego amerykańskiego komiwojażera - Alexa Bosę - z którym popił i poszedł na dziwki. Później często się spotykali. Ów szósty zmysł podpowiedział Hughesowi, by mieć oko na Bosę.

W Sylwestra obaj znowu spotkali się na drinka. Bosa zatelefonował do paru osób, a zaraz po północy wyszedł z jedną z tancerek. Bremner podążył za nimi. Po pierwszej w nocy Bosa opuścił mieszkanie tancerki. Hughes śledził go aż do posiadłości generała Geraldo Ocho. Tam sprzedawca ukrył swego chevroleta w zaroślach i przebrał się w ciemny strój. Wyjął z bagażnika sztucer z celownikiem optycznym, nóż, linę i zniknął pośród plantacji trzciny cukrowej.

Żołnierze Batisty byli rozlokowani wszędzie wokół. Bremner zdecydował się więc dłużej nie ryzykować i wrócił do Hawany. Tej nocy Castro zajął stolicę. Momentalnie gruchnęła wiadomość: Fidel Castro zwyciężył, ponieważ partyzanci zabili najlepszego dowódcę Batisty - generała Geraldo Ocho. Ludzie mówili, że podwładni Castro zastrzelili generała przeprowadzając odważny atak. Ale Bremner dysponował lepszymi informacjami.

Wiedział, że generał Ocho miał ogromne długi karciane, których spłaty odmawiał. Zabił go więc mafijny fachowiec od mokrej roboty - Alex Bosa. Nie z powodów politycznych, ale dlatego, że mafia nie mogła tolerować nieposłuszeństwa. Nawet sławnego generała podczas wojny.

Bosa wynajął prywatny jacht, by wrócić do Miami. Bremner znalazł go akurat w momencie, gdy będący także na pokładzie dwaj zwolennicy Batisty sposobili się, by posiekać Amerykanina swoimi maczetami. To za sprawą Bosy przegrali wojnę, stracili ojczyznę, swe oszczędności i, jeśli nie uda im się uciec z wyspy, postradają także życie.

Hughes przewidywał, że zabójca może się przydać Stanom Zjednoczonym, ale owi dwaj Kubańczycy na pewno nie. Mimo młodego wieku agent umiał już patrzeć daleko w przyszłość. Zaskoczywszy obu miejscowych, zabił ich. Razem z Bosą pozbyli się ciał.

Teraz zawodowy morderca na usługach mafii był jego dłużnikiem. Bosa także nie był głupcem: Bremner pracował w CIA, a dla kogoś takiego jak on dobrze było mieć sojusznika w Agencji. Życie to jedna, nie kończąca się transakcja. Obaj dobrze o tym wiedzieli. I dlatego rozumieli się doskonale.

Trzy tygodnie później Alex Bosa oświadczył nowemu „przyjacielowi” z CIA, że przyjął pseudonim „Mięsożerca” i jest do wynajęcia. Z kolei Bremner poinformował Langley, że pojawił się nowy zawodowy zabójca najwyższej klasy. Tylko Rudy Jack O’Keefe zorientowany był w ich osobistych powiązaniach.

Prawdziwą tożsamość Mięsożercy znali tylko Bremner, O’Keefe i przywódca mafijnej

rodziny. Co więcej, dla dokładniejszego kamuflażu zdecydował się ożenić z jakąś dziewczyną z Londynu. Wybrał ją po długim namyśle.

Nazywała się Melanie Childs i była córką brytyjskiego pułkownika. Podczas gdy jej matka aktywnie udzielała się społecznie, Melanie wychowywała swych trzech młodszych braci. Podobnie jak ojciec lubiła dyscyplinę. Sztywne zasady, wysokie wymagania i żadnych wymówek. Ale pod tym twardym pancerzem kryła się wyjątkowa dobroć, a właśnie takiego połączenia cech poszukiwał Hal Sansborough.

Kiedy pułkownik dostał przydział do Whitehall, Melanie była wniebowzięta. Po wielu latach tułania się po różnych zakątkach imperium wreszcie powrócili do Anglii. To właśnie w tym czasie poznała Hala Sansborough. Miała wtedy siedemnaście lat. Pułkownik był pod wrażeniem sukcesów Hala w sprzedaży amerykańskich produktów. Młody człowiek jeździł daimlerem, nosił eleganckie garnitury i odznaczał się dobrymi manierami. Co więcej, był dziesięć lat starszy od Melanie, a więc w wieku, który gwarantował, że przyszły mąż potrafi otoczyć opieką żonę i zapewnić jej odpowiednie warunki. Pewną niedogodność stanowiły jego długie podróże w interesach, ale przecież dziewczyna przywykła do tego, że głowa rodziny często jest nieobecna w domu. A ponadto była przecież zakochana.

Hal i Melanie pobrali się, kupili dom w Chelsea, i tam właśnie na świat przyszła Elizabeth. Jak niemal każde dziecko z wojskowej rodziny, Melanie postępowała konsekwentnie i trzymała się wiernie wpojonych jej zasad. Najważniejsze były potrzeby innych. Na pierwszym miejscu znajdował się Hal, później Liz, rodzice, a na końcu ona sama. Przyjęła na siebie rolę gospodyni domowej.

Interesy Mięsożercy kwitły. Za pośrednictwem Hughesa Bremnera od czasu do czasu wykonywał zlecenia Langley, a także agencji wywiadowczych zaprzyjaźnionych krajów. Pracował także na rzecz państw zza „żelaznej kurtyny”. Obie strony zdawały sobie z tego sprawę, co nie przeszkadzało im w korzystaniu z jego usług.

I nagle po dwudziestu latach współpracy z Hughesem i Jackiem O’Keefe Mięsożerca radykalnie zmienił poglądy. Zdecydował się na to ze względu na córkę, która nie miała pojęcia, czym tak naprawdę zajmuje się jej ojciec. Dla Hala rodzina zawsze stała na pierwszym miejscu. Gdy Liz trafiła do Cambridge, pojawiło się jednak zagrożenie dotychczasowego porządku.

Zaangażowany do zlikwidowania pakistańskiego prominenta, Mięsożerca zetknął się z jego synem - studentem Cambridge. Chłopak okazał się przyjacielem Liz. Kiedy zlecenie zostało zrealizowane, młodzieniec wykrył związek między „przypadkową” śmiercią ojca a działaniami Hala Sansborough. Opowiedział o tym wszystkim: Liz, KGB, wywiadowi

brytyjskiemu, Langley.

Liz nie uwierzyła mu. Podzieliła się tymi rewelacjami z ojcem.

Hal udał zaskoczenie. Wszystkiemu zaprzeczył.

Liz ufała mu, ale młodzian narobił takiego zamieszania, że podwójne życie Mięsożercy znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie. Podobnie jak jego stosunki z nieświadomą niczego córką, która kochała tamtego chłopca.

Mięsożerca skontaktował się z Hughesem Bremnerem, żądając usunięcia niewygodnego przeciwnika. Sam nie mógł mieć nic wspólnego z tą śmiercią.

Później zatroszczył się o oczyszczenie z wszelkich podejrzeń związanych z jego osobą. Poprosił kuzynów z mafii, by zaaranżowali w Nowym Jorku „śmierć” Harolda i Melanie Sansborough. Oboje bardzo mocno przeżyli konieczność usunięcia się z życia córki. Szczególnie Melanie, ale była żoną znającą swoje miejsce. Przecież, tylko w ten sposób mogli utrzymać w tajemnicy podwójne życie Hala.

„Zginęli” więc, a Mięsożerca kontynuował swą pracę.

Liz dość szybko pozbiierała się po tej tragedii. Poznała Garricka Richmonda i wkrótce wyszła za niego za mąż. Ale okazało się, że miał skłonności sadystyczne, podobnie jak kochanek pierwszej żony Mięsożercy. Bił Liz.

Tyle tylko, że tym razem, choć z daleka, zabójca czuwał nad losem córki. Kiedy nie mógł już dłużej patrzeć, jak cierpi, jeszcze raz skontaktował się z Hughesem, tym razem żądając pozbycia się jednego z jego własnych ludzi. Richmond musiał zginąć, ale znów bez udziału Mięsożercy.

Bremner wysłał męża Liz do Libanu, po czym wystawił go szyickiemu Dżihadowi. Arabowie postąpili tak, jak się tego spodziewano, i sprawa Richmonda została definitywnie zakończona.

Po śmierci męża Liz sama związała się z Langley. Bremner i O’Keefe przyglądali się jej bacznie. I wreszcie trzy lata temu została wysłana po odbiór informacji do Portugalii. Ale jej ojcu konkurencja zleciła zlikwidowanie lizbońskiego kuriera. Gdy Liz przyszła na spotkanie, Mięsożerca właśnie przystąpił do działania. Zanim dziewczyna zdołała go powstrzymać, wykonał swoje zadanie do końca.

Ale Liz rozpoznała w mordercy dawno „zmarłego” ojca.

Tej nocy pokrzyżowała skutecznie jego plany.

Zaniepokojony przebiegiem wypadków Bremner natychmiast zadbał o własne bezpieczeństwo. Sfabrykował informacje mówiące o romansie Liz z Mięsożercą i obwołał ją zdrajczynią. Od tego czasu już żadne zabójstwo nie zostało zapisane na konto Mięsożercy.

Czy stało się tak ze względu na zmiany zachodzące na świecie? Wiek mordercy? A może wpływ Liz?

## 55.

### 16:28

Zapach trocin unosił się w rozgrzanym powietrzu pod cyrkowym namiotem na północ od Paryża. Pudle wywijały salta na arenie w rytm skocznej muzyki. Kobieta w średnim wieku, z podniszczoną torebką w ręku, zatrzymała się w przejściu.

Wkrótce zza kulis wybiegło tuzin klaunów. Jeden z nich przyklęknął obok kobiety, by zawiązać sznurowadło.

- I? - szepnął po angielsku.

- Będę w Languedoc o dwudziestej, jak było ustalone. Wszystko przygotowałam? A ty?

- Oczywiście. Zabezpieczyliśmy się na wszelkie niespodzianki.

- Niepokoisz się? - zapytała Francuzka.

- Nie, dlaczego miałbym się niepokoić?

- Quill nie żyje. Taką informację przekazał jeden z najbardziej zaufanych kontaktów. Może więc lepiej by było...?

- Wiem już o tym. - Klaun rozejrzał się po kolorowym namiocie. - Znaliśmy się od bardzo dawna, ale to niczego nie zmienia.

- Nie, ale będę za nim bardzo tęsknić - rzekła kobieta.

- Ja też, Liz. - Artysta wstał, pomachał odzianą w rękawicę dłonią i głośno powiedział po francusku:

- *Pardon, madame!* Życzę miłych wrażeń.

Wywinął koziołka i popędził w dół, by dołączyć do towarzyszy. Francuzka zajęła jedno z wolnych miejsc. Oglądała widowisko i klaskała wraz z innymi. Ani na moment nie okazała, że myśli jej krążą wokół zupełnie innych spraw. W czasie przerwy opuściła namiot.

### 16:36

Na dziedzińcu château de la Vere Sarah Walker w pamięci odtwarzała sobie metamorfozę wuja, którego tak niedługo po tym straciła.

Kiedy Jack O'Keefe snuł opowieść o Mięsożercy i Hughesie Bremnerze, stopniowo

wstępowała w niego jakaś wewnętrzna siła. Znowu czuł się jak as wywiadu, znający tajemnice, o których nawet się nie śniło zwykłym śmiertelnikom. Gdy skończył, polecił przynieść dla wszystkich aperitif. Mimo ciemnych okularów widać było, że jego spojrzenie nabrało wyrazistości.

Dzięki tej relacji Sarah zdobyła kolejny dowód na śmierć Mięsożercy. Chyba że Quill i Hal Sansborough nie był jedną i tą samą osobą. Uśmiech na fotografii był identyczny, ale sama twarz jednak znacznie się różniła. Potwierdził, że jest jej wujem, ale uśmiech można było wystudiować, a cała reszta to przecież tylko słowa. Mógł więc i kłamać. Szczególnie gdyby rzeczywiście był tylko lojalnym podwładnym autentycznego Mięsożercy. Przypomniała sobie, jak gdzieś przeczytała, że średniowieczni giermkowie starali się jak najbardziej upodobnić do swoich panów.

Może więc Quilla nie łączyło z nią żadne pokrewieństwo. Ale w tym momencie nie miało to jednak większego znaczenia. Przecież nadal podstawowym zadaniem jej i Ashera było pokrzyżowanie planów Bremnera. Musieli uzyskać odpowiedzi na najważniejsze pytania i jak najszybciej wrócić do Paryża.

- Naprawdę martwimy się o Hughesa i przebieg ujawnienia się mordercy - rzekła. - Powiedz więc, dlaczego Bremnerowi miałoby zależeć na śmierci Mięsożercy?

O'Keefe uśmiechnął się radośnie. Teraz dopiero mógł zaprezentować komuś posiadaną wiedzę.

- Bo Hughes i jego najbliżsi współpracownicy z Langley, a ponadto jeszcze kilku innych rządowych agencji to prawdziwi właściciele Sterling-O'Keefe, a Mięsożerca dysponuje informacjami mogącymi zniszczyć ich samych oraz ów twór. Zarznąć kurę znoszącą złote jaja.

Sterling-O'Keefe należał do Bremnera i kilku osobistości z rządu, a fundusze na jego rozruch pochodziły zapewne z pieniędzy skradzionych państwu. Sarah zrozumiała w czym rzecz, a rzut oka na Ashera pozwolił jej zorientować się, że i on także. To wyjaśniało, dlaczego nazwisko szefa Mustanga nie pojawiała się nigdy w oficjalnych informacjach o tej korporacji. Działał w ukryciu, lecz zapewne dysponował pełną kontrolą nad finansami swego dziecka.

Sarah starała się nie okazać żadnych emocji.

- Tyle to sami się domyśliliśmy, Jack. Ale jak wyglądają szczegóły? Co na ten temat może wiedzieć Mięsożerca?

O'Keefe długo milczał, jakby dla podkreślenia swej dominującej pozycji w tej rozmowie.

- Jeszcze w czasach, gdy Sterling-O'Keefe walczył o pozycję na rynku, Hughes natrafił na dwie przeszkody. Pierwszą stanowił prezes zarządu konkurencyjnej firmy oszczędnościowo-kredytowej. OMNI-American Savings & Loans jest jednym z najistotniejszych elementów tworzących Sterling-O'Keefe. Chciała ona wtedy przejąć owego rywala. Ale tamten facet był w stanie zablokować taką operację. - Jack odchylił się na krześle. - Drugą przeszkodą był wiceminister finansów Francji. Szlacheckie pochodzenie, staranne wykształcenie. Zaproponowano mu więc funkcję skarbnika w największej francuskiej firmie ubezpieczeniowej. W takiej sytuacji ostatnią rzeczą, jakiej mógłby sobie życzyć, była konkurencja. Dlatego nie dopuścił do wejścia ubezpieczyciela ze stajni Sterling-O'Keefe na francuski rynek.

Sarah sama mogła dopowiedzieć całą resztę.

- Hughes zmuszony był więc pozbyć się ich obu. Ale musiał także zadbać o to, by ich śmierć wyglądała na wypadek. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Na wzbudzenie jakichkolwiek podejrzeń.

- I tu właśnie wyłoniła się konieczność skorzystania z usług Mięsożercy - dokończył Asher. - Ale ten jest sprytny, Jack. Nie sygnie przecież Hughesa.

W uśmiechu O'Keefe'a pojawiło się coś jakby dziecięca przekora. Czy to wracała choroba, czy też rzucał im wyzwanie, by sami spróbowali znaleźć właściwą odpowiedź?

Sarah pierwsza połapała się w czym rzecz:

- Mięsożerca nie miał pojęcia, że jego zleceniodawcami byli Bremner i Sterling-O'Keefe!

Jack potakująco pokiwał głową.

- Hughes poinformował mordercę, że robotę zleca mu Langley. Po ujawnieniu się przestępca poda listę zleceń wykonanych dla Firmy, a wtedy wyjdzie na jaw, że istnieją i takie, których ta wcale nie aranżowała. I od tego momentu nie da się dalej ukrywać prawdy na temat Sterling-O'Keefe. Pstryk, i Hughes zostanie zdemaskowany!

- Ale Bremner mógł go jakoś ostrzec. Polecieć, by zataił te właśnie informacje... - Sarah jednak знаła już odpowiedź, zanim dokończyła zdanie. - Nie. Nie mógł zaufać komuś, kto pracował praktycznie dla wszystkich. Mięsożerca uzyskalby nad nim zbyt dużą władzę.

Firma była w stanie darować drobne grzeszki, pewne nieprzepisowe działania, nawet machlojki Billa Caseya w Ameryce Środkowej. Ale kradzież na ogromną skalę, defraudacje majątku CIA i prywatne zlecenia zabójstw dokonywane przez Hughesa Bremnera to już zdecydowanie zbyt wiele.

Gdyby te rewelacje wyszły na światło dzienne, we wszystkich służbach

wywiadowczych Stanów Zjednoczonych wybuchłby skandal znacznie bardziej brzemienny w skutkach niż Watergate, Iran-contras czy Irakgate. Ale skąd ta chęć uciszenia Mięsożercy akurat dzisiaj, pozostawiając prezydenta w zupełnej nieświadomości? Dlaczego nie poczekać, jeszcze raz spróbować go przekonać o swoich racjach?

Sarah przypomniała sobie triumfalne słowa doktora Allana Levine'a, wypowiedziane w Je Suis Chez Moi: „Ale w poniedziałek Mięsożerca padnie martwy, a ja nigdy więcej nie będę musiał prosić o pieniądze!”

Uważnie przyjrzała się twarzy O'Keefe'a.

- Jest coś jeszcze, Jack. Coś rewelacyjnego, może ważniejszego od wszelkich dotychczasowych dokonań Hughesa i całego Sterling-O'Keefe. Coś, co pozwoli zdobyć miliardy dolarów. I to już jutro.

Ramiona byłego asa wywiadu zadrżały nagle. Pokręcił głową, a jego czoło przecięły zmarszczki.

- Co? O czym ty mówisz?

Sarah i Asher wymienili spojrzenia.

Dziewczyna spróbowała ponownie:

- Operacja mająca nastąpić tutaj, w Paryżu, jest niezwykle ważna dla Bremnera. Coś, co uczyni go wprost niewyobrażalnie bogatym.

Ale O'Keefe milczał. Uśmiechnął się tylko lekko i po chwili zaczął śpiewać Marsyliankę wymachując rękami, jakby dyrygował orkiestrą. Jego biała peruka zjechała na bok, opierając się dopiero na uchu.

Asher zmarszczył brwi.

- Wygląda na to, że niczego więcej z niego nie wydostaniemy.

Czas było się zbierać. Wstali. Reszty odpowiedzi będą musieli szukać już gdzieś w Paryżu.

Nagle Jack poderwał się i ruszył biegiem przed siebie. Podążyli za nim do drzwi, lecz nie tych, przez które Sarah przechodziła towarzysząc lokajowi. W sieni, do której prowadziły, znajdował się między innymi siedemnastowieczny wieszak na kapelusze. Sarah natychmiast zauważyła, że między innymi nakryciami głowy wisi panama z czerwoną wstążką.

Jednym sprawnym ruchem wyjęła waltera, pchnęła Jacka na ścianę i wcisnęła mu lufę pod brodę.

- Sarah! - wyszeptał z wyrzutem Asher.

- Zdejmij mu okulary! - poleciła.

Zrobił to, odsłaniając całkowicie twarz O'Keefe'a. Stary agent stał sztywno z



opuszczonymi rękami i dłońmi przyciśniętymi do muru. Popatrzyła mu prosto w oczy. Tak, to był on. Mężczyzna, z którym wymieniła spojrzenia, gdy oboje obserwowali Je Suis Chez Moi.

- Ty draniu! - wychrypiała i jeszcze mocniej przycisnęła mu lufę do podbródka. - Albo powiesz mi, co, u diabła, naprawdę się dzieje, albo pociągnę za spust.

## 56.

**16:50**

Jack O'Keefe, stojący sztywno przy ścianie, odezwał się nagle czystym i pewnym głosem:

- To wyraźne niedopatrzenie z mojej strony, że powiesiłem ten kapelusz na widoku.

Sarah wciąż nie cofała broni. Odchylił siwą głowę wspierając ją o mur i popatrzył na dziewczynę swymi bladoniebieskimi oczami.

- Mów, Jack - ponagliła.

- Trudno mi będzie, skoro nie jestem w stanie oddychać - wystękał, udając bezradność. - Bądź tak dobra i daj odsapnąć staruszkowi.

Miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Zorientowała się bowiem, że usiłuje uspić jej czujność. Kiedyś należał do najlepszych, a wszystko wskazywało, że i teraz w niczym nie przypominał zgrzybiałego dziadka.

- Tak jak ty dałeś odsapnąć tamtym z Je Suis Chez Moi. Masz szczęście, że żaden z klientów nie zginął od wybuchu twojej bomby.

- Nie, moja droga. To oni mają szczęście. W przeciwieństwie do tych biednych chłopców w zaułku, których wspólnie załatwiliście.

Czekał, aż Sarah zareaguje, ale ona nie zamierzała podejmować dyskusji.

- Widziałem, jak znalazłaś się w klinice i postanowiłem, że pomogę ci z niej wyjść. Mnie też było to na rękę. Troszkę plastiku wystarczyło, by rozwalić całą fasadę, a przy okazji pozbyć się ścigającej cię zgrai. Ty także dobrze się spisałaś.

Asher zaklął.

- Ty stary draniu, a więc nie masz żadnego Alzheimera!

- Tylko nie stary - rzekł z udanym oburzeniem. - Więc jednak wyprowadziłem was w pole, prawda?

- Ale dlaczego? - zapytała Sarah. - Gdybyś sprzyjał Hughesowi, nie powiedziałbyś nam nawet słowa o...

Przerwała nasłuchując. Asher odwrócił się, już z pistoletem w dłoni, i rozglądał uważnie. Oboje słyszeli czyjeś kroki.

Czterej mężczyźni i kobieta wyłonili się nagle z drzwi prowadzących do dużego holu na tyłach zamku. Każde z nich musiało mieć już dobrze po sześćdziesiątce, ale wszyscy trzymali broń i na pierwszy rzut oka widać było, że świetnie potrafią się nią posługiwać. Stali naprzeciw nich: lokaj, trzech mężczyzn w letnich, przewiewnych ubiorach i kobieta w sportowej sukience. Lufy ich pistoletów były wymierzone w Sarah i Ashera.

- *Compadres* - powitał ich O'Keefe. - Wygląda na to, że sytuacja się odwróciła. - Uniósł rękę, by odsunąć waltera dziewczyny od swojej szyi.

Ale ona trzymała go mocno, jeszcze energiczniej przyciskając lufę.

- Nic z tego, Jack. Odsunąć się.

Teraz rzeczywiście mógł mieć kłopoty z oddychaniem. Powoli cofnął rękę.

- Rzućcie broń - krzyknął Asher w stronę piątki przybyszów.

Ale nie reagowali, wciąż pytająco spoglądając na Jacka.

Ten pokręcił głową.

Znaleźli się w patowej sytuacji.

- Może moglibyśmy nawzajem sobie pomóc - zaproponowała Sarah.

- Ha, proponujesz kompromis! My przecież jesteśmy nastawieni pokojowo, prawda, *compadres*?

- Więc powiedz nam, co zdarzy się jutro, a co jest tak ważne dla Hughesa Bremnera i Sterling-O'Keefe?

Szczęki Jacka zwały się mocniej.

- Prywatna operacja Hughesa? No cóż, chyba mógłbym wam pomóc. Co proponujecie w zamian?

- Co powiesz na poprawę mojego nastroju? - zapytała Sarah. - Lepiej, żebyś o niego zadbał, bo od tego zależy teraz twoje życie.

Kątem oka popatrzyła, jak skomplikowaną konfigurację tworzą w ósemkę: jej walter blokujący starego asa wywiadu pod ścianą; Asher stojący plecami do niej i swym pistoletem szachujący pozostałą piątkę. A wszystko to pośród wspaniałych antyków, bezcennych dzieł sztuki, w pięknie odrestaurowanym średniowiecznym zamku. W całej tej sytuacji było wiele komizmu.

Wreszcie Rudy Jack ciężko westchnął.

- Szczerze mówiąc, Sarah, wiem zbyt mało. Polowałem na informacje podobnie jak wy. Miałem nadzieję, że naprowadzicie mnie na jakiś ślad, co przy okazji, na szczęście dla was, zaowocowało moją pomocą w krytycznych sytuacjach.

Zamilkł, oczekując najwidoczniej podziękowania.

- Oboje jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni, Jack. A teraz mów, czego się dowiedziałeś.

- Znam sprawę tylko w ogólnym zarysie, praktycznie bez jakichkolwiek szczegółów.

- Przyda nam się i to.

- No dobrze, ale kompromis to działanie obustronne. Nalegam więc, byś umożliwiła mi normalne oddychanie i mówienie.

Sarah zerknęła na swego towarzysza. Ten dał znak lekkim skinieniem głowy.

Opuściła waltera zatrzymując jego lufę na wysokości serca Jacka.

- Znacznie lepiej - skwitował, po czym w demonstracyjny sposób przełknął ślinę. - Niestety wiemy tylko, że Hughes ma coś wspólnego z dużą transakcją walutową, do której sfinansowania użył pieniędzy Sterling-O'Keefe, oczywiście nie kłopotując się o poinformowanie swych starych przyjaciół z rady nadzorczej.

Sarah podekscytowana uniosła brwi.

- Jasne! Transakcja walutowa. To stąd będą pochodzić pieniądze dla Levine'a.

- Nic o tym nie wiem, ale widać interes jest dobrze zakamuflowany, a jednocześnie niezwykle dochodowy. Kit Crowther, który zajmuje się realizacją ich wszystkich operacji, kupił na krótko franki za jakieś dziesięć miliardów dolarów i wymienił je znowu na dolary, które ostatnio trzymają się wyjątkowo mocno. Zainwestował też około miliarda we francuskie akcje i inne dość ryzykowne przedsięwzięcia. Działając na kredyt Sterling-O'Keefe, wpakował się tak, że każdy ruch w złą stronę może doprowadzić całą korporację do krachu.

- A która to ta zła strona? - zapytał Asher.

- Zwyczajka franka.

Sarah pisała kiedyś artykuł o międzynarodowych rekinach finansjery.

- Jeśli frank pójdzie w górę, Bremner będzie musiał odkupić go drożej. Nic się nie stanie, gdy cena pozostanie bez zmian. Ale jeśli tylko kurs spadnie, spłaci zobowiązanie kupując franki taniej, i w ten sposób zyska. - Jej oczy zaślniły. - Levine ma obiecane kilka milionów na swoje laboratorium. A to oznaczałoby, że Bremner spodziewa się zarobić na tym co najmniej miliard, więc musi zakładać, że frank poleci na łeb, na szyję. A ponadto przewiduje, że dojdzie do tego właśnie jutro.

O'Keefe przytaknął ruchem głowy.

- My także doszliśmy do podobnych wniosków. Tyle tylko, że wygląda to na loterię...

- A przecież Bremner nie gra w ciemno - dokończyła Sarah. - Ile musiałby stracić na wartości frank, aby przy zaangażowanym kapitale zarobił więcej niż miliard?

- Obawiam się, że sporo. - Jack chwilę milczał dla zwiększenia efektu. - Jakieś

dwadzieścia procent.

- Dwadzieścia procent? - powtórzyła z niedowierzaniem Sarah. - Mój Boże, to rozchwieje rynki finansowe na całym świecie! Doprowadzi do strasznych skutków nie tylko we Francji!

- Jakich skutków, Sarah? - zapytał Asher.

- Francja to druga potęga gospodarcza Europy - wyjaśniła. - Tak ogromna dewaluacja franka naruszy Europejski System Walutowy i pozostałe należące do niego kraje będą musiały błyskawicznie zmienić swe stopy procentowe. Problemy te przeniosą się na poziom poszczególnych firm, którym gwałtownie wzrosną koszty. W rezultacie cała Europa pogrąży się w finansowym chaosie!

Jack ze smutkiem pokiwał głową.

- Aby zachować konkurencyjność, inne państwa będą zmuszone wypaść z węża walutowego ogłaszając u siebie dewaluację. To uderzy rykoszetem w Stany Zjednoczone i Japonię. Europie potrzebna jest stabilność finansowa, jeśli chce czerpać maksymalne korzyści z wolnego przepływu dóbr, siły roboczej i kapitału. Po takim ciosie poszczególne kraje zdecydują się zaś na protekcjonizm, a wspólny rynek, nad którego powstaniem tak długo pracowały, legnie w gruzach...

- Czy Bremner nie zdaje sobie sprawy, że wywoła taką lawinę? - zapytał niepewnie Asher.

- Hughesa nic a nic to nie obchodzi - rzekł z westchnieniem Jack. - W dziewięćdziesiątym drugim George Soros dokonał największej w historii zbrodni finansowej zmuszając Brytyjczyków do dewaluacji funta. A Bremner ma tak wybudzone ego, że musi dokonać czegoś jeszcze większego. Zamierza przelicytować Sorosa.

- Kto to taki ów Soros? - zapytał Flores.

- Człowiek, który rozbił Bank Anglii - wyjaśniła Sarah. - I zdobył w ten sposób miliard dolarów.

- Miliard? - powtórzył z niedowierzaniem Asher. - Czy sugerujecie więc, że Bremner chce zarobić ze dwa razy więcej i jednocześnie zniszczyć gospodarkę połowy Europy?

O'Keefe przytaknął.

- Dokładnie to właśnie sugerujemy, mój chłopcze. Gdyby Hughes nie utrzymywał wszystkich swych przedsięwzięć w absolutnej tajemnicy, przeszedłby do historii jako „człowiek, który rozbił Bank Francji i pobił króla George'a Sorosa”... oczywiście, jeśli jego plan się powiedzie.

- Ale jak to w ogóle jest możliwe? - zapytała z powątpiewaniem dziewczyna. - Taka

katastrofa nie ma prawa się zdarzyć, i na dokładkę określonego dnia. Chyba że została z góry zaaranżowana. Bremner musi wiedzieć o czymś szczególnym! Czego jeszcze nam nie powiedziałeś, Jack?

Zapytany pokręcił głową.

- Obawiam się, że to już wszystko. Znam jeszcze tylko pompatyczny kryptonim, jaki nadał swej operacji: GRANDEUR...

- Levine! - wykrzyknęła Sarah. - Mam!

Nagle wszystko ułożyło się w całość. Elitarna klientela Je Suis Chez Moi. Ich codzienne „leczenie”. Leżący na kozetce przedsiębiorca, który walczył ze swoimi pracownikami w imię wielkości Francji: *La Grandeur*. Piątkowe obwieszczenie Banku Francji o kolejnej podwyżce stóp procentowych. Demonstracje, strajki, zwiększające się bezrobocie, wyższe podatki, rosnący deficyt budżetowy, masowe zwolnienia grupowe... a wszystko za rządów nowego premiera - klienta Je Suis Chez Moi.

Podekscytowana Sarah odwróciła się w stronę Ashera.

- Bremner wymusi tę dewaluację franka. Na tym polega cała jego operacja. I jest genialna!

- Ale jak? - zapytał Flores rozkładając ręce.

- Tak, musisz nam o tym powiedzieć, Sarah - odezwał się za jej plecami O'Keefe. - Ale poczekaj jeszcze chwilkę. *Compadres!*

Dziewczyna zamarła. W podnieceniu oboje zupełnie zapomnieli o własnym bezpieczeństwie. Gdy nie mierzyła do starego asa wywiadu, jego towarzysze otoczyli ich. Przegrali!

- Odłóżcie broń na podłogę - polecił Rudy Jack O'Keefe. - Tylko spokojnie, proszę.

## 57.

**16:58**

Jack O'Keefe skinął głową.

- George.

Muskularny „lokaj” podniósł broń Ashera i Sarah. Wycofał się, przez cały czas mierząc do nich ze swego smitha & wessona.

Sarah zmrużyła oczy.

- Zajmowałeś nam tylko czas, Jack... Chciałeś nas przytrzymać dla Bremnera.

O'Keefe westchnął ciężko.

- Hughes zatelefonował i poprosił o przysługę. Wiedział, że tu jedziecie i chciał, żebym znalazł wam zajęcie do chwili przybycia jego ludzi. Nie mogłem odmówić. Wkrótce tu będą. Nie jesteśmy już w stanie ich powstrzymać, więc musimy sobie teraz zaufać i rozmawiać, póki możemy. - Spojrzał na lokaja. - Oddaj im broń, George. Wszyscy pochowajcie te swoje armaty. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Przykro mi, ale wolałem nie mówić o ludziach Hughesa, gdy do nas celowaliście.

- Kto się tu zjawi i co zamierza? - zapytał Asher.

- Gordon Taite i zapewne kilku innych. Nie wiem dokładnie ilu i jak zamierzają was obezwładnić. Wiesz, że Taite cię nienawidzi, Sarah?

- Odniosłam takie wrażenie.

- To niebezpieczny człowiek. Nie chciałbym być na twoim miejscu.

- Potrafisz podnieść człowieka na duchu, Jack.

- Szefie, to my już zajmiemy pozycje na wieży - odezwał się George lokaj.

- My też. I nie zaszkodziłoby się napić. To samo zdrowie, szczególnie na stare lata.

Gospodarz poprowadził ich do kamiennych schodów wiodących na wieżę. Gdy wspinali się, powiedział, że po wysadzeniu Je Suis Chez Moi ludzie Bremnera błyskawicznie przenieśli całą klinikę do osiemnastej dzielnicy.

- Pożar wybuchł, gdy tylko budynek został opuszczony. Nie mam jednak pojęcia dlaczego.

- Ale my wiemy - rzekła Sarah. - Nie chcieli zostawić niczego, co mogłoby wzbudzić

zainteresowanie policji.

- Być może. W każdym razie od szóstej klinika działa już w innym miejscu. - O'Keefe otworzył masywne, drewniane drzwi prowadzące do luksusowo urządzonej komnaty. - Proszę bardzo.

Na biurku stał najnowszej generacji telefon z cyfrowym kodowaniem. Dziesięć czarno-białych fotografii asa wywiadu w towarzystwie kolejnych prezydentów wisiało na ścianie naprzeciwko wejścia. Pomieszczenie ozdabiała także rozliczne pamiątki: złota buteleczka z perfumami z Macedonii, paciorkowy naszyjnik z Laponii, kufel do piwa z NRD, zegar okrętowy z Portugalii.

O'Keefe ścierając z twarzy puder, przedstawił kolejno swych towarzyszy. Wszyscy byli już na emeryturze, ale wciąż ciągnęło ich do pracy wywiadowczej. Kiedy więc poprosił o pomoc w rozszyfrowaniu planów Hughesa Bremnera, przystali do niego bez chwili zastanowienia.

George zabrał się do przygotowywania drinków, podczas gdy pozostali zajęli pozycje przy wysokich, strzelistych oknach. Asher chodził od jednego do drugiego, nasłuchując i rozglądając się. Jack i Sarah usiedli. George po kolei podał wszystkim ozdobne kufle piwa.

O'Keefe wypiwszy łyk zapytał:

- Dobra, Sarah, co ma wspólnego Levine z jutrzejszym dniem?

Pochyliła się w jego stronę i zaczęła tłumaczyć:

- Doktor opracował nowy sposób kontrolowania pracy mózgu poprzez oddziaływanie na jego określone części. Powiedział, że odkrył szereg substancji, które wywołują zmiany psychiki. Jest w stanie sterować ludzkimi odczuciami i przekonaniem, a co za tym idzie także postępowaniem. Nazywa to neuronowym rzeźbiarstwem. Twierdzi, że potrafi dowolnie zmieniać człowieka. I w ten sposób spełnić każde żądanie Bremnera.

Jack zacisnął usta.

- To mi przypomina ponury program, który realizowany był w Langley wiele lat temu - MK-ULTRA. Przecieki trafiły do prasy i opinia publiczna dobrała się nam do skóry. Musieliśmy na dobre wycofać się z tego.

- Teraz także mamy do czynienia z MK-ULTRA. Nowym i udoskonalonym. Program nigdy nie został całkowicie zarzucony, a tylko bardziej utajniony. Bremner zlecił Levine'owi pracę nad znacznie ulepszonym i niebezpieczniejszym MK-ULTRA, po czym przeniósł badania kliniczne do Je Suis Chez Moi. Tym razem jednak wyniki okazały się rewelacyjne. Levine jest w stanie programować ludzi zgodnie z zapotrzebowaniem.

- ...Bremnera - dodał Asher stojący przy jednym z okien.



- Zgadza się - przyznała Sarah. - Teraz jestem pewna, że sprowadził tu Levine'a specjalnie z myślą o GRANDEUR. A to znaczyłoby, że jutrzejszą akcję planuje już od co najmniej dwóch lat.

- Ale skąd pewność, że w całą tę sprawę wmieszany jest Levine i MK-ULTRA?

- Sam mnie na to naprowadziłeś, Jack. Kiedy byłem w klinice, jeden z pacjentów powiedział coś, co potem powtórzył sam Levine. *La Grandeur*. Odnosi się to do starych, dobrych czasów. Okresu potęgi francuskiego imperium.

- A jednocześnie to ulubiona śpiewka prawicowców - dodał O'Keefe. - Ale żaden polityk przy zdrowych zmysłach nie...

- Zgadza się. Ale co powiesz na polityka pozbawionego zdolności logicznego myślenia? Podczas obserwacji *Je Suis Chez Moi* rozpoznałam wychodzącego stamtąd mężczyznę; był to Vincent Vauban, premier Francji. Kiedy wspomniałam to nazwisko, Levine oświadczył: „dzięki potężnym politykom, a przede wszystkim premierowi, Hughes już wkrótce zapewni mi fundusze na najlepsze laboratorium, w którym będę mógł dalej budować podwaliny nowoczesnej nauki”.

- Bremner musi wykorzystywać klinikę, a za jej pośrednictwem MK-ULTRA do zaprogramowania określonych członków rządu, biznesmenów i innych wpływowych osobistości. A na jutro zaplanował, aby ich rękami wywołać wstrząs ekonomiczny i w ten sposób doprowadzić do dewaluacji franka.

Gospodarz zerwał się z krzesła.

- Prezes Banku Francji oraz minister finansów są także pacjentami kliniki?

Teraz oczy wszystkich były zwrócona na Sarah.

- Tak - potwierdziła. - Wszyscy zostali zaprogramowani na zgodne działanie akurat jutro, kiedy to frank zostanie zdewaluowany o kilkadziesiąt procent!

- Dobry Boże! - szepnął O'Keefe. - Rzeczywiście mogą tak zrobić!

- A to dranie - mruknął George ze swego stanowiska przy oknie.

- To niezbyt dobry czas, by przebywać we Francji, a nawet w Europie - zauważyła jego żona Elaine.

- Domyślam się także, jakie zadanie wyznaczono Louise Dupuy - ciągnęła Sarah. - Jest przecież również pacjentką *Je Suis Chez Moi* i założę się, że cały jutrzejszy dzień spędzi w telewizji, przeprowadzając wywiady z zaprogramowanymi przez Levine'a biznesmenami i ekonomistami, którzy oczywiście poprą tak drastyczne posunięcia. Ich ogólna siła będzie tak wielka, że Francja znajdzie się w obliczu katastrofy gospodarczej...

- A gdy zatrząśnie się cała Europa, Hughes ucieknie z zarobionymi miliardami -

dokończył Jack. - Zapewne już przygotował rezygnację, którą przekaże w poniedziałek. I mogę się założyć, że wymościł już sobie jakieś przytulne gniazdko...

- Chyba że zdołamy go powstrzymać - powiedziała twardo dziewczyna.

- Jest już siedemnasta - przypomniał niecierpliwie Asher. - Mięsożerca, Liz, czy diabli wiedzą kto, ujawnia się o dwudziestej...

- Zaraz, zaraz - rzekł zaskoczony O'Keefe. - O czym wy mówicie?

Sarah opowiedziała mu krótko o spotkaniu z Quillem, ataku ludzi Bremnera i śmierci zabójcy.

Stary wywiadowca zachichotał.

- I na tej podstawie uważacie, że Mięsożerca naprawdę nie żyje? Czy ktoś w stu procentach stwierdził śmierć? Na pewno nie. Przetrwał tak długo, bo zna więcej sztuczek niż ktokolwiek inny! Oczywiście nie licząc mnie.

- A więc przynajmniej dobrze, że jesteśmy po tej samej stronie, Jack - uznała Sarah. - Ale teraz to, czy Mięsożerca żyje czy też nie, nie ma praktycznie znaczenia. Ważne, że ktoś się ujawni, choćby miała to być tylko Liz.

- Przed nami niecałe trzy godziny - przypomniał Asher. - Cholernie mało czasu. Jeśli mamy powstrzymać Bremnera, należy jak najszybciej przyjąć jakiś plan działania.

- Nikt w Langley ani w całych Stanach nam nie uwierzy - stwierdziła dziewczyna.

O'Keefe podszedł do biurka.

- Chyba będę mógł porozumieć się z prezydentem Francji. On dysponuje wystarczająco dużą władzą, by zapobiec katastrofie. Mam dobrego przyjaciela, który jest z nim blisko.

Otworzył gruby notatnik i sięgnął po słuchawkę.

- Jest niedziela, Jack - przypomniała mu Elaine. - A na dodatek sierpień.

- Do diabła, to prawda. Wszyscy przebywają pewnie za miastem. - Przerzucił kilka kartek, wyszukał inny numer i wybrał go. - Andre? Tu Jack O'Keefe. Słuchaj, muszę rozmawiać z prezydentem. To sprawa życia i...! Musi być jakiś sposób. Do cholery, to pilne! Co? - Słuchał, nerwowo przestępując z nogi na nogę. - Nie. W porządku. Nieważne.

Odłożył słuchawkę.

- Prezydent jest nieuchwytny. Wyjechał w Pireneje, na ryby do posiadłości jakiegoś przemysłowca. Bez wątplenia chodzi o kolejnego pacjenta Levine'a. Według Andre nie da się także znaleźć większości członków rządu. Jest zdania, że to dziwne do wyjaśnienia zbieg okoliczności.

Zadzwoił telefon. Wszyscy podenerwowani aż drgnęli na jego dźwięk.

Jack odebrał.

- Dobra robota, *compadre. Gracias.* - Przerwał połączenie. - Ostatniego wieczora przesłałem Arlene Debo wiadomość, sugerując, by sprawdziła Hughesa. Chodziło o to, czy rzeczywiście zrezygnował z przejęcia Mięsożercy, jak tego zażądał prezydent. Właśnie wylądowała na dachu Languedoc, wkurzona jak diabli. Zrobi Hughesowi piekło. Może na tyle pokrzyżuje jego plany, że nic z nich nie wyjdzie.

- Przynajmniej narobi sporo zamieszania - stwierdził Asher.

Sarah od dłuższej chwili stała zamyślona, patrząc przez okno na ciągnące się po horyzont lasy. Wreszcie rzekła, jakby pytając samą siebie:

- Ale dlaczego Mięsożerca stanowi aż takie niebezpieczeństwo dla GRANDEUR? Wiemy, że może zniszczyć Sterling-O'Keefe, ale w jaki sposób mógłby zakłócić jutrzejszą akcję Bremnera?

- Ja także się nad tym zastanawiałem - przyznał Jack. - Według mnie istnieje tylko jedno wytłumaczenie. Przypomnijcie sobie, jak Vincent Vauban zdobył nominację na premiera?

- Chyba coś się stało z jego głównym rywalem - rzekł po chwili zastanowienia Asher.

- Zmarł - dodała Sarah. - Zaledwie kilka tygodni przed wiosenną elekcją kandydat na premiera zmarł nagle, a Vincent Vauban zastąpił go z ramienia swojej partii. Pamiętam, że hasłem wyborczym Vaubana było: „Jestem apolityczny, a mój jedyny cel to zrobienie tego, co powinno zostać zrobione”. Wielu Francuzów miało dość recesji, korupcji i było już zmęczonych pozorowaną działalnością Unii Europejskiej. To przede wszystkim dzięki nim odniósł zwycięstwo.

- Zgadza się - przyznał Jack popijając piwo. - Jego rywalem był Phillipe Paquin - późniejsza ofiara nagłego ataku serca podczas gry w siatkówkę na plaży w Cannes. Tyle tylko, że to wcale nie był atak serca. Został zamordowany przy użyciu nowego rodzaju gazu z grupy rauwolfia serpentina.

Sarah zrobiła zdziwioną minę, na co Flores pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Z pozoru przypomina powszechnie stosowane lotne środki uspokajające. Niezwykle trudno wykryć go w organizmie. Wdychany lub rozpylony na skórę działa na centralny układ nerwowy i powoduje śmierć w ciągu zaledwie kilku sekund.

Przelknęła tę wiadomość, lecz co innego miało tu największe znaczenie.

- Mięsożerca go zamordował? Na zlecenie Hughesa Bremnera?

Jack potwierdził ruchem głowy.

- Nie rozumiałem, dlaczego Hughes to zorganizował, ale teraz wszystko jasne:

Vincent Vauban już wcześniej przyjął zaproszenie doktora Levine'a i zaczął bywać w Je Suis Chez Moi, podczas gdy Paquin nie skorzystał z takiej możliwości. Ten „atak serca” jest chyba głównym powodem, dla którego Hughes musi wyeliminować Mięsożercę. Nikt nie wie, że Paquin zginął w efekcie zamachu. Nie odnotowano tego w żadnych danych Langley. Ale to ostatnia robota Mięsożercy, do której przyzna się w pierwszym rzędzie. Niemal każde przesłuchanie zaczyna się bowiem od zdarzeń najbliższych teraźniejszości, przechodząc później do czasów bardziej odległych.

- A więc nie ma innego sposobu na powstrzymanie Bremnera, jak tylko uratowanie Mięsożercy od śmierci. Oczywiście pod warunkiem, że nadal żyje - podzieliła się swoimi wątpliwościami Sarah.

Zamilkli wyraźnie rozdrażnieni. Pomysł wystąpienia przeciw Hughesowi Bremnerowi i jego armii agentów oraz MK-ULTRA nie przeraził *compadres* O'Keefe'a, choć wiedzieli, na co się ważą. Podobnie jak Sarah i Asher.

- To po mnie mają tu przyjechać, prawda? - zapytała dziewczyna.

Rudy Jack przytaknął.

- Nie mogłem się zorientować, do czego jesteś im tak bardzo potrzebna, ale Gordon zamierza cię schwytać i przetransportować drogą powietrzną do Languedoc. Levine poda ci środek nazywany LP48. Dopóki nie opowiedziałas o Levine'ie i MK-ULTRA, nie wiedziałem, dlaczego taką wagę przykładają do tego leku. - Spojrzał na jednego z podwładnych. - Dirk, chłopcze?

Mężczyzna o imieniu Dirk bynajmniej nie był już chłopcem. Miał około siedemdziesiątki, średniego wzrostu, średniej budowy; nikt nie domyśliłby się, że kiedyś mógł być agentem wywiadu. Wyjął z kieszeni pudełko na lekarstwa, otworzył wieczko i postawił je na biurku.

W środku znajdowały się trzy pastylki.

- Zaprzyjaźniłem się z facetem z Je Suis Chez Moi nazwiskiem Maurice Arl, powszechnie nazywanym „Mysz” - wyjaśnił Dirk. - Powiedziałem mu, że jestem z Interpolu i że Levine prowadzi nielegalną działalność. Poprosiłem o zdobycie dla mnie jak największej liczby informacji na temat operacji o kryptonimie MASKARADA. Właściwie potwierdził tylko moje wcześniejsze przypuszczenia, lecz dodatkowo ustalił, że doktor pospiesznie przygotowuje jakiś „lek” dla „pacjenta”, którego wkrótce się spodziewa. Poprosiłem o więcej szczegółów, ale mój informator i pewna młoda kobieta zostali wczoraj zabici, zanim zdążyli ponownie się ze mną skontaktować.

- Chantelle Joyeaux - mruknęła Sarah, a przed oczami znów stanął jej widok ciała

kobiety z okropną raną na piersi oraz drobnego mężczyzny zabitego w podobny sposób, leżących w bagażniku cadillaca.

- Tak się nazywała? - Dirk zdawał się z wysiłkiem grzebać gdzieś w swej pamięci. - Udało mi się ustalić nazwę tego specyfiku: LP48 i zdobyć pigułki, które według Maurice'a neutralizowały jego działanie. Wygląda na to, że Levine zawsze dysponuje antidotum, na wypadek gdyby coś się nie udało.

- Nic dziwnego. Byłoby im bardzo nie na rękę, gdyby w klinice zmarł któryś z ich sławnych pacjentów - zauważył O'Keefe. - Wtedy musieliby odwołać całą operację.

Sarah sięgnęła po pudełeczko.

- A więc ten lek uniemożliwia działanie środka, który Levine zamierza mi podać?

- Tak, Sarah - powiedział cicho Jack.

- Nie! - wykrzyknął Asher i chwycił dziewczynę za ramię. Poważnie popatrzył jej w oczy. - To zbyt niebezpieczne! Kiedy znajdziesz się w Languedoc, w żaden sposób nie będziemy ci w stanie pomóc. A gdyby antidotum nie zadziało? Jeżeli myślisz, że po tym wszystkim pozwolą ci żyć, to się grubo mylisz!

Sarah ujęła go za rękę i uśmiechnęła się.

- Nie mamy wyboru, kochanie. Nie wiemy, gdzie ma nastąpić przejęcie, więc nie możemy zawczasu obstawić tego miejsca. Nie wiemy nawet, do czego Bremner mnie potrzebuje. Jedno jest pewne: jestem mu niezbędna. Sam wiesz, że to jedyny sposób na dotarcie do Bremnera, uchronienie Mięsożercy przed śmiercią i zniszczenie GRANDEUR, zanim zachwieje Europą.

- Nie! - Jego dłonie zacisnęły się w pięści. - Nie pozwolę...

Jej spojrzenie stało się zimne, a wyraz twarzy zacięty.

- Bremner i jego banda skradli mi pamięć, osobowość i całe dotychczasowe życie. Odebrali mi wszystko. Zrobili to wyłącznie dla pieniędzy! Przestałam być normalną osobą tylko po to, by mogli cieszyć się swoimi milionami. Nie pozwolę, by uszło im to na sucho!

- Ale...

- Szefie! - rzekł nagle George, stojący przy jednym z okien. - Są. W lesie.

Asher szybko podszedł do niego.

- Nikogo nie widzę.

- Są tam. Możesz być pewien.

Jack O'Keefe usiadł na skraju antycznego biurka.

- Masz lepsze rozwiązanie, Asher?

- Europa ma dość problemów i bez takiego krachu, kochanie - argumentowała Sarah. -

Nikommu poza nami nie uda się powstrzymać Bremnera.

- Raczej poza tobą - rzucił ze złością Flores. Popatrzył na Jacka. - Jak wyciągniesz ją z tego żywą?

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - zapewnił były as CIA.

## 58.

Kiedy helikopter z Arlene Debo na pokładzie siadł na dachu Languedoc, Hughes Bremner schylił się i podbiegł do niego. Kilka minut wcześniej wysłał Gordona po Sarah Walker i spodziewał się ich powrotu około osiemnastej. Allan Levine był już na miejscu i zajął się przygotowaniami. O dwudziestej przejęcie Mięsożercy rozpocznie się od przybycia prawdziwej Liz Sansborough.

Wszystko odbywało się równocześnie i Bremner miał wrażenie, że czas płynie zdecydowanie zbyt szybko. Przebieg wydarzeń i wszyscy ich uczestnicy znajdowali się pod jego kontrolą. Wszyscy, z jednym tylko wyjątkiem: dyrektorki Centralnej Agencji Wywiadowczej, Arlene Debo.

Otworzył drzwiczki śmigłowca. Łopaty świszczały nad głową, a ich podmuch zmierzwił mu włosy. Debo, jak zwykle w eleganckiej garsonce, wyskoczyła z kabiny, także się schyliła i szybkim krokiem ruszyła w stronę windy. Pilot podał Bremnerowi jej ciężką walizkę.

Szef Mustanga pospieszył za szefową z jak zwykle nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Hughes! - Bujne piersi Debo zafalowały, gdy zatrzymali się czekając na windę. - Prezydent dostanie twoją dupę na półmisku! Lepiej, żebyś miał cholernie przekonujące wytłumaczenie...

- Sytuacja uległa zmianie, Arlene. Dobrze, że tu jesteś. Mięsożerca twierdzi, że Phillipe Paquin został zamordowany. Pamiętasz, był głównym kandydatem na urząd premiera. Vauban to jego rywal. Mięsożerca zobowiązał się wskazać grupę, która za tym stoi. To szczególnie niebezpieczni ekstremiści, którzy teraz z kolei planują zabicie Vaubana. Lepiej więc dokonać przejęcia i dowiedzieć się, co jest grane, zanim zginie premier Francji!

Gdy drzwi windy rozsunęły się, zauważył wyraz zaskoczenia malujący się na okrągłej twarzy przełożonej. Weszli do wnętrza dźwigu. Bremner przeanalizował możliwe opcje. Najbardziej radykalnym rozwiązaniem byłoby wyeliminowanie samej Arlene. Ale to wywołałoby zamieszanie, które mogło zagrozić GRANDEUR. A na dodatek nietrudno będzie się doszukać związku z jego niespodziewanym odejściem ze służby.

- Hughes! Lepiej, żebyś natychmiast przedstawił mi wiarygodne dowody na poparcie tego, co powiedziałeś!

17:22

Na frontowym podejździe zamku Sarah i Asher pożegnali się z Rudym Jackiem O'Keefe. Stary as wywiadu znów był w kostiumie i ucharakteryzowany, a ponadto trząsł się, jakby lada chwila miał nastąpić kolejny atak Alzheimerera. Mrugnął do nich porozumiewawczo, gdy wsiadali na swe potężne BMW.

Sarah przeszukała wzrokiem trawniki i skraj lasu na horyzoncie, ale nie dostrzegła niczego podejrzanego. Flores uruchomił silnik. Ledwie ruszyli, gdy celne strzały rozszarpały opony motocykla, którym zaczęło rzucać, aż w końcu przewrócił się na bok.

Oboje zeskoczyli z niego jeszcze przed upadkiem, jednocześnie sięgając po broń. Schronili się pod osłoną motoru, gdy wokół zaświstały kolejne serie pocisków. Na schodach łysy „lokaj” wciągnął pospiesznie Jacka do wnętrza zamku. Potężne wrota zatrzasnęły się za nimi z głośnym hukiem.

- Gdzie oni są? - czarne oczy Ashera płonęły wściekłością.

- Nie wiem.

Odczekali, aż ostrzał nieco osłabł, i rzucili się biegiem za narożnik zamku, w stronę garażu. Tam powinni znaleźć jakieś pojazdy. Gordon z pewnością jednak był przygotowany na to, że za wszelką cenę będą chcieli stąd uciec.

Gdy biegli, natychmiast nabrali przekonania, że przeciwnik strzela tak, by ich nie trafić.

- O Boże - szepnęła nagle Sarah.

Zza pni buków i topól rosnących w parku wyłoniło się co najmniej dziesięciu uzbrojonych mężczyzn, którzy szybko ruszyli w ich kierunku. Z oddali dobiegł jednocześnie odgłos helikoptera nadlatującego od strony Paryża.

Uciekinierzy przyspieszyli jeszcze, nie chcąc dopuścić, aby odcięto im drogę do garażu. Śmigłowiec przeleciał obok zamkowej wieży i zawisł nad ich głowami. Rozległ się potężny głos z megafonu:

- Walker! Flores! Zatrzymać się! Ręce do góry, a nic się wam nie stanie!

- Tym razem już nie pozwolą, żebyśmy się wymknęli - wysapał Asher otwierając boczne drzwi garażu.

Dziewczyna pierwsza wpadła do środka, z walcerem gotowym do strzału.

- Ha, Sarah. Jakże miło cię znowu widzieć. Ciebie również, Asher - rzekł Gordon z pełnym nienawiści uśmiechem.

Taite oraz kobieta towarzysząca mu na lotnisku w Denver stali jakieś dwa metry od



wejścia, oboje z berettami w rękach. Dzielili ich odległość najwyżej trzech metrów. Sarah nie miała więc żadnych szans, aby uskoczyć w bok ani strzelić do nich, zanim sama nie zostałaby trafiona. Ale jeśli mieli ją pojmać, zadba przynajmniej o pozostawienie Gordonowi pamiątki.

- W porządku, chyba nas masz - rzekła oddychając ciężko. - Bardzo sprytnie udało ci się zapędzić nas do garażu.

- Nietrudno przewidzieć zachowanie człowieka w stresie. - Poczucie triumfu sprawiło, że jego twarz jeszcze bardziej przypominała skałę Gibraltaru. Pewność siebie była jak narkotyk. - Ludzie desperacko starają się wymknąć z pułapki. Po przestrzeleniu opon nie mieliście innego wyboru, jak tylko natychmiast poszukać kolejnego środka lokomocji.

- Skąd w ogóle dowiedziałeś się, że jesteśmy u Jacka O'Keefe'a? - zapytał Asher.

- Nie próbuj żadnych sztuczek, Flores. Rzućcie broń i kładźcie się twarzami do ziemi.

- Drzwi - szepnął ledwie dosłyszalnie Asher.

- Powiedziałem: rzućcie broń! Janet, weź...

Asher kopnął znajdujące się za jego plecami drzwi garażu zatrzasnąwszy je. Gordon i jego towarzysza zamarli. Sarah wykonała zaś ruch, jakby rzeczywiście chciała odłożyć pistolet i nagle rzuciwszy się do przodu przekoziółkowała między dwójką przeciwników.

Rozległy się strzały, lecz żaden pocisk jej nie dosięgnął. Wróg nie ułatwiał im odegrania scenki oporu. Wreszcie dziewczyna podniosła wzrok na jakby martwą twarz Gordona. Odstąpił zęby jak dziki zwierzę, nim rzucił się na swoją ofiarę. Celował w nią. Czyżby nienawiść oślepiła go aż tak, że zapomniał o obowiązku wzięcia jej żywcem?

Po chwili odwrócił od niej lufę i wymierzył do Ashera.

Rozległ się strzał.

To jednak Sarah nacisnęła spust. Gordon raniony zakółsał się i upadł.

Asher błyskawicznie strzelił do kobiety. Padła zboczona krwią.

Za ich plecami drzwi otworzyły się z hukiem, lecz nikt nie ryzykował wejścia do środka. Widocznie nauczeni doświadczeniem, tym razem byli już ostrożni.

- Nie możemy się teraz tak po prostu poddać - szepnęła Sarah.

- Spróbujmy wziąć któryś z samochodów - zarządził Asher. Podbiegli do zaparkowanych w szeregu czterech aut. - Peugeot ma kluczyki w stacyjce.

- Co za niedopatrzanie ze strony Jacka. To na pewno kolejna pułapka Gordona.

- Udawajmy, że niczego nie podejrzewamy.

Wskoczyli do samochodu. Asher przekręcił kluczyk. Brama wyjazdowa była wprawdzie zamknięta, lecz ciężki, sportowy wóz z pewnością poradzi sobie z jej sforsowaniem. W tym momencie całą watahą wpadli do środka napastnicy. Gordon z twarzą

wykrzywioną bólem oraz wściekłością, podniósł się i przyciskając ręką zakrwawiony bok wykrzykiwał rozkazy.

Asher wrzucił bieg... i nic nie nastąpiło. Peugeot ani drgnął.

- Niespodzianka - szepnęła Sarah.

Nie mieli już więcej czasu na wymianę uwag.

Wyskoczyli z samochodu, mając zamiar jeszcze się bronić, ale było to jak skok w oko cyklonu. Naprzeciw nich stało bowiem kilkunastu agentów z bronią gotową do strzału. Sarah spojrzała więc tylko na towarzysza, zdobywając się na blady uśmiech. Asher zaś mocno uściśnął jej rękę. Starła się zapamiętać tę kanciastą twarz, czarną brodę, ciemne, kręcone włosy i oczy czarne niczym węgle, w których było tyle czułości. Dotknęła jego policzka. To już koniec.

Taite wyrzucił z siebie jakieś polecenie i podwładni odebrali im pistolety.

- Przodem do samochodu. Pochylić się i szeroko rozstawić nogi.

- Hughes Bremner zdradził... - zaczął Asher, z rękami na dachu peugeot.

- A ja jestem Sarah z artykułu w „Herald Tribune” - powiedziała dziewczyna oglądając się na wysoką kobietę, która zaczęła ją przeszukiwać. - Bremner wykorzystuje was wszystkich. Działa wyłącznie dla własnej korzyści...

- Znam tego typu sztuczki, więc lepiej się zamknij.

Taite stanął naprzeciw Sarah, nadal przyciskając ręką krwawiącą ranę. Patrząc w jego zmrużone, pełne furii oczy uświadomiła sobie, że gdyby nie wyraźny rozkaz Bremnera dostarczenia jej żywcem, dawno już byłoby po niej.

- Mam wam, a właściwie tobie, przedstawić pewną propozycję - rzekł.

- Odkąd to Bremner negocjuje przy użyciu słów? - zapytał sarkastycznie Asher.

Gordon udał, że nie słyszy zaczepki.

- Otrzymałem instrukcje, by puścić wolno Floresa.

- Nie! Bez Sarah nigdzie się nie ruszę! - rzucił twardo Asher.

- Pod jakim warunkiem? - zapytała Sarah.

- Dobrowolnie odleć stąd z nami i będziesz bez oporu współpracować. - Na twarzy Taite'a pojawił się nagle miły, ciepły uśmiech, który pamiętała jeszcze z Santa Barbara i z Ranza. - Wszystko to jedna wielka pomyłka, koch... Sarah. - Urwał i posmutniał. - Chciałem powiedzieć „kochanie”. Ale rozumiem, że muszę odzyskać prawo zwracania się do ciebie w ten sposób. Wiedz jednak, że mylisz się w swoich opiniach. Chodź z nami, a przekonasz się.

- Nie rób tego, Sarah! - jęknął Asher. - Niech wezmą nas razem. W Languedoc musi w końcu znaleźć się ktoś, kto nas wysłucha...

Gordon skinął głową. Dwóch mężczyzn chwyciło Ashera pod ramiona, a kobieta pozbawiła go przytomności ciosem karate. Osunął się na podłogę u stóp kochanki. Agentka przyłożyła lufę pistoletu do jego skroni.

- Jeśli nie pójdziesz z nami dobrowolnie, zastrzeli go - rzekł Taite. - Nie ma wątpliwości. Nie zawaha się tego zrobić. Asher zdradził, więc nie powinien dłużej żyć.

- Skąd mam mieć pewność, że nie zabijecie go po moim odejściu? - zapytała Sarah.

- Zostawimy go tutaj. Czego jeszcze oczekujesz?

Na zewnątrz, nieopodal garażu, wylądował helikopter. Miał zabrać ją do Paryża, gdzie doktor Levine zaaplikuje jej LP48. Wcześniej już połknęła antidotum, lecz wciąż nie mogła pozbyć się obaw. Uspokajała ją nieco myśl o mikroskopijnym nadajniku, który Dirk wszył jej pod skórą we włosach.

- Dobrze, pójde z tobą, Gordon - powiedziała wreszcie z rezygnacją w głosie.

Czekała, aż wszyscy opuszczą garaż, zostawiając w nim tylko wciąż nieprzytomnego Ashera. Wtedy dopiero wyszła na zewnątrz. Uzbrojona kobieta eskortowała ją z jednej strony, Gordon zaś z drugiej. Patrzyła, jak zamykają drzwi, by uniemożliwić Floresowi zbyt szybką ucieczkę. Dwaj mężczyźni przenieśli ciało zabitej kobiety do furgonetki z przyciemnianymi szybami i szybko odjechali.

Udało się. Asher żył. Bez oporu weszła na pokład helikoptera.

\*

Asher Flores ocknął się z potwornym bólem głowy. Boże. Miał wrażenie, że przez mózg przebiegają mu błyskawice. Leżał w pozycji embrionalnej na zimnej kamiennej podłodze i starał się połapać, co znaczą hałasy na zewnątrz.

Śmigłowiec. Startował. A w nim była Sarah!

Usłyszał nagle jakiś szelest dochodzący z rogu garażu. Otworzył oczy!

Znów to samo. Przeczougał się pod peugeotem pod kolejny samochód, skąd docierały te odgłosy. W półmroku dostrzegł dwie pary butów. Męskich. Zaczęły się do niego przybliżać.

Uśmiechnął się przebiegle. Gordon Taite zostawił jednak swoich ludzi. Skłamał jak zwykle. Mieli zająć się pewnym szczegółem: zlikwidowaniem niewygodnego świadka.

Asher rozejrzał się, zlokalizował warsztat, gdzie powinien znaleźć jakąś broń, i zaczął czołgać się w tamtą stronę.

Stopy były coraz bliżej, gdy nagle drzwi do garażu gwałtownie się otworzyły. Do środka wpadł Jack O'Keefe wraz z czworgiem *compadres*. Strzały z ich broni odbiły się głośnym echem w niedużym pomieszczeniu.

I zapanowała dzwoniąca w uszach cisza. W powietrzu wolno opadał kurz. Asher wstał, popatrzył na dwa porwane kulami ciała i podszedł do Jacka.

- Musiałeś czekać, aż odleci śmigłowiec? - zapytał.

O'Keefe przytaknął.

- Byłem przekonany, że do tego czasu sam dasz sobie z nimi radę. - Uśmiechnął się znacząco. - Bremner dobrze cię wyćwiczył, chłopcze.

Odwrócił się na pięcie i wraz z towarzyszami opuścił garaż. Asher podążył za nimi. George czekał już w niewielkim samolocie na pasie startowym za laskiem. Mieli nim lecieć do Paryża. Do Sarah.

## 59.

17:34

Arlene Debo siedziała przy biurku Hughesa Bremnera w Languedoc, z telefonem przy uchu. Jej pełne policzki drżały ze zdenerwowania. Rozmawiała z prezydentem:

- Tak, sir. Rzecz w tym, że Mięsożerca twierdzi, iż jutro ma nastąpić zamach na premiera Francji, a nasze źródła potwierdziły tę informację. Tutejsza gospodarka boryka się z całą masą problemów, a pewna grupa reakcjonistów sądzi, że jedynym ratunkiem dla kraju jest wyeliminowanie obecnego premiera.

Słuchała chwilę, po czym ciągnęła:

- Raporty od naszych informatorów bardzo wyraźnie wskazują właśnie dzień jutrzejszy. Na szczęście Hughes działa bardzo zdecydowanie i skutecznie. Zaproponował, że jeszcze dziś przejmie Mięsożercę, a ten się zgodził. Akcja rozpoczyna się o dwudziestej. Możemy go przekazać francuskim władzom, zaraz gdy tylko wpadnie w nasze ręce...

Natychmiastowe oddanie Mięsożercy Francuzom było pomysłem Bremnera, lecz Arlene przedstawiała go na wszelki wypadek jako własny. Szefa Mustanga rozśmieszyła jej próżność. I nieostrożność. Dostarczone raporty zostały bowiem w stu procentach sfalszowane. Mięsożerca zginie, zanim ktokolwiek zdąży zapytać go o szczegóły dotyczące planowanego zamachu na Vincenta Vaubana.

Szefowa CIA odłożyła telefon.

- Prezydent stwierdził, że nie podoba mu się to, ale wyraził zgodę. Francuzi biorą Mięsożercę. - Odchyliła się w fotelu, splotła ramiona na piersi i zamyśliła się. - Kiedy wspominam swoich poprzedników, wyraźnie wyróżnia się spośród nich Bill Casey. Sam potrafił uczestniczyć w szczególnie trudnych operacjach. Był legendą. Żaden z jego ludzi nie mógł wymyślić sposobu na założenie podsłuchu w mieszkaniu sowieckiego ambasadora, więc Casey wprosił się do niego na kolację. Zajął miejsce na sofie i gdy nikt nie patrzył, w jednej z poduszek umieścił „igłę” - mikroskopijne urządzenie podsłuchowe.

Debo rozjaśniła się na wspomnienie tej sceny.

Bremner odpowiedział jej uśmiechem i rzekł, chcąc połechtać jej ambicję:

- Tak, Bill Casey niewątpliwie był jednym z najlepszych. Ale ty z pewnością w

niczym mu nie ustępujesz, Arlene, a czasem może nawet jesteś lepsza.

Dyrektorka Agencji zatrzymała nadzwyczaj przenikliwe spojrzenie na podwładnym. Tym razem jej ton był ostry jak brzytwa:

- Prezydent żąda, by opinia publiczna nie dowiedziała się, że mamy coś wspólnego z całą tą sprawą, a ja osobiście dopilnuję, by Mięsożerca został przekazany Francuzom. Dlatego zamierzam ci towarzyszyć podczas operacji jego przejęcia. Jestem pewna, że nie stanowi to dla ciebie żadnej przeszkody, Hughes.

**18:01**

- Oczywiście, że Mięsożerca żyje.

Hughes Bremner popatrzył na Sarah leżącą na kozetce i na wszelki wypadek przypiętą do niej pasami. Spacerował nerwowo po pokoju, pełen energii, wciąż myśląc o Arlene i jej obecności podczas dzisiejszej operacji.

Oprócz Sarah i Bremnera w izbie chorych przebywał jeszcze zły jak osa i mający nadal pewne trudności z koncentracją Allan Levine, który właśnie przygotowywał zastrzyk. Dziewczyna, wspomniawszy o antidotum na LP48, w myślach podziękowała Dirkowi za dalekowzroczność.

Spróbowała znowu:

- Mięsożerca jest moim wujem.
- Tak - potwierdził zniecierpliwiony Bremner.
- Widziałam go martwego.

Machnął ręką.

- Jeśli rzeczywiście widziałas czyjąś śmierć, to na pewno nie Mięsożerco. Moi ludzie otrzymali po południu wiadomość od Liz. Ona i morderca ujawniają się dziś o dwudziestej, tak jak zaplanowaliśmy to wcześniej. - Popatrzył na doktora. - Nie możesz już zaczynać, Allan? Dałem ci dwie godziny, które podobno były niezbędne, a ty najzwyczajniej w świecie je marnujesz.

- Nikt mi nie powiedział, że jest ranna! - warknął Levine. - Uraz może spowodować pewne kłopoty. Staram się przed nimi zabezpieczyć.

- Do cholery, przestań się tłumaczyć. Bierz się lepiej do roboty!
- Co nastąpi za dwie godziny? - zapytała Sarah.

Szef Mustanga podszedł do łóżka.

- Tego nie musisz wiedzieć, pamiętaj tylko o układzie. Twoja współpraca w zamian za

życie Ashera. My wywiązaliśmy się z obietnicy. A ty jesteś przecież honorową kobietą. Wierzę, że dotrzymasz danego słowa.

Ani przez chwilę nie wierzyła zapewnieniom Bremnera, ale jeśli chciała go powstrzymać, nie miała innego wyboru, jak pozornie zgodzić się na współpracę.

\*

W swym biurze w Languedoc Hughes Bremner zakończył przekazywanie instrukcji agentom, którzy będą brać udział w operacji przejścia Mięsożercy. Znał ich na wylot. Byli jego ludźmi, lojalnymi i pełnymi zapału. Wiedział, że zrobią dokładnie wszystko to, co im poleci.

Dwa pokoje dalej Arlene Debo była zajęta przeglądaniem indywidualnych raportów agentów Mustanga, wykonujących inne zadania na terenie całej Europy.

Po wyjściu podwładnych Bremner rozsiadł się w fotelu i rozmyślał o Arlene, która usiłuje mu pomieszać szyki. Do diabła z nią i jej ambicjami! Chciała, by zapamiętano ją tak jak Dzikiego Billa Donovana. Przymknął oczy i ujął głowę w dłonie, chcąc przez chwilę odpocząć. Z wrodzoną samodyscypliną skoncentrował się na sprawie Debo. W skupieniu obmyślał, jak rozwiązać ten problem.

Nagle jego arystokratyczne rysy rozluźnił złośliwy uśmiech. Oczywiście. Powinien wpaść na to już wcześniej: ta suka tak naprawdę wyświadcza mu przysługę. Arlene Debo, potężna dyrektorka Centralnej Agencji Wywiadowczej, była najlepszą przykrywką, jaką można znaleźć dla Sterling-O'Keefe, a w rezultacie i dla GRANDEUR.

Będzie świadkiem, którego zeznań nikt nie zdoła podważyć.

Nikt nie zakwestionuje jej raportu relacjonującego, jak „Liz Sansborough” - „kochanka” Mięsożercy nagle wpadła w szal i zastrzeliła zabójcę, zmuszając Bremnera do unieszkodliwienia jej, zanim zdoła zrobić krzywdę jeszcze komuś.

Tak. Jeśli Mięsożerca postąpi tak, jak się tego spodziewał... a Arlene uwierzy w to, co widziała na własne oczy... nie padnie na Bremnera nawet cień podejrzenia.

A jutro GRANDEUR zostanie zrealizowany bez najmniejszych zakłóceń.

I jakkolwiek zapisze się w historii Arlene Debo, jego rola tak naprawdę będzie znacznie większa.

\*

Doktor Allan Levine zawsze był arogantem. Stale głosił opinię, że tylko intelekt odróżnia elitę od głupców, posiadaczy od robotników, ludzi od małp. Sam rzeczywiście był niebywale hojnie obdarzony przez naturę - iloraz inteligencji bliski dwustu oraz fotograficzna pamięć. Gdy stał nad Sarah, widział strach malujący się na jej, jakże pięknej twarzy. Ciemny

pieprzyk w kąciku ust pociemniał jeszcze na tle poblądłej skóry.

- Naćpanie mnie na pewno sprawiło ci wczoraj mnóstwo satysfakcji, prawda? - rzucił lodowato. - Ciekawe, jak ci się spodoba to, co wkrótce ja z tobą zrobię.

Nie odpowiedziała, nie dając mu pretekstu do kontynuowania monologu. Jej jedynym celem było pozostanie przy życiu tak długo, aby Asher, O'Keefe i jego współpracownicy mogli wytropić, gdzie dojdzie do przejęcia Mięsożercy.

Doktor wbił igłę strzykawki w żyłę na jej nadgarstku. Zrobił to, rozmyślnie sprawiając jak najwięcej bólu, a jednocześnie uważnie obserwując jej twarz w oczekiwaniu na jakąś reakcję.

- Jest pan niezwykle delikatny - zauważyła zjadliwie.

Uśmiechnął się odsłaniając rzadkie zęby. Odkręcił zawór kroplówki.

- To stworzony przeze mnie specyfik: syntetyczny hormon mózgowy połączony z określonymi związkami białkowymi. Wiesz, co to takiego neurotransportery? To substancje chemiczne, za pomocą których przesyłane są sygnały między neuronami. One z kolei odpowiadają za zdolność do wnioskowania i emocje. Dzięki temu specyfikowi twoje neurotransportery zaczną funkcjonować inaczej niż zwykle: stracisz zdolność dokonywania ocen, a emocje zostaną spotęgowane. W rezultacie staniesz się niezwykle podatna na sugestie. Zapomnisz o przeszłości i nabierzesz bezgranicznego zaufania do pierwszej osoby, którą zobaczysz. Wejdiesz w stan dysocjacji i będziesz ślepo wykonywać wydawane ci polecenia.

Zszokowana głośno westchnęła. Zamierzał zniszczyć jej osobowość. Dzięki Bogu, wcześniej zażyła antidotum!

- Brzmi interesująco, prawda? - doktor uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. - Zaletą tej metody jest szybkość działania i niemal stuprocentowa skuteczność. Niestety, dzięki niej będziesz jak maszyna ślepo wykonująca rozkazy, bez samodzielnej zdolności myślenia.

- Jesteś ideałem człowieka i lekarza... - syknęła.

Uderzył ją w twarz. I nagle poczuła w całym ciele falę ciepła, a w ustach jakiś mdło-słodki smak. To, co znajdowało się w kroplówce, zaczęło już krążyć w jej organizmie. Czekwała, aż antidotum zneutralizuje skutki...

Levine stracił dla niej zainteresowanie. Ostatnią jego czynnością było dopilnowanie, by osobą, do której przywiąże się Sarah, został Hughes. W ten sposób Bremner sam będzie przekazywał jej instrukcje i tylko siebie może winić, jeśli coś nie pójdzie po jego myśli.

- Co mi podałeś? - zapytała ostro dziewczyna.

Zerknął na nią.

- Q101.



Nie była w stanie ukryć przerażenia:

- A nie LP48?

Zmarszczył czoło.

- Ubiegłego wieczora byłem gotów zaaplikować ci właśnie LP48, kiedy jeszcze na stosowne przygotowania pozostawała cała doba. Ale dzisiaj musiałem zdecydować się na Q101, bo twoja ucieczka pokrzyżowała mi plany. To zdecydowanie silniejszy środek niż tamten, więc Hughes znów musiał zmienić część pierwotnych założeń... - Uważnie popatrzył na leżącą, jakby starał się przeświecić jej mózg. - Skąd wiedziałas o LP48?

Jęknęła. W żyłach miała coraz więcej trucizny i w żaden sposób nie była w stanie powstrzymać jej działania. Napięła mięśnie, próbując się oswobodzić. Ale nie mogła się ruszyć. Była całkowicie bezbronna. A więc Q101 Levine'a przemieni ją w robota - pozbawioną uczucia i zdolności myślenia mechaniczną kobietę, wyglądającą jak Liz Sansborough i tępo wykonującą rozkazy. A tak chciała zachować wspomnienia, osobowość, życie!

Tym razem będzie znacznie gorzej... Ten środek już na zawsze zniszczy jej umysł!

Utkwiła wzrok w kroplówce i uświadomiła sobie, że nie ma czasu na złość... ani uzalanie się nad sobą!

Ale co mogła zrobić? Była związana, bezbronna...

Myśl!

Zebrała wszystkie niedawno odzyskane siły. Skoncentrowała się. Bremner potrzebował jej, ponieważ miała dublować Liz Sansborough. Posługując się nią zastąpi tę prawdziwą. Jakoś, gdzieś. Ale ona była Sarah Walker. A nie Liz Sansborough.

Jestem Sarah Walker. Jestem Sarah Walker.

W myślach bez przerwy powtarzała te trzy słowa:

Jestem Sarah Walker. Jestem Sarah Walker.

Środek działał z przerażającą szybkością. Wciąż miała otwarte oczy. Walczyła, by te słowa zsynchronizowały się z biciem jej serca.

Z oddechem.

Aby wypaliły nieusuwalny ślad w jej mózgu: jestem Sarah Walker.

Allan Levine wrócił do pracy. Widział, że dziewczyna nie jest w stanie oprzeć się jego wspnianemu wynalazkowi. Przy okazji spodziewał się zdobyć dodatkową wiedzę o Q101. Oczywiście należało brać pod uwagę także efekty uboczne takich badań. Q101 wywoływało bowiem degenerację komórek. Sprawdzi to jeszcze, dokonując sekcji, gdy tylko ciało wróci do Languedoc. Hughes zamierzał przecież wyeliminować ją, gdy tylko zabije Mięsożercę.

Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami strzeli jej prosto w serce. Dzięki temu głowa, a przede wszystkim mózg, pozostaną w nienaruszonym stanie.

### **18:18**

- Ufam ci, Allan - rzekł Hughes Bremner z przekonaniem. - Nie chodzi tu o ciebie samego, lecz o okoliczności. Jeśli coś pójdzie nie tak...

- Oczywiście.

Szef Mustanga wrócił do izby chorych i teraz stał przy łóżku Sarah Walker. Doktor jeszcze raz sprawdził zamocowanie igły oraz kroplówkę.

Oczy dziewczyny wciąż były otwarte.

- Czy wszystko idzie zgodnie z przewidywaniami? - zapytał Bremner.

- Idealnie.

Levine zadowolony skinął ręką i pielęgniarka przytoczyła wózek pełen lśniących, wysterylizowanych instrumentów. Doktor przemył skórę na tętnicy szyjnej pacjentki. Dziewczyna poruszyła się lekko i znów znieruchomiała. Mamrotała tylko na okrągło jakieś niezrozumiałe słowa. Jej oczy lśniły nienaturalnie, a więc organizm poddawał się działaniu specyfiku, ale...

Levine czekał, starając się niczego po sobie nie dać poznać. Co ona wyprawiała? Wreszcie uznał, że nie ma to większego znaczenia. Drobiazg.

Wkrótce się uspokoiła. Odczekał jeszcze kilka sekund, po czym zrobił niewielkie nacięcie na szyi. Wsunął pod skórę mikroskopijny ładunek wybuchowy, zszył nacięcie i zakleił je taśmą w kolorze skóry. Do dwudziestej nie będzie można poznać, że przeprowadził taki zabieg.

- Mam tylko nacisnąć ten przycisk - powiedział zadowolony Bremner. W dłoni trzymał przedmiot w kształcie złotej zapalniczki. Otworzył wieczko i przyjrzał się umieszczonemu pod nim brązowemu, plastikowemu przyciskowi.

- Ten przycisk uruchomi zapalnik i... - zaczął tłumaczyć doktor.

- Doskonale wiem, jak to działa! - warknął szef Mustanga. - Z rozerwaną tętnicą zginie natychmiast. To dodatkowe zabezpieczenie na wypadek, gdyby coś się nie udało, a nie znajdę innego sposobu na jej wyeliminowanie.

Levine pokiwał głową. Dziewczyna znów coś mamrotała, a jej oczy były otwarte i wpatrzone w przestrzeń. Niepostrzeżenie zamknął jej powieki.

## 60.

19:32

Ogromny Tour Languedoc zajmował cały kwartał i wznosił się tak wysoko, że zdawał się sięgać letniego, pogodnego nieba. Asher Flores i Rudy Jack O'Keefe niecierpliwili się stojąc w bramie po przeciwnej stronie ulicy. Biura w Languedoc i okolicznych budynkach były zamknięte, ale mimo niedzieli na ulicach pełno było samochodów i pieszych zdążających do kafejek, kabaretów i kin.

W pobliżu, w furgonetce czekali współpracownicy asa wywiadu. Był to pojazd operacyjny, wyposażony w specjalne urządzenia, dzięki którym zamierzali śledzić Sarah. Francuskim zwyczajem stał zaparkowany dwoma kołami na chodniku obok szeregu innych samochodów. Tak ustawiony, bez trudu mógł ruszyć za każdym autem opuszczającym Languedoc.

Asher i Jack obserwowali budynek już od godziny. Marmurowe schody prowadzące do foyer były wyraźnie widoczne przez szklane ściany. Podłoga jasno oświetlonego parkingu pod biurowcem znajdowała się zaledwie metr poniżej poziomu ulicy. Przy wjeździe do niego znajdowało się dwóch pracowników, których obowiązkiem było podstawianie wozów i odprowadzanie ich na miejsca. Czuwająca nad całością ochrona Firmy starała się nie rzucać w oczy.

Na zakonspirowane piętro prowadziły tylko trzy drogi. Jedna wiodła przez dach i zbudowane tam lądowisko dla helikopterów. Druga - to specjalna winda, do której się wchodziło z foyer. Trzecia, po części pokrywała się z poprzednią, ponieważ zatrzymywała się także w podziemnym garażu, obok kilku innych, zwykłych. Wszystkie wejścia były monitorowane przez kamery, a specjalną windę otwierało się tylko po zastosowaniu odpowiedniego kodu, a ponadto potwierdzeniu linii papilarnych i rysów twarzy.

Asher i O'Keefe wcześniej już obezli budynek dookoła, przyglądając się jego architekturze, lecz nie dowiedzieli się niczego nowego. Stanowił fortecę nie do zdobycia. W żaden sposób nie można było dotrzeć na ostatnie piętro, a następnie z niego się wydostać.

Asher uznał, że nie ma możliwości, aby wejść do windy i opanować helikopter lądujący na dachu. Ochrona Agencji błyskawicznie by go namierzyła. Wątpliwe, czy sam

wyszedłby z tego z życiem, nie mówiąc już o udzieleniu pomocy Sarah.

Pozostało więc tylko czekać, choć nie było to łatwe. I modlić się, by antidotum podane dziewczynie zadziałało i uratowało jej życie. Skoro była potrzebna Bremnerowi do zamordowania Mięsożercy, zachowa ją przy życiu co najmniej do tego momentu. Asher starał się nie myśleć, w jakim stanie może się wtedy znajdować i co nastąpi później.

Skoncentrował się na samej operacji przejęcia zabójcy.

Widocznie Bremner był pewien, że jednak ktoś zdecydował się na ujawnienie. Należało jednak założyć, że Mięsożerca, oczywiście jeśli żył, wcześniej uzgodnił z Agencją, gdzie dojdzie do spotkania. Liz będzie zwlekać do ostatniej chwili, a później poprowadzi Bremnera i jego ludzi w wybrane miejsce.

Jeżeli miał rację, już wkrótce powinna się tu pojawić. A skoro Sarah miała bezpośrednio uczestniczyć w akcji, szef Mustanga zabierze ją ze sobą. Gdyby zaś jej zadanie miało być realizowane później, wraz z O'Keefe'em i jego ludźmi spróbuje wdrzeć się do Languedoc już po ich powrocie z Mięsożercą.

Ludzie Bremnera opuszczą budynek przez jedno z trzech wyjść: foyer, garaż lub dach. Jeśli wybiorą tę ostatnią drogę, zaczną się kłopoty, ponieważ z furgonetki trudno będzie wychwytywać sygnał urządzenia nadawczego ukrytego pod skórą Sarah. Ale w przypadku dwóch pozostałych powinni mieć większe szanse. Przynajmniej szanse.

Gdy tylko Asher pomyślał o utracie Sarah, aż zakręciło mu się w głowie. Czy tak właśnie objawiała się miłość? Czy była równoznaczna z ogromną potrzebą zapewnienia jej bezpieczeństwa? Obawą, że może cierpieć? Rozrywającą czaszkę świadomością, że mogłaby zginąć?

Był przekonany, że chce spędzić z Sarah resztę życia.

Musiał ją uratować. Nawet gdyby przyszło poświęcić wszystko inne!

Gdy przypomniał sobie wszystkie dotychczasowe związki i swoją wyraźną niechęć, by przerodziły się w coś poważnego, doszedł do wniosku, że to jednak musi być miłość.

Walczył z sobą, by nie myśleć o najgorszym, lecz obawy czały się gdzieś w zakamarkach mózgu.

Stop! Jeżeli ma wyciągnąć Sarah z łap Hughesa, musi przywrócić sobie zdolność logicznego myślenia. Czy więc Mięsożerca rzeczywiście nadal żył? A może Liz sama przejdzie na ich stronę, lecz najpierw chce się upewnić, że nie szykują żadnych sztuczek. A może... chciała, by Bremner czekał na nią nadaremnie przez całą noc? Wystawi go do wiatru i pozwoli, by sam się domyślił, że zabójca nigdy nie zamierzał wychodzić z podziemia. Słodka zemsta.

Miał nadzieję, że ten wariant nie okaże się prawdziwy. Byłby to najgorszy z możliwych scenariuszy. Dla Sarah. Wtedy dla Hughesa Bremnera nie przedstawiałaby już żadnej wartości.

### **19:40**

Doktor Allan Levine odłączył kroplówkę, po czym zdjął czujniki umieszczone na czole Sarah. Jak przewidywał, mikronacięcie na szyi było już praktycznie niewidoczne. Przyjrzał się bladej, nieruchomej twarzy dziewczyny. Na szczęście od dawna już nie mamrotała.

- No i co, Allan? - zapytał Hughes Bremner wchodząc do izby chorych.

- Wszystko w porządku. Pamiętaj, czego się spodziewać: brak zdolności oceny i idealna łatwość manipulowania nią. Stań tutaj - przykazał. - Przywiąże się do pierwszej osoby, którą zobaczy.

- Będzie robić dokładnie to, co jej powiem? - upewnił się szef Mustanga, stając tuż przy łóżku.

- Tak.

Levine obrócił głowę Sarah tak, by Hughes znalazł się w zasięgu jej wzroku.

- Jak długo będzie działać ten środek?

Doktor zawahał się. Eksperymenty z Q101 przeprowadzane na ludziach wykazały, że pojawiają się pewne problemy, gdy substancja podawana jest krócej niż przez dwie godziny. W takim wypadku u około jednej trzeciej badanych zaobserwowano pewne oznaki rozpoznawania dobrze im znanych przedmiotów. Sekcja mózgow ujawniła zaś znacznie bardziej ograniczoną degenerację niż u tych, którzy dłużej przyjmowali Q101. Dlatego w przypadku Sarah, aby zmniejszyć zagrożenie spowodowane zbyt krótkim czasem podawania środka, doktor znacznie zwiększył jego dawkę. I tak drobne przejawy kojarzenia nie powinny znacząco wpłynąć na jej działanie podczas operacji.

- Allan? - Bremner przyglądał mu się uważnie.

- Uspokój się, Hughes. Będzie działać wystarczająco długo, by zrobiła, co ma zrobić. Myślałem o czymś zupełnie innym, a mianowicie o tym, kiedy dokładnie otrzymam prywatne laboratorium i fundusze konieczne do kontynuowania moich badań.

Bremner roześmiał się. Takie postawienie sprawy wyraźnie go uspokoiło.

- Do jutra wieczorem otrzymasz taką fortunę, że starczy ci na dziesięć laboratoriów.

- Trzymam cię za słowo.

Powieki Sarah zadrżały.

- Budzi się. - Levine zbadął jej puls, osłuchał płuca i sprawdził źrenice oczu.

Wreszcie Sarah uniosła powieki.

Jej wzrok natychmiast zatrzymał się na Hughesie Bremnerze. Z kącika ust wypłynęła ślina. Patrzyła na Bremnera z uwielbieniem, jak lalka o porcelanowych oczach.

- Zamknij usta - polecił szef Mustanga.

Zamrugła powiekami i posłuchała.

Bremner uśmiechnął się zadowolony.

- Bardzo dobrze. Wstań.

Levine pomógł jej. Ani na chwilę nie spuszczać spojrzenia z Hughesa, usiadła na skraju łóżka, powoli zsunęła się z niego, aż stanęła na własnych nogach. Doktor podtrzymał ją, na wypadek gdyby miała problemy z zachowaniem równowagi.

Bremner kazał dziewczynie podejść do drzwi. Posłuchała. Polecił jej usiąść. Usiadła. Zapytał, kim on jest.

- Człowiekiem - odpowiedziała.

- Wiesz, jak się nazywasz?

- Nie. - Nie okazała żadnego zainteresowania własną tożsamością.

Uśmiechnął się ponownie.

- Podejdź tu.

Podeszła.

- Zrobię ci małą krzywdę, ale nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Uderzył ją mocno w okolice nerek.

Jęknęła i zgięła się w pół. Na podłogę pocięła uryna. Po chwili wyprostowała się bez słowa protestu.

- Bardzo dobrze - pochwalił.

Kąciki jej ust uniosły się nieco z zadowolenia. Oczy wciąż wyrażały głębokie przywiązanie do „Człowieka”.

Levine rozradowany przebiegał drobnymi palcami po swej zapadłej piersi.

- No i co ty na to, Hughes?

Wiele by dał, aby jego stary nauczyciel - doktor Cameron - mógł zobaczyć, jak wspaniale sobie radzi kontynuując program MK-ULTRA.

Bremner pokiwał głową.

- Bardzo dobrze - powtórzył.

Wezwał dwie pielęgniarki, które przebrały Walker w seksowną czarną sukienkę z

poduchami na ramionach i włożyły jej na nogi sandały na wysokim obcasie. Na głowę naciągnęły perukę z długich, kasztanowych włosów i nałożyły delikatny makijaż. Bardzo się natrudził, usiłując idealnie skopiować strój, w którym Sansborough zawsze przychodziła na spotkania do Languedoc.

Gdy kobiety skończyły swą pracę, Bremner odesłał je.

- Wygląda dokładnie jak prawdziwa Liz - rzekł, zakładając jej jeszcze duże okulary przeciwsłoneczne.

- Podobieństwo jest uderzające - przyznał doktor Levine, choć w duchu zauważył, że jest zbyt usztywniona, niczym kukła. I znów przez chwilę zdawało mu się, że dziewczyna mamrocze coś pod nosem. Wolał jednak głośno o tym nie wspominać.

Bremner polecił Sarah usiąść. Podał jej czarną torebkę.

- Otwórz. Wyjmij to, co znajduje się w środku.

Zrobiła jak kazał. Wyciągnęła przed siebie broń. Mięśnie na jej ramionach napięły się od jej ciężaru. Odruchowo poprawiła chwyt, jedną ręką trzymając kolbę i kładąc wskazujący palec na spuście, a drugą podtrzymując rewolwer od dołu. Był to stary, potężny colt, kaliber 45. Nie figurował w żadnych rejestrach.

- Schowaj go z powrotem do torebki - nakazał.

Kiedy wykonała polecenie, zaczął jej dokładnie tłumaczyć, co ma robić.

## 61.

19:52

Asher Flores, Jack O'Keefe i cały oddziałek tłoczyli się i pocili w zaparkowanej furgonetce, kiedy w polu widzenia pojawiła się kobieta.

Asher siedział za kierownicą.

- To ona. Prawdziwa Liz Sansborough!

Była tak samo wysoka i zgrabna jak Sarah. Szczupłe biodra i wydatne piersi oraz długie, gęste, kasztanowe włosy przeblyszujące czerwienią i złotem w świetle zachodzącego słońca. Była ubrana w czarną sukienkę z poduszkami na ramionach. Na nosie miała ciemne okulary z dużymi szklami, a pod pachą czarną torebkę. Gdy szła ulicą, niemal wszyscy mężczyźni oglądali się za nią.

Córka zabójcy.

Kiedy zniknęła w foyer Languedoc, Asher rzekł:

- To znaczy, że albo Mięsożerca nadal żyje, albo też Liz chodzi o coś, czego na razie nie rozumiemy.

- Nie dziwi mnie to - oświadczył O'Keefe. - Rodzi się jednak inne, w tym momencie bardziej istotne, pytanie: którędy opuszczą budynek Hughes i jego ludzie? Módlcie się, żeby nie górą.

- To mało prawdopodobne - powiedział wolno Flores. - Mięsożerca nie pozwoliłby na to. Zbyt łatwo byłoby obserwować ich na radarze. A gdyby nawet wykrył jakąś pułapkę, nie miałby praktycznie możliwości jej uniknięcia. Według mnie definitywnie wykluczył użycie helikoptera.

- Boże, mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Ja także.

Miał ochotę uruchomić silnik, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc, i przyspieszyć działanie przeciwnika. Nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie się pojawią.

Ale opanował nerwy i tylko opuścił nieco szybę, by przewietrzyć duszne wnętrze. Choć słońce wisiało już nisko nad horyzontem, wciąż było gorąco. Powietrze wypełniał odór spalin i rozgrzanego asfaltu.



Minuty dłużyły się jak całe godziny.

**20:00**

Asher zerknął na zegarek.

- Punkt ósma! Gdzie...

- Są tam!

Niewidoczna do tej pory ażurowa żaluzja u wjazdu do garażu zaczęła opadać. Obaj pracownicy parkingu zniknęli gdzieś, a sześciu mężczyzn w letnich garniturach i ciemnych okularach wyszło z windy. Dwóch zajęło pozycje przy kracie, a gdy ta zamknęła się, uważnie lustrowali wzrokiem ulicę. Trzej oddalili się, a ostatni objął posterunek przy windzie.

Jak duchy pojawiły się dwie czarne limuzyny. Były wyposażone we wszelkie możliwe zabezpieczenia. Stanęły jedna za drugą z pracującymi silnikami. Pierwsza była niemal tuż przy wyjeździe, podczas gdy druga znalazła się naprzeciw windy. Przez przyciemnione szyby nie było widać, czy ktoś siedzi w wozach.

- Wreszcie - szepnął Asher, uruchamiając silnik furgonetki. Otworzyły się drzwi specjalnej windy. Nie pomylił się w swych przypuszczeniach, ponieważ z kabiny wyszli Liz Sansborough, Hughes Bremner i...

- Arlene Debo! - rzekł Jack unosząc brwi. - A więc Hughes przekonał ją i prezydenta, by kolejny raz zmienili zdanie. Dużo dałbym, żeby wiedzieć, jaką historyjkę wymyślił tym razem.

- Bremner musi być cholernie pewien, że jego plan się powiedzie, skoro zdecydował się zabrać szefową na akcję - stwierdził pełen niepokoju Asher.

- Zapewne sama się wprosiła - wyraził przypuszczenie O'Keefe. - Nasza Arlene nigdy nie należała do tchórzy.

Drzwi windy zamknęły się, a jej pasażerowie ruszyli w stronę limuzyn. Szef Mustanga podszedł do pierwszego samochodu i wpuścił dziewczynę na tylne siedzenie, Arlene zaś usiadła z przodu. Sam zajął miejsce za kierownicą.

Dwie minuty później drzwi windy otworzyły się ponownie. Przez żaluzję Asher ujrzał drugą Liz Sansborough. Bliźniaczkę w każdym szczególe.

- Proszę, proszę - mruknął były as wywiadu.

Dziewczyna szybko wsiadła do drugiej limuzyny.

- Podobieństwo jest uderzające - powiedział Asher niepewnie. - Która z nich to Liz, a która Sarah? - Odtworzył w pamięci sposób poruszania się kobiet. - Druga była jakaś

sztuczna. Bardzo sztywna. Pomimo makijażu i okularów widać było, że jej twarz jest jakby nieruchomą maską. To na pewno Sarah i jestem przekonany, że to skutek działania środków podanych jej przez Levine'a.

- Ale przecież antidotum powinno zneutralizować ich wpływ na organizm - rzekł cicho Jack. - Nie powinna wyglądać w ten sposób...

- Jestem pewien, że to było skuteczne antidotum - zapewnił Dirk.

- Może więc się mylę. Może tylko gra, by ich wprowadzić w błąd.

Nie było czasu na dalszą dyskusję.

Za Sarah wyspało się z windy dziesięciu mężczyzn w letnich garniturach. Był pośród nich Gordon, a także doktor Levine ze swoją nieodłączną lekarską torbą. Trzech agentów usiadło z przodu, a siedmiu w tylnej części wozu. Gordon prowadził. Stanowili ogromną siłę. Było ich tak wielu, że dwóch musiało usiąść na podłodze. Widać Bremner wolał nie ryzykować.

Był także przebiegły. Limuzyny zostały ustawione w taki sposób, że Arlene Debo i Liz Sansborough musiałyby akurat patrzeć całkiem do tyłu, aby dostrzec wsiadającą do samochodu Sarah. Ale nawet i wtedy nie widziałyby jej dokładnie, a przecież Bremner na pewno zadbał, by we właściwym momencie odwrócić ich uwagę. Mimo wszystko teraz zapewne był mokry od potu.

Jedno spojrzenie mogło bowiem sprawić, że jego tak dokładnie opracowany plan ległby w gruzach.

Widocznie jednak nie nastąpiło nic nieprzewidzianego, ponieważ krata drgnęła i zaczęła się unosić. Obie limuzyny znalazły się na podjeździe. Stały na jego szczycie, a dwaj agenci sprawdzili ulicę. Jeden z nich kiwnął głową i samochody ostro ruszyły.

Asher odczekał, aż przedzielił ich trzy auta, po czym włączył się do ruchu. Utrzymując stałą odległość od wozów Bremnera, namacał kolbę pistoletu. Był przekonany, że nie zawaha się przed zabiciem, nawet gdyby dotyczyło to Arlene Debo, jeśli będzie tego wymagało ratowanie życia Sarah.

Nagle przyszło mu do głowy coś, co na chwilę go sparaliżowało.

- Jack? - wyszeptał. - Może to nie ten środek? Może Levine zaaplikował jej zupełnie co innego?!

W furgonetce zapanowała głucha cisza. Jeśli rzeczywiście tak by się stało, to wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że Sarah znalazła się w beznadziejnej sytuacji.

## 62.

- Czy ta wasza maszyna działa? - zapytał z niepokojem Asher, odwracając się do dwóch mężczyzn pochylonych nad ekranem komputera odbierającego sygnały nadajnika posiadanego przez Sarah.

- Mamy idealny odczyt.

Podążające jedna za drugą limuzyny kluczyły po całym Paryżu. Kilkakrotnie jechały tymi samymi ulicami, skręcając gwałtownie w ostatniej chwili, by pozbyć się ewentualnego ogona. Bremner był świetnym kierowcą.

Ale Flores mógłby napisać całą rozprawę naukową na temat śledzenia obiektu usiłującego zgubić ogon. Czujnie trzymał się daleko z tyłu. Wreszcie limuzyny opuściły centrum i skierowały się na zachód avenue de la Reine. Asher podążył za nimi, polegając przede wszystkim na sygnałach z mikronadajnika. Kilka kilometrów dalej limuzyny skręciły do prywatnej, okolonej wysokim murem posiadłości. Z drutem kolczastym na szczycie ogrodzenia miejsce to sprawiało wrażenie niedostępnego jak Bastylia.

Samochód Bremnera zatrzymał się przy frontowej bramie. Szef Mustanga opuścił szybę. Strażnik zadał kilka pytań, wysłuchał odpowiedzi, zatelefonował i wreszcie wpuścił oba pojazdy do środka.

Asher podjechał do wjazdu dla pracowników i dostawców, gdzie obecność furgonetki nie powinna zwracać zbytnej uwagi. Znajdujący się tam strażnik z zainteresowaniem przyglądał się nietypowemu pojazdowi.

- Podoba ci się moja bryczka, *mon ami*? - Asher wysiadł, zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę rozmawiali o zaletach wozu. Wreszcie Asher poskrobał się po głowie, jakby przypominając sobie, że przyjechał tu z określoną sprawą do załatwienia. Wyjaśnił, że musi zajrzeć do zlecenia i sięgnął pod bluzę.

Wyjął jednak stamtąd berettę. Przepraszając wartownika związał go i zakneblował, podczas gdy Jack i George odcięli przewody telefoniczne i otworzyli bramę. Wjechali na teren rozległej posiadłości, znów podążając za sygnałem wysyłanym przez nadajnik Sarah.

Cały teren był gęsto zalesiony. Po przejechaniu niemal kilometra zatrzymali się za kępą drzew. Na widok samochodów z Languedoc Asher zgasił silnik. Stały zaparkowane na podjeździe przed wejściem do potężnej willi, której fronton podtrzymywały kolumny

doryckie. Znajdujący się obok trawnik objęła w swe posiadanie gromada dzieci. Rodzice przyglądali się ich zabawom z pewnej odległości.

Gordon wraz z sześcioma agentami osłaniał oba wozy. Zza ciemnych okularów uważnie lustrowali okoliczne zarośla, las, trawniki i sam dom. Zdając sobie sprawę ze znaczenia akcji starali się zachować maksymalną czujność.

Sarah nie było nigdzie widać.

Liz Sansborough, ta prawdziwa, stała obok limuzyny między Hughesem Bremnerem a Arlene Debo. Doktor oraz jeden z agentów tkwili oparci o drugi samochód. Także przyglądali się rozbawionym dzieciakom. Kilkoro z nich jeździło na kucach wewnątrz specjalnie ustawionego ogrodzenia, a drobny mężczyzna w różowym stroju prowadził słonia, na którego grzbiecie w gondoli siedziały rozradowane maluchy. Karuzela kręciła się w rytm skocznej muzyki, a na trawniku grupa klaunów wywijiała koziółki i pokazywała uciészne sztuczki.

Jeśli Mięsożerca rzeczywiście zamierzał ujawnić się tutaj, nie mógł wybrać lepszego miejsca. Zamknięty obiekt pozwalał zminimalizować możliwość ingerencji z zewnątrz. A któryż snajper Langley zdecydowałby się strzelać do kogoś otoczonego będącymi stale w ruchu dziećmi?

Wreszcie pojawił się ostatni agent. Wmieszał się w tłumek, zajadając ciasteczka, jakby był jednym z rodziców.

Asher ukrył samochód głębiej wśród drzew i wraz z towarzyszami obserwował miejsce przyszłych wydarzeń.

Liz Sansborough szepnęła coś do ucha Bremnera.

Ten kiwnął głową i była agentka dała komuś znak ręką. Asher nie dostrzegł, do kogo był adresowany.

Wreszcie jeden z klaunów, ubrany w kostium otyłego francuskiego żeglarza z okresu napoleońskiego, odłączył od swych kolegów i zonglując trzema kolorowymi piłkami zbliżył się do grupy trzech mężczyzn i dwóch kobiet. Niespodziewanie rzucił po jednej piłeczce do każdego z trzech mężczyzn.

Zaskoczył ich tym. Tylko doktor złapał lecącą w jego stronę. Bremner i agent zareagowali natomiast sięgnięciem po broń.

Klaun aż przysiadł, zanosząc się od śmiechu.

Liz Sansborough podeszła do żartownisia i chwilę z nim rozmawiała.

Wydarzenia nabrały tempa. Bremner nie odezwał się ani słowem, tylko otworzył tylne drzwi pierwszej limuzyny. Klaun wsiadł do niej. Arlene Debo, jak poprzednio, zajęła miejsce z przodu. Szef Mustanga zatrasnął drzwiczki.

- Jezu - wyszeptał Jack O'Keefe.

- Zgadza się. To ów klaun musi być Mięsożercą!

Ukrywanie się w skórze kuglarza było starą sztuczką, ale widać nadal skuteczną.

A więc Mięsożerca żył. Znowy wyprowadził wszystkich w pole.

Tymczasem Liz, eskortowana przez Gordona, szła w stronę pierwszego wozu. Obchodziła go, by zająć miejsce obok zabójcy. Wyglądała na wyraźnie oklapniętą, jakby z jej barków został zdjęty długo dźwigany, ogromny ciężar.

W tym momencie cztery kuce wypadły zza ogrodzenia i rozbiegły się po trawniku. Dzieci zaczęły piszczeć, a ich rodzice wykazywali wyraźne objawy paniki. Człowiek Bremnera próbował złapać koniki. Ale Asher zorientował się błyskawicznie, że właśnie on był sprawcą całego zamieszania.

Tymczasem to zdarzenie na pewien czas odwróciło uwagę wszystkich od limuzyn.

Tak. Drzwi drugiego wozu otworzyły się i wyszła z nich Sarah!

Asherowi krew dudniła w skroniach. Sarah!

Prawdziwa Liz zatrzymała się gwałtownie, zaskoczona widokiem swojego sobowtóra.

Sarah również stała bez ruchu.

Dwie piękne dziewczyny w takich samych ciemnych okularach i czarnych sukienkach stały twarzą w twarz, niecały metr od siebie. Jedna stanowiła lustrzane odbicie drugiej, choć gdyby przyjrzeć się im uważniej, dostrzec by można pewną różnicę: Sarah była szczuplejsza i mizerniejsza.

\*

Umysł Sarah nie pracował. Nie rozróżniała kolorów i z trudem rozpoznawała kształty. Nie docierały do niej żadne bodźce zewnętrzne. Liczył się tylko Człowiek. Stał w pobliżu i obserwował, jak obchodzi limuzynę. On kazał jej to zrobić. Obejść samochód. Zawsze będzie go słuchać. Tylko na nim jej zależało.

I wtedy zobaczyła twarz tamtej kobiety.

Wykrzywiła ją cierpienie. Nieznajoma uniosła rękę do ust, nad którymi znajdowało się małe, ciemne znamię. Pieprzyk, rozbrzmiał stłumiony głos w umyśle Sarah. Pieprzyk?

Ten sam głos podpowiedział: jestem Sarah Walker.

Kim była Sarah Walker?

Uniosła rękę i dotknęła pieprzyka nad kącikiem swych ust.

\*

Zanim Sarah zdążyła przyjrzeć się twarzy Liz Sansborough, Gordon przycisnął jakąś tkaninę do twarzy byłej agentki, a doktor błyskawicznie wstrzyknął jej coś w ramię. Liz przez

chwilę próbowała walczyć, lecz zaraz osunęła się nieprzytomna. Taite zaniósł ją do drugiego wozu i brutalnie wrzucił do środka.

Bremner skinął na Sarah, a ta jak robot ruszyła w dalszą drogę wokół samochodu. Zajęła miejsce z tyłu, obok klauna - Mięsożercy. Szef Mustanga zamknął za nią drzwi i znów usiadł za kierownicą. Znajdował się bezpośrednio przed dziewczyną.

Podmiana trwała zaledwie kilkanaście sekund. Nikt nawet jej nie zauważył.

Poza Asherem i jego towarzyszami.

Klnąc pod nosem, zerwał się na nogi i biegiem rzucił przed siebie. Pozostali poszli w jego ślady. Dopadł pierwszego stojącego mu na drodze agenta i zanim ten zdążył zareagować, wyrznął go kolbą pistoletu prosto w twarz.

- Sarah! Sarah! - krzyczał najgłośniejszym głosem jak umiał.

\*

Wewnątrz limuzyny dziewczyna znów dotknęła swojego pieprzyka. Jestem Sarah Walker.

Opuściła jednak rękę, ponieważ do głowy przyszło jej coś innego. Słowa Człowieka: „Pamiętaj, będzie siedział obok ciebie. Musisz go zastrzelić i tylko jego. Jasne?”. Człowiek nie mówił, że ma zabić klauna, więc widząc go obok siebie nieco się zdziwiła. Ale to właśnie klaun był mężczyzną, którego miała zastrzelić.

Torebka leżała na kolanach. Kiedy tylko samochód ruszy, miała działać. Nie wtedy, gdy Człowiek uruchomi silnik, ale dopiero gdy ruszy, kazał jej natychmiast strzelać. I nie przestawać, dopóki nie skończy się amunicja. Mężczyzna z prawej. Zabić go. Klaun.

Z przyjemnością położyła rękę na kolbie rewolweru.

Obca kobieta. I pieprzyk na jej twarzy. Dlaczego była jeszcze jedna osoba z takim samym pieprzykiem jak jej? Wysiłała się, by to zrozumieć. Jestem Sarah Walker.

Człowiek oparł ręce na kierownicy. Mówił do kobiety siedzącej z przodu, a później do klauna. Wyrzała przez przyciemnioną boczną szybę. Jej wzrok zatrzymał się... Jestem Sarah Walker.

Przez trawnik biegł mężczyzna z krótką, czarną brodą i kręconymi włosami. Mężczyzna z pistoletem, pędzący w stronę samochodu i krzyżący... krzyżący... Co?

- Sarah!... Sarah!...

Za nim inni, zdecydowanie starsi.

Siwowłosa kobieta siedząca z przodu przemówiła nawykłym do rozkazywania głosem:

- Hughes, co tu się dzieje, do diabła!

- Lepiej byś potrafił to wszystko wytłumaczyć, Bremner. I to natychmiast - zawtórował jej klaun.

Jestem Sarah Walker! Mgła zasnuwająca umysł zaczęła ustępować, odsłaniając kształty, kolory, wspomnienia.

Człowiek za kierownicą powiedział coś do kobiety i klauna, a później ustami drżącymi z wściekłości warknął do telefonu:

- To Asher Flores i Jack O'Keefe... Powstrzymajcie ich...

\*

Asher pędził ku stojącej z przodu limuzynie, gdzie obok Mięsożercy siedziała Sarah. Bremner z pewnością zablokował drzwi przy użyciu centralnego zamka. Jak, do diabła, dostać się do środka? Chryste, przecież wszystkie limuzyny w Languedoc były opancerzone i dokładnie zabezpieczone nawet przed pobliskim wybuchem bomby. Musiałby dysponować chyba głowicą nuklearną...

Inny człowiek Bremnera biegł w jego stronę, strzelając.

Asher dwukrotnie nacisnął spust.

Agent padł na trawę.

Kolejnych dwóch strzelało, kryjąc się za wozami. Odpowiedział ogniem.

Za jego plecami ludzie O'Keefe'a rozproszyli się także, strzelając.

Jedna z kul niemal otarła się o policzek Ashera.

Padł na brzuch, by nie być zbyt łatwym celem. Zaatakowało go trzech przeciwników. Ich pociski orały trawnik. Ale ci idioci gnali wprost na niego, sądząc że wystarczy przewaga liczebna.

Zdażył zdjąć dwóch, gdy padł ten strzał. Kula trafiła go w lewe ramię. Zaskoczony pozostał w jednym miejscu na tyle długo, że w tę samą rękę ugodził i drugi pocisk.

Jezu! Aż pociemniało mu w oczach, lecz błyskawicznie opanował się, zmierzył i ostatni z atakujących przestał być groźny.

Silnik limuzyny Bremnera ożył.

Zamierzali odjechać!

Ale w pobliżu zostało jeszcze kilku agentów. Jeśli najpierw ich nie unieszkodliwi, zginie, zanim zdoła dotrzeć do Sarah. Gdzie, do diabła, się kryli?

\*

Głos Człowieka był ponury i pełen napięcia, gdy tłumaczył:

- Odkryliśmy tajny plan mający na celu wyeliminowanie Mięsożercy. Nasi ludzie właśnie likwidują zagrożenie. Tutaj jesteśmy bezpieczni. Za chwilę ruszamy...

Klaun tymczasem uważnie przyglądał się dziewczynie. Jestem Sarah Walker.

- Liz, co z tobą? - zapytał.

Liz? Liz... Sansborough? W jej mózgu jakby rozbłysła błyskawica. Ból był tak gwałtowny, że aż zamknęła oczy. Zmusiła się jednak do myślenia: Jestem Sarah Walker. Jestem Sarah Walker! JESTEM SARAH WALKER! Zakręciło się jej w głowie. I nagle umysł zaczął pracować. Z przerażeniem, a później podnieceniem przypominała sobie...

Tego drania Gordona Taite'a.

Tajny obóz treningowy w górach Kolorado.

Perfidję Hughesa Bremnera. Sterling-O'Keefe. GRANDEUR!

Kochanego Ashera...

\*

Asher nie zwracał uwagi na ból i krew płynącą z ran. Ostatni z rozbawionego tłumu zniknęli już w lesie. Nie widać było nawet kucyków ani słonia.

Zapanował złowieszczy spokój. Ludzie Jacka rozproszyli się w poszukiwaniu agentów Bremnera.

Asher przykucnął, by zmienić pole widzenia. Dostrzegł ich ukrytych za drugą z limuzyn. Gordona i jeszcze jednego. Rozpłaszczeni na ziemi, skupieni strzegli doktora i nieprzytomnej Liz Sansborough. Wykonywali wyznaczone zadanie bez względu na okoliczności. Idioci!

- Tam są! - krzyknął Asher. Grupa O'Keefe'a zaczęła się skradać w stronę przeciwników, podczas gdy Flores skoncentrował się na głównym celu: ratowaniu Sarah!

\*

Prowadząca limuzyna ruszyła.

- Jestem Sarah Walker - oświadczyła Sarah klaunowi.

Przerażona patrzyła w dół, jak jej dłoń trzymająca rewolwer, nie dając się powstrzymać, naprowadza lufę.

- Jesteś Sarah Walker? - powtórzył zaskoczony klaun. W jego ręku pojawił się pistolet. - Bremner, ty draniu! Gdzie Liz? Gdzie moja córka?

Sarah starała się zapanować nad narzuconą jej żądzą zabicia klauna. Walczyła, by odjąć palec od spustu, wypuścić broń. Ale wciąż ścisnęła colta przygotowując się do strzału...

Gdzieś pojawiło się niejasne przekonanie: jeśli zabije klauna, GRANDEUR zakończy się sukcesem!

- Wszystko w porządku - rzekł Człowiek i obejrzał się na klauna z wyrazem odprężenia na twarzy. - Za kilka minut będziecie bezpieczni w Languedoc. Ty i Liz.



Sarah popatrzyła na dłoń klauna w obcisłej, białej rękawiczce, trzymającą broń. Coś się nie zgadzało. Dłoń była szczupła i drobna.

Wręcz delikatna.

Gwałtownym ruchem zerwała klaunowi perukę.

Na jego barki opadły długie blond włosy. Twarz kobiety klauna wyrażała wściekłość. Zdecydowanie odepchnęła dziewczynę.

Przecież Sarah miała zastrzelić mężczyznę, a nie kobietę! Gdy dotarło to do niej, niepowstrzymany pęd do zabijania nagle zniknął. Rewolwer zastygł w jej ręku.

Odetchnęła głęboko. Nie musiała już zabić.

Jakby wiedziona jakimś nakazem przyjrzała się ręce Hughesa Bremnera opartej na kierownicy. Dostrzegła błysk złota. Złota zapalniczka. Widziała ją chyba w izbie chorych...

Nie!

Co?

Tylko nie zapalniczka. Szyja!

Uniosła rękę i przeciągnęła po szyi. Coś twardego. Coś... co umieścił tam... doktor!

Sarah w ułamku sekundy strzeliła przez zagłówek.

I jeszcze raz. I jeszcze.

Skóra, kości i włosy oderwały się od głowy szefa Mustanga. Duży fragment kości czołowej uderzył w przednią szybę i spadł na występ deski rozdzielczej. Jego ciałem szarpnęło do przodu i legł na kierownicy.

W limuzynie zapanowała idealna cisza. Wśród ostrej woni spalonego prochu Arlene Debo i Mięsożerca kompletnie zdezorientowani patrzyli to na Sarah, to na zakrwawione zwłoki Hughesa Bremnera.

## 63.

Asher Flores zdołał wreszcie przestrzelić zamek w drzwiach i otworzył je mocnym szarpnięciem.

Na przednim siedzeniu Arlene Debo nie mogła oderwać wzroku od trupa Hughesa Bremnera. Krew zbryzgała jej twarz i elegancką garsonkę.

Z tyłu Sarah opuściła na kolana ogromnego colta wystającego z resztek poszarpanej kulami torebki. Asher przyglądał się jej z obawą. Czy mózg dziewczyny...?

- Sarah?

- Wreszcie go wykończyłam. Tego sukinsyna... - Uniosła głowę. - Coś podpowiadało mi, że jestem Sarah Walker, ale nie byłam w stanie wyzwolić się od nakazu zabicia klauna. Mięsożerca. Ale nagle zobaczyłam jego dłonie. Mięsożerca był kobietą. - Rozejrzała się.

Siedzenie obok było puste.

- Asher! To musi być matka Liz. Melanie Sansborough! Zupełnie o niej zapomnieliśmy. Gdzie ona jest? Musimy...

- Jestem tutaj, Sarah.

Melanie Sansborough przyciskała lufę swego waltera do policzka drżącego doktora Levine'a, trzymającego na rękach nadal nieprzytomną Liz. Długie blond włosy Melanie częściowo przysłaniały jej twarz, pozbawioną już dużego, czerwonego nosa i z częściowo startą charakterystyką. Miała delikatne rysy, które Sarah pamiętała z rodzinnego albumu Sansborough, nieco tylko zmienione przez upływ czasu.

Sarah podeszła do ciotki, nagle domyśliwszy się całej prawdy:

- Oboje więc jesteście Mięsożercą. Wuj Hal i ty.

- Oczywiście. Jesteśmy partnerami.

- A ci wszyscy ludzie? Artyści cyrkowi? „Goście”?

- Starzy znajomi. Dobrze odegrali swoje role, prawda? Policja nigdy ich nie znajdzie, podobnie jak Languedoc.

A więc wszystko to było jedną wielką mistyfikacją.

- Ale dlaczego...?

- Hal i ja postanowiliśmy rozdzielić się do czasu ujawnienia. Kiedy wreszcie uzgodniliśmy między sobą szczegóły wystąpienia o azyl, woleliśmy nie ryzykować trzymając

się razem. Oni od szeregu miesięcy byli moją przykrywką. Znamy się już wiele lat. - Wzrok Melanie Sansborough powędrował do Allana Levine'a, który, wciąż trzymając Liz, ukradkiem dał krok w stronę drugiej limuzyny. - Zapomnij o tym, doktoro! Jeszcze jeden i z wielką przyjemnością cię zastrzelę!

Twarz Levine'a stała się jeszcze bledsza i bardziej pociągła niż zwykle. Przeżony zamarł w pół kroku.

- Czy wuj Hal naprawdę nie żyje? - zapytała Sarah.

Melanie przytaknęła ruchem głowy.

- Jakies szczeniaki ukradły MG i zapewne pozbyły się jego ciała. Policja jeszcze go nie znalazła, ale na siedzeniu kierowcy było tyle krwi, że nikt nie mógłby przeżyć utraty takiej ilości...

Melanie zamilkła, Arlene Debo bowiem wyrwała się wreszcie z odrętwienia. Przeżona wyskoczyła z wozu. Tymczasem z kępy pobliskich drzew dobiegły dźwięki uruchamianego silnika samochodowego.

Sarah pytająco spojrzała na Ashera.

- To Jack O'Keefe i jego *compadres* - wyjaśnił szeptem, wzruszając przy tym ramionami.

Sarah rozejrzawszy się nie zauważyła żadnego z nich. Pracę motoru słyhać było z coraz większej odległości. Skończyli swą robotę i odjechali. Dlaczego jednak nie podeszli, by można było chociaż im podziękować?

- Jezu Chryste - Arlene Debo patrzyła na obecnych kompletnie zdezorientowana, po czym przeniosła wzrok na ciało Hughesa Bremnera. - Co tu się stało? Czyżby cały świat nagle zwariował? Kim jesteście? Co...?

Głos Melanie przybrał twardy, ostry ton. To był rzeczywiście głos Mięsożercy.

- Przybyła tu pani, by być świadkiem ujawnienia się Mięsożercy. Więc widziała pani, co się stało. Obserwowała pani próbę zamordowania mnie przez człowieka, któremu powierzono całą tę operację. Dlaczego tak postępował, tego nie wiem. Spodziewam się jednak, że wyjaśnią nam to moja siostrzenica i ten cały zakrwawiony brodaty młodzieniec.

Debo popatrzyła na Sarah i Ashera.

- Kim jesteście? I co, do diabła, zrobił Hughes? Dlaczego, na miłość boską? - Jej twarz pociemniała. - Czy rzeczywiście na jutro został zaplanowany zamach na premiera Francji? No mówcie!

Sarah zaczęła gorączkowo tłumaczyć, kim jest oraz na czym polegała MASKARADA: operacja plastyczna, zmiana osobowości i udział Sterling-O'Keefe. Asher

opowiedział zaś o morderstwach Bremnera i jego zdradzie.

- Musi pani natychmiast porozmawiać z władzami francuskimi - nalegała dziewczyna.  
- Proszę przekonać naszego prezydenta, by skontaktował się z francuskim... - Najszybciej jak umiała, wyjaśniła, na czym ma polegać GRANDEUR. - W obecnej sytuacji zagrożenie gwałtowną dewaluacją franka nieco zmałało, ale nie można ryzykować. Proszę mi uwierzyć. Musi pani natychmiast zaalarmować prezydenta Francji i Zgromadzenie Narodowe!

- Mogę zapewnić, że nic mi nie wiadomo o planowanym zamachu na Vincenta Vaubana. Przypuszczam, że to kłamstwo Bremnera - rzekła wolno Melanie Sansborough.

- Jeśli mogę coś zasugerować, pani dyrektor, to proszę natychmiast wziąć telefon i zaalarmować kogo trzeba - odezwał się Asher. - Wkrótce pojawią się tu francuscy gliniarze. Teren jest co prawda zamknięty, ale ktoś na pewno musiał usłyszeć strzelaninę.

Arlene Debo niezdecydowanie pokręciła głową.

- Skąd mam wiedzieć, że to wszystko prawda?

- Bo ja tu jestem - rzekła Melanie Sansborough. - A pani wciąż żyje. Chcecie mnie czy nie?

Dyrektorka CIA zacisnęła usta.

- Porozmawiam z prezydentem. - Wygładziła ręką poplamioną krwią garsonkę i zwróciła się do Ashera. - Agent Flores, tak? Dobra, Flores, łącz się z Languedoc. Błękitny kod. Powiedz im, żeby natychmiast przygotowali połączenie zerowego stopnia uprzywilejowania z Waszyngtonem.

- Musisz użyć aparatu z drugiego wozu - poradziła Sarah. - Ten jest rozbity.

Ledwie Asher ruszył w stronę samochodu, gdy nagle w gęstniejącym zmierzchu Sarah dostrzegła kątem oka jakiś ruch.

- Asher! - krzyknęła rozpaczliwie. Jej pierś ścisnął lęk.

Moment później ujrzała, jak Asher pada na plecy, a do jej uszu dobiegł huk strzału. Błyskawicznie rzuciła się na trawnik, przekoziółkowała i wylądowała na kolanach obok niego. Twarz Floresa wykrzywił grymas bólu. Krew przesiąkała przez nogawkę spodni na udzie.

Próbował coś powiedzieć, lecz tylko jęknął i stracił przytomność.

- Nie! - krzyknęła.

I wiedzioną instynktem rozejrzała się.

- Pieprzona suka... - rozległ się ochrypy głos z drugiej strony samochodu. Ponad maską ukazała się twarz Gordona. Stanął na nogach i chwiejnym krokiem zaczął się do niej zbliżać.

W zakrwawionych rękach trzymał berettę, starając się wycelować. W nią. W „pieprzoną sukę”. Słaniał się, jakby był pijany. Ale to jego twarz wywarła na dziewczynie takie wrażenie, że zamarła na chwilę. Przyoblekana na co dzień maska obłudy zniknęła, pozostawiając tylko nie opisaną wściekłość. Uosobienie zła. Nie wyobrażała sobie, że można tak nienawidzić.

- Ty dziwko! Zabiłaś go! Mojego... ojca!

Sięgnęła po pistolet Ashera tkwiący w kaburze. Przy okazji z ulgą wyczuła bicie jego serca. Żył... I już nie pozwoli mu umrzeć!

Taite opierając ręce o samochód zdołał wreszcie jakoś w nią wymierzyć.

- Ty głupia, zawszona dziwko!

Błyskawicznym ruchem poderwała broń i nacisnęła na spust. I jeszcze raz. Tym razem doskonale wiedziała, co robi.

## 64.

Gdy dwadzieścia minut później na miejscu pojawiła się francuska policja, mogła jedynie zobaczyć oddalający się helikopter z Languedoc i pozbierać trupy. Arlene Debo oraz ambasador Stanów Zjednoczonych nabrał wody w usta, radząc tylko policji, by skontaktowała się z wywiadem. Szpiedzy omówią już całą sprawę we własnym gronie i zadbają, by nie wydobyto jej na światło dzienne.

Szczególnie zaś dopilnują, by nikt nigdy nie dowiedział się o GRANDEUR i związanym z nim zagrożeniu. Właśnie przed chwilą prezydent Francji rozmawiał z Białym Domem, skąd przekazywano mu fakty. Natychmiast postawi w stan alarmu swój wywiad oraz policję. Oni już zajmą się zlokalizowaniem nowej siedziby Je Suis Chez Moi i zamknięciem jej, a także odsunięciem od władzy Vincenta Vaubana i prezesa Banku Francji.

Zmierzch zamienił się w już noc, gdy helikopter z Melanie Sansborough oraz wciąż nieprzytomną Liz zbliżał się do Languedoc. Przybyły lekarz od dłuższego czasu opatrywał rany Ashera. Sarah siedziała przy nim, tuż za pilotem. Gładziła czarne włosy ukochanego, teraz pozlepiane krwią. Znów był przytomny. Delikatnie dotknął ręki Sarah i zdobył się na uśmiech.

- To koniec. To już naprawdę koniec!

Pocałowała go i odpowiedziała uśmiechem.

- Jeszcze nie całkiem.

### **PONIEDZIAŁEK**

Okrągła wieża château de la Vere wznosiła się ponad czubkami drzew. Wreszcie ich oczom ukazała się cała budowla, sprawiająca majestatyczne wrażenie w świetle poranka. U jej podnóża pasło się stado gęsi. Lekki wietrzyk kołysał liśćmi dębów i jaworów. Fachowo opatrzone rany Sarah i Ashera nie dokuczały im już specjalnie. Zaparkowali w miejscu niewidocznym z zamku i przekradli się w jego stronę. W pewnym momencie zobaczyli Rudego Jacka O'Keefe'a. Był ubrany w lniane spodnie i luźną, żółtą koszulę. Niegdyś rude włosy teraz były całkiem siwe, lecz nadal gęste. Pod pachą widać było wyraźne wybrzuszenie. W pobliżu nie zauważyli George'a, Elaine, ani innych *compadres*.

- Widzisz broń? - rzekł Asher.

- Trudno nie zauważyć.

Były as wywiadu niósł dwie skórzane walizki do starego peugeota stojącego przed garażem. Wrzucił bagaże do kufra i uważnie przyjrzał się skrajowi pobliskiego lasu, gdzie przycupnęli Asher i Sarah. Nie zauważył widocznie niczego podejrzanego, wrócił bowiem do drzwi, gdzie stały kolejne dwie walizki i teczka. Wstawił je także do bagażnika i zatrzasnął go, teczkę zaś położył na przednim siedzeniu. Następnie zniknął im znowu za narożnikiem zamku.

- Wygląda na to, że miałaś rację - mruknął Asher.

Przekradli się wśród drzew w pobliże garażu, prześlizgnęli wzdłuż jego ściany i podbiegli do peugeota. Sarah natychmiast sięgnęła po teczkę. W środku znalazła białą kopertę zawierającą dokumenty dotyczące trzech kont w różnych szwajcarskich bankach.

Na głos odczytała numery i wymownie spojrzała na Ashera.

- Poproszę o zwrot - rozległo się za ich plecami.

Jack O'Keefe musiał widocznie okrążyć cały zamek. Uśmiechał się uprzejmie, co nie przeszkadzało mu jednocześnie mierzyć z pistoletu w plecy Sarah.

Asher sięgnął po swoją broń...

- Nie radziłbym. - Brwi starego uniosły się. - Trzymam palec na spuście tej zabawki i nawet gdybyś mnie trafił, zdążę go jeszcze nacisnąć. Obaj dobrze wiemy, jakie byłyby tego konsekwencje.

- Wątpię, żebyś to zrobił, Jack - powiedziała dziewczyna.

O'Keefe zamyślił się.

- Może i tak, ale nie radzę próbować, Asher. To przecież miłość twojego życia, prawda? Chcę tylko odejść w spokoju z odrobiną pieniędzy. Zamierzam chociaż trochę pożyć w komforcie, a i moim *compadres* też się coś należy. - Wykonał ruch lufą pistoletu. - Przejdź tam, żebym mógł cię lepiej widzieć, Asher. Trzymaj się blisko Sarah. Ale nie tak blisko. O, tak dobrze. Odwróć się, a ja wezmę te papiery, Sarah.

Dziewczyna pomachała nimi w powietrzu.

- To kradzione pieniądze, Jack? Przez cały czas utrzymywałeś kontakt ze Sterling-O'Keefe, a teraz uciekasz ze zdobyczą.

Uśmiechnął się i przekrzywił głowę.

- Masz rację, że to brudna forsa. Ale po stokroć sobie na nią zasłużyłem.

- Tak samo jak Hughes Bremner - rzucił Asher.

- Taka już nasza praca.

Sarah pokręciła głową.

- Nikt w to nie uwierzy, Jack. Nie masz nic wspólnego z Sterling-O'Keefe. Potwierdziła to Bunny Bremner.

Stary znów uniósł brwi.

- Wątpię, żeby Hughes kiedykolwiek wspomniał Bunny o Sterling-O'Keefe.

- Nie, ale dowiedziała się wszystkiego od dziennikarki Leslee Pousho, której uratowała życie, kiedy ludzie Bremnera torturowali ją, a potem usiłowali zabić. Panna Pousho zebrała siły, zadzwoniła do pani Bremner i powiedziała jej wszystko, co wie. To było wczoraj, późnym wieczorem. Żona Bremnera natychmiast skontaktowała się z Białym Domem. Mają już w rękę wszystkie dokumenty, które Leslee wysłała na swój domowy adres.

Jack był wyraźnie zaskoczony.

- Chryste, z Hughesa rzeczywiście był kawał świni. Chciał wykończyć własną żonę! A tymczasem to ona wygrała. Szkoda, że drań nie mógł być świadkiem tego.

Sarah znów machnęła papierami.

- Jack, to konta Bremnera. Arlene Debo dysponuje pełnym ich wykazem, na którym Figurują i te trzy.

- Naprawdę? Więc możecie do moich wyczynów dodać kradzież. A teraz ręce do góry...

- Jeszcze chwileczkę - zaprotestowała dziewczyna. - Liczę na to, że mi coś wyjaśnisz. Okazałeś się Brutusem zdradzając nam przyczyny, dla których Bremner chce zabić Mięsożercę. Ale nie musiałeś tego robić. Dlaczego więc tak postąpiłeś? - Patrzyła mu prosto w oczy. - Czy znudziło ci się życie na koszt Hughesa?

Lufa pistoletu O'Keefe'a była wymierzona prosto w jej pierś. Stali tak naprzeciw, piorunując się wzrokiem.

Wreszcie Jack przemówił cicho:

- Kiedy zmusili mnie do przejścia na emeryturę, miałem za sobą kilkadziesiąt lat służby i pokój pełen nagród. Emerytura nie pozwalała mi na zachowanie dotychczasowego poziomu życia, nie mówiąc już o zamieszkanu w miejscu takim jak to. Zawsze marzyłem o podobnym zamku. Hughes dobrze o tym wiedział. Kupił mi go więc. Na początku myślałem, że postąpił tak przez wdzięczność za to, co dla niego robiłem. - Zamilkł na moment. - Dopiero później zrozumiałem, o co chodziło mu naprawdę.

- Wciągnął cię do swoich gier. Trzymał jak na smyczy. Wcześniej ty byłeś jego przełożonym, a teraz on wydawał rozkazy.

- A na dodatek wykorzystał twoje nazwisko, tworząc własne nielegalne imperium - dodała Sarah. - Sterling-O'Keefe.



Jack poczerwieniał z wściekłości. Szczęki drżały mu przez chwilę, aż wreszcie wybuchnął:

- Jak śmiał użyć go do tak niecnego celu! Był moim podwładnym, a później swym postępowaniem udowadniał, że stałem się niemal jego własnością. A przecież reputacja to wszystko, co mi pozostało! - Urwał i nerwowo zamrugał powiekami. - Kiedy zatelefonował mówiąc, bym was wystawił, dostrzegłem w tym szansę dla siebie. Nie mogłem ryzykować bezpośredniej konfrontacji, lecz liczyłem, że uda mi się zniszczyć sukinsyna i zatrzymać to co miałem, dostarczając wam informacji i udzielając pomocy. Gdyby zaś zdołał zabić i was, i Mięsożercę, nadal byłbym bezpieczny. Natomiast gdybyście to wy go załatwili, Sterling-O'Keefe przestałby istnieć, ja oswobodziłbym się od Hughesa i miałbym to, czego tak chciałem!

Asher pokiwał głową.

- A więc zatrzymałeś nas dla niego, zarazem wystawiając go nam. Z rozmysłem umieściłeś kapelusz przy drzwiach, wiedząc że Sarah natychmiast go zauważy. Przez cały czas obstawiałeś jednocześnie oba konie.

- Z tego wynika, że już wcześniej znałeś numery szwajcarskich kont Bremnera. Nie mogłeś tylko za jego życia dobrać się do tych pieniędzy. A teraz zemściłeś się, oswobodziłeś od jego „hojności” i na dodatek masz sprzeniewierzoną przez niego forszę.

- Ktoś zawsze pozostaje czyjś dłużnikiem, Sarah. Mam kontakty wśród szwajcarskich bankierów. Kilku miało wobec mnie długi wdzięczności. Bez trudu poznałem numery tak zwanych tajnych kont Hughesa.

- Ale to nie są pieniądze Bremnera, Jack. Twoje też nie - przypomniał Asher.

- Chyba Bremner zapomniał o wpajanej mu przez ciebie zasadzie - powiedziała Sarah.

- A mianowicie?

- „Szybkość działania przywódcy określa szybkość podwładnych”. Okazuje się, że działałeś szybciej i sprytniej niż Hughes. Przykre dla ciebie jest tylko to, że niedostatecznie szybko, aby z tym nawiać.

As wywiadu patrzył kolejno na swych rozmówców. Wreszcie na jego ogorzałej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Szkoda, że jesteście zbyt młodzi, by znać Dzikiego Billa Donovana. Nawet on byłby pod wrażeniem.

- Darujmy sobie tę kurtuazję, Jack - rzekła Sarah wyciągając rękę. - Oddaj pistolet. Arlene Debo chce z tobą mówić. Kiedy francuska policja trafiła na miejsce, dokąd przeniosło się Je Suis Chez Moi, nie było tam już kamienia na kamieniu. Widzieliśmy, jak szybko

odjechałeś wczoraj z miejsca przejścia Mięsożercy. Może właśnie po to, by zająć się kolejną sprawą?

- Szczerze mówiąc, podejrzewam, że moi *compadres* mogli mieć z tym coś wspólnego. Byłoby skrajną głupotą w dzisiejszych czasach pozwolić komuś tak nieodpowiedzialnemu jak Levine na kontynuowanie prac, prawda?

- Nigdy się o tym nie przekonamy. Cała dokumentacja doktora zniknęła.

- O to właśnie chodziło. - O'Keefe zawahał się. Wciąż jednak trzymał Sarah na muszce. - Nikomu nie będzie żal tych trzech niezbyt zasobnych kont. Jest tam zaledwie pięć milionów. Potężny rząd Stanów Zjednoczonych odzyska przecież całą resztę.

- Nie.

- Może więc się podzielimy - zaproponował.

- Oddaj broń, Jack - rzekł Asher.

- Może choć jedno zatrzymam? - zapytał z nadzieją emerytowany wywiadowca.

- Niestety.

Westchnął ciężko, opuścił pistolet i oddał go Asherowi.

- Nigdy nie byłem dobry w dbaniu o własne sprawy.

- Może Arlene Debo coś ci załatwi - pocieszył go Asher.

- Przecież pomogłeś rozprawić się z Bremnerem, Sterling-O'Keefe i GRANDEUR. W ten sposób oczyściłeś własne imię.

Błysk w oku Jacka potwierdził, że i on tak patrzy na sprawę. Nawet jeśli nie będzie bogaty i straci swój zamek, to przynajmniej pozostanie żywą legendą o nieskazitelnej reputacji.

- Chyba przede wszystkim to się liczy - przyznał. - A może jeszcze trafi się coś, co pozwoli staremu człowiekowi zdobyć parę franków. Ale teraz wolałbym nie rozmawiać z Arlene. George i Elaine Russel czekają przy Côte d'Or. Nie mogę ich zawieść, prawda? Ich emerytury są jeszcze niższe od mojej. Obiecuję, że zgłoszę się, gdy Arlene wyznaczy tę nagrodę.

- Jack...

Podszedł do peugeota.

- Naprawdę nie mam nic do powiedzenia Langley. Znam tylko stare dzieje Firmy. Świetnie sobie poradzicie beze mnie. Ten świat należy do was.

Uśmiechnął się serdecznie.

Odpowiedzieli mu tym samym.

- Dobrze, jedź - skapitulował wreszcie Asher. - Spotkaj się z przyjaciółmi. Ale jak

najszybciej skontaktuj się z Langley. A o nagrodzie mówiłem jak najbardziej poważnie. To ty pomogłeś nam do końca złożyć układankę i powstrzymać Bremnera.

- Nawet jeśli kierowały tobą niegodne pobudki - dodała Sarah.

O'Keefe skinął głową, wsiadł do samochodu i odjechał pogwizdując „Boże, błogosław Amerykę”.

Roześmieli się i ruszyli w stronę lasu, gdzie czekał samochód zabrany z Languedoc. Nagle Sarah zatrzymała się i popatrzyła na Ashera.

- Cholera, nie przeszukaliśmy auta. Nie zajrzeliśmy do schowka, pod siedzenia i dywaniki.

- A przecież jeszcze były te walizy w bagażniku - rzekł Asher. - Do nich też nie zajrzeliśmy!

- Nie. Sądzisz, że zdołał już wycofać część pieniędzy Bremnera? Jakiś milionik lub dwa.

- Do tych kont był niezwykle łatwy dostęp. A zwróć uwagę, że zaparkował samochód i gdzieś sobie poszedł. Jakież to nierozsądne z jego strony. Podobnie jak umieszczenie wczoraj na widoku tak charakterystycznego kapelusza.

Popatrzyli na brukowaną drogę. Rudy Jack O'Keefe nie oglądając się, uniósł rękę i pomachał im wyjeżdżając na główną trasę. Spojrzeli po sobie. Po chwili wzruszyli ramionami i zgodnie się roześmieli.

## 65.

### STYCZEŃ

W Santa Barbara zapanowała zima. Deszcz bębnił po dachu, a potężne fale oceanu rozbijały się o plażę. Dwie kuzynki - Sarah Walker i Liz Sansborough - stały ramię w ramię i patrzyły w lustro.

Jedna na drugą. Na siebie.

- To dziwne - stwierdziła Sarah. - My obie jesteśmy dziwne.

- Niemal jakbym była dwiema osobami jednocześnie - roześmiała się Liz.

Wróciły do niskiego stolika, by napić się herbaty. Sarah rozlała ją do kubków.

- Kiedy twój ojciec był przekonany, że jestem tobą, dodał mleko i cukier. Liz przytaknęła i rozsiadła się wygodnie. Miała na sobie szare, wełniane spodnie i błękitny golf. Jej gęste, kasztanowe włosy opadały na ramiona, a światło lampy przeblyskiwało w nich złotem i czerwienią. Włosy Sarah barwą były niemal identyczne, tyle tylko, że krótsze.

- Tęsknisz za dawną twarzą? - zapytała Liz.

- Czasami. Ale gdy decydowałam się na zmianę, byłam przekonana o słuszności swego postępowania. Potem myślałam o dokonaniu pewnych korekt, by zatrzeć nieco nasze podobieństwo. Ale teraz doszłam do wniosku... że to mi odpowiada. Sama właściwie nie wiem dlaczego.

Sansborough uśmiechnęła się.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby ono ci obrzydło po tylu kłopotach, jakie z niego wynikły. - Napiła się herbaty i uważnie popatrzyła na Sarah. - Żal ci, że skończył się już ruch w interesie?

Sarah pokręciła głową. Była odprężona. Czuła się swobodnie w bluzie i rannych pantoflach. W kominku wesoło igrały płomienie. Ciągle jednak czuła się niezadowolona. Miała dziwne przeczucie, że cała sprawa nie zakończyła się jeszcze definitywnie, mimo to starała się odsunąć od siebie te myśli i próbować odbudować własne życie.

- Teraz zajmuję się sprawami wymagającymi samodzielnego odkrywania prawdy. Ostatnio napisałam duży artykuł o tematyce ekologicznej na temat siłowni nuklearnej w Diabelskim Kanionie. Wyobraź sobie, że powstała na samym skraju uskoku tektonicznego. -

Napiła się herbaty. - A co u ciebie?

- Skończyli już przesłuchania i znalazłam się znowu na liście płac Langley. Z powodu rodziców nie jestem dla nich w pełni wiarygodna, więc będą mi zlecać wyłącznie zadania kontraktowe. Ale to chyba mi wystarczy. Przez pewien czas zamierzam jednak odpocząć od tego wszystkiego. Wspiąć się na kilka gór. Ponurkować. Polatać na lotni. A może wrócić na studia. - Wzruszyła ramionami.

Sarah obserwowała mieszaninę uczuć widoczną na twarzy kuzynki. Liz najwyraźniej chciała być kimś zupełnie innym niż dotychczas.

- Rozumiem, że będzie ci brakować tamtego życia. W jakimś stopniu człowiek uzależnia się od niego. Masz świadomość, że jeśli chcesz odejść, musisz się zdecydować na kompromis. Nigdy nie przestanę myśleć o ludziach, których zabiłam, bo nie mogę mieć pewności, czy nie dałoby się tego uniknąć. Ale staram się wyrobić w sobie przekonanie, że postąpiłam słusznie, więc muszę nauczyć się z tym żyć.

- To dlatego, że uczestniczysz w paradzie. Mama mówi: „są ludzie maszerujący w życiowej paradzie, inni stoją z boku i tylko się przyglądają, ale są i tacy, którzy nawet nie wiedzą, że odbywa się taka impreza”. - Liz opuściła głowę. Jej głos był cichy i nabrzmiały smutkiem. - Tata dał się zabić, Sarah. Wcale nie musiał zatrzymać samochodu, by unieszkodliwić strzelającą do niego parę. Powinien przejechać tamtędy najszybciej jak się dało. Rzadko popełniał błędy, a nigdy tak podstawowego i nie przemyślanego jak to. Jestem przekonana, że zrobił to celowo, bo tak naprawdę nie zamierzał się ujawnić. Dla niego śmierć była lepszym rozwiązaniem niż odejście na emeryturę.

Sarah pokiwała głową. Nigdy nie zastanawiała się, dlaczego postąpił w ten sposób. Uświadomiła sobie, że Liz ma rację. Popełnił błąd. Ale wtedy zdarzyło się coś jeszcze... Przez ułamek sekundy w pobliżu widziała klauna... a może to było tylko złudzenie? Może dały o sobie znać zmęczenie, stres i skutki odniesionych ran?

Liz zmusiła się do uśmiechu i ciągnęła:

- Mama natomiast jest w swoim żywiole. Teraz, kiedy prezydent dał się przekonać, będą ją przesłuchiwać jeszcze co najmniej przez rok. Wydaje się jej, że to forma pokuty, kara za grzechy i chyba to właśnie spowodowało zmianę decyzji prezydenta. Żałuj, że nie możesz wiedzieć jej i Arlene Debo. Nie lubią się nawzajem, ale jednocześnie świetnie się rozumieją. Razem tworzą prawdziwą mieszankę wybuchową.

Wróciły wspomnieniami do tajnych przesłuchań przed senackimi komisjami na temat MASKARADY, MK-ULTRA, Sterling-O'Keefe oraz GRANDEUR, w których obie uczestniczyły.

- Chciałabym napisać książkę o Mięsożercy - rzekła wreszcie Sarah. - Może wspólnie z Leslee Pousho. Rozmawialiśmy na ten temat, gdy odwiedziłam ją w szpitalu. Jej twarz jest już niemal w idealnym stanie. Dyskutowaliśmy o odwadze... - Urwała myśląc, ile Leslee musiała wycierpieć. - Problem w tym, że rząd nie ujawni materiałów przez najbliższe dwadzieścia lat. Trzeba by uzyskać informacje z innych źródeł...

- Z chęcią pomogłabym ci, ale wiem tylko tyle, ile było w wiadomościach, które przekazywałam do Languedoc. Tata nie wtajemniczał mnie w swoje sprawy. Ani mama. A teraz nie ma prawa rozmawiać z nikim na te tematy, bo tak stanowi umowa z rządem Stanów.

Sarah dołąła herbaty.

- Było dla mnie szokiem, gdy dowiedziałam się, że jestem siostrzenicą Mięsożercy. - Podając Liz naczynie, popatrzyła w jej ciemne oczy. I znów dostrzegła w nich cząstkę siebie. - Jak to jest być jego córką?

Liz trzymała kubek tak pewnie jak robił to jej ojciec w swojej paryskiej kryjówce.

- Kiedy dorastałam, ojciec dużo podróżował. Wiem tylko tyle. Po pewnym czasie zaczęła mu towarzyszyć mama, aż wreszcie wyjeżdżała niezależnie od niego. Później dowiedziałam się, że właśnie wtedy przeszła wszechstronne przeszkolenie. W czasie ich nieobecności zajmowali się mną dziadkowie.

Wzruszyła ramionami i ciągnęła:

- Wszystko wydawało mi się normalne. Byli kochającymi rodzicami i razem spędzaliśmy mnóstwo czasu. Ale znałam tylko cząstkę ich prawdziwego życia. Zawsze wyczuwałam, że istnieje jakaś wielka tajemnica, ale nie wiedziałam, czego dotyczy. Może dlatego od dziecka miałam nocne koszmary. Skończyły się dopiero trzy lata temu, kiedy zobaczyłam tatę w Lizbonie. Wtedy wszystko nagle ułożyło się w logiczną całość. Dowiedziałam się, że rodzice są zawodowymi zabójcami. Byłam zszokowana i przerażona.

- Namówiłaś ich wówczas, żeby to porzucili?

- Aby przerwali, Przynajmniej na jakiś czas. Później często rozmawialiśmy na ten temat. Ale to znacznie lepsze niż jakiegokolwiek niedopowiedzenia. Mama od początku twierdziła kategorycznie, że nigdy nie lubiła i nie potrzebowała tego zajęcia. Tata wciągnął ją w to tłumacząc, że potrzebuje ich Anglia. A skoro wychowywała się w wojskowej rodzinie, potraktowała to jako pewnego rodzaju obowiązek. Zanim zorientowała się, że tata wcale nie pracuje dla MI5 ani MI6, utkwiała już zbyt głęboko, by się wycofać. - Znów spuściła wzrok. - Ale chyba i jej ta robota w końcu zaczęła sprawiać przyjemność. Zagrożenie, dreszczyk emocji, poczucie wyższości...

- Założę się, że jednocześnie starała się chronić przed tym wszystkim ciebie, Liz.

- Tak. I dlatego oboje nie wtajemniczali mnie w swoje sprawy. Ale gdy już poznałam ich tajemnice, zrozumiała, jak różnymi drogami idziemy przez życie i to ona głównie nastawała, byśmy wszyscy się wycofali. Ale tata nie chciał. Coś było z nim nie tak. Jakby coś w nim pękło. Teraz myślę, że jedynym powodem, dla którego wreszcie zgodził się na ujawnienie, była obawa, że nas utraci. Zawsze powtarzał, że jestem jego słabością. Ja też go kochałam, dopóki nie zobaczyłam jego oczu tej nocy w Lizbonie, gdy zastrzelił kuriera. Były chore, przerażające. A ten kurier to przecież nieświadomy niczego chłopiec... Odtąd go znienawidziłam.

Rozmawiały niemal do północy, kiedy Liz oświadczyła, że musi już iść. Spieszyła się na lotnisko międzynarodowe w Los Angeles, by stamtąd wrócić samolotem do Waszyngtonu. Przemierzyła pokój z gracją geparda.

Włożyła płaszcz, przepasała się paskiem i podeszła do drzwi. Ucałowały się na pożegnanie.

- Kiedy znów się zobaczymy?

- Kto to wie? Ale coś ci powiem. W Langley słyszałam, że chętnie by cię zatrudnili.

Sarah początkowo wpadła w panikę, która prawie natychmiast przerodziła się w ciekawość. Co to miało znaczyć? Po chwili zdecydowanie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Moja mama też ma swoje powiedzonko: „Nigdy nie podejmuj walki ze świnią. Nie dość, że się wybrudzisz, ale na dodatek Świnia jeszcze cię pokocha”. - Uśmiechnęła się. - Teraz podejmę się tylko takiej walki, której sama zapragnę. Dlatego Langley lepiej niech się trzyma z dala ode mnie.

- Przekażę im. Aha, jeszcze jedno. Kiedy zobaczysz się z Asherem, przypomnij mu, by zapomniał, że w ogóle mnie znał.

Pomachała na pożegnanie i wybiegła na deszcz, by za moment zniknąć we wnętrzu swego samochodu.

\*

Sarah i Asher zamieszkali razem w domku na plaży, gdy tylko został wypisany ze szpitala. On wykonywał swoje zadania, ona tymczasem spotykała się z wydawcami, prowadziła badania, przygotowywała wywiady i pisała. Jej artykuły zaczęły ukazywać się w największych pismach o krajowym zasięgu.

Tej zimy każdego dnia spacerowała po plaży pod szarym, ciężkim niebem. Fale były zaciekle o piasek. Mewy gromadziły się w stada, dziobami ustawione do wiatru, nauczone przez naturę, by w ten sposób chronić się przed sztormem.

Pewnego dnia wracając z przechadzki zobaczyła, że w sypialni pali się światło. Asher

wrócił! Wbiegła po schodkach, otworzyła drzwi i rzuciła mu się w ramiona.

- Ale jesteś zmarznięta. - Całował jej policzki, usta, szyję. - Boże, tak dobrze cię widzieć...

- Zdobyłeś adres Jacka O'Keefe'a?

- Oczywiście. Ale wciąż nie rozumiem, po co ci on.

- Później powiem. - Uśmiechnęła się tajemniczo i pocałowała go. - Jak długo zostaniesz?

- Miesiąc. I tym razem już na pewno za mnie wyjdiesz.

Pomyślała o Liz i różnicy między dwiema z pozoru identycznymi kobietami, złączonymi przez los i więzy krwi.

- Uprzedzam, że zamierzam mieć dzieci.

- To dobrze, bo ja także o tym myślałem.

Rozbierali się nawzajem, uśmiechając do siebie i szepcząc pełne miłości słowa. Nie mogła się napatrzeć na jego ciemne włosy, śnieżnobiałe zęby, pełne dzikiej energii oczy. Gdy byli już nadzy, stanął za jej plecami i przywarł całym ciałem. Rozbudzona w niej żądza wywoływała ból. Zatopił twarz w jej włosach, aż poczuła gorący oddech na szyi. Wygięła się do przodu, a jej dusza znalazła ukojenie i radość.

\*

Pod koniec stycznia napisała list i czekała.

Najpierw trafił do skrytki pocztowej w Londynie, później do Amsterdamu, aż wreszcie dotarł do rąk Rudego Jacka O'Keefe'a na Majorce. Ten z kolei wysłał go do Madrytu, skąd zawędrował do Algieru. Na końcu znalazł się w Palermo na Sycylii. Trwało to w sumie sześć tygodni.

List dostarczono Donowi Alessandro Firenze do jego willi w pobliżu przepięknej miejscowości Cefalu, leżącej w połowie drogi między Palermo a Messyną. Od czterdziestu już lat odwiedzał to niewielkie, liczące dwanaście tysięcy mieszkańców, miasteczko, teraz przebywał tu już od dłuższego czasu. Stąd właśnie wywodziły się rodziny Firenze oraz Bosa. Don Alessandro, którego młodość już przeminęła, pragnął teraz uzupełnić wiedzę, której nie zdobył w młodości, opuszczając rodzinę, by pić i chodzić na dziwki. Systematycznie przeglądał zgromadzone przez siebie pokaźne zbiory książek. Od czasu do czasu zajmował się pracą, na tyle często, by stłumić ogień, nad którym w innym wypadku nie byłby w stanie zapanować.

Oprócz czytania książek Donowi sprawiało radość podziwianie jasnych plaż Cefalu, skalistych zatoczek i skał piętrzących się nad starym, rybackim miasteczkiem. Lubił świeże



cytrusy, oliwki i nieskomplikowany tryb życia. Sycylijczycy byli przeważnie prostymi rolnikami lub rybakami. Przez ostatnie dwa tysiące lat, żyjąc w trudnych warunkach, nauczyli się troszczyć przede wszystkim o własne sprawy. Dlatego tak dobrze czuł się w Cefalu i na Sycylii.

Alessandro najpierw popatrzył na podpis. Z trudem przełknął ślinę. To było pismo Liz. Rozejrzał się. Tylko wiatr kołysał rosnącymi na stoku jego posiadłości oliwkami.

*Lo leggo subito.* Przeszedł do fotela stojącego w ogrodzie pod drzewem korkowym i zaczął czytać...

*Drogi Tato,*

*Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć, iż Langley zdecydowało się zlecić mi pracę kontraktową. Obawiam się jednak, że będzie nudna i przyjdzie poszukać sobie czegoś innego. Piszę Ci o tym, bo zapewne nie masz żadnych wieści od mamy. Nie odezwie się do Ciebie jeszcze przez jakiś rok. Tyle bowiem potrważą przesłuchania i związane z tym ciągle przenosiny z kryjówki do kryjówki...*

Skinął na służącą.

*- Signora, vorrei te subito per favore.*

Zimowy dzień był chłodny. Miał ochotę na gorącą herbatę z mlekiem. Poprosił także o przyniesienie radia. Przesunął fotel oraz niewielki stolik na słońce i uniósł kopertę, by przyrzeć się jej pod światło. To samo zrobił z listem.

Gdy podniósł głowę, jego uwagę zwróciły trzy sępy krążące w oddali. Stopniowo obniżały lot. W dole musiało znajdować się coś, co zwróciło ich uwagę. Na Sycylii podobało mu się także to, że poza kilkoma odmianami sępów było tu niewiele dzikich zwierząt. A sęp był przecież mądrym ptakiem, wielkim i cierpliwym. A ponadto wykonywał pożyteczne usługi, żywiąc się gnijącym mięsem i usuwając wiążące się z nim zagrożenia.

Służąca przyniosła na tacy herbatę i radio. Powiadomił ją, że wraz z resztą służby ma wolne do końca dnia. Podziękowała i wycofała się do domu. Gospodarz nalał mleka do herbaty, po czym dodał do niej szczyptę czegoś jeszcze. Wcisnął kilka przycisków w „radiu” i wrócił do lektury listu.

*Zapewne nie wiesz, w jaki sposób zorientowałam się, że żyjesz, Tato. Ostatnio byłam u Sarah. Powiedziała mi, że gdy wyjeżdżaliście z kryjówki, zobaczyła klauna. Domyśliłam się, że mama tam była, by pomóc Ci w kolejnym upozorowaniu śmierci. Później Jack O'Keefe tłumaczył Sarah, że na pewno i ta śmierć była tylko kolejną sztuczką. Zapewne zaraz ugryzł się w język, ale...*

Alessandro napił się gorącej herbaty. Assam - jego ulubiona. Popatrzył na turkusowe

wody Morza Tyrreńskiego. Wstał i czując chłód rozcierał dłońmi ramiona. Wkrótce tu będą.

Zanim jeszcze w myślach wypowiedział te słowa, kątem oka dostrzegł cienie przemykające wśród drzew. Wyczuwał je, jak owe sępy wyczuwają padlinę. Jak pies potrafiący wywęszyć dawno zakopaną kość. Poczul przyspieszone bicie serca i ten nagły przypływ adrenaliny, dla którego warto było żyć.

Czytał dalej.

*Znowu mnie okłamałeś. Obiecałeś, że się ujawnisz, ale nie zrobiłeś tego. Chciałabym się z Tobą zobaczyć.*

Poniżej znajdował się podpis: „Kochająca Liz”.

Hal Sansborough uniósł głowę i zawołał:

- Sarah!

Jego głos odbił się od sycylijskich skał.

Przebiegły zabójca odwrócił się i przysłonił oczy listem sfalszowanym przez Sarah.

- Wiem, że tam jesteś! Wyjdź!

Stał samotny, a mimo to pewien siebie, wyzywający. Obok znajdowały się fotel i stolik. Za plecami zaś miał elegancką willę oraz gaj oliwny.

Gdy Asher i Sarah wyszli z cienia drzew i zbliżali się do niego, pierwsza eksplozja wstrząsnęła okolicą z taką siłą, że aż ziemia zadrżała. W niebo uniosła się chmura burego dymu.

- Co to było, do diabła? - zapytał Asher.

Z lewej, zza szczytu góry wyłonił się helikopter - ich wsparcie. Rzucili się biegiem ku Halowi Sansborough. Oddział ludzi w panterkach wyszedł tymczasem zza oliwnych drzew i szerokim kręgiem opasał zabójcę. Teraz już go mieli.

- To koniec, Hal - rzekła Sarah. - Tym razem nie będzie już fałszywej krwi. Ani nie zwiedzisz nas spowalniając bicie serca. Nie będzie już żadnych sztuczek, mistrzu. Teraz Mięsożerca rzeczywiście się ujawni. To naprawdę koniec.

Zabójca stał uśmiechnięty.

- Trzymajcie się z dala od domu, chyba że chcecie pójść w moje ślady.

I Sarah ujrzała w jego oczach to, o czym mówiła Liz. Wydało jej się, że zagląda do przepastnej, zimnej jaskini zła.

Po obu stronach budynku rozległy się dwie kolejne eksplozje.

- Willa się zapada! - wykrzyknął Asher.

- Znajdujemy się nad całym ogromnym systemem grot i korytarzy. - Hal Sansborough sięgnął po herbatę i powoli ją dopił. - Czy Liz wie, że tu jesteście?

- Nie - odparła dziewczyna, z niepokojem wyczuwając drżenie ziemi pod stopami. -  
Za pomocą komputera podrobiliśmy jej podpis.

- Czy atrament zawiera jakąś substancję umożliwiającą śledzenie drogi listu?

- To jeden z najnowszych wynalazków naszych naukowców - przyznał Asher.

Hal Sansborough uniósł głowę i wciągnął do płuc rześkie, morskie powietrze.

- Teraz wybuchy będą następować już automatycznie. Nikt nie jest w stanie im zapobiec. - Nie patrzył na walącą się willę ani nadchodzących umundurowanych agentów. - Świat zmienia się zbyt szybko. Wszystko przez tę pieprzoną technikę i sprzedajne władze.

Nagle nastąpiły dwa wybuchy, po obu stronach Ashera i Sarah. Siła podmuchu aż zwała ich z nóg. Mięsożerca osunął się na kolana. Część agentów również nie zdołała utrzymać się na nogach. Helikopter zbliżył się jeszcze, podmuchem z wirnika podrywając tuman sycylijskiej gleby.

- Wujku Hal! - krzyknęła Sarah czołgając się w jego stronę.

Ziemia pod nimi gwałtownie osunęła się o dobre kilkanaście centymetrów.

- Odejdźcie! - krzyknął. - Nie potrafię żyć tak jak wy!

Asher chwycił dziewczynę w pól i zaczął ciągnąć w swoją stronę. Ziemia drgnęła i znów się zapadła. Hal Sansborough z trudem dotarł na swój fotel. Jego spojrzenie było jednak bystre jak zwykle. Krótkie siwe włosy zaśniły w promieniach słońca.

- Hal, ty draniu! - wrzasnęła. - Przegrałeś!

Roześmiał się, jakby usłyszał świetny żart. Przymknął oczy.

- Nie! Wygrałem!

Korony okolicznych drzew zakołysały się. Willa za jego plecami zniknęła w chmurze dymu i pyłu. Sarah, a za nią Asher poderwali się na nogi i rzucili do biegu, przeskakując poszerzające się szczeliny. Gdy dziewczyna obejrzała się przez ramię, ujrzała Hala Sansborough, opartego w jakiś nienaturalny sposób o poręcz fotela, znikającego gwałtownie w ogromnej rozpadlinie.

Zatrzymali się na stoku powyżej. W miejscu, gdzie do niedawna stała wspaniała willa Mięsożercy, znajdował się teraz okazałych rozmiarów krater. Unoszący się w górę pył przysłonił słońce. Sarah patrzyła na tę apokaliptyczną scenę z przerażeniem i smutkiem. Pierwsza część jej planu udała się: trafnie przewidziała, że Rudy Jack O'Keefe nadal utrzymuje kontakt z wciąż aktywnym Halem Sansborough. Uzyskała pewność co do tego, gdy stary as wywiadu po otrzymaniu sfałszowanego listu przekazał go dalej.

Ale, do diabła, chciała zabójcy, a nie jego śmierci.

- Widziałaś, że dodał coś do swojej herbaty? - zapytał cicho Asher.

- Pewnie jakąś truciznę.

- Być może. Ale jeśli nie uda się odszukać jego ciała i zidentyfikować go w stu procentach, to mógł zażyć zupełnie coś innego. I wcale nie zginąć.

Sarah przyglądała się przepięknemu krajobrazowi.

- Chciał, żeby właśnie tak to się odbyło.

Asher ujął ją za rękę i ruszyli ostrożnie w dół stoku. Popatrzyła na błękitne niebo. Mimo wszystko odczuwała radość i nadzieję. Chociaż nie udało się jej do końca zrealizować planu, wiedziała, że zyskała coś znacznie ważniejszego - Ashera i kawał życia przed sobą.